

WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Diament



tom 4 część 1

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Spis treści](#)

[1 FIRMOWY ŻART DYLANA](#)

[2 TOPIĆ SERCE](#)

[3 GŁĘBIA SZAFY](#)

[4 GWIAZDKA](#)

[5 POD GRUBĄ SKORUPĄ LODU](#)

[6 WPÓŁ DO MARGARITY](#)

[7 MÓJ CYRK](#)

[8 ZŁOTE MYŚLI](#)

[9 KOLEJNA Z MONETOWSKICH CECH](#)

[10 NEGOCJATORKA](#)

[11 VINCE Z FERAJNĄ](#)

[12 W MIŁOŚCI](#)

[13 OBRAZEK ROZPACZY](#)

[14 KIELKUJĄCY PROJEKT FUNDACJI MONETÓW](#)

[15 BŁA, BŁA, BŁA... HAILIE MONET](#)

[16 ODNALEZIONE SKARBY MINIONYCH WIEKÓW](#)

[17 STO TYSIĘCY DOLARÓW](#)

[18 KUZYN](#)

[19 TO NIE JEST TWÓJ KOLEGA](#)

[20 PRZYPALONE TOSTY](#)

[21 DWA MINUSY DAJĄ PLUS](#)

[22 JAK ZA DAWNYCH CZASÓW](#)

[23 BUTELKA TEQUILI](#)

[24 BĘDZIESZ WSPANIAŁA](#)

[25 „RELACJI”](#)

[26 CIEMNE I TAJEMNICZE](#)

[27 CZARNY CZOSNEK](#)

[28 SKÓRA W SKÓRĘ](#)

29 WEDLE ŻYCZENIA, HAILIE MONET

30 NICZYM Z PANNA MŁODĄ

31 MLEKO KOKOSOWE

32 FAJNIE TO ZA MAŁO

33 FATALNIE

34 NIC

35 GNIEW POZA JAKĄKOLWIEK SKALĄ

Wydawca

WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Diamant



część 1

YOU &
YA

Ilustracja i projekt okładki: *Dixie Leota*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redaktor prowadzący: *Anna Wyżykowska*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Karolina Mrozek, Maria Dobosiewicz*

Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku,

ponieważ niektóre motywy i zachowania opisane w książce mogą urazić uczucia odbiorców, zalecamy ostrożność podczas czytania. Wszystkie wydarzenia i postacie przedstawione w powieści są fikcyjne.

Życzymy dobrej lektury,

Autorka i Wydawnictwo

© for the text by Weronika Anna Marczak

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2866-0

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

Spis treści

- [1 FIRMOWY ŻART DYLANA](#)
- [2 TOPIĆ SERCE](#)
- [3 GŁĘBIA SZAFY](#)
- [4 GWIAZDKA](#)
- [5 POD GRUBĄ SKORUPĄ LODU](#)
- [6 WPÓŁ DO MARGARITY](#)
- [7 MÓJ CYRK](#)
- [8 ZŁOTE MYŚLI](#)
- [9 KOLEJNA Z MONETOWSKICH CECH](#)
- [10 NEGOCJATORKA](#)
- [11 VINCE Z FERAJNĄ](#)
- [12 W MIŁOŚCI](#)
- [13 OBRAZEK ROZPACZY](#)
- [14 KIEŁKUJĄCY PROJEKT FUNDACJI MONETÓW](#)
- [15 BLA, BLA, BLA... HAILIE MONET](#)
- [16 ODNALEZIONE SKARBY MINIONYCH WIEKÓW](#)
- [17 STO TYSIĘCY DOLARÓW](#)
- [18 KUZYN](#)
- [19 TO NIE JEST TWÓJ KOLEGA](#)
- [20 PRZYPALONE TOSTY](#)
- [21 DWA MINUSY DAJĄ PLUS](#)
- [22 JAK ZA DAWNYCH CZASÓW](#)
- [23 BUTELKA TEQUILI](#)
- [24 BĘDZIESZ WSPANIAŁA](#)
- [25 „RELACJI”](#)
- [26 CIEMNE I TAJEMNICZE](#)
- [27 CZARNY CZOSNEK](#)
- [28 SKÓRA W SKÓRĘ](#)
- [29 WEDLE ŻYCZENIA, HAILIE MONET](#)
- [30 NICZYM Z PANNA MŁODĄ](#)
- [31 MLEKO KOKOSOWE](#)

32 FAJNIE TO ZA MAŁO

33 FATALNIE

34 NIC

35 GNIEW POZA JAKAKOLWIEK SKALĄ



1

FIRMOWY ŻART DYLANA

Dzwonił Dylan.

Ujrawszy jego imię na ekranie, jęknęłam. Wibracje telefonu właśnie wybudziły mnie ze snu i miałam nadzieję, że to tylko budzik, który będę mogła po prostu zignorować.

Niestety, Dylana zignorować łatwo się nie dało.

Wiedząc o tym dobrze, wygrzebałam rękę spod poduszki i nacisnęłam na zieloną słuchawkę.

– Dziewczynka – rozległ się głos mojego wrednego brata.

– Dylan? – Ziewnęłam.

– No dzień dobry. Jadę do ciebie.

– Hm? – Rozejrzałam się nieprzytomnie po pogrążonej w półmroku sypialni.

– Jadę do ciebie. Teraz.

– Ale że gdzie? – Zmarszczyłam czoło.

– Że w taksówce, dziewczynko.

– Czekał. – Otworzyłam szerzej oczy. – Ty jesteś w Barcelonie?

– Za chwilę u ciebie będę.

Rozłączył się.

Przez moment gapiłam się zdezorientowana na telefon, jakbym nie do końca zarejestrowała właśnie odbytą rozmowę, a potem drgnęłam i zerwałam się do pozycji siedzącej.

– Dylan tu jedzie! – zawołałam i odwróciłam się do swojego towarzysza. Spał odwrócony do mnie tyłem, więc dźgnęłam go w plecy. – Wstawaj!

Ruszył się dopiero za trzecim szturchnięciem.

– Co jest? – westchnął, przeturlawszy się leniwie na moją stronę łóżka. Wciąż miał zamknięte oczy.

– Nie słyszysz? Dylan dzwonił – odparłam i zerwałam się z łóżka. – Musisz iść!

Podniosłam rolety w oknie i drzwiach balkonowych, które przy okazji rozchyliłam, żeby wpuścić do pomieszczenia nie tylko światło, ale i świeże powietrze. Z dezaprobatą skwitowałam rozrzucone na podłodze męskie ubrania. Zebrałam je szybko, podniosłam i rzuciłam na łóżko.

– Hej, nie zasypiaj znowu – warknęłam. – Wstawaj!

Przeszłam do kuchni połączonej z salonem, gdzie również porozsuwałam żaluzje i otworzyłam okna. Dwa kieliszki brudne od czerwonego wina, które zostawiłam wczoraj w zmywarce, teraz wyjęłam, umyłam w zlewie, dokładnie osuszyłam i schowałam do szafki.

Wróciłam do sypialni i skoczyło mi ciśnienie.

– Alex! – syknęłam i zerwałam z niego kołdrę, rozwalając jeszcze bardziej leżące na niej ubrania. – Co z tobą? Życie ci niemiłe?

– Mieliśmy iść razem na śniadanie – westchnął, wreszcie przecierając oczy.

– Czy ty rozumiesz, że mój brat Dylan właśnie tutaj jedzie? Będzie lada moment, może właśnie zajeżdża pod budynek. Czy muszę ci tłumaczyć, dlaczego byłoby lepiej, żeby cię tu nie spotkał?

Ulżyło mi, gdy wreszcie otrzeźwiał na tyle, by poważnie potraktować zaistniałą sytuację. Podniósł się do pozycji siedzącej, podrapał po zaroście i wygrzebał gdzieś ze zmiętolonej kołdry jedną skarpetkę.

– Co on tutaj robi?

– Nie wiem, pośpiesz się.

Znowu przeszłam do kuchni. Rzuciłam okiem na zawartość śmietnika, żeby się upewnić, czy aby nic podejrzanego nie rzuca się w nim w oczy i ogólnie lustrując cały

mój mały loft uważnym spojrzeniem. Wkrótce dołączył do mnie ubrany i rozczochrany Alex. Oczy nadal miał sennie półprzymknięte.

– Idź schodami, będzie bezpieczniej niż windą – poinstruowałam go. – Ale uważaj, bo Dylan czasem też woli schody. Z nim to nigdy nie wiadomo. Musisz nasłuchiwać, żeby na niego nie wpaść.

Alex kiwał głową, przeczesując włosy palcami.

– To kiedy znowu się spotkamy?

– Nie wiem... Pewnie jak wrócę ze Stanów? Będziemy w kontakcie – mówiąc to, położyłam dłoń na klamce. – Błagam, nie wpadnij na Dylana, okej?

– Mhm, no dobra – odparł Alex, wzdychając. Podszedł do drzwi, ale najpierw nachylił się i chyba widząc moje zniecierpliwienie, ograniczył się do muśnięcia moich warg swoimi. – Baw się dobrze na weselu.

– Dzięki.

Modliłam się, by Dylan się na niego nie napatoczył w klatce lub na ulicy. Dla dobra nas wszystkich. Wiedziałam, że wyciągnąłby pochopne wnioski, które wcale nie byłyby mylne.

Nie tylko zaścieliłam łóżko, ale i z rozpedu zmieniałam pościel, tak dla bezpieczeństwa, a potem zajrzałam do łazienki, gdy przypomniałam sobie, że mój gość trzyma w niej swoją szczoteczkę do zębów. Wrzuciłam ją do pudła z tamponami, do którego Dylan w życiu by nie zajrzał. Na wszelki wypadek.

Na szczęście mój wredny brat nie odwiedzał mnie tym razem z nudów. Czasami tak robił i wtedy czepiał się każdej pierdoły, jak to on. Dziś jednak przyjechał z konkretną misją, co zrozumiałam, gdy tylko pojawił się w progu.

Minę miał poważną i skupioną, zdawał się trochę spięty, nawet gdy uśmiechał się do mnie drwiąco i odwzajemniał powitalny uścisk, którym go natychmiast obdarowałam. Pocałował mnie w policzek i zmierzwił mi włosy, a potem stanął na środku mieszkania i wcisnął dłonie do kieszeni swojej luźnej czarnej bluzy, rozglądając się wokół.

– Znowu masz więcej kwiatków – skomentował.

– To silniejsze ode mnie. – Wzruszyłam ramionami i ziewnęłam. – Muszę jakoś wynagradzać sobie brak ogrodu.

– Myślałem, że brak ogrodu wynagradza ci ten wykurwisty taras.

– Mhm, to też – mruknęłam.

Gdy Dylan rozsuwał drzwi prowadzące na zewnątrz, ja otwierałam puszkę z kocią karmą. Szybko przeszedł się po – nie przeczę – istotnie imponującym tarasie. Moi bracia już dawno zgodnie uznali tę część mojego loftu za swoją ulubioną. Zawsze gdy mnie odwiedzali, chcieli siedzieć tylko tam. Nic dziwnego – rozpościerał się stąd widok na dachy barcelońskich budynków, znajdował się na nim grill, wielkie kanapy, dużo roślin i lampki ogrodowe, których światło wieczorami tworzyło niezwykle przytulną atmosferę.

Dziś jednak poranek był mocno listopadowy, wyjątkowo zbyt rześki jak na Barcelonę, i Dylan szybko wrócił do środka. Złapał Daktyla, który na swoje nieszczęście akurat przemykał truchcikiem obok jego nogi. Kociak zaprotestował miauknięciem i spróbował się wyrwać, przepelnionymi żalem ślepiami wpatrując się w swoją miskę, którą właśnie napełniłam mokrą karmą. Aby zasłużyć na śniadanie, musiał jednak pozwolić się najpierw Dylanowi wytarłosić, czemu przyglądałam się ze śmiechem.

– Zostaw go już – powiedziałam w końcu, a następnie zabębniłam paznokciami w kuchenny blat. – Hej, słyszysz? Powiedz mi lepiej, co ty tu tak właściwie robisz.

– Odwiedzam małą siostrzyczkę.

– Co tak nagle? – Uniosłam z rozbawieniem brwi.

– Sprawdzam, czy jesteś grzecznutka.

Dylan puścił już kota i znowu zaczął chodzić po mieszkaniu. Obserwowałam go zza kuchennej wysepki, analizując w głowie, czy aby na pewno nie ma ryzyka, że natknie się tutaj na coś niepożądanego.

Patrzyłam, jak łapie i miętoli między palcami liść fikusa.

– Dylan, wszystko w porządku? – zapytałam, przekrzywiając głowę z lekkim niepokojem.

– Chryste, no co, nie wolno mi się stęsknić za moją małą siostrą?

– Widzieliśmy się dwa tygodnie temu i za chwilę mamy zobaczyć na weselu. Dlatego przestań się czaić i mów, o co chodzi, bo zaczynam się martwić.

Dylan odchylił głowę i odsunął się od mojego kwiatka doniczkowego. Na chwilę zapadła cisza, którą zakłócało jedynie mlaskanie Daktyla. Potem mój brat podrapał się po piersi i odetchnął, aż w końcu zbliżył się do wysepki, stanął naprzeciwko mnie i sięgnął do kieszeni.

Rozchyliłam usta na widok pudełeczka, które wyciągnął. A potem wydałam z siebie stłumiony okrzyk zachwyty, bo pokazał mi pierścionek, który był w środku.

Obrączka była gruba, bo składały się na nią jakby dwie części, jedna prosta i gładka, z białego złota, a druga pokryta diamentami, które mieniły się jak szalone, nawet w ten ponury, pochmurny poranek. Na środku zaś tkwił jeszcze jeden diament, tyle że ten był chyba największy, jaki w życiu widziałam. Jego wnętrzu mieniło się subtelnym błękitem, jakby ktoś ukrył w kamieniu bezchmurne niebo.

– Oświadczysz się Martinie! – westchnęłam uradowana.

Pierścionek zniknął, gdy Dylan zamknął wieko pudełeczka i odłożył je na blat.

– Nie wiem.

Uniosłam na niego spojrzenie.

– Co to znaczy: „nie wiem”?

Dylan zrobił kilka kroków w stronę tarasu i zapatrzony w dal podniósł ramię i podrapał się w tył głowy.

– Nie wiem, czy się oświadczę.

– Nie rozumiem. To po co ci pierścionek?

– No, a jak myślisz? – Dylan spojrzał na mnie, jakbym ciężko rozumowała.

– No, żeby się oświadczyć?

– No duh.

– Czyli się oświadczysz?

– Nie wiem.

Potarłam czoło, a Dylan znowu zaczął się przechadzać.

– Mam rozumieć, że przyjechałeś do mnie po radę? – zapytałam i się uśmiechnęłam. – Ooo, Dylan, to słodkie.

Zatrzymał się i rzucił mi spojrzenie spode łba.

– Nie przyjechałem po radę – burknął. – Po prostu tak się zastanawiam, co zrobić, i nie wiem, więc może pogadajmy. Czasem masz nawet spoko pomysły.

Z uniesionymi brwiami pokręciłam głową, ale zdecydowałam się tego nie komentować.

– Daj mi piętnaście minut. Przebiorę się, odświeżę i pójdziemy na śniadanie, co? A teraz schowaj ten pierścionek i nie zgub go czasem.

Dylan założył ręce na piersi, przybierając pozę obrażonego ośmiolatka, ale nie zaprotestował. Zanim zamknęłam za sobą drzwi sypialni, widziałam kątem oka, jak

posłusznie chowa pierścioneł z powrotem do kieszeni bluzy.

Poszliśmy do jednej z moich ulubionych śniadaniowni, tej samej, którą pierwotnie planowałam odwiedzić z Alexem. Knajpka była niewielka, ale dobrze ukryta przy rzadko uczęszczanej ulicy, dzięki czemu jadałi w niej głównie miejscowi.

Patrzyłam z lekkim uśmiechem, jak Dylan miesza bez sensu łyżeczką swoją czarną, niesłodzoną kawę.

– Wyduś to z siebie – ponagliłam go w końcu. – Co się dzieje, masz wątpliwości?

– Nie jakieś wielkie.

– Kochasz Martinę?

Dylan wzruszył ramionami.

– No.

– To świetny początek. – Pochwaliłam go. – Martwisz się, że ona nie czuje tego samego?

Spojrzał na mnie z oburzeniem.

– Nie no, wiadomo, że też kocha.

– Więc w czym problem?

Dylan puścił łyżeczkę i uniósł kciuk do zębów – zaczął obgryzać skórki, zerkając gdzieś w bok.

– Nie wiem, czy to może nie za szybko.

– Czy kiedykolwiek rozmawialiście z Martimą o ślubie? Pamiętasz, co mówiła?

– Coś tam może kiedyś. – Westchnął. – Sprawa z nią jest taka, że wiem, że mnie kocha i mnie chce, no nie, tylko ona zawsze się śmiała, że Amerykanie to tak szybko ładują się w małżeństwo, i nie wiem, czy ona chce się władować w nie ze mną już teraz, czy jednak trochę później.

– Po oświadczeniach możecie się dogadać w sprawie daty ślubu. Nie musicie przecież brać go natychmiast. Popatrz na Vince'a i Anję. Mieszkają razem już cztery lata, mają dwójkę dzieci, a wesele organizują dopiero teraz.

– Ale u nich wszystko zaczęło się od dziecka, u mnie i Martiny jest inna sytuacja.

Trzymając filiżankę kawy w rękach, przechyliłam głowę.

– Boisz się, że odrzuci oświadczyni?

– Nie boję się, nie odrzuci – zaprotestował od razu z pewnością.

– To o co chodzi?

– Po prostu... – Dylan uniósł na mnie spojrzenie. – Co, jeśli powie „nie”?

– Dylan, poznaliście się, gdy mieliście po ile, dwanaście lat? Byliście razem z przerwami przez ponad połowę swojego życia. Od lat tworzyacie pełnoprawny związek. Kochacie się i jakimś cudem oboje ze sobą wytrzymujecie. – Odchyliłam się na krzesło, kręcąc z uśmiechem głową. – Jak dla mnie zostaliście sobie zapisani w gwiazdach.

Dylan oparł łokcie o stół, pochylił głowę i przecesał włosy palcami.

– To laski powinny się oświadczać – burknął.

– Jeszcze czego.

– Gdyby Martina poprosiła mnie o rękę, tobym się zgodził.

– Słodziak z ciebie, Dylan, że tak się stresujesz – zachichotałam.

– Cicho, dziewczynko, wcale się nie stresuję. Wkurza mnie to wszystko i tyle. Bezsens z tym pierścieniem. To powinno odbywać się inaczej. Powinno być tak, że dziewczyna nie może odmówić.

– Masz rację, to dopiero byłoby fair. – Z uniesioną brwią upiłam łyk kawy.

Zamilkliśmy na chwilę, bo kelner przyniósł nam nasze zamówienia. Nawet nie zdążyłam przyjrzeć się dokładniej swojemu tostowi z ricottą, owocami, orzechami włoskimi i miodem, a Dylan już zapchał sobie usta swoim śniadaniem. Dostał gofry z kremem kokosowym i mascarpone zabarwionym limonką, także udekorowane owocami i karmelizowanymi orzechami – choć prezentowały się wyśmienicie, byłam pewna, że nie rzucił się na nie z łakomstwa, a raczej po to, by odwrócić swoją uwagę od tematu oświadczeń. Pozwoliłam mu przez chwilę rozkoszować się tym fałszywym uczuciem bez troski, a potem, gdy sama nie miałam już miejsca na ani jednego kęsa więcej, oparłam się, wzięłam łyk świeżo wyciskanego soku z pomarańczy i zagadnęłam:

– To kiedy planujesz to zrobić?

Dylan właśnie sięgał widelcem do mojego talerza w celu sprzątnięcia z niego pozostałości tosta.

– Myślałem, że może na weselu u Vince’a.

– O ja cię, tak, idealnie – ucieszyłam się.

– Nie chcę tylko, wiesz, skrócić ich blasku. Jak oświadczę się Martinie, to wszyscy będą zachwyceni nami, a nie nudnym Vince’em.

– Wiadomo, najpierw z nimi o tym porozmawiaj. Czy nie będą mieli nic przeciwko i w ogóle. Chociaż znając ich, podejrzewam, że będą ci dziękować na kolanach za to, że

odciągniesz od nich uwagę. Anji niedobrze na samą myśl o tej całej atencji, którą dostanie. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałam, szukała wymówki, by odwołać imprezę.

– No to nie wiem, może fajnie to wyjdzie. Pogadam z nimi i zobaczymy. Bo wiesz, chcę chyba to zrobić tak przy wszystkich.

– Tak, Dylan, wiemy, że ty za to z byciem w centrum uwagi nie masz problemu.

– Wiadoma rzecz.

Objęłam się ramionami i uśmiechnęłam. Zjadłam właśnie przepyszne śniadanie, które popiłam orzeźwiającym, zdrowym sokiem, wypiłam ciepłą, przyjemnie gorzką kawę w przytulnym lokalu i doświadczałam wiekopomnej chwili, w której mój często niedojrzały jeszcze braciszek robił krok w dorosłość i podejmował szalenie ważną, życiową decyzję.

– To jest wspaniały plan. Rób, jak czujesz, Dylan, i będzie super, zobaczysz.

– Ta, pod warunkiem, że przyjmie te oświadczyzny, a nie...

– Jestem pewna, że je przyjmie.

Dylan teraz zaczął bawić się sznurkiem przy kapturze swojej bluzy.

– Słuchaj, może ty mogłabyś jej coś podpowiedzieć? Albo wiem – zapytać, co by zrobiła, gdybym jej się oświadczył, tak na przykład na weselu Vince'a?

– To głupi pomysł.

– Czemu niby? Jesteście blisko i w ogóle.

– Bo od razu będzie wiedziała, o co chodzi, i nie będzie miała niespodzianki?

Dylan odetchnął i jednym haustem wlał w siebie swój sok.

– Będzie dobrze – zapewniłam go. – Hej, ona świata poza tobą nie widzi.

Nie wiem, na ile pomocna ostatecznie okazałam się Dylanowi, ale chyba nawet był zadowolony z tego, że się do mnie pofatygował. Trochę go uspokoiliam i wyciągnęłam jego myśli z mrocznych zakątków wyobraźni, w których Martina łamie mu serce.

Po śniadaniu poszliśmy na spacer nad morze i chodziliśmy bardzo długo, kilka dobrych godzin, aż znowu zgłodnieliśmy i wybraliśmy się na obiad. Tak się najedliśmy i złapało nas tak olbrzymie zmęczenie, że do domu wzięliśmy taksówkę.

Zanim zapadliśmy w poobiednią drzemkę, próbowałam wygonić Dylana do salonu na kanapę, ale moje ogromne łóżko w sypialni było zbyt zachęcające, dlatego bezceremonialnie się na nie wepchnął. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko ułożyć się obok niego i przygotować się do dżgania go za każdym razem, gdy chrapnie za głośno.

Obudziliśmy się bardzo późnym popołudniem. Dla rozrywki postanowiliśmy wybrać się do kina na jakiś film akcji. Wcześniej musiałam odwołać swoje plany na ten wieczór, ale zrobiłam to bez żalu. Gdyby bardzo mi zależało na wyjściu do baru ze znajomymi, tobym im zapowiedziała, że biorę Dylana ze sobą. A żaden byłby to problem, bo moich braci wręcz wielbiono w kręgu moich znajomych. Naprawdę, chłopcom udało się zachować aurę monetowskich gwiazd nawet na długo po skończeniu szkoły. Lśnili zawsze i wszędzie, a ludzie lgnęli do nich, jakby w nadziei, że znalezienie się w tym blasku z jakiegoś powodu miałyby rozwiązać wszystkie ich problemy.

Gdy przyjeżdżali zapowiedziani i na dłużej, czasami zabierałam ich na spotkania. Zwłaszcza że moi znajomi często dopytywali, kiedy wyjdziemy razem. Dziś nie czułam takiej potrzeby. Dylan przyjechał na moment, a jutro już planowaliśmy wrócić razem do Stanów. Nie było czasu na imprezki.

Zamiast tego po kinie sami we dwójkę poszliśmy na piwo.

– Dla ciebie soczek – zadrwił najpierw.

Należy zrozumieć, że był to jeden z firmowych żartów Dylana, który prawdopodobnie nigdy miał mu się nie znudzić. Wiedziałam już, że nieważne, ile będę miała lat, czy dwadzieścia dwa, jak teraz, czy pięćdziesiąt – on już zawsze będzie żartował sobie ze mnie i moich doświadczeń z alkoholem. Niezmiernie go to bawiło, aż do przesady, co więcej, bawiło to wszystkich moich braci, co uważałam za lekką żenadę, ale w tej kwestii nie brano mojej opinii pod uwagę.

Uniosłam na niego brew i zapytałam:

– Mam przypomnieć, kto ostatnio nawalił się tak, że położył się na chodniku w samym centrum Madrytu, oglądał gwiazdy i bełkotał coś o Wielkim Wozie?

– A ja mam przypomnieć, kto wtedy leżał obok mnie i kłócił się, że to jakaś Niedźwiedzica?

Zachichotałam na wspomnienie naszej ostatniej imprezy. Dylan, choć teraz mieszkał z Martiną w Nowym Jorku, często bywał w Hiszpanii, zwykle w Madrycie, gdzie zostawili sporą garść znajomych z czasów studenckich, latali też regularnie na Kanary w odwiedziny do rodziny Martiny, no i przy okazji do Blanche, a także często wpadali do Barcelony, do mnie. Poza tym Dylan pomagał Vincentowi w prowadzeniu biznesu i najlepiej z nas wszystkich władał językiem hiszpańskim (do niedawna, bo

szybko go w tej umiejętności dogoniłam), toteż okazywał się mu bardzo pomocny, przynajmniej przy niektórych interesach.

W każdym razie w Hiszpanii pojawiał się co rusz, bardzo często z Martiną, a wtedy, niesieni hiszpańskim klimatem, prawie każdą taką ich wizytę wieńczyliśmy wyjściem i imprezą. Przynajmniej jedną.

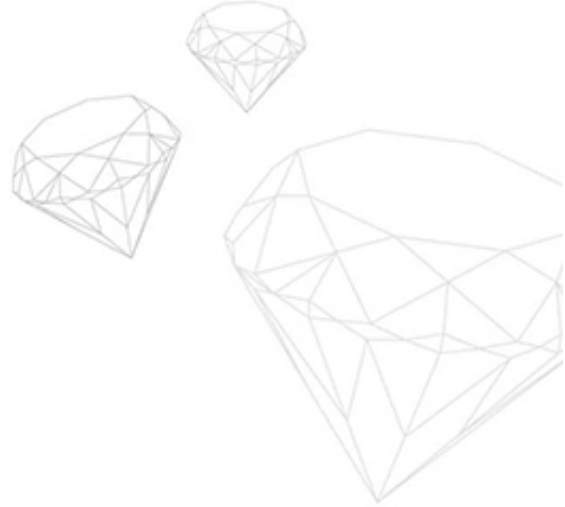
Bo tego, że nie korzystamy z życia, zarzucić nie mógł nam nikt.

Następnego dnia lecieliśmy już razem do Ameryki. Gdy rodzina Vincenta się rozrosła, kupił drugi samolot, ale że wszyscy Monetowie wiecznie gdzieś latali, czasami trudno było się na jakiś załapać. Tym razem jednak już dawno zarezerwowałam sobie ten lot, bo miałam podróżować z Daktylem i nie wyobrażałam sobie trzymać go w transporterze pod fotelem w samolocie komercyjnym przez tyle godzin. Albo, co gorsza, oddać go gdzieś do luku bagażowego.

Za każdym razem, gdy lądowałam w Stanach, czułam przyjemne ciarki. Tu był mój dom i nieważne, ile siedziałam w Barcelonie i jak bardzo kochałam Hiszpanię oraz ogólnie Europę. Tutaj wiedziałam, że w Pensylwanii stoi Rezydencja Monetów, aktualnie zamieszkiwana przez Vincenta, Anję i dwójkę najśladzszych maluchów pod słońcem. Dom.

Miejsce, w którym każdy z rodzeństwa Monetów mógł czuć się swobodnie. Do którego zawsze mogliśmy wrócić, gdzie mogliśmy odetchnąć, zatrzymać się, a także odnaleźć się, w razie gdybyśmy się pogubili.

A kiedy w tym samym czasie zjeżdżaliśmy się tu wszyscy, spędzaliśmy kolejne niezapomniane wspólne chwile. Byłam bardziej niż gotowa na przeżycie następnych.



TOPIĆ SERCE

Przyjechał po nas szofer. Vincent w ostatnim czasie zaczął intensywnie korzystać z usług prywatnych kierowców, którzy sprawdzali się zwłaszcza teraz, gdy miał małe dzieci, a Anja chciała wybrać się gdzieś z nimi sama.

Kiedy brama wjazdowa prowadząca na teren Rezydencji Monetów się otworzyła, uśmiechnęłam się szeroko. Nasz jesienno-zimowy ogród i zachmurzone niebo witały nas raczej w ponurym stylu, ale nie mogło mnie to mniej obchodzić, bo oto właśnie zaraz miałam przekroczyć próg domu.

Dylan by się za Chiny do tego nie przyznał, ale widziałam, że i jemu drżą kąciki ust.

– Halo, halo! – zawołał, gdy weszliśmy do holu.

Kucnęłam, by wypuścić na wolność Daktyla, który mimo że znał rezydencję bardzo dobrze, to zawsze, gdy tu wracał po przerwie, potrzebował trochę czasu, by na nowo oswoić się z otoczeniem. Do tego momentu miał nie odstępować mnie na krok i tak było i tym razem, kiedy wraz z Dylaniem rozglądaliśmy się po podejrzanie cichym domu.

Kiedyś, gdy tu mieszkałam z moimi pięcioma mrocznymi braćmi, przeważnie było spokojnie, przynajmniej tak z wierzchu, ale od kiedy Vincentowi urodziła się dwójka dzieci, okazjonalnie dało się tu słyszeć płacze, a czasem nawet krzyki, które mój najstarszy brat potrafił uciszyć jednym surowym spojrzeniem.

– Hailie i Dylan! – zawołała Eugenie, wyciągając do nas ramiona, wcześniej wytarłszy dłonie o fartuch. Wyjrzała z kuchni i natychmiast rozpromieniła się na nasz widok.

– Co, nikogo nie ma w domu? – zdziwiłam się, gdy wymieniliśmy z nią uściski.

– Vincent jest w gabinecie, pewno zaraz zejdzie. A Anja zabrała dzieci na zajęcia. Wrócą niedługo – odparła Eugenie, a potem, zerknąwszy kątem oka na Dylana, który zaglądał do kuchni, dodała: – Szykuję kolację, ale jeśli jesteście głodni już teraz, to ja wam coś na szybko zrobię, co?

– Byłoby wspaniale – powiedziałam, kierując się jednocześnie do szafki, która zawsze przed moim przyjazdem zaopatrywana była w zapasy kociej karmy. Daktyl kleił się do mojej łydki, z nadzieją wyciągając pyszczek.

Nagle rozległo się głośne parsknięcie Dylana.

– To jest Vincent? – zapytał. Wskazywał na wiszący na lodówce rysunek, jeden z wielu.

– Lissy chodzi na zajęcia artystyczne i bardzo ją tam chwalą. Ma prawdziwy talent – powiedziała Eugenie z dumą. – Mieli namalować rodziców. Spójrz tylko na te szczegóły i pomyśl, że to praca czterolatki.

– O tak, to prawdziwe dzieło sztuki – mruknął Dylan, wyciągając telefon, by zrobić zdjęcie, a ramiona aż mu drżały z nieudolnie tłumionego chichotu.

Moje też zaczęły, gdy zobaczyłam obrazek. Były to dziecięce bazgrołki, ale fakt, może nie najgorsze jak na czterolatkę. Lissy pomyślała, żeby ubrać Vince'a w garnitur i założyć mu sygnet na palec. Zachichotałam szczególnie na widok jego srogiej miny i nastroszonych brwi. Tworzyły zabawny kontrast z uśmiechniętą podobizną Anji widoczną obok.

Eugenie uniosła brew na widok naszych głupich uśmiechów, ale nie skomentowała ich, a i my nie zamierzaliśmy na głos krytykować zdolności artystycznych naszej czteroletniej bratanicy.

Zasiedliśmy przy stole jak kiedyś, objadając się szybką przekąską, którą przyszykowała gosposia, gdy wreszcie dołączył do nas Vincent. Odłożyłam kanapkę na talerz, by go jak najszybciej wyściskać. Odwzajemnił mój czuły gest i nawet lekko się uśmiechnął, choć Vince miał to do siebie, że jego wiecznie skupiona i groźna mina raczej się nie zmieniała, nawet gdy po okresie rozłąki witał się ze swoim ukochanym przecież rodzeństwem.

- Jak tam, tatuśku? Stresik? – zagadnął go Dylan, gdy też już się objęli.
 - Ten ślub to zwykła formalność – odparł obojętnie Vince, zajmując jedno z krzeseł, to obok mnie.
 - Jakiś ty romantyczny – skomentowałam.
 - Nie mam być romantyczny – uciął i skinął na mnie głową. – U ciebie wszystko w porządku? Nie potrzebujesz większego mieszkania?
 - Vince, jest idealne. Wiesz przecież, że nie chcę mieszkać w żadnym molochu.
 - Ma zajebisty taras – dorzucił Dylan.
 - Mhm, a jak studia?
 - Mikrobiologia medyczna to mój nowy znienawidzony przedmiot.
 - Mówiłaś, że zdasz bez problemu – wtrącił Dylan.
- Wywróciłam oczami.
- Oczywiście, że zdam bez problemu.
 - Czy przemyślałaś sobie naszą ostatnią rozmowę? – zapytał Vince, uważnie się we mnie wpatrując.
 - Hm? – mruknęłam wymijająco.
 - Czy zastanawiałaś się nad przeniesieniem się do Stanów?
 - Nie wiem... – westchnęłam, zerkając w bok.
 - Co, przenosisz się z powrotem do Stanów? – zdziwił się Dylan.
 - Nie wiem... – powtórzyłam. – Ale na pewno rozważam wakacyjny staż w Nowym Jorku.
 - Hailie ma ogromny potencjał. Jest jedną z najlepszych studentek na roku. W związku z tym chciałbym, żeby rozwijała się na odpowiedniej uczelni. Najlepszej – powiedział Vince, praktycznie ignorując moje słowa.
 - Uniwersytet w Barcelonie trzyma naprawdę wysoki, wysoki poziom – zauważyłam.
 - Tak. – Vince skinął głową. – Ale nie wyższy niż Harvard, Uniwersytet Johna Hopkinsa lub chociażby Uniwersytet Pensylwanii.
 - Wiem, wiem, ja tylko... mam jakiś taki sentyment do Barcelony... i chyba na razie dobrze mi tam – wymamrotałam, bawiąc się szklanką.
 - Możesz mieć sentyment do Barcelony, mieszkając w Bostonie, Baltimore lub Filadelfii.
- Dylan parsknął.

– Dobra, tatuśku, przyznaj się, że po prostu tęsknisz za małą siostrzyczką i chcesz mieć ją blisko.

– Chcę dla naszej siostry tego, co absolutnie najlepsze, tylko i wyłącznie – syknął chłodno Vince.

Otwierałam usta, żeby załagodzić naszą małą dyskusję, ale okazało się, że nie ma takiej potrzeby, bo w tej samej chwili w przedpokoju rozległ się harmider obwieszczający przybycie do rezydencji co najmniej kilku osób.

A dokładniej Anji, dwójki dzieci oraz towarzyszących im dwóch niań. Jedna z nich wołała Lissy, która z pełną premedytacją ją zignorowała i wpadła do kuchni.

– Ciocia Hailie! – zawołała z piskiem.

Daktyl, który wciąż czaił się w pobliżu, czmychnął gdzieś w bok.

– Moja Lissy! – Odsunęłam się z krzesłem, by dziewczynka mogła bez przeszkód wbiec w moje rozpostarte ramiona.

Niania przystanąła w progu kuchni i splotła z zakłopotaniem ręce. Nikt na nią nie zwrócił szczególnej uwagi, bo całą pochłaniała Lissy, która radością wypisaną na buzi zarażała wszystkich wokół.

– A wujek Dylan to co, duch? – zapytał Dylan z udawanym oburzeniem.

Lissy zachichotała i nachyliła się do niego, by podarować mu wyczekiwanego przytulasa, szybko jednak wróciła do mnie. Od małego wiedziała, że w tym domu my, kobiety, musimy trzymać się razem.

Poza tym Dylan odwiedzał rezydencję znacznie częściej niż ja, co mógł robić, od kiedy zamieszkał w Nowym Jorku oraz od kiedy poza więzami rodzinnymi zaczęła łączyć go z Vince'em również praca.

Zdjęłam z głowy Lissy czapkę, spod której rozsypały jej się blond włoski, a potem odwiązałam szalik. Podałam je niani, która od razu podbiegła do mnie, by je przejąć i odłożyć do szafy, a za chwilę wróciła po kurtkę i buty. Vincent przyglądał się temu, jak jego córka obsługiwana jest przez nas przy kuchennym stole, i nie wyglądał na zachwyconego tym brakiem dyscypliny, ale jednocześnie przymykał na niego oko, bo nikogo nie upomniął, że tak się nie robi.

– Dzień dobry – przywitała się Anja, wkraczając do kuchni z drugim dzieckiem, tym razem chłopcem posadzonym na jej biodrze i przytulonym do jej boku. Mały trzymał głowę na ramieniu swojej mamy i trochę chował twarz w jej włosach, speszony pojawieniem się znikąd tylu osób.

Oczywiście nie obyło się bez westchnień zachwytu w moim wykonaniu, jaki to mój bratanek jest już duży. Porwałabym go od razu na ręce, gdyby nie to, że na moje kolana wdrapała się szukająca uwagi Lissy. Ją także chętnie objęłam.

Nie wiem, jak Vince był w stanie patrzeć na swoją przyszłą żonę i dwójkę najśladzich dzieci we wszechświecie z tak spokojną twarzą. Ja na jego miejscu roztopiłabym się już dawno i zostałaby po mnie jedynie kałuża pod stołem.

– Martwię się, że Michi się rozchoruje – wyznała Anja, przyglądając się z niepokojem twarzy syna. – W aucie kilka razy kichnął.

– Chyba ktoś tu szuka wymówki, żeby odwołać wesele – zarechotał Dylan.

– Chciałabym, żeby to było takie proste – burknęła i poprawiła sobie chłopca na biodrze. – Nancy, zagrzejesz mleko?

– Oczywiście. – Jedna z niań natychmiast wzięła się do roboty, przy okazji gruchając do małego Michaela: – Nic mu nie będzie, to silny chłopiec, prawda?

– Oboje wyglądacie, jakbyście nie chcieli tego wesela – powiedziałam, zerkając to na Vince'a, to na Anję. – Czy naprawdę jest ono konieczne?

– Świetne pytanie – pochwaliła mnie Anja i zerknęła na swojego przyszłego męża, unosząc brew. – Vince odpowie.

On odchrząknął.

– To już zostało przedyskutowane. Tradycją jest, że członkowie Organizacji pobierają się w sposób formalny. Główne cele uroczystości to oficjalne przedstawienie żony i zarazem przypieczerowanie jej nietykalności. – Zamilkł na chwilę. – I tak zwlekaliśmy z tym tak długo, jak się dało.

– Anja, jako matka twoich dzieci i tak zalicza się do grona osób nietykalnych – zauważyłam.

– Zalicza się, ale publiczny ślub to ścieżka, którą dla świętego spokoju życzyłbym sobie, żebyśmy podążyli.

– Czyli co, zjadą się wszystkie dziady z Organizacji? – zapytał Dylan.

– Nie tak to działa – odparł Vince. – Będą tylko ci, z którymi współpracujemy najbliżej.

– I całe szczęście – mruknęła Anja.

– Czy to aktualne, że bliźniacy i Will też przyłecą już dziś? – zagadnęłam, głaszcząc Lissy po włosach za to, że była tak cierpliwa i grzeczna, choć widocznie powoli się

nudziła rozmowami dorosłych. Rzadko zdarzało mi się widzieć tak dobrze wychowane dziecko, ale z drugiej strony niczego innego nie spodziewałabym się po córce Vincenta.

Teraz jej oczy rozszerzyły się z ekscytacji na wspomnienie o reszcie jej ulubionych wujków.

– Wysłali selfie z samolotu na grupę, co, nie widziałaś? – parsknął Dylan. – Tony wyszedł jak przychlast.

– Co to jest przychlast? – zapytała Lissy.

– Tak się mówi, jak ktoś ma krzywy ryj – wyjaśnił.

– Dylan – syknęłyśmy jednocześnie z Anją.

Vincent położył dłoń na ramieniu swojej zdeorientowanej córki i pokręcił ledwo zauważalnie głową.

– Tak się nie mówi, nie powtarzaj tego.

– A Martina przyjedzie jutro, prawda? – zapytałam.

Dylan skinął głową.

– Dużo ostatnio pracuje.

– Fajnie, że się spełnia.

– Moim zdaniem bierze sobie na głowę za dużo projektów.

– To jej pierwsi klienci, to normalne, że chce dobrze wystartować – wtrąciła się Anja.

– Zazdroszczę jej. Też już chciałabym zacząć robić coś... znaczącego – wyznałam.

– Twoja praca dla fundacji jest bardzo znacząca – zapewniła mnie moja przyszła bratowa.

– Niby tak, ale...

– Skup się na studiach – powiedział do mnie Vincent. – Teraz to one powinny być twoim priorytetem.

– No przecież są... – mruknęłam, wzdychając cicho i porzucając ten temat.

Lata minęły, a Vincent nie przestał być Vincentem i już się do tego przyzwyczyłam. Nie oznacza to jednak, że powstrzymywałam się od psioczenia na niego w swojej głowie, gdy mnie irytował.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale teraz życie Vince'a i Anji, mimo że posiadali aż dwie nianie do dyspozycji, odczuwalnie podyktowane było rutyną ich dzieci. Anja martwiła się o Michiego, który kichnął jeszcze raz czy dwa. Gdy prawie zasnął jej na rękach, zmęczony po całym dniu, wzięła butelkę i opuściła nas

w towarzystwie opiekunki. Już jej tego wieczora nie zobaczyliśmy – podobno położyła dziecko i sama zasnęła u jego boku.

Lissy okazała się twardszym orzechem do zgryzienia. U niej zmęczenie objawiało się w inny sposób, bo zaczęła psocić. Widać było, że powieki jej ciężą, i często ziewała, ale gdy Dylan złośliwie jej to wytykał, zapierała się, że nie chce spać.

Dobrze siedziało nam się w kuchni, więc się z niej nie ruszaliśmy. Lissy chodziła do swojego pokoju zabaw w towarzystwie niani i przynosiła nam do pokazania swoje najnowsze zabawki, a gdy chciała iść po kolejne, Vincent upominał ją, by najpierw odniosła poprzednie na miejsce. Zawsze gdy tu byłam, lubiłam obserwować relację mojego najstarszego brata z jego dziećmi. Miałam wrażenie, że – o ile to w ogóle możliwe – stał się kompletnie nowym sobą i jednocześnie nie zmienił się w ogóle.

– Usiądź prosto – pouczył Vince swoją córeczkę, gdy Eugenie podała nam kolację.

Lissy do tej pory krążyła po całej kuchni i co chwila zmieniała osobę, na której kolanach chciała się sadowić, ale teraz powiedziano jej, że do jedzenia ma usiąść na własnym krześle. Miała na nim ułożone specjalne poduchy, które umożliwiały jej dotknięcie do blatu.

Dziewczynka posłuchała, ale tylko na chwilę, bo zaraz znowu się zgarbiła i bez entuzjazmu zmierzyła wzrokiem miskę, którą ojciec właśnie podsunął jej pod nos.

– Wyprostuj się, Lindsay – powtórzył, zerkając na nią znacząco.

Lissy pozwoliła sobie na westchnięcie, ale faktycznie się wyprostowała i sięgnęła po łyżkę.

– Gorące – poskarżyła się.

– Więc nabieraj małe porcje i podmuchaj – instruował ją cierpliwie Vincent.

Zrobiła, jak kazał, ale już po pierwszym kęsie znowu odłożyła łyżkę, a potem odetchnęła i wystarczył moment, by ponownie się rozkojarzyła, wykręciła i spłynęła z krzesła w dół.

Vince przymknął powieki, a ja z Dylaniem zagryźliśmy usta, byle nie wybuchnąć śmiechem.

– Ciociu Hailie, a mogę ci coś pokazać?

– Co takiego? – zapytałam, chichocąc.

– Teraz, Lindsay, wrócisz na miejsce i dokończysz kolację – odezwał się twardo Vincent. – To już nie pora na zabawę.

Iskierki podniecenia w błękitnych tęczęwkach Lissy zgasły.

- Tylko coś jeszcze przyniosę – jęknęła błagalnie.
- Nie ma zabawek przy kolacji, wiesz o tym doskonale.

Świdrujące spojrzenie Vince'a wystarczyło, żeby dziewczynka wsunęła się z powrotem na swoje krzesło.

- Daj spokój, możesz zrobić wyjątek – powiedziałam, patrząc na niego znacząco.
- Lindsay wie, skąd się wzięła ta zasada, nieprawdaż?

Lissy pokiwała niechętnie głową.

– Jesteś straszny – szepnęłam do Vince'a, a on wzruszył ramionami, bębniąc palcem w brzeg jej miski. Nachyliłam się do niej i mruknęłam: – Jeszcze mi wszystko pokażesz, hm? Zostanę tu trochę, więc będziemy miały dużo czasu, żeby się bawić.

- Tak to zwykle jest, że ojcowie to nudziarze – dorzucił Dylan, mrugając do małej.

Lissy uśmiechnęła się do nas ukradkiem, a po chwili, gdy wróciliśmy do rozmowy, znowu zmęczyła się jedzeniem i siedzeniem w miejscu, więc podwinęła kolana pod brodę. Szybko je spuściła, bo chyba przypomniała sobie, że siedzi obok Vince'a, który co rusz na nią zerka.

A potem jednak o tym zapomniała, bo odchyliła głowę, przetarła opadające powieki, a potem wbiła wzrok w sufit i ona jedyna wie, co tak absorbującego na nim zobaczyła, że Vince musiał powtórzyć jej imię trzy razy, by wyrwać ją z transu.

Z Dylanem próbowaliśmy jej pokazać, jak sami zjadamy się kolacją, żeby zachęcić ją do naśladowania, ale to nie zadziałało. Potem Eugenie coś do niej pogruchała, a następnie dołączyła do niej jedna z nian, która została z nami w kuchni. Wiem, że praca tej kobiety na pewno jest bardzo wymagająca, ale przez większość czasu zdawała się beczynnie przy nas sterczeć, onieśmielona chyba nieco naszym towarzystwem.

– Ale Lissy, ty jesz tyle, co kurczaczek – mówiła do niej Eugenie, kręcąc ze zmartwieniem głową. – Obiad też ledwie co ruszyłaś.

Lindsay wydała z siebie sfrustrowane westchnięcie godne czterolatki.

– Chociaż troszeczkę, co? – proponowała niania, a dziewczynka znowu odchyliła głowę i chyba zaczynała mieć dosyć tych nagabywań, bo wreszcie wydała z siebie pełen protestu pisk, a potem fiknęła nogami, które z powrotem nie wiadomo kiedy podwinęła pod brodę. Zrobiła to tak szybko i zwinnie, że nikt nie zdążył zareagować, gdy stopą zahaczyła o miskę.

Część ostudzonej już na całe szczęście zawartości wylała się na nią, część na ziemię, ale oberwało się też śnieżnobiałej koszuli Vincenta.

Nasz najstarszy brat ewidentnie irytował się coraz bardziej wraz z każdą kolejną próbą poradzenia sobie z marudną córką, ale aktualnie miarka się przebrała, bo odsunął swoje krzesło i wstał. Nie zrobił tego przesadnie gwałtownie, ale dało się wyczuć, że się wkurzył.

Cmoknąwszy językiem, machnął ręką i zwrócił się chłodno do niani:

– Zabierz ją, proszę, na górę, przebierz i natychmiast połóż do łóżka.

Potem stanął przed kuchennym blatem, odwrócony do nas plecami, i zaczął luzować sobie krawat, gdy niania podnosiła z krzesła Lissy, która jak na zawołanie wybuchła płaczem. Zmiana nastrojów w kuchni nastąpiła tak szybko, że z Dylanem gapiliśmy się oniemieli na to, jak niania znika na schodach z naszą wrzeszczącą, brudną bratanicą na rękach, a Eugenie przylatuje do stołu ze ścierką i jakimś środkiem czystości, mrużąc, że biedna Lissy jest po prostu bardzo śpiąca.

– Zrobiła to niechcący – zgodziłam się łagodnym głosem i wstałam, by podać ręczniki papierowe.

– Gdyby się tak nie kręciła, to nic by się nie stało. – Vince odrzucił krawat na bok i zabrał się za rozpinanie guzików koszuli.

– To dzieciak, Vince, wiadomo, że trudno usiedzieć jej na tyłku – mruknął z rozbawieniem Dylan.

– Tak, jednak nie oznacza to, że będę ignorować to, że jest nieposłuszna. Zupa mogła być gorąca.

Wywróciłam oczami, a Dylan gwizdnął, bo nasz brat właśnie odwrócił się, żeby przewiesić poplamioną koszulę przez oparcie krzesła.

– No, no, trzymasz formę, tatusiu, szacunek.

Vincent rzucił mu mroczne spojrzenie, a ja zaśmiałam się głośno, choć w rzeczywistości musiałam przyznać, że to była prawda – Vince dobrze się trzymał. Nic dziwnego, w końcu w naszej rodzinie każdy o siebie bardzo dbał.

Kolejnym na to dowodem byli cali, zdrowi i atrakcyjni jak zawsze bliźniacy oraz Will, którzy zjawili się w rezydencji późnym wieczorem. Narobili hałasu i zamieszania, a ja ściszałam się z nimi tak długo, że aż zdrętwiały mi ramiona.

I nagle stało się – całą szóstką siedzieliśmy w salonie. Nawet gdyby ktoś miał nam zapłacić, nie potrafilibyśmy udawać, że takie momenty nie cieszą nas jak nic innego. Te czasy, gdy się tak pięknie jednoczyliśmy. One zawsze sprawiały wrażenie czasów

idealnych, wtedy wszystko było tak, jak być powinno. Ładowaliśmy baterie miłością i bliskością, jaką się po cichu i niedemonstracyjnie nawzajem obdarowywaliśmy.

– Dla Hailie soczek – rzucił Shane, gdy Dylan podawał wszystkim piwa.

Każdy z braci się zaśmiał, a ja ledwo się powstrzymałam od klepnięcia się w czoło. No przecież co za idioci.

Dostałam jednak swoje piwo i sączyłam je oparta o ramię Tony'ego, z nogami na Shanie. Celowo usadowiłam się między nimi, bo najbardziej chciałam posłuchać o ich wspólnej wyprawie do Azji, z której właśnie wrócili.

– To była bajka, takie odcięcie się od świata. Zresztą widzieliście zdjęcia na grupie – mówił Shane.

– Na grupie to widziałem tylko pytania od Hailie, czy żyjecie – mruknął Dylan.

– Martwiłam się! A wy mieliście się odzywać codziennie.

– Kumasz, że nie zawsze było jak złapać internet? – Tony wywrócił oczami.

– Nie interesuje mnie to.

– Jakie macie plany na teraz? – zagaił ich Vince, który jako jedyny zamiast piwa popijał whisky.

Tony wzruszył ramionami, a Shane zamyślił się na chwilę.

– Może Ameryka Południowa?

– Podróżnicy się znaleźli – parsknął Dylan.

– To zajebista zabawa.

– Nie możecie podróżować po miejscach, w których zawsze będziecie mieli zasięg? – westchnęłam, oczami wyobraźni widząc, jak znowu będę drzeć o życie swoich najmłodszych braci.

– Wtedy zabawa jest mniej zajebista.

– Mhm, w pewnym momencie zabawa będzie musiała się skończyć – przypomniał im Vince.

Will go szturchnął.

– Daj im się wyszaleć.

– Daję. Szaleją cały czas.

– Nawet podoba nam się w Miami. Jak coś, to póki co najszybciej zatrzymamy się właśnie tam – powiedział Shane.

– O, no, w wykurwistej willi Willa – dorzucił Tony.

– Zawsze jesteście mile widziani, jak tylko obiecacie po sobie sprzątać – zastrzegł Will z kpiącym uśmiechem. – Inaczej Harrison z wami oszaleje.

– Właśnie, co z Harrisonem? – zagadnęłam. – Dlaczego nie przyleciał z wami?

– Dziś miał jeszcze ważne spotkanie, nie mógł się wyrwać. Doleci do nas jutro, do Vegas.

Na twarzach chłopców zagościły diaboliczne uśmiechy, tylko Vince zamknął oczy i westchnął.

– Wy to lepiej uważajcie w tym Vegas – warknęłam na nich.

– Nie bój nic, mała Hailie, to nie pierwszy raz, jak twoi bracia się uchleją – odparł Shane, klepiąc mnie po łydce.

– To lepiej wy się pilnujcie, co? – burknął Dylan.

– O co ci chodzi? – Nastroszyłam brwi.

– Martina coś gadała, że Maya ściąga wam na panieński striptizera.

– O, naprawdę? – zainteresowałam się.

– Słucham? – wtrącił Vince, od razu otwierając oczy, by świdrować nas spojrzeniem.

– E, jaki striptizer niby? – Shane zmarszczył brwi, a Tony skrzywił się i nawet uniósł głowę.

– No ja też bym chciał wiedzieć – warknął Dylan, gotowy, by się nabuzować, jakby zapomniał, że już wystarczająco się za tę rzecz nawściekał.

– Uspokój się, pewnie Martina ci tak powiedziała, żeby cię sprowokować – mruknął Will, choć nie wydawał się przekonany.

Wszyscy bracia nagle spojrzeli na mnie i wiem już, co sobie myśleli. Wyobrażali sobie swoją małą siostrzyczkę, za jaką mnie wciąż mieli, oglądającą, jak jakiś napakowany tancerz stopniowo zrzuca z siebie ubrania. Dylan na dodatek widział tam obok Martinę, a Vincent – swoją przyszłą żonę i matkę swoich dzieci.

Zachichotałabym, gdybym nie zobaczyła Lissy, która właśnie zajrzała do salonu. Natychmiast skupiłam na niej swoją uwagę. Podniosłam się, zaalarmowana, że coś się stało. Chłopcy podążyli za moim spojrzeniem.

Lissy stała w progu w piżamce, miała rozczochrane włosy i ewidentnie wciąż znajdowała się w półśnie. Mrużyła i tak niemal zamknięte oczy; raziło ją światło, mimo że w salonie praktycznie panował półmrok.

– Hej, piękna, co jest? – zapytał Dylan uroczo łagodnym tonem. Z jakiegoś powodu akurat stał, może po to, żeby sięgnąć po kolejną butelkę piwa. W każdym razie znajdował się najbliżej dziewczynki, więc kucnął i wyciągnął do niej wolną dłoń. – Wszystko okej?

Zachęcona tym gestem Lissy ruszyła w jego stronę. Nie płakała, ale na jej zaspanej twarzy malowało się pewnego rodzaju przejęcie, jakby coś ją zaniepokoiło.

Widok córeczki Vincenta, tak bezbronnej i kruchej, obudził we mnie ogromnie silne emocje. Pragnęłam podbiec do niej, porwać ją w ramiona i chronić przed absolutnie każdym złem tego świata. Chciałam zrobić coś, by się uśmiechnęła, by była szczęśliwa. Totalnie zaskoczyłam tym samą siebie. A co najlepsze, z twarzy moich braci mogłam wyczytać, że targają nimi te same uczucia.

Uświadomiłam sobie, że to jest jednocześnie wada i zaleta związana z przynależnością do naszej rodziny. Wszyscy byliśmy do siebie tak przywiązani, że niemal od siebie uzależnieni.

Lissy musnęła rączką wielką dłoń Dylana, ale nie zatrzymała się przy nim, bo jej wzrok natrafił na siedzącego na kanapie Vincenta. Od razu stało się jasne, że to do niego chciałyby się przytulić. Chwiejnym krokiem zbliżyła się do ojca, a on obserwował ją, nie zmieniając kamiennego wyrazu twarzy.

Nagle oparła się tułowiem o brzeg kanapy i wyciągnęła do niego obie ręce.

Wszyscy bez wyjątku patrzyliśmy na Vince'a poruszeni i w pełnej gotowości do ukatrupienia go, w razie gdyby zdecydował się odrzucić niemą prośbę swojej córeczki. Był w końcu okropnie pamiętliwy, a dziś przy kolacji nieźle go zdenerwowała.

Nawet on nie potrafił być jednak ślepy na urok małej Lindsay, bo nadal poważny, odstawił na bok szklankę z whisky i nachylił się, żeby podnieść dziecko i usadzić je sobie na kolanach.

Głowa dziewczynki natychmiast opadła na jego pierś, a on objął jej drobne ciało swoim ramieniem. Lissy od razu zamknęła oczy, jakby dostała dokładnie to, czego potrzebowała, i teraz mogła już spokojnie zasnąć.

Will podał Vince'owi kocyk, który leżał złożony gdzieś obok, a którym teraz obaj opatulili Lissy. Następnie Vince ponownie sięgnął po swoją whisky i powoli wróciliśmy do rozmowy. Dziewczynka nie przebudziła się już ani razu, nawet gdy wybuchaliśmy głośnym śmiechem.

Czasami zerkałam ukradkiem na Vincenta i jedyne, o czym potrafiłam myśleć, to słowa naszego ojca, które kiedyś do mnie wypowiedział. Te, w których wyraził szczerą nadzieję, że Vince będzie miał kiedyś dzieci.

„Bo kto inny będzie topić jego serce, gdy ty już dorośniesz?”



Gdzieś około północy pożegnałam się z braćmi. Zanim jednak zdążyłam złapać Daktyla pod pachę i udać się wreszcie do swojej sypialni, w korytarzu zatrzymał mnie Dylan.

– Ej, dziewczynko, mam małą prośbę.

– Tak?

– Możesz to dla mnie przechować?

Spojrzałam na to, co trzymał w ręku.

– Pierścionek? – zapytałam, marszcząc brwi.

– Nie chcę brać go ze sobą do Vegas, a gdziekolwiek schowam go w swojej sypialni, to będę miał schizę, że Martina go znajdzie.

Pokiwałam głową.

– Niech będzie.

– Dziękuję. – Skrzywiłam się, gdy na odchodne potarł mi włosy. – Dobranoc, mała siostrzyczko.

– Dobranoc, Dylan.

Vince dbał, by moja sypialnia pozostała nienaruszona, żebym zawsze miała w rezydencji swoje miejsce. Weszłam do środka i rozrzewnionym uśmiechem rozejrzałam się wokół.

Wszystko, co potrzebne kotu do szczęścia, już się tu znalazło na moje życzenie, choć wiedziałam, że Daktyl zaraz pewnie zwinie się w kłębek na moim łóżku i spędzi tak ze mną czas aż do rana.

Zamierzałam przygotować się do snu i już nie mogłam się doczekać, gdy schowam się pod kołdrę. W głowie szumiało mi trochę od piwa, ale nie było to uczucie całkowicie mi nieznane. Żeby mu się czasem nie poddać i nie odpłynąć za szybko, skierowałam się do garderoby, by ukryć pierścionek dla Martiny.

Jak ukryć, to ukryć – sięgnęłam w czeluści szafy, szukając odpowiedniego miejsca.

A potem zaniemówiłam na chwilę, bo wyłowiłam stamtąd pudełko, schowane równie dobrze, jak ja planowałam schować pierścionek Dylana. I słowo daję, że nie pamiętałam, co w nim trzymałam. Nie było to dla mnie wtedy ważne. Nie myślałam o tym. Dopiero teraz sobie przypominałam. I nie wiedzieć czemu poczułam dziwny dreszcz. Jakbym chowała tu coś nielegalnego.

A przecież to tylko perełki.

Ukryłam je z powrotem, razem z pierścionkiem dla Martiny, próbując logicznie wyjaśnić samej sobie, dlaczego miałyby przejść mnie ciarki na widok tego dawno zapomnianego i schowanego przed światem prezentu.

Dziwne było to uczucie, bardzo niezbadane.

Tej nocy owinęłam się dodatkowym kocem i zasnęłam przytulona do Daktyla.



GŁĘBIA SZAFY

Małżeństwo mnie przeraża.

- Macierzyństwo jest straszniejsze.
- Jak to? Nie boję się swoich dzieci. A wizja spędzenia reszty dni z jednym mężem?

Brr.

– Ale coś ty, straszniejsza jest wizja spieprzenia życia dziecku niż dorosłemu facetowi.

Anja uniosła głowę i wielkimi oczami spojrzała na Mayę.

Obie leżały na brzuchu na stołach, obsługiwane przez osobiste masażystki.

– Nigdy w ten sposób nie myślałam.

– Też bym się bała, gdyby moim mężem miał być Vincent – mruknęła pod nosem Martina, z którą siedziałam w jacuzzi.

Zachichotałam pod nosem i odetchnęłam, odchylając głowę.

– Odezwała się ta, co kręci z Dylanem – zawołała do nas Maya.

Wszystkie znajdowałyśmy się w jednym pomieszczeniu – w wynajętym na weekend szalenie przytulnym domku o otwartej przestrzeni. Do niedawna mogłyśmy podziwiać przez oszklone ściany otaczający nas z zewnątrz las i jezioro, ale już się ściemniło. Zimno i mrok rozpościerające się za szybami tworzyły kontrast z przytulnym,

oświetlonym ciepłym światłem wnętrzem. Miałyśmy tu wielki kominek, wannę, ogromne kanapy i barek z nieskończoną ilością alkoholu.

– Dylan jest prosty w obsłudze, czyta się z niego bardzo łatwo – przekonywała żywo Martina. – Jak jest zły, to od razu wiadomo, jak zadowolony, to też wiadomo. Żadna jego emocja się nie ukryje. A Vincent? Mogę się mylić, bo nie znam go tak dobrze, ale sprawia wrażenie, jakby równie dobrze mógł planować twoje morderstwo, jedząc z tobą hamburgery przy jednym stole.

Wszystkie parsknęłyśmy śmiechem.

– Fakt, na początku niełatwo było z nim wytrzymać – zgodziła się Anja. – Zresztą nadal bywa ciężko.

Maya oparła brodę w zgięciu łokcia.

– Ale jest lepiej, prawda?

– Chyba tak.

– Chyba? – zapytałam, marszcząc brwi.

Martina patrzyła na nas zdezorientowana. Udało nam się stworzyć w czwórkę zgraną dziewczynską ekipę, ale partnerka Dylana wciąż nie mogła być wtajemniczana w każdy rodzinny sekret. W końcu nie nosiła nazwiska Monet. Anja też nie była Monet, jeszcze, ale mieszkała od dawna w rezydencji i dała Vincentowi dwójkę dzieci, dlatego traktowana była jak pełnoprawna członkini rodziny.

– Jest lepiej – potwierdziła. – Co było, minęło. Zrozumiałam kilka rzeczy. A Vincent też się stara. Na swój sposób, ale się stara.

– Coś się stało? – spytała Martina.

Ja i Maya milczałyśmy, nie chcąc opowiadać za Anję o jej prywatnych sprawach.

– Miałam małe załamanie. Chwilę słabości. Zaraz po narodzinach Michiego – wyznała i dorzuciła żartobliwie: – Może to jakiś szok poporodowy czy coś w tym stylu.

– To było poważne? – zmartwiła się Martina.

– Na tyle, że zrobiłam sporą głupotę – westchnęła Anja i sięgnęła po lampkę wina. Każda z nas była zaopatrzona w jedną w zasięgu ręki. – Powiedźcie jej, dziewczyny, bo aż głupio mi opowiadać.

Wciąż siedziałam cicho, przygryzając wargę, ale Maya przestała mieć opory.

– Oj no, jeny, wzięła dzieciaki i próbowała uciec – powiedziała i przewróciła oczami. – Wielkie mi rzeczy, zdarza się.

– *Madre mía*, serio? – Martina wytrzeszczyła oczy.

– Zły nastrój, kłótnia, hormony – wyliczała Anja. – Wystarczyło, by się nałożyły i coś mnie tak tknęło. Nie jestem z tego dumna.

Spuściłam wzrok na bąbelki i upiłam szczodry łyk wina.

– Miałaś prawo się wkurzyć. Monty czasem tak mnie denerwuje, że...

– Wkurzyć to jedno, ale zwiąć z dziećmi to co innego – westchnęła Anja, chowając twarz w dłoniach.

– Dokąd uciekłaś? – zapytała Martina.

– Na początek planowałam dostać się do Kanady. Zabrałam tylko najpotrzebniejsze rzeczy, bo nie udało mi się niezauważenie taszczyć po domu walizek czy większych toreb. Wsadziłam dzieciaki do auta, potem z miasta zawołałam taksówkę i dostałam się na dworzec.

– Ale co, nie dojechałaś do tej Kanady?

Upiłam kolejny łyk wina. Dobrze znałam tę historię.

– Przejechałam pociągiem czterdzieści minut, a potem mnie znaleźli.

Martina poruszyła się obok mnie niespokojnie.

– Kto cię znalazł?

– Ludzie Monetów.

Przygryzłam wargę.

– To trochę niepokojące... – mruknęła Martina nerwowo.

– Vince pewnie też się zaniepokoił, jak porwała mu dzieci. – Maya wzruszyła ramionami.

– Powinnaś być inaczej to załatwić – zgodziła się Anja. – Ale przynajmniej po tym wydarzeniu coś się ruszyło. Pogadaliśmy.

– Z Monetami nie ma łatwo. Jeśli spotykasz się z jednym z nich, to warto, żebyś o tym wiedziała – zaśmiała się Maya do Martiny.

– Oj, już bez przesady – wtrąciłam, widząc, jaką trwogę u dziewczyny wywołały słowa mojej ciotki.

– Warto też, żebyś wiedziała, że Hailie jest jedną z nich i będzie zawsze bronić braci – dodała Maya z drwiącym uśmiechem.

– Uważam, że każdy normalny rodzic na miejscu Vince'a chciałby odzyskać swoje dzieci – zauważyłam.

– Ale nie każdy ma pod sobą ludzi, którzy potrafiliby w niecałą godzinę namierzyć odpowiedni pociąg i go zatrzymać.

– Wniosek z tego taki, że gdybym kręciła z innym mężczyzną niż Dylan, to jeślibym w przyszłości chciała od niego uciec, miałabym na to większe szanse?

– Nie zrozum mnie źle, Martina – przemówiła Anja – bo to nie tak, że Vince trzyma mnie przy sobie na siłę. Kocham go, chcę z nim być. Miałam ciężki moment, takie się zdarzają, zareagowałam zbyt pochopnie. Wiesz, pchanie się do pociągu z dwójką małych dzieci? W tym z niemowlęciem? Bez pomocy? W nerwach? Idiotyzm.

– Czyli gdybyś chciała go zostawić, tobyś mogła? Odwołać ślub, wyprowadzić się? – drażyła Martina.

– Oczywiście, że by mogła – odparła Maya.

– Ale dzieci zostałyby u Vince’a – dodałam. – Taką macie umowę, prawda?

– Z dziećmi członków Organizacji jest jak z dziećmi z rodziny królewskiej. Czyli zawsze zostają w rodzinie królewskiej – potwierdziła Maya.

– Nadal nie rozumiem, o co chodzi z tą Organizacją – podłapała Martina.

Spojrzałyśmy z Mayą i Anją po sobie. Dobrze wiedziałam, co czuje Martina, będąc tak wykluczoną, ale paplanie o Organizacji z osobami spoza rodziny było surowym zakazem postawionym każdemu, kto cokolwiek o niej wiedział.

– Pewnie Dylan sam ci powie, w swoim czasie – odezwała się wreszcie Maya.

– Zawsze gdy rozmawiamy na takie tematy i pojawiają się tajemnice, to mam ciarki i zaczynam się bać – wyznała Martina i mimo że siedziała ze mną w jacuzzi wypełnionym gorącą wodą, to oplotła się ramionami, jakby było jej zimno.

– Nie masz czego. Dylan, Vince i w ogóle reszta chłopaków mają mocne charaktery, to prawda, ale nie są przecież potworami – powiedziałam zdecydowanie. – To nic złego, że zależy im na swoich dzieciach.

– Fakt, bo jakkolwiek by było, to cieszę się, że moje dzieci mają ojca, który się nimi interesuje i przez którego są naprawdę chciane – przytaknęła Anja. – Zwłaszcza że Lissy była wpadką, więc różnie mogło się to potoczyć.

Wszystkie pokiwałyśmy głowami, ale ja, widząc zamyślenie w oczach Martiny, zdecydowałam się zmienić temat. Wiedziałam, jakie plany na najbliższy czas związane z ich związkami ma Dylan, i to nie był dobry moment, by mieszać jej w głowie.

Wyszłam z jacuzzi, owijając się dużym puszystym ręcznikiem, i zamachałam pustym kieliszkiem.

– Dziewczyny, koniec wina. Myślę, że pora na coś mocniejszego.



– Pierścionek! – wyszeptałam do siebie gorączkowo i wybiegłam ze swojej łazienki do garderoby.

Kucnęłam ostrożnie, choć moja sukienka (mimo iż obcisła) nie krępowała moich ruchów, a to dzięki marszczeniom na bokach i długiemu rozcięciu. Sięgało zdecydowanie górnej części uda i eksponowało moją smagłą od hiszpańskiego słońca nogę. Opalenizna bardzo pasowała do złotej satyny, z której na zamówienie uszyta została moja suknia.

– Hailie? – zagadnęła Martina, zaglądając do mojej sypialni w najmniej pożądanym momencie.

– Martina! – wykrzyknęłam, akurat wygrzebując z czeluści szafy szkatułkę, w której dawno temu ukryłam naszyjnik z pereł, a ostatnio też pierścionek, przekazany mi przez Dylana na przechowanie. Zanim zajrzała do garderoby, zdążyłam upchnąć go pod złożony w kostkę szalik na półce obok i gdy Martina stanęła nade mną, w rękach miałam już tylko pudełko z perłami.

– Co tam masz?

– To nic. Nic, chowam to właśnie.

– Czy to biżuteria?

– M-hm.

– Mogę zobaczyć? Jej, jaki piękny! Naszyjnik z pereł!

– No.

– Cudowny. Nie zakładasz go?

– Eee... nie pasuje.

– Ale coś ty, taki naszyjnik to pasuje do wszystkiego. Szczerze mówię.

– Nie... nie sędzę. W sensie za bardzo jest... Za dużo ma tych...

– No czego?

– Kuleczek.

– Co?

– Pereł w sensie. No... Za bardzo jest. Po prostu.

Martina uniosła brew, a ja westchnęłam.

– Nie noszę go – powiedziałam. – I nie zamierzam.

– Marnuje się, leżąc w szafie – zaśmiała się, patrząc, jak nachylam się, by wsunąć go z powrotem jak najdalej na półkę.

– Tam jest jego miejsce – mruknęłam.

Wreszcie podniosłam się ostrożnie, by nie pognieść swojej kreacji. Skierowałam się do sypialni, tak żeby wyprowadzić Martinę z garderoby, jak najdalej od przekłętego pierścionka, który, znając moje szczęście, zaraz mógłby samoistnie wyskoczyć spod szalika i zepsuć Martinie niespodziankę.

Dylan by mnie zamordował.

– Pięknie wyglądasz – skomplementowałam dziewczynę.

Martina uśmiechnęła się nieśmiało, spuszczać wzrok, by omieść nim swoją czarną obcisłą sukienkę za kolano na grubych czarnych ramiączkach.

– Nikt nie pomyśli, że za bardzo wystawiam biust?

– Wcale nie wystawiasz, normalny dekolt – zaprotestowałam i przechyliłam głowę.

– I od kiedy w ogóle obchodzi cię, co kto pomyśli?

Martina, którą znałam, była pewna siebie i zdecydowana, a dziewczyna, która stała w tym momencie przede mną, przygryzała wargę i trochę jakby drżała.

– Stresuję się – przyznała cicho.

– Czym? – zdziwiłam się. – To nie ty bierzesz ślub.

No i przecież nie wiesz, że Dylan planuje ci się oświadczyć, dodałam w myślach.

– Tak, ale wiesz, to pierwszy raz, gdy jestem na takiej wielkiej imprezie, gdzie jest cała wasza rodzina i... chodzę już z Dylanem długo bardzo, ale teraz mam wrażenie, że robimy ogromny progres w naszym związku. – Martina rozejrzała się po pokoju. – Jestem w waszym domu, będę na weselu waszego najstarszego brata... Nie do tego przez lata przyzwyczajał mnie Dylan.

– Skoro cię zaprosił, to znaczy, że naprawdę chce, żebyś przeżyła to wydarzenie razem z nami – powiedziałam, złapawszy ją za rękę. – A jeśli on tego chce, to i my wszyscy tego chcemy. Jesteś tu mile widziana, pamiętaj.

– Dzięki, Hailie – szepnęła, a oczy jej się zaszkliły. – Ty też pięknie wyglądasz.

Mruknęłam do niej i pogłaskałam jej ramię.

– Tylko się nie popłacz, zniszczysz sobie makijaż.

Martina wzięła drżący wdech, a ja odeszłam na bok, bo mimo wszystko gonił nas czas i musiałam sprawdzić, czy spakowałam to, co potrzebne, do swojej kopertówki.

– To jest takie ekscytujące... – wyznała. – A właśnie, Hailie, ty i bliźniacy nie bierzecie osób towarzyszących, prawda?

– Nie bierzemy – potwierdziłam.

– Alex mi się skarżył.

Pakowałam właśnie pomadkę do ust i uniosłam głowę.

– Co ci mówił?

– Że zastanawiał się, czy go zaprosisz. I że nie zaprosiłaś. – Martina zagryzła wargi, by ukryć uśmiech.

– Rany, naprawdę? Co z nim? – Przewróciłam oczami. – Przecież wyświadczam mu przysługę. Jako moja osoba towarzysząca nie przetrwałby tego wesela.

– Taa, ale on to wiesz, zawsze jest chętny na imprezkę.

– Och, wiem o tym doskonale. – Uniosłam podejrzliwie brew i dodałam po chwili:

– Co jeszcze ci mówił?

– Pytał, czy wiem, czy na weselu będzie ktoś, kim się interesujesz.

– Nie wierzę! – wykrzyknęłam z oburzeniem. – A co go to w ogóle obchodzi?

– Nie wiem, ja tam nie rozumiem waszej relacji.

– Nasza relacja jest prosta. Miło spędzamy czas. – Automatycznie zniżyłam głos do szeptu. – Chodzimy na smaczne kolacje, odwiedzamy ulubione bary, dużo rozmawiamy, plażujemy i tyle.

– I tyle? – zadrwiła Martina.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie jesteśmy w związku.

– Wiem. Przekazuję tylko, co mówił. – Znowu wzruszyła ramionami. – Może zaczyna chcieć czegoś więcej.

Uniosłam palec, jakby to ona zasługiwała na groźbę.

– Lepiej nie... – zawiesiłam głos i opuściłam dłoń. Wzięłam też głęboki wdech, żeby się uspokoić. Na razie sprawa Alexa musi zejść na drugi tor, aktualnie dzieją się ważniejsze rzeczy.

W idealnym momencie zadzwonił Dylan, co przyjął z ulgą. Bałam się, że mężczyźni zapodzieją się w Vegas, ale on potwierdził, że są w komplecie.

Cóż, to się naprawdę ma wydarzyć.

Vincent się żeni.



GWIAZDKA

Ślub Vince'a i Anji miał odbyć się w przeszklonej altanie, dobudowanej do klimatycznego budynku, w którym mieściła się ekskluzywna restauracja, dziś wynajęta na wyłączność. Na piętrze znajdowało się kilka pokoi. Jeden z nich zajmowała Anja, którą sztab kosmetyczek, stylistek i makijażystek obsługiwał już od świtu. Inny okupowały nianie, które stały dziś przed trudnym zadaniem opieki nad nadzwyczaj podekscytowanymi dziećmi. Szczególnym wyzwaniem mieli być Lissy i Flynn, którzy dobrawszy się w duet, psocili, ile wlezie.

Jeszcze inne pokoje zajmowali panowie. Nie wiem, co za czary tam odprawiali, ale po grubo zakrapianej nocy w Vegas zdołali doprowadzić się do porządku, bo gdy spotkałam się z nimi w powoli zapełniającej się gośćmi altanie, nie mogłam ich wyglądowi niczego zarzucić.

Wszyscy w garniturach najwyższej klasy, dopieszczeni i otuleni typową dla Monetów aurą szyku i prestiżu. Lustrowałam ich wzrokiem, szukając czegoś, czego mogłabym się przyczepić, ale niczego takiego nie znajdowałam, dopóki mój wzrok nie padł na Tony'ego.

Zmrużyłam oczy.

– Co z nim?

– Zmęczony jest – mruknął wymijająco Shane.

Przyjrzałam się twarzy bliźniaka. Głowę miał lekko zwieszoną, a oczy półprzymknięte, jakby nie spał od tygodnia. Spod kołnierza białej koszuli wystawały mu tatuaże, tak jak spod mankietów, włosy miał rozczochrane, ale i celowo w ten sposób ułożone, no i pachniał mocno męską wodą kolońską, czyli też bez zarzutu. Tylko ta jego wymizerowana twarz.

Pstryknęłam palcami obok jego skroni.

– Halo, co ty, śpisz?

– Zostaw go, trzeba go posadzić na krzesło, niech siedzi.

– Co to ma znaczyć?

– Ma kaca. – Dylan wywrócił oczami. – Nic mu nie będzie.

– Serio? Ile on wypił, że jako jedyny z was ledwo kontaktuje?

– Nieważne, czasem po prostu tak bywa. Taki miał akurat dzień, że nawalił się najbardziej.

– Will, ty mi powiesz. Czy wszystko z nim okej?

Will rzucił Tony’emu spojrzenie pełne dezaprobaty, ale pokiwał głową.

– Tak, malutka, nie martw się. Wszystko jest w porządku. Trzeba go tylko nawadniać.

W mniej niż dwie minuty zorganizowałam butlę wody, którą co chwila kazałam komuś poić biednego Tony’ego. Patrząc na jego niewyraźną twarz, zdobyłam też papierową torbę, którą potem trzymałam dyskretnie przy sobie przez czas trwania ślubu, na wypadek gdyby nagle zrobiło mu się niedobrze i musiał z wymiotować.

Byłam poirytowana tym brakiem odpowiedzialności ze strony najmłodszego z moich braci. To był bardzo ważny dzień, a Tony się tak, kurczę, załatwił!

Posadziliśmy go na jednym z krzeseł w pierwszym rzędzie. Tym, który mieli zająć najbliżsi, czyli nasza rodzina. Zapowiedziałam, że w czasie uroczystości będę siedziała obok niego, a po drugiej stronie krzesło miał zająć Shane, w razie gdyby Tony’ego trzeba było wyprowadzić. Pomyślałam o wszystkim.

Całe szczęście niebawem pojawił się też Vincent i jakkolwiek zawiodła mnie postawa Tony’ego, tak Vince wszystko rekompensował, bo on nie pozwolił sobie na najmniejszy nawet poślizg.

Vince zawsze nosił się elegancko, więc nie spodziewałam się, że dziś zrobi na mnie aż tak wielkie wrażenie. Założył nawet kamizelkę, a biel koszuli i czerń garnituru były tak wyraziste, że wyglądały jak podrasowane filtrem w komórce. Rozczuliłam się na

sam jego widok, bo oto mój najstarszy brat dziś się żenił i choć małżeństwo nie miało wiele zmienić w jego dotychczasowym życiu, to jednak było swego rodzaju przełomem.

Poza samą imponującą prezencją zachowywał się też trzeźwo i tak, jak lubiłam, czyli kontrolował całą sytuację, nie dawał się wyprowadzić z równowagi oraz daleko mu było do bycia zestresowanym lub znerwicowanym. Wywrócił nawet oczami na widok Tony'ego. Uspokoił mnie tym, że nie przejął się zbyt jego niedyspozycją.

Kolejną osobą, którą dobrze było zobaczyć w naszym gronie, był ojciec.

Pogodziłam się już z faktem, że w tym życiu nie dane było mi nacieszyć się tatą. Tak wybrał dla mnie los, że późno go poznałam, a potem trafił do więzienia. Odwiedzałam go czasem i tym musiałam się zadowolić. Dziś wywalczył sobie krótką przepustkę na ślub swojego najstarszego syna i możliwość zobaczenia się z nim w otoczeniu innym niż zimne więzienie była cudowna, ale w taki trochę smutny sposób.

Rysy mojej twarzy natychmiast złagodniały na widok jego pełnych miłości ciemnych oczu. Nie zdążył jeszcze do nas podejść, a ja już ruszyłam w jego kierunku i rzuciłam mu się na szyję.

– Cześć, królewno – szepnął mi do ucha, całując mnie w skroń.

– Jesteś w garniturze – zauważyłam z uśmiechem. – I masz krótszą brodę.

– Cóż mogę rzec, trochę się odpicowałem na to weselicho. – Zaśmiał się i przytulił mnie mocno. – Pięknie wyglądasz, moja mała królewno, jak zawsze.

– Tato? – Zmarszczyłam brwi i dotknęłam jego twarzy. – Co to za blizna?

Była podłużna i ciągnęła się od skroni do kości policzkowej.

Cam złapał moje palce w swoją dłoń i ścisnął je czule.

– To nic takiego.

– Od czego to?

– Drasnąłem się.

– Sam? – Przekrzywiłam głowę. – Czy ktoś ci zrobił krzywdę?

– To nic takiego, nie martw się.

– Ale...

– Szkoda twoich nerwów, moja słodka Hailie.

– A...

– Już. – Tym razem głos ojca brzmiał bardziej zdecydowanie, a spojrzenie miał poważniejsze, ale równie szybko, jak ta zmiana się pojawiła, tak zniknęła, bo natychmiast znowu złagodniał. Położył dłoń na moich plecach i tym razem ucałował

mnie w czubek głowy. Przytulił mnie też do swojego ramienia i pociągnął lekko ze sobą, byśmy dołączyli do reszty.

Za nami ruszyli dwaj policjanci, jego obstawa.

Cam zdawał się nieco oszołomiony. Może na pierwszy rzut oka nie było to widoczne, ale dla mnie było jasne, że przeżywa szok – w końcu całe lata spędził w więzieniu. A jeszcze wcześniej opuścił Pensylwanię, by uciec po sfinansowaniu swojej śmierci. Powrót w te tereny nie mógł być dla niego prosty, choć jestem pewna, że gdybym go o to zapytała, toby się nie przyznał. Mój ojciec, mający tyle pięknych zalet i wartościowych cech, jednocześnie posiadał cały wachlarz wad, które im byłem starsza, tym wyraźniej dostrzegałam.

Dzięki obecności taty nasza rodzina była dziś w komplecie. Choć nie mógł zjawić się na długo, to przynajmniej miał towarzyszyć nam przez chwilę. Doceniłam to, zwłaszcza gdy obserwowałam, jak Anję do ołtarza prowadzi jej przyjaciel. Pamiętałam, że jej ojciec nie żyje, a w ogóle całej jej rodzinie daleko do kolorowego obrazka.

Nasza wcale nie przedstawiała się lepiej, wiem.

Vincent nie padł na widok kroczącej Anji ani nie wybałuszył na nią oczu. Był subtelniejszy. Z przejściem chłonełam jego dumną postawę, perfekcyjną w każdym calu. Stał tam, na podeście, idealny – pewny siebie, wyprostowany, spokojny i skupiony. Nie przejmował się byciem w centrum uwagi, choć wiem, że za tym nie przepadał. Czekał cierpliwie. Miał misję, która jednak różniła się od jego codziennych biznesów. Dzisiejsza misja wiązała się tylko i wyłącznie z jego kobietą i Vince podjął to wyzwanie bez zająknięcia czy strachu.

Anja trzymała głowę w górze, ale unikała rozglądania się na boki. Patrzyła na Vincenta. Włosy sięgające ramion miała lekko pokręcone, a zawsze chłodny odcień blond dziś wyjątkowo odżywiony – zasługa najlepszych fryzjerów. Do głowy przyszło mi dziwne porównanie, że te jej włosy pasują do lodowatych oczu Vince'a. Jej makijaż wyglądał naturalnie, a i sukienka zdawała się skromna. Zdawała, bo mimo iż prosta i wyzbyta wszelkich falban czy ciągnących się tiulów, wiedziałam, że była uszyta przez znaną projektantkę ślubnych sukien i kosztowała krocie.

Gdy Anja podeszła do Vincenta, spojrzeli na siebie i nie odwrócili wzroku przez cały czas trwania ceremonii, aż do momentu, w którym należało włożyć na palec panny młodej pierścioneł. Wtedy, instruowana przez stojącego nieopodal na miejscu świadka Willa, na scenę wyszła Lissy.

Dziewczynkę ubrano w najśladszą białą sukienkę i zapleciono jej najpiękniejsze warkocze. Szła przed siebie z ogromnym skupieniem na twarzy, trzymając w rączkach satynową poduszkę, na której leżały obrączki. Obserwowałam z dumą, jak ostrożnie pokonuje schodki na podest.

Vince oderwał wzrok od Anji i schylił się, by odebrać obrączki od córki. Uśmiechnął się do niej i coś do niej szeptnął, a cokolwiek to było, Lissy, wpatrzona w swojego ojca, wyraźnie się rozpromieniła.

Vince spojrzał też na mnie. Całemu pierwszemu rzędowi oberwało się jego badawczym spojrzeniem, jakby sprawdzał, czy jego rodzina posłusznie i z należytą powagą przeżywa to ważne wydarzenie. Na mnie wzrok zawiesił jednak na dłużej. Uniósł kącik ust, gdy ja wyszczerzyłam się do niego słodko.

Żadne to będzie zaskoczenie, jak się przyznam, że poryczałam się, kiedy Vincent wsuwał Anji na palec obrączkę. Płakałam, już gdy składali przysięgi, bo tak głęboko patrzyli sobie w oczy. Przeżyli już ze sobą kilka lat i doskonale wiedzieli, co teraz sobie obiecują.

Czułam ciarki, a potęgowały je odgłosy ostrego wiatru, który zerwał się na zewnątrz. Chronieni przez solidne szklane ściany altanki goście bynajmniej jednak nie marzli – rozgrzewały ich emocje, gdy patrzyli na tę emanującą prawdziwą partnerską siłą dwójkę.

Rosnące wokół drzewa o tej porze roku nie były w swojej najpiękniejszej odsłonie, a jednak w tym surowym otoczeniu zestawionym z gustownie udekorowaną białymi kwiatami altaną i salą, do której mieliśmy przejść w następnej kolejności, było coś magicznego.

Po rozczulającej uroczystości zrobiło się zamieszanie, bo część gości stała jeszcze w altance i wymieniała się różnymi uwagami, a część przeszła już do budynku. Niektórzy wypatrywali nieśmiało Vincenta i Anji, żeby złożyć im życzenia, a inni trzymali się na dystans, bo w końcu nie było to swojskie weselicho, a raczej formalne wydarzenie.

Oczywiście nie dla mnie, ja tam się czułam swojsko.

Od razu rzuciłam się Vincentowi na szyję, gdy tylko zszedł z Anją z podestu.

– Gratulacje! – zapiszczałam i znowu oślepiły mnie łzy.

Vincent objął mnie i pomógł złapać równowagę, co doceniłam, zwłaszcza że na stopach miałam sandaalki na wysokim obcasie i o bardzo cienkich paseczkach – piękne,

ale średnio stabilne.

Nie odpowiedział, ale przytulił mnie mocno i pogłaskał po plecach.

– No wreszcie, stary kawalerze – ryknął Dylan, klepiąc Vince’a po barku, wcale nie delikatnie. – Koniec łajdaczenia się.

Ja, Shane i Will parsknęliśmy śmiechem, a Vince spojrzał na Dylana spode łba.

– Pomyślności, synu, i powodzenia w budowaniu rodziny – powiedział do niego ojciec, a potem dodał z uznaniem: – Dobrze ci to wychodzi.

Uśmiechnął się na widok niani, która zjawiała się przy nas z ubranym w miniaturowy garnitur Michaeliem na rękach. Chłopiec obserwował ludzi, nieco przyłoczony rozgardiaszem, który panował wokół. Uspokajał się ssaniem smoczka, ale poruszył się niespokojnie, gdy dostrzegł Anję.

Panna młoda stała kawalek dalej i rozmawiała ze swoją matką. Cokolwiek kobieta do niej mówiła, nie mogło to być nic miłego, bo uśmiech Anji zdawał się wymuszony.

Tuż obok nas, jednak lekko z boku, stali też Martina i Harrison. Dziewczyna Dylana nie przestawała się stresować, ale dobrze się trzymała. Możliwe, że relaksowała ją obecność Harrisona, który był uosobieniem spokoju i klasy. Czasami tylko zerkał w stronę restauracji. Znając go, marzył już zapewne o dorwaniu gdzieś lampki wytrawnego czerwonego wina z najwyższej półki.

– A ten co? – warknął ojciec, zerkając na wciąż siedzącego na krześle obok nas Tony’ego, który właśnie głośno odetchnął i odchylił głowę.

– Nic mu nie będzie – uspokoił go Will. Nachylił się nad bratem i opiekuńczo wsunął mu okulary przeciwsłoneczne na nos, na koniec klepiąc go po policzku.

– Dobra robota, Lissy! – zawołałam, widząc, że dziewczynka zbliża się do nas, prowadzona przez drugą nianię za rękę. Oderwałam się od Vince’a, żeby ją uściskać.

– Świetnie się spisałaś – zgodziła się Maya. Ona z kolei tuż przy sobie trzymała Flynną, którego chyba już trochę znudziły rodzinne pogaduszki, bo rozglądał się wokół, jakby chciał czmychnąć matce.

Długo zeszło nam takie stanie w grupce i przekrzykiwanie się w gratulacjach i wrażeniach. Lubiałam, gdy otaczali mnie bliscy. Trzymałam się przy ojcu, ciesząc się jego obecnością, uśmiechałam się do Lissy, która rumieniła się na każdą pochwałę, i śmiałam się głośno z żartów Dylana, Shane’a i Monty’ego. Wkrótce dołączyła też do nas Anja, dyskretnym wywróceniem oczu podsumowując swoją interakcję z mamą.

Gdy wzięła na ręce Michiego, Lissy zrobiła się zazdrosna, ale sytuację uratował Dylan, który posadził ją sobie na barana. Dylan mógł pochwalić się najwyższym wzrostem z nas wszystkich, więc Lissy zdecydowanie nad nami górowała, co szybko pomogło ją rozweselić i w rezultacie oszczędzić jej ewentualnego upomnienia od Vince'a.

W końcu powolnym krokiem udaliśmy się do pomieszczenia, w którym trwał już bankiet, a goście, którzy chwilowo zostali pozostawieni sami sobie, bezbłędnie sobie poradzili. Kto by sobie nie poradził w takim otoczeniu? Wszędzie ciągnęły się stoliki z wystawnymi daniami i przekąskami, na słono i na słodko, a kelnerzy nosili tace z trunkami.

– Rany, no co się z nim stało? – zapytałam, kręcąc głową nad stanem Tony'ego, którego bracia posadzili przy stole. Nasza grupa się przeredziła, bo państwo młodzi od razu zostali gdzieś zawołani, dzieci rzuciły się na fontannę czekolady, a większość dorosłych rozmyśla się w poszukiwaniu lampek wina czy szampana.

Wujek Monty zarechotał głośno, a Shane rozchylił ramiona.

– Co było w Vegas, zostaje...

– Och, gadajcie, ale już.

– To naprawdę nic takiego – przekonywał mnie Will.

– Właśnie, przecież go znaleźliśmy. – Monty wzruszył ramionami.

– Co? – Poderwałam głowę. – Znaleźliście? Zgubił wam się? Gdzie go znaleźliście?

– W studiu tatuażu.

Will uniósł brew, zerknąwszy na Monty'ego.

– Co? – pisałam. – Zrobił sobie tatuaż? Po pijaku?!

– Nie byle jaki – chichotał Monty. – Rzuciliśmy mu wyzwanie, że nie ma ciula, żeby wytatuował sobie oczy.

– ...Co proszę?!

– No wiesz, te białka dookoła tęczęwki – tłumaczył Monty, machając sobie palcem przy twarzy.

– Boże! – wykrzyknęłam i rzuciłam się do Tony'ego.

Palce jednej ręki zacisnęłam na jego szczęce, a tymi drugiej rozchyliłam mu powiekę jednego oka. Jego błękitna tęczęwka otoczona była bielą, może lekko tylko przekrwioną. Odetchnęłam z ulgą i opłötłam rękoma jego głowę, ucałowałam jej czubek i przytuliłam do piersi.

– O Boże, Tony – wyszeptałam, a następnie go odepchnęłam. – Ty idioto!
– Zjawiliśmy się w porę – wyjaśnił Shane, chichocąc.
– Nie przypuszczałem, że potraktuje to wyzwanie tak serio.
– Wypił za dużo – wtrącił Will.
– Ty! – wskazałam na poczerwieniałego ze śmiechu wujka Monty’ego. – Chociaż ty mógłbyś być dojrzały. Tony’emu mogła się stać krzywda. Więcej nie jedzcie do żadnego Vegas.

– Tak jest, szefowo – zadrwił Shane i położył mi dłoń na ramieniu, którą od razu strzepnęłam.

– Daj spokój, gwiazda, złość piękności szkodzi.

Uniosłam dumnie brodę i zmrużyłam powieki, żeby rzucić Monty’emu jedno ze swoich dopracowanych na przestrzeni lat morderczych spojrzeń. Doprowadzanie mojej rodziny do porządku szło mi całkiem dobrze do czasu, gdy rozproszył mnie dobiegający gdzieś z boku dźwięk roztrzaskującego się szkła.

– Najmocniej przepraszam.

Moje uszy rozpoznały skądś ten głos, więc głowa automatycznie odwróciła się w tamtym kierunku.

Mężczyzna nie odwzajemnił niczyjego spojrzenia. Z poirytowaniem oglądał swój garnitur, szukając na nim śladów rozlanego alkoholu. Na koniec mruknął jakieś podziękowania do kelnerki, która w mig doskoczyła, żeby ogarnąć powstały bałagan, i oddalił się szybkim krokiem.

– Najwyraźniej Hailie złość dodaje uroku, nie ujmuje – zachichotała Maya.

– Co? – zapytałam zdezorientowana, odwracając spojrzenie od prostych, odzianych w szytą na miarę marynarkę pleców mężczyzny znikających w tłumie.

Wujek Monty szczerzył się jeszcze szerzej niż przed chwilą.

– Nasza gwiazdka właśnie kogoś olśniła.

– O co ci chodzi? – fuknęłam na niego.

– Nieważne – wycedził Will, nagle dziwnie się najeżając. Objął mnie opiekuńczo i jeszcze bardziej ostrzegawczym spojrzeniem niż przed chwilą zmierzył Monty’ego.

– Też to widziałam – powiedziała Maya, uśmiechając się znacząco.

Zaczynali mnie wszyscy wkurzać, więc otworzyłam usta, by warknąć na nich znowu, ale zaraz na salę wjechał szampan, który rozkręcił imprezę, bo każdy dostał po

lampce bąbelków, a Will klasnął kilka razy w dłoń, żeby skupić na sobie uwagę. Kiedy oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę, uniósł znacząco kieliszek i odchrząknął.

– Na każdym weselu potrzebna jest osoba, która wygłosi banalny toast, i dziś to ja z dumą przyjmuję tę rolę, jako świadek pana młodego – zapowiedział. Zamilkł na chwilę, aby każdy przetrawił jego słowa, a następnie spojrzął na naszego najstarszego brata. – Przykro mi, Vince, ale muszę zacząć od tego, że bycie twoim młodszym bratem to nierzadko katorga. – Rozległy się głośne pomruki zgody wśród reszty mojego rodzeństwa. Mina Vince'a zdawała się poważna, ale w jego oczach czaiło się skryte rozbawienie. Uśmiech na moich ustach się poszerzył. To musi być dobre. – Teraz jest trochę lepiej, ale gdy byliśmy dziećmi? – Will pokręcił głową. – Pamiętasz, tato, ten rozcięty łuk brwiowy? To nie o szafkę się uderzyłem, a o pięść Vince'a. – Rozległy się śmiechy, w tym Cama, który siedział niedaleko mnie, zasłuchany w przemowę syna. – Tak, bywało koszmarnie. Vincent uwielbiał nam przypominać, że jest z nas najstarszy. – Kątem oka widziałam, jak Dylan zawzięcie kiwał głową. – Dużo rozkazywał i z pełną premedytacją wykorzystywał to, że widziałem w nim autorytet. – Will patrzył Vince'owi prosto w oczy, a potem zwrócił się do gości i zaczął wymieniać: – Dokuczał mi, bił mnie, kiedyś nawet zamknął mnie w piwnicy na pół dnia. Od tamtej pory nigdy tam nie zajrzałem. Był dla mnie wredny, a ja i tak ciągle do niego przychodziłem po więcej, taki byłem w niego zapatrzony. – Mogłam przysiąc, że na twarzy Vincenta krył się teraz cień złości, którą Will musiał często widywać w dawnych latach. – Dlaczego to robiłem? – Will zamilkł na chwilę. – Pamiętasz, tato, jak Vince rozwalil ci samochód? Cóż, mam nadzieję, że teraz, po latach, będzie ci już wszystko jedno, gdy przyznam, że to byłem ja. Taka głupia historia... – Will podrapał się po brodzie, a potem spojrzął na mnie. – Lepiej zatkaj uszy, Hailie... W wieku czternastu lat, kierowany niezrozumiałym do dziś buntem, ukradłem sportowe auto z naszego garażu. Wyobrażałem sobie, że potrafię już całkiem dobrze prowadzić. W rzeczywistości było inaczej, dlatego moja wycieczka szybko zakończyła się wjechaniem w drzewo. Skasowany cały przód. Do dziś pamiętam, jak pociły mi się ręce, a serce waliło w piersi, kiedy tak stałem na poboczu i gapilem się na rozwalony wóz ojca. Bałem się zadzwonić do ciebie, tato, bo wiedziałem, jak bardzo się wściekniesz. – Will rzucił Camowi przelotny uśmiech, a ten, słuchając z zainteresowaniem, skinął głową, potwierdzając te domysły. – Dlatego złapałem za telefon i wybrałem numer do Vince'a... W ciągu dwuminutowej rozmowy usłyszałem od niego, że jestem idiotą,

więcej razy niż przez całe swoje życie. – Will zamilkł na chwilę. Zaczął mówić znowu, dopiero gdy ucichły śmiechy. – Vincent przyjechał od razu. Pomógł mi. A całą winę wziął na siebie. Dostało mu się ostro za wzięcie auta bez pozwolenia, ale był starszy, miał prawo jazdy, więc i tak skończyło się to dla niego lepiej, niż mogłoby skończyć się dla mnie. Oczywiście sam tak łatwo mi tego nie podarował, ale to już inna historia. –

Znowu na sali rozległy się ciche śmiechy. – Chodzi o to, że podobnych sytuacji zdarzyło się więcej. I mówię to z najszczerzym przekonaniem: wiem, że zawsze mogłem, mogę i będę mógł liczyć na wsparcie Vincenta. – Wbił w niego wzrok. –

I zawsze będę cię podziwiał. Stałeś się głową naszej rodziny, przejąłeś znaczną część interesów, udało ci się podtrzymać wartości naszej rodziny nie tylko w swoim sercu, ale i w naszych: moim i naszych braci. Bez zastanowienia wziąłeś na siebie odpowiedzialność związaną z opieką nad naszą siostrą. A teraz założyłeś własną rodzinę. Masz wspaniałe dzieci, a dziś przypieczętowałeś swoją miłość z równie wspaniałą kobietą. Nie znam drugiej tak silnej osoby, Vince, i jestem wdzięczny za to, że jesteś moim starszym bratem. Dużo szczęścia, bracie, na nowej drodze życia. Bo zasługujesz na nie jak mało kto.



5

POD GRUBĄ SKORUPĄ LODU

Stałam łyż z policzków i uniosłam wysoko kieliszek, podobnie jak reszta naszych braci. Przemowa musiała ich ruszyć, bo nawet oni nie zdobyli się na żaden kpiarski komentarz. Cam uśmiechał się lekko, wpatrzony z zadowoleniem w Willa. Ten z kolei ścisnął się właśnie z Vince'em, który wstał i do niego podszedł, by dodatkowo szepnąć mu coś do ucha. Widząc, jak moi dwaj najstarsi bracia się przytulają, prawie rozplakałam się jeszcze bardziej.

Później wdałam się w długą rozmowę z Ruby i Eugenie. Ta druga została zaproszona na uroczystość wraz z mężem. Dobrze było pogawędzić z nią tak czysto towarzysko, nie w naszej kuchni i nie wtedy, gdy spieszyła się, by włączyć kolejne pranie.

Nie zabrakło też ważniaków w garniturach, z których jednym był Adrien. Dawno go nie widziałam, bo i dawno nie uczestniczyłam w żadnym na tyle ważnym wydarzeniu, by i on się na nim pojawił. Rozpoznałam, że to on był osobą, która kilka chwil temu zbiła szkło. Cóż, jego garnitur najwyraźniej nie ucierpiał, bo prezentował się irytująco nienagannie.

Obserwowałam go przez chwilę, chłonąc widok jego znajomej twarzy, niewidzianej taki szmatu czasu. Nie zmienił się prawie wcale, wciąż dobrze się trzymał i miał ten sam błysk w oku. Ani razu nie odwzajemnił mojego spojrzenia. Prawdopodobnie nawet nie wiedział, że na niego patrzę. Siedział w oddali ze swoją partnerką, podobną do tych, które widywałam u jego boku za dawnych czasów. Nie odzywał się dużo, przynajmniej akurat nie w tamtym momencie, i uśmiechnęłam się złośliwie pod nosem, bo w końcu zapamiętałam go jako raczej wygadanego i ciekawa byłam, skąd ta zmiana.

O ile obecność Adriena mnie drażniła, to fakt, że na weselu mojego brata pojawiła się Grace, wręcz nie mieścił mi się w głowie. Nie wiedziałam, czy dziwić się bratu, że ją zaprosił, Anji, że się na to zgodziła, czy samej Grace, że nie było jej głupio tu przyjść. Maya wyjaśniła mi, że należało uwzględnić ją na liście gości z szacunku do Adriena, a znowu nie było takiej szansy, by Grace zrezygnowała z uczestnictwa w tak ekskluzywnej i vipowskiej uroczystości, jak ślub jednego z członków Organizacji.

Nawet jeśli pobierał się jej były narzeczony.

Vince był cały czas zajęty przyjmowaniem kolejnych gratulacji, a Anja w pewnym momencie poskarżyła mi się, że od ciągłego uśmiechania się rozboleły ją policzki. Udało mi się raz porwać ją na dwór i podarować tym samym chwilę oddechu. Anja odetchnęła głęboko świeżym powietrzem i nawet na chwilę się wyluzowała, ale zaraz ktoś po nią przyleciał – była poszukiwana, bo Michael się uderzył i teraz płakał, bo chciał do mamy.

Ze współczującym uśmiechem patrzyłam, jak Anja znika z powrotem w sali. Podarowałam sobie chwilę na docenienie braku jakichkolwiek zobowiązań w postaci na przykład dzieci, którymi musiałabym się teraz zajmować.

Byłam wolna.

Długo poszukiwałam tego uczucia i teraz, gdy studiowałam w Barcelonie, moje życie poukładało się tak, że mogłam wreszcie się nim cieszyć. Moje myśli zaczęły krążyć wokół etapu życia, na którym się znajdowałam. Wszystko było tak, jak chciałam. Tak jak powinno. Niczego mi nie brakowało...

A potem przypomniałam sobie o tym, co dziś usłyszałam od Martiny – o tym, co rzekomo powiedział Alex. I się zirytowałam. Liczyłam, że tylko był ciekawy i wcale nie zaczynał pragnąć czegoś poważniejszego. Nie na to mnie przygotował.

Zimny wiatr na przemian zrywał się i uspokajał, a gdy znowu zaczął szaleć, stwierdziłam, że to czas, by schować się do środka. Z sali dobiegała muzyka, światło

i wesoły gwar gości, a tu na dworze na dłuższą metę było chłodno i pusto.

Jeśli nie liczyć ochroniarzy.

– Proszę się cofnąć – usłyszałam głos jednego z nich, akurat gdy odwracałam się, by wrócić do sali. Naturalnie się zatrzymałam.

– Unieruchom go.

– Trzeba...

– Hej, co tam się dzieje? – zawołałam.

Przestałam oplatać się ciasno ramionami, zamiast tego opuściłam je luźno, jedynie zaciskając dłonie w pięści. Długi płaszcz majdał mi się przy łydkach, gdy stawiając duże kroki, szybko pokonałam odległość do bramy, spod której dolatywały do moich uszu odgłosy przepychanki.

– Kto to jest? – zapytałam ochroniarzy, których twarze na mój widok złagodniały.

Patrzyłam przede wszystkim na mężczyznę o blond włosach ściętych na zapalke, dość postawnego, szerokiego w barkach prawie jak Dylan. Stał w pozycji bojowej i nawet zdążyły mu się już przekrzywić marynarka i obluzować krawat. Nie wyglądał na trzeźwego.

– Byłem zaproszony – warknął, łypiąc na mnie wrogo.

– Czy ten człowiek jest na liście gości? – zapytałam ochroniarzy.

– Nie, proszę pani.

– A więc nie byłeś zaproszony – zwróciłam się do niego.

– A co ty wiesz – splunął.

Uniosłam brwi, a ochroniarze obścapi go z obu stron.

– Wypraszamy go – poinformował mnie jeden z nich, jednak nikt się nie ruszył, bo czekali najpierw na moją zgodę.

– Spadówa, jestem od panny młodej – kłócił się intruz.

– Nieistotne – odparłam. – To impreza zamknięta.

– Głupia babo, jestem jej bratem.

Zawahałam się na sekundę, ale szybko odzyskałam pewność siebie i uniosłam podbródek.

– Panna młoda współtworzyła listę gości. Jeśli cię na niej nie umieściła, to znaczy, że cię tu nie chciała.

– Puszczajcie, cymbały!

– Co on tutaj robi? – zapytał Vincent, pojawiając się u mojego boku.

Drgnąłam. Ochroniarze chyba też.

Jego władcza aura natychmiast zdominowała nas wszystkich.

– Panie Monet, próbował się tu wdrzeć.

– Taką wiadomość właśnie mi przekazano – odparł Vince, mroząc ochroniarzy spojrzeniem. – Pytam, dlaczego w dalszym ciągu nie został jeszcze wyprowadzony?

– Właśnie się tym zajmowaliśmy, panie Monet.

– Czy to prawda, że to brat Anji? – szepnęłam do Vincenta, który właśnie przerosił groźne spojrzenie z ochroniarza na mnie. Z tym że mnie oberwało się bardziej, bo zmrużył oczy, niezadowolony.

– A ty skąd się tutaj wzięłaś? – zapytał. – Czemu nie jesteś na sali?

– Wyszłam się przewietrzyć.

– I żeby to zrobić, musiałaś podejść aż do bramy?

– Chciałam sprawdzić, o co to zamieszanie. – Wzruszyłam ramionami. – Może zaszła jakaś pomyłka.

– Zawołajcie Anję! – rozkazał nam nieproszony gość.

– Nie zaszła – uciął Vince i zwrócił się do ochroniarzy: – Zabierzcie go.

– Zawołajcie ją najpierw! Nie jestem mile widziany? Zajebicie, niech mi to powie w oczy, niech tu stanie i mi to... – Szarpnięty przez ochroniarzy mężczyzna stracił równowagę. – Noż... Powiedz jej, powiedz swojej żonce, że jest kretynką. Była nią zawsze, ale przy tobie stoczy się do reszty...

Vince, który zawsze przecież idealnie nad sobą panował, drgnął, słysząc te słowa, a ja natychmiast przyłgnęłam do jego boku, łapiąc go za łokieć i szepcząc jego imię, w razie gdyby potrzebował głosu rozsądku, który pomógłby mu się opamiętać.

– Swoim dzieciom też już zniszczyła życie...

– Vince – powtórzyłam głośniejszym głosem, zaciskając palce na materiale jego marynarki, gdy poczułam, jak ramię mojego brata się napina. Świdrował mężczyznę swoim lodowatym wzrokiem.

– No i dobrze, niech cię pilnuje ta mała...

Facet mnie obraził. Nie pamiętam nawet, co powiedział. Coś brzydkiego na pewno, ale nie skupiłam się na tym, bo granice Vincenta zostały przekroczone i wyszarpnął się z mojego uścisku, by ruszyć w stronę ochroniarzy. Ci zdążyli odciągnąć już mężczyznę całkiem daleko, ale Vince kazał im zaczekać.

Nie rzucił się biegiem, opętany szałem. Stawiał szybkie, ale spokojne, miękkie kroki w swoich drogich, wypastowanych butach na leśnej, zmrożonej przez niską temperaturę ściółce. Gdy dotarł do mężczyzn, spodziewałam się, że będzie chciał wyszeptać jakieś pełne grozy i mrozące krew w żyłach ostrzeżenie, jak to miał w zwyczaju, dlatego też nie rzuciłam się za nim, by go powstrzymać.

On tym razem jednak nie zamierzał strzepić języka.

Mężczyzna śmiało wystawił do Vince'a twarz, gotów na sformułowanie kolejnych obelg, nawet będąc zupełnie skrępowany przez ochroniarzy. Nie był odważny, a głupi – zapewne głos rozsądku dodatkowo tłumił mu alkohol. Nie spodziewał się w każdym razie (tak jak i ja), że Vincent podniesie na niego rękę.

A tu proszę, uderzył go. Mój najstarszy, zawsze opanowany brat, uniósł pięść i lupnął nią mężczyznę w twarz, tak że głowa tamtego odskoczyła i gdzieś na trawę obok trysnęła nawet ciepła krew.

– Vince!

W swoich szpilkach ślamazarnie podreptałam po ściółce do niego. Tym razem przylgnęłam do jego ramienia mocno, żeby się podeprzeć i jednocześnie powstrzymać przed kolejnymi aktami agresji.

– Zabierzcie go już – rozkazałam ochroniarzom, krzywiąc się na następną dawkę krwi, którą splunął mężczyzna w przerwie od wygłaszania wiązanki wulgaryzmów, którą nas wszystkich uraczył.

Ochroniarze posłuchali i odciągnęli intruza, któremu brakło sił i chyba już nawet energii, żeby stawiać opór. Z zaniepokojeniem przyjrzałam się twarzy Vincenta, który ze spokojem, ale i zimną pogardą odprowadzał go spojrzeniem.

– Vince? – szepnęłam. – Wszystko okej?

Przeniósł na mnie wzrok.

– Zapomnij o tym, co widziałaś – powiedział. – Wracamy na salę.

Tym razem podał mi ramię, tak bym mogła pewniej się go złapać. Szedł też powoli, bym nie musiała stawiać za dużych kroków.

– Nie jesteś odpowiednio ubrana, żeby przebywać tak długo na zewnątrz – zauważył, zerkając na moje drżące z zimna nogi.

– Czy to naprawdę był brat Anji? – zapytałam.

Skinął głową.

– Nie dostał zaproszenia?

– Nie mają dobrej relacji – odparł przez zaciśnięte zęby. – Jak widziałaś, ma trudności z właściwym zachowaniem.

– Dlaczego jej nie zawołałeś?

– Ma dziś wystarczająco stresów, nie ma potrzeby dokładać jej kolejnych.

Uniosłam brwi.

– Powinna wiedzieć.

– Hailie, pozwól, proszę, że tego typu sprawami zajmę się po swojemu. I tak nie powinnaś była zbliżać się do ochroniarzy i tego człowieka. Czy Danilo jest z tobą? Jeśli tak, to gdzie?

Westchnęłam i machnęłam dłonią gdzieś za plecy.

– Tam gdzieś pewnie.

– Hailie, mówiłem ci, że masz zawsze upewniać się, że twój ochroniarz jest przy tobie.

– Och, no przecież jest zawsze – mruknęłam i wykręciłam szyję: – Danilo?!

Rozległ się cichy szelest, jakby ktoś nagle przyspieszył kroku na ścieżce za nami.

– Tak, pani Monet?

– Nic, nieważne, dziękuję – odparłam, nie zaszczycając własnego ochroniarza nawet spojrzeniem i uniosłam brew na Vince'a. – Widzisz?

– Nie podoba mi się twoje podejście, drogie dziecko – przemówił pełen powagi. –

Wiesz, jak kluczowa jest obecność ochroniarza przy tobie. Nie zachowuj się tak lekkomyślnie, bo przestanę respektować naszą umowę i Danilo skończy pracować dla ciebie, a zaczniesz znowu odpowiadać przede mną.

– Vince – fuknęłam butnie. – Przestań, jestem już dorosła.

– Więc się zachowuj, jak na dorosłą przystało, i bądź odpowiedzialna.

Odwrociłam głowę w bok, nagle wyjątkowo zdenerwowana. Mieliśmy już wejść do budynku, czego wyczekiwałam, bo chciałam się oddalić od brata, ale on zatrzymał mnie jeszcze przed drzwiami.

– Hailie, nie próbuję być złośliwy – powiedział i złapał mnie pod podbródek, żeby nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. – Wiem, dlaczego wolisz ignorować swojego ochroniarza i rozumiem to. Nie każę nawiązywać ci z nim przyjaźni. Chcę tylko, żebyś zwracała na niego uwagę, upewniała się, że zawsze przy tobie jest i możliwie jak najbardziej ułatwiała mu pracę. Rozumiesz?

Wreszcie niechętnie pokiwałam głową.

Vince postanowił na koniec pogrozić mi palcem.

– Weź to sobie do serca, bo inaczej nie żartuję – wrócimy do starej umowy i znowu będę kazał sobie relacjonować każde twoje wyjście. A bardzo walczyłaś o swobodę i szkoda by było, gdybyś to zaprzepaściła.

– Dobrze, Vince, będę współpracować z Danilo – powiedziałam uprzejmie, naprawdę złąkniona, że mówi poważnie.

– Cieszę się – odparł sztywno i razem weszliśmy do sali.

Czepialski Vincent zepsuł mi humor na dobre kilka minut. Uśmiechając się do mijanych osób, przedarłam się do okrągłego stolika, przy którym siedziała monetowska śmietanka. Pokręciłam się trochę przy ojcu. Zawsze lubiłam być blisko niego, gdy Vincent był dla mnie wredny.

Teraz, gdy chwilowo przebywał poza więzieniem, mógł mnie mocno objąć, szepnąć do ucha coś miłego, a nawet zaangażować w lekką gadkę, wypytując w niej o studia i barcelońskie życie.

– Ej, halo!

Wzdrygnęłam się, jak i wszyscy goście. Obróciłam się w stronę podestu, na którym z mikrofonem w ręku i przejętym, spiętym wyrazem twarzy stanął Dylan.

Muzyka ucichła.

Oho.

– Mam coś do powiedzenia, więc wysłuchajcie mnie.

Zerknęłam dyskretnie na Martinę. Siedziała tuż obok i wpatrywała się w swojego chłopaka zdeorientowana. Vincent i Anja zajmowali swoje miejsca też niedaleko, oboje ze spokojem darując Dylanowi uwagę, o którą poprosił. Nie zdawali się zaskoczeni.

Dylan, zgodnie z planami, musiał ich uprzedzić o tym, co się święci.

– Po pierwsze, raz jeszcze gratulacje dla Anji i Vince’a – powiedział, kłaniając się młodej parze. – Wicie, Vince to mój starszy brat, więc życzę mu jak najlepiej i wiem, że gdzieś tam pod tą grubą skorupą lodu bije mu ciepłutkie serduszko. – Dylan puścił Vince’owi oczko. – Zasluguje na to, żeby mieć fajną rodzinę, cierpliwą kobietę jak Anja i takie urocze dzieciaki jak Lissy i Michi. Serio, masz fuksa, brachu. – Dylan zamilkł na chwilę, pokiwał głową i przemówił ponownie: – Wicie, kto jeszcze zasługuje na fajną rodzinę?

Cała sala gości wpatrywała się w ciszy w Dylana, którym sam sobie odpowiedział:

– Ja.

Rozległy się śmiechy.

– Cisza, serio mówię. Zasluguję na zajebistą rodzinę, bo jak tu stoję, to przysięgam przed wszystkimi, że cały jestem gotów poświęcić się temu, by ją zbudować i doceniać każdego dnia. Mam już spoko ojca i braci, mam maleńką siostrzyczkę i niczego nie chcę bardziej niż poszerzenia tego grona o tę właściwą żonę.

Martina drgnęła.

Dylan zrobił kilka kroków do przodu, w stronę stolików, nie przejmując się, że w tym momencie obserwowany jest przez absolutnie każdego. On oczy wbił prosto w swoją dziewczynę.

– Martina, jesteśmy razem od lat. Nawet jak ze sobą zrywaliśmy, zawsze myślałem tylko o tobie. Zawsze byłem zazdrosny tylko o ciebie. Wkurzało mnie to nieraz, bo były momenty, że chciałem zapomnieć. Bo czasami to bolało. Gdy się żarliśmy na przykład. Ale teraz już ogarniam, że nie mogłem o tobie zapomnieć, bo cię kocham i ty jesteś moją kobietą, bratnią duszą, i to z tobą czuję się swobodnie. Z tobą mam zarabisty seks i to razem z tobą obżeramy się po nim burgerami. Jak świnię. A mimo to nadal jesteśmy hot.

Martina skrzywiła się, ale parsknęła też śmiechem. Oczy miała załzawione.

– Z tobą chcę się kłócić i ciebie chcę przeproszać. Tylko ciebie chcę całować. Tylko z tobą chcę mieć dzieci – mówiąc to, Dylan zbliżał się do niej coraz bardziej. – Zasluguję na zajebistą rodzinę i wiem, że tylko ty mi taką dasz. Tylko z tobą jej chcę. Co więcej, ona należy ci się równie mocno, a ja zrobię wszystko, żebyś zawsze dostawała to, co najlepsze.

– Dylan... – Głos Martiny był ledwo słyszalny, zduszony przez zaciśnięte gardło i łzy.

– Martina. – Dylan przyspieszył kroku, odrzucił na bok mikrofon i padł na kolana tuż przed nią. – Chcę, żebyś została moją żoną.

Szarpnięciem wyjął z kieszeni marynarki pudełko, a Martina zaniemówiła na widok pierścionka.

Poczerwieniała na twarzy, łzy spłynęły jej z oczu, trochę rozmazał jej się tusz. Jedną dłonią przykryła usta. Nie mogła mówić, więc po prostu zaczęła kiwać głową.

Dylan uśmiechnął się do niej.

– No, i elegancko – szepnęła, wsuwając jej na palec pierścionek.

– Dylan, tak... – wykrztusiła, gdy tylko była w stanie, i wstała w tym samym momencie, co on, by zarzucić mu ręce na szyję.

Otumaniona pięknem tego wydarzenia zaczęłam klaskać dopiero po chwili, a do mnie dołączyli się pozostali goście i już wkrótce wiwatowała cała sala.

Nie wiem, jak się tam znalazłam, ale nagle stałam w tłumie otaczającym Dylana i Martinę. Wszyscy składaliśmy im gratulacje. Ktoś podniósł mikrofon z podłogi, ktoś inny dał sygnał orkiestrze i zabawa powróciła ze zdwojoną siłą.

Rozległa się muzyka i Vincent, jako głowa rodziny i pan młody, stanął dostojny jak zwykle przed rozstrojoną emocjonalnie Martiną. Zamrugła, gdy wyciągnął do niej dłoń w powolnym, bardzo elokwentnym geście. Ujęła ją i odpowiedziała na jego lekki, firmowy uśmiech swoim, nieśmiałym.

Vincent wyprowadził Martinę na środek i zaczęli tańczyć, a Dylan nie pozostał dłużny i zaprosił na parkiet pannę młodą.

A mnie taniec zaproponował Shane.

A Will wziął na ręce Lissy i razem wirowali obok.

Tony zaczynał dochodzić do siebie, ale wciąż nie ruszał się z miejsca i pił dużo wody, dlatego gdy zesłam wreszcie z parkietu, postanowiłam go wykorzystać i akurat z braku wolnych w okolicy krzeseł usiadłam mu na kolanach.

Popijałam drinka, rozmawiałam z rodziną, śmiałam się z nimi głośno i byłam absolutnie w swoim żywiole.

I nie miałam pojęcia, że każdy mój ruch jest obserwowany. Każde machnięcie ręką, odgarnięcie włosów i każdy radosny okrzyk. Pochłaniany wręcz wzrokiem przez kogoś, na kogo już dziś wcześniej przelotnie zwróciłam uwagę. Kogoś, komu ja sama nie poświęcałam wielu myśli.

W tamtym momencie wesele Vince'a i Anji było dla mnie po prostu wspaniałym wydarzeniem, ale ostatecznie niespodziewanie miało stać się czymś więcej.

Tym, od czego wszystko się zaczęło.

Miłość od pierwszego rzutu nożem?

To zdecydowanie nie było to.

A szkoda, bo brzmi dobrze.





Egbert Santan siedział za biurkiem w swoim gabinecie i wodził palcami po klawiaturze, zapatrzony w przestrzeń ponad ekranem komputera. Przyświecało mu słabe światło lampki. Takiego zamyślonego zastałem go, gdy na jego pilne wezwanie przyjechałem do jego domu.

Zapukałem i wszedłem, ostentacyjnie nie kryjąc rozdrażnienia. Lekkiego, bo część mnie obawiała się irytacji ojca. Nic dobrego z tego nigdy nie wynikało. Wręcz przeciwnie – gdy był zagniewany, lubił dręczyć mnie długimi wykładami na temat moich obowiązków, związanych z nową rolą, którą od niego przejąłem.

Pozwoliłem sobie więc na co najwyżej znudzoną minę, nonszalancki krok, i już na wejściu zerknąłem na zegarek, planując kontrolować czas przez całe nasze spotkanie.

– Słyszałeś, synu? – zapytał z miejsca, fenomenalnie ignorując moją postawę.

Odetchnąłem i powoli zasiadłem w brązowym, skórzanym fotelu naprzeciwko niego. Mój wzrok padł na stół bilardowy, który stał z boku. Jako dziecko gabinet taty kojarzyłem głównie z zabawą. To tutaj wbiegałem, dobrze wiedząc, że mi nie wolno, gdy potrzebowałem jego uwagi, a on mnie nie odtrącał. Dużo razem graliśmy w bilard – ojciec uczył mnie różnych technik i trików. Jako siedmiolatek najbardziej lubiłem, gdy dawał mi wygrać.

Tęskniłem za tamtymi beztroskimi czasami. Odkąd przejąłem po Egbercie funkcję członka Organizacji, nie tknęliśmy kijów bilardowych. Bile stały perfekcyjnie ułożone, przygotowane do rozgrywki i wiecznie nietknięte. Pilnych spraw do obgadania zawsze było po prostu zbyt wiele.

– Zapewne nie słyszałem – mruknąłem z westchnieniem, przez co oberwałem od taty niezadowolonym spojrzeniem.

– Adrienie, musisz wykazywać większe zainteresowanie tym, co dzieje się w Organizacji – pouczył mnie, marszcząc swoje ciemne, krzaczaste brwi. Zaczynały mu lekko siwieć, tak jak i włosy na głowie. Mówiono mu, że czas i tak jest dla niego łaskawy, mimo obejmowania przez wiele lat tak stresującego stanowiska oraz słabego zdrowia.

Gdybym dostawał dolara za każdym razem, kiedy słyszałem od ojca podobny komentarz, byłbym bogatszy od wszystkich członków Organizacji razem wziętych.

– W Organizacji nie ma dnia, by coś się nie działo. Jeśli życzyłeś sobie, żeby zastąpił cię ktoś, czym życiowym celem jest nadążenie za jak największą liczbą plotek, to może należało przekazać biznes w ręce Grace.

Skrzywił się, a więc zapewne nie docenił mojej błyskotliwej odpowiedzi.

– Bycie członkiem Organizacji to nie tylko picie drogiej whisky i chodzenie w szytym na miarę garniturze – wytknął mi, uniesieniem brwi kwitując mój ubiór. Sam, kiedy nie musiał nosić się formalnie, wybierał raczej coś z półki z kaszmirowymi golfami. Dzisiaj miał na sobie bordowy.

– Lubię garnitury – mruknąłem.

– Sam garnitur nie zrobi z ciebie poważnego człowieka.

Ochota, by wyrócić oczami, była olbrzymia, ale tylko potwierdziłbym tym jego słowa, więc powstrzymałem się od wszelkich demonstracji i zamiast tego postarałem się skoncentrować.

– Dobrze. Czy powiesz mi, co się stało?

Egbert milczał przez chwilę i patrzył na mnie, jakby moją niesubordynację karał ciszą. Gdy upewnił się, że traktuję sprawę serio, wreszcie odparł:

– Wybuchł skandal, o którym powinieneś wiedzieć.

– Co to za skandal? – westchnąłem, tylko w minimalnym stopniu zainteresowany.

– Camden Monet ma córkę – powiedział wreszcie z grobowym wyrazem twarzy. – Nazywa się Hailie Monet.

Uniosłem brwi, ale wyjątkowo trudno mi było nad sobą zapanować, więc dodatkowo parsknąłem prześmiewczo.

– Kiedy on zdążył narobić tyle dzieci?

– Doprawdy, skup się, Adrienne, to poważna sprawa. – Ojciec zwinął palce jednej ręki w pięść i delikatnie postukał nią w drewniany blat biurka. – Monet przez czternaście lat ukrywał istnienie swojej córki.

– Poczekaj, czy on trzymał ją w zamknięciu, w swoim domu? – zaciekałem się.

– Nie, dorastała z matką.

– Nie zajmował się nią? – zgadywałem.

– Nigdy go nie poznała.

Rozchyliłem usta, nie powiem, dość mocno zaskoczony.

– O cholera – mruknąłem. – A czy bracia Monet o niej wiedzieli?

– Z tego, co wiem, to większość z nich właśnie teraz się dowiaduje.

– Co takiego się wydarzyło, że wielka tajemnica wypłynęła? – Poprawiłem się w fotelu, nagle zaintrygowany. To była faktycznie ciekawa plotka.

– Matka dziewczyny zginęła w wypadku.

Wypuściłem powietrze przez zęby. Generalnie niewiele mnie obchodziła ta dziewczynka, ale zawsze przykro jest usłyszeć, że jakieś dziecko straciło rodzica. Zwłaszcza że...

– Ojca też straciła – mruknąłem. – Nie ma szczęścia.

– Tak, wyjątkowo przykra sytuacja – potwierdził Egbert. Odnosiłem wrażenie, że mimo raczej przygnębiającego tematu w duchu cieszył się, że nareszcie odpowiednio zareagowałem. – Zostać sierotą w tak młodym wieku...

– I dowiedzieć się, że twoim rodzeństwem są bracia Monet. – Udałem, że przechodzi mnie dreszcz. – Koszmar.

– Z którym będzie musiała się oswoić, bo trafi pod ich opiekę.

Wybałuszyłem oczy.

No dobrze, gdybym wiedział, że ojciec ma mi do przekazania takie nowiny, wybrałbym o wiele szybsze auto, żeby tu przyjechać.

– Monetowie będą wychowywać nastolatkę? – prychnąłem. – Przecież co najmniej trzech z tej piątki to krety, ta dziewczyna nabawi się załamania nerwowego jeszcze przed pójściem do podstawówki.

– Ona ma czternaście lat i podstawówkę już za sobą. A jej prawnym opiekunem oficjalnie zostanie Vincent.

– Nie zazdrościsz – mruknąłem. – Czy ta bryła lodu spełnia jakiegokolwiek wymagania, by zająć się nastolatką?

– Od członków Organizacji nikt nie ma prawa niczego wymagać, już Vincent o to zadba. Przejęcie opieki to w tym wypadku formalność.

No tak, oczywiście.

– Mam nadzieję, że ty nie masz żadnych nieślubnych dzieci pochowanych po świecie.

– Żadnych, o których bym wiedział – odparł ojciec.

Nie doceniłem tego żartu.

– Czy to wszystko? – zapytałem, znowu zerkając na zegarek. – To interesujący skandalik, ale chyba ostatecznie niezbyt istotny dla naszej rodziny i samej Organizacji, prawda? Co nas obchodzi jakaś nastoletnia siostra Monetów?

– Na razie niewiele – przyznał ojciec. – Chociaż fakt, że Camden zataił jej istnienie przed Organizacją, trochę mnie martwi. Nie ufał nam, nie wiadomo, jakie jeszcze sekrety zabrał do grobu.

– Może nie przyznawał się, że ma córkę, bo bał się reakcji synów? Skoro dziewczyna ma kilkanaście lat, to musiała urodzić się niedługo po śmierci Lindsay Monet, czyż nie?

Ojciec pokiwał głową, zamyślony. Podobało mu się, że się zaangażowałem i snułem domysły. Lubił, gdy byłem taki rzeczowy i poważny. Cóż, czasem mi się to udawało.

– Cała ta rodzina jest pełna tajemnic. I te tragedie, jakby nad Monetami wisiło jakieś fatum... – westchnął Egbert.

– Mhm – przytaknąłem. – Nikt się nie zdziwi, jeśli okaże się, że bracia Monet mają jeszcze ze cztery siostry, a Camden i Lindsay Monet tak naprawdę żyją i ukrywają się w chatce pustelnika na Alasce.

Egbert zerknął na mnie z uniesionymi brwiami.

– Wniosek jest taki – odezwał się, głaszcząc swoją brodę – że trzeba mieć Monetów na oku.



6

WPÓŁ DO MARGARITY

Wskoczyli do fontanny w holu.

Jedna z niań odchrząknęła cicho, prezentując przemoczonych do suchej nitki Lissy i Flynnna. Oboje zwieszali głowy, niezwykle zainteresowani widokiem formującej się pod nimi kałuży.

Vincent i Anja, zmęczeni już całą imprezą, siedzieli teraz na krzesłach przy stoliku otoczeni najbliższą rodziną. Przed chwilą pożegnaliśmy ojca i to był ten moment, gdy energii pozostało nam jedynie na prowadzenie zabawnych rozmów i co najwyżej raz po raz dolewanie sobie wina. Tony nawet trochę się rozbudził i właśnie dłubał widelcem w paszteciku.

Odwróciłam twarz, żeby dzieci nie dostrzegły przypadkiem, jak pojawia się na niej rozbawiony uśmiech.

Vince patrzył na córkę oczyma bez wyrazu, a Anja z lekką dezaprobatą.

– Skąd wam to przyszło do głowy? – zapytała, kręcąc głową.

– Garnitur zrujnowany – westchnęła niepokieszona Maya po tym, jak złapała syna za nadgarstek, żeby przyciągnąć go do siebie i go obejrzeć.

Wtedy Lissy już nie mogła chować się za kuzynem i zdecydowanie wprawilo ją to w dyskomfort.

– To nie mój pomysł – powiedziała szybko.

- Ej, mój też nie – odezwał się Flynn.
- Ty bądź lepiej cicho – fuknęła na niego Maya. – Jesteś już wystarczająco duży, żeby nie robić takich głupot.
- W tle rozległ się chichot wujka Monty'ego.
- Było nam gorąco – broniła się Lissy, rozkładając ręce.
- Bo biegacie w tę i z powrotem. – Maya kręciła głową, oglądając właśnie przesiąkniętą wodą marynarkę Flynną. Z żalem pomogła mu ją zdjąć, mruczając pod nosem: – Taki dobry materiał...
- Zaraz wyjeżdżamy, Lindsay, ale widzę, że ty chyba wolisz zostać tutaj. – Anja uniosła brwi.
- Nie, ja też jadę!
- Taka mokra? Dziecko, jest listopad. Nie wyjdiesz tak na dwór.
- Mamuś, proszę, jadę... – jęknęła Lissy mocno przestraszona.
- Oparła się o kolana Vince'a, bo on siedział bliżej, ale błagalnym spojrzeniem wpatrywała się w matkę, wiedząc dobrze, u kogo może ugrać więcej.
- Zabierz ją do pokoju, Eveline, wykąp i dobrze wysusz, szczególnie włosy. Załóż wygodne ubrania. Za około godzinę będziemy się zbierać – poleciła Anja jednej z nian.
- Ja zaraz tam do was przyjdę.
- Tak jest, pani... Monet.
- Nie chcę się teraz kąpać... – westchnęła marudnie Lissy.
- A przed chwilą byłaś chętna, żeby pływać w fontannie.
- Niania wyciągnęła do dziewczynki rękę, ale została przez nią zignorowana.
- Lindsay – upomniał ją wtedy Vincent, świdrując ją spojrzeniem.
- Lissy zerknęła na niego przelotnie i tyle jej wystarczyło, by natychmiast się poddać, pozwolić się wziąć niani za dłoń i poprowadzić do pokoju.
- Gdy odeszły, Vince wznosił oczy do sufitu, a Anja westchnęła.
- Byłoby wam lepiej zostawić dzieciaki tu, a nie ciągnąć je ze sobą w podróż poślubną – powiedział Monty.
- Lissy może dałaby radę, ale Michi jest za mały na taką rozłąkę – odparła Anja. – No i nie chcę ich zostawiać.
- Zadbamy o chwilę odpoczynku i prywatności – dodał zdecydowanie Vincent. – Opiekunki lecą z nami, zajmą się dziećmi.
- Gdzie w końcu lecicie? – zapytał Shane.

– Maui.

Rozległy się pomruki uznania.

– Kocham Hawaje – rozmarzyła się Maya.

– Ja też – zgodziłam się, a Shane, szczerząc się szeroko, szturchnął mnie w bok.

– Pamiętasz, jak skakaliśmy ze spadochronem nad samym oceanem i mieliśmy szczęście zobaczyć wieloryba?

– To była najcudowniejsza rzecz na świecie – westchnęłam z zachwytem. – Co nie, Tony?

Tony potarł powieki i jęknął, mieląc w ustach przekleństwo.

Poklepałam go po ramieniu. Najważniejsze, że był z nami ciałem.

– Ty, lepiej, żebyś się ogarnął do jutra – rzucił do niego Dylan.

– Jutro to on będzie odpoczywał – powiedziałam.

– Śmieszna jesteś. Nie po to się zaręczyłem, żeby teraz tego nie świętować.

– Jutro? Jutro będziesz świętować?

– A ty co się tak dziwisz? – zawołała do mnie Maya. – My też powinniśmy zrobić coś fajnego. Co wy na to? Martina?

Martina pokiwała chętnie głową.

– Mówicie o kolejnej imprezie? – Uniosłam brew.

– Martina na pewno chciałaby wznieść toast za swoje zaręczyny.

– Dużo ostatnio tych toastów – zauważyłam, zerkając na martini, które mieniło się w trzymanym przeze mnie kieliszku.

– Cóż, mamy dużo do świętowania. – Maya wzruszyła ramionami. – To co, pójdziemy gdzieś? Do starej dobrej Opery?

– Do klubu? – wtrącił się Dylan.

– Nie, do prawdziwej opery.

– Już myślałem, że mówisz o klubie.

– Oczywiście, że mówię o klubie! – Maya przewróciła oczami. – Co z wami?

Z zebranych tu Monetów tylko Monty nie marszczył brwi. Siedział rozwalony na krześle i próbował ukryć napady śmiechu, które potęgowały się z każdym kolejnym kuflem piwa, jaki w siebie wlewał.

– A nie możecie sobie poświętować w domu? – zapytał Will, zerkając na mnie.

– Może wy poświęćcie sobie w domu? – warknęła Maya.

– My pójdziemy do klubu dla dżentelmenów – zapowiedział Dylan. – Na whisky i cygaro.

Shane z rozmarzeniem pokiwał głową i wrzuciwszy sobie do ust ciasteczko krabowe, mruknął:

– Dobra miejscówka.

– Świetnie, bawcie się dobrze – fuknęła Maya. – My z dziewczynami będziemy w Operze.

– Żałuję, że do was nie dołączę – odezwała się Anja i wstała, odstawiając na blat pusty kieliszek. – Pójdę na górę i zobaczę, czy aby na pewno Lissy współpracuje.

– Jeśli nie współpracuje, to... – zaczął Vince, ale żona mu przerwała:

– Mhm, tak, tak, wtedy postraszę ją tobą.

Vincent skinął głową, najwyraźniej nic sobie nie robiąc ze swojej roli złego gliny. Sama dobrze wiedziałam, że jest w niej najlepszy.

Och tak, wiedziałam o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Dzięki temu czułam jeszcze większą więź z dziećmiakami Vince'a. Sama czasem miałam wrażenie, że jestem jednym z nich. Dlatego tak ich uwielbiałam i się z nimi utożsamiałam. Nawet teraz chętnie wzięłam Michiego na ręce, a on chyba też podświadomie podzielał nasze porozumienie, bo był u mnie wyjątkowo spokojny.

Niania stała obok i patrzyła na mnie z wdzięcznością. Chłopczyk powinien już dawno spać, ale z uwagi na wyjątkowe okoliczności Vince i Anja woleli go przetrzymać, by potem zasnął w samolocie. Z tego powodu teraz nieźle dawał w kość, choć na moich kolanach siedział wytrwale i grzecznie.

– A może my też chcemy pójść później do Opery, co? – kłócił się Dylan.

– Podobno idziecie do innego klubu – odwarknęła mu Martina.

– Na whisky i cygaro. Potem będziemy chcieli sobie poimprezować.

– Jeny, to dołączycie do nas! Pobawimy się chwilę osobno, a potem spotkamy, co za problem? – Maya założyła ręce na piersi.

Dylan zamilkł na chwilę, jakby zdziwił się, że zostało mu podsunięte wyjście z sytuacji, które mu podpasowało. Nie był dobry w kompromisy i zwykle wszystkie z automatu odrzucał, ale do tego pomysłu nie potrafił się przyczepić.

Vincent wstał.

– Tylko poinformujcie menadżera, że się pojawicie. Będą uważniejsi i dokładniejsi w swojej pracy.

Pokiwaliśmy głowami.

– Ja również idę na górę. Przyjdziemy się jeszcze pożegnać.

Zanim Vincent odszedł, w pierwszej chwili obejrzał się na nianię, ale zaraz chyba stwierdził, że raz na jakiś czas nic się nie stanie, jak sam weźmie syna na ręce. Podeszedł do mnie i przejął go sprawnie.

Miał szczęście, bo Michael w porównaniu do Lindsay nie wymagał zbyt wiele uwagi, gdy jego potrzeby były z grubsza zaspokojone. Chłopiec oparł się o ramię ojca i tyle mu wystarczyło – nie potrzebował nawet, żeby ktoś zabawiał go bzdurnym trajkotaniem.

– Jutro poniedziałek – zauważyła Martina. – Czy poniedziałki w Operze są imprezowe?

– Zwykle nie – odparł Will.

– Będzie koncert – odezwał się Harrison, odchrząknawszy. – Rzuciło mi się w oczy, bo akurat przepadam za tym zespołem.

– Jakim zespołem?

– Sweetsi.

– Ekhm, nikt ich nie zna – szepnął do niego Will, zerkając na nasze zdezorientowane twarze.

Harrison oburzył się tak, że aż odstawił lampkę czerwonego wina na stół.

– No dajcie spokój. The Sweet Cheese of Father! Niszowy zespół, ale naprawdę dobry. Ich gitarzysta to geniusz.

Gapiliśmy się na niego z uniesionymi brwiami, aż wreszcie Maya drgnęła i się podniosła. Całe nasze towarzystwo odprowadzało ją spojrzeniem aż do sceny. W swoich szpilkach wspięła się na nią i chwyciła za wsadzony w uchwyt na stojaku mikrofon.

– Uwaga! – zawołała. Lekko się chybotąła i wina miała już dość. Niestety znajdowała się w towarzystwie, w którym nikt nie zamierzał jej hamować. Co najwyżej mogliśmy się nią zaopiekować tak jak Tonym, gdy już przegnie. Jej głos niósł się po całej sali, więc wszyscy goście na nią patrzyli, gdy kontynuowała: – Słuchajcie, jutro imprezujemy w Operze! Wszyscy są mile widziani! Zapraszamy do naszej loży.

– Naprawdę zapraszasz wszystkich do loży? – szepnęłam do niej, gdy wróciła do stolika.

– Oczywiście, że nie. Tak tylko rzuciłam.

Maya nie ufała, że The Sweet Cheese of Father zapewnią wystarczające tłumy w klubie i przez chwilę rozmawiała z Harrisonem, który uparcie bronił lubianego przez siebie zespołu. Nie kłócili się, ale i tak wkrótce wtrącili się Monty i Will, decydując się załagodzić ich dyskusję.

Niedługo potem przyszli się pożegnać z nami Vince z Anją i dziećmi. Rzucili kilka wystudiowanych słów również do pozostałych gości i w akompaniamencie wiwatów odjechali limuzyną, za którą podążyły dwa samochody z nianiami i ochroniarzami.

A my wróciliśmy do zabawy.



Syk tabletki musującej, która rozpuszczała się w szklance wody, to był najczęściej rozlegający się dźwięk w Rezydencji Monetów dzień po weselu Vincenta i Anji.

Co chwilę słyszałam ten charakterystyczny odgłos. Gdy szłam do kuchni, mijałam Shane'a z kubkiem aspiryny w ręce. Na dole spotkałam Harrisona, który właśnie wrócił z Willem z rześkiego porannego spaceru i podawał mojemu ulubionemu bratu szklankę. Potem wpadłam na Monty'ego, który zebrał ode mnie poranny ochran, bo bezmyślnie chciał rozpuścić dwie pastylki naraz, licząc, że szybciej poczuje się lepiej.

Zarzekał się, że robił tak w przeszłości i to działa na niego najlepiej. Staralam się za bardzo nie mądrzyć, bo lekarzem jeszcze nie byłam, ale jako studentka medycyny miałam w tej rodzinie największe pojęcie na temat szkodliwości takich głupot.

Do późnego popołudnia wszyscy zdążyliśmy się ogarnąć, nawet Tony. Na weselu Vince'a podświadomie upił chyba tylko łyk toastu, ale też pozbierał się dopiero pod koniec dnia. Jak tylko stoczył się po schodach do salonu, upewniłam się ponownie, że nie wytatuował sobie oczu, a potem, gdy zobaczyłam, że całkiem nieźle już kontaktuje, nakrzyczałam na niego za jego nieodpowiedzialność i kretynizm.

Życie w rodzinie Monet to jak funkcjonowanie w przedszkolu. Trzeba mieć oczy dookoła głowy, żeby ogarnąć tę dziecinadę.

Miało też jednak swoje korzyści – na przykład gdy odwaliłyśmy się z dziewczynami, zajechałyśmy pod sam klub i powitane zaciekawionymi spojrzeniami stojących w kolejce pod lokalem ludzi weszłyśmy pewnie do środka.

Niepodważalnymi plusami tego, że Monetowie mieli dołączyć do nas później, były te wszystkie bawiące nas, głodne spojrzenia mężczyzn. Nie bali się nas pożerać wzrokiem, bo nie było przy nas nikogo, kto mógłby na to zareagować.

Nie bywałam często w Operze. Vince zaczął pozwalać mi ją odwiedzać, dopiero gdy skończyłam dwadzieścia jeden lat, a i potem nadal miał do tego niechętny stosunek. Mnie również mniej frajdy dostarczało imprezowanie pod okiem braci, zwłaszcza Vince'a, więc w sumie nie miałam jeszcze okazji porządnie wybawić się w tym należącem do Monetów klubie.

Jednak dzięki towarzystwu Mayi i Martiny dzisiejsze wyjście miało potencjał, by stać się wspaniałą nocą. Mogłoby się wydawać, że po weselu najstarszego brata będę potrzebowała spokoju i odpoczynku, ale dwudziestodwuletnia Hailie, która ostatnimi czasy potrafiła łączyć zakuwanie po nocach i wczesne wstawanie na zajęcia wraz z hiszpańskim, bardzo rozwiniętym życiem towarzyskim i nocnym, nie miała problemu z wybyciem dziś na kolejną imprezę.

– Uwielbiam tę lożę – westchnęła Maya, gdy przedarliśmy się przez tłum i po eleganckich krętych schodach wspięliśmy się do najbardziej vipowskiej loży, jaką widział ten świat.

Ukryte za lustrem weneckim obserwowałyśmy i komentowałyśmy ludzi w dole, sącąc drinki, które przyniósł nam jeden z pracowników. Na początku rozkręcałyśmy się we własnym towarzystwie, plotkując i tańcząc same. Później kilka razy zeszyliśmy na dół, żeby wtopić się w tłum. Chciałyśmy zrobić to, jeszcze zanim dołączą do nas panowie Monet.

– Za Martinę i Dylana, najbardziej wybuchową parę, jaką widział ten świat – powiedziała Maya, unosząc kieliszek.

Potem wypiliśmy za Mayę, a potem za mnie.

A potem jeszcze za innych ludzi.

Czas mijał, a my bawiłyśmy się przednio, kręcąc się między parkietem a lożą. Ludzie interesowali się nami, gdy znikaliśmy na chronionych przez klubowego ochroniarza wyjętych z użytku dla zwykłych ludzi schodach.

– Zazdroszczę wam, że już pracujecie – powiedziałam, leżąc na kanapie ze zwisającą z jej brzegu głową, tak że szorowałam włosami po (na szczęście czystej) podłodze.

– Oho – mruknęła Maya.

– To strasznie stresujące – poskarżyła się Martina. Siedziała, z nogą założoną na nogę i wodziła palcem po swoim odkrytym udzie. – Lubię to, co robię, ale czasem tęsknię za swobodą ze studiów.

– Gdybyś pozwoliła Dylanowi zainwestować w swoją firmę, to miałabyś mniej stresu – zauważyła Maya.

– Wiem, ale najpierw chcę spróbować zrobić coś sama. Dobrze mi idzie, tylko ogarnięcie tego wszystkiego jest szalenie trudne. Poza tym nie chcę, żeby potem mógł mi wypominać, że mi pomógł.

– Dylan nigdy by ci tego nie wypomniał – odezwałam się.

– Pewnie nie, ale sama świadomość, że mógłby, na ten moment by mi przeszkadzała.

– Ja to bym oszalała, jakbym miała rozkręcać coś od zera – wyznała Maya. – Dobrze mi z moją rolą szefowej.

– Co ty tak właściwie robisz? – zapytała Martina.

– Zarządzam.

Parsknęłam, wpatrując się w dyskretnie podświetlony bordowymi ledami sufit.

– Tak, ale czym?

Maya wzruszyła ramionami.

– Sprawami firmy.

– Czym zajmuje się twoja firma?

– Różnymi rzeczami.

– Maya?

– Och, projektujemy i sprzedajemy kosmetyki, bieliznę, chyba torebki...

– Nie wiesz, czym się zajmuje twoja firma?

– Musiałabym zerknąć w papierki, sporo tego. Ja tam jestem tylko od mówienia innym, co mają robić.

Wymieniłyśmy z Martiną rozbawione spojrzenia.

– A skoro tobie, Hailie, tak się spieszy do pracy, to trzeba było machnąć sobie jakiś szybki licencjat z, nie wiem, filozofii, a nie uczyć się na lekarza, co zajmie ci średnio jakąś połowę życia.

– Z filozofii?

– Przykładowo mówię.

– Chcę studiować medycynę, podoba mi się to, czego się uczę, tylko jednocześnie chciałabym dawać temu światu od siebie coś więcej już teraz. Czuję, że mogłabym to robić. Mam możliwości jak mało kto, chciałabym je wykorzystywać.

– Ale o czym ty konkretnie mówisz?

– O niczym – westchnęłam. – W tym właśnie problem, nie mam konkretów.

Podniosłam się i odstawiłam pusty kieliszek na stolik. Zerknęłam przez lustro w dół – ludzie powoli tłoczyli się na występ The Sweet Cheese of Father. Prawdopodobnie niedługo mieli zjawić się też Monetowie. Przypuszczałam, że Harrison będzie nalegał, by zdążyli na koncert.

– Idę po drinka – zapowiedziałam.

– Niezłe masz tempo – skomentowała Maya.

– Wypełniam pustkę w duszy – odparłam i zniknęłam za drzwiami łóży, na koniec tylko słysząc, jak moja ciotka rzuca:

– Hailie po alkoholu robi się strasznie dramatyczna.

Daniło automatycznie podążył za mną, ale nie zwróciłam na niego większej uwagi. Za bardzo byłam skupiona, żeby zejść po schodach i się na nich nie wyłożyć w swoich wysokich butach. Żeby bracia Monet nie dostali zawału, sukienka, którą włożyłam – czarna i prosta, przed kolano, za to z koronką przy trójkątnym dekolcie – nie była wyszukana, jednak subtelnie podkreślała moje wdzięki. Lubiłam w dorosłym życiu to, że mogłam nosić ubrania, w których czułam się nawet seksownie.

Przedzierałam się przez tłum ludzi i nie żałowałam, że nie skorzystałam z prywatnego baru, nawet kiedy dopchanie się do lady okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam. Znałam te klubowe klimaty i wiedziałam, że prędzej czy później zdobędę drinka, lubiłam nawiązywać kontakt wzrokowy z barmanem, lubiłam, gdy wybierał, żeby ze wszystkich ludzi w następnej kolejności obsłużyć mnie.

Oczywiście tutaj, gdy barman mnie dostrzegł, obsłużył mnie błyskawicznie, nie dlatego, że przykułam jego uwagę, a przede wszystkim dlatego, że byłam Hailie Monet. Ja też go od razu rozpoznałam. Pracował tu od lat.

– Co podać?! – zawołał, nadstawiając ucho.

– A co polecasz? – odpowiedziałam głośno, z trudem przekrzykując klubowe basy.

– Trwa właśnie godzina „Wpół do Margarity”. – Barman się wyszczerzył. – Czyli każda Margarita za połowę ceny.

– W takim razie poproszę – parsknęłam śmiechem, słysząc tę słabą nazwę.

Zanim barman zdążył zacząć swoją sztukę, popchnęła mnie stojąca obok dziewczyna.

– Przepraszam – mruknęła, zanim zdążyłam ją za to skarcić niezadowolonym spojrzeniem.

– Wszystko okej? – zapytałam, widząc jej puste spojrzenie. Nie wyglądała dobrze. Długie blond włosy, opadające na pobladłą twarz, wydawały się wilgotne, usta ściągała z wysiłkiem.

– Chyba nie – szepnęła cichutko.

Ledwo ją usłyszałam.

– Hej, dajcie wody! – krzyknęłam do barmanów.

Dźgnęłam zajmującego stołek barowy obok mężczyznę.

– Daj jej usiąść – poleciłam mu, a on niechętnie ustąpił.

– O Boże – westchnęła dziewczyna, przysiadając z moją pomocą.

Warczałam na ludzi wokół, by na nią nie napierali, ale w głośnym, tłocznym klubie trudno jest przemówić ludziom do rozsądku.

Na ladzie przed dziewczyną stanęła Margarita. Założyłam na początku, że jest moja. Wyciągnęłam nawet po nią rękę.

– To dla niej – powiedział barman, który podał drinka.

– O. – Cofnęłam dłoń i spojrzałam na potargane włosy dziewczyny, która właśnie ułożyła głowę na blacie. – Ona nie powinna tego pić.

– Zamówiła.

Pojawił się przy nas drugi barman, ten, który przerwał obsługiwanie mnie, by na moją prośbę podać dziewczynie wodę. Patrząc na nią z lekkim współczuciem, postawił obok szklankę. Nieprzesadnym, oczywiście, bo w swojej pracy naoglądał się już gorszych pijaków.

– Hej, masz, napij się – poradziłam nieznajomej, gładząc ją po ramieniu. – Zrobi ci się lepiej.

Dziewczyna uniosła się słabo i wybałuszyła oczy na widok stojącej przed nią Margarity.

– Nie chcę... – jęknęła niewyraźnie.

– No ja myślę, że nie chcesz – mruknęłam, odsuwając od niej kieliszek, a przysuwając bliżej wodę. – Napij się tego. Margaritę wezmę ja.

– Jesteś pewna? Mogę ci zrobić świeżą – powiedział barman, u którego złożyłam przed chwilą zamówienie.

– W porządku, ta też jest świeża. A ja nie lubię marnotrawstwa.

Upijając łyk, nawiązałam kontakt wzrokowy z drugim barmanem, który przygotował drinka. Wpatrywał się we mnie wielkimi oczami. Chyba się stresował, czy

mi zasmakuje.

– Jest świetny – zawołałam do niego, żeby się odprężył. – Nie pożałowałeś soli!

Nie uśmiechnął się. Wyglądał na przejętego, na chwilę zastygł w miejscu. Czoło mu się świeciło, ale w końcu wszyscy barmani się pocili – uwijali się tu jak w ukropie.

Ten jeden jednak wciąż stał nieruchomo. Zerkał to na mnie, to na dziewczynę.

Marszczyłam brwi, ale nie rozumiałam, o co mu chodzi, i nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Skupiłam się na dziewczynie, która prawie wisiała na barze.

– Potrzebujesz iść do łazienki? A może na świeże powietrze? – pytałam, nachylając się do niej.

– Nie wiem... Źle się czuję.

– Pij więcej wody.

– Nie mogę – jęknęła dziewczyna, chowając głowę w dłoniach.

– Czasem tak bywa, jak się przegnie z alkoholem – powiedziałam, uśmiechając się do niej współczująco i zarazem bez skrępowania popijając swoją Margaritę. – Nic ci nie będzie.

– Nie przegięłam.

Z trudem mogłam zrozumieć, co mówi. Jej płaczliwy ton ledwo przebijał się przez panujący wkoło harmider.

– Też tak zawsze mówię – zaśmiałam się.

– ...jednego drinka...

– Co? Nie słyszę. – Nachyliłam się znowu. – Napij się więcej wody... Nie słyszę, co mówisz.

– Wypiłam jednego drinka, coś jest nie tak – westchnęła, po czym posłusznie, acz ślamazarnie przyłożyła usta do krawędzi szklanki. Mrużyła oczy i chyba jeszcze bardziej zbladła na twarzy.

– Co jest nie tak? – Zmarszczyłam brwi.

– Zimno mi.

W wielkim zatłoczonym klubie nie mogłoby być goręcej. Z ustami przyklejonymi do kieliszka rozejrzałam się w poszukiwaniu sama nie wiedziałam czego. Kurtki, którą mogłabym ją okryć, czy czegoś.

– Może jesteś chora? – zasugerowałam.

Wymamrotała pod nosem coś niezrozumiałego.

– Słuchaj, musisz mówić wyraźniej, nic nie rozumiem.

– Ktoś mnie naćpał!

Wybałuszyłam oczy, a potem kieliszek z moją Margaritą zaszurał po ladzie, gdy wraz z nim przysunęłam się do dziewczyny.

– Co ty mówisz?

– Ktoś doprawił mi drinka, jestem pewna...

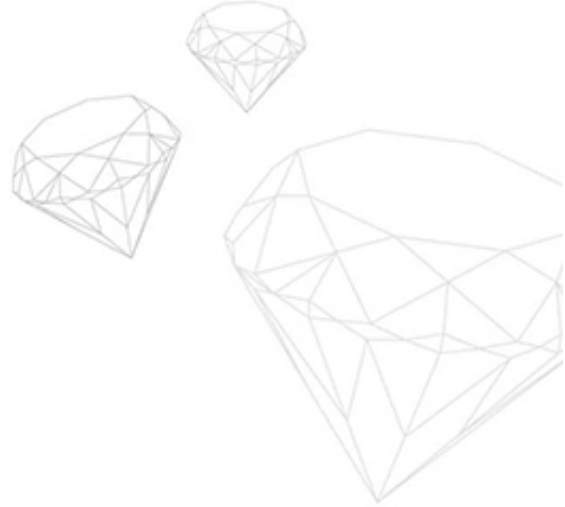
– Kto?! – Włosy opadały mi na twarz, musnęły też buzię dziewczyny, gdy nadstawiałam ucho.

– Nie wiem... – Przytuliła policzek do klejącej się lady. Co chwilę otwierała i zamykała oczy, aż wreszcie wytrzeszczyła je na widok nóżki kieliszka z Margaritą, który przysunęłam jej pod sam nos. – Czekał, nie pij tego!

– Wszystko jest w po...

Urwałam, bo obrzuciłam spojrzeniem swoją piękną Margaritę, którą przejęłam po zaliczającej teraz przy mnie zgon dziewczynie. Następnie uniosłam wzrok na barmanów. Obsługujący mnie wcześniej chłopak zaaferowany był pracą i nie zwracał na nic uwagi. Inny, również w wirze pracy, puścił mi oczko.

A jeszcze inny, ten, który zaserwował stojącą teraz przede mną Margaritę, wydostawszy się poza bar, zniknął właśnie w tłumie.



7

MÓJ CYRK

Wyprostowałam się, czując dreszcze.

– Hej! – wydarłam się, ale mój głos przeraził tylko stojących obok ludzi, ginąc w ogólnym klubowym zgiełku.

Barman zniknął, dziewczyna z powrotem rozlała się na ladzie niczym przewrócony drink, a wszystkich wkoło obchodził tylko czubek własnego nosa. Nikt nie reagował, nikt nie wiedział, co się dzieje.

– Hej! – zawołałam znowu, tym razem do znajomego barmana. – Pomóż jej. Jest odurzona, zabierz ją na zaplecze!

Chłopak, który był właśnie w trakcie przyrządzania szotów, zastygł, w pierwszej chwili nie chcąc przerywać pracy. Przypomniawszy sobie jednak, kto mu za nią płaci, odstawił szejker i posłusznie zaczął okrążyć bar.

Uspokojona, że dziewczyną ktoś się zajmie, rzuciłam się za opuszczającym klub barmanem. Wszystko działało się bardzo szybko, więc dopiero po chwili zniknął mi z pola widzenia. Kierował się do wyjścia. Nadepnęłam komuś na nogę swoją szpilką, gdy się za nim przepychałam. Ktoś za mną przeklął.

Wypadłam na dwór i zatrzymałam się przed klubem, zaskoczona tym, jak jest zimno, a jeszcze bardziej pierwszym tej nocy, silnym zawrotem głowy. Wyciągnęłam na oślep rękę, żeby się czegoś przytrzymać.

Natrafiłam nią na umiejętnie ramię Danilo.

– Pani Monet? Co się dzieje? – zapytał zbity z tropu moim dziwnym zachowaniem.

Przełykałam właśnie ślinę, bo sushi, które zamówiliśmy sobie z dziewczynami na kolację, podeszło mi do gardła. Staliśmy na ulicy, ja zgięta wpół. Noc była ciemna i rozjaśniały ją jedynie światła klubu. Nie wiem, czy to zasługa zespołu, czy marketingu Mai, ale kolejka na ulicy była długa i bardzo tłoczna. Czekaający w niej ludzie wpatrywali się we mnie z rozbawieniem i współczuciem. Niektórzy z obojętnością. Ot, kolejna nawalona laska. Częsty widok pod nocnymi klubami.

Przeniosłam wzrok z ludzi na ulicę. W oddali zniknął tamten barman, byłam pewna, że to jego plecy mi majaczą między zaparkowanymi samochodami, choć musiałam zmrużyć oczy, by je dostrzec.

– Danilo – jęknęłam – biegnij za nim.

– Pani Monet, czy...

– Bez pytań, biegnij za tym barmanem – zawołałam, siląc się na twarde i rozkazujący ton. – Szprycuje dziewczynom drinki, złap go!

Danilo wahał się przez ułamek sekundy, ale widząc, jak w moich oczach zaczyna błyszczeć wściekłość, rzucił się biegiem.

Odetchnęłam uspokojona. Szłam kawałek za nim, ale byłam coraz bardziej skolowana. Prawie skręciłam kostkę, gdy nie zauważyłam krawężnika. Znowu zrobiło mi się niedobrze. Przykryłam usta dłonią. Wzięłam kolejny głęboki wdech. Bycie na zewnątrz mi pomagało, bo zaczęłam się pocić i nie wyobrażałam sobie powrotu do dusznego pomieszczenia. Musiałam chwilę odsapnąć. Jednocześnie szłam za Danilo, a przynajmniej w kierunku, w którym pobiegł. Wolałam oddalić się od ludzi stojących w kolejce; nie chciałam czuć na sobie ich wścibskich spojrzeń.

Zwiesiłam bezsilnie głowę, przed oczami majaczyły mi betonowy chodnik i pusta jezdnia. Kątem oka zauważyłam, że obok mnie zatrzymał się samochód. Drogi i elegancki, jak wywnioskowałam po czystych, błyszczących felgach o klasycznym wzorze i niskoprofilowych oponach. Za dużo czasu spędzałam ze swoimi braćmi, żeby z czasem nie zacząć zwracać uwagi na takie szczegóły.

Przyszło mi do głowy, że to może właśnie oni wreszcie do nas dojechali, ale znając ich nadopiekuńczość, której na przestrzeni lat wcale się nie wyzbyli, to gdyby to byli oni, już by mnie obskoczyli.

Chyba nawet podparłam się ręką o maskę tego samochodu, ale tylko przelotnie, bo szłam uparcie przed siebie, biorąc coraz głębsze hausty powietrza, bo czułam się coraz gorzej. Wystraszyłam się. Czy barman dosypał coś do mojej Margarity? Nie smakowała dziwnie, ale z drugiej strony była dość intensywna.

Serce zaczęło mi galopować tak szybko, że dosłownie usłyszałam, jak tłucze mi się w piersi. Wiedziałam, że powinnam wrócić do klubu, mimo iż na samą myśl o panującym tam gorącu i ścisku robiło mi się słabo. Powinnam iść prosto do łóży, gdzie powiedziałabym, co się dzieje, Mai i Martinie.

Odwróciłam się, próbując postąpić odpowiedzialnie i właściwie, ale tak zakręciło mi się w głowie, że aż jęknęłam i ugięły się przede mną kolana. Dostrzegłam przed sobą niski murek i zapagnęłam na nim przysiąść. Tylko na chwilę, żeby odzyskać równowagę. Dopadłam go, opierając się o niego rękoma, zgięta w pół.

Co się ze mną dzieje?

– Hailie Monet.

Drgnęłam.

Czy to...?

O nie.

Znałam ten głos.

Nie miałam siły się odwrócić. Na moim czole pojawiły się krople potu.

– Czyżbyś wypila za dużo alkoholu?

Pokręciłam głową i jęknęłam, gdy mi się w niej zakręciło. Zaciśnięłam powieki. Zaczynało dzwonić mi w uszach.

– Wzięłaś za dużo narkotyków?

– Nigdy w życiu niczego nie brałam!

Zmartwiłam się tym, ile energii kosztowało mnie wycedzenie tych słów.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem mężczyzna zapytał cicho, poważniejszym głosem:

– Czy ktoś ci coś dosypał?

Milczałam, błagając samą siebie, by nie zwymiotować. Brałam głębokie wdechy. Wciąż podpierając się na murku, usiadłam. Przymykałam powieki i chowałam twarz w dłoniach.

– Naprawdę? – zapytał Adrien Santan po chwili ciszy. W jego głosie pobrzmiwało zdumienie. – Kto, na litość boską, był takim półgłówkiem, żeby otruć Hailie Monet?

– Barman – wystękałam po chwili milczenia.

Unikałam patrzenia na niego, ale po tonie jego głosu niemal usłyszałam, jak unosi brwi.

– Pracujący dla twoich braci?

Wzruszyłam ramionami.

– Drink był dla kogoś innego... – Przechyliłam cały ciężar ciała na bok, podtrzymując się na rękach. Siedziałam, ale wcale nie zrobiło mi się lepiej.

– Aha. – Adrien pokiwał głową. – Rozumiem. Cóż, w takim razie popełnił tak fatalną pomyłkę, że jeszcze trochę i nawet bym mu współczuł.

– Faszkuje kobiety prochami – warknęłam z wysiłkiem. – Nie zasługuje na współczucie ani litość.

– Domyślam się, że nie dostanie żadnego z nich, gdy twoi bracia go znajdą.

Dłoń osunęła mi się z kamienia i upadłabym, gdybym się prędko nie podtrzymała drugą.

Kątem oka widziałam buty Adriena. Zrobił mały krok do przodu, ale zatrzymał się prawie natychmiast, ciągle znajdując się w rozsądnej odległości ode mnie.

– Gdzie oni są? – zapytał niby od niechcienia.

– Kto? – wymamrotałam. Przytuliłam policzek do ramienia. Dostałam dreszczy.

– Twoi bracia.

– Bracia? – powtórzyłam, mrugając. Mój mózg spowijała ciemna gęsta mgła. Przyszła na chwilę. Nie wiedziałam, czy wróci, ale gdy odeszła, uniosłam oczy.

Adrien właśnie się rozglądał. Dłonie trzymał w kieszeniach swojego ciemnego płaszcza. Był dostojny jak zawsze, zupełnie taki, jak go zapamiętałam. Brodę trzymał wysoko, bystre brązowe oczy błyszczały mu w mroku, a czoło nieco mu się marszczyło, gdy przeszukiwał otoczenie wzrokiem.

– Dlaczego nie ma z tobą ochroniarza?

– Goni barmana.

Te słowa sprawiły, że z powrotem skupił na mnie swoją uwagę. Ściągał brwi coraz mocniej, a jego spojrzenie zrobiło się intensywniejsze.

– Słucham?

– Barman uciekł... więc kazałam go złapać.

Podniósł podbródek jeszcze wyżej, wpatrując się we mnie spod przymrużonych powiek.

– I zostawiłaś się bez ochrony?

W jego tonie wyraźnie dało się dosłyszeć wyrzut, jakby potępiał moje decyzje. Zdenerwował mnie tym wystarczająco, bym mimo nudności podniosła na niego wzrok.

– Trzeba złapać bandziora, prawda?

– Skoro pracował w waszym klubie, to śmiem twierdzić, że twoi bracia złapaliby go bez konieczności zabawy w berka.

Nie odpowiedziałam. Adrien za to spał się jeszcze bardziej. Patrzył na mnie z irytacją, której, szczerze, w ogóle nie rozumiałam.

– Ech, Hailie Monet, ciesz się... – zaczął przez zaciśnięte zęby – że to nie moja siostrą jesteś, bo za taką bezmyślność i brak odpowiedzialności zrobiłbym ci piekło.

Zaniemówiłam. Zapatrzyłam się na niego, rozdziawiając lekko buzię i nawet na chwilę zapomniałam, że wypiłam doprawionego prochami drinka.

– Ja... – zawiesiłam głos, totalnie zbita z tropu. – Cóż, na całe szczęście nie jestem twoją siostrą.

Przez moment Adrien świdrował mnie wzrokiem, ale szybko się opanował. Odetchnął i opuścił nieco ramiona, choć byłam pewna, że wciąż schowane w kieszeniach dłonie miał zaciśnięte w pięści. Gdy zobaczyłam, że zaczyna się uspokajać, sama poczułam oburzenie. Wiedziałam, że nie powinien sobie ze mną pozwalać. Nawet jeśli współpracuje z Vincentem, wciąż obowiązują tu pewne zasady.

– I nie masz prawa mówić mi takich rzeczy – wytknęłam mu chłodno.

Na pewno robiłabym lepsze wrażenie, gdybym mogła stać prosto i gromić go spojrzeniem, a nie tak jak teraz, kiedy ledwo utrzymywałam się w pozycji siedzącej.

– Prawo, Hailie Monet, mnie nie interesuje.

– Vincent nie będzie zadowolony, kiedy powiem mu, jak się do mnie odnosisz.

– Vincent będzie zajęty wygłaszaniem ci kazania na temat tego, że w ogóle dopuściłaś do tego, iż mogę tu przed tobą stać i w ogóle jakkolwiek się do ciebie odnosić.

Westchnęłam. Znowu wzięło mnie na wymioty, więc zacisnęłam na chwilę zęby i nie mając lepszego pomysłu, burknęłam:

– Idź sobie.

– Jeśli pójde, zostaniesz tu sama – ostrzegł. – Odurzona i bezbronna.

– Na nikogo gorszego niż ty nie wpadnę.

– Zrobiłaś się bardziej pyskata, Hailie Monet, ale nie zmaźrzałaś.

– A ty nie przestałeś być bezczelny – odwarknęłam i zaraz schowałam twarz w dłoniach, bo tak źle się poczułam.

Oprócz objawów fizycznych atakowały mnie też te psychiczne. Przez chęć wymiotowania i pocenie się czułam się mało atrakcyjna, a to z kolei podkopywało moją pewność siebie, która była bardzo ważną bronią w starciach z Adrienem Santanem.

Spróbowałam się wyprostować, ale wtedy obraz przed moimi oczami się rozmył, a potem nagle ktoś wyłączył światło. Na ułamek sekundy. Tak mi się wydawało, bo choć była noc, to przez jedną, błyskawiczną i przerażającą chwilę nie widziałam nic. Gdy odzyskałam wzrok, zacisnęłam powieki.

Adrien znowu minimalnie się poruszył.

– Nie masz przy sobie telefonu? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Nadajnik?

– Mhm.

– Gdzie są twoi bracia?

– Mają dołączyć do nas później – westchnęłam, masując powieki.

– Do kogo?

– Do mnie, Mai i Ma... – Przykryłam usta dłonią, bo ciągle było mi tak strasznie niedobrze!

Maya i Martina – powinnam do nich iść. Przebywanie w pustawej uliczce z Adrienem nie wydawało się bezpieczne. Powrót do klubu, choć w mojej głowie wiązał się z torturą, był jedynym właściwym wyborem. Dziewczyny mi pomogą.

Wstałam.

Zbyt gwałtownie, bo abstrahując od swoich szpilek, w głowie miałam taki bałagan, że natychmiast ugięły się pode mną kolana. Ulica podskoczyła i z niemym krzykiem runęłam. Upadłabym, gdybym w ostatniej chwili nie podtrzymała się murku, na którym przed sekundą siedziałam.

Zmełam w ustach przekleństwo. Myślałam, że się popłaczę. Sfrustrowana, przestraszona i zażenowana uniosłam wzrok na swojego towarzysza.

Znowu zdążył się poruszyć. Stał teraz dość blisko mnie. Dłoni nie trzymał już w kieszeniach. Unosił je właśnie na wysokość ramion, jakby najpierw chciał je wyciągnąć przed siebie, ale w ostatniej chwili zabrał je jak najdalej. Ode mnie.

Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy, a wtedy Adrien zacisnął szczękę i cofnął się, prychnąwszy z irytacją. Uniesione dłonie złożył w pięści. Nie wiedziałam, czym się tak denerwował, ale nie interesowało mnie to. Zachowywał się dziwnie, a to przecież ja byłam naćpana.

Nieważne, miałam większe problemy niż on.

Chciałam z powrotem przysiąc, ale czułam się tak słabo, że trudno mi było zmusić mięśnie do pracy.

– Hailie!

Przymknęłam powieki. Na tym etapie nie wiedziałam już, czy mam omamy, czy to faktycznie Shane właśnie mnie zawołał.

– Odsuń się od niej!

– Co robisz?!

– Co z nią?!

– Hailie!

Głosy były coraz wyraźniejsze. Uniosłam wzrok, akurat gdy bracia Monet dobiegali do miejsca, w którym zwijałam się pod wpływem narkotyków ze stojącym nade mną Adrienem.

Wszyscy z ekipy Monet się odwalili, co widziałam, już zanim wyszli do klubu dżentelmenów. Wtedy byli weseli i gotowi na kolejną dawkę dobrej zabawy. Na pewno takową dostali, ale teraz na twarzach każdego z chłopaków malowało się przejęcie. Stroszyli brwi, oczy błyszczały im intensywnie, a mięśnie napinały się złowieszczo.

Pierwszy doskoczył do mnie Will. W porównaniu do czającego się Adriena, od razu pokazał, z jaką swobodą się ze mną obchodzi – podtrzymał mnie, posadził na murku i nie wypuszczając mnie z ramion, usiadł obok. Podpora w osobie mojego ulubionego brata była niezastąpiona. Nie tylko poczułam się zaopiekowana, ale i bezpieczna. Nawet narkotyki nie mogły zrobić mi krzywdy, skoro przy mnie czuwał Will.

Z drugiej mojej strony stanął Shane. Odgarniał moje włosy z twarzy i obaj bracia patrzyli na mnie, szukając odpowiedzi na pytanie, co jest przyczyną mojego osłabienia i podejrzanego zachowania.

– Co jest?! Co z nią?! – krzyczał Dylan.

Stał naprzeciwko nas, blisko Adriena, i świdrował mnie wzrokiem, podminowany jak nigdy.

– Hailie, co ci się stało? – pytał z powagą Will. Poczułam jego dłoń na czole. Zabrał ją zaraz tylko po to, by zarzucić mi na ramiona swoją marynarkę.

– Jest pijana? – zapytał Tony, wyciągając wytatuowaną szyję i ściągając brwi.

– Nie... – odparłam cichutko, przytulając policzek do ramienia Willa.

– Co? – szczerknął Dylan. – Co ona powiedziała?

– Powiedziała, że nie.

– Jak to: nie?!

– Widać, że jest pijana przecież.

– Hailie? – Will nachylił się nade mną. – Skoro nie jesteś pijana, to co się z tobą dzieje?

– ...dosypał do drinka...

Ramię mojego ulubionego brata, którym mnie obejmował, zeszywniało.

– Co ona mamrocze?! – warknął Dylan.

– Dosypał? – wyłapał Tony.

– Malutka? – Ton Willa brzmiał teraz dużo chłodniej. – Co ty mówisz?

Naszła mnie kolejna fala mdłości i skupiłam się na tym, żeby nie zwymiotować na jego wymuskaną koszulę.

Niestety bracia Monet nie służyli z cierpliwości. Co więcej, niektórzy – na przykład Dylan – znani byli z porywczosci. Mój impulsywny brat nie zastanawiał się długo i skierował swój gniew na jedyną osobę w zasięgu wzroku, którą mógł oskarżyć.

Adrienowi oberwało się morderczym spojrzeniem nie tylko zresztą od niego. Cała czwórka braci Monet wbiła w niego wzrok tak mroczny, że tylko mężczyzna o takiej pozycji, charakterze i doświadczeniu jak Adrien Santan mógł to znieść ze spokojem.

– Adrien, czy mógł... – zaczął Will, siląc się na spokojny ton, ale nie miał okazji dokończyć.

Nie miał, bo w tym samym momencie Dylanowi puściły wąż i tak hamulce. Jego ciężka pięść wylądowała na twarzy Adriena.

A potem, bez chwili namysłu czy refleksji, Dylan obrzucił go bardzo wulgarnym wyzwiskiem i przyszykował się do kolejnego uderzenia.

– Zatrzymajcie go! – ryknął Will i nawet puścił mnie, by samemu skoczyć na równe nogi.

– To nie on! – wydarłam się najgłośniejszym głosem, jak potrafiłam. Mówiłam niewyraźnie, ale chyba zrozumieli.

Tony z drobnym opóźnieniem rzucił się na naszego brata, a to dlatego, że sam ledwo się opanował, by do niego nie dołączyć. Udało mu się jednak powstrzymać Dylana.

– Idioci – syknął Adrien, przykładając dłoń do mocno zaczerwienionej szczęki.

Uderzenie na moment go zamroczyło, ale nie wybiło z równowagi zupełnie. Zresztą sprawa z Adriem była taka, że miał on ze sobą ochroniarza i kolejny dźwięk, który mnie wystraszył, zaraz po łupnięciu pięści Dylana, to odgłos odbezpieczanego pistoletu.

Ochroniarz Adriana wycelował w naszego narwanego brata.

Wydałam z siebie zduszony okrzyk.

Adrien pocierał obolałe miejsce i gromił wzrokiem Dylana, który chyba nareszcie powoli łapał, że sytuacja zrobiła się poważna, bo trochę się cofnął.

– Panie Santan? – Ochroniarz Adriana pytał o instrukcje, nie odrywając oczu od swojego celu i nie przestając trzymać Dylana na muszce.

Adrien analizował sytuację. Był wściekły. Widziałam to po jego pociemniałej twarzy. Na palcu dłoni, którą gładził szczękę, błyszczał sygnet. Widoczny idealnie, jakby prezentowany celowo, by wypomnieć Dylanowi, jak wielki błąd właśnie popełnił.

Nie ogarniałam dokładnie zawitych zasad Organizacji, ale te podstawowe znałam całkiem dobrze. Nie wolno było naruszać nietykalności cielesnej członków Organizacji. Vincent nie znalazłby litości dla tego, kto by go uderzył. Podejście Adriana prawdopodobnie było takie samo.

Will szarpnął Dylanem i zakrył go własnym ciałem, unosząc dłoń na wysokość barków. Ze skupieniem wpatrywał się w Adriana, jakby próbował przemówić mu do rozsądku, mimo iż to ochroniarz trzymał pistolet.

– Adrien, to nieporozumienie – powiedział wolno i wyraźnie.

– Zdecydowanie – odparł Adrien z czystą złością w głosie.

Dylan mrugnął parę razy, jakby był w szoku. Wiedział, że popełnił dużą pomyłkę i chyba chwilowo nie potrafił jej udźwignąć. Próbował przyswoić, że uderzył członka Organizacji, że ochroniarz mierzy do niego z broni, że Will go osłania...

Shane drgnął, a potem z uniesionymi rękami stanął przed Willem.

– Nie chcemy spiny – powiedział.

– Nie? – prychnął bez rozbawienia Adrien. – Dlatego wasz dumny brat wyskoczył na mnie z pięściami?

– Zjeżdżaj, Shane – syknął Will.

Złapał go za ramię i spróbował odepchnąć na bok, żeby wciąż stać jako pierwszy na linii strzału, ale Shane się zaparł.

– Sam zjeżdżaj – odpyskował.

Tony rzucił się przed swojego bliźniaka.

– Co robisz, debilu? – Shane szarpnął nim, ale Tony nie dał się popchnąć.

– Spadaj.

– Ty spadaj.

Adrien patrzył na braci Monet z konsternacją i lekko uniesionymi brwiami. Nie wiedział, co się dzieje i jak na to reagować. Próbował być poważny, ale przychodziło mu to z trudem. To było tak, jakby na pogrzebie puszczono kabaret. I choć nie było mu zdecydowanie do śmiechu, to nie dało się ich traktować serio.

Nawet ochroniarz Santana, choć pistoletu nie opuścił, to zerknął zdezorientowany na swojego pracodawcę.

Wtedy, na drżących nogach, podniosłam się ja. Ledwo stawiałam kroki, ale panowie całe szczęście szamotali się tuż obok, więc zaledwie kilka starczyło, by się do nich zbliżyć. Zanim ktokolwiek ogarnął, co się dzieje, stanęłam przed Tonym. Musiałam zacisnąć palce na jego koszulce, by się podtrzymać, ale najważniejsze było to, że udało mi się zakryć go swoim ciałem.

– Ej! – huknął Dylan.

– Zabierzcie ją! – warknął Will.

– Co ty wyprawiasz?!

– Stójcie! – zawołałam, siląc się na mocny ton. – Czekaście!

Adrien opuścił dłoń, chyba nie dowierzając w ten cyrk. Ja sama nie dowierzałam, mimo że brałam w nim udział.

Bo to był w końcu mój cyrk.

– Przepraszam za nich, to nieporozumienie... – powiedziałam do Adriena, podtrzymywana teraz przez Willa.

Udało mi się wyrwać i znowu stanęłam przed chłopakami. Kręciło mi się w głowie, ale całą energię poświęcałam na zapobiegnięcie katastrofie.

Kątem oka dostrzegłam lufę pistoletu i wzięłam drżący wdech.

Adrien chyba nie kazałby nikogo zastrzelić tylko dlatego, że dostał w twarz od Dylana, prawda?

Prawda?

On cmoknął z niezadowoleniem, dezaprobatą, frustracją i tym podobnymi uczuciami.

– Odsuń się, Hailie Monet – powiedział złowrogo. – Z całej tej waszej wesołej ferajny ty najmniej zasługujesz na kulkę.

– Więc powiedz ochroniarzowi – wydusiłam – żeby przestał we mnie celować.

– Za błędy trzeba płacić. Twój bracia to wiedzą.

Uniosłam drżącą brodę.

– Więc ja zapłacę.

– Spadaj, Hailie – warknął Dylan, rzucając się do mnie.

Nie on jeden. Dłoń Tony’ego zacisnęła się na moim ramieniu, Will wystąpił przed szereg, Shane kazał siadać mi z powrotem na murku, a Adrien wznosił oczy do góry i wreszcie machnął na ochroniarza ręką.

Znieruchomieliśmy wszyscy.

Broń opadła.

Odetchnęłam.

Nie opadło z nas jeszcze całe napięcie, ale z pewnością w każdym z nas wezbrała ulga. Shane i Tony bez słowa pociągnęli mnie do betonowego murku, Dylan przełknął ślinę, a Will przymknął powieki.

– Dziękuję – powiedział.

– Będę oczekiwał wyjaśnień tego incydentu od Vincenta – zapowiedział Adrien.

– Dylana poniosły emocje, powinien być lepiej nad sobą panować.

– Nie interesuje mnie, jaką macie wymówkę. Już raz odpuściłem waszej rodzinie zniewagę – mówiąc to, Adrien zerknął przelotnie w moją stronę. – Moja wyrozumiałość ma swoje granice.

– Jeszcze raz przepraszam. Z uwagi na wydarzenia z przeszłości wszyscy jesteśmy szczególnie wyczuleni na kwestię bezpieczeństwa Hailie. Dylan działał pod wpływem impulsu. Zrobimy wszystko, by więcej się to nie powtórzyło.

Adrien łykał na niego przez chwilę, aż w końcu burknął:

– Lepiej, żeby tak było.

Zanim odszedł, rzucił mi ostatnie spojrzenie, na koniec odrywając je ode mnie z tak wyraźną irytacją, że chyba bym go o to spytała, gdybym nie miała większych zmartwień.

Przypadkowo mój wzrok padł na idących właśnie w naszą stronę Mayę, Monty'ego, Martinę i Harrisona. Wszyscy zatrzymali się niedaleko, nie chcąc chyba mnie osaczać. Patrzyli, jak bracia Monet rzucają się do mnie, każdy z innej strony.

– Jest odurzona – wyjaśnił im Shane.

Maya zerknęła za odchodzącym Adrienem, ale wybałuszone spojrzenie szybko przeniosła na mnie. Monty marszczył brwi z rzadko spotykaną u siebie powagą na twarzy. Martina zakrywała usta, a Harrison przyglądał mi się ze współczuciem.

– Przez kogo? – warknęła Maya. – Chyba nie...

– Nie, nie Adrien – uciął Will przez zaciśnięte zęby. – Hailie, powiedz nam. Kto?

– Barman.

Rozległy się oburzone okrzyki, przekleństwa, a nawet groźby śmierci.

– Powinnaś zwymiotować – poradził mi Will, delikatnie głaszcząc mnie po plecach.
– Może spróbujesz?

Pokręciłam głową, ale Will lubił w sposób dyskretny zawsze stawiać na swoim, więc podniósł się i delikatnie podciągnął mnie za sobą do pozycji stojącej. Zaprowadził mnie kawałek dalej, żebym nie musiała tego robić na oczach publiczności.

Okazało się, że wcale nie muszę się zmuszać, bo towarzyszące mi ciągle mdłości zrobiły swoje i gdy tylko dałam organizmowi zielone światło, zwymiotowałam. Will mnie przytrzymał, bym nie upadła, łagodnie przemawiał do mnie o miłych rzeczach i nawet podał mi chusteczkę.

Ktoś podtrzymał moje włosy i dopiero po chwili się zorientowałam, że przylazł tu za nami Tony. Obracał się i krzywił jak wtedy, gdy kupował mi podpaski, ale dzielnie stał obok i pilnował, żebym się nie ubrudziła.

Gdy wróciłam na miejsce, czekała już na mnie butla wody, którą zorganizował Monty. Dylan był tak podenerwowany, że stał cały spięty, choć jego twarz wyrażała tylko strach i przejęcie. Martina trzymała go za rękę i kciukiem gładziła wierzch jego dłoni.

– Kurwa, jestem idiotą, jestem idiotą – powtarzał.

– Stary, przestań – powiedział do niego Shane.

– Gdybyś ty się na niego nie rzucił, ja bym to zrobił – dodał Tony.

– Spokój – zarządził Will. – Nie będziemy teraz drażnić tego, co się wydarzyło z Santanem. Mamy inne sprawy na głowie. Trzeba zabrać Hailie do domu. Cała jest rozdygotana.

Shane zdjął mi ze stóp szpilki. Chwilę walczył z maleńkimi zamkami, ale udało mu się je rozpiąć i potem zaniósł je za mną aż do rezydencji.

Will zaś wziął mnie na ręce. Pocałował mnie w czoło i co jakiś czas mówił jakieś uspokajające błahostki. Dopiero gdy przemówił wyjątkowo chłodnym głosem, rozbudziłam się nieco znowu. Oczywiście nie mówił wtedy do mnie.

– Danilo, co z tobą? Kto to jest?

– Pani Monet kazała mi go złapać – odparł uprzejmie mój ochroniarz.

– O mój Lordzie! – zawołała pełnym dramaturgii głosem Maya. – Czy to ten barman?!

Leżałam w ramionach Willa i nie otwierałam oczu, ale to, co słyszałam, wystarczyło, bym zrozumiała, co się dzieje.

– Dylan, zostaw go! – warknął Will. – Hej! Monty!

– Ja nie wiem, o co chodzi! – Ten głos był nieznajomy, zgadywałam więc, że należał do mojego truciela. Zaraz jednak umilkł, bo któryś z moich braci uderzył mężczyznę i ten stracił przytomność.

– Monty, zabierz go, wiesz gdzie – rzucił Will.

– Tak jest, młody – odparł wujek tonem zdradzającym, że jest w pełnej gotowości do wykonania brudnej roboty. – Te, ochroniarzu, weź go tam złap za kostki, hm?

– Czekaj. Najpierw chciałbym usłyszeć od Danilo, dlaczego zostawił naszą siostrę i pobiegł za barmanem.

– Takie dostałem instrukcje od pani Monet, panie Monet.

– Rozumiem – wycedził Will i wydawało mi się, że mięśnie mu się napięły, więc tym bardziej nie planowałam otwierać teraz oczu.

Wolałam nie brać udziału w tej rozmowie.

– Czy coś zrobiłem nie tak?

– Nie, Danilo – uciął Will oschle.

– To my pogadamy sobie z panią Monet na temat instrukcji, jakie rozdaje – warknął Dylan.

Zacisnęłam powieki jeszcze szczelniej.

A wtedy, nawet nie wiem jak, zasnęłam.

Może straciłam przytomność? Może prochy tak mnie otumanily, że gdy nazajutrz się obudziłam, nie pamiętałam powrotu do domu?

Bracia Monet na pewno szybko zorganizowali auto i kierowcę. Zorganizowali też lekarza, który w środku nocy przyjechał do rezydencji, podobno mnie przebadał i przekonał ich, że działanie narkotyku należy przeczekać.

Liczyłam, że oznaczało to, że sen załatwi sprawę, ale rano powitały mnie olbrzymi ból głowy i jeszcze większe dziury w pamięci. Rany, co za fatalne uczucie.

Podczas gramolenia się z łóżka, wycieczki do łazienki, prysznic, przebierania się i schodzenia na dół przywoływałam pamięcią różne wydarzenia z wczorajszej nocy i bawiłam się w układanie ich w kolejności chronologicznej, a także analizowanie ich autentyczności.

Szybko przestałam, bo nic nie wydawało mi się prawdopodobne.

Odurzył mnie barman?

Wpadłam na Adriana Santana, z którym Dylan prawie rozpętał wojnę?

Błagałam, żeby to był tylko zły sen.

Niestety, gdy zesłam na dół, okazało się, że z poranka zrobiło się popołudnie. Spotkałam w salonie całą swoją rodzinę, która siedziała rozwalona po całym pomieszczeniu. Wszyscy skupiali się na telefonie, który stał na środku na stoliku kawowym.

Zasypano mnie gradem pytań o moje samopoczucie. Pozwoliłam okazać sobie troskę, nawet jeśli była nadmierna, i podziękowałam wszystkim za pomoc.

– Dlaczego wszyscy gapią się na tę komórkę? – zapytałam, sama mierząc ją wzrokiem.

– Lada moment ma zadzwonić Vince – odparł Will.

– Oczekujemy grupowego ochrzczania – dodał Shane.

No i ze swoim szczęściem długo czekać z nimi nie musiałam, bo ledwo usiadłam, a telefon zadzwonił.



8

ZŁOTE MYŚLI

Jeden dzień.

Milczeliśmy.

– Czy dobrze rozumiem, że nie ma mnie w domu jeden dzień, a moje rodzeństwo prawie rozpętuje wojnę z jednym z członków Organizacji?

Każde z nas wbijało oczy w podłogę, bo nawet przez telefon czuliśmy na sobie chłodne spojrzenie Vincenta.

– Hailie i Dylan, do was zwracam się przede wszystkim. Jesteście tam?

Nawiązałam kontakt wzrokowy z naszym wrednym bratem. Z pewnością miałam zmęczone i podkrążone oczy, ale Dylan wyglądał chyba jeszcze gorzej ode mnie, a jego przecież nikt nie naćpał.

Miał zgarbione ramiona, splecione dłonie przystawiał do ust, a czoło marszczył. Rzadko bywał tak poważny i spięty. Wiedziałam, że obwinia się o swoją porywczność.

– Mhm – mruknęłam, nie kłopotząc się, by nachylić się do słuchawki.

– Jesteśmy – dodał cicho Dylan.

– Dobrze. – Vince na chwilę zamilkł. – Na początek chciałbym zadać pytanie skierowane do wszystkich. Dlaczego nie poinformowaliście menadżera, że będziecie w klubie, tak jak was instruowałem na weselu?

Moment ciszy.

- Myślałyśmy, że chłopcy się tym zajmą – odparłam, zerkając na braci.
- My myśleliśmy, że dziewczyny to ogarną. W końcu szły tam pierwsze – powiedział Shane.

Zmierzyliśmy się spojrzeniami. Rozmowa z Vincentem to pole bitwy, na którym brakuje miejsca na siostrzano-braterską solidarność. Tutaj walki były krwawe i bezlitosne.

– To był wasz pierwszy błąd. Gdyby w klubie wiedzieli, że przyjdziecie, żaden barman nie odważyłby się doprawiać drinków niebezpiecznymi substancjami.

– Eee... – wtrąciłam – nie rozumiem. Wtedy nadal byśmy nie wiedzieli, co ten barman wyprawia. Chyba lepiej, że go złapaliśmy, prawda?

– Nie, kiedy odbyło się to kosztem zdrowia i bezpieczeństwa mojej siostry.

Surowość przebijająca z jego głosu zmusiła mnie do ponownego spuszczenia wzroku na swoje kolana i wymamrotania tylko:

– Nic mi nie jest.

– Nie wspominając już, że doprowadziło to do incydentu z Santanem. Możecie mi wyjaśnić, jak, na litość boską, do tego doszło?

– Bo...

– No bo chodzi o to, że...

– Jakby...

– Ja zjebałem, Vince – przemówił Dylan, wzdychając głęboko.

– Tak słyszałem – odpowiedział mu chłodno.

– To naprawdę wyglądało, jakby Adrien skrzywdził Hailie, wszyscy tak pomyśleliśmy – wtrącił się Will. – Dylan po prostu zareagował pierwszy...

– To bardzo mierne wytłumaczenie – stwierdził Vincent. – Dylan, jesteś dużym chłopcem i miałeś mnóstwo czasu, żeby nauczyć się, by najpierw myśleć, a potem robić. Ty z kolei, Will, powinienesz być nad nim zapanować.

Will milczał.

– Zapanował przecież! – Shane zmarszczył brwi, patrząc na leżący na stole telefon.

– Właśnie, od razu zaczął się na mnie drzeć.

– Skoro zdążyłeś uderzyć Santana, to oznacza, że nie zapanował. Na przyszłość, Will, zapamiętaj, że nasze rodzeństwo to często dzicz, dlatego trzeba mieć zawsze rękę na pulsie.

Will miał zaciśnięte usta, ale kiwał głową, skupiony na wypowiedzianych surowym głosem słowach Vince'a.

– To nie jego wina! – zawołałam z oburzeniem.

– Tak, Hailie, teraz przejdziemy do ciebie. W pierwszej kolejności powiedz mi, proszę, jak to się stało, że wypijaś cudzego drinka?

– Nie było cię tam, więc nie wiesz, jak to wyglądało – mówiłam. – To była świeżo przyrządzona Margarita, którą przejęłam od barmana, bo dziewczyna, która ją zamówiła, źle się czuła. Skąd miałam wiedzieć, że jeden z twoich pracowników to idiota, który dorzucił tam prochy?

– Nie wiesz, że ostrożności nigdy za wiele?

– Wiem, ja...

– Nie wiesz – odpowiedział za mnie Vince. – Inaczej nie posłałabyś w pogoń za barmanem swojego ochroniarza.

– Chciałam, żeby...

– Nigdy – tu jego ton zabrzmiał dużo mroczniej – powtarzam: nigdy nie masz prawa pozbawiać się ochroniarza, choćby nie wiem, co by się działo. Zdaje mi się, że już ci o tym mówiłem.

– Tak, ale to była wyjątkowa sytuacja...

– Adrien Santan znalazł cię samą i odurzoną na jednej z ulic w pobliżu klubu. – Vince teraz cedził słowa przez zęby. – Adrien Santan.

– Nie wiem, skąd się tam wziął.

– Nieistotne. O tak abstrakcyjnej sytuacji nawet by mi się nie przyśniło. Nie zdajesz sobie sprawy, moje drogie dziecko, jak blisko jestem ściągnięcia cię z powrotem na stałe do Stanów.

Świdrowałam telefon wzrokiem.

– Bez sensu – odezwałam się z wyrzutem. – Gdy imprezuję w Europie, takie rzeczy mi się nie przytrafiają. W kłopoty wpadam tylko w Stanach.

– I jedynie dlatego na razie się wstrzymam, jeśli jednak znowu zrobisz coś, co mnie zaniepokoi, nie będę miał skrupułów. Rozkażę ci wrócić do Stanów i ulokuję na jednym z tutejszych uniwersytetów.

– Nie groź mi, Vince – powiedziałam z irytacją. – Jestem już pełnoletnia, nie możesz mnie zmusić do powrotu.

Kątem oka wylapałam, jak Shane i Tony zaczęli energicznie kręcić głowami, jakby chcieli ostrzec mnie przed obieraniem tej ścieżki.

– Mylisz się, Hailie. Do dwudziestego czwartego roku życia nadal kontroluję twoje konta.

– I co, przestaniesz płacić mi za studia? – prychnęłam.

– Na przykład.

Pstryknęłam palcami.

– Tak, o, mogłabym zdobyć stypendium.

Na ustach Tony’ego zagościł szeroki uśmiech. Wiedziałam, że jest największym fanem przysłuchiwania się takim pyskówkom.

– Stypendium nie pokryje kosztów twojego wygodnego i, co za tym idzie, drogiego życia, do jakiego na przestrzeni ostatnich lat przywykłaś.

– Kiedyś nie miałam pieniędzy, więc wiem, jak to jest – burknęłam, założywszy rękę na piersi. – Poradziłabym sobie.

– Może.

Oblizalam wargi, wpatrując się z niechęcią w telefon. Dobrze, że Vince był na Hawajach, bo gdyby stał teraz przede mną, to musiałabym użyć naprawdę sporo energii, by nim nie potrząsnąć.

– Chłopcy by mi pomogli – odezwałam się po chwili.

Nikt nie zaoponował, więc kontynuowałam:

– Oni dawaliby mi pieniądze. Też mają ich dużo. Nie możesz zablokować dostępu do kont nam wszystkim.

Teraz już nie tylko na ustach Tony’ego majaczył złośliwy uśmieszek. W ten sposób moją waleczność w dyskusji z Vince’em skwitował też Shane. Nawet Dylan, mimo podłego nastroju, uniósł kącik ust do góry. Tylko Will spojrzał na mnie ostrożnie, jakby lekko mnie upominając, ale ja wiedziałam, że gdybym została odcięta od źródelka Monetów, on jako pierwszy zrobiłby mi duży przelew.

– Hailie. – W głosie Vince’a słyszałam irytację, ale kontrolowaną, daleko więc mu było do wściekłości. – Zamiast dyskutować, obiecaj poprawę.

Przez chwilę miałam ochotę triumfować albo jeszcze trochę się z Vincentem podrażnić, ale wiedziałam, że on też ma swoje granice i rozsądniej byłoby ich nie przekraczać, skoro udało mi się tego nie zrobić do tej pory, więc tylko mruknęłam:

– Okej.

- Pilnuj, żeby Danilo zawsze był przy tobie. Łapanie złoczyńców zostaw nam.
- Dobrze, Vince.
- Dylan, teraz ty.

Wszyscy przenieśliśmy spojrzenia na Dylana, który schował twarz w dłoniach i ciężko westchnął:

- Wiem, Vince, muszę się ogarnąć.
- To niedopowiedzenie – warknął Vincent o wiele ostrzej, niż gdy zwracał się do mnie. – Atak na Adriena to był idiotyzm, jego ochroniarz trzymał cię na muszce i wiesz dobrze, że miał do tego pełne prawo.
- Przecież by nie strzelił – powiedziałam. – Nie za taką głupotą.
- Nieistotne. – Głos Vince’a znowu stał się złowieszczy. – Dylan swoją nieodpowiedzialnością dał Santanowi legalne przyzwolenie do zrobienia sobie krzywdy. Rozmawiałem z nim, był wściekły. Niestety muszę przyznać, że nie można mu się dziwić. I tak jest uprzedzony do naszej rodziny, niebezpiecznie jest dawać mu więcej powodów do niechęci.
- To się nie powtórzy – obiecał Dylan, pokornie jak nigdy.
- Z pewnością nie w najbliższej przyszłości, bo na tę chwilę jesteś odsunięty od biznesu.

Głowa Dylana wystrzeliła do góry, z ust bliźniaków zniknęły uśmieшки, a ja i Will zmarszczyliśmy brwi.

- Co?
- Słyszysz przecież, co mówię.
- I co ja... Co ja mam niby robić?! – Teraz w głosie Dylana pobrzmiwała panika.
- Zrobisz sobie przerwę, którą wykorzystasz na naukę radzenia sobie z emocjami.
- Przecież nie musisz mnie od razu odsuwać od interesów! – Dylan zerwał się na równe nogi i zacisnął dłonie w pięści.
- Nie muszę, ale robię to. – Vince zamilkł na chwilę, po czym dodał: – To warunek Adriena.
- I tak, o, się go posłuchasz?!
- Dylan, zmień ton – warknął Vincent. – Posłucham się go, bo tak należy. Niestety, ale nie jestem w dobrej pozycji negocjacyjnej, i to głównie dzięki tobie. Ciesz się, że kończy się to w ten sposób, bo mogło być dużo gorzej.

W mniemaniu Dylana najlepszym sposobem na zapanowanie nad emocjami była ucieczka od nich, dlatego wyszedł z salonu zamaszystym krokiem, udowadniając po części, że Vincent ma rację.

Grupowe kazanie trwało jeszcze kilka dobrych minut, aż przeszkodziła nam Anja. Planowali na ten dzień całodniową wycieczkę do oceanarium. Zawsze uśmiechałam się, gdy słyszałam, że mój najstarszy brat bierze udział w tego typu rodzinnych aktywnościach. Na co dzień, jako zapracowany dorosły, nie robił tego często, ale miło było wiedzieć, że część miesiąca miodowego poświęca na rozrywki ze swoimi dziećmi.

Will zabrał telefon, gdy głosami pełnymi skruchy życzyliśmy Vincentowi udanych wakacji, a potem połączenie się skończyło. Od razu się wyluzowaliśmy. Ja odetchnęłam i opadłam na oparcie kanapy. Tony już wcześniej się o nie opierał, ale teraz potarł też powieki, a Will oblizwał wargi.

– Nie było tak źle – skwitował Shane.

– Nie przejmuj się – szepnęłam do Willa, widząc jego zmartwioną minę. Objęłam go za ramiona. – Wiesz, jaki jest Vince.

– Najbardziej wkurwiony jest na siebie – stwierdził Tony. – Że coś się dzieje, a go tu nie ma, i tak dalej.

– Nikt nie potrafi panować nad Dylanem, więc nie wiem, czego on od ciebie oczekiwał. Sam miałby z tym problem. Vince to Vince, zawsze wymaga niemożliwego.

– Mam przeczucie, że gdyby był wtedy z nami, potrafiłby przewidzieć, że Dylan robi głupotę – wyznał Will ponuro.

Przechyliłam głowę, ale nie wiedziałam, jak go przekonać czy pocieszyć, więc tylko przytuliłam go mocniej.

– Jak ty się czujesz, malutka?

Wzruszyłam ramionami.

– Jakbym miała wyjątkowo paskudnego kaca.

– Pij dużo wody.

– Mhm.

Na razie trzymałam głowę na ramieniu Willa i było mi tak wygodnie, że nie zamierzałam się ruszać, ale nie musiałam. Tony rzucił mi nieotwartą butelkę. One wszędzie się tu walały, szczególnie w dni takie jak dziś, kiedy wszyscy lokatorzy Rezydencji Monetów leczyli się po imprezie.

– Trzeba poruszyć jeszcze jedną sprawę – odezwał się Will, kiedy Shane napomknął, że on to chyba pójdzie się zdrzemnąć.

Nawet już wstał, ale usiadł z powrotem, pokierowany zdecydowaniem w spojrzeniu najstarszego z obecnych braci.

– Słuchajcie... – Will z zakłopotaniem potarł swój kark – nie może być takich sytuacji, że kłócicie się o to, kto zostanie postrzelony.

– Ej, ty sam się kłóciłeś – zaoponował Shane.

– Co, mamy beczynnienie patrzeć, jak jedno z nas obrywa? – Zmarszczyłam brwi.

– Pierwszy stanąłeś przed Dylanem – wytknął mu Tony.

– Kiedy nie ma z nami Vincenta, to ja zajmuję jego miejsce i nie pozwolę, żeby któremuś z nas stała się krzywda – mówił Will. – I robię to nie po to, żebyś ty, Shane, pakował się przede mnie.

– Właśnie, zastępujesz Vince’a, więc gdybyś to ty oberwał, to już w ogóle bylibyśmy wszyscy w dupie. To Tony jest głupi. – Shane odwrócił się do swojego bliźniaka. – Już raz dostałeś kulkę, mało ci?

– No i? – Tony wzruszył ramionami. – Wiem już przynajmniej, co i jak. Ty byś pewnie nie przeżył, pięknisiu.

– Przeżyłbym cię, kurwa, dwa razy.

– Błagam, przymknijcie się – westchnęłam. – To nie czas na wasze złote myśli.

Tony wycelował we mnie palcem, łypiąc na mnie wrogo.

– Ty się przymknij, mała Hailie. Z jakiej paki wepchnęłaś się przede mnie, co? Masz w ogóle mózg?

– Ty już raz osłoniłeś mnie przed strzałem – syknęłam, wychylając się do przodu. – Jeśli sądziłeś, że teraz będę się tylko przyglądać, to się pomyliłeś.

– Sama jesteś pomyłona.

– A ty...

– Cicho bądźcie, na Lorda – przerwał nam Will podniesionym głosem. – Przecież ta dyskusja to abstrakcja. Hailie, ty przede wszystkim trzymaj się z dala od spraw Organizacji.

Zacisnęłam dłonie w pięści.

– Dlaczego ja przede wszystkim?

Will przymknął powieki.

– Bo dobrze wiesz, że nie chcemy mieszać cię w tej bajzel.

– Wczorajsza sytuacja wyniknęła z mojej winy, więc to chyba logiczne, że chciałam wziąć za nią odpowiedzialność.

– Zwykle przyznałbym ci rację, ale nie zrobię tego, gdy we wspomnianą sytuację wmieszany jest członek Organizacji.

– Adrien odpuścił, gdy to ja stanęłam na linii strzału – przypomniałam mu z wściekłością.

– I co to twoim zdaniem ma do rzeczy?

– Że ja też potrafię negocjować. – Uniosłam podbródek. – Może czasem nawet lepiej od was.

– Hailie, to, że...

– Ale twoim, waszym zdaniem ja nadal jestem małą Hailie – prychnęłam, wstałam i wyszłam.



Twoja małżonka nie chciała zobaczyć córki? – zagadnąłem Charlesa.

Siedział samotnie w restauracji przy wielkim stole, który miał pomieścić liczną rodzinę Monet. Podniósł na mnie głowę, gdy zatrzymałem się przy jednym z krzesel. Schował telefon do kieszeni swojej prążkowanej marynarki i przeczesał przeredzone blond włosy.

– Obawiałem się, że trudno byłoby jej utrzymać emocje na wodzy, dlatego poprosiłem, by została w domu – odparł, unosząc się, by wyciągnąć do mnie dłoń. Uścisk miał mocny, jak każdy członek Organizacji.

To była chyba jedna z pierwszych rzeczy, której nauczył mnie ojciec po przekazaniu mi swojego stanowiska. Prawidłowe uściśnięcie dłoni, zwłaszcza dłoni członków Organizacji, czyli starych wyjadaczy. Oni już na podstawie jednego takiego gestu potrafili przeanalizować wartość i charakter człowieka. To Egbert uświadomił mnie, jak ważne jest zachowanie kontaktu wzrokowego, a także utrzymanie prostej, pewnej dłoni, złączenie palców i niezmiążdżenie ręki rozmówcy, przy jednoczesnym nieokazaniu w tym wszystkim słabości.

Charles posądżający innych o trudności w zapanowaniu nad emocjami to komizm w czystej postaci. Nie znałem większego oszołoma.

Mężczyzna zajmował jednak ważną pozycję i należało traktować go poważnie i z szacunkiem, a swoje własne przemyślenia zostawić dla siebie. Zresztą już do niego przywykłem, kiedy to postanowione zostało, że pewnego dnia oświadczę się jego córce, Mai. Z czasem można się oswoić z każdą myślą, nawet z taką, że twoim teściem zostanie szaleniec.

– Czy twój ojciec nie miał ochoty wpaść? – zagadnął w odpowiedzi.

– Nie bierze już czynnego udziału w biznesie – odparłem automatycznie. Charles wiedział doskonale o przejściu na emeryturę mojego taty i zdawałem sobie sprawę, że jego pytanie było zwykłą zaczepką.

– Ależ, Adrienie, a cóż to za biznes – parsknął jowialnie niczym radosny wuj na rodzinnym spotkaniu, gdy podjadł już steka i łapał się za kolejny kieliszek wina. – Toż to prędzej przyjacielska kolacja.

Z trudem zdobyłem się na uśmiech.

– A nawet można by powiedzieć, że rodzinna – dodał.

– Można by tak powiedzieć, gdyby nie to, że twoja córka zerwała nasze zaręczyny – zauważyłem.

Charles machnął dłonią.

– Przemówimy jej do rozsądku, jeszcze nic nie jest przesądzone... Oho, nadchodzi cała banda.

Spojrzałem w stronę wejścia i rzeczywiście – przez restaurację kroczyła rodzina Monet. Jedno im musiałem przyznać: razem prezentowali się imponująco. To taka rzecz, której – mogłem to przed sobą przyznać – im zazdrościłem. Ich wzajemne wsparcie od zawsze robiło na mnie wrażenie. Jeden brat stał za drugim murem, nawet ci najmłodszy. Ja też kochałem swoją Keirę, ale bądźmy szczerzy – armii bym z nią nie zbudował, niestety.

Ojciec przejrzał mniej więcej gierki Charlesa i dzięki temu nie zaskoczyło mnie, że zostałem tu zaproszony bez wiedzy Monetów. Potwierdzili to sami zainteresowani. Vincent, idący na czele gromady, zatrzymał się, do tego samego zmuszając resztę towarzystwa. Obrzucił mnie spojrzeniem spod zmrużonych powiek, wyglądając przy tym na dość spiętego. Jego bracia czekali na jego sygnał, wpatrzeni w niego niczym w bóstwo. Vincent słynął ze swoich trafnych analiz i silnego charakteru. Mimo swojego młodego wieku robił wrażenie na członkach Organizacji.

Mai, choć była dość niskiego wzrostu, nie sposób było przegapić. Minęła chwila, odkąd ostatnio ją widziałem, i niewiele się zmieniła – może tylko błyszcziała jeszcze bardziej. Jak drogocenny, szlachetny kamień, który wymyknął mi się pomiędzy palców. Trochę szkoda.

Wiedziałem, że to moja wina. Ojciec skwapliwie mi to uświadomił. Zbyt długo zwlekałem ze ślubem, na dodatek nie dbałem odpowiednio o swoją narzeczoną. A Maya była absorbująca. Absorbująca i atrakcyjna, no i miała ciekawy charakter. Mimo to bałem się szybkiego ślubu, nie chciałem go. A teraz jedyna kandydatka, którą upatrzył dla mnie ojciec, została mi sprzątnięta sprzed nosa. Przez Montgomery'ego Moneta. Co za komedia.

– Co on tutaj robi? – warknęła Maya, częstując nas wszystkich próbką swojego słodkiego, choć zarazem nieco piskliwego głosu. Wizja, że grucha mi nim coś do ucha, gdy rano budzimy się we wspólnym łóżu, nie należała do przyjemnych.

– Mayu, dziecko, nieładne tak pokazywać palcem.

Charles droczył się z córką, kręcąc z dezaprobatą głową. To nie mogło być proste – mieć tak śmiałe i pyskate dziecko jak Maya. Z drugiej jednak strony ona też nie wygrała na loterii najłatwiejszego w obyciu ojca.

– W dupie mam, czy ładnie, czy nie! – prychnęła, zaciskając dłonie w pięści. Gotowała się ze złości i nie powiem, to był nie najgorszy dla oka widok. Gorące emocje zdecydowanie dodawały jej uroku. – Gdzie mama?

– W domu. Rozchorowała się.

Nie skomentowałem kłamstwa Charlesa. I tak każdy wiedział, że to nieprawda.

– I zamiast niej przyprowadziłeś na spotkanie jego?

Miała rację, nie byłem tu potrzebny. Najeżony Montgomery Monet zerkał na mnie, jakby szykował się do walki, choć dobrze wiedział, że nie może jej wszcząć. Miał pecha, że jego partnerce zaaranżowano małżeństwo akurat ze mną. Gdyby mnie tknął, nie wyszłoby mu to na dobre.

Mógłbym grzecznie się wymówić, wstać i wyjść lub w ogóle tu nie przychodzić. Nie miałem jednak dziś nic ciekawszego do roboty, dlatego z premedytacją nie ruszałem się z miejsca. Warto było zostać chociażby po to, by zobaczyć reakcję Vincenta.

Jego skupiona twarz zdradzała, że właśnie analizuje w głowie sytuację. Charles go uraził, bo zaprosił mnie bez uprzedzenia, jednakże gdyby Vincent teraz cofnął się do wyjścia, uraziłby mnie, ponieważ byłoby jasne, że zrobił to z mojego powodu.

Rodzeństwo wpatrywało się w niego, gotowe wykonać każde jego polecenie. Byłem pod wrażeniem autorytetu, jaki sobie u nich wypracował. Naprawdę bez mrugnięcia okiem zrobiliby wszystko, co by im powiedział.

Charles jeszcze przez chwilę silił się na uprzejmości, aż wreszcie Vincent zgodził się z nami usiąść. Zrobił tym na mnie pozytywne wrażenie. Gdyby wyszedł, miałbym go za tchórza, za obraźliwego buca, i on o tym wiedział, dlatego został.

Jego rodzina rozproszyła się wokół stołu. Z jakiegoś powodu obrywało mi się wyjątkowo wrogimi spojrzeniami od niektórych Monetów. Rozumiałem, że Montgomery może nie czuć się przy mnie swobodnie, ale o co chodzi temu młodemu, Dylanowi, czy jak mu tam było? Spinał się, jakbym co najmniej splunął mu do przystawki.

– Stęskniłem się za tobą, słonko – zagruchał Charles. Zachowywał się, jakby chciał rozładować atmosferę, jednocześnie celowo ją zagęszczając jeszcze bardziej.

Maya знаła go zbyt dobrze, by traktować go poważnie, i wyglądało na to, że czeka nas kolacja wypełniona przepychankami słownymi. Nimi się jednak nie szło najeść, dlatego chętnie przyjrzałem się karcie dań.

Przerwałem tylko na chwilę, gdy poczułem na sobie spojrzenie kogoś, kto usiadł naprzeciwko. To nie był wściekły wzrok Dylana czy chłodne wejrzenie Vincenta, tylko coś bardziej neutralnego, dlatego uniosłem głowę, by to zbadać.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że Monetowie przyprawdzili ze sobą swoją siostrę. Nawet nie pamiętałem o jej istnieniu. Bracia skutecznie ją chronili przed zainteresowaniem w naszym świecie. Nie sądziłem, że wezmą ją tu ze sobą, w ogóle o tym nie pomyślałem.

Młoda Monet wgapiła się we mnie, a potem zawstydzona, gdy ją na tym przyłapałem, szybko spuściła głowę. Zarumieniła się przy tym i nie powiem, rozbawiła mnie. Rozumiałem, dlaczego bracia trzymali ją na dystans, z dala od naszej śmietanki towarzyskiej – dziewczyna najwyraźniej nie została przyzwyczajona do bycia w centrum uwagi, a w takowym na pewno szybko by się znalazła. W naszym środowisku uwielbiano świeżą krew.

Może to lepiej dla niej, że Monetowie tak ją chronili. Już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie wrażliwej. Przypominała mi trochę Keirę. Jednak moja siostra, która dorastała w tym świecie, mimo iż była spokojnym dzieckiem, to raczej nie charakteryzowała się nieśmiałością.

Coś mi jednak mówiło, że w tej drobnej cichej Hailie Monet drzemie niezbadana jeszcze siła.



KOLEJNA Z MONETOWSKICH CECH

Przebrana w sportowe ubrania wlałam w siebie na szybko filiżankę mocnej, chłodnej kawy. Na siłowni napatoczyłam się na wyładowującego swoją złość Dylana i w milczeniu do niego dołączyłam. Nie rozmawialiśmy nie dlatego, że byliśmy na siebie obrażeni. Po prostu potrzebowaliśmy przestrzeni do refleksji i nawzajem z szacunkiem ją sobie zapewnialiśmy.

Do czasu, oczywiście, gdy kątem oka Dylan dostrzegł, jak rozkładałam się na macie. Od tamtego momentu wytrzymał dwie minuty bez rzucenia do mnie kilku uwag. Jego głos brzmiał już spokojniej, więc siłownia naprawdę koła jego nerwy.

Na tyle, że czepiał się mnie coraz swobodniej, aż doszliśmy do momentu, kiedy ledwo powstrzymałam się, by nie rzucić w niego jednym z hantli. Odłożyłam go na bok i udałam, że robię sobie przerwę na łyka wody. Z butelką w ręku stanęłam nad ławeczką, na której Dylan leżał na plecach i podnosił sztangę z chorym obciążeniem.

– Wszystko okej? – zapytałam łagodnie.

Burknął coś niezrozumiałego. Mięśnie napinał tak, że aż nabrzmiały mu żyły, i lekko poczerwieniał na twarzy. Patrzyłam na niego z mieszaniną fascynacji i grozy.

– Vince nie odsuwa cię na zawsze – powiedziałam. – To tylko na jakiś czas.

– Ta? – prychnął z wysiłkiem. – I co ja... mam niby... robić... przez ten czas?

– Masz z milion możliwości. Może zabierz Martinę na dłuższe wakacje?

Dylan stęknął, dźwignął ciężar i odłożył go, na koniec oddychając głęboko.

– Rozkręca firmę, nie wyjedzie.

– Może znajdziesz nowe hobby?

Rzucił mi poirytowane spojrzenie spod sztangi.

– Jakie, kurwa? Mam piec babeczki? Robić na drutach?

Widząc, że zdenerwowany Dylan się podnosi, czmychnęłam niby to ukradkiem kawałek dalej, jakbym nagle postanowiła się trochę poprzehadzać.

– Babeczki byłyby super – stwierdziłam. – Ale możesz znaleźć coś, co naprawdę będzie sprawiało ci przyjemność.

– Będę dwudziestosześcioletnim emerytem – prychnął, a jego głos stłumił nieco ręcznik, którym akurat ścierał sobie pot z twarzy.

– Poszukasz siebie, odpoczniesz. Jak bliźniacy podczas swoich podróży. Oni bardzo sobie chwalą taką przerwę.

– Zrobili ją sobie dobrowolnie i to co innego. – Dylan zbliżył się do mnie, ale pilnowałam, żeby między nami znajdowała się bieżnia. – Ja jestem zawieszony, co znaczy, że ten smród będzie się za mną ciągnął już zawsze. Przez jebanego Santana. – Prychnąwszy znowu, pokręcił głową. – Nie wierzę.

Milczałam, ale Dylan był tak rozgoryczony, że nawet tego nie zauważył, tylko ciągnął po swojemu:

– Będę wykluczony jak jakiś nieogarnięty dzieciak.

Uśmiechnęłam się kwaśno.

– Jak ja?

Dylan łypnął na mnie buntowniczo.

– To co innego.

– Mhm.

– Chodzi o to, że praca w biznesie to moje życie, do tego dążyłem, nie? – Dylan znowu odetchnął i palcami obydwu dłoni zaczesał sobie włosy do tyłu. – Po to robiłem te jebane studia i o takiej przyszłości zawsze myślałem jako gówniarz, gdy patrzyłem na ojca, a potem na Vincenta i Willa. Tego chciałem. Teraz to dostałem i ktoś mi to zabiera.

– Nie na stałe przecież, Dylan... – Zmarszczyłam z przejęciem brwi i zrobiłam krok w jego stronę.

– A gdyby tobie ktoś powiedział, że masz teraz przerwać studia? Też nie skakałabyś z radości.

– Fakt, ale ja nie rąbnęłam członka Organizacji w twarz.

Dylan uniósł z niedowierzaniem brew.

– Za to rzuciłaś w niego nożem.

– Dawno temu. Dlaczego wszyscy mi to wypominają?

– Chodzi o to, że... – Dylan oblizał wargi. – Ja nawet nie mam wyrzutów sumienia, wiesz? W dupie mam Santana. Wolałem go walnąć na wszelki wypadek i ewentualnie się pomylić, niż go nie walnąć, żeby potem okazało się, że faktycznie zrobił ci krzywdę, a ja nie zareagowałem.

Przymknęłam powieki.

– Dylan... nie mów tego przy Willu ani Vincencie.

– Wiem, że to było nieodpowiedzialne, bo ten idiota Adrien ma władzę i jest chroniony, dlatego jestem na siebie zły, ale powtarzam: nie mam wyrzutów sumienia. Dobrze było mu przywalić. Ta lepa smakowała jak płynna czekolada.

Potarłam czoło.

– Dylan, nie możesz tak mówić.

– A co chcesz ode mnie usłyszeć? – prychnął. – Już raz na moich oczach ktoś cię skrzywdził. Więcej na to nie pozwolę.

Spuściłam głowę, a on kontynuował:

– Wiem, że muszę nauczyć się nad sobą panować, ale w tej jednej sytuacji wciąż mi to nie wychodzi. I nie wiem, czy kiedykolwiek wyjdzie. Terapię skończyłem dawno temu. Pomogła mi poradzić sobie z tamtymi wspomnieniami, ale w magiczny sposób ich nie wymazała. Dlatego tak, za każdym razem, jak zobaczę, że jesteś w niebezpieczeństwie, mogą mi puścić hamulce, bo przeżyłem traumę, kurwa, tak wielką, że i tak cud, że nie latam po ścianach.

– Dylan... – powtórzyłam, a oczy zaszyły mi łzami. Już przed nim nie uciekałam, a nawet się do niego zbliżyłam i zaraz też przytuliłam się mocno. – Wiem, że czasem ci ciężko.

– Nie musisz mnie żałować, mała Hailie – mruknął, odwzajemniając uścisk. – Też nie masz łatwo.

– Nie mam – przyznałam.

– Ale jakoś sobie radzimy, nie?

Pokiwałam głową, pozwalając w ciszy, by łzy spłynęły mi po policzkach.

– Doszedłem do siebie w dużej mierze dzięki pracy – powiedział cicho. – Nie wiem, co będzie, jeśli mi ją zabiorą...

– Nic nie będzie, Dylan, hej, no...

– Dobra, dziewczynko, puść mnie – burknął, wyplątując się z moich ramion. Pociągnął też nosem i nie podnosił wzroku. – Wystarczy tego użalania się.

Uśmiechnęłam się lekko, ale spojrzenie, którym odprowadzałam go do drzwi, wyrażało zmartwienie, które czułam w sercu.

Moja więź z Dylanem stała się tylko silniejsza po wydarzeniach sprzed kilku lat, dramatycznych wydarzeniach, w których z naszego rodzeństwa brała udział tylko nasza dwójka. Dzięki nim zbudowaliśmy między sobą porozumienie głębsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Martwiłam się o niego i długo gryzłam z tym, jak mu pomóc.

Rozumiałam Vincenta, rozumiałam nawet po części Adriena, ale szkoda mi było Dylana. Nawet mimo że złościłam się na braci za ich niesłabnącą nadopiekuńczość względem mojego zaangażowania w sprawy Organizacji.

Dylan mógł na własnej skórze przekonać się, jak to jest być ograniczanym, ale różnica między nami była taka, że ja potrafiłam żyć bez mieszania się w biznes swoich braci. Dla niego natomiast to ważna rzecz, sens jego kariery, wierzyłam więc, że obrywa mu się bardziej niż mnie.

Głowa pękała mi od tego wszystkiego. Trening dodał mi siły, ale jednocześnie nadwyrężył mój i tak osłabiony organizm, dlatego nową energię wykorzystałam na dojście do siebie. Czytałam książkę, drzemałam, obejrzałam film na laptopie. Wieczorem planowałam zejść do salonu i spędzić czas z naszymi gośćmi, ale za szybko zasnęłam. Nie ja jedna się na dole nie zjawiłam.

Dylan z Martiną też nie wyściubili nosa z pokoju. Słyszałam raz, jak rozmawiają podniesionymi głosami. Maya natomiast się przeziębila i nie chciała roznosić zarazków. Zaraziła się od Flynna. Kąpiel w fontannie okazała się mieć gorsze skutki dla niego niż dla Lissy, którą zapewne od choroby uchronił pobyt na ciepłych Hawajach. Wujek Monty zaś zniknął gdzieś na całą noc i wrócił dopiero nad ranem. Odsypiał przez cały dzień.

Wolałam nie pytać, dokąd zabrał barmana i co się z nim stało.

Następnego dnia, udręczona rozmyślaniami o tym wszystkim, co się wydarzyło, zaszłam pod drzwi pokoju Mai. Jeszcze zanim zapukałam i mi otworzyła, słyszałam, jak podniesionym głosem tłumaczy coś Flynnowi. Gdy stanęła przede mną, akurat wywracała oczami.

– Czy Flynn czuje się już lepiej?

– Odrobinę. – Maya zerknęła przez ramię na syna i pokręciła głową.

Chłopiec leżał w łóżku przykryty aż po brodę kołdrą, w pełni skupiony na konsoli. Co chwilę pociągał nosem.

– Mieliśmy wracać dziś do Francji, ale poczekamy, aż mu przejdzie.

– Możecie tu zostać, ile chcecie.

– Dziękuję, kochana. – Maya się uśmiechnęła. – A jak z tobą?

– Dzisiaj już dużo lepiej. Też planuję na dniach wracać do Hiszpanii. Przed lotem chciałam wybrać się jeszcze na zakupy.

– Chętnie bym dołączyła, ale niestety z chorego Flynnna robi się straszna maruda, a Monty jest... zajęty.

– Na spokojnie.

Zamilkłyśmy.

– Wszystko okej? – Maya zmarszczyła brwi.

– Zastanawiałam się... – Przygryzłam wargę.

– Tak?

– Widziałaś Dylana?

– Rano przemknął przez kuchnię i minęłam się z nim na siłowni. Poszłam poćwiczyć, gdy Flynn jeszcze spał.

– Przejął się decyzją Vince'a.

Maya zerknęła wymownie w bok.

– Może przerwa dobrze mu zrobi.

Spuściłam głowę.

– A co jeśli... zrobi mu źle?

– Hailie, nie mieszaj się w to – poprosiła mnie, wzdychając.

– Chodzi o to, że...

– Chcesz się wmieszać, nie rób tego.

Zmrużyłam oczy.

– Kiedy ty zawsze radzisz mi, żeby właśnie się mieszać!

– Tak, ale tylko wtedy, gdy masz coś do ugrania dla siebie. – Wycelowała we mnie palcem. – To jest sprawa wyłącznie między Dylanem i Vincentem. I szczerze mówiąc, sądzę, że Vincent podjął dobrą decyzję. Dylana trzeba utemperować.

– Nie wierzę, że ze wszystkich ludzi akurat ty to mówisz.

– Hailie, naprawdę mam to gdzieś, do kogo Dylan skacze, dopóki nie jest to cholerny Adrien czy inny członek Organizacji. Mam świetne życie i dziecko, które potrzebuje ojca. Gdyby w Organizacji wybuchł konflikt, Monty’ego widywałam od święta. Żyłabym w wiecznym strachu. Ty zresztą też, bo cała piątka twoich braci byłaby zaangażowana w tę głupią wojnę. To byłby koszmar, Hailie.

– Dylan rozumie swój błąd. On potrzebuje pracy – upierałam się.

– To niech na nią zasłuży.

Popatrzyłam na nią niepokieszona, dlatego westchnęła.

– Bardzo chciałabym stanąć po stronie twojej i Dylana, ale gdy chodzi o bezpieczeństwo mojej rodziny, do której notabene wy też należycie, to jestem nieugięta.

– Rozumiem – szepnęłam, a Maya wyszła z pokoju i przytuliła mnie mocno.

– Przykro mi, że tym razem muszę być taka nudna i rozsądna. Chętnie bym cię poparła, wiesz o tym.

– Wiem. – Pokiwałam głową. – Nie szkodzi.

– Jedź na zakupy, odpręż się trochę. Z Dylanem wszystko będzie dobrze.

– Mhm. Tak zrobię.

Zawiedziona, ale niezaskoczona odeszłam. W głębi ducha czułam, że Maya może mieć takie zdanie na ten temat. Wciąż udreńczona stanęłam pod drzwiami do sypialni Dylana i zanim zdążyłam unieść rękę, żeby zapukać, podskoczyłam, bo drzwi się otworzyły i wypadła przez nie rozpędzona Martina, niemal zderzając się ze mną.

– ...niż siedzieć z tobą chwilę dłużej! O, Hailie, cześć...

– Przeszkadzam? – Przeniosłam wzrok z niej na wyglądającego z pokoju Dylana. Oboje byli poczerwieniali na twarzach, a ich ciemne oczy ciskały gromy.

Odpowiedziała mi Martina. Pierwsza też spróbowała ochłonąć, a nawet miło się do mnie uśmiechnąć.

– Nie, skąd.

– Jadę na zakupy, myślałam, że może wybierzesz się ze mną, chyba że jesteś zajęta... – Zawahałam się na widok rumieńców na jej dekolcie.

– Nie, w ogóle nie jestem zajęta. Właściwie to zakupy to świetny pomysł, chętnie pojedę.

– Jedź, może ochłoniesz – rzucił Dylan wrednie.

Martina gotowa była cofnąć się i zadrapać go paznokciami, ale złapałam ją na ramię. Dylan zaś oberwał ode mnie ostrzegawczym spojrzeniem.

– Wyluzuj, co? – upomniałam go.

– Jestem zajebiście wyluzowany, nie wiem, o co ci chodzi.

– Ta, oaza wyluzowania – prychnęła Martina.

– Mówi się oaza spokoju – szepnęłam do niej.

– Bez różnicy, on nie jest żadną oazą!

Dylan parsknął z pogardą i pokręcił głową, po czym, wyminąwszy nas, wyszedł na korytarz i skierował się na schody.

– A ty dokąd? – zawołałam za nim.

– Zgodnie z cenną radą, wyluzować się – odburknął i zniknął.

Westchnęłam, a Martina prychnęła tak głośno, by on to jeszcze usłyszał.

– Dylan... – zaczęłam po chwili, gdy tak stałyśmy w ciszy, ale nie potrafiłam dobrać odpowiednich słów, by skutecznie go obronić – ...jest trudny.

– Idiotą jest. Ma zły humor i się burzy. Jedźmy na te zakupy, muszę oderwać myśli od tego wszystkiego.

To był świetny pomysł, bo chodzenie po sklepach faktycznie trochę nas rozerwało. Martina szybko się odprężyła i gdy zrobiliśmy sobie przerwę na kawę, nawet zdawała się już nie pamiętać o swojej sprzeczce z Dylanem.

A przynajmniej dopóki ten nie zadzwonił do niej zalany w trupa.

Słyszając jego dobiegający z słuchawki bełkotliwy głos, przymknęłam powieki. Próbowałam obliczyć, jak długo buszowałyśmy po centrum handlowym, żeby przewidzieć, ile czasu miał na upojenie się alkoholem.

– Gdzie ty jesteś? Co? – Martina westchnęła. – Słuchaj, to nieważne. Nie szkodzi, słyszysz? Dobra, dobra, czekaj. Wracam już, siedź, gdzie siedzisz, dobra?

– Wszystko z nim okej? – zapytałam, gdy oderwała telefon od ucha.

– Upił się! – jęknęła. – On jest jak dziecko.

Uniosłam z rozbawieniem brew.

– Dzieci się nie upijają.

– W takim razie jest nawet gorszy! – Martina przez chwilę masowała sobie czoło, aż wreszcie wstała. – No nic, wracać muszę. Przecież on jest jakiś rozbity, pomocy potrzebuje.

– Jest w domu?

– Na szczęście tak. Jeszcze mi brakuje, żeby się szlajał po melinach.

Skinęłam głową i też się podniosłam, zbierając swoje torby.

– W takim razie wracamy.

Martina wyciągnęła do mnie dłoń.

– Ty nie, ty masz zakupy. Jeszcze nie skończyłaś, chciałaś kosmetyki.

– Przecież muszę cię odwiedzić.

– Wezmę taksówkę, już zamawiam.

– Żartujesz chyba, wracam z tobą – upierałam się. – Trzeba ogarnąć Dylana.

– Ja go ogarnę, on po prostu miauczy, że mnie przeprasza i chce się przytulić. Że mu ciężko. Jak wrócę i go przytulę, wszystko będzie dobrze. Zresztą niech mnie trochę poprzeprosza. Nic mu się nie stanie.

– Wrócę z tobą.

– Hailie, daj spokój. Mam to pod kontrolą. W Hiszpanii nie kupisz tych kremów, na które tak polujesz.

– Gdzieś mam te kremy, martwię się o Dylana – wyznałam.

– Daj mi sobie z nim poradzić. Jest w domu, nic mu nie grozi. Upił się na smutno. Zrobimy seks na zgodę i się uśmiechnie.

Parsknęłam.

– Bez szczegółów, proszę.

Gdy Martina poszła, przestałam się uśmiechać. Wahałam się, czy nie pójść za nią i nie kazać jej odwołać taksówki, ale nie chciałam jej tak osaczać. Byłam z Dylanem bardzo blisko i ona i tak cierpliwie akceptowała naszą więź. Rozumiała, że czasem lubimy spędzać razem czas, że mamy swoje własne żarty i że jestem dla niego nie mniej ważna niż ona. Byłam wdzięczna, że znalazł sobie tak ugodową dziewczynę i w sytuacjach takich ja ta nie chciałam przesadzać i wcinać się w jej teren.

Dylan zadzwonił do niej, nie do mnie. To z nią się pokłócił i teraz chciał się pogodzić. Martina wiedziała, jak go rozweselić.

Potrzeba kontroli chyba jednak płynęła wszystkim Monetom w żyłach, bo na przestrzeni lat stałam się nie mniej apodyktyczna niż moi bracia i teraz, gdy Martina zniknęła mi z pola widzenia, wyjęłam telefon i wybrałam numer Willa.

- Dylan w domu? – zapytałam.
- Taa – mruknął Will. – Spił się, nawet nie wiadomo kiedy.
- Dzwonił do Martiny, ona już jedzie.
- Niepotrzebnie, przed chwilą zasnął.
- Waham się, czy i ja nie powinnam wrócić.
- Absolutnie nie, malutka. Wszystko mamy pod kontrolą.

Zamilkłam na chwilę, skubiąc rączkę jednej z wielu toreb papierowych, które trzymałam teraz na kawiarnianym stoliku.

- Will, czy z nim będzie wszystko okej?

Westchnął, zanim odpowiedział.

- Pogodzi się z tym. Zajmie mu to chwilę, ale się pogodzi.

- Co, jeśli nie?

– Pogodzi się – upierał się Will. Wydawało mi się, że słyszę w jego głosie wahanie, ale mogłam to równie dobrze sobie wymyślić. – Musi.

Po tym telefonie znowu poczułam smutek. Złapałam za swoje torby i zaczęłam krążyć po galerii, ale nie mogłam się na niczym skupić. Wchodziłam do sklepów i prawie natychmiast z nich wychodziłam. Byłam pewna, że bardzo dezorientowałam biednego, ale wiernie podążającego za mną Danilo.

Martwiłam się. Dylan może i cierpiał na brak samokontroli, ale nigdy nie objawiała się ona w ten sposób. Zwykle impuls powodował u niego działanie, nie załamywał się tak łatwo.

Może byłam po prostu nadopiekuńcza, ale to w końcu kolejna z monetowskich cech.

Potrzebowałam coś z tym zrobić, jakoś mu pomóc. Gdybym nie wypila cudzego drinka, gdybym nie kazała Danilo biec za barmanem i gdybym nie wpadła na Santana, to nic by się nie stało. Właśnie to poczucie winy skierowało moje myśli na dość niebezpieczne tory.

Gapiałam się tępo na pudełka kremów, analizując swoje opcje. Mogłabym porozmawiać z Vincentem, tyle że on zdawał się nieugięty, co więcej, to Adrien na niego naciskał.

No i nagle przyłapałam się na tym, że zaczęłam wyobrażać sobie, co mogłabym powiedzieć Adrienowi, żeby trochę odpuścił.

Nie wiem, dlaczego uznałam, że jestem osobą, której posłucha. Nigdy w życiu nie odważyłabym skontaktować się z nieznanym członkiem Organizacji za plecami Vince'a, a nawet nie dopuściłabym do sytuacji, by pertraktować z Charlesem, którego w miarę kojarzę.

Adrien jednak był inny, był młody, młodszy od Vincenta przecież. Przez nasze spotkania w przeszłości, kiedy to docinał mi na różnych bankietach, kojarzył mi się z osobą raczej nieszkodliwą. Oczywiście w głębi ducha pamiętałam, że jest równy Vincentowi, ma władzę i możliwe, że jest niebezpieczny, jednak mimo to czułam, że mogę zaryzykować.

Nawet jeśli to się wyda, to Vince co najwyżej na mnie nawarczy i tyle.

Serce biło mi mocno, bo decyzja ta, mimo iż usprawiedliwiałam ją niepokojem o Dylana (co było dla mnie doskonałym i jednocześnie wystarczającym powodem), była czymś poważnym. Adrien to niełatwa w obejściu osoba, był cwany i o wiele bardziej doświadczony w negocjacjach niż ja. Wahałam się z telefonem w dłoni, aż mi się spociła i musiałam go odłożyć, by ją przetrzeć.

Zresztą przecież i tak nie miałam jego numeru.

Przystanąłam przy ławce, położyłam na niej torby i pomasażowałam sobie skroń. Głowa zaczęła boleć mnie od sztucznego światła, szumu i nadmiaru myśli.

Wierzyłam, że rozmowa z Adrienem nie może niczemu zaszkodzić. Widział mnie naćpaną, więc czułam, że upoważnia mnie to do zamienienia z nim słowa czy dwóch.

Tak to sobie racjonalizowałam.

Zrobię to dla Dylana.

Poza tym nie widziałam tu okazji do pogorszenia sprawy. Najwyżej Adrien mnie pogoni i tyle. Przepraszę wtedy i odpuszczę.

Oblizalam wargi. Tak zrobię.

Znowu wzięłam telefon do ręki. Tylko jak skontaktować się z cholernym członkiem Organizacji? Numer do niego miał na pewno Vince, prawdopodobnie też Will, może nawet i Dylan. Żadnego z nich nie mogłam o niego poprosić.

Rozwiązaniem byłaby Maya, która na bank albo kontakt do Adriena miała, albo bardzo szybko by go skołowała. Niestety, dziś rano wyraźnie dała mi do zrozumienia, co myśli o pomysle stawania w obronie Dylana.

To nie tak, że nie miała racji... miała jej całkiem sporo. Po prostu wartość tej racji ginęła w stosunku do tego, co czułam ja. Wierzyłam, że Dylan nie zasługuje na taką karę, że ta źle na niego wpłynie. Ja też martwiłam się o swoich najbliższych. Tak jak Maya.

Stronienie od elity skutkowało tym, że cierpiałam teraz na bardzo okrojona sieć vipowskich kontaktów. Zwyczajnie nie miałam kogo poprosić o ten głupi numer. Zaczęłam więc kombinować, gdzie mogłabym spotkać Adriena.

To byłoby nawet wygodniejsze – udawałabym, że wpadłam na niego przypadkiem. Niestety do głowy przychodziły mi tylko klub sportowy i Opera, a trudno było przewidzieć, kiedy dokładnie mógłby się w tych miejscach pojawić. Może przestał chodzić na szermierkę. Może po przedostatniej nocy postanowił odpocząć od nocnych klubów.

W centrum sportowym przynajmniej mogłabym wydębić jego numer telefonu.

– To za dużo zachodu – tłumaczyłam sobie pod nosem. – Musiałabym za dużo wypytywać recepcjonistów, ktoś mógłby donieść na mnie braciom. Poza tym nie wiadomo, czy go mają.

Adrien prawdopodobnie nie jest osobą, która skrupulatnie wypełnia formularze członkowskie.

Zebrałam torby i ruszyłam powolnym krokiem w stronę parkingu, szukając w głowie innych sposobów na porozmawianie z Santanem. Wrzuciłam zakupy na wolne siedzenie i westchnęłam ciężko, pogodzona już prawie z faktem, że mój i tak wąty plan nie wypali.

Może to i lepiej.

Może to i byłoby lepiej, gdyby nie to, że gdy usiadłam za kółkiem i zaczęłam jeszcze intensywniej rozmyślać, wpadł mi do głowy kolejny pomysł.

– To nie ma prawa się udać – powiedziałam znowu do siebie. – Co ty, Hailie, to głupie.

Ale przystanęłam na poboczu leśnej drogi. Wyjęłam telefon i włączyłam mapy.

– No dobra, tylko sprawdzę.

Marszcząc brwi, wpatrywałam się w ekran. Przewijałam go palcami, przybliżałam obraz, starając się odczytać numery dróg, i znów go oddalałam. Trwało to dobre pięć minut. Aż wreszcie znalazłam to, czego szukałam.

Przełknęłam ślinę.

To może być o krok za daleko.



10

NEGOCJATORKA

Żując dolną wargę, z powrotem odpaliłam swoje porsche i wróciłam na jezdnię. Telefon umocowałam w uchwycie przyczepionym do szyby i podążałam podaną trasą, trochę drżąc z niepewności.

Do końca nie byłam przekonana do swojego pomysłu, ale im dalej jechałam, tym bardziej czułam, że to za późno, by się wycofać. Mój plan mógł być albo bardzo dobry, albo bardzo szalony.

Gdy wjechałam do miasteczka, zaatakowały mnie wspomnienia. Tędy szłam, tutaj przystanęłam.

Tu próbowałam biec.

Garaże nic się nie zmieniły. Nadal były obskurne, choć za dnia mniej przerażające. Powoli się jednak ściemniało, więc dla własnego dobra musiałam załatwić swoją sprawę... szybko.

Zaparkowałam nieopodal, zastawiając jeden z garaży. Moje złote porsche robiło dobrą robotę w rzucaniu się w oczy w tak mało urokliwym otoczeniu. Wsiadłszy z samochodu, kiwnęłam na Danilo, który zatrzymał się tuż za mną i właśnie do mnie podchodził.

- Będziesz musiał mieć się na baczności, okej? – poinstruowałam go.
- Tak jest, pani Monet.

Uśmiechnęłam się do niego i do faktu, że na jego twarzy kryło się mnóstwo pytań, które nie na miejscu byłoby mu zadawać i dobrze o tym wiedział.

Niewiele wskazywało na to, że na tej ulicy mieści się bar. Szyld był niemal niewidoczny, drzwi zaś nowe, ale zamknięte i niczym niewyróżniające się, dlatego gdy do nich podeszłam, pomyślałam, że lokal jest zamknięty.

Odczułam nawet ulgę, że mojego pokrętnego planu nie da rady zrealizować, ale szybko ponownie oblały mnie zimne poty, bo nacisnąwszy na klamkę, przekonałam się, iż bar jednak jest otwarty.

Ostatnio kiedy tu byłam, znajdowałam się w stanie szoku powypadkowego. Nie rozumiałam, co się dzieje, moje wyziębione ciało nie współpracowało, a mój umysł był zamroczony i zmęczony. Dziś nie miałam tak dobrej wymówki. Czułam się w porządku, trochę się tylko zestresowałam na widok wnętrza knajpy.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek tu wrócę, nigdy nie brałam tego pod uwagę. Nie wiedziałam nawet, czy miejsce to wciąż ma tego samego właściciela. Niewiele potrafiłam sobie przypomnieć z czasu, gdy tu się znalazłam, ale pamiętałam wystarczająco dużo, by zauważyć, że lokal pozostał tak samo mroczny i zapuszczony, jak był dawniej.

Powoli wkroczyłam do środka, uważnie omiatając wzrokiem twarze znajdujących się tu klientów. Ostatnio nie było ich wielu, dziś zaś zajęto kilka stolików. Wolny był tylko jeden, taki najbardziej na widoku, ale ja podeszłam prosto do baru. Starłam się nie zwracać uwagi na podejrzliwe spojrzenia, jakie były raz po raz rzucane w moją stronę przez równie podejrzanych typów, którzy tu gościli.

Zwracałam na siebie uwagę, bo na niezbyt czystej posadzce moje buty stuknęły dość głośno. Mimo to starałam się stawiać pewne kroki, żeby nie okazać słabości, choć im bliżej baru się znajdowałam, tym bardziej pragnęłam zrobić w tył zwrot. Dyskretnie nadstawiałam też uszu, by dosłyszeć kroczonego za mną Danilo. Jego obecność w tym miejscu dodawała mi otuchy.

– Dzień dobry – odezwałam się cicho, ale wyraźnie. Pilnowałam, by nie drżał mi głos. Poglaskałam się po piersi, by wygładzić płaszcz, ale i mieć co zrobić z dłonią, by nie wisiała mi bez sensu i nie drżała. Drugą musnęłam kant blatu i popatrzyłam na barmana, żeby ściągnąć na siebie jego uwagę.

Wielki Abe, który kiedyś zaserwował szesnastoletniej mnie whisky na rozgrzewkę, dziś wpatrywał się we mnie myślą nieskalanym wzrokiem i próbował zrozumieć, co

w barze takim jak ten robi kobieta taka jak ja.

– Mam sprawę – wyjaśniłam. Wciąż mówiłam cicho. Zależało mi na dyskrecji, ale każdy, kto znajdował się w pobliżu, tylko udawał, że nie podsłuchuje. – Chciałabym, żeby skontaktował się pan z panem Santanem.

Brwi Abe'a natychmiast się nastroszyły. Odgarnął z oczu tłuste włosy i oparł się o blat, nachylając się w moją stronę.

– Kto ty? – zapytał niczym pięciolatek, który na boisku zapoznaje nowego kolegę.

– Przekaż mu, proszę, że Hailie Monet chciałaby porozmawiać.

Abe ani drgnął, tylko wciąż mierzył mnie przenikliwym spojrzeniem. Między jego brwiami pojawiła się gruba kreska.

– Abe, nie chciałbyś narazić się swojemu szefowi, prawda? – ponagliłam go spokojnie.

To zadziało. Barman wyprostował się i z nadąsaną miną odszedł na zaplecze. Ze swojego miejsca widziałam, jak szpera w rzeczach leżących na biurku i w końcu chwytając stary, przypominający cegłę telefon.

Niesamowicie się denerwowałam, bo Adrien mógł mnie zignorować – w końcu nie byłam nikim ważnym, nie byłam Vincentem. Świat nie kręcił się wokół mnie. Moje przyście tu mogło skończyć się w najlepszym razie upokorzeniem i nagle wydało mi się straszliwie głupie.

Kątem oka zerknęłam na boki. Niektórzy ludzie, zajęci swoimi sprawami, już o mnie zapomnieli, ale byli też tacy, którzy widocznie nie mieli nic lepszego do roboty jak obserwowanie moich poczynań. Jedną z takich osób był mężczyzna przy barze, siedzący nieopodal. Trzymał łokcie na blacie, a przed nim leżała gazeta, jednak nie wydawał się nią zbytnio zainteresowany.

Czułam, że to tylko kwestia czasu, zanim się odezwie, i wcale się nie pomyliłam.

– Odważnie.

Spojrzałam na niego.

– Słucham?

– Przyjść tu i pytać o pana Santana – wytłumaczył.

– Nic w tym odważnego, dobrze go znam – odparłam, unosząc brodę wyżej.

– Dobrze go znasz i nie masz do niego numeru? – zapytał, a gdy odwróciłam wzrok, z jego gardła wydobył się chrapliwy śmiech. – Nie jest łatwo osiągalny, obawiam się, że w ten sposób nie uda ci się z nim skontaktować, nieważne, jak wytworną damą jesteś.

Na szczęście nie musiałam dłużej poświęcać mu uwagi, bo wrócił do mnie Abe i wyciągnął w moją stronę telefon. Nie przestawał łytać na mnie nieprzyjemnie, ale ignorowałam go całą sobą. Miałam cel i to na nim byłam skupiona.

– H-halo? – odezwałam się do słuchawki i od razu przymknęłam powieki, niezadowolona z tego, że mimowolnie zadrżał mi głos.

– Hailie Monet.

Poczułam ciarki.

– To ja – potwierdziłam.

– Słyszę – odpowiedział. Jego głos był niski, a sygnał słaby, musiałam więc wyteżać słuch, żeby go rozumieć. – Co robisz w moim barze? Znowu.

Musiałam zmarszczyć brwi, tak trudno było mi się nagle skoncentrować.

– Musiałam się z tobą skontaktować. Chcę porozmawiać.

– Dlaczego ja miałbym chcieć cię wysłuchać?

– Bo jestem siostrą Vincenta.

– Może załatwimy to przez niego?

Zamilkłam, a Adrien parsknął cicho.

– Rozumiem. No cóż, Hailie Monet, w takim razie rozgość się. Wpadnę za jakiś czas.

– Za ile dokładnie?

– Mam nadzieję... – dodał na koniec, ignorując moje pytanie – że tym razem nie zgubiłaś swojego ochroniarza?

– Jest tu ze mną – potwierdziłam, obracając się za siebie, żeby się upewnić.

– Zuch dziewczyna.

– Dlaczego o niego pytasz...?

Głos Adriena zniżył się jeszcze bardziej i ledwo go usłyszałam, gdy odpowiedział:

– W takim miejscu może ci się przydać.

Po czym się rozłączył.

Zrobiło mi się chłodno.

Oblizując nerwowo wargi, oddałam telefon Abe'owi.

– Poproszę wodę – powiedziałam, nie rozglądając się więcej na boki, bo czułam, że podczas odbytej rozmowy moja maska twardej dziewczyny trochę popękała i potrzebowałam chwili, żeby ją posklejać.

Nie no, muszę wziąć się w garść, bo jeśli rozmowa telefoniczna tak na mnie wpłynęła, to co dopiero stanie się w momencie, gdy usiądę z Adrienem twarzą w twarz?

Nadal czułam, że to niebezpiecznie głupi pomysł.

Moment ten jednak nie nadchodził szybko. Wypiłam szklanekę wody, a potem poprosiłam o drugą, ale jej już nie tknęłam, bo pamiętałam, jak obskurne mają tu łazienki. Nie sądziłam, że ktoś je wyremontował. Patrzyłam w telefon i zastanawiałam się, co powiedziałabym chłopcom, gdyby któryś z nich do mnie zadzwonił i zapytał, gdzie jestem. Byłam pewna, że w końcu się to stanie, bo czas mijał, a Adrien się nie pojawiał.

Pan, który wcześniej mnie zagadywał, patrzył na mnie z kpina z każdym razem, gdy podnosiłam wzrok.

Zaczęłam już podejrzewać, że Adrien się po prostu nie pojawi. Drzwi otwierały się co jakiś czas i mimo że starałam się nie patrzeć wyczekująco w ich stronę, to w żadnym z przekraczających próg ludzi nie rozpoznałam Santana. Uwierzyłam już, że ze mnie zażartował, i dodatkowo przeraziłam się, iż o wszystkim poinformuje Vincenta, więc mój przyjazd tutaj skończy się fiaskiem.

Rozważałam, czy to już czas, żebym wyszła, a może powinnam prosić Abe'a, by zadzwonił do Adriena raz jeszcze...

I wtedy przyszedł.

Wszedł do meliny dostojny jak zawsze i jednym bystrym spojrzeniem zeskanował całe pomieszczenie. Jego oczy natychmiast zatrzymały się na mojej osobie. Minę miał neutralną, a twarz wypoczętą i spokojną, ale gdzieś w jego duchu harcowały diabły, bo mimo kamuflażu dostrzegałam w jego postawie lekką drwinę.

Przeszedł obok mnie i nawet się nie zatrzymał, rzucił tylko cicho:

– Zapraszam za mną.

Abe patrzył na szefa z przejęciem, a siedzący przy barze mężczyzna – ze zdumieniem, na co niestety nie zdążyłam nawet poczuć satysfakcji. Inni goście baru oglądali się za Adrienem, kojarzyli więc jego postać, ale nikt nie był najwyraźniej spoufalony z nim na tyle, by podejść i się przywitać.

Wstałam i ruszyłam niepewnie za mężczyzną, wbijając wzrok w jego proste plecy. Przystanął przy najbardziej dyskretnym stoliku, przy którym siedziało dwóch starszych facetów.

Adrien nie musiał się nawet odzywać. Po prostu obrzucił ich spojrzeniem, a oni bez słowa złapali za swoje kufle z piwem, wstali i czym prędzej odeszli. Wtedy Adrien prostą dłonią wskazał kanapę naprzeciwko, na którą się ostrożnie wślizgnęłam.

Już zapomniałam, jak stresujące jest siedzenie naprzeciwko Santana. To dorosły mężczyzna, którego aura przypomina aurę Vincenta, tylko że Vincent jest moim starszym bratem, a on kimś obcym i nieprzewidywalnym.

– Już miałam wyjść – oznajmiłam. – Długo czekałam.

Adrien uniósł brew.

– Hailie Monet musi mieć wszystko tu i teraz?

– Po prostu robi się późno – mruknęłam.

Adrien zdawał się poważny, ale w jego ciemnych oczach można było dojrzeć ogniki rozbawienia.

– Bracia będą się niepokoić?

– Nie będą, ta rozmowa nie potrwa długo.

– To zależy po części ode mnie.

Objęłam się ramionami, a Adrien przechylił głowę.

– Nie zdjęłaś nawet płaszcza – zauważył.

– Bo mi zimno – odparłam.

– Zaproponowałbym ci swój, jednak ostatnio, gdy tu siedzieliśmy i to zrobiłem, nie oddałaś mi go.

Uniosłam brwi z niedowierzaniem.

– Nie potrzebuję twojego płaszcza – powiedziałam. – A skoro do tamtego byłeś tak przywiązany, to zagadaj z Willem. On powinien wiedzieć, co się z nim stało.

– Powiniennem zadzwonić i zapytać już teraz? – zaproponował. Jednym zwinnym ruchem wyjął z kieszeni telefon i położył go na blacie. Trzymał na nim palce, a moją uwagę zwróciły jego zadbane paznokcie i duży masywny sygnet, który przypominał mi, by mieć się na baczności.

– Nie – westchnęłam w końcu. – Nie wiedzą, że tu jestem.

– Tak myślałam – szepnęłam.

Abe podszedł do naszego stolika, za co byłam wdzięczna, bo na chwilę mogłam ochłonąć i się pozbierać, a także przypomnieć sobie, po co tu przyszłam. Barman przyniósł moją szklankę, którą zostawiłam na barze.

– Sama woda? – Adrien się uśmiechnął.

- Mniejsze prawdopodobieństwo, że do wody ktoś mi coś dosypie.
- Bardzo mądrze, Hailie Monet. Gdyby nie to, że tu przyjechałaś, pomyślałbym, że uczysz się na błędach.

Abe wciąż nie odchodził, więc zerknęłam na niego z rozdrażnieniem i zwróciłam się do Adriena:

- Możesz już zamówić swoją whisky? Chciałabym przejść do sedna.
- On oparł się, uniósł kącik ust i nie odrywając ode mnie wzroku, powiedział:

- Mnie również przynieś wody, Abe.
- Wody? – zdumiał się barman.
- Myślę, że tej rozmowy warto doświadczyć na trzeźwo. – Mrugnął.

Potarłam powieki, szukając w sobie siły i energii. Ja miałam ważną sprawę do poruszenia, Adrien zaś traktował wszystko jak zabawę. Urozmaicałam mu dzień. Chyba sam zobaczył, że mi ciężko, bo wreszcie westchnął i powiedział:

- No dobrze, co to za niecierpiąca zwłoki sprawa?
- Chodzi o Dylana.

Adrien skinął głową.

- Oczywiście, że chodzi o Dylana.
- Postawiłeś Vincentowi warunek, żeby odsunął go od biznesu.
- Hailie Monet, jakkolwiek przednio się nie bawię, tak sobie tu z tobą ćwierkając, to musisz wiedzieć, że nie ma takiej możliwości, żebym omawiał interesy z młodszą siostrą mojego wspólnika.

– Gdzieś mam te wasze interesy – fuknęłam, wychylając się trochę do przodu. – Zależy mi na Dylanie.

- Jeśli ci na nim zależy, to wiedz, że odsunięcie go podziąła na jego korzyść.
- Nie wmawiaj mi, że chciałeś tego dla jego dobra.

Adrien uniósł brwi.

- Oczywiście, że nie.

Wycelowałam w niego palcem.

- Chciałeś tego, żeby zrobić mu na złość.
- Za dużo sobie wyobrażasz – parsknął. – Nie interesuje mnie los twojego porywczego brata. Dbam wyłącznie o swój komfort. Nie zamierzam, prowadząc interesy, użerać się z nierozgarniętymi dziećmi.

- Przecież jest dobry, wszyscy to przyznają. Jest dobry w pracy, w tym, co robi.

Adrien wzruszył obojętnie ramionami.

– Może.

– Więc chodzi tylko o to, że ostatnio puścili mu nerwy i cię uderzył? – drążyłam.

– Tylko?

– Proszę cię, nie masz na twarzy nawet śladu! – Machnęłam ręką.

Adrien wpatrywał się we mnie pociemniałymi oczami. Nie wyglądał na wściekłego, ale też zgubił gdzieś po drodze swoje rozbawienie.

– Chodzi o twoją dumę? – zapytałam. – Ja też kiedyś nad sobą nie zapanowałam, ale mi odpuściłeś.

– Świetnie, że o tym przypominasz – zaśmiał się złowrogo, po czym pokręcił głową.

– Och, Hailie Monet, nie jesteś urodzoną negocjatorką.

– Chodzi mi o to, że wiem, że potrafisz puścić w niepamięć pewne rzeczy, jeśli tak zadecydujesz. Nie jesteś nieustępliwy.

– To, że pewne tematy zgadzam się przemilczeć – odezwał się niskim, przypominającym szept głosem – nie oznacza, że puszczam je w niepamięć.

Powstrzymałam się przed szczelniejszym opatuleniem się swoim płaszczem.

– Odpuść Dylanowi, proszę – przemówiłam łagodnie, błagalnie się w niego wpatrując. – Zareagował tak przeze mnie. Zwykle potrafi mieć głowę na karku, już się tego nauczył. Zareagował tak, bo się przestraszył, że jestem w niebezpieczeństwie. Spowodowane jest to naszymi doświadczeniami z przeszłości. Dylan raz przeżył piekło, to dlatego teraz boi się, że coś mi się stanie.

Adrien wpatrywał się we mnie z powagą i milczał.

– A wydarzenia z Opery to moja wina, to ja byłam nieostrożna, odesłałam Danilo... Nie chcę, żeby Dylan płacił za moją głupotę. Jest narwanym idiotą, to prawda, ale jeśli przez odsunięcie od pracy wpadnie w trudny okres, pogorszy się jego stan psychiczny, to ja będę obwiniała o to siebie już zawsze.

Wyczekująco wpatrywałam się w swojego rozmówcę, pragnąc uderzyć w jego emocjonalną stronę. Wiedziałam, że taką posiada, nie jest przecież wyzuty z uczuć – wbrew pozorom. Nie jest złym człowiekiem. Może tylko odrobinę zmanierowanym, ale zakładałam, że to mogła być cecha każdego członka Organizacji.

Adrien nadal się nie odzywał. Rozłożyłam ręce.

– Spójrz, przyszedłam tu specjalnie, żeby cię prosić o zrozumienie. Możesz mnie wyprosić i się nie zgodzić, a wtedy wrócę do domu i przez najbliższe miesiące nie

zmrużę oka, zamartwiając się o Dylana. Możesz w ogóle naskarżyć na mnie Vincentowi, a wtedy dodatkowo będę miała przerąbane. Możesz też się zgodzić, odpuścić Dylanowi i...

– I co? – zapytał, a w jego oku coś błysnęło. – Co będę miał z okazania wam łaski?

Cieszyłam się, że trzymam ręce pod stołem, bo przynajmniej mogłam ukryć ich drżenie. Dla lepszego kamuflażu uniosłam też hardo brodę.

– Moją wdzięczność?

Zaśmiał się krótko.

– Uroczo.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie mam nic, co mogłabym ci dać, a czego mógłbyś chcieć.

Adrien zamyślił się na chwilę, po czym skinął głową.

– No dobrze, Hailie Monet, to zrobimy tak. Teraz wrócisz grzecznie do swoich braci, a ja sobie przemyślę naszą rozmowę. Jeśli zdecyduję się pójść ci na rękę, szybko się o tym dowiesz. Wtedy, umówmy się, że będziesz mi winna przysługę.

– Przysługę? – powtórzyłam cierpko, mrużąc oczy.

Serce waliło mi jak oszalałe.

– Nic wielkiego, konkretnego ani zobowiązującego – obiecał. – Kiedyś, jeśli zdarzy się jeszcze tak, że porozmawiamy, możliwe, że użyję tego jako argumentu. To jest, jeżeli będę czegoś od ciebie potrzebował.

Chwilę milczałam, analizując jego słowa, ale wreszcie skinęłam niepewnie głową.

– Okej.

– A więc mamy umowę, Hailie Monet.



Rzuciła w ciebie nożem! – zawołał mój ojciec po raz już chyba dziesiąty tego wieczora.

Chodził rozemocjonowany w tę i w tę, aż powstrzymałam się, by nie zażartować, że nagle ozdrowiał. Od czasu, kiedy podupadł na zdrowiu, rzadko widywałam go tak ruchliwego. Stukot jego laski o podłogę w moim domu zaczynał przyprawiać mnie o ból głowy, szczególnie po tak długim dniu. Nawet moje psy zaczęły skomleć i musiałem wypuścić je na dwór, by oszczędzić im nerwów.

Miałem nadzieję na odpoczynek. Może położyłbym się wcześniej spać. Musiałem jednak poinformować tatę o incydencie, który wyniknął na spotkaniu z Charlesem Gerlasem, jego córką Mayą i cholernymi Monetami. Gdyby dowiedział się o tym z innego źródła, dopiero by się zdenerwował.

A i tak był wściekły. Wyglądało na to, że kazał się przywieźć szoferowi do mojego domu przede wszystkim po to, by mi nawrzucać.

– Jak mogłeś puścić to Monetom płazem? – dziwił się, kręcąc głową.

Rozłożony na kanapie, starając się przyjmować jak najbardziej luzacką pozę, zsunąłem rękaw swojej bluzy, by przykryć bandaż. Już wystarczająco się na niego napatrzyłem. Przestało mnie boleć, więc teraz rana była tylko dodatkową komplikacją. Będę musiał zmieniać opatrunek i może odpuścić sobie w najbliższym czasie szermierkę.

– Trzeba było wyciągnąć konsekwencje, Adrienie – pouczał mnie ojciec.

Miałem ochotę wyrwać mu tę hałaśliwą laskę.

– Co, miałem w odwecie skrzywdzić nastolatkę? Strzelić do niej? Też ją zadrasnąć? – prychnąłem. – Czy twoim zdaniem to byłaby właściwa odpowiedź na ten brak szacunku?

– Właściwą odpowiedzią byłoby pokazanie, że to poważna sprawa, a nie pozwolenie jej na ucieczkę z restauracji. Ta dziewczyna powinna wiedzieć, że popełniła błąd, tymczasem pozwoliłeś jej zachować się jak zbuntowanej małolacie, która po kłótni z rodzicami wybiega z domu. Jeszcze brakowało, by trzasnęła ci drzwiami w twarz.

– Masz zbyt dramatyczne wyobrażenie na temat tego, co się tam wydarzyło – wytknąłem mu.

Aż stuknął laską ze złości.

– Rzucono w ciebie nożem!

– Nie było cię tam, więc nie wiesz, jak to wyglądało – powiedziałem spokojnie. – Dziewczynę poniosły emocje, ale to nie moja rola, by ją wychowywać. Ufam, że Monetowie uświadomią ją, jak wielką głupotę zrobiła.

Teraz to ojciec prychnął z niedowierzaniem i irytacją.

– Jasne, Monetowie ją uświadomią. – Zaśmiał się ponuro. – Monetowie miękną przy niej jak papierowe słomki. Nie zdziwię się, jeśli jeszcze poklepią ją po główce

i wycalują na dobranoc, bo przecież biedne dziecko nie wiedziało, że nie wolno rzucać nożem.

Wetknąłem sobie pod głowę poduszkę i przymknąłem powieki, a gdy Egbert nie przestawał burczeć pod nosem, wreszcie znowu się odezwałem:

– Powiedziałem coś głupiego.

Ojciec w mig nastroszył brwi – nawet nie musiałem go widzieć, żeby to wiedzieć. Zbyt dobrze znałem mimikę jego twarzy, zwłaszcza tę, którą miewał, gdy się na mnie denerwował.

– Kiedy?

– Podczas kolacji – odparłem. – Dlatego Hailie Monet się zdenerwowała. Rzuciłem mały, cóż, można rzec, niesmaczny żart.

Nastała cisza. Uparcie nie otwierałem oczu. Tata często upominał mnie, że za dużo mówię, że powinienem dokładniej filtrować myśli, które wybieram, by wyartykułować.

– Co chlapnąłeś? – zapytał pełnym napięcia głosem.

– Nie pamiętam dokładnie – skłamałem. – Nic wartego powtórzenia. Monetowie się wkurzyli, a młoda nie zapanowała nad sobą i spontanicznie złapała w rękę nóż. Trzeba jej przyznać, że ciekawe ma odruchy. W każdym razie jesteśmy kwita.

– Adrien, do cholery... – Ojciec westchnął ciężko. Nareszcie pozwolił sobie się uspokoić, bo spoczął na fotelu. – Masz dbać o relacje z Monetami, a nie prowokować ich bez sensu, jeśli wiesz, że może to wywołać ich niepożądane reakcje. Musisz analizować każdy ruch, wszystko robić z głową. I ja naprawdę nie przesadzam, kiedy tłumaczę ci, że to są poważne sprawy.

– Wiem, rozumiem – odparłem cierpliwie. – Dlatego postanowiłem puścić ten incydent w niepamięć. Co było, minęło.

– Adrienie...

Otworzyłem oczy i wbiłem poważne spojrzenie w ojca.

– To tylko rzut nożem. Nie będziemy robić z tego afery.

– To jest... – mruzczał ojciec, ale mu przerwałem. Rozłożyłem ręce i burknąłem stanowczym tonem:

– Nie zabiła mnie.

Egbert spojrzał na mnie z ogromnym wyrzutem, jakby nie akceptował, by takie słowa w ogóle opuszczały moje usta.

– Już powiedziałem Monetom, że nie wyciągnę żadnych konsekwencji z tego zdarzenia – wyjaśniałem z naciskiem, by ojciec mnie w końcu zrozumiał i przestał drążyć temat.

– Montgomery Monet kradnący ci narzeczoną to jedna zniewaga. Siostra Monetów bawiąca się w rzucanie nożami to kolejna. Ile jeszcze trzeba, żebyś...

– Radziłeś mi przed chwilą, bym wszystko robił z głową, nieprawdaż? Decyzja, by odpuścić Hailie Monet, właśnie tak została podjęta: z głową. Przeanalizowałem różne drogi i tę uznałem za najodpowiedniejszą – powiedziałem z rozdrażnieniem, podnosząc się na kanapie do pozycji siedzącej, by mieć na ojca dobry widok. Niech wie, że jestem poważny. – Co do Mai, nie będę rozpaczał. Zakochała się z jakiegoś powodu w Montgomerym i fantastycznie, niech jej będzie. Nie będę o nią walczył, ponieważ właściwie to niespecjalnie mi na niej zależy. Jednakże zależy na niej Monetowi, więc dobrze się składa, jako że życzę jej szczęścia i może on będzie w stanie je jej dać. Ja na pewno nie.

Egbert milczał, ale zmienił wyraz twarzy. Lubił, gdy dużo mówiłem. Kiedy przejmowałem inicjatywę i wykladałem mu swoje racje tak jak teraz. Nawet jak się z nimi nie zgadzał, wolał to, niż gdy leżałem i przymykałem powieki, by nie widział, jak wywracam oczami.

– No dobrze, synu – powiedział wreszcie. – Rób, co uważasz za słuszne.



VINCE Z FERAJNĄ

Gdy właśnie uruchomiony przeze mnie ekspres do kawy przestał buczeć, usłyszałam pukanie. Obwiązując się ciaśniej paskiem satynowego szlafroka, ruszyłam do drzwi.

O futrynę opierał się Alex, który na mój widok mrugnął.

– Wróciła.

– Wróciła – przytaknęłam, usuwając się z przejścia. – Kawy?

Gdy odwróciłam się do niego plecami, by skierować się z powrotem do kuchni, poczułam, jak jego ręka łapie mnie w tali. Zadrżałam.

– Długo cię nie było – mruknął w moje włosy, a ja automatycznie odchyliłam głowę na bok, eksponując szyję.

– Dużo się działo.

Westchnęłam, gdy poczułam jego usta na nagiej skórze. Zdążyłam się stęsknić za takimi pieszczotami. Alex najwyraźniej też – nie umknęło mi jego głodne spojrzenie, które we mnie wbił, gdy wreszcie wyslizgnęłam się z jego ramion, by sięgnąć po filiżanki.

– Prawie uwierzyłem, że zostaniesz w Stanach na amen.

– Pojawił się taki pomysł – przyznałam.

– Martina wspominała, że na ciebie naciskają.

Krząając się po kuchni, ledwo skrywałam uśmiech. Czułam, jak siedzący teraz za wysepką Alex wodzi za mną wzrokiem, nie odrywając go ani na chwilę.

– Martinie się oberwie, jeśli nie przestanie plotkować – mruknęłam.

– To nie zwykłe plotki. Źródła Martiny są bardzo wiarygodne.

– Ach tak? – odwróciłam się do niego. – Czyli to prawda, że burzyłeś się, bo nie zaprosiłam cię do towarzystwa na wesele?

Alex ściągnął ciemne brwi.

– Wcale nie... burzyłem się.

Postawiłam przed nim kawę i oparłam się o blat.

– Było powiedziane na początku, że spotykamy się bez zobowiązań, prawda? – powiedziałam.

– *Claro*.

– Wzięcie ciebie na wesele byłoby dla mnie ogromnym zobowiązaniem. Musiałabym pilnować, żeby żaden z moich braci cię nie zabił, a mam ich pięciu, przypominam. – Rozłożyłam ręce. – Nie wyluzowałabym się.

Alex chciał coś powiedzieć, ale nagle błysnął zębami w uśmiechu. Patrzył na moją klatkę piersiową i już wiedziałam, co się stało. Natychmiast naciągnęłam poluzowany szlafrok.

– Przestań – fuknęłam. – Nie jestem w nastroju, mam mnóstwo nauki.

– Zawsze masz mnóstwo nauki – westchnął Alex, utkwivszy zawiedzione spojrzenie w czarnej kawie.

– Ale nie zawsze nie jestem w nastroju.

Wymieniliśmy ze sobą krótkie uśmiechy. Uniosłam filiżankę do ust, a Alex schylił się, by pogłaskać Daktyla, który właśnie zjawił się znikąd i zaczął ocierać się o jego nogę.

– Martina mówiła też – zaczęłam po chwili przyglądania się, jak tarłosi mojego kota – że pytałeś, czy idę na wesele sama.

– Taa?

– O co chodzi? Co to za różnica, czy szłabym sama, czy z kimś?

– Nie ma żadnej – odpowiedział, prostując się.

– Ja mam nadzieję. – Pogroziłam mu palcem. – Pamiętaj, bez zobowiązań.

– Spokojnie, nie jestem zakochany, tylko ciekawski.

– Bardzo dobrze. – Skinęłam głową i uniosłam brew, patrząc, jak wlewa w siebie kawę prawie na raz, a potem odstawia pustą filiżankę na talerzyk. – Już wychodzisz?

Odwrócił się do mnie w drodze do drzwi.

– Mówiłaś, że masz dużo nauki. Nie będę się narzucał.

– Możesz zostać. – Wzruszyłam ramionami.

– Też mam robotę, doktoracik sam się nie napisze. – Alex puścił mi oko. – Będę w bibliotece, wpadnij później.

– Wpadnę – zawołałam, zanim cicho trzasnęły zamykane drzwi.

Głaszcząc Daktyla, wpatrywałam się w ścianę i od czasu do czasu popijałam swoją kawę. Dopiero po chwili wyszłam z kuchni i zasiadłam przy swoim stanowisku pracy, gotowa na kilkugodzinną sesję przedegzaminacyjną.

Tysiące podkreśleń kolorowymi mazakami później odkopałam się z papierów i odniosłam pustą filiżankę do zmywarki. Po drodze rozciągałam się chwilę, potem sięgnęłam po telefon, żeby zamówić lunch. Po powrocie ze Stanów nie miałam jeszcze czasu zaopatrzyć lodówki. Przewijałam właśnie menu malezyjskiej knajpy, za którą przepadałam, gdy na ekranie wyskoczył numer Shane’a.

– Co tam, chłopczyku? – zapytałam, uśmiechając się mimowolnie. Korzystając z wolnej chwili, zabrałam się do napełniania miski Daktyla, ku jego nieskończonej ucieście.

– Pusto tu – odparł, najwyraźniej coś przeżuując. – Jak nie ma w domu ciebie ani Vince’a, to nikt się nie rządzi i jest dziwnie.

– Przecież jest jeszcze Dylan.

– Dylan wrócił dziś do Nowego Jorku.

– Naprawdę? Zapowiadał, że zostanie co najmniej do powrotu Vince’a.

– To było, zanim Vince cofnął mu zakaz.

Znieruchomiałam i na chwilę przestałam szarpać się z puszką kocięj karmy.

– Czekał, co?

– Zmienił zdanie. – Oczami wyobraźni widziałam, jak Shane wzrusza ramionami. – A raczej Adrien je zmienił, podobno.

Poczułam dreszcz na plecach i przez chwilę nie byłam w stanie się wysłowić. W końcu odstawiłam puszkę na bok (ku niezadowoleniu Daktyla) i wydukałam słabo:

– Serio?

– Wiem, dziwne. Przecież był wkurzony na Dylana, ale podobno skontaktował się z Vince’em i stwierdził, że w sumie to przesadził. Powiedział, że w zasadzie to ma gdzieś działania jenoego z uomych m...

– Shane, nie mów z pełną buzią, nic nie rozumiem.

– Powiedział, że ma gdzieś działania jednego z ułomnych młodszych braci Vince’a, dopóki biznes robi głównie z Vince’em. I że jedynie nie życzy sobie bezpośredniego kontaktu z tym narwańcem.

– Nazwał Dylana narwańcem?

– Coś w tym stylu. W każdym razie, no, zmienił zdanie. Dobrze, nie? Przynajmniej Dylan nie będzie dramatyzował.

– Mhm, dobrze – potwierdziłam, przygryzając wargę.

O to chodziło, taki cel miała moja lekkomyślna wycieczka do baru Adriena. Zamiast świętować sukces, czułam jednak uścisk w żołądku i aż położyłam sobie dłoń na mostku – w takich okolicznościach jestem mu winna przysługę i dopiero teraz dotarła do mnie powaga tej umowy.

Oczywiście, nie mogłam powiedzieć o niej Shane’owi, dlatego zdobyłam się na lekki ton i zmieniłam temat, marudząc mu trochę na nawał nauki, z jakim się aktualnie mierzyłam. Shane mnie pocieszył, że na pewno to wszystko poogarniam, a potem jeszcze zjawił się obok niego Tony i trochę się ponabijaliśmy z tego, że jest takim idiotą, który ostatnio prawie wytatuował sobie gałki oczne.

Późniejszym popołudniem dołączałam do Alexa w bibliotece. Myśląc o swoim nowym zobowiązaniu, sama w domu ciągle marzłam i czułam się nieswojo, dlatego dobrze było się z nim jednak zobaczyć. Potrafiliśmy przepracować razem w skupieniu całkiem sensowną ilość czasu. Nasze studiowanie w bibliotece jednak prawie zawsze kończyło się w podobny sposób – miłym wieczorem. Tak wynagradzaliśmy sobie ciężką harówkę nad akademickimi skryptami.

Wieczorem siedziałam naprzeciwko Alexa w ciasnym barze, pochylałam się nad sałatką z batatów i tłumaczyłam mu zawzięcie konkluzje, do których ostatnio doszłam.

– Martina rozkręca swój biznes, Maya ma ich już na koncie kilka, Mona zaczęła niedawno pracę w genialnej firmie, godzi to z uniwerkiem i wszystko idzie jej super. Mam wrażenie, że ja mam tylko naukę.

– Jesteś na medycynie, to są w cholere ciężkie studia – przypomniał mi.

– Uczę się dużo, ale nie sprawia mi to trudności. Gdy nadchodzą egzaminy, ja wiem, że je zdam.

– Jesteś, Hailie, ewenementem.

– Ludzie stawiają sobie w życiu wyzwania, robią znaczące rzeczy, gnają do przodu, a ja sobie co najwyżej spaceruję.

– Spaceruje są przyjemne.

– Ale powolne.

– Jesteś na tyle uprzywilejowana, że nie musisz biegać. Doceń to.

– Jestem uprzywilejowana, więc mogłabym wyciągnąć ze swojego życia jeszcze więcej.

– Twoje ambicje są sexy. – Alex mrugnął i skubnął mi pozostały kawałek awokado z talerza, a potem wstał: – Zapłacę i zbieramy się, co?

I zniknął, a ja tylko parsknęłam i pokręciłam głową.

Głupek z niego, to prawda, ale umiła mi czas, daje oparcie, mogę mu się wygadać, no i odciąga moje myśli od niebezpiecznych umów, które zawarłam w niedawnej przeszłości.

A wspominałam już, że umiła mi czas?

Gdy wyszliśmy z knajpy, pocałował mnie w usta, a potem w szyję. Chichotałam cicho, gdy jego zarost łaskotał moją skórę, lubiłam czuć na niej jego ciepły oddech. Robiło się ciemno, a mnie łąpało zmęczenie po intensywnym dniu nauki, dlatego uwiesiłam się na jego ramieniu, gdy wracaliśmy do domu. Alex niósł za mnie ciężką torbę z laptopem i książkami, jak przystało na dzentelmena, którym niezaprzeczalnie był.

Przynajmniej dopóki nie przekroczyliśmy progu mojego mieszkania.

Co prawda, najpierw zrobiłam nam herbatki owocowe w pękatych kubkach, a potem rozsiedliśmy się razem na kanapie pod kocem, relaksując się przy filmie, co wciąż było szalenie miłe i niewinne, ale następnego dnia zrywałam się już na zajęcia ze swojego łóżka, nie dbając o to, że przy okazji trącam Alexa śpiącego obok i wywracając oczami na jego rozwalone po całej sypialni ubrania.

Byłam przekonana, że to on jest bałaganiarzem, bo rano zapominałam zawsze, że ja często wieczorem pomagałam mu się ich pozbyć i odrzucałam je gdzieś na bok w pośpiechu.

Maksymalnie cieszyłam się swoim hiszpańskim życiem. Fajnie było pójść na uczelnię, spotkać się z ludźmi i powrócić do trybu studentki. Trwałam w nim prawie cały grudzień, aż nadeszły święta. Zaplanowano je u Blanche, jak zwykle, i jedynym minusem organizowania ich na Kanarach było to, że przez dużą odległość nie mogłam odwiedzić taty. Do wigilii i tak nie zasiedlibyśmy w więzieniu, ale zawsze dobrze było go widzieć i usłyszeć od niego parę pokrzepiających słów, na które po kilku latach w zamknięciu wciąż bez problemu potrafił się zdobyć.

Przed samym Bożym Narodzeniem przysłano po mnie samolot. Do chatki Blanche dotarłam tego samego dnia, co bliźniacy oraz Vince z ferajną. Ci ostatni docelowo zatrzymali się w hotelu, bo u babci brakło miejsca, by przenocować tyle osób, ale Anja obiecała wpadać z dziećmi na całe dnie i dotrzymała słowa, więc już od progu powitał mnie śmiech Lissy.

Shane, Tony i Benny opowiadali jej właśnie historię o starym żeglarzu, który lata temu wypadł z łódki zaplątany w sieci.

– Morze wypłuło go na plaży obok nas – mówił Benny. – Kulejąc, wspiał się wysoko, wysoko po tych skalnych schodkach...

– ...i padł dopiero w krzakach Blanche – kontynuował Shane. – Teraz nocą, jak się wsłuchasz, to usłyszysz jego jęki.

– Coś w stylu „eeeh” – dokończył Tony, a Shane, trącając go, zaprzeczył:

– Nie, to bardziej „hyueee”.

Lissy chichotała głośno, a bliźniacy brzmiali, jakby konali, prześcigając się w wydawaniu z siebie jak najbardziej mężeńskich odgłosów.

– Co jest, ktoś tu kogoś zarzyna? – warknęła Blanche, której przyjście z kuchni zapowiedział odgłos stukającej o drewnianą posadzkę laski. Opierała się o nią i z naburmuszoną miną skanowała niewidzącym wzrokiem salon. – Przymknijcie się.

– Usiądź, wyluzuj się – rzucił do niej Shane.

– Mowy nie ma – fuknęła i machnęła laską. – Trzeba pilnować tej baby w kuchni.

– Bądź dla niej miłsza, przecież dużo pomaga – upomniał ją łagodnie Benny.

– Sama bym sobie poradziła – burknęła babcia. Dobrze, że nie musiała widzieć porozumiewawczych spojrzeń między bliźniakami i Bennym. Podczas gdy tak je rzucali, jedno padło przypadkowo na mnie, która wślizgnęłam się już do pomieszczenia.

– O, dziewczynka przyjechała.

– Ciocia Hailie! – zawołała Lissy i zgodnie ze swoją prywatną tradycją podniosła się z podłogi, by wpaść mi w ramiona. Wiedziałam, że wskoczy w nie niespodziewanie, dlatego zawczasu odstawiłam na podłogę transporter, w którym tkwił Daktyl.

– A gdzie twój tata? I mama? – zapytałam. – I mam nadzieję, że przywiozłaś ten naszyjnik z hawajskich kwiatów, o którym mi tyle opowiadałaś przez telefon.

– Pracują. – Lissy wzruszyła ramionami, a potem oczy jej rozbłysły. – Mam go ze sobą, pokażę ci!

I odczepiła się ode mnie, by zniknąć na schodach. Odprowadziłam ją wzrokiem z szerokim uśmiechem, ciesząc się jej pozytywną energią. Potem przywitałam się z chłopcami, Bennym i Blanche, która zaciągnęła mnie do kuchni, bym, cytując, swoim byстрыm wzrokiem przypilnowała kobietę, która się tam kręci.

Na przestrzeni lat Blanche zaczęła potrzebować pomocy, zwłaszcza że nasza rodzina urosła. Przygotowanie dla wszystkich świąt przez niewidomą, coraz starszą kobietę było zwyczajnie niemożliwe, nieważne, jak dużą pomoc otrzymywała od bliskich. Należało więc zatrudnić kogoś dziarskiego, kto zająłby się tym wszystkim. Niestety, gosposia, która zdążyła zdobyć zaufanie Blanche, poszła na emeryturę, więc teraz zatrudniono kolejną osobę, wystawiając ją na ocenę podejrzliwej babki.

Will z Harrisonem i Dylan z Martiną przyjechali dzień później. Kiedy rozsiedliśmy się wszyscy w salonie po późnym śniadaniu, chatka Blanche i Benny'ego prawie pękała w szwach. Graliśmy w bilard, dzieci piszczały, ciągle ktoś krzątał się w tę i z powrotem... W Rezydencji Monetów potrafiliśmy się wszyscy rozproszyć po ogromnej przestrzeni, tutaj było inaczej.

To był ładny dzień i rozważaliśmy spacer, ale zdawał się też trochę wietrzny, dlatego długo się wahaliśmy, aż wreszcie zdecydowaliśmy się wybrać na niego po obiedzie. Cóż, może gdybyśmy zebrali się wcześniej, to dzieci by się przynajmniej wyszalały, a tak to Lissy biegała wkoło i rozbawiała swoim dokazywaniem siedzącego na ziemi Michiego. Chłopczyk śmiał się głośno, zachęcając tym siostrę do popisów. Anja prosiła co chwilę, by uważała, a i Vince rzucał dziewczynce sporo ostrzeżeń.

Lissy jednak nie słuchała – skakała wkoło, aż nagle moje sprawozdanie z egzaminów na studiach przerwał przeraźliwie głośny trzask.

– Co jest?! – zaskrzeczała Blanche.

Głowy wszystkich wystrzeliły w stronę źródła dźwięku. Anja zerwała się z miejsca, zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć.

Wielki telewizor, na którym przed chwilą wyświetlały się wiadomości, teraz leżał ekranem do dołu na podłodze, zaledwie kilkanaście centymetrów od Michaela.

Lissy zatrzymała się i stanęła jak wryta – przerażenie wykrzywiające jej twarz zasłaniały roztrzepane blond włosy. Michi zaś w ułamku sekundy wybuchnął ogromnie głośnym płaczem, a ukojenia nie przyniosły mu nawet ramiona matki, w które błyskawicznie został porwany.

– Nic mu się nie stało, przestraszył się tylko – uspokajała nas Anja, przytulając malca do piersi.

Vince, słysząc to, skierował swoje świdrujące spojrzenie na biedną Lissy.

– Czy ty nie słyszałaś, co się do ciebie mówi? – zapytał ostro.

Znałam go dobrze i wiedziałam, że w jego chłodnym głosie pobrzmiewa złość. Lissy też chyba potrafiła całkiem niezłe czytać swojego ojca, bo na jego słowa z jej oczu trysnęły łzy.

– Ona nie chciała – powiedziałam, automatycznie stając za nią murem.

– Nie chciała słuchać – syknął Vince. – Zabawa to jedno. Są granice. – Popatrzył na córkę z kamiennym wyrazem twarzy. – Lindsay, udaj się, proszę, na piętro, chciałbym z tobą porozmawiać o twojej lekkomyślności.

Lissy, cała czerwona oraz mokra na twarzy od potu i łez, bez dyskusji wyleciała z salonu, po czym usłyszeliśmy jej ciche tupanie na trzeszczących schodach.

– To nie jej wina – wtrącił się Shane i w przejęciu nawet odłożył widelec, który do tej pory miał ciągle przyklejony do dłoni.

Vince wbił w niego zimne spojrzenie.

– Prawie zrzuciła telewizor na swojego brata. Gdyby siedział bliżej, stałaby mu się krzywda, nie chcę teraz nawet bawić się w szacunki, jak duża.

– Dobra, ale to był wypadek – odezwał się Dylan.

– Średnio co minutę ktoś jej zwraca uwagę, żeby przestała skakać. Nikt nie zabrania jej zabawy, ale niechże zna umiar.

Vincent naprawdę się zdenerwował i widziałam to po jego bladej twarzy. Podeszedł do Anji i spojrzał wtulonemu w nią synowi w zapłakaną twarz. Kciukiem startł jedną z łez spływającą po jego pucołowatym policzku, a potem pogłaskał go po głowie.

– Nie idź teraz do niej – szepnęła Anja. – Jesteś zły.

– Należy z nią porozmawiać, nie może się tak zachowywać.

– Ochłoń najpierw – naciskała, a gdy jej spojrzenie stało się wyjątkowo stanowcze, Vince wreszcie skinął głową. – Idź się przewietrzyć.

Vince wyprostował się i chwilę jeszcze stał, jakby wahał się, czy aby na pewno posłuchać żony, ale zaraz opuścił pomieszczenie.

Anja odchyliła głowę w tył, ale nie przestawała lulać Michaela. Benny wstał i podszedł do telewizora, żeby podnieść go i ocenić szkody, a do pomocy od razu zerwali się Dylan i Will.

– Zrzuciła telewizor, hę? – podsumowała Blanche, wzdychając ciężko.

– Próbowała się za nim schować, widziałam. Akurat biegła i chciała rozśmieszyć Michiego – powiedziałam.

– Ja widziałem, jak ktoś ją wcześniej nakarmił bombonierką – oznajmił Will, rzucając znaczące spojrzenie w stronę Shane'a. – Nic dziwnego, że tak się rozszalała, to za dużo cukru dla tak młodego organizmu.

Harrison uniósł dłonie w poddańczym geście.

– Ja też, żeby być fair, muszę się przyznać, że podarowałem jej batonika.

Will spojrzał na niego z uniesioną brwią, a Martina machnęła ręką.

– No, to nie jej wina, skąd dziecko biedne wie, że jest naćpane cukrem? U mojej rodziny to dzieci po sufitach skaczą, tak to już jest, czasem są szkody...

– Nie chodzi o telewizor, a o to, że mogła zrobić krzywdę Michiemu – westchnęła Anja.

– Gdyby spadł na niego taki kłopot, to zostałyby z niego naleśnik – zgodził się rozwalony na kanapie Tony, kiwając głową, a Shane zarechotał na to ostatnie słowo i dodał:

– Wiadomo, a tak w ogóle to i tak już czas na nowy telewizor. Ten to przeżytek.

– Działał, dopóki wasze zoo nie przyjechało do mojej chałupy – warknęła Blanche.

– Biedna Lissy – westchnęła Martina, a ja skinęłam głową.

– Biedna będzie, jak Vince wróci ze spaceru – mruknął Dylan, wykrzywając twarz kwaśno.

– Trzeba z nią porozmawiać – mruknęła Anja, całując synka w głowę. – Musi wiedzieć, że to poważna sprawa.

Przestałam udzielać się w rozmowie, bo zaczęłam zerkać w stronę przedpokoju. Słyszałam, jak zagrzechotały koraliki w drzwiach frontowych.

Oblizywałam wargi i siedziałam jak na szpilkach, aż wreszcie podjęłam decyzję i wymknęłam się z salonu.



12

W MIŁOŚCI

Stanąwszy na ganku, widziałam, jak Vincent oddala się w stronę zejścia z klifu. Ruszyłam w jego kierunku i zatrzymałam się dopiero przy samej skarpie. Tam, gdzie stanął i on. Założywszy okulary przeciwsłoneczne, patrzył w horyzont i może wiatr rozwiewałby mu włosy, gdyby nie fakt, że były one sztywno zalizane do tyłu, tak jak lubił najbardziej.

– Hej – mruknęłam cicho.

Nie drgnął, nie odwrócił się ani mi nie odpowiedział.

– Wszystko okej?

Teraz powoli sięgnął do kieszeni swoich garniturowych spodni i wyjął z nich cygaro. Nie musiał walczyć z zapalniczką na wietrze, bo płomień tej należącej do niego, żarowej, był mu posłuszny, jak wszystko inne w jego otoczeniu.

To znaczy poza Lissy.

– To dziecko, które rozpiera energia, normalka – ciągnęłam. – Nic się nie stało.

– Mogła zrobić krzywdę sobie i Michaelowi – przemówił wreszcie spokojnym głosem, wydmuchując dym.

– Nic się przecież nie stało – powtórzyłam łagodnie.

– Mogło, jest nieostrożna.

– To tylko dziecko.

– Chciałbym, żeby była... – Vince zawiesił głos, a ja aż uniosłam na niego głowę, bo przecież rzadko kiedy wahał się, co powiedzieć. – ...jak ty.

Serce mi zadrżało i westchnęłam głęboko.

– Och, Vince...

– Wiele bym oddał, Hailie, żeby porozmawiać z twoją mamą i dowiedzieć się, jak to zrobiła, że wychowała cię na tak porządną osobę. – Zmrużonymi oczami wciąż wpatrując się w horyzont, zaciągnął się cygarem.

– Vince, ty nie wiesz, jaka ja byłam, gdy byłam mała – przypomniałam mu.

– Oczywiście, że nie. Wiem za to, jaka jesteś teraz. Dobra, rozważna.

Spojrzałam niby to niepozornie w bok. Vincent nie wiedział, naturalnie, o mojej umowie z Santanem i szczęśliwy w swojej nieświadomości, kontynuował:

– Chciałbym potrafić wychować Lindsay w podobny sposób. – Odetchnął. – Obawiam się, że jest to nie do zrobienia.

Analizowałam przez chwilę jego słowa, pozwalając świeżym podmuchom powietrza uporządkować sobie myśli w głowie.

– Wiesz, jak wychowywała mnie mama? – Vince nie zareagował na moje pytanie, ale wiedziałam, że mnie słucha, więc sama sobie odpowiedziałam: – W miłości.

Spojrzał na mnie.

– Kocham swoje dzieci – powiedział, unosząc cygaro do ust.

– Oczywiście, że tak. Ale trzeba im to okazywać. Ty jesteś surowy.

– Hailie, wiesz, że taki mam charakter.

– Lissy nie wie, co to charakter – rzekłam dosadnie, unosząc brew. – Ona widzi gesty. Nie będzie potrafiła twojego postępowania usprawiedliwić charakterem.

– Zauważ, proszę, że jestem jedyną osobą, która stawia jej granice. – Oczywiście Vince'a zabłyszczały z determinacją. – Cieszy mnie, że cała rodzina uwielbia moją córkę, naprawdę, jednak równa się to temu, że wszyscy naokoło psują to dziecko i rozpieszczają do granic możliwości. Jestem jedyną osobą, która uczy ją konsekwencji i ogłady.

– Przecież Anja...

– Anja próbuje, ale ma zbyt miękkie serce do dzieci. Jest wspaniałą matką, łagodną, możliwe, że idealną, bo takiej zapewne potrzebują, ale skutkiem tej jej łagodności jest fakt, że bardzo dużo im odpuszcza i na wiele przymyka oko. Zdarza się, że celowo robi to w tajemnicy przede mną, bo wie, że bym tego nie pochwalił.

Uśmiechnęłam się.

– Czyli równowaga rodzicielska zostaje zachowana? – zasugerowałam. – Zły i dobry glina?

– Ależ w ogóle nie jest zachowana. Zły glina jest tylko jeden, za to kandydatów na tych dobrych mamy w naszej rodzinie na pęczki. Chłopcy prześcigają się w byciu ulubionym wujkiem.

– Szkoda, że gdy byłam młodsza, nie prześcigali się tak w byciu moim ulubionym bratem – mruknęłam pod nosem.

– Oczywiście, że się prześcigali. – Vince subtelnie uniósł kącik ust. – Tylko tak, żebyś o tym nie wiedziała.

Zaintrygował mnie, ale pamiętałam, że powinniśmy rozmawiać teraz o czym innym, dlatego wróciłam do tematu:

– Ale to jest w chłopakach urocze – stwierdziłam. – To nie może być złe, że są kochani dla Lissy.

– Mhm. Kiedy zabraniam jej jeść słodczyce na noc, to zawsze znajdzie się Shane, który ją nimi nakarmi.

– Shane jest prześwietnym wujkiem.

– Nie przeczę, ale wtedy Lindsay długo nie zaśnie, co oznacza, że rano będzie miała problem ze wstaniem, co z kolei oznacza, że przez cały dzień będzie grymaśna i da popalić nam i nianiom. – Wolną ręką Vince potarł powiekę. – My będziemy zmęczeni jej zachowaniem, zrobimy się niecierpliwi i w rezultacie będziemy wyładowywać na niej swoje frustracje, na co to biedne dziecko w zupełności nie zasługuje.

– Mówiłeś o tym Shane'owi?

– Rzecz w tym, droga Hailie, że ja nie chciałbym wpływać na jego relacje z moją córką. Dobrze, że jest dla niej dobry i że ona go uwielbia. Jeśli wygląda to w ten sposób, że Lindsay musi myśleć, że to ja jestem tym złym, to nie będę się z tym spierał. Bądź co bądź jestem jej rodzicem, tak więc poradzę sobie z tą rolą.

Przechyliłam głowę.

– Hej, no, Vince, ale ty wiesz przecież, że ona cię wielbi, prawda?

– Mhm. Wielbiła mnie, zwłaszcza gdy dostała karę, bo zamiast spać, wymknęła się z sypialni, natknęła na Tony'ego i nakłamała mu, że pozwoliłam jej na nocne oglądanie telewizji. – Nie mogłam się powstrzymać i zareagowałam chichotem. Vince skwitował to cierpkim uśmiechem, który zdradzał, jak bardzo nie jest pod wrażeniem zachowania

własnej córki. – Tony zresztą też nie zabłysnął, bo gotów był pozwolić jej obejrzeć ze sobą horror. Czterolatce. – Vince pokręcił głową. – Dobrze, że nakrył ich Will.

– Tony jest głupi, a Will też jest kochany.

– Will natomiast przechodzi samego siebie w rozpieszczaniu jej, w konsekwencji czego często podważa mój autorytet.

Parsknęłam.

– Twój autorytet, Vince, jest nie do ruszenia.

– Dylan namawia ją do rozrabiania. A czasem ma doprawdy idiotyczne pomysły, wręcz gorsze od niej.

– To mnie akurat nie dziwi...

– Jak mówiłem, wszyscy są gotowi jej odpuszczać, traktować ją z pobłażliwością i głaskać po głowie.

– Ale Vince, jak by nie patrzeć, dla mnie mama i babcia Bonnie też były ogromnie pobłażliwe. Złego słowa do mnie nigdy nie powiedziały.

– Różnica, moje drogie dziecko, jest taka, że Lindsay wychowuje się w luksusie. Martwi mnie, że w przyszłości okaże się najbardziej rozwydrzonym dzieckiem pod słońcem.

– Poczekaj, przecież Lissy nie jest i nie będzie rozwydrzona. Jest kochana. Ja, na przykład, byłam bardzo cichym i potulnym dzieckiem. To, że ona jest inna, nie oznacza niczego złego. Jest śmiała, pełna energii, wesoła. Trzeba pielęgnować te cechy, a przy okazji uczyć dobra, miłości i empatii. Wtedy będzie dobrze, zapewniam cię, Vince.

Miał poważną minę, a w głębi jego oczu dostrzegałam nadzieję. Zachęcona jego uwagą i reakcjami złapałam go na moment pod łokieć.

– Jak będziesz do niej iść, wyjaśnij jej, że musi bardziej uważać i że została wysłana na piętro przez to, że wy się tak bardzo wystraszyliście, że mogła zrobić krzywdę sobie i Michiemu. I powiedz jej też, że nie jesteś na nią zły. I przytul ją, powiedz coś miłego.

Vincent popatrzył na mnie, potem na morze, a potem znowu na chwilę zerknął na mnie. Cały czas towarzyszyło mu cygaro. Cieszyło mnie, że pozwala sobie na refleksję nie tylko nad zachowaniem Lissy, ale i własnym.

Do czasu, aż wypalił cygaro, staliśmy w milczeniu i cieszyliśmy się rześkim powietrzem oraz pięknym widokiem lekko wzburzonego morza. A kiedy wróciliśmy do chatki Blanche, Vincent od razu skierował się na schody. Oddając jemu i Lissy należytą

przestrzeń, odprowadziłam go tylko spojrzeniem, a potem dołączyłam z powrotem do wszystkich w salonie.

Później i tak porozmawiałam z Lissy. Siedziałam w wielkim fotelu Blanche i wzięłam ją na kolana, żeby zapleść jej warkocza, o którego wcześniej prosiła. Lissy nieśmiało wygadała mi się, że było jej smutno, gdy czekała na tatę w pokoju na górze, bo tak w ogóle to zawsze jej przykro, kiedy tata jest na nią zły, a wtedy jeszcze czuła wyrzuty sumienia, że prawie zrobiła krzywdę Michiemu. Na dodatek nie miała pod ręką ulubionej lalki, do której lubiła się zawsze w takich sytuacjach przytulać. Serce mi pękało, gdy słuchałam jej skarg, ale szybko mi ulżyło, bo wiedziałam, że Vince udźwignął tę sytuację.

Wszedł do pokoju, usiadł na łóżku i wyciągnął rękę w kierunku Lissy, która niepewnie zbliżyła się do niego i niebawem ucieszyła, gdy jego palce zacisnęły się lekko na jej drobnej dłoni. Przyciągnął ją do siebie i zadbał, żeby patrzyła mu w oczy, gdy tłumaczył jej, że upomnienia kierowane są w jej stronę nie po złości, ale z troski o jej bezpieczeństwo i że Michi jest mały i trzeba na niego dodatkowo uważać.

– Tata mówił, że wysłali mnie do pokoju, bo dorośli się wystraszyli i musieli... coś tam zrobić z emocjami – przekazała mi swoim słodkim głosem.

– Uspokoić emocje? – zasugerowałam.

Lissy pokiwała energicznie głową.

– Tak!

– Bardzo ładnie z jego strony, że tak ci wszystko wyjaśnił – odparłam, rozczesując jej włosy.

– I wiesz jeszcze co? – zapytała i odwróciła się, a w oczach coś jej błysnęło.

– Co takiego? – Uśmiechnęłam się, odkładając na moment szczotkę.

– Powiedział mi jeszcze sekret.

– Naprawdę?

Lissy pokiwała głową z zadowoleniem.

– Ale nie mogę ci powiedzieć. Bo to sekret.

– Rozumiem.

I uśmiechnęłam się, bo dobrze wiedziałam, co to mogły być za tajemnicze słowa, i poczułam dumę z Vincenta.



Święta na Kanarach miały swój niezapomniany klimat, odkąd przeżyłam je tu po raz pierwszy. Teraz, gdy rodzina Monet się rozrosła, były jeszcze bardziej niezwykle i jak zawsze – mijały za szybko.

Chatka Blanche aż wibrowała – tyle życia wnosili do niej członkowie naszej rodziny. W świąteczny poranek okryłam się szczelnie swetrem i wyszłam na dwór, gdzie poza trochę upiornymi, poustawianymi w typowy dla tego miejsca chaotyczny sposób ozdobami bożonarodzeniowymi natknęłam się na Benny'ego, który od rana zbierał owoce, głównie dla mnie i Lissy, jak przyznał.

Zaraz minął mnie również Will, wracający z porannego biegu brzegiem morza. Chciał mnie przytulić, ale mu umknęłam, bo był spocony, na co tylko się zaśmiał i potarł mi włosy.

W naszej rodzinie wykorzystywaliśmy maksimum czasu, żeby cieszyć się swoją obecnością, dlatego przesiadywaliśmy razem całymi dniami, a świąteczny obiad przeszedł płynnie w kolację. Zatrudniona przez Blanche i Benny'ego pomoc przygotowała dla nas mnóstwo świetnego jedzenia, którym opychaliśmy się bez końca.

Shane co chwila dokładał sobie na talerz kolejny stek, Tony wybierał z wielkiej miski cukierków tylko te marcepanowe, a Harrison uniósł lampkę wina przed twarz i przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– To wino... – zaczął.

– No co? – podłapała od razu Blanche z pobrzmiewającym w głosie wyzwaniem. Dla niej spotkania rodzinne były okazją do przekomarzania się, które tak bardzo uwielbiała, dlatego zdawało się, że siedzi w napięciu i tylko czeka, aż ktoś jej podpadnie. – Coś nie tak z winem?

– Skąd pochodzi?

– Blanche sama je robi – szepnął do niego Will.

– Tak, sama je robię, a bo co?

Harrison odchrząknął i z największą kulturą skinął głową.

– Ma wyjątkowy smak.

Razem z Martiną i Anją zachichotałyśmy w tym samym momencie i rzuciłyśmy sobie wesołe spojrzenia.

– Jaka szkoda, że nie ma z nami Mai – powiedziałam, przypominając sobie, że jeszcze więcej frajdy mamy zawsze z uwielbianą przeze mnie ciocią.

Tutaj z wyjaśnieniami wkroczył natychmiast siedzący z boku Vince:

– Monty musiał lecieć do Pensylwanii zająć się...

– ...biznesem, wiem, oczywiście – burknęłam i wywróciłam oczami.

Najwyraźniej rozbawiłam Dylana. Leżał na dywanie, jedną ręką podtrzymywał się z boku i bawił się z Michaelem autkami. Parsknął na moje słowa i uniósł na mnie wzrok.

– Co ty niby wiesz? – zadrwił. – Przecież nic nie wiesz.

– Dylan, daj spokój – syknął do niego Will. Wiedział dobrze, że takie odzywki działają na mnie jak czerwona płachta na byka. Teraz zerkał na mnie ostrożnie, żeby wyczuć, czy dam się sprowokować, czy odpuszczę.

Byłam w świątecznym nastroju, więc jedynie spiorunowałam Dylana spojrzeniem, ale też uśmiechnęłam się słodko i odparłam:

– Przy okazji, słyszałam, że twój zakaz został łaskawie cofnięty.

Dylan nie przejął się przytykiem i wzruszył ramionami.

– Wiadomo, Adrien skumał, że on jest idiotą, a ja jestem super i że właściwie to takimi żądaniami tylko się kompromituje, nie, Vince?

Vincent akurat kroił swoje mięso i nie zareagował, dopóki ja nie odpowiedziałam:

– Mhm, Adrien skumał – prychnęłam pod nosem, a gdy poczułam na sobie uważny wzrok najstarszego brata, spoważniałam i pokiwałam głową, dodając: – Dobrze, że skumał.

Na szczęście zaraz Anja westchnęła ciężko i odciągnęła ode mnie uwagę.

Patrzyła na telefon. Ktoś do niej dzwonił i widziałam, jak Vince zaciska szczękę. Odebrała i z markotną miną wyszła z głośnego od różnorodnych rozmów pomieszczenia, przyciskając komórkę do ucha.

Uznałam to za urocze, że Vincent nie skupił się już na jedzeniu, bo ciągle wypatrywał żony. Można by pomyśleć, że to przejawy jego chorej potrzeby kontroli i że to wcale nie słodkie, a przerażające, ale zrozumiałam go, gdy Anja długo nie wracała. Chyba dobrze wiedział, co się dzieje, bo w końcu nie wytrzymał i po nią poszedł. Ja też się domyślałam. To w końcu nie były pierwsze święta, które z nią spędzaliśmy.

Wrócili dopiero po jakichś czterdziestu minutach. Widać było, że płakała; jej duże szare oczy błyszczały od niedawnych łez na bladej twarzy. Poza tym w rękę ścisnęła chusteczkę, a Vince opiekuńczo obejmował ją ramieniem i dopilnował, by usiadła na swoim krześle, zanim sam z powrotem zajął miejsce przy stole.

Nie chciałam pytać o ich prywatne sprawy, ale najwidoczniej nie udało mi się zamaskować zaciekawienia w spojrzeniu, bo gdy Anja nawiązała ze mną kontakt wzrokowy, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smutno.

– To nic ważnego – zapewniła, a ja to uszanowałam i odpuściłam temat, jak i wszyscy pozostali, którzy w panującym harmidrze zauważyli, że coś się stało. Następnego dnia jednak, gdy piłam samotnie kawę na ganku, Anja się do mnie dosiadła i postanowiła się wygadać.

Otuliła się szarym swetrem. Sama miałam na sobie brązowy i pomyślałam sobie, że obie wyglądamy dziś dość ponuro. Pasowałyśmy przynajmniej do otoczenia, bo tego dnia słońce znowu nas nie zaszczyciło. Niebo nad wyspami się chmurzyło, a pogoda była wietrzna. Można by uznać, że klimat był całkiem depresyjny, ale to nieprawda, z racji świąt był raczej przyjemnie melancholijny.

– Moja matka dzwoniła wczoraj – odezwała się Anja, upiwszy łyk swojej czarnej kawy.

– To przez nią płakałaś? – zapytałam, patrząc w dal.

– Ta kobieta odpowiada za większość łez, które wylałam w życiu. – Skrzywiła się bynajmniej nie od gorzkiego smaku.

– Bardzo współczuję.

– To żadna tajemnica, że mam z nią kiepski kontakt.

Pokiwałam głową, bo to prawda – wiedziałam o skomplikowanej relacji Anji z mamą oraz, jak okazało się na weselu, z bratem.

– Kojarysz, że dzwoni do mnie w każde święta?

– Tak właśnie myślałam, ale nie byłam pewna – odparłam wymijająco.

– Robi tak, od kiedy przestałam je spędzać z nią. Zawsze odbieram, a ona zawsze sprawia mi przykrość. To już tradycja. Może kiedyś będę twardsza i się nie poryczę. – Anja zaśmiała się ponuro.

Spojrzałam na nią.

– Dlaczego więc odbierasz?

Westchnęła i odgarnęła włosy za ramiona, ale były za krótkie, by tam pozostać, więc przy pierwszym ruchu Anji od razu wróciły na swoje wcześniejsze miejsce.

– Bo za każdym razem mam nadzieję, że powie coś innego. Na przykład złoży mi życzenia. Albo ewentualnie przeprosi, że za życiowy cel obrała sobie wzbudzenie we mnie jak największego poczucia winy.

- Poczucia winy? – zdziwiłam się. – To śmieszne, co ty jej takiego zrobiłaś?
- Nigdy za mną nie przepadała, nie jestem pewna dlaczego. – Wzruszyła ramionami i upiła kolejny łyk kawy. – Mój terapeuta radzi, żeby zerwać z nią kontakt.
- To chyba byłby dobry krok, co? – zapytałam delikatnie.
- Cholernie trudny. Nie zrobię tego teraz, chyba jeszcze nie potrafię. Obiecałam jej wczoraj, że odwiedzę ją, jak tylko wrócę do Stanów.
- Ucieszyła się chociaż?
- Przypomniała mi, żebym nie brała ze sobą dzieci, bo są hałaśliwe, a ona miewa fatalne migreny.

Nie skomentowałam tego.

Nasza rozmowa się urwała, bo przeszkodzili nam Martina z Dylanem. Szli właśnie do rodziców Martiny i proponowali, żebym zabrała się z nimi, ale ja grzecznie się wymówiłam, wiedząc, że zatrzymuje się tam też Alex, a przebywanie w jednym pomieszczeniu z nim i Dylanem mogłoby przynieść niebezpieczne konsekwencje, które ciężko mi było przewidzieć – nie widziałam potrzeby w takim bezsensownym wywoływaniu wilka z lasu.

Wolałam odpocząć w salonie Blanche. Tam przywitał mnie miły obrazek. Wszyscy przewalali się po kanapach, zmęczeni obżarstwem. Shane drzemał na jednej z nich, na drugiej Tony leżał rozwalony z Lissy – dziewczynka opierała się plecami o jego klatkę piersiową i słuchała uważnie, co mówił jej do ucha. Oczy wlepiali w tablet graficzny, który Tony trzymał przed ich twarzami i po którym rysował coś specjalnym ołówkiem, który ścisnął w wytatuowanej dłoni.

Dołączyłam do nich i westchnęłam z zadowoleniem, ciesząc się z posiadania tak wspaniałych ludzi wokół.



 Szefie.

Przyłożyłem komórkę do ucha, przecierając oczy. Przysypiałem na kanapie z losowym filmem puszczonego w tle. Miałem kłaść się do łóżka, ale odpłynąłem w salonie. Smętny był to dzień, zwieńczony równie ponurym wieczorem.

Zdziwił mnie telefon o tej porze, ale natychmiast oprzytomniałem. Nikt nie zwykł wydzwaniać do mnie bez ważnego powodu.

– Tak?

– Nie uwierzy szef, kto się nam napatoczył – zaczął. Wydawał się nader podekscytowany. To musiało być coś dobrego. A to zaskoczenie, bo skoro dzwonił do mnie tak późno, to spodziewałem się usłyszeć w słuchawce rozedrgany głos informujący mnie, że ktoś znowu coś spieprzył.

– W takim razie mów, na co czekasz? – warknąłem nie w nastroju na zagadki.

– Hailie Monet.

Znieruchomiałem.

Aktualnie wiedziałem o tej nieszczęsnej Hailie Monet tyle, że trwała akcja ratunkowa. Sam na prośbę Vincenta zaangażowałem swoich ludzi do szukania dziewczyny. Ktoś ją porwał i nawet mnie zrobiło się jej żal. Nie powinna musieć przechodzić przez takie krzywdy. Czym taka nastolatka sobie zasłużyła, by płacić za to, że akurat urodziła się w takiej, a nie innej rodzinie?

Błyskawicznie się ożywiłem. Poderwałem się z kanapy. Tym gwałtownym ruchem zbudziłem swoje dwa psy, które przysypiały sobie na podłodze. Hamlet, ten leniwy, uniósł tylko mordkę i powiódł za mną spojrzeniem, ale Francis wstał i wiernie potruchtał za mną do okna wychodzącego na ciemny dwór. Zapatrzony w tę czerń, zapytałem ostro:

– Jesteście pewni, że to ona?

– Jest z nami jej były ochroniarz. Rozpoznał ją – odparł ochoczo rozmówca.

Niedbale przeczesalem włosy. To była niezwykle cenna informacja. Monetowie daliby się w tej chwili za nią pokroić. Byłem pewny, że nie zmrużyli oka.

– Jest cała? – zapytałem.

– Poobijana, ale chyba kuma, co się dzieje.

– Dajcie jej schronienie – poleciłem. – Zaraz tam przyjadę.

I rozłączyłem się.

Przebrałem się w świeżą koszulę, przemyłem twarz i użyłem wody kolońskiej, wszystko to w biegu. Skoro znałem miejsce pobytu Hailie Monet, powinienem niezwłocznie zawiadomić o tym Vincenta. Najpierw jednak musiałem sam się przekonać, że to na pewno ona. Nie ufałem swoim ludziom na tyle, by w takiej sytuacji uwierzyć im na słowo. A nakarmienie Monetów fałszywą nadzieją byłoby zbyt okrutne.

Jadąc na miejsce, widziałem lecący nad jedną z leśnych pensylwańskich dróg helikopter. Świecąc jasnym reflektorem z góry, przeczesywał lasy, szukając igły

w stogu siana. Przyspieszyłem; nie bez powodu wybrałem na tę wycieczkę sportowe auto.

Zatrzymałem się pod barem, gdzie moi pracownicy udawali, że odwalają ciężką robotę. Spodziewali się mnie, więc ze skupionymi minami robili swoje. Żaden z nich nie miał nawet papierosa w ustach, choć wiedziałem przecież, że w rzeczywistości co chwilę zwołują się na – używając ich nomenklatury – „szluga”.

Nie komentowałem ich marnej gry aktorskiej, bo nie po to tu przyjechałem, nie było na to czasu. Wysiadłem z auta, rzucając im wyczekujące spojrzenie. Z garażu wygramolił się jeden z mężczyzn. Skinął na mnie głową, a jego oczy wpatrywały się we mnie z przejęciem.

– Jest w środku – poinformował mnie, swoją masywną ręką wskazując na drzwi do najbardziej obskurnego lokalu, jaki miałem w posiadaniu.

Uniosłem brwi.

– Zostawiłeś ją tam samą?

– Eee... zerkam tam co chwilę – mruknął, wzruszając ramionami.

Idioci.

Bez słowa ruszyłem do środka. Byłem bardzo spięty. Z zaskoczeniem odkryłem, jak mocno zależy mi na tym, żeby dziewczyna, którą złapali moi pracownicy, naprawdę okazała się Hailie Monet.

Poczułem niepokój, jak chyba wszyscy, gdy dowiedziałem się, co się wydarzyło, i co więcej, prawdziwe współczucie dla Monetów. Kibicowałem im w misji odnalezienia siostry. Skoro teraz pojawił się cień szansy, że mogłem im realnie pomóc w odzyskaniu jej, bardzo chciałem, by to była ona.

I to była ona.

Choć na pierwszy rzut oka nie było to takie oczywiste.

Dziewczyna siedziała przy najdalszym stoliku od wejścia. Oczy miała zamknięte, oddech niespokojny. Głowa opadała jej na oparcie, sine usta miała rozchylone. Poplątane włosy zachodziły jej na bladą twarz, a czoło szpeciła rana. Zatrzymałem się i pilnując się, by samemu zachować neutralną postawę, studiowałem jej stan. Naprawdę ktoś wyrządził jej krzywdę. Już teraz wiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy, by pomóc Monetom złapać tego zwyrodnialca. I to bynajmniej nie sympatia do młodej Monet mną kierowała. Po prostu należy tępić ludzi, którzy z premedytacją są zdolni do atakowania nastolatków, kropka.

Ignorując ciche poruszenie, jakie wywołała w barze moja obecność, cofnąłem się do wyjścia. Gdy wybierałem numer Vincenta, ściskałem telefon tak mocno, że sygnet boleśnie wpijał mi się w palec.

– Słucham cię, Adrienie?

Pracowałem z Monetem i znałem go dobrze, toteż od razu dostrzegałem różnicę w jego głosie. Silił się oczywiście na chłód i beznamiętność jak zawsze, ale dziś wyraźnie marnie mu to szło. Nie potrafił bowiem zagłuszyć nuty rozpaczy. Wyobrażałem sobie, że niewiele jest sytuacji, które mogą obudzić w nim takie emocje.

Świadomość, że to ja jestem osobą, która może ukoić jego ból, była dziwnie satysfakcjonująca.

– Mam twoją siostrę.

Minęły dobre dwie sekundy ciężkiej ciszy, kiedy Vince przetrwał te słowa. Usłyszałem jakiś szelest po drugiej stronie, jakby zerwał się na równe nogi. Nie czekając, aż się odezwie, informowałem go dalej, ledwo zdobywając się na w miarę obojętny ton. Nie chciałem sprawiać wrażenia zbyt zadowolonego, tak nie wypadalo.

– Moi pracownicy się na nią natknęli. Albo ona na nich? Aktualnie przebywa w moim barze, zziębnięta i poobijana. Na pierwszy rzut oka jednak nic niepokojąco poważnego jej nie dolega.

Słyszałem, jak Vincent wziął drżący wdech.

– Gdzie? – zapytał cicho, a potem, gdy podałem mu adres, dodał: – Zaraz tam będę.

Spodziewałem się, że rzuci słuchawką w amoku, ale zanim to zrobił, powiedział jeszcze:

– Dziękuję.

Skinałem głową, zbyt zaaferowany tymi ciężkimi, ponurymi emocjami, by się zreflektować, że on przecież nie może tego zobaczyć.

Wróciłem do baru i tym razem podszedłem prosto do stolika, przy którym wciąż drzemała dziewczyna.

Jeszcze przez moment na nią patrzyłem, żeby się upewnić, że to naprawdę siostra Monetów. Lepiej, żeby ściągnięcie tu Vincenta nie okazało się pomyłką.

To bez dwóch zdań była ona. Te same delikatne rysy twarzy, teraz zniekształcone przez strach i zmęczenie, nawet podczas tego płytkiego snu. No i wciąż szczęśliwie

była ubrana, na dodatek w mundurek Akademii. O ile dobrze sobie przypomiąłem, to ze szkoły ją porwano, więc wszystko układało się w jedną całość.

– Pobudka, Hailie Monet – powiedziałem w końcu.

Dziewczyna drgnęła, przetała oczy i rozejrzała się czujnie. Jej wzrok prędko padł na mnie i w pierwszej chwili lekko zadrżała jej broda, jakby moja obecność oznaczała dla niej, że to nie koniec walki.

Mogło tak być. Mógłbym wykorzystać to, że wpadła w moje sidła. Nie miałem oczywiście ku temu ani powodów, ani chęci, jednak ona tego nie wiedziała. Nie rozumiała mojej współpracy z Vincentem. To była tylko młoda dziewczyna, która przeszła dziś jakiś koszmar i chciała już wrócić do domu.

– Co ty tu robisz? – wychrypiła ledwo zrozumiale. Skrzywiła się przy tym, nie wiem, czy na dźwięk swego głosu, czy z powodu wysiłku, jaki kosztowało ją wypowiedzenie tego pytania.

Musiałem przyznać, że mimo okoliczności udało jej się zabrzmieć nieco zaczepnie.

– Smacznie ci się spało? – zapytałem, starając się trochę rozluźnić atmosferę. Niezbyt to pomogło, bo Hailie Monet wpatrywała się we mnie zdecydowanie pogrążona w dyskomforcie.

– Co tu robisz?

– Ciekawe pytanie, zważywszy, że to ty przybłąkałaś się do mojego baru – odparłem, zasiadając naprzeciwko niej. Błat stolika pomiędzy nami się kleił, nieprzecierany zapewne od dekad. Ze ścian sypał się tynk. Z kanapy mało brakowało, by wyskoczyła sprężyna. To nie warunki dla siostry członka Organizacji. Nie dla dziewczyny w mundurku, której najważniejszym zadaniem było napisanie testu z angielskiego na szóstkę.

Stłumiłem westchnienie. Tak bardzo nie powinno być jej tutaj być.

– To jest twój bar? – zdziwiła się, błędząc wzrokiem po tym obskurnym wnętrzu.

Rozbawiła mnie tym, jak wielkie oczy robiła.

Śmieszna ta Hailie Monet.

– To miejsce spotkań moich handlarzy – wyjaśniłem.

– Wyjątkowo zapuszczone.

– Oni nie narzekają.

Nie żeby ich zdanie specjalnie mnie interesowało, gdyby narzekali.

– No to skąd się tutaj wzięłaś, Hailie Monet? – zapytałem. Zaraz mieli przybyć bracia Monet, a potem minie chwila, zanim sami dojdą do tego, co się wydarzyło, i przekażą te informacje Organizacji.

Ona wolała milczeć. Niewiele różniła się od braci. Musiałem jednak oddać jej sprawiedliwość – w jej stanie trudno było przywoływać traumatyczne wspomnienia. A traumatyczne z pewnością były, sądząc po jej wyglądzie.

Nawet teraz drżała i pocierała dłonie lub ramiona, by się nieco ogrzać. Gdy zatelepało nią po raz kolejny, zwołałem Abe'a, najbardziej lojalnego, ale niezbyt rozgarniętego barmana, jaki tu kiedykolwiek pracował.

– Abe, podaj naszemu gościowi coś na rozgrzanie – poleciłem mu, a potem postanowiłem sam pomóc i wstałem, by zarzucić swój płaszcz na drobne i zziębnięte ramiona Hailie Monet. Moi pracownicy sami powinni na to wpaść, idioci. Przecież widać, że jeszcze trochę, a dziewczyna zamieni się w bryłę lodu.

Ona obserwowała mnie podejrzliwie, wzdrygając się, gdy materiał na nią opadł.

– Wyluzuj, Hailie Monet. Nie chcemy przecież, żebyś nam tu zamarzła – uspokoilem ją.

Nie ruszała się przez chwilę, jawnie onieśmielona moim dżentelmeńskim gestem, ale wreszcie sama się poddała i okryła się płaszczem jeszcze szczelniej, wzdychając cicho.

Chryste, myślałem sobie, kto ją tak załatwił?

Miałem nadzieję, że jej bracia obedrą go ze skóry. Sam bym się zgłosił do tego zadania. Nie miałem żadnego interesu w mszczeniu się za siostrę braci Monet, ale ten jeden raz pomógłbym im bezinteresownie.

Wyrwałem się z rozmyślań, gdy Abe postawił przed Hailie Monet szklanę jakiejś najprawdopodobniej podrzędnej whisky.

Prawie klepnąłem się w czoło z irytacji.

Co za idiota.

– Nie chodziło o alkohol – tłumaczyłem, siląc się na spokój. Nie było sensu denerwować się na kogoś takiego jak Abe, który ewidentnie nie rozumiał, gdzie leży problem, a i nie chciałem dodatkowo straszyc Hailie Monet. – Jest za młoda, przynieś jej coś innego – poleciłem mu, a gdy nie sprawiał wrażenia, jakby załapał, powtórzyłem dosadniej: – Abe, przynieś jej coś innego. Jakies ziółka czy coś.

– Ziółka – odparł Abe, nagle oświecony.

Litości, dajcie mi siły.

– Stój – warknąłem, coraz mniej wyrozumiały. – Nie takie ziółka. Chodzi o herbatę. Gorącą herbatę. Rozumiesz?

Zrozumiał, a że się zdziwił jeszcze bardziej, to już mnie nie interesowało. Też uważałem, że Hailie Monet przydałoby się zamoczyć usta w czymś mocniejszym niż meliska, ale – wbrew pozorom – nie zwykłem rozpijać młodych kobiet, zwłaszcza nastolatek. Zresztą to mogłoby być dla niej niebezpieczne w tym stanie.

– Wybacz. Niektórzy moi ludzie nie grzeszą bystrością. Powinni byli lepiej o ciebie zadbać, gdy tu czekałaś – powiedziałem, gdy Abe odszedł.

– Nie chcę herbaty, chcę do domu – fuknęła, a potem jeszcze dodała oskarżycielsko: – Przecież jesteś współnikiem Vincenta, powinienes od razu dać mu znać, że mnie znalazłeś.

– Racja – mruknąłem. – Chciałbym wiedzieć, kto tak załatwił siostrę Monetów.

– A co ja ciebie niby obchodzę?

Trafne pytanie, nie powinna mnie zbytnio obchodzić.

– Nie chodzi o ciebie – odparłem wymijająco, nie chcąc zabrzmieć zbyt szorstko – a o człowieka, który zadarł z Monetami. Jeśli odważył się podpaść im, chcę wiedzieć, czy ja i moja rodzina też mamy podstawy do obaw. Widzisz, Hailie Monet, ja też mam siostry. Chcę wiedzieć, czy padło akurat na ciebie przypadkiem.

– Masz siostry? – zainteresowała się.

Powstrzymałem westchnienie. Dlaczego ona skupia się na wszystkim, tylko nie na tym, co istotne? A potem uśmiechnąłem się lekko, bo to najwyraźniej był urok jej naiwności i braku obycia w naszym świecie. Nie mogłem się powstrzymać, by sobie z tego nie zażartować.

– Dwie, starsze. Jedna z nich nawet pieprzy się z twoim bratem. Nie wiedziałaś?

Oczy minimalnie jej się rozszerzyły, ale zachowała twarz, odpowiadając mi pytaniem:

– Którym znowu?

– Niewiele ci mówią, co? – Ponownie musiałem stłumić swoją reakcję, tym razem parsknięcie. Nawet w takich okolicznościach Hailie Monet potrafiła mnie rozbawić. – Nie wiesz, co tracisz.

– No tak – prychnęła – bo ja po prostu marzę o imprezowaniu z obrzydliwie bogatymi mafiosami.

Tym razem już nie ukrywałem śmiechu.

– Mafiosami. Cóż to za prastare wyrażenie...

Zapatrzyłem się na nią, zaintrygowany jej tokiem rozumowania. Przez ten płaszczyk ochronny, który zarzucili na nią bracia, dziewczyna miała jakieś nierealne wyobrażenia o świecie, którego była częścią, i niezmiernie mnie to ciekawiło, dlatego szybko ponownie podjąłem wątek:

– Nie uważaj się za lepszą, Hailie Monet. Jesteś tak samo obrzydliwie bogata jak my wszyscy. To, że chwilowo wmawiasz sobie, że nie jesteś zainteresowana naszą śmietanką towarzyską, nie oznacza, że tak będzie zawsze. Pomijając już fakt, że to twoja rodzina cię od niej izoluje, więc nie udawaj, że jest to twój własny wybór.

– Mam swoich znajomych. Nie potrzebuję towarzystwa waszej śmietanki – burknęła.

Interesujące, jak wiele energii poświęcała na wypieranie swojej sytuacji. Nie omieszkałem jej tego wytknąć.

– Uważaj, bo możliwe, że pewnego dnia obudzisz się zżerana przez ambicje i odkryjesz, że twoje ukochane, szkolne psiapsióły zatrzymały się w miejscu, bo skończyły się ich możliwości. A ty będziesz wiedziała, że twoje własne nigdy się nie skończą. Poczujesz potrzebę, by się wspinać, coraz wyżej. Wtedy zapukasz do naszych drzwi, a my... my cię wpuścimy.

Byłem przekonany, że miejsce dla siostry Monetów znalazłoby się w każdym szeregach. Dziewczyna była ustawiona. To taka minirekompensata za jednoczesne bycie narażoną na porwania i inne takie.

Hailie Monet wpatrywała się we mnie ze zdumieniem. Znajdowała się na etapie, na którym moje słowa były dla niej niezrozumiałe, abstrakcyjne wręcz. Jeszcze nie znała życia, nie miała doświadczenia, toteż nie wiedziała, o czym mówię. Nie mogłem jej za to obwiniać. Pozostało czekać i obserwować, jak jej pojęcie o naszym świecie się zmienia. Z zaskoczeniem odkryłem, że z czystej ciekawości jestem gotów się temu przyglądać.

Było coś intrygującego w przyszłości Hailie Monet.

Kim będzie, jaka się stanie.

Mierzyła mnie wzrokiem, nawet dość byстрыm jak na jej położenie. Dostała herbatę, ja naciskałem, ona dalej się stawiała. Objęła dłońmi kubek, stroszyła brwi. Jej upór mnie bawił i tylko odrobinę drażnił.

– Pamiętaj, Hailie Monet, że my sobie tutaj wcale nie negocjujemy – ostrzegłem ją w końcu. – Jestem miły dla siostry Vincenta, ale moja uprzejmość też ma swoje granice.

– Nie możesz mi grozić – wytknęła mi.

Mhm.

Momentami jej fałszywa pewność siebie miała swój urok.

– Nie chcę. Ale mogę.

– Zadzwoń, proszę, do Vincenta – rozkazała mi.

Hailie Monet przybierająca maskę formalistycznego negocjatora to cenny widok. Nie zamierzałem, rzecz jasna, reagować na jej pokrzykiwania. Wpatrywałem się w nią bez słowa, mając nadzieję, że tym samym daję jej do zrozumienia, że nie tędy droga. Żeby opowiedział się po jej stronie, potrzebowała oglądy.

Najwyraźniej nastąpił tu jakiś brak komunikacji, bo niedługo potem dziewczyna, zaskakując wszystkich, gdzieś zza pazuchy marynarki swojego mundurka wyjęła pistolet.

Z chęcią przyjrzałem się broni, żeby wiedzieć, co też ona tu ze sobą przytachała. Nie spodziewałem się tego, że Monetowie uzbrajają ją w broń palną. Z całą pewnością była prawdziwa. Nie przestraszyłem się jednak, gdy we mnie wycelowwała. Był to zdecydowanie nieprzemyślany ruch, ale Hailie Monet nie wyglądała też na pogrążoną w rozpacz czy wyjątkowo zdesperowaną, dlatego nie sądziłem, by padł tego wieczora jakikolwiek strzał.

– Spodziewałem się noża – powiedziałem zwyczajnie.

– Odpowiadając na twoje pytanie, właśnie tak udało mi się uwolnić – wycodziła. – A teraz zadzwoń do Vincenta.

Udawała groźną, ale w jej oczach przebijał strach.

Wyszedł na pierwszy plan, w momencie gdy reszta tych głąbów w barze zorientowała się, że ta, jak się wcześniej wydawało, bezbronna dziewczyna mi grozi. Rozległy się kliknięcia broni i nawet się nie odwracałem, by to potwierdzić – wiedziałem, że za moimi plecami połowa obecnych w barze mężczyzn celuje teraz do biednej Hailie Monet.

Pozwoliłem jej się postresować, ale nie trwało to długo. Obawiałem się, że ktoś z tych bystrzaków wkole nas mógłby nacisnąć na spust chociażby przypadkowo. Hamowałem ich przed zrobieniem głupoty uniesioną w powietrze dłonią, a potem

jeszcze przemówiłem do nich, jednocześnie nie odwracając wzroku od Hailie, ciesząc oczy tym, jak na jej twarzy pojawia się ulga.

– Ależ panowie. Proszę nie wprowadzać nerwowej atmosfery. Nie chcielibyście przez przypadek zastrzelić Hailie Monet, czyż nie? Schowajcie broń i wracajcie do swoich spraw.

Upomnienie to, rzecz jasna, podziałało. Wszyscy usłuchali i większość z nich faktycznie powróciła do czynności, które wykonywali przed tym nagłym zrywem. Czytali gazety, gapili się w ściany, popijając dziwnego pochodzenia alkohole lub rozmawiali z towarzyszami.

Hailie Monet nadal we mnie celowała, teraz już bez krzty przekonania. Wydawało się, że opuściła już broń mentalnie, tylko ręce jej zdrętwiały i tak już zostały we wcześniejszej pozycji.

Rzuciłem do niej nawet żart, który raczej jej się nie spodobał, ale który, ku mojemu zdumieniu, podłapała. Naprawdę nie każde zagubione, poturbowane dziewczę byłoby tak fascynujące.

No a potem przyszli oni.

William pierwszy podbiegł do siostry, otaczając ją opieką, stabilnością i miłością już od pierwszej sekundy ich pojednania. Ulga na jej twarzy była nie do opisania. Natychmiast zabrano jej broń, ale nikt nie był na tyle głupi, by w takich okolicznościach upominać ją za jej posiadanie.

Hailie Monet najpierw rzuciła we mnie nożem, a potem celowała do mnie z pistoletu i dziwnym trafem była aktualnie jedyną osobą, której uszłoby to na sucho.

Vincent pojawił się jako następny. Wyciągnął do mnie dłoń. Wstałem i uściśniłem ją, nie odpuszczając ostrego kontaktu wzrokowego na miarę witających się członków Organizacji.

– Adrienie, dziękuję – powiedział do mnie sztywno, acz szczerze. – Twój telefon dużo dla nas znaczy.

– Cieszę się, że tak to się skończyło – odpowiedziałem w tym samym tonie.

Uniosłem wzrok za Hailie Monet, która odchodziła, otoczona ramieniem brata. Widziałem, jak znika na zewnątrz i naprawdę to była ulga, nawet dla tak mało zaangażowanej w rodzinę Monet osoby jak ja, że udało jej się wyjść z tej sytuacji bez szwanku.

Wpatrywałem się w jej plecy długo, aż zniknęła na dworze, ciągle ubrana w mój płaszcz, którego już nigdy miałem nie odzyskać.



13

OBRAZEK ROZPACZY

Gdyby stało się coś, przez co straciłabym choćby jedną z bliskich mi osób, ciężko byłoby mi się podnieść po takiej tragedii. Uważałam, że wykorzystałam swój limit nieszczęść w życiu, bo za mamą i babcią miałam nie przestać tęsknić już nigdy, ale w głębi mojego serca kryła się obawa, że kiedyś przyjdzie czas, w którym los zarządzi, iż podniosłam się po swoich przejściach na tyle, by teraz dźwignąć kolejne.

Może dlatego spanikowałam, gdy niedługo po świętach, kiedy większość z nas już się rozjechała do domów, a u Blanche zostaliśmy jeszcze na trochę ja, Will, Harrison, Dylan i Martina, Will przyszedł do mnie pewnego popołudnia z poważnym wyrazem twarzy i przekazał mi nieprzyjemne wieści.

Najpierw wyciągnął do mnie dłoń w uspokajającym geście i powiedział swoim kojącym głosem:

– Tylko nie panikuj, malutka.

Naturalnie spanikowałam.

Serce zabiło mi mocniej, oczy się zwęziły, a twarz stężała. Odłożyłam widelczyk, którym dziubałam kawałek ciasta, i oderwałam się od książki, a moja idea relaksującego popołudnia błyskawicznie się posypała.

– Co się stało?

– Nikomu nic takiego, cała trójka jest cała.

Drgnąłam.

– Która cała trójka?! – Zerwałam się z krzesła, a Will uniósł dłonie wyżej. – Co ty mówisz? Mów jaśniej, już!

– Powiem, ale najpierw zapamiętaj, że nic się nikomu nie stało...

– Will!

– Shane, Tony i Lissy uczestniczyli w wypadku samochodowym.

Wydałam zduszony okrzyk i poczułam nieprzyjemne zimno.

– Wypadek? – zapiszczałam słabo.

– Nie denerwuj się, wyszli z tego cało.

– Co za wypadek? Jaki wypadek?

Zaczęłam się trząść, więc Will objął mnie ramieniem.

– Anja chciała odwiedzić matkę, a jedna z niań się rozchorowała, więc chłopcy zaproponowali, że zabiorą Lindsay do kina i na hamburgera. Kiedy wracali, zepchnął ich z drogi samochód...

– Ktoś w nich wjechał?! – Nieświadomie wyrwałam się z objęć Willa i stanęłam prosto, czując, jak w żyłach buzuje mi krew.

– Kierowca samochodu jadącego z naprzeciwka stracił panowanie, to bardzo młody chłopak, licealista... – Will zerknął w bok, a ja zmrużyłam oczy jeszcze bardziej.

– Co pomijasz? Powiedz mi wszystko – zażądałam.

– ...to lokalny dzieciak, chodzi do tej samej szkoły, do której uczęszczaliśmy my wszyscy...

– Coś jeszcze?

Will wahał się jeszcze chwilę, aż w końcu przemówił znowu:

– Był pod wpływem alkoholu.

Zamarłam, a potem cofnąłam się i nie byłam pewna, czy udało mi się zamaskować ból, w którym na ułamek sekundy wykrzywiła się moja twarz.

– Był... pijany?

Will skinął ponuro głową, uważnie mnie obserwując.

Przytknęłam dłoń do ust i odeszłam kilka kroków na bok. Czułam, jak kotłuje się we mnie smutek, ale bardzo łatwo i szybko przerodził się w złość. Wtedy odwróciłam się z powrotem do Willa i wyszeptałam bezbarwnie:

– Jakiś pijany licealista wjechał w auto, w którym byli bliźniacy i córeczka Vincenta?

– Nic im się nie stało – powtórzył mój brat. Cały czas patrzył na mnie z tym samym strachem wypisanym na twarzy.

– Nic? – zapytałam, nie kryjąc nawet gorzkiej kpiny w głosie. – Zupełnie nic?

– Tylko trochę się poobijali. Shane’owi założono dwa szwy na głowie, ale poza tym...

– To – wtrąciłam się ostro – nie jest nic!

Will zamilkł.

– Jakiś pijany smarkacz mógł mi zabić dwójkę braci i bratanicę! To nie jest nic! Oni mogą mieć teraz traumę. – Oblizала wargi, kręcąc głową i spojrzeniem błędząc gdzieś po choince. – Pomyśl, jak Lissy musiała się wystraszyć! I poobijała się?! Ona jest taka drobna, tak łatwo zrobić jej prawdziwą krzywdę! – Wyrzuciłam ręce do góry. –

A Shane? Ma ranę na głowie, czyli musiał mocno się uderzyć... – Obiema dłońmi przeczesałam włosy. – Trzeba... trzeba mu zrobić prześwietlenie, mógł dostać wstrząśnienia...

Will podszedł i mocno mnie objął.

– Są pod opieką, wszyscy. Sytuacja jest opanowana. To nie był groźny wypadek.

– Ten, w którym zginęła moja mama i babcia, też podobno nie wyglądał groźnie – powiedziałam sucho. – A tu proszę, nikt nie przeżył.

Jego ramię się zacisnęło, ale milczał.

– Chcę zadzwonić. Do Vince’a, bliźniaków, Lissy, kogokolwiek – oznajmiłam.

– U nich jest teraz środek nocy, Hailie, daj im odpocząć. Zadzwonimy za kilka godzin.

– Mhm, mhm... – Kiwałam głową, myśląc intensywnie. – Jednak nie. Chcę lecieć do Stanów.

Will pogłaskał mnie po plecach.

– Nie ma takiej potrzeby, malutka...

– Nieważne, po prostu chcę. Załatwisz mi samolot? Wezmę ze sobą Daktyla.

Will wyglądał, jakby chciał oponować, ale szybko stwierdził, że to nie ma sensu, bo ostatecznie tylko skinął głową.

– Oczywiście.



Gdy wsiadałam na pokład jednego z prywatnych odrzutowców Monetów, już trochę lepiej nad sobą panowałam. Zdążyłam ochłonąć i całą długą podróż do Stanów poświęciłam na przeanalizowanie sytuacji i tego, co chciałabym zrobić.

Nie mówiłam o tym na głos, bo nie chciałam martwić Willa jeszcze bardziej ani drażnić i tak poddenerwowanego Dylana, który wraz z Martiną wracał do domu razem z nami.

Dylan zareagował na te niepokojące wieści jeszcze gwałtowniej niż ja – tak wymachiwał rękoma, że prawie strącił nowy telewizor Blanche i Benny’ego.

Wypadek rzeczywiście nie był poważny. Nie musiałam odwiedzać rodzeństwa w szpitalu. Wszyscy zostali szybko zwolnieni do domu, a tam powitali mnie w nienaganej kondycji. Shane i Tony grali na konsoli rozwaleni w salonie, a Lindsay siedziała z Anją na podłodze, były otulone kocem i układały razem puzzle.

Drobny nadgarstek Lissy owijał bandaż, po Tonym nie widziałam większych obrażeń, ale spory plaster, który Shane miał naklejony w okolicach skroni, sprawił, że to do niego podbiegłam najpierw.

Bliźniacy na mój widok wywrócili oczami, ale Shane objął mnie, gdy się do niego przytuliałam.

– I po co przyjeżdżałaś? – westchnął. – Nic się nie stało.

– Mielście wypadek.

– Taki wypadek to nie wypadek. Panikara jesteś i tyle.

– Może i jestem – burknęłam, przyciskając się do niego jeszcze mocniej. Zerkalam na blond główkę Lissy, która ją wykręcała, by rzucić mi śpiący uśmiech. Sama myśl, że coś poważnego mogłoby się stać komukolwiek z tej trójki, bolała mnie za bardzo.

Will też od razu przywitał się z chłopakami. Nie zdjął nawet płaszcza, a tylko poczochnął Tony’ego po jego czuprynie i lekko poklepał Shane’a po policzku. Na koniec kucnął przy Lissy, ucałował jej rączkę i pochwalił pracę nad układanką.

– Zaraz będziesz łapać samolot z powrotem. Bezsens, nic nie myślisz, młoda.

– Żaden bezsens. Wszystko już zaplanowałam. Najpierw chcę rozmowy.

– Jakiej znowu rozmowy?

Wzruszyłam ramionami i uniosłam hardo podbródek.

– Z dzieciakiem, który was potrącił.

Tony spojrział na mnie z niedowierzaniem, a Shane odłożył pada.

– Co ty, oszalałaś?

Wyprostowałam się, śmiertelnie poważna jak nigdy.

– Muszę się upewnić, że więcej tego nie zrobi.

– Że czego więcej nie zrobi? – prychnął Tony.

– Że nas nie potrafi? – Shane uniósł brwi. – No wiesz, raczej małe są szanse, że to się znowu wydarzy, nie?

Cmoknęłam ze zniecierpliwieniem.

– Że więcej nie usiądzie pijany za kierownicę!

– Opuść sobie, Will go ogarnie.

– Will? – Poderwałam głowę, żeby się za nim rozejrzeć, ale już gdzieś zniknął. – Dlaczego nie Vincent?

– Bo Vincent najchętniej by go zamordował, i to wcale nie żart.

Lissy zerknęła na nas kątem oka, jawnie podsłuchując, ale Anja natychmiast zaczęła ją zagadywać o brakującego puzzla, dyskretnie rzucając bliźniakom srogie spojrzenie.

– Rozumiem – mruknęłam, kiwając głową. – Chodzi wam o to, że to taka sprawa, w której Vince nie podjąłby trzeźwej decyzji.

Tony parsknął.

– Nie no, gdy planował śmierć tego typu, to wydawał się mieć wszystko dokładnie przemyślane.

– Może dokończymy jutro, hm? – zagadnęła Anja, głaszcząc córeczkę po głowie.

Lissy była wyjątkowo potulna, co tylko dodatkowo mnie zmartwiło. Bez gadania pozwoliła się wziąć na ręce i tylko pomachała nam na pożegnanie.

– Czy wszystko z nią w porządku? – zapytałam bliźniaków, wykręcając za nią szyję ze zmartwieniem.

– Będzie okej – mruknął Shane. – Wystraszyła się, ale ogarnęli jej wsparcie. Dochodzi do siebie.

– A wy?

– Ogólnie wypadki to specjalność Tony'ego, ale ja też się trzymam – zażartował Shane, a ja szturchnęłam go w bok.

– Serio pytam. Może też potrzebujecie psychologa? Tony?

– Co? – burknął, wlepiając gały w ekran telewizora.

– Psychologa nie potrzebujesz?

– Nie.

Westchnęłam.

– Nam nic nie jest, poważnie, mała Hailie. To nie było nic strasznego. Nawet nie nazwałbym tego wypadkiem. Bardziej takim wiesz, otarciem.

– Krakszą małą – podsunął Tony.

– Właśnie tak, małą. – Shane spojrział na mnie i opiekuńczo zarzucił mi ramię na szyję. – Uroczą jesteś, dziewczynko, że tak tu przyleciałaś, ale nie było potrzeby. I nie masz co gadać z tamtym debilem. Bo wiesz, o czym niby?

Kiwałam głową dla świętego spokoju, ale w myślach tworzyłam już zaawansowany plan, do którego wykonania przystąpiłam od razu następnego dnia z rana.

Dom pijanego kierowcy, a raczej jego rodziców, to jedna z willi na przedmieściach, tych, które nie wyróżniają się przesadnym luksusem, ale też sugerują, że jej mieszkańcy żyją na więcej niż przyzwoitym poziomie.

Trzasnęłam drzwiami od auta celowo. Opatuliłam się szczelniej swoim szalem, a ubity śnieg trzeszczał pod moimi podeszwami, gdy szłam w stronę podestu prowadzącego do domu. Czułam napięcie Willa oraz cichy spokój Danilo, którzy podążali za mną.

Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarłam i zadzwoniłam. Stała w nich kobieta w średnim wieku. Była ubrana i uczesana całkiem schludnie, ale największą uwagę zwróciłam na jej oczy, które były rozszerzone przerażeniem.

– Pani Closter? – zgałam, unosząc podbródek.

– T-tak?

– Przyszłam porozmawiać z pani synem.

– On...

– Proszę tylko nie próbować kłamać, że go tu nie ma. Gdzie miałyby być, jeśli nie tu? – weszłam jej w słowo, dbając, żeby mój ton był wystarczająco zdecydowany.

– Nie jest gotowy na rozmowę – szepnęła kobieta po chwili milczenia.

– Jeśli był gotowy na picie i prowadzenie auta, powinien poradzić sobie z wydukaniem kilku słów.

Palce kobiety zacisnęły się kurczowo na framudze, blokując mi przejście do środka. Na jej palcach zabłyszczały pierścionki. Oczy, jeśli to możliwe, otworzyła jeszcze szerzej.

– Błagam, to tylko dziecko.

Zmarszczyłam brwi i zrobiłam krok do przodu.

– Spowodował wypadek samochodowy – wycedziłam. – To poważna sprawa.

– Obiecał pan, że nic mu się nie stanie – zawołała do Willa. W jej głosie było słychać błaganie, ale i żalony wyrzut.

Odwrociłam się. Will stał za mną razem z Danilo. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza, a twarz miał kamienną. Rzadko sprawiał tak ponure i groźne wrażenie jak teraz. Choć cechował go przede wszystkim powściągliwy spokój, zwykle był uśmiechnięty i łagodny. Nadal nieczęsto miałam okazję oglądać go w tak oficjalnej wersji.

– Obiecałem, że jego młody wiek będzie przez nas wzięty pod uwagę przy podejmowaniu decyzji o tym, jakie konsekwencje poniesie za swój czyn – sprostował.

– Ale...

– Nie jesteśmy tu po to, żeby go karać – westchnęłam ze zniecierpliwieniem. – Chcę się z nim zobaczyć, proszę mnie po prostu do niego zabrać.

Kobieta przygryzała drżącą wargę i zdawała się bić z myślami. Długo nie ustępowała, więc Will odezwał się znowu:

– Pani Closter, proszę nas w tym momencie zabrać do pani syna.

Jego głos miał ostry wydźwięk, to pewnie dlatego finalnie kobieta odpuściła i z ciężkim sercem cofnęła się do środka, robiąc przejście.

– Ian, skarbie... Monetowie do ciebie – zapowiedziała słabo, idąc w głąb mieszkania.

Podążałam za nią, zadbawszy najpierw, żeby wytrzeć buty podeszwy o wycieraczkę, bo wewnątrz domu urządzone było w bielach i nie chciałam tu mimo wszystko nabrudzić. Szłam za kobietą, mijając wiszące na ścianie rodzinne zdjęcia i oprawione w szklane ramki pocztówki z parków narodowych. Dalej zaczynał się salon, a na błękitnym narożniku ktoś właśnie odrzucił na bok koc i gwałtownie się z niego podnosił.

Stałam na dywanie naprzeciwko chłopaka. Obrzuciłam wzrokiem telewizor, na którym zastopował przed chwilą jakieś reality show, a także podłogę, na której leżała napoczęta paczka chipsów.

Chłopak miał rozczochrane włosy, ale poza tym wyglądał dobrze – lepiej niż Shane. Zmęczone oczy, podobnie jak oczy jego matki, prawie wyskoczyły mu z orbit na nasz widok. Zaczął szybko przecierać twarz, jakby to miało przygotować go do tej trudnej konfrontacji.

– Ian – powiedziałam, mierząc go od stóp do głów. – Dzień dobry.

– Dzień dobry pani – odpowiedział, pociągając nosem i łypiąc ostrożnie na Willa, a na koniec upewniając się, że jego matka nie zostawiła go samego.

Nie zostawiła, stała blisko i obejmowała się ramionami, przygryzając wargę. Palcami jednej ręki bawiła się długim naszyjnikiem z symbolem słońca.

– Wiesz, dlaczego tu jestem, Ian? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Serio? – Uniosłam brew. – Nic?

– W sensie, pewnie przez wypadek, nie? – Podrapał się po zuchwie i wzruszył ramionami.

– Czyli wiesz.

– No, domyślam się.

Przymknęłam na chwilę powieki.

– Okej, Ian, zróbmy tak, żeby zaoszczędzić sobie czasu. Ja będę ci zadawać pytania, a ty będziesz mi odpowiadać na nie od razu, bez żadnego przeciągania się, drapania, zerkania na mamę. Dobrze?

Poczułam na sobie wzrok Willa. Ian zamrugął zdziwiony, ale skinął głową.

– Świetnie – skwitowałam. – Powiedz mi, skąd wpadł ci do głowy pomysł jazdy po pijaku?

– Nie planowałem tego – odpowiedział prędko. – Pojechałem do kumpla, zrobiła się impreza, wypilem i... eee... stało się. Przepraszam bardzo, jak coś.

– Skoro wypileś, dlaczego nie zostałeś u kumpla albo nie wezwałeś taksówki?

Chłopak wskazał głową na panią Closter.

– Matka kazała mi wrócić na noc, to wolałem nie robić sobie problemów... A o taksówce no w sumie to nie pomyślałem. Spoko by było ją wziąć, ale no jednak potem bym musiał wracać po auto i tłumaczyć rodzicom czemu, i w ogóle problemy by były.

– No tak. Dobrze, że rozwiązałeś tę sprawę bezproblemowo.

– Nie wiedziałem, że tak wyjdzie. Chciałem dobrze, jak coś.

– Zakładam, że twoja matka chciała, żebyś wrócił do domu samochodem na czas, ale trzeźwy, prawda pani Closter?

Kobieta przestała szarpać za naszyjnik, a w odpowiedzi na moje pytanie skinęła ostrożnie głową, na co ja z powrotem zwróciłam się do chłopaka:

- Więc nie udawaj, że tak potulnie słuchasz się rodziców.
- Nie, to znaczy, wie pani, ja wiem, że trochę odwalilem...
- Trochę odwaliłeś? – powtórzyłam cicho.
- Ian, to poważna sprawa – wtrąciła się pani Closter, blednąc na twarzy.
- Wiem przecież!
- Cóż, nie widać – syknęłam i wskazałam na telewizor. – Siedzisz na kanapie, zajadasz się przekąskami, oglądasz jakieś pierdoły i masz czelność mówić do mnie „przepraszam, jak coś”? Jak coś?

Chłopak zapatrzył się na mnie bez słowa, a ja zbliżyłam się do niego tak, że znajdował się na wyciągnięcie ręki ode mnie.

- Czy ty rozumiesz, że mogłeś zabić dwóch młodych chłopaków i czteroletnie dziecko?

Patrzył na mnie przerażony, zwłaszcza gdy nachyliłam się jeszcze bliżej jego piegowatej twarzy, by dodać cicho:

- Czy ty rozumiesz, jakie masz szczęście, że oni wszyscy przeżyli? Że wyszli z tego bez szwanku? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nie siedziałbyś teraz na tej kanapie, gdybyś zrobił im poważniejszą krzywdę?

W oczach chłopaka zabłyszczały pierwsze łzy, a jego matka zerwała się, by znaleźć się bliżej nas, jakby podejrzewała, że jestem zdolna nagle zacisnąć dłonie na szyi jej syna.

- Ja nie chciałem... – wyjąkał. – Nie chciałem im zagrozić...
- Ale zagroziłeś. Jak myślisz, jakie uczucia żywi do ciebie w tej chwili ojciec tej dziewczynki, która była w aucie, w które uderzyłeś?

Chłopak oblizwał wargi i zdecydowanie robił się coraz bledszy.

- Nie wiem, ja...
- Zgadnij – powiedziałam cierpliwie.
- Może... eee... niechęć?

Zaśmiałam się cicho, po czym pochyliłam się w jego stronę, błyskawicznie poważniejąc.

- Ian, on pragnie twojej śmierci.

Chłopak zamrugnął, a na jego twarzy pojawił się strach, który nie objawiał się już tylko w oczach czy w odcieniu cery. Nozdrza nastolatka zaczęły gwałtownie rozszerzać się i zmniejszać, zaś całym jego ciałem wstrząsały drgawki.

– Mamo... – jęknął, szukając wzrokiem pani Closter, która natychmiast do niego podbiegła i objęła go ramionami.

– Proszę wyjść! – zawołała, świdrując mnie wrogim spojrzeniem. – Nie ma pani prawa mówić takich rzeczy mojemu synowi. Popęłił błąd, ale jest nieletni, nie można go tak obarczać, tym bardziej mówić o śmierci! Co pani sobie wyobraża?!

Wyprostowałam się i poczułam, że Will stanął bliżej mnie.

– Myślę, że nie chce nas pani wypraszać – powiedziałam do kobiety. – Jeśli my stąd wyjdziemy, zjawi się tutaj w zamian Vincent Monet. Proszę mi wierzyć, że woli pani rozmawiać z nami niż z nim.

Zapadła ciężka cisza.

– Czego wy w takim razie chcecie? – zapytała matka Iana, coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie.

Patrząc jej prosto w oczy, odpowiedziałam:

– Już tłumaczę.



KIEŁKUJĄCY PROJEKT FUNDACJI MONETÓW

Dobrze mu idzie – oceniłam.

– Ja wiem? Sprawia wrażenie, jakby nie znał zbyt wielu słów – mruknął Shane.

– Sprawia wrażenie, jakby był debilem – dodał Tony.

Przez otwarte drzwi patrzyliśmy, jak Ian stoi na podeście i przemawia do zapełnionych trybun. Jego drżący głos roznosił się po całej sali gimnastycznej. Chłopak bawił się rękoma i wyglądał, jakby niczego nie pragnął bardziej, niż stąd uciec, ale wtedy zerkał na drzwi i jego wzrok padał na mnie. Kontynuował więc swoją opowieść o tym, jak ogromnym błędem było prowadzenie po alkoholu.

– Niektórzy mają łzy w oczach – ucieszyłam się, wodząc spojrzeniem po publiczności.

– Płaczą, bo zamiast zorganizować to w trakcie lekcji, postanowiłaś ściągnąć ich do szkoły w wolny wieczór – stwierdził Shane, a Tony parsknął.

– Bo to nie są zwykłe warsztaty dla młodzieży – tłumaczyłam. – Zależało mi na tym, żeby podpiąć to pod imprezę charytatywną i zaangażować większą liczbę osób. Trzeba było zrobić to po południu, inaczej poza uczniami nikt by się nie pojawił...

– Teraz ci twoi uczniowie cię nienawidzą.

– Nieprawda, popatrz na nich, są przejęci.

By wskazać na salę, machnęłam ręką i prawie uderzyłabym nią chłopca, który właśnie próbował czmychnąć na korytarz.

– Hej, hej, stój – wyszeptałam, łapiąc go za ramię. – A ty dokąd? Wykład jeszcze się nie skończył.

– Muszę do toalety – odparł chłopiec, wzruszając ramionami. Był bardzo drobny, ale po mundurku poznawałam, że musiał być w odpowiednim wieku, by już uczyć się w akademii.

– Nie możesz poczekać? – zapytałam z niezadowoleniem. – To, co właśnie mówi Ian, jest ważne.

– Chce mi się bardzo – odparł, unosząc brwi.

– Trzeba było...

– Hailie, daj mu iść do kibla – westchnął Shane.

– To ważne, żeby sens tej przemowy trafił do wszystkich – kłóciłam się.

– Nie będę jeździł po pijaku, proszę pani – obiecał chłopiec. – Ja nawet nie mam prawa jazdy.

– Cóż, kiedyś pewnie będziesz chciał je zrobić, czyż nie?

– Wtedy będę pamiętał, by nie pić alkoholu, słowo. To jak, mogę iść? Zaraz się posikam.

Odsunęłam się od niego z grymasem i pozwoliłam mu pobiec pustym korytarzem.

– Trochę za bardzo się w to wczuwasz, wiesz? – zagadnął łagodnie Shane.

– Chcę, żeby do wszystkich tych dzieciaków trafiła waga tego wydarzenia. – Założyłam ręce na piersi, przyglądając się, jak Ian ściera rękawem pot z czoła, opisując ulgę, jaką poczuł, gdy okazało się, że ze stłuczki wszyscy wyszli cało. – Skoro wypadek się zdarzył, zróbmy z niego chociaż coś pożytecznego. Niech inni uczą się na błędach Iana.

– Jak dla mnie jednym uchem im to wleci, drugim wyleci. Popatrz na nich, oglądają się na bufet. Nie myślą o nauce, tylko o darmowym żarciu.

– Mów za siebie – syknęłam. – A żarcie nie jest darmowe. Do bufetu dostęp otrzymają ci, którzy wpłacą pieniądze na projekt fundacji walczącej o świadomość konsekwencji jazdy pod wpływem alkoholu.

Shane i Tony patrzyli na mnie tępo, jakbym mówiła w obcym dla nich języku. Już otwierałam usta, żeby powtórzyć i wyrazić irytację, że tak ciężko rozumują, ale właśnie rozległy się oklaski, bo Ian skończył przemowę.

Rozglądał się na boki i wyglądało na to, że pragnie, by ktoś go zabrał z podestu. To był moment, w którym wkroczyć miałam ja, więc złapałam Shane'a za nadgarstek i pociągnęłam go za sobą na środek sali.

– Brawo, Ian, dziękujemy za podzielenie się tym wstrząsającym doświadczeniem – powiedziałam, zabrawszy mu mikrofon. Uśmiechnęłam się też do niego uprzejmie, dobrze wiedząc, że gdybym go nie zmusiła w niezbyt elegancki sposób, to nie zgodziłby się na wzięcie udziału w tej małej, wyreżyserowanej przeze mnie maskaradzie. – Twoja kolej – zwróciłam się do Shane'a, rzucając mu znaczące spojrzenie, gdy niechętnie przejmował ode mnie mikrofon.

Shane bez entuzjazmu wyburczał, jak całe zdarzenie wyglądało z perspektywy niewinnych pasażerów, czyli jego, Tony'ego i Lissy. Celowo zaangażowałam tylko jednego z bliźniaków do opowiedzenia na forum tej historii – Tony był zbyt mrukliwy, by dobrze zaprezentować się w wystąpieniu publicznym. Sam zresztą zapowiedział, że nie da się wywlec na środek, choćbym próbowała zaciągnąć go tam wołami.

– Generalnie to wiecie, gdyby mojej rodzinie stała się krzywda przez pijanego kierowcę – podsumował na końcu Shane – to sam dopilnowałbym, żeby została z niego krwawa miazga.

Wyrwałam mu mikrofon.

– Dziękujemy! – zawołałam na widok oniemiałych twarzy słuchaczy, próbując złagodzić wydźwięk jego konkluzji.

Tylko trochę, bo osobiście uważałam, że jest całkiem niezła.

Na przestrzeni ostatnich lat zdarzyło mi się przemawiać przed publicznością, dlatego bez zająknięcia podziękowałam mówcom, nagrodziłam brawami morał, jaki wysnuł się z usłyszanych tu perspektyw tej historii, i zaprosiłam wszystkich do wzięcia udziału w kielkującym projekcie Fundacji Monetów.

Gdy zakończyliśmy panel z przemowami, wyściskałam się z kochaną Ruby, z którą ostatnimi czasy miałam raczej sporadyczny kontakt. Kiedy tylko jednak wyszłam z inicjatywą, w którą można było zaangażować fundację, ona pierwsza wyrwała się do wsparcia mnie.

– Postaramy się zwiększyć świadomość głównie wśród młodzieży. Zaczniemy wyraźniej piętnować jazdę po pijanemu. Promujmy używanie taksówek – mówiłam później, gdy stałyśmy razem z boku. Kątem oka kontrolowałam, czy bankiet, który zorganizowałam w akademii, idzie po mojej myśli. Widziałam, że wielu obecnych tu

rodziców wyciąga książeczki czekowe, kiwając głowami w zgodzie nad potrzebą poruszenia tak ważnego tematu jak jazda pod wpływem.

– Nie każdy nastolatek ma na nie pieniądze – zauważyła moja rozmówczyni, wysłuchawszy mnie uważnie. – Uczniowie tej akademii pochodzą z zamożniejszych rodzin, a nawet oni nie zawsze są skłonni wydawać pieniądze na transport. Co dopiero osoby, dla których liczy się każdy grosz.

– Myślałam o tym – odpowiedziałam. – Uważam, że... może powinny zostać wprowadzone zniżki dla uczniów?

– I korporacje na to pójdą?

Spuściłam wzrok.

– Nie zrozum mnie źle – powiedziała prędko, pocieszająco łapiąc mnie za ramię. – To, co robisz, jest wspaniałe. To wspaniałe, że przejmujesz się problemem do tego stopnia, że poświęcasz czas i energię na zorganizowanie czegoś takiego. – Ruby powiodła dłonią po sali. – Na pewno wpłynęłaś jakoś na część tych ludzi tutaj.

Rozejrzałam się niepocieszona.

– Ale to tylko jedna szkoła, na dodatek dla uprzywilejowanych dzieci... – dokończyłam za nią, wzdychając.

Ruby pokręciła głową, a wtedy zakołysały się ręcznie robione, wiszące kolczyki w jej uszach.

– Nie o to chodzi. To ważne, żeby zacząć od małych rzeczy, małych przedsięwzięć. Potem mogą przerodzić się w coś dużego. Trzeba tylko zachować chłodną głowę, wiesz, o czym mówię? Zmianianie świata nie jest proste. Zmiany trudno wprowadzać ot tak, chaotycznie, bez planu – tłumaczyła. – Ja wiem, kochana, że ty jesteś niecierpliwa i chciałabyś, żeby świat był lepszym miejscem już dziś, ale nie dla każdego jest to priorytet, niestety, dlatego to długotrwały proces. Bądź na niego gotowa.

– Myślałam, żeby kolejnym krokiem było zorganizowanie czegoś na kształt... tournée? Wiesz, po szkołach. Ian mógłby opowiadać o swoim doświadczeniu... – zasugerowałam nieśmiało, bo mój entuzjazm nieco opadł.

– To bardzo ciekawy pomysł – zgodziła się Ruby, błyskając bielą zębów w szerokim uśmiechu. – Proponuję zrobić z tego kampanię. Na pewno uzbierasz dziś ładną sumkę, masz szczęście, że to dzieciak z akademii. Ci wszyscy rodzice mają z czego wesprzeć twoją akcję.

Kiwałam głową, w zamyśleniu patrząc nie tylko na dzieci, ale i na dorosłych, którzy teraz już chętnie przemykali przez salę z poczęstunkiem na talerzach i nawiązywali żywe rozmowy z innymi dorosłymi.

– Dziękuję, że mi pomagasz – powiedziałam do Ruby. W zamian posłała mi kolejny szeroki uśmiech.

– Zawsze, kochana – odparła, klepiąc mnie po ramieniu. – Muszę cię teraz na moment zostawić. To czas, żebym i ja chlapnęła kilka słów na forum, w imieniu fundacji.

I udała się w stronę podium, rozglądając się za mikrofonem.

Wyglądziłam swoją ciemną marynarkę i strząsnęłam niewidoczne okruchy z równie ciemnej, ołówkowej spódnicy z wysokim stanem, która sięgała mi przed kolano. Czułam się w tym stroju dorośle i profesjonalnie, czyli tak, jak chciałam się czuć, powróciwszy w mury akademii.

Z rozrzewnieniem wspominałam młodszą wersję siebie, która dreptała po tutejszych korytarzach w mundurku, z wielkimi, przestraszonymi oczami, nieokiełznanymi ambicjami i nadopiekuńczymi braćmi czyhającymi za każdym rogiem.

Oczu już nie miałam tak wystraszonych, ale bracia wciąż charakteryzowali się nadopiekuńczością, a moje ambicje nadal były nieokiełznane i szamotałam się z nimi jak mucha w sieci pająka – takie odniosłam wrażenie po rozmowie z Ruby. Tak bardzo chciałam zrobić coś znaczącego. Rozglądając się po sali, w której zorganizowałam wydarzenie charytatywne i gdzie ściągnęłam tak wiele osób, nie byłam pewna, czy dokładnie o to mi chodziło.

– Hailie?

Podniosłam głowę na mężczyznę, który stanął naprzeciwko mnie. Mrużyłam przez chwilę oczy, by zorientować się, czy go znam. Wyglądał młodo, ale powagi dodawała mu jasna broda. Włosy też miał dłuższe i ubrany był dość zwyczajnie – na koszulkę narzucił luźną marynarkę, do której dobrał zwyczajne, ale lśniące nowością białe adidasy. Przechylałam głowę, próbując przypomnieć sobie, skąd go pamiętam, ale powinnam była od razu po prostu spojrzeć mu głębiej w oczy, bo to po nich go rozpoznałam.

Były okrągłe i błękitne, nadal trochę jak u aniołka.

Rozchyliłam buzię, a on skinął głową, uśmiechając się lekko.

– We własnej osobie – przytaknął i wyciągnął w moją stronę dłoń.

Patrzyłam na nią, zastanawiając się, czy wszechświat robi sobie ze mnie żarty.

– Fajnie, że udało mi się wpaść.

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, przełknęłam ślinę i rozejrzałam się dyskretnie, sprawdzając, czy nie trafiłam do ukrytej kamery. W tej chwili interakcję zdawał się obserwować jedynie Danilo i nie wyglądał na zmartwionego.

Z powrotem odwróciłam się do chłopaka stojącego przede mną i zdecydowałam się wreszcie uścisnąć jego dłoń, którą tak cierpliwie trzymał w powietrzu.

– Jason – powiedziałam. – To ty.

– Poznałaś mnie – zaśmiał się.

– Ledwo – odparłam słabo, chłonąc jego widok w oniemieniu. – Zmieniłeś się.

– Bardzo – przytaknął. – Ty trochę też.

Wgapiłam się w niego i kręciłam głową, ciągle nie dowierzając.

– Co ty tutaj robisz...?

– Akurat odwiedzałem mamę i dowiedziałem się, że Hailie Monet organizuje szybką kampanię charytatywną w mojej starej szkole, na którą serdecznie zaprasza wszystkich absolwentów.

– Nie jesteś absolwentem, o ile dobrze pamiętam – odpowiedziałam. – Wyleciałeś.

Jason zaśmiał się znowu i pokiwał głową, chowając ręce do kieszeni marynarki.

– Tak było – zgodził się. – Ale stwierdziłem, że spróbuję się wbić. Pokazałem im dokument przyjęcia do szkoły i skłamałem, że zgubiłem świadectwo. Przymknęli oko.

– Świetnie, widzę, że nie nauczyli się ostrożności – mruknęłam.

– Przyszedłem, żeby wesprzeć twoją akcję. Wpłaciłem coś od siebie.

Odchrząknęłam, czując się niezręcznie.

– Cóż, dziękuję.

– Patrzysz na mnie podejrzliwie – zauważył, na co uniosłam brwi.

– Co, dziwisz mi się? Nie rozstaliśmy się w przyjaźni.

– Nie dziwię. Byłem frajerem.

Po raz pierwszy dziś popatrzyłam na niego zaintrygowana, bo zdawał się mówić szczerze.

– Zmieniłem się, serio – kontynuował. – Masz ochotę na herbatę?

– Czy mam ochotę na herbatę z Jasonem Evegreenem? – Przytknęłam dłoń do ust, a potem nie wytrzymałam i parsknęłam. – Nie wierzę, że te słowa właśnie zostały

wypowiedziane na głos.

– Zaproponowałbym coś innego, ale na tym twoim minibankiecie nie ma ponczu z choćby gramem alkoholu. – Wzruszył ramionami, a kąciki jego ust uniosły się z drwiną.

– To wydarzenie charytatywne, którego celem jest edukowanie o ryzyku związanym z prowadzeniem pod wpływem alkoholu. Oczywiście, że nie serwujemy tu drinków.

– To co, herbata?



15

BLA, BLA, BLA... HAILIE MONET

Nie miałam nic do stracenia. Chwilowo nikt nic ode mnie nie chciał, więc przepchnęłam się do stanowiska z ekspresami do kawy i wrzątkiem, czując, jak Jason depta mi po piętach.

– Spodziewałabym się, że mnie znienawidziłeś – powiedziałam wprost, gdy ostrożnie przysiedliśmy sobie z boku na najniższej ławce na trybunach z papierowymi kubkami w rękach.

– Neeee – zaprzeczył, kręcąc głową. – To znaczy, nienawidziłem cię dosłownie przez chwilę. A właściwie to, jeśli miałbym sprecyzować, nienawidziłem twoich braci.

– Byli dla ciebie... nieprzyjemni – przyznałam, odkładając na bok mieszadło.

– Byli dla mnie ćwokami, ale ja niekoniecznie byłem lepszy.

Nie kłóciłam się, co Jason skwitował uśmiechem.

– Słuchaj, generalnie to chodzi mi o to, że chciałem cię przeprosić. – Uniosłam na niego wzrok. – Przepraszam cię za to, co było, Hailie – powiedział poważnie.

Zamrugłam i prawie oparzyłam palce wrzątkiem, gdy za długo przytrzymałam je na kubku. Odstawiłam go na bok i potarłam dłonie, wpatrując się w Jasona totalnie zaskoczona.

– Zmieniłem się, a ostatnio moja terapeutka zasugerowała, żebym spróbował dostać rozgrzeszenie za przeszłość. Dlatego tu wpadłem. Ciężko cię złapać, a jesteś

jedną z osób, którym należały się ode mnie przeprosiny.

– Dziękuję, że o mnie pomyślałeś – wyszeptałam zduszonym głosem.

– Przyjmiesz je?

Położyłam dłonie na opiętych spódnicy udach i przez chwilę czułam się, jakby tłumy dookoła nas zniknęły. Ruby akurat mówiła coś do mikrofonu, ale jej głos zlewał mi się w głowie z innymi dźwiękami, które wypełniały salę. Kątem oka widziałam bliźniaków. Pilnowali stanowiska z ciastami. Tony akurat prychnął i ze znużeniem kręcił głową, a Shane wymachiwał jakąś babeczką.

Spojrzałam z powrotem na swojego towarzysza. Uważnie się we mnie wpatrywał, czekając na moją reakcję. Sama próbowałam zrozumieć właśnie, co czuję, siedząc obok niego. W końcu dosyć mocno mi się w przeszłości naraził i był okres w moim życiu, w którym ten człowiek był jedną z najmniej lubianych przeze mnie osób. Co ja myślę o nim teraz?

Nie czułam nienawiści. Złe rzeczy, które wiązały się z naszą relacją, zatarł czas. Przez te lata tyle się wydarzyło, tyle innych osób zdążyłam zniechęcić bardziej, że do Jasona nie czułam już nic, żadnego żalu.

– Tak – szepnęłam i przełknęłam ślinę. Powoli zaczęłam kiwać głową, coraz szybciej i szybciej. Nie sądziłam, że cokolwiek będzie w stanie aż tak mnie zaszokować tego wieczora. – Tak, oczywiście. Zapomniałam już o tym, co było.

Jason odetchnął.

– Dzięki, to dla mnie wielka ulga.

– Rozmawiałeś z kimś... z kimś jeszcze? – zapytałam od niechcienia i wzięłam łyk herbaty.

Jason wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu, wiedząc, kogo mam na myśli.

– Masz na myśli Lavinie?

– Ją zraniłeś chyba trochę mocniej niż mnie – zauważyłam cicho.

Westchnął i utkwiał wzrok w swojej herbacie.

– Z nią jako pierwszą się skontaktowałem.

– Wszystko u niej dobrze?

– Radzi sobie. Chyba uczy tańca w jakiejś szkole. Tak ją znalazłem. Nie wiem nic więcej, bo nie chciała ze mną rozmawiać.

– Nie wybaczyła ci? – mruknęłam ze zrozumieniem.

Jason pokręcił ponuro głową ze wzrokiem wciąż wbitym w podłogę. Wolną ręką podrapał się po brodzie.

– Chciałem przeprosić, ale kazała mi spieprzać. – Westchnął znowu. – Może trafiłem na zły moment. Może akurat była zmęczona, rozdrażniona lub miała słaby dzień. A może nie przepracowała tego, co się wydarzyło, a ja zraniłem ją zbyt głęboko. Moja terapeutka mówi, że muszę zaakceptować fakt, że być może nigdy nie będzie gotowa, żeby mi wybaczyć.

– Chciałabym powiedzieć ci coś kojącego, ale w tej sytuacji jestem po jej stronie – rzekłam.

– Wiem, spoko. – Jason się skrzywił. – To ja zawałem. Mam szczęście, że przynajmniej ty ze mną rozmawiasz. No i Audrey.

– Widziałeś się z Audrey? – zdumiałam się, a moje serce zadrżało na wspomnienie tej dziewczyny. Nasza krótka przyjaźń zakończyła się w tak dramatyczny sposób...

– Wykorzystałem ją w końcu, więc też była na mojej liście osób do przeproszenia. Tak, serio mam taką listę.

– Co u niej?

– Żeby spotkać się z Audrey, musiałem pofatygować się aż do Karoliny Południowej. Przeprowadziła się tam z rodziną jakiś czas temu. Głównie dlatego, żeby być z Jerrym...

Wzięłam głęboki wdech na dźwięk tego imienia.

– Jerry... – szepnęłam. – Jak on się trzyma?

– Było średnio, jest lepiej. Audrey opowiadała, że jakieś dwa lata temu trafił na kilka miesięcy do więzienia za napad na jakąś, nie wiem, stację benzynową? Wiem, chore, też miałem taką minę, jak mi to mówiła. No ale już wyszedł i mieszka z rodzicami. Głównie gra w gry, choć ostatnio zaczął coś na tym zarabiać, więc może powoli stanie na nogach.

– Czy u Audrey jest lepiej? – zapytałam zdesperowana, by usłyszeć jakieś pozytywniejsze wieści. Jerry naraził mi się o wiele bardziej niż Jason i z tego powodu nigdy miał nie odzyskać mojej sympatii. Nie po tym, co mi zrobił, po prostu. Ale słuchanie o tym, jak napada na sklepy, nie było dla mnie przyjemne.

– Audrey się trzyma dobrze. Ma chłopaka, studiuje coś związanego z finansami, jakaś długa nazwa, nie pamiętam. Nic ciekawego jak dla mnie. Ale wydaje się zadowolona.

– Dobrze to słyszeć – podsumowałam cicho, zapatrzona w bok, gdzie co chwila ktoś przechodził, ktoś się kręcił.

– A ty masz jakieś wieści od kogoś? Co u Mony?

– Mona studiuje w Kanadzie, pracuje w dużej firmie i dosyć nieźle jej się powodzi. Nieźle zarabia jak na studentkę, a szef ją uwielbia.

– Super to słyszeć, Mona zdawała się spoko.

– Jest spoko – potwierdziłam.

– A ty? Widzę, że angażujesz się w projekty społeczne. Fajna sprawa – skwitował, rozglądając się po sali.

– To ponadprogramowe zajęcie. Natchnęło mnie, gdy uczeń wjechał w auto, w którym podróżowała moja rodzina.

– Słyszałem. Cud, że dzieciak jeszcze żyje – zażartował.

Skinęłam głową, leciutko unosząc kąciki ust.

– Na co dzień mieszkam w Barcelonie, przynajmniej na ten moment – ciągnęłam.

– To wiem. Studiujesz medycynę, prawda?

– Skąd wiesz?

– Ludzie gadają. Wiele osób nadal interesuje się tym, co porabia słynna Hailie Monet.

Prychnęłam.

– Dlaczego Hiszpania? – zapytał, obracając w dłoniach kubek z herbatą.

– Miałam potrzebę, żeby na trochę uciec ze Stanów. Pewnie tu wrócę, ale na razie dobrze mi tam. Nauczyłam się hiszpańskiego, poznałam ludzi, rozwijam się.

– Brzmi nieźle.

– A co ty robisz? – zapytałam i dodałam, po chwili zawahania: – Jak potoczyło się twoje życie po... no wiesz.

– Po tym, jak twój najstarszy brat załatwił, że wywalono mnie z akademii?

Skinęłam nieśmiało głową.

– Poszedłem do publicznej szkoły. – Jason się zamyślił. – Jeszcze przez jakiś czas byłem małym frajerkiem. Nosilem w sobie złość i wszyscy dookoła byli dla mnie najgorsi poza, wiesz, mną samym, jak to zwykle bywa. – Wykrzywił twarz w grymasie, najwidoczniej niezbyt dumny z tamtego czasu. – Tam też wpadłem kilka razy w małe kłopoty i w końcu matka mi powiedziała, że tylko głupoty mi w głowie i że mam sobie znaleźć jakieś hobby, bo inaczej wyśle mnie do szkoły wojskowej.

– I znalazłeś?

– Wystraszyłem się tej groźby, więc dla świętego spokoju zapisałem się na kółko fotograficzne. – Coś błysnęło mu w tęczęwkach, gdy się roześmiał.

Wybałuszyłam oczy.

– Naprawdę?

– Nie będę ściemniał. Na początku kierowały mną takie, wiesz, prymitywne pobudki. – Znowu pogładził się po brodzie, jawnie zawstydzony. – Zresztą, co ja się będę przy tobie czaił, sama wiesz przecież bardzo dobrze, że byłem kretynem. Zapisałem się na fotografię, bo liczyłem, że będę robił zdjęcia ładnym laskom.

– Mhm. – Przewróciłam oczami z dezaprobatą.

– I to był strzał w dziesiątkę, bo zrobiłem najpierw jednej dziewczynie sesję, która wyszła tak zarąbiście, że potem wszystkie w szkole oszalały i były gotowe zrobić dużo za fajne fotki, którymi następnie mogły się chwalić na social mediach. A zdjęcia były naprawdę świetne, bo okazało się przypadkowo, że mam szalenie rozwinięty zmysł estetyczny, czy coś w tym stylu.

Zaśmiałam się, a Jason uniósł dłonie w obronnym geście.

– Nie przechwalam się, słowo. To wszyscy dookoła sikali po nogach, jakie to ja mam oko do kadrów i tak dalej. Mnie to wszystko przychodziło naturalnie. No i po jakimś czasie okazało się, że nie tylko jestem w tym dobry, ale i że szczerze to lubię.

– Nadal robisz zdjęcia?

– Pracuję jako zawodowy fotograf – odparł. – Już w liceum miałem pierwsze publikacje w magazynach i na różnych stronach internetowych, a potem olałem studia i wyjechałem do Nowego Jorku, tam posypały mi się zlecenia. Wystarczyło poznać kogoś, kto zna kogoś. Szaleństwo.

– Naprawdę brzmi jak szaleństwo. Gratulacje. Wielkie – powiedziałam, kręcąc z podziwem głową.

– Dlatego w gruncie rzeczy jestem wdzięczny, że tak się wszystko potoczyło. Nigdy nie odnalazłbym pasji, gdyby nie wyrzucono mnie z tej szkoły.

– Cieszę się, że moi bracia mogli się do czegoś przydać – zażartowałam.

– Przydali się, poważnie. W ogóle to teraz ich rozumiem. Im też nie mam niczego za złe.

– Naprawdę się zmieniłeś – oceniłam z uznaniem.

– Tę zmianę zawdzięczam jej – powiedział i sięgnął do kieszeni jeansów. Wyjął z niej telefon i przysunął mi do twarzy ekran, który rozjaśniając się, ukazał profesjonalne zdjęcie małej uśmiechniętej dziewczynki z blond kitką na czubku głowy i o wielkich okrągłych anielskich oczach.

Rozdziawiłam usta.

– Czy to...

– Moja córka – powiedział z dumą.

– Rety, Jason! – zawołałam, chwytając jego komórkę, by lepiej się przyjrzeć. – Te oczy, ona wygląda jak ty!

– Nazywa się Luna i jest totalnie jak ja – potwierdził Jason, a jego własne oczy rozbłysły mu znowu, tym razem z ekscytacji. – Chce robić wszystko to samo, co robię ja. Chodzi wszędzie z zabawkowym aparatem i jest najlepszą modelką, jaką miałem.

– Ile ona ma lat?

– Trzy.

– Jest przesłodka – skomentowałam, z niesłabnącym niedowierzaniem przyglądając się zdjęciu dziewczynki.

– Jest najśladszym dzieckiem na świecie. – Jason też się uśmiechał, gdy zerkał na telefon.

– To oznacza, że urodziła się niedługo po tym, jak skończyłeś liceum?

– Jak tylko skończyłem szkołę, moja dziewczyna zaszła w ciążę. Była aspirującą modelką i pewnie wiele by osiągnęła, ale ciąża zatrzymała jej karierę, a potem jakoś wypadła z gry. Nie szkodzi, teraz jest influencerką. Współpracuje z markami i takie tam, jest zadowolona.

– Więc jesteście razem?

– Planujemy ślub. Trochę się czasem żremy, ale ogólnie oboje chcemy tworzyć rodzinę. Dla Luni i w ogóle. Jest nam razem spoko, więc czemu nie.

Kręciłam głową.

– To niesamowite.

– Wiem, na początku, jak się dowiedziałem, że będę ojcem, to myślałem, że to żart. Ale jak widziałem ten rosnący brzuch, to czułem jakies takie ciary... – Jason patrzył na swoje dłonie z niedowierzaniem. – A wiesz, co pomyślałem, gdy po raz pierwszy trzymałem Lunę na rękach?

Pokręciłam głową, widząc, że oczekuje odpowiedzi. Nawet podniósł na mnie wyczekujący wzrok.

– Autentycznie moją pierwszą myślą było, że jak ktoś ją kiedyś skrzywdzi, to co najmniej zrzucę go ze schodów.

Parsknęłam śmiechem.

– Przepraszam, nie powinnam – wydusiłam, przykrywając usta dłonią.

– Śmieję się, śmiało. To dziecko sprawiło, że zrozumiałem masę różnych rzeczy. Na przykład że zachowałem się jak śmieć w stosunku do Lavinii.

– Może kiedyś ci wybaczy.

– Jeśli nie, to zrozumiem. Zasłużyłem sobie na to. – Wzruszył ramionami. – Ale chciałbym, żebyś wiedziała, Hailie, że ciebie szczerze lubiłem.

Rzuciłam mu szybkie spojrzenie.

– Naprawdę – ciągnął. – Nie zmienia to faktu, że byłem idiotą, więc pewnie i tak bym cię na koniec skrzywdził, ale ze wszystkich tych licealnych miłostek ty byłaś jedyną dziewczyną, z którą – mogę to przyznać z ręką na sercu – lubiłem spędzać czas. Nawet w tych zapyziałych kiblach.

– To miłe – powiedziałam szczerze. – Ja też cię lubiłam. To znaczy, zanim cię znieubiłam.

– Pamiętasz ten policzek, który wymierzyłaś mi na stołówce?

– Pamiętam...

– Moja męska duma tak wtedy ucierpiała, że długo kipiałem ze złości na samo jego wspomnienie – przyznał. – Tak mi wtedy zalazła za skórę, aż normalnie mną telepało za każdym razem, jak o tobie myślałem. Ale teraz rozpamiętuję go z podziwem dla ciebie, wiesz? Byłaś jedyną dziewczyną, serio jedyną w całym moim życiu, która nie próbowała mi się podlizać lub płaczem celowo na widoku wzbudzić we mnie poczucia winy po zerwaniu, a pokazała mi, gdzie wtedy było moje miejsce.

– Cieszę się, że miałam swój udział w wychowaniu cię na porządnego człowieka – zaśmiałam się.

Jason uśmiechnął się i dopił swoją herbatę.

– Dobrze wiedzieć, że u ciebie wszystko w porządku. – Machnął ręką w stronę tłumu. – Fajnie, że robisz takie rzeczy. Są ważne. Gdybyś kiedyś potrzebowała z czymś pomocy, to się odzywaj.

Jason podał mi swoją wizytówkę, na której zacisnęłam palce, a potem nadszedł czas, żeby się pożegnać. Uścisnęliśmy się, po czym patrzyłam na niego przez chwilę, zaskoczona tym, jak miło przebiegło to spotkanie. Nigdy nie zgadłabym, że akurat z tym człowiekiem porozmawiam jak ze starym znajomym. Obserwowałam, jak kieruje się do wyjścia, i nie mogłam przestać kręcić z niedowierzaniem głową.

A potem wpadłam na kolejnego znajomego.

Tego, który pojawiał się zwykle znikąd.

Odwróciłam się, a „przepraszam”, które rzuciłam, wybrzmiało cierpko, gdy zobaczyłam, że odbiłam się od Adriena Santana. Natychmiast poczułam, jak spowija mnie gęsta chmura mroku, która, jak zawsze sobie wyobrażałam, się nad nim roztacza. Mój niespodziewanie dobry po rozmowie z Jasonem nastrój przygasł, bo momentalnie przywdziałam na twarz maskę, czując, że muszę się mieć na baczności.

Adrien, który podobnie jak Vince nie stronił od garniturów, trzymał ręce za plecami. Ja swoje też szybko opuściłam, pamiętając o głupiej zasadzie nietykalności, której on sam tak pieczołowicie przestrzegał.

– Dzień dobry, Hailie Monet – przywitał się ze spokojem i kulturą, której odmówić mu nie mogłam.

Nie uśmiechał się otwarcie, ale na jego twarzy błąkał się wyraz rozbawienia.

– Ty tutaj? – zapytałam szczerze zaskoczona. Po raz kolejny dziś.

Nie ukrywam też, że po odwiedzinach w jego barze wolałam nie spotykać go więcej na swojej drodze. Każda nasza rozmowa mogła zostać potencjalnie wykorzystana przez niego przeciwko mnie.

Wzruszył ramionami.

– Zaprosiłaś mnie.

– Ja cię zaprosiłam? – zdziwiłam się, przykładając dłoń do klatki piersiowej.

– Zaprosiłaś absolwentów akademii, Hailie Monet – przypomniał mi drwiąco. – Pamiętasz, że jestem jednym z nich?

– O.

– Przyszedłem dorzucić się do twojej uroczej zbiórki.

– Nie spodziewałabym się, że znajdziesz czas – przyznałam, zakładając włosy za ucho. Dziwnie się czułam, gdy tak taksował mnie spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Jakby mnie wiecznie analizował. Nie bez powodu byłam też zaskoczona jego obecnością. Zbiórkę organizowałam na ostatnią chwilę, nie miałam więc czasu

należycie jej nagłośnić ani postarać się o przybycie szych takiego kalibru jak on. Z absolwentów nie pojawił się prawie nikt. Fakt, że zawitał tu Adrien Santan, członek Organizacji, miał więc prawo odebrać mi mowę.

– Miałem wolny wieczór, więc się zjawiłem – powiedział, po czym dodał wyraźnie, ale ciszej: – Potrafię być hojny, jeśli mam ochotę.

Przełknawszy ślinę, skinęłam głową.

– Cóż, dziękuję...

Nadal nie rozumiałam, jak to się stało, że się tu pofatygował, ale nie drażyłam tematu.

– Miło mi też słyszeć, że chłopak, który wjechał w samochód twoich braci, żyje – dorzucił swobodnie. – Organizacja i tak ma dużo pracy, dobrze więc wiedzieć, że nie będzie trzeba tuszować niczyjego zniknięcia.

Zaśmiał się cicho na widok wyrazu mojej twarzy.

– To tylko żart.

– Aha – mruknęłam. Chciałam się uwolnić od jego krępującej obecności, ale nie potrafiłam tego zrobić tak po prostu. Ta niewidzialna mgła ciemnej energii, która zdawała się nieustannie go otaczać, zaczynała mnie krępować. Nie czułam się komfortowo, dlatego zdecydowałam się rzucić coś, po czym będę mogła zaraz się pożegnać i wyrwać z jej macek. Chciałam okazać mu szacunek, nie zirytować go, a jednocześnie wymówić się obowiązkami, więc rzekłam cicho: – Chciałabym podziękować za twoją decyzję w sprawie Dylana. Nie miałam okazji... zrobić tego wcześniej.

Liczyłam na to, że stres, który chwycił mnie przy Adrienie w swoje ciasne objęcia, odpuści, gdy będę dla mężczyzny zwyczajnie uprzejma, jednak wtedy on wyszeptał:

– Nie musisz mi dziękować. Oboje ustaliliśmy przecież, że to nie będzie przysługa.

– Nachylił się lekko i zniżył głos jeszcze bardziej: – W końcu umówiliśmy się na zapłatę.

– Na przysługę – zaznaczyłam w panice, słysząc złowieszcze słowo „zapłata”.

– Właśnie tak, Hailie Monet – szepnął, nie odrywając ode mnie intensywnego wzroku. – Przysługę.

Rozłożyłam ręce, jeszcze bardziej zdenerwowana pod tym przesywającym spojrzeniem.

– Czy potrzebujesz jakiejś teraz?

Pokręcił lekko głową i się wyprostował.

– Jeszcze nie.

– Pani Monet?

Czując ciarki na plecach, ucieszyłam się, gdy zaczął mnie Ian, mimo iż na ogół czułam raczej niechęć do tego dzieciaka.

– Mama kazała zapytać, czy życzy sobie pani, żebym jeszcze coś teraz zrobił – wymamrotał.

– Nie, Ian – odpowiedziałam, odchrząkając, by mój głos brzmiał pewniej. – Ale pokręć się tu jeszcze, niech ludzie widzą, że tu jesteś. Jeśli będę cię potrzebować, dowiesz się o tym.

Ian przełknął ślinę i pokiwał głową.

– Tak jest, pani Monet.

Gdy odszedł, znowu usłyszałam kpiarski śmiech Adriena.

– Ładnie go sobie ułożyłaś, pani Monet – powiedział z uznaniem.

– To tylko głupi dzieciak. – Westchnęłam. – Dbam, żeby dostał nauczkę.

– I robisz to w elegancki, surowy i mimo wszystko humanitarny sposób. Chylę czoła.

– No widzisz, kto by pomyślał, że nie trzeba krzywdzić ludzi, żeby dać im lekcję.

– Vincent też się z tobą w tej kwestii zgadza?

Moje milczenie było wymowne.

– Ach, no widzisz, a właśnie zastanawiałem się, co oznacza jego nieobecność tutaj.

– Vincent jest zajęty – odparłam chłodno. – Pracuje. A ty nie powinienesz? Wspominałeś, że macie w Organizacji dużo spraw do załatwienia.

– Tak, bardzo dużo – przyznał. – W przyszłym tygodniu, na przykład, mam kilka spotkań w Barcelonie, może wtedy skorzystam z okazji i zgłoszę się do ciebie po swoją zapłatę?

Byłam pewna, że celowo używa tego słowa, bo widzi, w jak wielki dyskomfort mnie ono wprawia.

Mierzyliśmy się spojrzeniami i starałam się być twarda, ale w środku cała drżałam, bo w głębi duszy wiedziałam, że nie potrafię go zagiąć. Choć nasze pyskówki mogły się wydawać obustronnie błyskotliwe, to z niezrozumiałych przyczyn on zawsze miał w nich ostatnie słowo.

Bo się u niego zadłużyłam.

– Po co ci w ogóle jakakolwiek moja przysługa? – syknęłam.

Adrien wzruszył ramionami.

– Z pewnością się dowiesz. – Następnie skinął mi głową i odchodząc, rzucił: – Do zobaczenia w słonecznej Hiszpanii, Hailie Monet.

– Przecież nie możesz... – zawołałam za nim, ale urwałam, bo za długo zwlekałam i Adrien zdążył zniknąć w tłumie ludzi, którzy teraz na dźwięk mojego podniesionego głosu zaczęli zerkać w moją stronę.

Zamilkłam więc i oblizyłam wargi, głęboko zaniepokojona tym pożegnaniem.

– Co on ci mówił? – zapytał Shane.

Aż podskoczyłam, gdy po moich bokach wyrosli nagle on i Tony. Obaj spod przymrużonych powiek wpatrywali się w miejsce, w którym zniknął Santan.

– Że... – zaczęłam, ale głos mi zachrypl, więc najpierw odchrząknęłam – że wpłacił na zbiórkę.

– Dziwny typ – mruknął Shane.

Tony pokiwał głową i marszcząc brwi, szturchnął mnie.

– Weź ty trzymaj się od niego z daleka.

– Trzymam przecież, sam do mnie przylaź. – Naciągnęłam marynarkę, by się nią szczelnie opatulić, bo mimo iż Adrien już sobie poszedł, zostawił po sobie dziwny chłód.

Albo to po prostu ja panikowałam, bo martwiłam się śliską tajemnicą, którą ukrywałam przed braćmi.

– Nachodzi cię? – zainteresował się Shane, trochę się naprężając.

– Nie...

– Co on do ciebie gada? – burknął Tony, również nastrojony bojowo.

– Co on tu w ogóle robił niby?

– Nic nie... Dajcie spokój. Nic nie robił, wszystko jest okej. Mówił jak zawsze, wiecie, to samo. Bla, bla, bla... Hailie Monet, coś tam. Wiecie.

Bliźniacy popatrzyli na mnie podejrzliwie, a potem, tak jakby to ćwiczyli wcześniej, zgodnie przenieśli spojrzenie na Danilo.


Na moje szczęście ochroniarz pracował dla mnie, a nie dla moich braci, więc milczał jak zaklęty. Chłopcy wkrótce odpuścili temat, ale ja wiedziałam, że stąпам po cienkim lodzie, bo w momencie, gdy bracia Monet zaczynają coś podejrzewać, robi się niebezpiecznie.

Przecież gdyby się dowiedzieli, co zrobiłam w sekrecie przed nimi, rozszarpaliby mnie na strzępy.

Dlatego, mimo iż w głębi ducha wierzyłam, że Adrien na pożegnanie tylko się ze mną droczył, to drżałam na samo wspomnienie jego słów.

Do zobaczenia w słonecznej Hiszpanii.



 Zaciskałem dłonie w pięści, a powietrze wkoło tak zgęstniało, że mógłbym się z nim boksować. Opierałem się o stół bilardowy w starym gabinecie Egberta i gapiłem się na tarczę ogromnego dębowego zegara. Jego tykanie zakłócało ciszę. Dziwiłem się, że to nie przeszkadza ojcu w pracy. Twierdził, że lubi ten dźwięk, że go relaksuje.

Mnie wkurwiał.

Dzisiaj wyjątkowo już przechodził samego siebie, ale to było raczej spowodowane moim ogólnie obniżonym nastrojem. Kiedy już nie mogłem wytrzymać tego napięcia i musiałem zrzucić z siebie balast, odezwałem się niechętnie:

– Powiedziałem coś nieodpowiedniego do siostry Vincenta.

Tata opierał się obiema dłońmi o blat biurka i trwał tak w tej pozycji już od kilku minut. To była dość efektowna poza – wyglądał w ten sposób na wzburzonego. Ja jednak wiedziałem, że raczej się o to biurko podpira, bo nie ma siły zbyt długo stać, a z drugiej strony za bardzo się denerwuje, by po prostu sobie usiąść.

– Już to kiedyś słyszałem – burknął zachrypniętym głosem.

– Powiniennem oddać jej szacunek. Przeprzić – zastanawiałem się na głos. Minę miałem kwaśną, niezbyt podobał mi się ten pomysł.

– Przestań się tym zajmować. – Niechęć w głosie Egberta była równie wyraźna, co w moim. – Oni notorycznie zapominają o oddaniu szacunku nam. Mamy więc większe zagwozдки. Co powiedziałaś Monetowi?

– Zażądałem spotkania z Camdenem – wyznałem. – Nawet Vincentowi trudno było wybrnąć z tej farsy bez przygotowania. Obiecał, że nas skontaktuje.

– Camden, ten stary cwaniak...

Egbert kręcił głową. Znał Camdena Moneta aż za dobrze, a nawet można powiedzieć, że darzył go lekką sympatią. Ba, przeżył po nim żałobę. Tym trudniej było

mu się pogodzić z nowo odkrytą prawdą.

– Dobrze, tak – mrucał do siebie. – Trzeba z nim natychmiast porozmawiać, trzeba też wyciągnąć z tej sytuacji konsekwencje. Monetowie nie mogą być bezkarni, na litość boską!

Kiwałem głową.

To była rzecz, do której trudno mi się było przyznać ojcu, ale największą wściekłość czułem w tej chwili na samego siebie. Nie potrafiłem zapanować nad sobą, gdy nakryłem Hailie Monet na rozmowie z Camdenem Monetem. Poczułem tak niewysłowioną złość i niedowierzanie, gdy młoda niechcący zaczęła mówić do słuchawki „tato”. Tak ogromne niedowierzanie. I rozczarowanie, rozczarowanie też. Tym, że Monetowie tak nieelegancko załatwiają niektóre sprawy. Pamiętałem, jak ich żałowałem, kiedy ich rodzinę dotknęła kolejna tragedia – śmierć ojca. Gotowałem się, uświadomiwszy sobie, że to było tylko kolejne kłamstwo.

– Jak im ufać? – prychnąłem z frustracją. – Jak z nimi współpracować?

– Otóż to. – Egbert oderwał jedną dłoń od blatu biurka, żeby wycelować we mnie palec. – To dobre pytanie. Myślę, że na razie trzeba będzie dać Vincentowi do zrozumienia, że tego zaufania już nie ma. Nie zerwiemy współpracy, to byłaby głupota i niezwykle trudna do przeprowadzenia akcja, ale jakieś konsekwencje muszą ponieść.

Skinąłem głową.

– Tak zrobimy, tato.

Egbert westchnął ciężko nad trudami tej sytuacji, ale napinaliśmy się tak już od dobrej godziny, więc to był czas najwyższy chociaż spróbować wyluzować. Usiadł wreszcie w swoim fotelu i wtedy jeszcze wypuścił powietrze z ust, a potem chwilę masował sobie skronie.

– Zawołaj nam po kawę – rzucił do mnie już spokojniej, ale szybko zmienił zdanie. – Chociaż nie, czekaj. Wiesz co, nalej nam czegoś z barku.

– Jesteś pewien? – Uniosłem brwi, bo wiedziałem, że przy swojej chorobie musi się pilnować z używkami.

Rzucił mi dosadne spojrzenie.

– No dobrze – mruknąłem, wzruszając ramionami. Odepchnąłem się od stołu bilardowego i podszedłem do barku, żeby poszukać tam czegoś ciekawego. Kolekcja alkoholi ojca była może nie większa niż moja, ale z pewnością wyjątkowo wyszukana.

– A jeśli chodzi o to, cokolwiek powiedziałaś do siostry Monetów, to jeśli czujesz, synu, że przegiąłeś, napraw to. Nie potrzebujemy tu twoich wyrzutów sumienia. To Monetowie zawinili i chciałbym, żeby to było jasne.

Sztywnymi palcami odkręcałem korek butelki jakiegoś rzadkiego koniaku. Zacisnąłem szczękę i nie odwróciłem się do ojca, dopóki jej nie rozluźniłem.

– Mhm, tak zrobię.



Skontaktowałem się z Vincentem. Ochłonąłem i wyraziłem chęć przeproszenia jego siostry za niefortunną wymianę zdań w jego gabinecie. Nadal miałem przed oczami jej przestraszony wzrok. Jakkolwiek wiadomość o tym, że Camden Monet żyje, mnie zaskoczyła, nie powinienem był wyzywać się na nastolatce. To nie tak, że ona to wszystko uknuła. Dziewczyna była przerażona i niepotrzebnie dołożyłem jej nieprzyjemności.

Vincent nie był zachwycony moim życzeniem, ale aktualnie jego misją miało być udobruchanie mnie, więc zgodził się, żebym w miejscu publicznym i, oczywiście, w obecności ochroniarza Hailie, przeprosił ją za swoją reakcję.

I tylko, jeśli ona mi na to pozwoli.

Nie wiedział, co do niej powiedziałem. Nie przyznałem się. Ona również się nie wygadała. W przeciwnym razie, i tego akurat byłem pewien, Vincent by mi tego nie odpuścił. To nie były słowa, które chciałby, by słyszała jego siostra, i nieważne, w jakich okolicznościach padły.

Sam czułem się zażenowany.

Dlatego wszedłem do jubilera zdecydowany, żeby jakoś tej dziewczynie wynagrodzić swój nietakt.

– Szukam czegoś dla... – westchnąłem i przetarłem twarz, wodząc wzrokiem po tych wszystkich błyskotkach, po czym przyznałem: – Nie wiem, ile ona ma lat...

Sprzedawca zaśmiał się serdecznie.

– To nastolatka w każdym razie – dodałem.

Sprzedawca przestał się śmiać.

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, aż musiałem je odwzajemnić, z tym że moje było ostrzejsze.

– To dla siostry mojego wspólnika – wyjaśniłem chłodno. – By wyrazić mu swój szacunek.

Nie wiedziałem, dlaczego się tłumaczę. Ważne, że zadziałało, bo sprzedawca przestał mnie oceniać. Bardzo dobrze, bo jeszcze chwila i zrobiłbym się nieprzyjemny.

Proponował różne błyskotki, ale ostatecznie wyszedłem ze sklepu z perłami. Nie mogłem się powstrzymać, w końcu perły dla Perełki Monetów to wręcz idealne nawiązanie. Jubiler twierdził, że perły pasują raczej dojrzałym kobietom, ale przymknął się, gdy się na nie uparłem.

Nie przekraczałem progu Akademii od lat. Niewiele się tu zmieniło, może odnowiono kilka obiektów wchodzących w skład szkoły, ale to nic dziwnego. Muszą nadażać za wymaganiami klientów, jakimi w większości byli rodzice uczących się tutaj dzieci. W końcu dostają od nich naprawdę góry, góry pieniędzy.

Zamożność uczniów zdradzały też samochody na parkingu. Bez dwóch zdań najbardziej imponujące wśród nich było złociste porsche. Każdy w okolicy wiedział, że ta bryłka złota na kółkach należy do Hailie Monet, i to obok niej stanąłem, kiedy zadzwonił dzwonek.

Obserwowałem dzieciaki wysypujące się z budynku. Przypomniały mi się czasy, kiedy sam byłem jednym z nich. Po lekcjach wsiadałem w swoją furę, William w swoją i ścigaliśmy się po przecinających lasy Pensylwanii drogach. A potem dostawaliśmy mandaty, które próbowaliśmy (z marnym skutkiem) ukrywać przed naszymi ojcami. Śmieszne czasy.

Wiele osób rzucało mi zainteresowane spojrzenia. Wszystkie ignorowałem, ale zaczynały mnie drażnić, więc ucieszyłem się na widok idącej w moją stronę Hailie Monet. W ręku trzymała książkę, jak na prawdziwą uczennicę przystało, na włosach miała opaskę, a na twarzy minę wyrażającą drzemiacą w jej duchu pewność siebie.

Przechyliłem głowę, czekając, aż mnie dojrzy.

Kiedy się to stało, zatrzymała się i wybałuszyła oczy. Nie poczułem dumy, gdy zobaczyłem w nich przelotny lęk, który szybko zastąpiła wystudiowana wrogość. Jej blondwłosy ochroniarz coś do niej mruknął.

– To dobrze, bo nie chcę – powiedziała, a potem podeszła trochę bliżej i dodała głośniejszym głosem: – Słyszałeś? Nie chcę z tobą rozmawiać.

– Panie Santan – ostrzegł mnie ochroniarz, ale go zignorowałem. Nie po to tu przyszedłem, a wcześniej poświęciłem prawie półtorej godziny na wycieczkę do jednego z lepszych sklepów jubilerskich znajdujących się w okolicy, żeby teraz odwrócić się i odejść.

Byłem gotów okazać swoją skruchę, nawet bardziej, niż bym się o to podejrzewał. Naprawdę było mi głupio.

– Przyszedłem w pokojowych zamiarach, Hailie Monet. Wysłuchaj mnie, proszę.

– Ostatnim razem dość się ciebie nasłuchałam – wytknęła mi.

Skinąłem głową, siląc się na spokój. Miała pełne prawo tak reagować.

– Tak i dlatego tutaj jestem – tłumaczyłem cierpliwie.

W oczach Hailie Monet błyszczała złość. Wyciągnęła palec w kierunku ziemi i nie odwracając ode mnie wzroku, zapytała:

– Co, może tutaj mam klęknąć?

Chryste, miałem nadzieję, że nikt tego nie słyszy. Ona chyba też, bo się rozejrzała i lekko zaczerwieniła.

– Przyszedłem przeprosić – zapowiedziałem, a następnie zacząłem recytować: – I robię to z dwóch powodów. Po pierwsze, przepraszam cię, bo muszę. Jesteś siostrą Vincenta Moneta, a ja okazałem ci brak szacunku. Moje zachowanie i słowa były stanowczo nie na miejscu. Powinienem był się przy tobie pilnować. Zachowałem się karygodnie i absolutnie nie po dżentelmeńsku.

Brzmiałem jak robot. Dziewczyna nie wyglądała, jakby miała paść z wrażenia. Gapiła się na mnie z taką samą niechęcią.

– Po drugie, przepraszam cię, bo chcę. Lubię cię, Hailie Monet – wyznałem, w ten fragment z kolei starając się włożyć jak najwięcej szczerości. Należała się jej. – Zabawnie mi się obserwuje, jak sobie raczkujesz w naszym świecie. Jesteś od niego taka inna, a jednocześnie pasujesz tu jak ulał. Nie chciałbym być przez ciebie utożsamiany z chamem. – To była prawda, bo mimo iż Hailie Monet nie była żadnym wyznacznikiem, to miałem wrażenie, że jeśli tak empatyczna i niewinna dziewczyna jak ona uważa kogoś za gburę, ta osoba po prostu musi nim być. Z jakiegoś powodu zależało mi, by nie być przez nią w ten sposób odbierany. – W gabinecie Vincenta wściekłem się na twoją rodzinę, nadal zresztą chowam urazę, ale wyładowałem się na tobie, co nie powinno było mieć miejsca. Żeby było jasne, ty swoją propozycją również okazałaś brak szacunku wobec mnie. – Cóż, tutaj musiałem jej to wytknąć, aby nie zrobiło się za słodko. – Dlatego zdenerwowałem się podwójnie. Tak, wiem, że spanikowałaś, dlatego przyznaję... – Westchnąłem. – To ja powinienem być tym, który zapanuje nad sytuacją, a nie dolewać oliwy do ognia. Przepraszam, Hailie Monet, za to, że cię wystraszyłem.

Chyba wyszło niezłe. Patrzyłem na nią intensywnie, chcąc wyrzeć na nią presję swoim spojrzeniem, aby od niego nie uciekła. Widziałem po niej, że to działa. Łamała się. Gdyby ktoś nam teraz przerwał, zagadał ją i oderwał od naszej rozmowy, niwelując tym samym to porozumienie i szczerość, które między nami powstały, absolutnie bym się wściekł.

– Powinnaś uważać na przysięgi, które składasz. Zwłaszcza w chwilach desperacji. To się może kiedyś źle skończyć. Szczególnie biorąc po uwagę twoje nazwisko. To chciałem ci wtedy przekazać i dać małą nauczkę – powiedziałem, zdając sobie sprawę, że marne to było wytłumaczenie.

– Problem w tym, że ty nie jesteś odpowiednią osobą do dawania mi życiowych lekcji.

O tym mówię, tak, w samo sedno.

– To prawda, to nie moja sprawa – przyznałem.

Chyba ją zadowolilem, bo rysy twarzy jej złagodniały i choć nadal grała naburmuszoną, to już nie wyglądała na tak zniesmaczoną. Podeszła nawet do swojego auta, jakby już nie przeszkadzało jej to, że stoję za blisko. Sięgnęła do klamki, by otworzyć drzwi, a wtedy zrozumiałem, że tyle wystarczy. Przeprosiny przyjęte.

Odchrząknąłem.

– Jeszcze jedno.

Zerknęła na mnie ze zniecierpliwieniem.

– Tak?

Wyjąłem pudełko i wyciągnąłem je w jej stronę, a na jej twarzy momentalnie pojawiło się zawahanie i podejrzliwość.

– To tylko przeprosinowy drobiazg.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że przez te cholerne perełki, równo za półtora godziny miałem otrzymać telefon od wściekłego Williama Moneta.

Obejrzała się na ochroniarza, jakby szukała u niego potwierdzenia, że może przyjąć prezent. Życiowe doświadczenie nauczyło tę biedną dziewczynę ostrożności w wyjątkowo brutalny sposób, dlatego czekałem, aż sama, w zgodzie ze sobą, zaakceptuje mój podarunek. Kiedy wzięła go do ręki, uśmiechnąłem się w duchu. Misja wykonana.

Teraz przyszedł czas najwyższy, by ewakuować się z terenu Akademii. Za dużo tu ciekawskich oczu. Dlatego ostatni raz rzuciłem dziewczynie spojrzenie, zadowolony z tego, z jakim zainteresowaniem oglądała obwiązane wstążką pudełko w dłoniach.

– Trzymaj się, Hailie Monet – rzuciłem na koniec.

I odszedłem.



16

ODNALEZIONE SKARBY MINIONYCH WIEKÓW

Na niektórych kierunkach studiów gorąco robiło się w okolicach sesji, kiedy to trzeba było wkuwać po nocach do egzaminów.

Na medycynie gorący okres trwał przez całe studia.

Żeby więc po wdrożeniu się w ten system przetrwać i nie zwariować, trzeba było znaleźć sobie jakiś sposób na odstresowanie. Mnie przy zdrowych zmysłach trzymali znajomi. Miałam ich tutaj dużo – większość była z mojego roku, sporą grupę poznałam też dzięki Alexowi. Nawiązywaniu nowych znajomości sprzyjała hiszpańska kultura i sposób bycia Hiszpanów, którzy są otwarci i towarzyscy.

Nie były to może osoby, za którymi skoczyłabym w ogień i które skoczyłyby w niego za mną, ale wystarczyło mi, że zawsze znalazł się ktoś chętny na imprezkę, kolację lub wyjście na kawę – przez wiele lat mojego życia dostęp do tych przyjemności był dla mnie mocno ograniczony, więc teraz korzystałam z nich z wielką radością.

Dziś spędzałam wieczór z kilkoma znajomymi z grupy. Popijaliśmy drinki z aperolem, wzdychając nad wyjątkowo męczącym dniem, wypełnionym blokiem zajęć w laboratorium. Miło było tak czasem pomarudzić sobie z ludźmi, którzy przechodzili przez to samo.

Po jednym drinku dałam się namówić na drugiego, ale potem, gdy utworzyła się grupa osób chętnych, by ruszyć dalej w miasto – do klubu zapewne, odpuściłam. Tego dnia nie byłam w nastroju, ale ciekawa jestem do teraz, jak by się potoczyło moje życie, gdybym jednak nie wróciła tak szybko do domu.

Czego mogę być pewna, to że nie spotkałabym pod nim Adriena Santana.

Był wieczór, więc się już ściemniło i na początku go nie rozpoznałam, gdy wysiadłam z taksówki pod swoją kamienicą. Lekko podcięta, początkowo nie zwróciłam uwagi na stojącego nieopodal mężczyznę w ciemnym płaszczu. Planowałam prędko przemknąć z auta do budynku, ale zatrzymałam się gwałtownie, gdy za plecami usłyszałam:

– Hailie Monet.

Serce zabiło mi mocniej.

Po naszej ostatniej rozmowie na wydarzeniu charytatywnym w akademii byłam pewna obaw, ale mój niepokój szybko minął – udało mi się przekonać samą siebie, że Adrien się tylko ze mnie nabijał i wcale nie planuje odwiedzić Hiszpanii, a nawet jeśli, to nie niepokoiłby mnie tutaj. Dlaczego miałby?

Cóż, bardzo łatwo udało mi się uspić własną czujność. Sama na to pozwoliłam, a teraz miałam za swoje.

Odwrociłam się. Z rozchylonymi ustami wyteżyłam wzrok, wierząc jeszcze, że ktoś stroi sobie ze mnie żarty, bo widok Adriena pod domem, do tego na kontynencie innym niż Ameryka Północna, był dla mnie nazbyt nieprawdopodobny.

Stał z rękami w kieszeni płaszcza. Spod niego wystawał mu ciemny golf, a jego równie ciemne oczy patrzyły na mnie w ten intensywny i pełen drwiny sposób, że nie mogło być mowy o pomyłce – był to Adrien we własnej osobie. To spojrzenie i sposób bycia były nie do podrobienia.

– Przestraszyłaś się – zauważył.

Wypuściłam powietrze z płuc.

– Zaskoczyłeś mnie – odpowiedziałam. – Co ty tutaj robisz?

– Mówiłem ci, że będę w Barcelonie.

– To... nadal nie wyjaśnia, dlaczego stoisz pod moim domem.

Błądzący po jego ustach uśmiech, dobrze zakamuflowany przez mroczną powagę, tylko mnie frustrował. Tak trudno mi się tego człowieka czytało.

– Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie dokładnie mieszkam? – dociekałam, irytując się coraz bardziej. Byłam zmęczona i chciałam iść spać, a nie musieć użerać się z pełnym zagadek Santanem.

Prychnął w odpowiedzi, jakby była oczywista na tyle, że szkoda mu strzepić język.

Urażona jego postawą, a także – w głębi ducha – mocno nią zaniepokojona, odszukałam wzrokiem Danilo. Stał nieopodal, gotów wkroczyć do akcji. Niepotrzebnie, bo Adrien chyba nie zamierzał mnie na razie atakować. A przynajmniej znajdował się wystarczająco daleko ode mnie, by nasza rozmowa dla postronnego obserwatora wyglądała co najmniej dziwnie.

Adrien dostrzegł na pewno, że rozejrzałam się za ochroniarzem, ale tego nie skomentował.

– Muszę iść – powiedziałam, siląc się na zdecydowany ton. – Mam jutro rano zajęcia.

Skinął głową ze spokojem, więc odwróciłam się od niego i z bijącym sercem ruszyłam do klatki. Zanurzyłam dłoń w torbie i zacisnęłam palce na kluczach. Dodało mi to otuchy. Czułam się, jakbym mu umykała, ale to wcale nie tak, że byłam taka sprytna. On mi na to pozwalał.

Dopóki nie stwierdził, że jednak mnie zatrzyma.

– Przyszedłem po swoją zapłatę.

Znieruchomiałam i upuściłam klucze z powrotem do torby.

Przełknęłam ślinę, powoli zwracając się znowu w jego stronę.

Tym razem lekko się uśmiechał. Wiedział, jak wielki dyskomfort we mnie wywołuje. Nawet nie trzeba było być szczególnie spostrzegawczym, żeby ujrzeć niepokój w moich oczach.

– Lub przysługę, jeśli tak wolisz – dodał od niechcienia, unosząc kącik ust jeszcze wyżej.

– Co, teraz? – Rozłożyłam drżące ręce (mając nadzieję, że on tego drżenia nie widzi).

– Nie ustalaliśmy ram czasowych. Mogę jej zażądać, kiedy zechcę.

Rozejrzałam się. Oświetlona latarniami ulica nie była zupełnie opustoszała, gdzieś w oddali przemykali ludzie, od czasu do czasu przejeżdżało auto. Mimo wszystko czułam, jakby od rzeczywistości oddzielała mnie ściana. Mur, który Adrien stawiał za

każdym razem, gdy się z nim widziałam. Zwłaszcza w takich okolicznościach – czyli nie na żadnym balu i bez braci wkoło gotowych mnie chronić.

Nawet Danilo zdawał się wykluczony, choć czuwał nade mną z bardzo bliskiej odległości. Miał napiętą twarz i wpatrywał się w Adriena nieufnie, w każdej chwili gotów dobyć broń. Zerkał też czasem ponad jego ramieniem i dopiero po chwili zorientowałam się, że gdzieś w mroku z tyłu czai się jeszcze jeden człowiek.

Nie tylko ja przechadzałam się po ulicach Barcelony z ochroną.

Żeby opanować emocje, głęboko odetchnęłam, sfrustrowana, i założyłam ręce na piersi, starając się sprawiać wrażenie pewnej siebie.

– Dobrze, czego ode mnie potrzebujesz?

Adrien, wierny swojej tajemniczej naturze, milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Twojego czasu.

Nie potrafiłam się nawet poruszyć. Niedobrze mi było na samą myśl, jak dziwne i intensywne reakcje we mnie wzbudza ten mężczyzna.

– Ile? – szepnęłam w końcu.

– Mądre pytanie – pochwalił mnie. – Jeden wieczór.

Znowu przełknęłam ślinę, nie dbając o to, że on na pewno to widzi.

– Dzisiaj? – Mój głos był bardzo cichy.

– Jutro – odparł i przyjrzał mi się, jeśli to możliwe, jeszcze uważniej. – Dzisiaj piłaś alkohol, prawda?

Marszcząc delikatnie brwi, skinęłam głową, ale szybko dodałam:

– Nie jestem pijana.

– Nie – przyznał. – Wolę jednak spędzić z tobą czas, gdy twój umysł, Hailie Monet, będzie w stu procentach trzeźwy.

– Co chcesz... – Przerwałam i odchrząknęłam. – Po co? Ten wieczór? – Wreszcie zamilkłam i po chwili odezwałam się wyraźniej: – Jaki będzie plan na ten wieczór?

Adrien uśmiechnął się szerzej, słysząc, jak ostrożnie formułuję to pytanie.

– Planowanie będzie obowiązkiem należącym do ciebie.

– Do mnie? – pisnęłam.

– Nudzę się – powiedział zwyczajnie. – Mam mnóstwo spotkań, jedno bardziej nużące od drugiego. Potrzebuję rozrywki, a ty, Hailie Monet, mi jej dostarczysz.

– Rozrywki?

- Zawsze powtarzasz słowa swojego rozmówcy?
- Tylko gdy trudno mi zrozumieć, co do mnie mówi.
- Jesteś inteligentna, połapiesz się.
- To o to ci chodziło z tą przysługą? – zdziwiłam się szczerze.

Adrien przekrzywił głowę z zaciekawiony.

- A czego się spodziewałaś?
- Mam cię, co, zabrać do kina, bo się nudzisz?
- Tylko jeśli wybierzesz właściwy film.

Pokręciłam głową, zastanawiając się, czy ja czasem nie wypiąłam trochę więcej, niż mi się zdawało. Adrien dobrze się bawił, patrząc na moje zdezorientowanie.

- Do zobaczenia jutro. – Skinął mi uprzejmie i sobie poszedł.

Otworzyłam usta, żeby za nim zawołać, ale byłam tak zaszokowana, że po prostu patrzyłam, jak znika za rogiem, gdzie zapewne czekało na niego auto, w towarzystwie swojego podążającego w rozsądnej odległości za nim ochroniarza.

Stałam oniemiała, obserwowana przez zakłopotanego Danilo. Oprzytomniałam dopiero, gdy jakieś dzieciaki przechodzące nieopodal ryknęły salwą głośnego śmiechu. Zamrugłam i oblizawałam wargi, a potem szybkim krokiem weszłam do domu.

Długo walczyłam z kluczem, którym nie mogłam trafić do dziurki. Drżenie moich rąk uspokoił dopiero Daktyl, który na powitanie wyszedł do mnie, dopominając się głaskania. Nadal jednak byłam zaniepokojona i spięta. Chodziłam po mieszkaniu, zagryzając wargi i przeczesując palcami włosy. Widząc ciemność za oknami, gwałtownie pozaciągałam wszystkie rolety.

A położywszy się do łóżka, gapiłam się długo w sufit.

Adrien nie zrobił mi nic złego, jutro prawdopodobnie też nie zamierzał mnie skrzywdzić, ale to, co się działo, było tak abstrakcyjne, że długo nie mogłam zasnąć. Chce sobie zrobić ze mnie, przepraszam, jakąś przewodniczkę od siedmiu boleści? Klauna do zabawiania?

Tarłam z irytacją oczy, błagając mózg, by pozwolił mi zasnąć i już tego nie analizował, bo do żadnych sensownych wniosków nie docierałam. Wcześniej bałam się myśleć, jak Adrien wykorzysta należną mu przysługę, ale na pewno nie spodziewałam się, że zrobi sobie ze mnie towarzyszkę na wycieczce. Przerażało mnie to i stresowało, bo nie znałam jego intencji i nie mogłam zakładać, że na pewno nie są jakieś diaboliczne.

Zasnęłam bardzo późno, a wstać musiałam skoro świt. Kiedy tylko otworzyłam oczy, zaatakował mnie ten sam strach, co wczoraj.

Przez cały dzień było mi zimno. Na wykładach siedziałam w grubej bluzie, a gdy przyszedł czas na lunch, ledwo mogłam cokolwiek przełknąć. Widząc to, znajomi z grupy zaczęli mnie zagadywać, a wtedy wypuściłam powietrze z płuc i pomyślałam, że może mogę spróbować ich wykorzystać.

– Wpada do mnie... znajomy – oznajmiłam, dłubiąc w kanapce, a na widok zdziwionych spojrzeń rzuconych momentalnie w moją stronę dodałam szybko: – Taki jakby kuzyn.

– Przystojny? – zapytała Marlene, z którą dobrze mi się wymieniało notatkami i imprezowało, ale którą aktualnie miałam ochotę walnąć.

– On... – zawahałam się, bo Adrien nie był najmniej atrakcyjną osobą, jaką spotkałam, jednak nie nazwałabym go przystojnym... bo nie. – Nie jest w moim typie.

– Zawsze mówisz, że nie masz swojego typu.

– Ale gdybym miała, toby do niego nie należał – odparłam trochę ostrzej, niż chciałam. – Chodzi o to, że muszę spędzić z nim dzisiejszy wieczór.

– Buuu... Myślałam, że wyjdziemy dziś razem.

– Dziś czwartek, happy hours w naszym ulubionym barze, pamiętasz?

Westchnęłam.

– Pamiętam, ale dziś nie dam rady. Wiszę temu... kuzynowi przysługę. Muszę zaplanować z nim coś na wieczór.

– Cały wieczór?

– Nie wiem, może tylko na kawałek wieczoru.

– Nie przepadasz za nim, to widać.

– Nie przepadam – zgodziłam się, wzdychając.

– Może po prostu weź go na szybką kolację i nara? – zasugerował Angel.

– Kolacja to ryzyko, będą musieli dużo rozmawiać.

– Chcę jak najmniej rozmawiać – zaznaczyłam zdecydowanie.

– To może kino?

– W kinie jest ciemno i łatwo o napięcie seksualne – powiedziała Marlene.

– Przecież to jej kuzyn.

– Powiedziała, że to „taki jakby kuzyn”.

– Żadnego kina! – zawołałam, wybałuszając oczy.

– Coś ty się tak zaczerwieniła? – zaśmiał się Angel.
– Po prostu wkurza mnie to, że na mojej głowie jest wymyślanie atrakcji – warknęłam. – Mam lepsze rzeczy do roboty.
– Może zabierz go na spacer? Po plaży lub po mieście?
– To też zmusi ich do rozmowy.
– A klub? W klubie jest głośno.
– Nie pójdę z nim do klubu przecież! – westchnęłam sfrustrowana tymi słabymi pomysłami. Wertując w głowie swoje, wbiłam wzrok w ścianę uniwersyteckiej kawiarenki. – Muszę zabrać go gdzieś, gdzie nie będzie okazji do zbyt wielu rozmów, gdzie nie będzie romantycznie ani gdzie nie będzie się dobrze bawić. Muszę go zanudzić na śmierć, żeby nigdy więcej nie przyszło mu do głowy inicjowanie podobnych spotkań.

Znajomi śmiali się ze mnie, ale pomagali mi główkować. Ostatecznie i tak to moja twarz się rozświeciła, gdy wpadłam na idealny pomysł.

Odłożyłam kanapkę, której praktycznie w ogóle nie tknęłam, a z torby wyjęłam telefon.

– Wiem.



Szykując się, pilnowałam, żeby się nie wystroić. Jednocześnie pamiętałam, że Adrien zawsze wygląda elegancko i zadbane, a nie chciałam odstawać, dlatego postawiłam na kompromis – skromny szyk. Ubrałam brązową plisowaną spódnicę przed kolano, białą satynową koszulę z dekoltem w kształcie litery V i sportowe buty.

Zakręciłam też włosy. Nie planowałam tego robić, ale byłam jak w transie, z którego się wybudziłam, gdy już kończyłam.

Nie wierzyłam, że przygotowuję się na wyjście z Adrienem Santanem. To było dla mnie tak surrealistyczne, że ciągle musiałam przekonywać się, że wcale sobie tego nie wymyśliłam. Nigdy nie spotykałam się z nim w takich warunkach, sam na sam, można by powiedzieć – towarzysko...

Nie byliśmy umówieni na konkretną porę, tylko po prostu wieczór. Nawet gdybym chciała ustalić szczegóły, nie wiedziałabym, jak to zrobić – wciąż nie miałam numeru Adriana. Najwyraźniej jednak dla niego zdobycie mojego nie było trudne. Napisał do

mnie około dziewiętnastej, kiedy już byłam gotowa i zaczynałam panikować, że odezwie się za późno i zamkną nam atrakcję, którą dla nas zaplanowałam.

„Czekam”.

Tak brzmiała wiadomość. Adrien ewidentnie ważył słowa.

Rzucając ostatnie spojrzenie w lustro, odetchnęłam, złapałam za klucze, podrapałam Daktyla za uchem i wyszłam, przekonując samą siebie, by zachować spokój. Na marne, bo stresowałam się tym spotkaniem bardziej niż kiedykolwiek uniwersytetem.

Adriena zastałam stojącego w tym samym miejscu, co wczoraj. Wyglądał na jeszcze bardziej eleganckiego, bo dziś zamiast golfu miał białą koszulę. Zawsze patrzył na mnie uważnie, ale teraz i tak zadrzałam, czując na sobie spojrzenie, które rzucił mi na powitanie.

– Witaj, Hailie Monet.

– Dobry wieczór – odparłam uprzejmie, rozejrzawszy się najpierw, by upewnić się, że dołączył do nas Danilo.

Zatrzymałam się w odpowiedniej odległości i dyskretnie zacisnęłam dłonie na łańcuszku małej torebki, która wisiała na moim ramieniu. Odreagowywałam tak emocje, których kotłowało się we mnie mnóstwo. Bo wychodziłam z Adrienem Santanem i to się działo naprawdę.

Vincent, gdyby wiedział, zamordowałby mnie.

Nie dowierzałam, więc na chwilę się zawiesiłam w bezruchu, a gdy ta się przedłużała, Adrien uniósł brwi.

– Zaplanowałaś dla nas stanie na chodniku?

To pytanie przywołało mnie do rzeczywistości. Ocknęłam się i oblizałam wargi.

– Zaplanowałam co innego.

– Nie mogę się doczekać.

Dezorientował mnie, bo jego głos brzmiał, jakby Adrien ze mnie kpił, jakby ktoś zmusił go do tego wyjścia, a przecież sam je zaproponował, a raczej – zażądał go.

Uniosłam głowę.

– Będzie świetnie – skłamałam.

Po kolejnej chwili ciszy Adrien rozłożył dłonie w oczekiwaniu.

– Czy czekamy na taksówkę?

– Och. – Zmarszczyłam brwi i drgnęłam, zaraz sięgając do torebki po telefon, po czym dodałam: – Nie zamówiłam; zaraz to zrobię.

– Załatwiłbym kierowcę, ale oczekiwałem, że Hailie Monet będzie lepiej zorganizowana.

Zmilczałam ten przytyk, choć miałam ochotę coś mu odwarknąć. Na przykład, że wcale nie chciałam się z nim spotykać i gdzieś mam obowiązek tworzenia planu na dzisiejszy wieczór, którym mnie tak bezsensownie obarczył.

Skupiłam się na zamawianiu podwózki przez aplikację, a potem czekaliśmy na nią kilka minut w ciszy. Celowo jej nie przerywałam, żeby ograniczyć naszą komunikację do minimum, ale to wcale nie pomagało mi zachować spokoju. Tak naprawdę cisza była jeszcze gorsza niż rozmowa, bo czułam, jak wokół rozsiewał się gęsty niepokój. Rozpaczliwie miałam ochotę zacząć trajkotać coś głupio do Danilo i wreszcie nawet otworzyłam już usta, ale wtedy zza rogu budynku wyłoniła się nasza taksówka.

Sięgnęłam do klamki, ale szybciej spoczęła na niej dłoń Adriena. Cofnęłam rękę natychmiast, by go niechcący nie dotknąć. Zagapiłam się na chwilę na jego sygnet, który nieubłaganie przypominał mi, z kim właśnie wychodzę.

Adrien otworzył dla mnie drzwi taksówki, a ja, czując za plecami jego bliskość, a także subtelny zapach wody kolońskiej, spięłam się jeszcze bardziej i mamrocząc słabe „Dziękuję”, wsiadłam czym prędzej do środka.

Siedziałam sztywna jak kolek, gdy mężczyzna obchodził samochód. Patrzyłam przed siebie, na przednią szybę i taksówkarza, kiedy drzwi z drugiej strony kliknęły i Adrien usiadł na miejscu obok. Usilnie starałam się na niego nie patrzeć, coraz bardziej panikując. Dobrze mi było z dystansem, który zachowywaliśmy na ulicy, a teraz, gdy on się tak nagle zmniejszył, wystraszyłam się.

Zdawałam sobie sprawę, że sama nakręcam w sobie te wszystkie silne emocje. Oczywiście, niecodzienne zachowanie Adriena, jak na przykład w pierwszej kolejności zaproponowanie tego spotkania, nie pomagało, ale nie robił nic, co tłumaczyłoby, dlaczego przez moje ciało nie przestawały przechodzić dreszcze.

Po prostu kojarzyłam go jako osobę poważną, tajemniczą i taką o niezbadanych intencjach, a to wystarczyło, bym miała się przy nim na baczności. Zwłaszcza że wiedziałam, jak ważny i bezkarny jest Vincent – Adrien natomiast zajmował przecież nie niższe stanowisko.

Podróż minęła nam w ciszy. Adrienowi nieszczerólnie zależało, by ją przerywać, ja tym bardziej nie wyobrażałam sobie nawet, co mogłabym sensownego powiedzieć. Odezwał się, dopiero gdy wysiedliśmy i stanęliśmy przed budynkiem, do którego go dziś prowadziłam.

Wtedy po raz pierwszy tego wieczora spojrzął na mnie z wyraźnym rozbawieniem.

– Muzeum?

Wysiliłam się na niewinny uśmiech.

– Mają tu wspaniałą wystawę – oznajmiłam.

Skinął głową, a kąciki jego ust uniosły się jeszcze wyżej.

– W takim razie niecierpliwie się, by ją obejrzeć.

Szłam przodem, zagryzając wargę. Liczyłam, że będzie widocznie zawiedziony, zażenowany albo chociaż ziewnie już na starcie, ale jemu cień drwiny nie zniknął z twarzy, zupełnie jakby szykował się na przednią zabawę.

Odebrałam bilety i jeden przekazałam jemu, otrzymując w zamian bardzo uprzejme podziękowanie. Zwróciłam uwagę, że przejmując wejściówkę, bardzo dbał, by złapać za drugi jej koniec i przypadkiem nie musnąć mojej dłoni palcem. Podobało mi się, że mimo absurdalności samej propozycji tego wyjścia nadal przestrzega ustalonych zasad. Z tą świadomością czułam się bezpiecznie.

– To bardzo polecana wystawa – wyjaśniłam.

– Odnalezione Skarby Minionych Wieków – przeczytał Adrien i pokiwał głową. – Szykuje się emocji co nie miara.

Przemilczałam to, bo właśnie weszliśmy do pierwszego pomieszczenia, które było pełne sztucców.

Leżały w szklanych gablotach poustawianych na środku i pod ścianami. Natychmiast podeszłam do pierwszej lepszej i z wielką uwagą zaczęłam czytać informacje o znajdujących się w niej widelcach.

Tak naprawdę w ogóle nie rozumiałam, co tam było napisane, bo skupiałam się bardziej na tym, by wyczuć, czy Adrien już ma dość. Stał nieopodal, ale nie zagadywał mnie, więc moje wysiłki, by udawać pochłoniętą eksponatami, chyba nie szły na marne.

Chodziłam od jednej gabloty do drugiej, co mnie samą dość szybko znużyło. Żeby nie została źle zrozumiana – doceniałam historię zgromadzonych tu przedmiotów i ich wartość, ja tylko nie potrafiłam skoncentrować się na edukowaniu i doświadczeniu,

gdy tuż obok mnie był Adrien Santan. A trzymał się nieopodal mnie cały czas i zdecydowanie ani myślał zwiedzać na własną rękę.

Dawał mi też przestrzeń i nie zagadywał mnie, dopóki nie stanęliśmy przy ekspozycji z nożami o imponujących, rzeźbionych rękojeściach.

– Te są wyjątkowo fascynujące, nie sądzisz? – rzucił luźno.

Z rękami w kieszeni marynarki stanął tuż przy mnie i patrzył na nie z uwagą.

Wstrzymałam oddech.

– Przepiękne – wymamrotałam.

I szybko poszłam dalej.

W następnej sali zaczytywałam się w informacjach o talerzach. Niewiele wynosiłam z tej wycieczki, a szkoda, bo mogłoby to być ciekawe wyjście, i czułam, że nie oddaję należnego szacunku tak bezcennym eksponatom, ale cóż mogłam zrobić, przechadzając się tutaj z depczącym mi po piętach Santanem? Celem tego wyjścia było odbębnienie przysługi, którą byłam mu dłużna. Moim celem było wywiązanie się z tego zadania tak, by już nigdy więcej mnie o żadną nie poprosił.

Czasem starałam się zerkać na niego kątem oka, ale nie było to bezpieczne, bo Adrien często zauważał moje spojrzenia. Ostatnią rzeczą bowiem, na jakiej się skupiał, była wystawa. Co więcej, nie wydawał się znużony czy, jak sobie wyobrażałam, nawet zirytowany, za to nie przestawał być rozbawiony. Jakby cholerne talerze za szybko opowiadały mu dowcipy.

– O! – wymsknęło mi się, gdy weszłam do pomieszczenia z okazałymi pucharami do wina, które naprawdę zrobiły na mnie wrażenie.

Wtedy parsknął, a ja obejrzałam się na niego speszona.

– Lubisz błyskotki, Hailie Monet?

– Doceniam je – odparłam i szybko przeczytałam na głos, by czasem nie wymienić z nim zbyt wielu słów: – „Puchary wykonywane były z kryształu lub ze złota, zdobione drogocennymi kamieniami. Wino pito rozcieńczone wodą”. To ciekawe.

– Bardzo ciekawe – zgodził się Adrien.

Patrzyłam na jego twarz, żeby zorientować się, czy mówi szczerze.

– Świetnie – odparłam wolno. – Bo zależało mi na tym, żeby było ciekawie.

– Widzę, że dajesz z siebie wszystko.

Wpatrywałam się w niego jeszcze dłużej, aż w końcu zaczęłam marszczyć brwi.

– Czekał, ty serio dobrze się bawisz? – zdziwiłam się.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam w muzeum.
- I podoba ci się tu?
- Obserwowanie, jak próbujesz zmarnować mój czas, niesamowicie mi go umila.
- Nie próbuję wcale... – Zawahałam się, gdy uniósł brew.
- Chciałabyś poczytać więcej o pucharach do wina?

Westchnęłam.

– Chodzi o to, że nie rozumiem... – powiedziałam, a gdy zorientowałam się, że stoję w przejściu i zawadzam ludziom, przeszłam z Adrienem do kolejnej sali, tym razem ze świecznikami. – Nie rozumiem, co się dzieje.

– Jeśli pragniesz ode mnie wyjaśnień, Hailie Monet, będę zmuszony prosić cię o formułowanie pytań w jaśniejszy sposób.

– Dlaczego tu jesteście?

– Zabrałaś mnie tu.

Machnęłam ręką.

– Bo byłam ci winna przysługę, którą postanowiłeś wykorzystać na spotkanie ze mną – odpowiedziałam. – Moje pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego wykorzystałeś ją na coś tak błahego?

Adrien spoważniał i przyjrzał mi się, jeśli to możliwe, jeszcze uważniej.

– Czego ty się, Hailie Monet, spodziewałaś?

– Słucham?

– Jakiej przysługi oczekiwałaś, że zażądam?

Zagryzłam wargę i się namyśliłam.

– Nie wiem, wołałam się nad tym nie zastanawiać – przyznałam. – Miałam też trochę nadzieję, że zapomnisz, czy coś.

Adrien parsknął, a ja z powrotem się ożywiłam:

– Nie rozumiem po prostu, dlaczego ze wszystkich rzeczy wybrałaś akurat spędzenie ze mną czasu.

Adrien ściszył głos i lekko się nachylił.

– Chciałem twojego czasu, Hailie Monet, bo on... – Urwał.

– Jest najcenniejszy? – dokończyłam za niego cicho.

Uśmiechnął się delikatnie, jakby był dumny z mojego rozumowania, a ja wpatrywałam się w jego ciemne oczy, czując, jak w gardle formuje mi się gula.

Przełknęłam ślinę, nawet nie kryjąc się z tym, jaki dyskomfort Adrien u mnie powoduje.

Trochę też spanikowałam.

– Co to niby... – zaczęłam piskliwie, machnąwszy ręką, tym razem bardziej zamaszyście.

Piękny, spory rzeźbiony świecznik stojący na postumencie nieopodal, możliwe, że pozłacany, wnikliwie podziwiany właśnie przez jakiegoś starszego pana, nawet nie zdążył się zakolysać, gdy z impetem rąbnęłam go swoją dłonią.

On po prostu od razu z hukiem runął na ziemię.



17

STO TYSIĘCY DOLARÓW

Poczułam ból w dłoni – w końcu uderzyłam nią właśnie o coś twardego i ciężkiego (na dodatek prawdopodobnie niestety drogocennego). Odskoczyłam i z przerażeniem wpatrywałam się w masywny świecznik z wystawy muzealnej, który właśnie leżał na posadzce i – już teraz było to wyraźnie widać – został uszkodzony. Jedno z jego zdobień się odłamało i eksponat wyglądał teraz bardzo nieforemnie.

Zamarłam.

Starszy pan, który przed chwilą z wielką uwagą oglądał świecznik, westchnął głośno.

Inni zwiedzający obejrżeli się i zastygli. Kilka zwabionych hałasem osób zajrzało nawet do środka z sąsiedniego pomieszczenia. Pracownica ochrony muzeum, która stała w kącie i pilnowała porządku, zamarła z wytrzeszczonymi oczami.

Przytknęłam dłoń do ust, nie wierząc w to, co właśnie się stało.

Poruszyłam się, dopiero gdy nad moim uchem rozległo się parsknięcie. Adrien szybko je stłumił, udając, że odchrząkuje, ale wyrwało mu się tak wyraźne, że drgnęłam z oburzenia na ten nietakt. Nie miałam jednak czasu się na niego zdenerwować, bo właśnie podbiegła do nas strażniczka, do której zaczęłam mówić nieskładnie:

– Boże, przepraszam, nie wiem, jak to się stało...

Nawet na mnie nie spojrzawszy, przerwała moje tłumaczenie gwałtownym gestem dłoni, nakazując, bym siedziała cicho i się stąd nie ruszała. Ze wzrokiem wbitym w leżący świecznik i zmarszczonymi brwiami mówiła coś do krótkofalówki.

Ludzie, zamiast oglądać inne wystawione świeczniki, woleli gapić się na ten, który strąciłam, i oczywiście na mnie. Staralam się ich ignorować, ale wtedy mój wzrok padał albo na próbującego zachować powagę Adriena, albo na uszkodzony eksponat, i najchętniej wybiegłabym z tego muzeum, wróciła do domu i schowała się z herbatką pod kołdrą oraz Daktylem u boku.

To absolutnie najgorszy rodzaj uwagi, w jakiej centrum można się znaleźć. Palily mnie policzki, a do moich uszu docierały szeptane szacunki zwiedzających na temat tego, jak bardzo ten cholerny świecznik ucierpiał, ile mógł być wart i na ile lat zamkną mnie w więzieniu za zniszczenie go.

Rzuciłam spojrzenie spode łba małemu chłopcu, który stwierdził, że tym czynem na pewno ściągnęłam na siebie jakąś starożytną klątwę. Natychmiast zamilkł.

Wkrótce do sali wpadła grupka pracowników muzeum, a wśród nich siwy mężczyzna, który okazał się dyrektorem. Czułam się jeszcze gorzej, obserwując, jak ze smutkiem zaciska wargi, oglądając z bliska leżący na podłodze świecznik. Jego towarzysze również pochylali się nad eksponatem, debatując zawzięcie nad tym, co z nim zrobić.

W końcu dyrektor odwrócił się do mnie, zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów i z raczej wymuszonym uśmiechem wskazał na wyjście z pomieszczenia.

– Mógłbym panią prosić, żeby poszła pani ze mną? – zapytał.

– Oczywiście – odparłam potulnie.

– Jest pani sama?

– Jest ze mną – wtrącił się Adrien, zanim zdążyłam zareagować. Zbliżył się nawet do mojego boku, ale dłonie ciągle trzymał w kieszeniach. Już nieco spoważniał, choć w jego postawie było coś, co zdradzało, że nadal nie traktuje tej sytuacji zbyt serio.

– Chciałbym z panią porozmawiać – poinformował mnie dyrektor. – Trzeba wyjaśnić ten incydent.

– Oczywiście – potwierdziłam i odwróciłam się do Adriena, rozkładając dłonie, tym razem ostrożnie, by niczego więcej nie zrzucić. – To chyba oznacza koniec naszego spotkania. Przykro mi, że tak się potoczyło. Zostało jeszcze dużo eksponatów do obejrzenia.

– Ubolewam – odmruknął.

– Czy jeśli rozstaniemy się teraz, uznasz, że przysługa została spełniona? – zapytałam z nadzieją.

Adrien spojrzał mi w oczy.

– Pozwól, że pójde z tobą – powiedział. – Przyda ci się świadek zdarzenia.

– Wszystko zarejestrował monitoring – poinformował nas dyrektor.

Spojrzałam na Adriena wyczekująco. Liczyłam, że da sobie spokój, ale on pokręcił głową.

– Wybacz, Hailie Monet, za dobrze się bawię, żeby odpuścić.

Cmoknęłam z irytacją i stanęłam do niego plecami, zwracając się do dyrektora muzeum, który właśnie rzucał Adrienowi spojrzenie na granicy oburzenia.

– Proszę prowadzić – powiedziałam pokonana, niczego nie pragnąc bardziej, niż żeby ten wieczór już się zakończył.

Mężczyzna zabrał nas do swojego gabinetu. Dopiero gdy ruszyliśmy, odważyłam się rozetrzeć bolącą dłoń. Jak udało mi się zrzucić tak ogromny świecznik?

Wkraczając do pomieszczenia z biurkiem i fotelami, czułam się jak dzieciak, który nabroił w szkole i teraz wylądował na dywaniku. Albo gorzej – jak mała Hailie, która wpadła w kłopoty u Vince'a.

Boże, Vince. Co będzie, jak on się dowie?

Zerknęłam kątem oka na Adriena. Wszedł ze mną do gabinetu, a tuż za nami do środka wepchnęli się nasi ochroniarze. Nigdy nie widziałam, żeby stali tak blisko siebie – tutaj wymuszała to niewielka przestrzeń.

Dyrektor muzeum zmierzył ich spojrzeniem.

– Oni są z nami – oznajmiłam cicho.

Wtedy przeniosło się ono na mnie.

– Uszkodziła pani eksponat, który liczy sobie kilkaset lat.

– Bardzo, bardzo przepraszam – zaczęłam się gorączkowo tłumaczyć. – To był wypadek. Kontemplowałam sztukę, machnęłam z przejęcia dłonią i stało się...

Dyrektor zacisnął usta i kliknął coś na klawiaturze, po czym na ekranie jednego z dwóch monitorów na jego biurku ukazał się widok sali, w której strąciłam świecznik. Mężczyzna przewinął w odpowiednie miejsce i na nagraniu ukazaliśmy się Adrien i ja wkraczający do pomieszczenia. Faktycznie widać było, że coś mówię, ale zdecydowanie nie wyglądało to tak, jakbym dyskutowała o którymś z eksponatów. Spod

nastroszonych brwi gromiłam Adriena wzrokiem, aż w końcu wyrzuciłam dłoń w bok i uderzyłam nieszczęsny świecznik.

– Sztuka zawsze wzbudza w pani takie emocje? – zapytał dyrektor z kwaśną miną.

– Tylko starodawne świeczniki – odpowiedział mu Adrien.

Rzuciłam mu przelotne mordercze spojrzenie.

– Ja bardzo przepraszam – powtórzyłam. – Pokryję szkody.

Dyrektor uniósł brew.

– Zdaje sobie pani sprawę, że ten eksponat jest wart około stu tysięcy dolarów?

– Dlaczego nie stał za szybą? – zapytał Adrien.

– Słucham?

– Cenny eksponat powinien stać za szybą. Lub być przytwierdzony do podłoża – zauważył. – Tymczasem drobna kobieta strąciła go jednym machnięciem ręki. – Uniósł brew. – Czy to brak dbałości ze strony muzeum?

Dyrektor nie był zadowolony, gdy to usłyszał, a mnie zależało, by go udobruchać, a nie zdenerwować, więc zrobiłam krok do przodu i uśmiechnęłam się przymilnie.

– Proszę go nie słuchać. Proszę mi powiedzieć, jak mogę pokryć szkody. Sto tysięcy dolarów? Czy... eee... akceptujecie państwo płatności kartą?

Dyrektor spojrzał na mnie tępo.

– Ja pokryję te szkody – zapowiedział Adrien i dodał: – Każę zrobić przelew jeszcze dzisiaj.

– Dlaczego niby? – oburzyłam się. – Nie ma mowy, nie będziesz za mnie płacił.

– Wyjście zostało zaplanowane z mojej inicjatywy, więc czuję się po części odpowiedzialny za jego finał.

– To nieistotne. Nie zamierzam zaciągać u ciebie kolejnego długu.

– Bez przesady. – Adrien przewrócił oczami.

– Mówimy o kwocie stu tysięcy dolarów – przypomniał nam dyrektor, przysłuchując się naszej wymianie zdań z niedowierzaniem.

– Otóż to – podłapał Adrien. – To tylko sto tysięcy dolarów.

– Dlatego zapłacę sama – upierałam się.

– Taki wydatek z twojego konta, Hailie Monet, nie zostanie niezauważony przez Vincenta, czy nie mam racji?

Zamilkłam.

Miał rację.

Vincent nie kwestionował zwykle moich wydatków, jednak sto tysięcy dolarów to duża kwota, której zniknięciem bez wątpienia by się zainteresował. Wypytałby mnie wtedy, na co przeznaczyłam te pieniądze, a gdyby zaczął za bardzo węszyć i odkryłby, że wyszłam z Santanem...

Westchnęłam.

Na szczęście Adrienowi prawdopodobnie również zależało, by utrzymać to wyjście w tajemnicy przed moim najstarszym bratem.

– Niech będzie.

Adrien skinął z zadowoleniem głową.

– Zadbam, żeby przelew dotarł na konto muzeum jak najszybciej – obiecał dyrektorowi, który pokręcił głową.

– Nie trzeba płacić... – przemówił słabym głosem. – Nie wymagam od państwa regulowania tej kwoty, na Boga... Jesteśmy ubezpieczeni...

– Nie trzeba płacić? – powtórzyłam.

– Nie! – jęknął dyrektor, kręcąc głową z niesłabnącym niedowierzaniem. – Co z wami? Przecież widać na nagraniu, że uszkodziła pani eksponat w wyniku nieszczęśliwego przypadku...

– Tak, to był nieszczęśliwy przypadek – zgodziłam się chętnie.

– Zatem możemy kontynuować zwiedzanie? – zapytał Adrien.

Zrzedła mi mina, bo to ostatnie, na co miałam ochotę.

– Bardzo bym prosił, żeby już tam państwo nie wracali – odparł błagalnie dyrektor, po czym dodał, patrząc na mnie: – Zwłaszcza pani. Proszę nie wracać najlepiej nigdy. Do tej pory nie musieliśmy nikogo wpisywać na czarną listę odwiedzających, więc takowej nie posiadamy i nie chcę jej dziś tworzyć specjalnie dla pani, ale byłbym zobowiązany, gdyby nigdy więcej nie wróciła pani do mojego muzeum.

Przełknęłam ślinę i pokiwałam głową.

– Jasne, rozumiem – szepnęłam. – Będę się trzymała z daleka.

– Dziękuję – odparł z ulgą.

Dyrektor jak najszybciej zabrał się za tworzenie dokumentu, może raportu, ze sprawy, pod którym musiałam złożyć podpis. Widziałam, jak się spieszy, żeby pozbyć się mnie z budynku muzeum jak najszybciej, a ja mogłam tylko stać i czekać czerwona jak burak. Adrien wiernie towarzyszył mi w milczeniu, a ja naprawdę zaczynałam

wierzyć, że niechcący dostarczyłam mu rozrywki życia, próbując zanudzić go na śmierć.

Gdy wyszliśmy na ulicę, z przyjemnością odetchnęłam świeżym wieczornym powietrzem. Następnie odwróciłam się do Adriena, wiedząc, że muszę jeszcze poświęcić mu trochę uwagi.

– Czy to koniec wrażeń na dziś? – zagadnął.

Rozejrzałam się. Uliczne lampy i neony restauracji sprawiały, że mimo późnej pory było jasno. W zwykłych okolicznościach taki wieczór zachęciłby mnie do pozostania na mieście, ale pamiętając, z kim tu byłam, pozwoliłam dojść do głosu rozsądkowi.

– Muzeum to wszystko, co zaplanowałam – odparłam.

Adrien skinął głową. Wyglądał tak nienaturalnie na barcelońskiej ulicy, pod muzeum, stojąc w tych swoich eleganckich ciuchach tuż obok mnie i patrząc na mnie w oczekiwaniu na to, co powiem lub zadecyduję. Adrien Santan!

Przeszło mi przez myśl, by zaprosić go na hamburgera i piwo, tylko po to, by sprawdzić, czy odnalazłby się w barowych warunkach. Może chociaż na koniec dnia dla odmiany ja mogłabym pośmiać się z niego.

– W takim razie dziękuję, Hailie Monet. Zapamiętam to wyjście na długo – powiedział. – Życzysz sobie, bym odprowadził cię do domu?

Zapatrzyłam się na niego. Nadal nie wyjął dłoni z kieszeni.

– Nie trzeba – odparłam, przywołując się do porządku.

– Na pewno? To niebezpieczne dla kobiety wracać tak późnym wieczorem.

– Mam ochroniarza.

– Wiem, inaczej nie dałbym ci wyboru.

Chciałam zadrwić z jego dżentelmeństwa, ale z jakiegoś powodu trudno mi było zdobyć się na złośliwość.

– Nie chcę, żebyś mnie odprowadzał – powiedziałam.

Skinął głową równie poważnie.

– Jak sobie życzysz, Hailie Monet.

Poruszył się, jakby miał już odchodzić, a ja, ocknąwszy się z odrętwienia, w które co chwila wpadałam, drgnęłam.

– Adrien – odezwałam się. – Czy uznajesz, że wywiązałam się ze swojej części umowy?

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

– Potrzebuję potwierdzenia – dodałam.

– Tak – odpowiedział. – Dziękuję za miły wieczór, Hailie Monet. Mam nadzieję, że i dla ciebie nie był najgorszy.

– Nie był też najlepszy – zauważyłam.

– A jednak nieco emocjonujący.

Jego oczy przyciągały mnie do niego tak nachalnie, że poczułam przerażenie tym, co się ze mną działo.

– Ja tam czuję wyłącznie obojętność – stwierdziłam, starając się, by moja mina wyrażała chłód i zniecierpliwienie. Niespodziewanie chyba udało mi się zetrzeć zadowolenie z jego twarzy.

Tylko jednak na chwilę, bo zaraz zerknął przelotnie w dół, a kiedy unosił znowu głowę, już na powrót się uśmiechał. Mijając mnie, niemal się o mnie otarł, także nachylając się, by szepnąć mi do ucha:

– *Antes se coge a un mentiroso que al cojo.*

Odszedł, a ja zostałam jak wmurowana w ziemię i z palcami zbielejącymi od długiego i mocnego ściskania paska torebki, który Adrien przed sekundą omiótł swoim bystrym spojrzeniem.

Gdy dotarło do mnie, co powiedział, puściłam torebkę jak oparzona.



Szybkim krokiem ruszyłem w stronę swojej przyrodniej siostry idiotki. Nie znałem dobrze jej ojca, ale nasza matka musiała mieć rację – był kretynem. Inaczej nie wiem, po kim Grace odziedziczyłaby swoją głupotę.

No bo jak inaczej nazwać jej zachowanie? Właśnie zobaczyłem, jak szarpie Hailie Monet za włosy. Byliśmy na bankiecie, do cholery.

– Grace – warknąłem znowu, aż wreszcie ją dopadłem i zacisnąłem palce na jej ramionach. Vincent akurat dotarł do Hailie Monet i zazdrościłem mu jego zadania, bo jego siostra była drobną nastolatką z umiarkowaną żądzą mordy, podczas gdy Grace, wyćwiczona i mściwa, stanowiła trudniejszą kandydatkę do ujarznienia.

Wbiłem jej palce w ramiona, resztkami opanowania powstrzymując się od użycia całej swojej siły, by nie zaznaczyć jej bladej skóry siniakami. Potem przez długie

tygodnie słuchałbym jej skarg, a i jeszcze dostałoby mi się od ojca. Nie rozumiałem nigdy jego wyrzutów. Nigdy nie użyłbym siły przeciwko kobiecie, ale siostry to co innego. Mówię tylko o tych żółzowatych, oczywiście, bo Keira jest w porządku.

Na ogół.

Hailie Monet też musi być w miarę w porządku siostrą, bo szybko się przy Vincencie uspokoiła. Grace natomiast może i przestała się rzucać, ale nie porzuciła swojej irytującej pozy pełnej wyższości, jakby przed chwilą wcale nie biła się z dziewczyną o połowę od niej młodszą.

– Co to było, do cholery? – zapytałem Grace, ignorując fakt, że robię to na forum. Musiałem zwrócić jej uwagę. Żadna nie powinna atakować tej drugiej, ale to moja siostra była starsza. Vincent mógł za swoją przeprosić i uzasadnić jej głupotę wiekiem, ja nie miałem tak dobrze.

– Świetne pytanie. Jak widać, takie bale to nie miejsce dla nieokrzesanych dzieci.
– Grace wzruszyła ramionami i zaczęła majstrować przy swoich rozczochranych włosach. Miałem ochotę pociągnąć ją za jeden ze strąków, żeby się opamiętała.

– Sama mnie popchnęłaś! – zawołała Hailie Monet.

Vincent przymknął powieki. Też był zażenowany.

– Przeciwnie, to ty się popchnęłaś – wytknęła jej Grace. Dlaczego ona z nią dyskutuje? – Wpadłaś na mnie, gdy biegłaś. To eleganckie wydarzenie, a nie szkolny korytarz. Jeśli nie potrafisz się zachować odpowiednio do sytuacji, to zostań w domu i dorośnij.

Szturchnąłem ją dyskretnie i znacząco.

To samo powiedziałbym tobie, sostro.

– Skoro już chodzisz taka ważna jak święta krowa, to musisz liczyć się z tym, że od czasu do czasu ktoś ci wejdzie w drogę.

Oglądanie Hailie Monet pyskującej Grace to była przednia rozrywka. Szkoda, że musiałem grać tego odpowiedzialnego i zachowywać powagę.

Vincent mruknął do niej jakieś upomnienie, ale podejrzewałem, że może mieć podobne zdanie do mojego. Chociaż może nie? Vincent słynął z zagadkowego poczucia humoru.

Cóż, na pewno nie rozbawiłaby go odpowiedź Grace, dlatego gdy zobaczyłem, że otwiera usta, odezwałem się sam:

– Zgadzam się, droga siostrze, z tym że takie okoliczności wymagają odpowiednio przyzwoitego zachowania, dlatego dziwię się, że jako dorosła kobieta, którą bez wątplenia jesteś, wdałaś się w przepychankę z nastolatką.

Już wiedziałem, że ją uraziłem. Znałem Grace aż za dobrze. Zapewne sama by mnie obraziła, uderzyła bądź nawet kopnęła, ale Grace zawsze kalkulowała opłacalność różnych sytuacji i tutaj nie trzeba było być wybitnym matematykiem, by obliczyć, że na znieważaniu mnie tylko by straciła. Jej pozycja była wysoka, bo byłem szanowanym członkiem Organizacji i zarazem jej bratem. Gdyby podkopała mój autorytet, zaszkodziłaby również sobie.

Czekałem, aż to do niej dotrze, a kiedy widziałem po jej twarzy, że tak się stało, odwróciłem się do swojego współnika i jego nastoletniej siostry.

– Cóż, Vincencie, śmiem twierdzić, że między naszymi siostrami zaszło jedynie drobne nieporozumienie.

– Mhm, najwyraźniej – zgodził się sztywno Vince.

– Grace? – Ależ miałem ochotę ją uszczypnąć.

– Spieprzaj – warknęła do Hailie Monet, której błyskawicznie nastroszyły się brwi.

Uszczypnąłem.

A zaraz potem zmusiłem się do uśmiechu.

– Grace miała na myśli, że bardzo jej przykro w związku z zaistniałą sytuacją – przetłumaczyłem jej słowa.

– Sama spieprzaj – brzmiała odpowiedź.

Bardzo chciałem się dowiedzieć, dlaczego mało wyszukane odzywki Grace mnie irytowały, podczas gdy trzymające podobny poziom słowa Hailie Monet bawiły.

Może w przypadku Monet to w zestawieniu z jej spokojnym zwykle charakterem stawały się tak komiczne?

– Hailie również przeprasza – odparł za nią Vincent i prawie się uśmiechnąłem, bo cieszyłem się, że obaj dobrze się rozumiemy.

– Świetnie więc, wybornej reszty wieczoru życzę – pożegnałem się, siląc się jeszcze na koniec na wesoły ton.

Vincent odburknął jakąś uprzejmość, a my zaczęliśmy z Grace odchodzić.

– Porozmawiajmy – szepnąłem jej cicho do ucha, pilnując, by mój ton był wystarczająco surowy. Nie mogłem pozwolić się jej zlekceważyć, a to nie było łatwe, biorąc pod uwagę, że byłem jej przyrodnim bratem, młodszym na dodatek.

Na sali zdawało mi się, że Grace próbuje subtelnie wmieszać się w tłum i mi umknąć, dlatego ponownie zacisnąłem palce na jej skórze, na łokciu tym razem.

– Szarpanina z Hailie Monet? – warknąłem jej do ucha wystarczająco ostro, by przebić się przez muzykę graną przez orkiestrę. – Masz rozum?

– Gówniara sama się na mnie rzuciła – odparła z irytacją. Dla niej to też było poniżające, że obrywa za wojnę z nastolatką.

– Czy ty siebie słyszysz?

– Panoszy się jak głupia gęś – niemal splunęła ze zgorzeniem, a jej dłoń znowu powędrowała do włosów, by je uporządkować po tym, jak Hailie Monet jej je poczochręła. Drugą ręką zaczęła poprawiać sukienkę, rozglądając się wrogo na boki, wyzywając ludzi, by tylko odważyli się na nią spojrzeć.

Parsknąłem złowrogo.

– Jesteś zazdrosna o siostrę Monetów, Grace?

– O tę miernotę? – prychnęła.

– Więc o co chodzi?

– Ta rodzina to pomyłka.

Próbowałem nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale ona ciskała gromami ze swoich oczu tylko na boki. Marszczyłem brwi, nie rozumiejąc.

– Kiedyś będziesz jej częścią – zauważyłem. – Nie sądziłem, że tak bardzo tego nie chcesz.

Wtedy na mnie spojrzała. W jej oczach coś błysnęło i powiedzieć, że to łyż, to być może za dużo, ale na pewno było to coś w rodzaju żalu.

– Nie będę jej częścią – burknęła, unosząc wysoko podbródek. Przełknęła ślinę, a w jej oczach pozostała tylko obojętność. – Vincent Monet zakończył naszą relację.

Ponownie złapałem ją za łokieć i pociągnąłem na bok, w jeszcze ustronniejsze miejsce. Po drodze szturchnąłem blondwłosego kolegę Hailie Monet, którego tu najwyraźniej zostawiła. Wszystko w tym chłopaku wrzeszczało, jak bardzo niekomfortowo się tu czuje. Obserwował salę i gości, a każdemu, z kim niechcący nawiązał kontakt wzrokowy, posyłał wymuszony, sztucznie serdeczny uśmiech.

Ja też taki otrzymałem, gdy przechodziłem obok niego, prowadząc za sobą Grace. Znając życie, moja siostra na dodatek zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem, sprawiając, że poczuł się tu jeszcze gorzej.

– Kiedy to zrobił? – zapytałem oschle, gdy nareszcie zatrzymałem się w wystarczająco odludnym kącie.

Grace wzruszyła ramionami, skrycie zadowolona, że przestałem robić jej wyrzuty o bójkę z młodą Monet, a zająłem się bardziej szczegółowo kwestią, w której to ona mogła się kreować na ofiarę.

– Przed chwilą.

– Co powiedział? – drażyłem, zirytowany jej zdawkowymi odpowiedziami.

– Że, kurwa, życzy sobie, żebyśmy zakończyli naszą relację, co miał powiedzieć? – wyszeptwała gwałtownie.

– Plan był taki, że w przyszłości się z tobą ożeni – mruknąłem bardziej do siebie niż do niej, na szybko analizując sprawę.

– No to się nie ożeni – burknęła. – I dobrze, bez łaski.

Jeśli można coś przyznać Grace, to że potrafi znosić odrzucenie z naprawdę bardzo wysoko uniesioną głową.

Przyjrzałem jej się z pierwszymi (i raczej ostatnimi) oznakami współczucia.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Świetnie.

Przez chwilę obserwowałem jej niewzruszony wyraz twarzy, aż w końcu zapytałem:

– Czy to dlatego oberwało się Hailie Monet?

Spojrzała tępo na parkiet. Dopiero dostrzegłem, że lekko rozmazała jej się maskara. Ciekawe, czy stało się to podczas starcia, czy wcześniej.

– Może... Między innymi.

– Nie możesz się na niej wyżywać – powiedziałem już dużo spokojniej i łagodniej.

– Nic się tej głupiej dziewczusze nie stanie – warknęła, dla równowagi, agresywnie.

– Nie jest winna decyzji swoich braci.

– Nie gadaj, jakbym była porzuconą pierdołą, mam w dupie Monetów i ten związek – syknęła ze złością Grace. Zawsze, kiedy zapominałem, że gardzi litością, ona prędko mi o tym przypominała. – Nie ten, to następny. Pieprzona Perelka Monetów turlała się po tej sali, aż dotoczyła się pod mój but, to kopnęłam ją w ścianę, koniec tematu.

– A ona się od tej ściany odbiła i pacnęła cię w twarz – zaśmiałem się, trącając ją w talię.

Czerwone usta Grace wygięły się w małym uśmiechu.

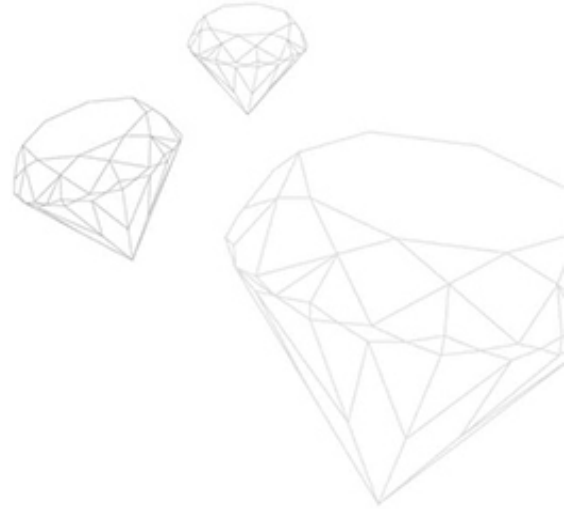
– Lepiej niech uważa, żeby nie zrobiła z niej sobie naszyjnika.

Skrzywiłem się, ale nadal czułem rozbawienie, a Grace odeszła w stronę wyjścia z sali. Pewnie do łazienki, żeby poprawić włosy i tę maskarę.

Patrzyłem za nią przez chwilę i powoli dobry humor mnie opuszczał.

Vincent Monet zakończył relację z Grace.

A więc lista przewinień Monetów rośnie, pomyślałem ponuro.



18

KUZYŃ

Wyniosłam na taras kawę w białej filiżance o złotych brzegach, odstawiłam na stolik i pozwoliłam, by skapały ją promienie słońca. Nachyliłam się, wybrałam najlepszy kadr i zrobiłam ze trzy zdjęcia, po czym najbardziej udane wysyłałam chłopcom na grupę.

Mieli odpowiedzieć dopiero za kilka godzin ze względu na różnicę czasu, ale wiedziałam, że gdy się obudzą, odeślą mi zdjęcia swoich dzisiejszych kaw. Taką małą tradycję sobie wypracowaliśmy.

Korzystałam z ładnej pogody, wyciągnąwszy się na tarasowej kanapie. Daktyl wygrzewał się w słońcu na terakocie obok mnie. Ja na kolanach trzymałam laptopa z materiałami z zajęć i przeglądałam je, co chwila się jednak dekoncentrując.

A dokładniej – rozpraszały mnie wspomnienia zeszłego wieczoru.

Zanim wstałam z łóżka, musiałam przekonywać się, że wcale mi się to nie przyśniło i naprawdę poszłam do muzeum z mrocznym współnikiem Vincenta.

Tak, spośród wszystkich możliwych opcji wybrałam muzeum i to tam zabrałam Adriana Santana.

Oglądaliśmy sztuce.

Finał wieczoru był taki, że dostałam tam zakaz wstępu.

Nie ma się więc co dziwić, że w nieskończoność przecierałam oczy, czekając, aż mój mózg uświadomi sobie, że to tylko przedziwne wizje, które zaserwował mi podczas snu, ale im dłużej gapiłam się w sufit, tym wyraźniej widziałam sceny z wczorajszego wyjścia.

Teraz z podobną zadumą wpatrywałam się w piękne niebieskie niebo. Adrien zażyczył sobie ode mnie przysługi i choć nie wiedziałam, o co zechce poprosić, to w życiu nie spodziewałabym się, że wymyśli sobie, by spędzić ze mną czas.

Po śniadaniu i niezbyt efektywnych tym razem chwilach nauki zdecydowałam udać się do klubu sportowego z nadzieją, że ćwiczenia, sauna i zajęcia jogi pomogą mi w odzyskaniu koncentracji. Na uniwersytet poszłam więc ze świeższym umysłem, nieco uspokojona i gotowa puścić w niepamięć to dziwne zdarzenie.

Ono jednak trzymało mnie w zaciśniętych szponach, o czym się przekonałam, gdy wyszłam wieczorem ze znajomymi z grupy. Staliśmy na zewnątrz przy wysokim stoliku, których w tej ciasnej uliczce stłoczono tu sporo, jeden przy drugim. Błat naszego stolika był krzywy i lepki od napojów, ale spełniał swoją funkcję – odstawialiśmy na niego szklane butelki, gdy potrzebowaliśmy obu rąk, by gestykulować podczas żywych rozmów. Dookoła nas znajdowało się mnóstwo podobnych grupek – wielu studentów, którzy świętowali nadejście weekendu wśród swoich, wyluzowani i zadowoleni, że przetrwali ten tydzień.

Nie mogło zabraknąć tu więc Alexa, który według mnie ustawiał się pierwszy w kolejce do wszelkich, nawet najbanalniejszych celebracji. Teraz zaszedł mnie od tyłu, a ja, będąc w bardzo towarzyskim nastroju, wykręciłam głowę, by przywitać go szerokim uśmiechem. Wymieniliśmy buziaki w policzki i stuknęliśmy się butelkami.

– Jak było z kuzynem? – zagaił.

Potrzebowałam sekundy, by zrozumieć, o kim mówi. Rzuciłam znaczące spojrzenie grupce swoich znajomych z roku, którzy jako jedyni znali tę ściemę, ale i tak zapytałam:

– Skąd o nim wiesz?

– Spotkałem wczoraj twoich ludzi na happy hours – odparł, wskazując butelką na Marlene, Angela i resztę zgrai. – Pytałem, czemu cię nie ma, no a oni powiedzieli mi, że oprowadzasz kuzyna po mieście.

– No, wpadł na chwilę do Barcelony i wiesz, wypadało dostarczyć mu jakichś atrakcji.

- I nie zabrałaś go do nas? – obruszył się teatralnie. Nawet przyłożył dłoń do piersi.
- Przecież my dostarczamy najlepszych atrakcji.

Zaśmiałam się i poklepałam go po ramieniu, odpowiadając wymijająco:

- Eee... on... nie lubi takich klimatów...
- Nie lubi barów? – Alex skrzywił się z niesmakiem.
- Barów, ludzi. – Machnęłam ręką. – Ma fobię społeczną. Unika tłumów, rozmów, jest też bardzo nieśmiały. Czułby się przytłoczony.

– A, rozumiem...

– Alex, weź – zachichotałam, gdy poczułam jego oddech i ciepłe usta na karku.

– Twój zapach doprowadza mnie do szaleństwa – wymruczał, a ja wtuliłam się plecami w klatę, pozwalając, by oplótł mnie ramionami. Marlene patrzyła na nas, z rozbawieniem kręcąc głową. Przymknęłam powieki, by tego nie widzieć. Doceniłam ten moment – wszystko było dobrze.

Byłam zdrowa, szczęśliwa, wolna i zadowolona. Czerpałam z życia.

Wciąż z butelką w jednej ręce drugą złapałam Alexa za nadgarstek. Bezbłędnie odczytawszy ten gest, natychmiast posłusznie wypuścił mnie z objęć, pozwalając mi pociągnąć się w stronę baru, gdzie podwójne drzwi otwierały się zapraszająco na oścież. Przepychaliśmy się między ludźmi w wąskim pomieszczeniu na sam jego koniec, gdzie znajdowała się mała, tłoczna salka. Znaleźliśmy swój kawałek parkietu i zaczęliśmy tańczyć naprzeciwko siebie do dobrze znanych nam piosenek. Panujący tu ścisk, drewniany bar i te same hity puszczane tu każdego wieczora przywodziły na myśl dom i taką jakby bezpieczną przystań, która nigdy nie zawiedzie w dostarczeniu relaksu. W takich warunkach nie przeszkadzało nawet to, że ciągle ktoś nadeptywał mi na but lub szturchał mnie w plecy. Celowo włożyłam zniszczone tenisówki i sama nie mniej się rozpychałam.

Daniło najbardziej nie lubił, gdy musiał mieć na mnie oko w takich właśnie mikrobarach. Kiedyś mi o tym powiedział, a ja obiecałam, że postaram się mieć to na uwadze, jednak te miejsca dawały mi radość i odprężenie, które ciężko było mi znaleźć gdzie indziej, chodziłam więc do nich często.

Nie stykaliśmy się ciałami, ale czasem dłoń Alexa przejechała po moim biodrze lub zatrzymała się w talii – wiedziałam, że jest fanem krótkich spódniczek, a dziś akurat taką założyłam. Mnie z kolei zdarzało się dotknąć jego piersi czy ramienia. Podobał mi się głęboki granat koszuli, którą włożył. W pewnym momencie podwinął jej rękawy aż

do łokci. Mnie też zrobiło się ciepło, ale nie na tyle, bym pozbyła się swojego kusego sweterka. I tak nie mogłabym go zdjąć, bo nie miałam nic pod spodem. Nie zdradziłam tego Alexowi – widziałam, że ta kwestia go zastanawia, i nie chciałam, by dostał odpowiedź na tacy.

Lubiliśmy tańczyć osobno, ale mając siebie w zasięgu ręki – czułam, że mężczyzna taki jak on dodaje zmysłowości moim ruchom. Poza tym kusiliśmy się nawzajem i była to dla nas prześwietna zabawa.

Gdy leciała już któraś z kolei piosenka, a nam skończyło się picie, palce Alexa powędrowały wzdłuż mojej szyi, tak że połaskotał mnie nimi po karku. Zbliżyłam się do niego, a wtedy przytknął usta do mojego ucha i poczułam jego szorstki zarost na policzku.

– Chcemy coś jeszcze z baru? – zapytał, a ja uśmiechnęłam się, bo przepadałam za tą władzą, którą nad nim miałam. Zwykle to ja podejmowałam decyzje, a on się podporządkowywał, bo gotów był zrobić wiele, by mnie zadowolić.

– Jeszcze raz to samo – odparłam, wskazując na pustą butelkę, którą już zdążyłam odstawić na wąską półkę na ścianie.

Skinął głową i odwrócił się, gotów utorować nam drogę przez tłum. Podążyłam za nim, wciąż bujając się do rytmu i wymieniając uśmiechy z przypadkowymi ludźmi, z którymi skrzyżowałam spojrzenia.

Alex nachylił się nad barem, by ściągnąć uwagę barmanów i przekrzykując muzykę, złożył zamówienie, ja natomiast oparłam się o wolny skrawek blatu i wodziłam wzrokiem po otaczających nas twarzach, rozglądając się z ciekawości za kimś znajomym. Był to popularny wśród studentów lokal, a kto dużo wychodził, znał tu wielu ludzi.

Kogoś tam wypatrzyłam, ale zanim zdążyłam podjąć próbę przedarcia się do tej osoby, tuż obok mnie pojawiła się Marlene, która też starała się dopchać po jakiś alkohol. Ujrzawszy mnie, wyszczerzyła się w uśmiechu.

– O! Szukałam cię! – zawołała, odgarniając z twarzy swoje farbowane na rudo kosmyki.

– Byłam na parkiecie – odparłam.

– Tak myślałam, ale jest straszny ścisk, nie chciałam się przedzierać.

– A co chciałaś?

Marlene zagryzła pociągniętą błyszczkiem wargę. Mienił się podobnie jak jej zielone oczy, wiszące w uszach kolczyki oraz cekiny na bluzce.

– Twój kuzyn przyszedł!

Łokieć osunął mi się z baru i tak mną szarpnęło, że aż rozboleła mnie łopatka. Nie zwróciłam jednak na to uwagi, bo mocno skupiłam się na tym, co mówiła Marlene.

– Kto taki?

Marlene nie przestawała zadziornie się uśmiechać. Szturchnęłam ją, by przestała svirować, i poprosiłam:

– Powtórz, bo chyba źle zrozumiałam!

– Twój kuzyn. Jest na zewnątrz, rozmawia z Angelem. I wiesz co, wcale nie jest taki, jak go przedstawiała...

Nie słuchałam jej dłużej, bo zerwałam się jak oparzona. Przelotnie dźgnęłam Alexa w bok i rzuciłam w pośpiechu, że będę czekała na dworze. Torując sobie drogę przez tłum, przepchnęłam się do wyjścia. Przed klubem nadal było dość tłoczno, ale bez większego kłopotu wypatrzyłam Adriena.

Po prostu trudno było go przegapić. Wyróżniał się w ciżbie złożonej z podpitych studentów swoją elegancją, opanowaniem i spokojem. Miał na sobie czarną koszulę, ręce znowu trzymał w kieszeniach garniturowych spodni, a wyrażając umiarkowane zainteresowanie twarz zwracał ku mojemu koledze z grupy, który coś mu właśnie opowiadał.

Zmiękły mi kolana. Trudno mi było uwierzyć we wczorajsze wyjście do muzeum z Adrienem Santanem, ale zobaczenie go na studenckiej imprezie to już zbyt wiele. Zebrawszy się w sobie i otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, z determinacją zaczęłam się przedzierać w jego stronę.

Zauważył mnie, gdy byłam już blisko. Jego przenikliwe spojrzenie odebrało mi gram pewności siebie już od pierwszego momentu, kiedy przeniosło się na mnie. Wspólnik Vincenta momentalnie stracił zainteresowanie swoim rozmówcą.

– Adrien – przywitałam go mimo wszystko twardo i wymownie.

– O, proszę. Dobry wieczór, Hailie Monet.

– Co ty tutaj robisz? – syknęłam do niego wściekle, ścisząc głos, by moi znajomi mnie nie usłyszeli. – Powiedziałeś, że nie jestem ci nic więcej winna.

– Zgadza się, tak powiedziałem.

– Więc co tutaj robisz?

– Zostaję w Barcelonie do jutra. – Wzruszył ramionami. – Szukam rozrywki.

Uniosłam brwi i wskazałam palcem na ziemię.

– Co, akurat tutaj?!

Nie podobało mi się to, że góruje nade mną. Nie stałam zbyt blisko niego, ale wystarczająco, by musieć zadzierać głowę.

– To popularny bar. Polecany i wysoko oceniany. Wskoczył jako pierwszy w Google'u.

– To mój bar – warknęłam. – Nie możesz tu przychodzić.

– Gdyby ten bar należał do rodziny Monet, wiedziałbym o tym.

– Chodzi mi o to, że ja tu przychodzę. Wiedziałaś skądś, że tu będę – stwierdziłam oskarżycielskim tonem. – Celowo tu przyszedłeś.

– Ciekawa dedukcja. Powiedz, proszę, zatem... Uważasz, że jaki mam cel w przyjsciu do baru, w którym bawi się Hailie Monet?

– Nachodzisz mnie i chcesz dręczyć.

Dłonie zacisnęły mi się w pięści, zwłaszcza gdy Adrien przechylił lekko głowę w bok z niedowierzaniem i rozbawieniem. W jego ciemnych oczach odbijał się płomień ze stojącego nieopodal ogrzewacza gazowego.

– Czy naprawdę czujesz się udręczona?

Dyskretnie przełknęłam ślinę, decydując się na szczerość.

– Czuję się nieswojo, bo jesteś współnikiem Vincenta, a ciągle na ciebie wpadam, do tego nie znam twoich intencji – wyszeptałam. – O co ci chodzi?

– Przyszedłem do popularnego klubu odprężyć się po długim dniu wypełnionym pracą. Nie szukałbym tu żadnych powiązań z tobą. Nie jesteś pępkiem świata, droga Hailie Monet.

Wpatrywałam się w jego oczy, hipnotyzowana przez te harcujące w nich płomienie. Wiedziałam, że to zbieg okoliczności, ale zdawało się, że każde otoczenie, w jakim Adrien Santan się pojawił, adaptuje się pod niego, by jak najlepiej podkreślić jego silną aurę. Jakby się zastanowić, podobnie było z Vincentem i być może była to kolejna cecha wspólna członków Organizacji. Może ci ludzie mają tak wybujałe ego, a kompleks Boga przeżarł im mózgi do tego stopnia, że w swoim przekonaniu o własnej wyjątkowości podporządkowują sobie rzeczywistość.

– To dlaczego zagadujesz moich znajomych? – zapytałam.

– Usłyszałem, jak padło z ich ust twoje imię. Jestem tylko człowiekiem, więc naturalnie zainteresowałem się tą zbieżnością.

Bombardowałam go spojrzeniem spod przymrużonych powiek, nie ufając ani jednemu jego słowu.

– Przy okazji dowiedziałem się, że jestem twoim kuzynem. – Adrien uniósł brew.

Prychnęłam i wreszcie uciekłam wzrokiem w bok.

– Coś musiałam wymyślić.

– Kreatywnie.

Rozłożyłam ręce.

– Możesz stąd iść? Nie powinniśmy bawić się w tym samym miejscu.

Adrien zamyślił się i pokiwał wolno głową.

– Możesz mieć rację. To nie wypada, żebyśmy spędzali czas w tym samym barze. Jednakże w takich okolicznościach, z naszej dwójki to ty będziesz musiała opuścić ten lokal.

– Dlaczego niby ja? – oburzyłam się.

– Bo jako członek Organizacji mam pierwszeństwo przed siostrą członka Organizacji – wyjaśnił uprzejmie, ale i ze złowrobną nutą w głosie. – Doprawdy spodziewałem się, że już będziesz lepiej się orientować w naszych zasadach.

Ponownie prychnęłam, tym razem bardziej lekceważąco.

– Nie obchodzi mnie Organizacja. Imprezuję w tym barze od dawna, są tu wszyscy moi znajomi. Ty stąd idź.

– Ciekawe, czy Vincent miałby to samo zdanie na ten temat.

– Zawsze musisz straszyć mnie Vincentem? Oczywiście, że jego zdanie byłoby takie, że kazałby mi wracać, i nie ma tu żadnej tajemnicy. Zrobiłby to, nawet gdyby ciebie tu nie było, bo Vince po prostu najbardziej lubi, gdy siedzę w domu.

Adrien parsknął, a ja poczułam coś zimnego na ramieniu i drgnęłam, zorientowawszy się, że to Alex wrócił z baru. Sztywno przejęłam od niego swoją butelkę, którą przed chwilą mnie dotknął, i od razu wzięłam łyk, widząc, jak uważnie obaj panowie zmierzyl się spojrzeniami.

Alex wyciągnął prostą dłoń, którą Adrien po chwili uścisnął, wyjąwszy swoją rękę z kieszeni. Odwróciłam spojrzenie na widok sygnetu, którego tak nienawidziłam. Przypominał mi bowiem ciągle o statusie społecznym nachodzącego mnie ostatnimi czasy mężczyzny.

Alex jednak żył w słodkiej niewiedzy, więc nie zwrócił na pierścień specjalnej uwagi. Zwrócił ją za to na mnie i na niechęć wypisaną na mojej twarzy, dlatego zapytał:

– Wszystko okej?

– Tak – odburknęłam.

– Właśnie dziękowałam Hailie za wczorajszy wieczór – oznajmił Adrien.

Drgnęłam znowu, a ciemne brwi Alexa powędrowały do góry.

– Czekaj, to jest ten twój kuzyn? – zapytał mnie, szybką swojej butelki wskazując na Adriena.

– M-hm. – Skupiłam się na zdrapywaniu wilgotnej etykiety ze swojej flaszki. Satisfakcjonowało mnie to, jak wyjątkowo łatwo odchodziła od zimnego szkła.

– We własnej osobie – przytaknął Adrien.

Najchętniej zadusiłabym go za ten jego przesiąknięty dyskretną drwiną głos, którego już wystarczająco nasłuchiwałam się wczoraj.

– Miło poznać w takim razie – odparł Alex z wahaniem, na nowo taksując nieznanego sobie mężczyznę. Nie było wątpliwości, że po moim opisie nie tak go sobie wyobrażał.

– Coś nie w porządku? – zapytał Adrien, z kontrolowaną uprzejmością odwzajemniając to spojrzenie.

– Wszystko gra – odpowiedział, otrząsnąwszy się, Alex i kiwnął głową, wskazując ludzi dookoła. – Mam nadzieję, że nie czujesz się za bardzo przytłoczony.

– Ależ dlaczego miałbym?

– Fobia społeczna to poważne zaburzenie.

Adrien przeniósł wzrok na mnie. Czulałam to, choć nie widziałam jego oczu, bo więcej uwagi poświęciłam w tym momencie etykietce. Jeszcze chwila i byłam gotowa zacząć szarpać ją zębami.

– Robię postępy – odparł wreszcie Adrien.

– To dobrze.

Zapadła niezręczna cisza. To znaczy wkoło panował harmider – z baru dolatywała muzyka, ludzie rozmawiali i głośno się śmiali, stukali się szkłem. Po prostu my zamilkliśmy.

Wreszcie zdarłam etykietę do końca, a wtedy poczułam też dłoń Alexa na plecach.

– Chcesz wrócić na parkiet? – zapytał.

Uniosłam wzrok na Adriena. Jego ciemne tęczówki raziły intensywnością, kiedy oczy mężczyzny powiodły od ręki Alexa aż po moją twarz.

– Tak – odpowiedziałam zachrypniętym głosem.

Nie czułam potrzeby, by pożegnać się z Adrienem. Pragnęłam zniknąć z pola jego widzenia i żeby on zniknął z mojego. Nie wróciłabym jednak do domu, nie dałabym mu tej satysfakcji. Używałam ostatków swojej silnej woli, by nie spojrzeć przez ramię, gdy wchodziłam do baru.

Taniec smakował mniej beztrudnie niż poprzednio. Miałam trudności z wyluzowaniem się, ciągle zerkałam gdzieś ponad głowę Alexa i przeklinałam w myślach poczynania Adriena. Nie rozumiałam jego motywacji, irytowała mnie niepewność, a w głowie kołatało mi się tylko jedno pytanie: „O co mu chodzi?”.

Alex wyczuwał, że coś jest nie tak. Sam czasem się odwracał, jakby spodziewał się ujrzeć za sobą Adriena. Ten nie pofatygował się jednak i nie wszedł do środka. Nie szukał mnie na parkiecie.

Przyjęłam ten brak zainteresowania z ulgą.

Kiedy znowu skończyły nam się napoje, Alex ponownie zaproponował wycieczkę do baru, a ja skwapliwie na to przystałam. Chciałam pić i tańczyć, byle nie wychodzić na zewnątrz. Niestety jednak zostałam do tego zmuszona, bo zadzwonił mój telefon.

Moja komórka zaczęła wibrować, jeszcze zanim Alex dopchał się do kontuaru, a ja, widząc na niej imię swojego najstarszego brata, zrozumiałam, że czym prędzej muszę odebrać.

– Zaraz wrócę – obiecałam Alexowi, wskazując na świecący ekran.

Serce mi waliło, gdy przedzierałam się do wyjścia, bo martwiłam się, czemu Vincent w ogóle do mnie dzwoni. Czasem robił to bez powodu, po prostu kontrolnie, by upewnić się, że wszystko u mnie w porządku, ale raczej starał się nie niepokoić mnie późnymi wieczorami. A fakt, że natknęłam się dziś na Adriena, dodatkowo potęgował moje obawy.

Co, jeśli ten idiota spełnił swoją groźbę i naskarżył na mnie Vincentowi?

– Halo? – powiedziała do słuchawki, kiedy tylko uderzyło we mnie świeże powietrze. Telefon przyciskałam mocno do jednego ucha, palcem zatykając drugie, by cokolwiek usłyszeć.

Vincent zawsze mówi cicho, zmuszając swoich rozmówców, żeby się wysilili, jeśli chcą zrozumieć jego słowa.

– Hailie, czy słyszysz mnie wyraźnie? – zaczął ostro.

Zmarszczyłam brwi, bo owszem, głos mojego najstarszego brata rzadko brzmi beztrosko, ale mimo wszystko Vince nie ma w zwyczaju witać mnie aż tak nieprzyjemnym tonem. Zacisnęłam mocniej palce na telefonie i kuląc się przy ścianie lokalu, szukałam wzrokiem miejsca, gdzie mogłabym spokojnie porozmawiać. Wtedy moje spojrzenie padło na Adriena, który niestety najwyraźniej jeszcze się stąd nie wyniósł i stał teraz, rozmawiając z dwoma nieznanymi mi dziewczynami. Jedna właśnie mówiła coś do niego, druga kiwała głową, a on przysłuchiwał się im z uprzejmym, acz niezbyt zaangażowanym uśmiechem.

– Tak jakby – odparłam. – Coś się stało?

– Tak.

Poczułam zimny dreszcz, który spłynął w dół mojego kręgosłupa, choć przecież spodziewałam się, że Vince nie dzwoni do mnie, by pogawędzić. Byłam pewna, że chodzi o moje ostatnie interakcje z Adrienem, i już otwierałam usta, by się z nich sensownie wytłumaczyć, gdy Vince powiedział:

– Ojciec uciekł z więzienia.



TO NIE JEST TWÓJ KOLEGA

Zatrzymałam się i odwróciłam do ściany, żeby nikt nie widział, jak zmienia się moja twarz. Wbiłam wzrok w ziemię, na której wały się zmięte serwetki, kapsle i niedopałki papierosów.

– Jak to uciekł?! – wyszeptałam do głośnika tak gorączkowo, że prawie oplułam sobie telefon.

– Nie powtarzaj tego, co mówię, na głos – upomniął mnie, po czym ciągnął dalej swoim chłodnym, formalnym głosem: – Słyszysz mnie dobrze?

– Tak – potwierdziłam. Mój mózg wreszcie postanowił ze mną współpracować i wyciszył gwar w tle. Liczyło się teraz tylko to, co powie mój brat.

– Gdzie się teraz znajdujesz? Potrzebuję adres, nazwę lokalu.

– Bar El Cielo y la Lluvia. To jest...

– Dzielnica el Raval? – zapytał w skupieniu, zapewne wstukując nazwę w wyszukiwarce, mapy, GPS czy co tam jeszcze.

– Tak.

– Czy jesteś pijana?

– Nie...

– Na pewno? Potrzebuję, żebyś się maksymalnie skupiła. Nie możesz być nietrzeźwa.

– Nie jestem pijana, mogę się skupić.

– Nie ruszaj się stamtąd. Za pięć minut podjedzie tam po ciebie auto. To będzie czarna barcelońska taksówka. Zanim wsiądziesz, upewnij się, że ma właściwe numery rejestracyjne. Wyślę ci je w wiadomości zaraz po zakończeniu tej rozmowy. Nie wsiadaj do żadnego innego samochodu. Nie oddzwaniaj do mnie.

Przeszły mnie nieprzyjemne ciarki.

– Vincent, o co chodzi?

– Sytuacja należy do skomplikowanych, a pora na wyjaśnienia przyjdzie później. W tej chwili musisz wykonywać wszystkie polecenia bez dyskusji, czy to jest dla ciebie jasne?

Jego ton często brzmiał rozkazująco, ale w tym momencie przechodził samego siebie. Mimo to przytaknęłam.

– Taksówka zabierze się prosto do hotelu. Kierowca to nasz człowiek, przekaże ci paszport na fałszywe nazwisko, którego następnie użyjesz w recepcji do zameldowania się. Nikomu nie ujawniaj swojego prawdziwego imienia. Rozumiesz?

– Tak, ale...

– Danilo właśnie otrzymuje swoje instrukcje. Nigdzie go nie odsyłaj.

Rozejrzałam się za swoim ochroniarzem, który rzeczywiście stał niedaleko, przyciskając słuchawkę w ucho i słuchając tego, co ktoś do niego mówił. Nie spuszczał przy tym ze mnie wzroku.

– Dobrze, a czy...

– To nie jest odpowiedni moment na zadawanie pytań, Hailie. Teraz potwierdź, proszę, że wszystko zrozumiałaś.

– Potwierdzam – westchnęłam drżącym głosem.

– Gdy znajdziesz się w pokoju hotelowym, zamknij drzwi i nie wychodź. Poczekaj, aż się z tobą skontaktuję. Teraz się rozłączę, ty poczekaś na wiadomość z numerami rejestracyjnymi, a swój telefon zostawisz w samochodzie. Nie zabieraj go ze sobą do hotelu, czy słyszysz?

– Tak, ale Vince, muszę ci coś powiedzieć, to ważne – wyszeptałam z przejęciem. Teraz już ściszałam telefon obiema dłońmi.

– Szybko, Hailie.

Nie mogłam już myśleć tylko o ocaleniu własnej skóry, musiałam się przyznać, musiałam im powiedzieć, co się dzieje.

– Adrien Santan tu jest – wymamrotałam, maksymalnie ścisząc głos.

Vincent i tak mnie zrozumiał. Milczał przez chwilę – bardzo krótką, bo wszystko teraz działo się w przyspieszonym tempie i nie było czasu na zwłokę.

– Adrien Santan jest w tym samym lokalu co ty? – upewnił się lodowato.

– Tak... – jęknęłam.

Gdyby Vince miał skłonności do bycia wulgarnym, zapewne by zaklął, ale on zawsze trzymał zarówno swój język, jak i emocje na wodzy, więc w słuchawce zapadła tylko chwila ciszy, po czym mój brat wypuścił powietrze z płuc i przemówił:

– Czy znajduje się blisko ciebie?

Odwrociłam się, by odnaleźć go spojrzeniem. Stał nadal z tymi samymi dziewczynami, z których jedna wciąż coś do niego paplała, ale on już jej nie słuchał.

Bo patrzył prosto na mnie.

Błyskawicznie z powrotem odwróciłam się do ściany.

– Stoi dość daleko, ale mnie widzi.

– Wsiądź w podstawioną taksówkę jak najprędzej i absolutnie nie oglądaj się za siebie – polecił szorstko Vincent.

– Dobrze – potwierdziłam słabo.

– Zapamiętałaś wszystkie instrukcje?

– Tak.

– Rozłączam się zatem – rzekł na koniec i dwie sekundy później połączenie zostało zakończone.

Palce mi zbielewały – tak mocno zaciskałam je na telefonie. Spojrzałam na Danilo, który też właśnie się prostował, odrywając dłoń od słuchawki w uchu. Nagle zrobiło mi się duszno i niedobrze. Chciałam wydostać się z tego tłumy.

Telefon zawibrował, a na ekranie wyświetliła się wiadomość od Vincenta z numerami rejestracyjnymi. Zaczęłam wypatrywać miejsca, skąd mogłoby nadjechać auto. Uliczki w tej części dzielnicy były dosyć wąskie, ale jedną z nich upatrzyli sobie taksówkarze, co wiedziałam, bo nieraz już korzystałam z ich usług, gdy wracałam stąd nocą do domu.

Ruszyłam w tamtą stronę, nie mogąc się powstrzymać, by nie zerknąć na Adriena, który właśnie odszedł kawałek na bok, zostawiając dziewczyny, z którymi rozmawiał. Unosił dłoń, jakby je uciskał, a między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka, gdy próbował się skupić na telefonie, który przyciskał do ucha.

Bo ktoś go właśnie informował o tym, co się dzieje.

Nagle podniósł wzrok. Spojrzał w miejsce, w którym stałam przed chwilą, a gdy mnie tam nie znalazł, wyprostował się jeszcze bardziej i powiódł wzrokiem po tłumie.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę i poczułam ciarki tak silne, że zmusiłam się, by oderwać wzrok od jego oczu, i teraz już właściwie biegłam, przepychając się między ludźmi. Nie wiem, czy Adrien ruszył za mną, ale przestałam się nim martwić. Skoncentrowałam się na znalezieniu właściwego samochodu.

Jedna taksówka właśnie odjeżdżała, ale pojawiła się zaraz druga, a tuż po niej trzecia, i po numerach rejestracyjnych rozpoznałam, że to ta, którą wysłał Vincent, więc bez zastanowienia wpakowałam się na jej tylne siedzenie, a tuż za mną wgramolił się Danilo, trzaskając drzwiami głośniejsze, niż było to konieczne.

Kierowca nie czekał, aż zapniemy pasy czy usadowimy się wygodnie. Manewrując o wiele zbyt agresywnie jak na takie zatłoczone miejsce pełne nietrzeźwych ludzi, wyjechał spod baru, nie odezwawszy się do nas ani słowem.

Odwrociłam głowę, gdy tylko zapięłam pas, ale nie dostrzegłam już Adriena. Taksówkarz nie żałował gazu i szybko wjechaliśmy na główną drogę, a kiedy spróbowałam go o cokolwiek spytać, w milczeniu rzucił mi na kolana paszport.

Uniosłam go drżącymi dłońmi i spojrzałam na okładkę – był hiszpański. Otworzyłam go na stronie ze zdjęciem, na którym uśmiechałam się ja, podpisana jako Sofia Garcia Lopez urodzona w Madrycie.

Wystarczyło, bym otworzyła usta, aby było wiadomo, że żadna ze mnie rodowita Hiszpanka. Zdradzał mnie nieperfekcyjny akcent, nawet jeśli sam język opanowałam niemal doskonale. Najwidoczniej jednak Vincent uznał to za nieistotne.

– Przepraszam, czy może mi pan wyjaśnić, co się dzieje? – zapytałam, zamykając paszport. Świdrowałam wzrokiem tył siwej głowy kierowcy, ale presja, którą na niego próbowałam wyrzucić, nie zadziałała. Nie odezwał się, skupiony na dowiezieniu nas do celu.

Odchyliłam głowę z frustracją, zerkając też na Danilo. Zdawał się rozumieć z tej sytuacji nie więcej ode mnie, więc nie atakowałam go pytaniami. Odwróciłam się do okna i patrzyłam przez nie na wieczorne ulice Barcelony. Oddalaliśmy się od centrum. Raz na jakiś czas odblokowywałam też telefon, by sprawdzić, czy nie przegapiłam połączenia od Vincenta, ale nie dzwonił do mnie.

Myślałam o ojcu. O tym, w co on się znowu wpakował, co zrobił i czy jest bezpieczny. Irytowało mnie to, że Vincent przekazał mi tylko strzępy informacji, z których nie wynikało, czy powinnam się o Cama martwić. To dobrze, że uciekł, czy nie? Chyba nie bardzo, skoro wywożą mnie właśnie gdzieś z podrobionym paszportem.

Hotel, do którego wysłał mnie Vincent, nie imponował standardem, ale też nie był rudera, co potwierdzały błyszczące dumnie trzy gwiazdki tuż obok jego nazwy. Kierowca wyprosił mnie z auta, poganiając mnie na każdym kroku, aż musiałam ugryźć się w język, by mu nie dogadać. Na pożegnanie wyciągnął rękę po mój telefon, który zgodnie z instrukcjami niechętnie mu oddałam.

Dziwnie się czułam, meldując się w hotelu bez bagażu, choćby większej torby. Jeszcze dziwniej było mi używać fałszywego paszportu. Recepcjonistka nie miała jednak żadnych zastrzeżeń i z uśmiechem pokierowała mnie na pierwsze piętro, dokąd dostałam się windą. Danilo mi towarzyszył, ale stanowczo odmówił wejścia do pokoju.

– Wiem, co robić, pani Monet – zapewnił mnie, a ja nie miałam siły się z nim kłócić.

Odrzuciłam swoją małą torebeczkę na biurko i z westchnieniem usiadłam na schludnie zasłanym łóżku. Pokój był mały, ale czysty. Wodziłam dłonią po idealnie gładkiej narzucie, starając się poukładać sobie w głowie to, co się działo, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

Odruchowo zaczęłam się rozglądać za swoją komórką, ale po chwili zreflektowałam się, że to dzwoni telefon hotelowy, stojący na stoliku nocnym. Wyciągnęłam się na materacu, by sięgnąć po słuchawkę, i z lekkim niepokojem ją podniosłam, planując nie odzywać się od razu. Niepewność mnie opuściła, gdy usłyszałam w niej głos Vincenta.

– Hailie.

– Jestem w pokoju hotelowym – oznajmiłam, choć przecież o tym wiedział.

– Dobrze. Zasuń zasłony.

– Okej.

– Hailie, odłóż słuchawkę na bok i zrób to teraz – polecił wolno.

Wykonałam tę czynność i z powrotem przysiadłam na łóżku.

– Gotowe – powiedziałam.

– Nikomu nie otwieraj, z nikim się nie kontaktuj. Musisz to przeczekać. Jeśli zgłodniejesz, to zamów coś do pokoju, ale otwórz drzwi jedynie, jeśli ktoś zapuka do nich trzy razy. Trzy razy, Hailie, zapamiętasz?

- Vince, mam ciarki...
- Po ilu razach otworzysz?
- Po trzech. Vince, co z tatą?

Vincent wziął krótki oddech.

- Przykro mi, Hailie, nie mam zbyt wielu informacji na ten moment.
- Dlaczego uciekł? – dopytywałam.
- Sprawy się skomplikowały.
- To już wiem, ale...

– To w dalszym ciągu nie czas na takie rozmowy, Hailie, skoro póki co nic konkretnego nie wiemy. Należy poczekać. Na razie priorytetem dla mnie jest twoje bezpieczeństwo.

- Jest zagrożone, bo tato uciekł?

– Istnieją osoby, którym może nie spodobać się fakt, iż nasz ojciec po raz kolejny zademonstrował swój lekceważący stosunek wobec niektórych ludzi i instytucji. Tutaj także nasuwa mi się pytanie: co Adrien Santan robił w tym samym lokalu co ty?

– Nie wiem, co tam robił – odparłam niewinnie. – Pojawił się znikąd, jak zawsze. Mówiłam mu, że nie wypada, byśmy bawili się w tym samym miejscu i że lepiej, żeby sobie poszedł.

Vincent milczał przez chwilę.

– Hailie, co to znaczy, że „mówiłaś mu”? – zapytał groźnie. – Z jakiej racji, drogie dziecko, ty z nim rozmawiałaś?

Przełknęłam ślinę, słysząc ton jego głosu. Jak ja niby mam mu się przyznać do całej prawdy, skoro już na samą wzmiankę o rozmowie z Santanem tak się złości?

- Zobaczyłam go i chciałam...
- Adrien Santan – przerwał mi Vincent – to nie jest twój kolega.
- Wiem, że nie...

– To, że wymieniacie grzeczności na oficjalnych balach i wydarzeniach, nie oznacza, że wypada, żebyś do niego podchodziła prywatnie i...

– Ja imprezuję w tym barze non stop, Vince, to on nagle się tam... – Zawiesiłam głos, zorientowawszy się, że powiedziałam za dużo. – To znaczy, chodzę do tego baru często na chwilę, ale tak wiesz, nie za często, rozsądnie w sensie, gdy nie mam za dużo nauki, no i gdy akurat jest jakaś ważna okazja...

– Wiem co nieco o twoim studenckim życiu, Hailie – westchnął niemal z żalnością nad moimi słabymi tłumaczeniami.

– W każdym razie to on pojawił się tu znikąd.

– Czy coś do ciebie powiedział?

– Nic, drwił trochę, jak zwykle. Nie dotknął mnie.

– Widział, jak wychodziłaś z baru?

– Tak. Ktoś do niego zadzwonił.

Vincent znowu na chwilę zamilkł.

– Musisz zrozumieć – przemówił sztywno – że fakt, iż Adrien Santan znajduje się właśnie w Barcelonie, jest wyjątkowo niefortunny, delikatnie mówiąc. Najprawdopodobniej informacja o ucieczce naszego ojca bardzo go zdenerwuje. Nie podoba mi się, że ma cię w zasięgu ręki.

– Uważasz, że może chcieć mi coś zrobić? – wyszeptalam, marszcząc brwi.

– Po prostu nie podoba mi się zaistniała sytuacja, Hailie.

Poczułam dreszcze.

– Nie wie, gdzie jestem, prawda?

– Nie, ale pilnuj się. Nie pozwól, by Adrien uspił twoją czujność swoimi niegroźnymi drwinami. To członek Organizacji, nigdy o tym nie zapominaj.

– Jasne, Vince – odparłam zdławionym głosem.

– Rozłączę się teraz i nie będę dzwonił przez jakiś czas. Ty zostań w hotelu zgodnie z instrukcjami. W razie czego słuchaj ochroniarzy.

– Ochroniarzy?

– Wysłałem pod twoje drzwi swojego człowieka.

Vincent nigdy w stu procentach nie zaufał Danilo.

– Zadzwoni do mnie, jak tylko będziesz coś wiedział – poprosiłam.

– Uważaj na siebie.

Rozłączył się, gdy byłam w połowie odpowiadania mu tym samym. Westchnęłam i odłożyłam słuchawkę, znowu rozglądając się po pokoju. Gdy zasłoniłam okna, zrobiło się tu bardziej klaustrofobicznie. Mdłe światło lampek dołowało swoją sztucznością. Oparłam się plecami o zagłówek łóżka, w pierwszej chwili chcąc pozbyć się butów, by usadowić się wygodniej. Przyszło mi jednak do głowy, że lepiej, bym miała je nogach, jeśli nagle będę musiała uciekać, więc nie dbając o to, że brudzę w ten sposób świeżą pościel, wyciągnęłam na niej nogi.

Późna pora, samotność i zmęczenie po przetańczonym wieczorze łatwo mnie uśpiły i mimo dręczącego mnie niepokoju zasnąłam.

Obudziłam się skulona obok telefonu, który położyłam na pościeli, by mieć do niego łatwy dostęp, w razie gdyby dzwonił Vincent. Pomieszczenie rozświetlało żółtawe światło lampek, których nie zgasiłam. Zsunęłam się z materaca, by wyrzucić przez okno. Świtało.

Przeszłam do łazienki, a potem z powrotem padłam na łóżko, ale już nie zasnąłam. Wypoczęłam na tyle, by być w stanie przeanalizować swoją sytuację na nowo. Zaczęłam też myśleć więcej o ojcu. Zawsze wiedział, co robi, i bez wątpienia potrafił o siebie zadbać, ale przecież by nie uciekł, wiedząc, że ściągnie tym niebezpieczeństwo na swoje dzieci. Coś poszło nie tak, coś się skomplikowało, jak przyznał Vince.

Denerwowałam się, że nie mam swojej komórki. Miałam potrzebę zadzwonić do chłopców albo do nich napisać. A przynajmniej, nie wiem, zerknąć jeszcze raz na zdjęcia ich kaw, które mi wczoraj przysłali...

Podskoczyłam, gdy zadzwonił telefon.

– Jesteś tam, Hailie? – odezwał się Vincent.

– Tak. Czy wiadomo, co z tatą?

– Jeszcze niewiele wiadomo.

Zacisnęłam palce na kablu.

– A chłopcy? Co z chłopcami? Czy są bezpieczni?

– Wszyscy są tutaj. Ciebie też planuję ściągnąć do nas jak najszybciej.

– Znowu do Stanów? – jęknęłam. Miałam wrażenie, że ostatnio krążę w kółko nad oceanem.

– Hailie... – westchnął Vince. – Żaden z twoich braci nie czuje się komfortowo ze świadomością, że jesteś teraz daleko od domu.

Spuściłam wzrok na hotelową wykładzinę.

– Kiedy? – wymamrotałam.

– Teraz. Dlatego dzwonię. Za pięć minut wyjdź na korytarz. Twoi ochroniarze przetransportują cię na lotnisko.

– Okej – odparłam cicho. Marzyłam o prysznicu i zmianie ubrań, ale przecież i tak nie miałam się w co przebrać.

– Następnym razem skontaktuję się z tobą, gdy wylądujesz. Bądź ostrożna.

Chodziłam po pokoju w tę i w tę, aż pięć minut później zatrzymałam się przed drzwiami i nacisnęłam klamkę. Powitał mnie wielki, nieznajomy mężczyzna o wcale nieprzyjaznej aparycji. Zmierzył mnie spojrzeniem z góry i zrobił krok w tył, bym mogła wyjść na korytarz. Widok Danilo z boku dodał mi otuchy.

– Pójdę przodem, pani Monet – zaoferował i nie czekając, aż się zgodzę, skierował się w stronę windy. Ochroniarz od Vincenta deptał mi po piętach, a ja pomyślałam sobie, że ci dwaj za bardzo przyciągają wzrok jak na te wszystkie starania, bym nie wyróżniała się z tłumu.

Nawet recepcjonistka wyciągała za mną szyję, gdy szłam przez lobby ze swoim fałszywym paszportem w dłoni i pod eskortą dwóch roślących mężczyzn.

Na dworze zmrużyłam oczy, powitana promieniami porannego słońca. Czułam się okropnie nieświeżo, bo zaczął się nowy dzień, a ja miałam na sobie wczorajsze ciuchy i brakowało mi nawet warunków do zmycia makijażu lub nałożenia kremu, i tak miało być jeszcze przez długie godziny. Może w samolocie spróbuję doprowadzić się do porządku? Nie będę miała ze sobą co prawda swoich ulubionych produktów, bo zostały w mieszkaniu, ale...

Zatrzymałam się gwałtownie na schodach.

Taksówka, do której prowadzili mnie ochroniarze, stała kilka metrów dalej, a jej kierowca właśnie otwierał dla mnie drzwi.

Odwrociłam się do Danilo.

– Muszę podjechać do mieszkania – oznajmiłam.

Spojrzał na mnie bez słowa, ale ten od Vincenta najeżył się i warknął:

– Nie ma mowy, jedziemy na lotnisko, tak jak kazał szef.

– No to zadzwoń do szefa i powiedz mu, że muszę podjechać do mieszkania – odparłam równie opryskliwie. – No dalej. Sama bym to zrobiła, ale nie mam telefonu, nie?

– Ja też nie – burknął. – Ładuj się do auta, już.

– Jak to nie masz telefonu? To jak się z nim kontaktujesz? – zapytałam, podpierając się pod boki. Następnie zerknęłam na Danilo. – A ty? Po co ci ta słuchawka w uchu?

– To wyjątkowa sytuacja, pani Monet. Kontakt z pani bratem jest ograniczony. Tylko on może się do nas odezwać – wyjaśnił Danilo.

– Co on znowu... – westchnęłam i pokręciłam głową.

– Pani Monet, nie możemy tu stać. Trzeba dostać się jak najszybciej do samolotu.

– Tak zrobimy, ale najpierw pojedziemy do mojego mieszkania.

– Czy ty rozumiesz, dziewczyno, że to nie są żarty i jest to kwestia... – ryknął na mnie ochroniarz Vince’a, zaciskając dłonie w pięści, ale przerwałam mu jadownicę:

– Nie zostawię swojego kota na pastwę losu.

Wredny ochroniarz skrzywił się, a Danilo przymknął powieki.

– Tak. – Pokiwałam głową. – Mój kot został w mieszkaniu, nikt nie wie, że jest sam. Nikt nie przyjdzie i go nie nakarmi, nie mam jak się skontaktować z kimś, kto mógłby się nim opiekować. Lot do Stanów zajmie sporo czasu, a Daktyl był sam już przez całą noc.

– Nikt mi nic nie mówił o żadnym kocie – klócił się ochroniarz.

– Tym bardziej oznacza to, że o nim zapomnieli. Nie ma mowy, nie zostawię go – upierałam się. – Pojedziemy na lotnisko zaraz po tym, jak odbiorę z domu kota.

– Ty nie stawiasz tu warunków – burknął na mnie człowiek Vincenta.

– Właśnie je postawiłam.

Zrobił w moją stronę szybki krok, a wtedy Danilo błyskawicznie ustawił się między nami.

– Nie masz prawa grozić pani Monet – syknął w mojej obronie.

– Dostałeś te same instrukcje co ja, idioto – zirytował się ochroniarz Vince’a.

– Dostałem, jednak w pierwszej kolejności wypełniam polecenia pani Monet.

– Twoja cholerna pani Monet pakuje się w kłopoty. Jej brat wydlubie ci oczy, jeśli spadnie jej z głowy chociaż włos. I mnie, kurwa, też.

– Pracuję dla pani Monet – powiedział z naciskiem Danilo.

– Idiota – powtórzył, mieląc też w ustach jakieś inne inwektywy.

– Marnujemy czas – powiedziałam, a on rzucił mi pełne niechęci spojrzenie.

– Trafisz do grobu przez tego kocura.

– Więc lepiej dobrze mnie pilnuj – odburknęłam i wsiadłam do podstawionej taksówki. Gdy mężczyźni weszli do niej za mną, rzuciłam kierowcy instrukcje. Był skołowany i niezadowolony ze zmiany planów, ale Danilo nie przebierał w środkach i na moje wyraźne życzenie zrobił odpowiednio złowróżbną minę, a także sięgnął gdzieś za pas spodni, gdzie trzymał broń, i to wystarczyło kierowcy, by się mnie posłuchać.

Nigdy nie korzystałam z takiej kontroli i nie wykorzystywałam swojego ochroniarza do tak niecznych postępów, ale to była wyjątkowa sytuacja. Wiedziałam, że Vince mnie zamorduje za to, że nasłałam swojego ochroniarza przeciwko jego ludziom, jednak i tak planowałam w Stanach przyznać się i opowiedzieć braciom o sprawie z Adrienem, a wtedy umrę tak czy siak. Chłopcy nie podarują mi, gdy zdradzę im, jak pożałowałam Dylana, spotkałam się z Santanem w jego barze, zawarłam z nim umowę... Jeśli po tym Vincent jeszcze mnie nie udusi, to przyznam się też do zabrania jego współnika do muzeum.

Jezus, mam takie kłopoty, że równie dobrze mogłabym sama iść utopić się w morzu i przynajmniej oszczędziłabym wszystkim kłopotu.

Ale najpierw musiałam się upewnić, że ktoś zajmie się Daktylem. Ten cel mi przyświecał i myślałam tylko o nim, jednak gdy znalazłam się pod swoją kamienicą, zwątpiłam. Nie w sens zabrania ze sobą kota, oczywiście, a w swoją odwagę. Ulica była spokojna, cicha i powoli, jak wszystko w Hiszpanii, budziła się do życia.

Kierowca, podążając za moimi wskazówkami, zatrzymał się przed wejściem, siedzący obok niego ochroniarz Vince'a lustrował okolicę uważnym spojrzeniem z naburmuszoną miną, nawet mruczając coś pod nosem, a Danilo zerkał na mnie kątem oka, jakby liczył, że zmienię zdanie.

Zamiast tego ponagliłam go ruchem dłoni, by wysiadł, co zrobił, rozglądając się ostrożnie. Ściskając w ręce klucze, przemknęłam schowana za jego plecami do budynku. Z tyłu krył mnie człowiek Vince'a i chociaż mnie irytował, to cieszyłam się, że z nami jest.

Wspięliśmy się schodami na górę, a do apartamentu wszedł najpierw Danilo. Chwilę go nie było, aż wrócił do nas i z powagą skinął głową.

Daktyl czekał na mnie już w przedpokoju. Przed wyjściem zawsze mówiłam mu, kiedy wrócę, a tym razem nie dotrzymałam słowa, dlatego teraz miauczał na mnie z wyrzutem. Jestem najgorszą kocią mamą. Przepraszałam go za to i uspokojałam szeptem, aż ochroniarz od Vince'a znowu się odezwał:

– Bierzże to kocisko i zmywajmy się stąd.

Wstałam, porwawszy Daktyla w ramiona, i rzuciłam mężczyźnie pełne niechęci spojrzenie, ale posłuchałam się go, wiedząc, że ma rację, pospieszając mnie.

– Potrzebuję jeszcze tylko tę torbę, wezmę też puszki... – mruczałam pod nosem, biegnąc po mieszkaniu w tę i w tę z kotem pod pachą. Z chęcią spakowałabym też

sobie kosmetyki i może wskoczyłabym w wygodniejsze ciuchy niż miniówka z imprezy, gdy nagle stało się jasne, że to wszystko już na nic.

Najpierw usłyszałam siarczyste przekleństwo ochroniarza i myślałam, że po prostu w mało kulturalny sposób daje upust swojej frustracji spowodowanej moim grzebaniem się, jednak jak się okazało, co innego sprawiło, że zareagował w ten sposób.

Rozległy się dobrze znane mi dźwięki odbezpieczanej broni.

Wyjrzałam z kuchni, przytulając do piersi Daktyla, i zobaczyłam, jak na progu mieszkania stają obcy mężczyźni. W rękach mieli pistolety, z których celowali do moich ochroniarzy, a ci nie pozostawali im dłużni i także trzymali przybyszy na muszce. W całym tym bałaganie miejsce dla siebie znalazł również Adrien Santan, który przystanął w korytarzu i spojrzał prosto na mnie, siłą spojrzenia niemal wbijając mnie w podłogę.

– Czyżby Vincent Monet zapomniał o twoim kocie?



20

PRZYPALONE TOSTY

Do zobaczenia, Vincencie.

Patrzyłam, jak Adrien chowa telefon do wewnętrznej kieszeni swojej gładkiej czarnej marynarki i robi kilka kroków w stronę kokpitu, żeby ściszone głosem przekazać pilotom jakieś polecenia.

– W porządku, pani Monet? – Danilo nachylił się do mnie i uważnie przyjrzał się mojej twarzy. Siedział na fotelu obok mnie, spięty chyba tak samo jak ja.

Dyskretnie śledząc ruchy Santana, skinęłam głową i przytuliłam Daktyla mocniej do piersi. Poczułam, jak jego pazurki zaczepiają się o moją bluzkę i drapią mnie w brzuch. Pożałowałam, że należy raczej do bojaźliwych kotów. W innym razie mogłabym liczyć, że wyskoczy z moich ramion jak sprężynka i poharata Adrienowi twarz.

A miły byłby to dla oka widok.

Skinęłam głową do Danilo i odwróciłam się do siedzącego za mną ochroniarza przysłanego przez Vincenta. Ten był o wiele mniej zainteresowany moim samopoczuciem. Wyraz twarzy miał groźny i pochmurny, zapewne poważnie zamartwiał się tym, co go czeka po wylądowaniu i spotkaniu z szefem.

Sama chciałabym wiedzieć, na czym stoimy, toteż wreszcie zdobyłam się na odwagę i gdy Adrien zasiadł niedaleko na podłużnej kanapie, trzęsącymi się lekko palcami

odgarnęłam włosy za ucho i zapytałam:

– Czy ty mnie porywasz?

Uniósł na mnie wzrok, jakby zapomniał, że przecież sam zaciągnął mnie na pokład swojego prywatnego odrzutowca.

– Czy czujesz się porwana?

Jego ciemne oczy wpatrywały się we mnie z powagą, tym razem bez śladu kpiny. Były wyzbyte jej już od momentu, kiedy zaskoczył mnie w moim apartamencie. Dlatego też obawiałam się go zagadywać – nie zachęcał mnie do tego swoją postawą. Ten Adrien był inny niż zwykle. Skupiony na swoim zadaniu, zdecydowany i prawdopodobnie porytowany całą tą niecodzienną sytuacją.

– Naszedłeś mnie w domu, kazałeś wsiąść do swojego samochodu, a teraz trzymasz mnie wbrew mojej woli na pokładzie swojego samolotu – wyliczałam, siłąc się na spokój. – Więc no tak, odrobinę czuję się porwana.

Adrien pochylił się lekko. Wzdychając, zacisnął palce na grzbiecie nosa. Szybko się wyprostował, bo znowu zadzwonił mu telefon. Wstał z kanapy i zaczął się przechadzać z nim przy uchu. Staralam się wyłapać, co mówi, ale szeptał, a na pokładzie panowało małe zamieszanie, które generowali jego ludzie – chodzili w tę i w tę, szykując się do startu samolotu.

– Zadzwonię ze Stanów, tato – usłyszałam i wtedy piloci polecili już zająć miejsca. Adrien zrobił to jako ostatni. Odłożył telefon i odchylił głowę, zapiąwszy swój pas.

A potem jeszcze na chwilę się wyprostował, zerknął na moje biodra, jakby sprawdzał, czy i ja zapięłam swój, następnie podniósł wzrok i napotkał moje spojrzenie. Szybko przymknął oczy i ponownie oparł głowę na zagłówku.

Uniosłam brwi, ale tego już nie zobaczył.

Daktyl nie przepadał za startowaniem, więc całą swoją energię włożyłam w uspokojenie go. Smyrałam go za uchem, od czasu do czasu coś do niego mówiłam, ale dużo też wpatrywałam się w chmury, zastanawiając się, co teraz się stanie.

Wytrzymałam tak godzinę. Nie ruszyłam się, gdy osiągnęliśmy odpowiednią wysokość i niektórzy z obecnych na pokładzie poodpinali pasy. Zezując czasem w bok, widziałam, jak załoga Adriana krząta się po samolocie, sięgając do schowków po napoje lub jedzenie. Ktoś miał książkę, ktoś inny przenośną konsolę. Odczułam jeszcze większy dyskomfort, gdy uświadomiłam sobie, że jestem jedyną kobietą na pokładzie.

Adrien pracował, a przynajmniej wyglądał, jakby to robił, pochylając się ze zmarszczonymi brwiami nad laptopem. Przypominał Vincenta, tylko Vince nie przepadał za pracowaniem na kanapie. Wolał siedzieć w fotelu, w odpowiedniej do tego pozycji.

Na początku założyłam, że cały lot spędzę, siedząc nieruchomo i w milczeniu, żeby w ten subtelny sposób wyrazić swój sprzeciw wobec takiego traktowania, ale wkrótce Daktyl zaczął się wiercić, załoga Adriana irytująco szeleściła papierami, z których odwijali prowiant, a Danilo wyjątkowo głośno przełknął ślinę.

No i ja sama zaczęłam czuć suchość w ustach.

Wtedy odchrząknęłam po raz drugi.

Jedynie Danilo i ochroniarz Vincenta zwrócili na mnie uwagę, więc jeszcze intensywniej świdrując Adriana wzrokiem, odchrząknęłam po raz trzeci.

Santan podniósł głowę znad laptopa. Przez chwilę, nieprzyzwyczajonego do tego, żeby ktoś w tak mało elegancki sposób ściągał na siebie jego uwagę, wyglądał na zdeorientowanego.

– Mój kot jest spragniony – oznajmiłam, poprawiając sobie Daktyla w kolanach.

– Czuj się jak u siebie w domu, Hailie Monet – odparł, machnąwszy dłonią w stronę schowków.

Z powrotem wlepił wzrok w ekran laptopa, ale czułam, że chyba obserwuje mnie kątem oka, gdy odpięłam pas, podniosłam się z fotela i ruszyłam we wskazanym kierunku.

Nie skomentował, gdy rozdałam butelki wody i robione na zamówienie kanapki z jego zapasów swoim ochroniarzom. Nie oponował, jak wybrałam najładniejszą miskę, by władować do niej puszkę mokrej kocięj karmy, których kilka złapałam przed wyjściem.

Postawiłam Daktyla na ziemi, a wtedy on miauknął, jakby protestował przeciwko zostawieniu go samego. Samolot musiał wpaść w jakąś turbulencję, bo zatrzęsł się dość mocno, aż się zachwiałam. Kot też zakołysał się na łapach, rozglądając się po obcym otoczeniu z przestrawieniem. Musiałam mu przyznać, że kabina prywatnego odrzutowca Adriana przyprawiała o gęsią skórę. Ociekała luksusem i była obita ciemną skórą – nie jasną jak wnętrza samolotów braci Monet, co tworzyło nieco upiorny klimat i sprawiało wrażenie, jakby zaprojektowano ją dla jakiegoś lubiącego elegancję wampira.

Kucałam, głaszcząc Daktyla i rozglądając się po pokładzie. Po chwili mój wzrok znowu padł na Adriena i wpatrywałam się w niego tak długo, aż sprowokowałam jego reakcję.

– Słucham, czy chcesz coś powiedzieć? – zapytał, unosząc brew.

– Lecimy do Stanów, prawda?

– Prosto do naszej pięknej, chłodnej Pensylwanii – potwierdził uprzejmie.

– I Vincent o tym wie?

– Jestem pewny, że powita nas już w momencie, gdy koła samolotu dotkną ziemi.

Pokiwałam głową, czując ulgę.

– I... – zahałam się, nie chcąc zabrzmieć głupio. Wyprostowałam rąbek spódnicy na udzie, zanim dokończyłam: – Pozwolisz mi wrócić z nim do domu?

– Na litość boską, przecież cię nie uprowadziłem – powiedział z niedowierzaniem.

– Gdyby tak było, wracałabym do Stanów własnym samolotem – prychnęłam, dłoń na udzie zaciskając w pięść.

– Dwa prywatne samoloty lecące w tym samym czasie w to samo miejsce to nieposzanowanie matki natury.

– Staram się dbać o środowisko nie mniej niż o własne zdrowie psychiczne – warknęłam, marszcząc brwi.

Adrien odłożył laptopa na bok.

– Nie dzieje ci się krzywda – zauważył.

– Czuję się niekomfortowo.

– Cóż, poprosiłem cię, żebyś czuła się swobodnie.

– Skoro mnie nie porywasz, to dlaczego tutaj jestem? – zapytałam, tak przejęta rozmową, że przestałam głaskać Daktyla, jednak wygłodniały kot nawet tego nie zauważył, zajęty pałaszowaniem. – I nie mów mi o ekologii.

Adrien łypnął na mnie, ciągle trzymając żarty na wodzy.

– Jesteś, Hailie Monet, moją kartą przetargową.

– Kartą przetargową! – zachnęłam się.

– Wybacz ten dobór słów. Zgadzam się, że zabrzmiało to przedmiotowo. Prawda jest taka, że potrzebuję jak najszybciej zamienić kilka słów z Vincentem, a on obecnie nie jest chętny do rozmów. Wybryk Camdena Moneta zaskoczył wszystkich, jego też, wnioskuje po tym, jak odmawia w tym momencie spotkań. Wyobrażam sobie, że zawsze chłodno wszystko analizujący Vincent jest w trakcie tworzenia strategii

radzenia sobie z obecną sytuacją i tego, jak przedstawi ją członkom Organizacji w niedalekiej przyszłości. Ja jednak się niecierpliwie i chciałbym dowiedzieć się, co ma do powiedzenia, zanim wszystko sobie mądrze poukłada. A ty, Hailie Monet, jesteś moją gwarancją na to, że Vincent potraktuje moją propozycję spotkania priorytetowo w swoim zapełnionym grafiku.

– Chcesz porozmawiać z Vincentem i po to to wszystko? – jęknęłam z niedowierzaniem. Wciąż kucając, ukryłam twarz w dłoniach, załamana tym tokiem myślenia. – Dlaczego zawsze muszę zostać wmieszana w takie idiotyczne gierki?

– Myślę, że po tylu latach znasz odpowiedź. – Adrien wzruszył ramionami. – W każdym razie, nie porywam cię ani nie zamierzam robić ci krzywdy. Potraktuj to jako podwózkę do domu. Oszczędzisz na paliwie do swojego odrzutowca.

Puściłam jego ostatnie słowa mimo uszu. Ponownie zaczęłam głaskać Daktyla, nieco uspokojona, że Adrien nie zamierza mnie uprowadzić ani wszczynać żadnych walk z moimi braćmi. A przynajmniej się na to nie zapowiada. Doszłam do wniosku, że muszę po prostu przeżyć ten lot, a wszystko będzie dobrze.

– Nie omieszkam ci wytknąć, droga Hailie Monet – odezwał się nagle Santan, a ja skierowałam na niego zamyślony wzrok – że w zaistniałej sytuacji powrót do twojego apartamentu był wyjątkowo niemądrym posunięciem. Mogłaś wpaść na kogoś mniej uprzejmego niż ja. Twój ojciec namieszał i nie każdy ma cierpliwość, by biernie przyglądać się jego występkom.

– Wróciłam po kota, przecież wiesz – odmruknęłam, unikając jego osądającego spojrzenia.

– Jedno twoje słowo, a Vincent wysłałby po niego uzbrojoną armię.

– Tylko jeśli to słowo dotarłoby do niego na czas – zauważyłam cierpko.

Adrien przechylił lekko głowę. Ze wszystkich osób na pokładzie z pewnością czuł się najswobodniej. Zajmował dużo miejsca na kanapie, jednak nie siedział na niej rozwalony. Zabierając przestrzeń i pokazując w ten sposób, kto tu rządzi, nie tracił klasy.

– Twój kot nie przetrwałby rozłąki?

Daktyl mlasnął wyjątkowo głośno, a ja zerknęłam na jego mały puszysty łebek i zacisnęłam usta. Pogłaskałam go znowu, aż wreszcie cmoknęłam i zwróciłam się do Adriena, nagle też podnosząc się na równe nogi.

– Nie wiem. Po południu wyszłam z domu, miałam wrócić chwilę po północy. Nagle okazało się, że wrócić nie mogę. Przecież nie mogłam pozwolić, by zostawić go samego na ponad dobę. Vincent nie był osiągalny, a lot do Stanów to kolejne dziewięć godzin w powietrzu. Przepraszam bardzo, ale nie będę ryzykowała życia swojego kota, nie będąc pewna, czy na czas zapewnię mu opiekę. Jakże mogłabym? Założyć, że może przeżyje, a może nie? Może starczy mu wody, a może nie? Może będzie słaby i straci przytomność, a może będzie się miał dobrze? – Patrzyłam w zainteresowane oczy Adriena, dodając spokojniej: – A co, jeśli ktoś przyszedłby szukać mnie, napatoczyłby się na mojego kota i go zabrał? Albo zamordował? – Zerknęłam w dół na Daktyla, który stroszył uszy, jakby słuchał mojego wyводу, i nawet przelotnie na mnie spojrzął znad miski, jednak szybko z powrotem się na niej skupił. – Ten kot to członek mojej rodziny, nie zostawiłabym go. Weszłabym za nim w ogień, tak jak i za swoimi braćmi. I nie będę się z tego spowiadać – zakończyłam uroczyście, biorąc głęboki wdech, a Adrien mnie obserwował i kącik moich ust, po raz pierwszy, odkąd dziś na niego wpadłam, lekko się uniósł.

– Emocjonująca przemowa, Hailie Monet – uznał. – Coś mi się wydaje, że nie została przygotowana dla mnie.

Odetchnęłam znowu.

– Ułożyłam ją w głowie dla Vincenta, gdy będzie mnie świdrował tymi swoimi oczami – przyznałam cicho.

– Powodzenia zatem. Przez telefon nie wydawał się zadowolony.

– Może był średnio zachwycony tym, że porwałś mu siostrę?

– Nie zrobiłem tego.

Prychnęłam pod nosem.

– A co do twojego kota, to rozumiem cię, szanuję twoją empatię, Hailie Monet, i nie oceniam – wyznał z powagą. – Też wróciłbym po swoje psy.

Adrien z powrotem sięgnął po laptopa i utkwił w nim spojrzenie, a ja patrzyłam na niego jeszcze przez chwilę, zaskoczona jego wyznaniem.

Samolotem znowu zatrzęsło, co zmotywowało mnie, by powoli znowu kucnąć. Łatwiej było mi tak złapać równowagę. Zamyślona wyciągnęłam też dłoń, by przejechać nią po grzbiecie Daktyla.

Wracałam na swoje miejsce z najedzonym i uszczęśliwionym kotem przy piersi, gdy samolotem rzuciło po raz kolejny. Tym razem turbulencje były znacznie silniejsze,

przez co straciłam równowagę i nie odzyskałam jej już tak łatwo jak wcześniej.

Akurat przechodziłam obok kanapy. Przez zajęte ręce nie miałam jak się podeprzeć. Daktyl czmychnął z moich ramion z głośnym miauknięciem, gdy już było dla mnie za późno.

Padłam na Santana.

Palce zacisnęłam na jego drogiej marynarce, by się ustabilizować choć trochę, mimo że i tak opadłam na niego niczym kołdra. Jego laptop prawie się zamknął i zsunął gdzieś na bok, wbijając się pod moje żebro.

Zakłęłam cicho, kiedy uświadomiłam sobie, że ze wszystkich osób na pokładzie wyładowałam akurat na tym mężczyźnie. Uderzyłam się lekko w ramię i brzuch, zabolą mnie też kostka, która wykręciła się przy upadku. Zadrżałam, kiedy poczułam pod sobą twarde ciało Adriena – chyba wstrzymał oddech, bo było nieruchome jak z kamienia. Włosy weszły mi do oczu i niewiele widziałam – docierał do mnie tylko zapach jego wody kolońskiej, wyrazisty dla mnie jak nigdy wcześniej.

Pokracznym ruchem odczepiłam palce jednej ręki od jego ubrania i odgarnęłam kosmyki za ucho, a wtedy moje oczy napotkały jego.

Tęczówki Adriena były jak gar wypełniony płynną mleczną czekoladą, która mieszała się z jej gorzką, ciemniejszą odmianą oraz jakimś złocistym dodatkiem, jak karmel lub miód. Łatwo było w nich utonąć, przepaść bez ratunku, i to był pierwszy raz, gdy brakło mi słów i argumentów, by temu zaprzeczyć.

Patrzyłam w te oczy, bardzo już bliska przełknięcia śliny, gdyby nie to, że Adrien szybko przerwał to połączenie...

...zrzucając mnie z siebie.

– Auć! – jęknęłam, poleciawszy na kanapę.

Użył wystarczająco dużo siły, bym wypuściła z palców materiał jego marynarki, ale nie był przy tym brutalny – bardziej to wyglądało, jakby odłożył mnie na bok. Zdecydowanie i niezbyt delikatnie, ale nie agresywnie.

Nie zdążyłam do końca się pozbierać, a on już stał nade mną, poblady na twarzy.

– Dystans, Hailie Monet – syknął ze złością.

Aż zmusiłam się, by dźwignąć się na rękach i unieść głowę, żeby posłać mu spojrzenie godne największego idioty.

– Upadłam przecież! – warknęłam.

Adrien wypuścił powietrze przez nos, wwiercając we mnie wściekłe spojrzenie. Zdenerwował mnie tym tak, że od razu odechciało mi się już porównywać jego oczy do czekolady. Teraz były dla mnie co najwyżej jak mocno zarumienione, przypalone w niektórych miejscach dwa tosty z ciemnego chleba.

Nie mógł się ze mną kłócić, przecież mówiłam prawdę – nie planowałam padać mu w ramiona. Dlatego też nie wyrzucał mi już nic więcej, a tylko rzucił szybkie spojrzenie na twarze moich ochroniarzy, analizując ich nastroje. Ci poprawili się w swoich fotelach, napinając ciała w trybie gotowości i łypiąc na Adriena wrogo oraz podejrzliwie.

Podniosłam się jeszcze wyżej, masując sobie skroń.

Rany, co za cyrk.



Gratulacje – odezwałem się, podchodząc do Hailie Monet.

Stała tyłem, ale poznałem ją po ładnej, długiej sukni. Jej materiał pokrywały cekiny, które mieniły się jasnym różem, błękitem i żółcią. W jej długich pofalowanych włosach brakowało tylko diademu.

Panie i panowie, księżniczka Monet.

Wiedziałem, że to ona, również dlatego, że Grace dostrzegła ją wcześniej i zdążyła już skrytykować jej brak gustu.

Dziewczyna odwróciła się i zarejestrowała moją obecność na bankiecie swojej rodziny bez specjalnego zaskoczenia. Dawno jej nie widziałem, bo głośno było o tym, że Perełka Monetów po ostatnich dramatycznych wydarzeniach skryła się w cieniu. Nie bywała na takich imprezach. Tym bardziej czułem zadowolenie, że mogę ją tutaj dziś spotkać, gdy zdawała się być w tak dobrej kondycji. Trochę dojrzała, ale nie wyzbyła się swojej delikatności. Jedynie kruchość, którą pamiętam z czasów, gdy odwiedziłem ją w szpitalu z bukietem różowych stokrotek, zastąpiła siłą.

Miły to był widok.

Uśmiechała się, oczy błyszczały jej szczęściem nie mniej intensywnie niż sukienka. Nie drżała ze strachu, nie była blada ani nie wzdrygała się lękliwie, bojąc się swojego cienia.

A na rękach... trzymała dziecko.

– O, nie wiedziałem, że zostałeś mamą – skomentowałem z drwiną. Sprawdziłem, czy da się z nią pożartować jak za dawnych czasów.

– Dlatego nie chodziłam na bankiety – odpowiedziała. – Nie chciałam paradować z brzuchem.

Uśmiechnąłem się. Porwanie Hailie Monet to rzecz, która wstrząsnęła wszystkimi. Żał mi było tej dziewczyny, gdy patrzyłem na nią, jak leżała na łóżku szpitalnym przygnieciona traumatycznymi wydarzeniami. Jak dobrze, że udało jej się stanąć na nogi i poczuć się lepiej.

– Chciałem ci pogratulować ukończenia szkoły – powiedziałem.

– Tylko ty wiesz, że w ostatnim roku nie za wiele się do niej nachodziłam? – odparła, poprawiając sobie dziewczynkę na biodrze. Mała blondyneczka, córka Vincenta, kolejne oczko w głowie rodziny Monet. – Uczyłam się w domu.

– W niczym to nie umniejsza zakończenia etapu edukacji.

Hailie Monet odwzajemniła lekki uśmiech.

– W takim razie dziękuję.

– Jak się czujesz? – zapytałem, poważniejąc. To nie moje miejsce, by badać jej psychikę, ale uznałem, że wypada zadać to pytanie.

– Dobrze – odparła, jedną dłonią pieszczotliwie odgarniając włosy z twarzy dziewczynki. Mała Lissy Monet na przemian szczerzyła się do mnie, a potem chowała w zgięciu szyi swojej cioci i rzucała mi podejrzliwe spojrzenia. Zupełnie jakby wychodziła z niej na przemian osobowość po ojcu i po matce. – To był dobry rok.

– Jakie plany na teraz? – zagadnąłem. – Przejęcie rodzinnego biznesu?

Ta dziewczyna była tak silna, że to tylko w połowie był żart. Rzadko odczuwałem podziw. Kto by pomyślał, że ze wszystkich Monetów to akurat ona zdobędzie u mnie najwięcej szacunku.

– Nie ciągnie mnie do tego waszego biznesu – odpowiedziała, ale i rozpromieniła się jeszcze bardziej. – Myślę o studiach. Za granicą. Może we Francji lub Hiszpanii... Tylko nie wiem, czy to się uda.

– Vincent nie pozwoli? – parsknąłem.

– Vince wesprze mnie w każdej decyzji – odparła nieco bojowo, po czym odrobinę się wyluzowała i wzruszyła ramionami. – Tu chodzi bardziej o mnie. Fajnie byłoby wyjechać, tylko... – Zerknęła na mnie uważnie, jakby się zastanawiała, ile może i chce mi powiedzieć. – Trochę się tylko boję.

– Bycia z dala od rodziny? – zgadywałem, zerkając na dziecko. Nie sądziłem, że ktoś tak blisko spokrewniony z Vincentem, dziedziczący tyle jego genów, mógłby być tak uroczy, ale ta dziewczynka sprawiła, że zmieniłem zdanie. Mogło to też być dlatego, że dotychczas nie miałem za wiele kontaktu z dziećmi. Te mojej siostry, Keiry, też są słodkie, jednak nie widywałem ich często. Z zainteresowaniem obserwowałem tę pucołowatą buzię Lissy Monet, zastanawiając się, jakie to uczucie trzymać takiego małego człowieka w ramionach.

– Zawsze będę blisko nich. – Hailie Monet znowu wzruszyła ramionami. – Są wszędzie.

Uniosłem kącik ust.

– Nie wiem... – kontynuowała, trochę zamyślona. Widać, temat ten był bardzo aktualny w jej życiu i ciągle na nowo przerabiany w jej głowie. – Myślę, że ostatecznie wyląduję gdzieś na uniwersytecie w Stanach. Vincent już przyszedł do mnie z całą listą najlepszych uczelni. – Tutaj uśmiechnęła się krzywo.

– Najlepsze uczelnie są nudne – odparłem. – Coś o tym wiem.

Uniosła brew.

– Uczelnie w Europie są ciekawsze?

– Przeprowadzka do Europy brzmi jak coś szalonego – odparłem i popatrzyłem prosto w jej ciemne, mądre oczy. – Bądź szalona, Hailie Monet. Należy ci się.

Zamrugła i zastygła, nie przerywając ze mną kontaktu wzrokowego, nawet gdy córka Vincenta zaczęła się nudzić i ciągnąć ją za włosy. Dopiero po chwili drgnęła, złapała dziewczynkę za rączkę i pokręciła do niej głową. Między jej brwiami wciąż jednak znajdowała się delikatna, pionowa kreska.

Jeśli za jakiś czas usłyszę, że Hailie Monet wyjechała na studia do Europy, już teraz wiem, że nie będę potrafił powstrzymać uśmiechu.

– No dobrze, Hailie Monet – odezwałem się, kątem oka dostrzegając przemykającego gdzieś szybkim, zdecydowanym krokiem Vincenta. Wypadało mi się z nim przywitać, dlatego złożyłem ręce i skinąłem głową. – Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć ci powodzenia.

Uniosłem kieliszek, o którym na moment zapomniałem.

– Dziękuję, Adrien – odparła, a gdy dziewczynka pociągnęła ją tym razem za łańcuszek, Hailie Monet ucałowała ją w policzek i zwróciła się do niej: – Oj, zaczynasz się nudzić, hm? Chyba pójdziemy poszukać mamy.

Dziecko pokiwało ochoczo głową, a ja parsknąłem, bo z jakiegoś powodu cała ta scenka była wyjątkowo słodko-rozkoszna.

– Do zobaczenia – rzuciła do mnie Hailie Monet, rzucając mi ostatni, wesoły uśmiech.

Odeszła, tuląc do siebie dziewczynkę, chichocąc z nią i coś tam do niej gruchając.

Zapatrzyłem się, naprawdę pod wrażeniem samego siebie.

Naprawdę szczerze odczuwałem ulgę, że ta dziewczyna wyszła na prostą.

Potrafi się uśmiechać.

Dopiero po chwili wyrwałem się z zadumy, otrząsnąłem się i zanim przechyliłem kieliszek białego wina, powiedziałem cicho:

– Do zobaczenia, Hailie Monet.



21

DWA MINUSY DAJĄ PLUS

Adrien tak się zagotował, że przechodząc na tyły samolotu, prawie zerwał z siebie marynarkę, pod którą miał białą koszulę. Patrzyłam chwilę za nim, nie dowierzając jego zachowaniu. Nie miałam ochoty się nad nim roztkliwiać, więc przestałam się za nim oglądać i skupiłam się na sobie.

– Pani Monet, jest pani cała? – zapytał Danilo, pojawiając się przy moim boku. Wyciągnął nawet do mnie dłoń, którą ujęłam z wdzięcznością.

– Tak, tylko... straciłam równowagę – mruknęłam, rozglądając się za Daktylem. Uciekł gdzieś w kąt.

– Pomogę się pani podnieść. Zechce pani wrócić na miejsce? – zaoferował mój ochroniarz.

Przyjęłam jego wsparcie i dumnie unosząc głowę, ostrożnie wstałam i dotarłam do swojego fotela. Liczyłam, że ból po upadku to tylko chwilowy dyskomfort, więc jedynie skrzywiłam się, ale odmówiłam proponowanej przez Danilo dalszej pomocy.

Ochroniarz Vince'a miał spuszczoną głowę i masował sobie czoło, ewidentnie załamany całokształtem obecnej sytuacji. Danilo też był spięty, ale znał mnie lepiej, toteż na nic nie nalegał, tylko zajął swoje miejsce obok, dyskretnie mnie obserwując.

Daktyl przydreptał do mnie i stanął przy mojej stopie. Zadarł głowę i czekał cierpliwie, aż wyciągnę do niego ręce. Gdy przytuliłam go do piersi, mój pełen niechęci wzrok padł na laptop Adriena, który leżał przewrócony na kanapie. Niedługo trzeba było czekać, aż facet po niego przyszedł.

Adrien ochłonął, bo wyglądał już normalnie, gdy wrócił na przód kabiny. Został w koszuli i jedną dłonią układając sobie włosy, sięgnął po komputer. Stanął z nim w ręku niedaleko mnie i niby w nim grzebał, ale czułam intuicyjnie, że trochę się jednak czai.

Gdy trwało to za długo, przestałam udawać, że go ignoruję. Łypnęłam na niego z niechęcią, a wtedy on w końcu zwrócił na mnie swoją uwagę.

– Nie zrobiłaś sobie krzywdy? – zapytał, odchrząknawszy.

Zmrużyłam powieki.

– Gdy upadłam, nie, ale kiedy rzuciłeś mną o...

– Przeinaczasz fakty, odsunąłem cię tylko na bok.

– Nie jestem krzesłem, żebyś mnie sobie przesuwiał na b...

Adrien już w połowie mojej wypowiedzi uniósł dłoń.

– W porządku, źle dobrałem słowa. Musiałem... sprawić, żebyś... przestała... znajdować się na... mnie. – Adrien przymykał powieki, z wysiłkiem dobierając właściwe słowa. Normalnie by mnie to rozbawiło, bo to, co dukał, wciąż brzmiało głupio, ale teraz byłam nim zbyt poirytowana.

– To była kwestia sekund! Sama bym wstała. To nie tak, że zamierzałam leżeć na tobie przez całą podróż.

– Moja wina, Hailie Monet. W Organizacji nie ma wielu zasad, więc tych kilku, które istnieją, wypada przestrzegać. Przyznaję, zareagowałem impulsywnie. – Jego spokojny, aksamitny głos dźwięczał mi w uszach. Lubiłam to, że potrafi przeprosić w sposób szczerzy i niewymuszony. Niepokojące były tylko te jego oczy, które znowu zaczęły przypominać płynną czekoladę. A teraz na dodatek wpatrywały się we mnie przenikliwie. – Nie zraniłaś się?

– Tylko mocno posiniaczyłam – burknęłam, celowo wyolbrzymiając.

Adrien przejechał sobie wolną ręką po włosach.

– Jak mocno? Czy potrzebujesz apteczki? Ty – wskazał palcem na jednego ze swoich ludzi, młodego mężczyznę z dużym bicipsem i zadatkami na goryla, który czytał książkę, od czasu do czasu zerkając w naszą stronę – przynieś apteczkę.

– Po co mi apteczka? – zdumiałam się, widząc, jak mężczyzna posłusznie podnosi się z miejsca.

– Mamy tam na pewno jakąś maść – wyjaśnił Adrien. – Otwórz ją.

Mężczyzna przytargał średnich rozmiarów kuferek, w którym zgodnie z poleceniem zaczął grzebać ze skupioną miną.

– Szukaj czegoś na siniaki, stłuczenia czy jakieś, nie wiem, do cholery, otarcia.

– Nie potrzebuję żadnej głupiej maści, daj sobie spokój – powiedziałam, obserwując Santana z nieskrywanym zdziwieniem, bowiem mimo że byłam przyzwyczajona do podobnej nadopiekuńczości ze strony braci, u Adriena była ona szokująca.

Moje zdumienie nie uszło jego uwadze, bo zacisnął na chwilę usta, po czym rzekł:

– Potrzebuję cię w jednym kawalku, Hailie Monet. Nie chciałbym dawać Vincentowi niepotrzebnych powodów do gniewu, a jestem pewien, że byle zadrapanie na twojej skórze mogłoby podnieść mu ciśnienie.

– Zgadza się – potwierdziłam. – Dlatego trzeba było nie ryzykować i mnie nie porywać.

– Ja ciebie nie porwałem – wycedził wolno, zacisnął palce na laptopie i wrócił na tyły samolotu, rzucając przez ramię do ochroniarza, by przekazał mi to, co wyłowi z apteczki.

Więcej z Adrienem nie zamieniłam słowa podczas tej podróży. Nie drwił ze mnie, nawet gdy próbowałam stworzyć prowizoryczną kuwetę dla Daktyła. Pozostał na tyłach samolotu i tylko kilka razy wysłał kogoś, by przyniósł mu coś z bufetu. Nie wiem, co tam robił, prawdopodobnie pracował, ale pilnowałam, by się nie odwracać i na niego nie patrzeć.

Lot odrzutowcem Santana nie był najgorszy; oczywiście wolałam swój własny, ale nie mogłam marudzić na wygodne fotele i bogaty wybór herbat.

Jak zapowiedział Adrien, Pensylwania przywitała nas chłodem. Samolot wylądował na nieznanym mi niewielkim lotnisku. Ustawiłam się do wyjścia jako pierwsza, wypatrując dyskretnie Vincenta przez małe okna. Wtedy z przodu pojawił się Adrien, który kazał mi się odsunąć i najpierw wypuścił kilku swoich ludzi. Przez otwarte drzwi samolotu wtargnęło do środka zimno. Nasz stan nie miał tyle litości, co raczej słoneczna Barcelona, i zadrżałam, obejmując Daktyła mocniej.

Stawiałam niepewne kroki na schodach, jednocześnie starając się nie wywrócić, nie pozwolić, by zdmuchnął mnie wiatr, i nie przegapić swojego najstarszego brata. Udało mi się dopilnować wszystkich wymienionych rzeczy, choć rozkojarzyłam się, gdy mój wzrok padł na Vincenta.

Nie oglądając się za siebie, ruszyłam szybkim krokiem w jego stronę. Nikt mnie nie zatrzymywał.

Vincent stał przy samym krańcu pasa startowego. Dłonie trzymał w kieszeniach czarnego płaszcza, który był zbyt ciężki, by powiewać na wietrze. Twarz miał skupioną, bladą i patrząc na mnie, marszczył brwi, przez co wcale nie wyglądał na ucieszonego na mój widok, ale gdy znajdowałam się już bardzo blisko, wyciągnął do mnie ręce i pozwolił mi wpaść w swoje ramiona.

Daktyl poruszył się niespokojnie, zapewne w obawie przez zgnieceniem. Vincent nie raczył oszczędzić mu lodowatego spojrzenia, jakby obwiniał mojego kota o pokrzyżowanie mu planów.

Vince również mnie objął, a nawet przytulił, i za każdym razem, gdy to robił (co zdarzało się bardzo rzadko) przypominał mi, jak bardzo lubię to poczucie bezpieczeństwa, które mi dawał. Chyba nigdy miało się to nie zmienić – ramiona Vincenta były dla mnie synonimem największej stabilności w życiu. Tylko jedna osoba na świecie potrafiła go w tym przebić i była to moja nieżyjąca mama.

– Drogie dziecko, coś ty sobie myślała? – zapytał cicho, z widocznym wyrzutem próbując mi spojrzeć w oczy.

Wymownie poprawiłam sobie Daktyla w ramionach.

– Przepraszam.

– Jeszcze sobie o tym porozmawiamy – zapowiedział surowo.

– Tak jest. – Skinęłam potulnie głową.

– Jak lot? – Pytanie to na ogół zadawane jest luźnym tonem, jednak nigdy nie brzmi tak w ustach Vince'a. Uważnie świdrował mnie spojrzeniem, czekając na choćby jedną skargę, by się jej ucześcić i na jej podstawie rozpętać z Adrienem wojnę.

– D-dłużył się. – Wzruszyłam ramionami.

– Nikt nie przekroczył twoich granic?

Nie wiem, jak ja kiedyś byłam w stanie znieść to chłodne spojrzenie Vincenta, skoro teraz, po tylu latach, gdy znałam go już tak dobrze, ono wciąż wprawiało mnie w dyskomfort.

– Nie – szepnęłam.

Skinął głową i gdy zadrżałam pod wpływem kolejnego podmuchu wiatru, sprawnym ruchem zdjął swój płaszcz i narzucił mi go na ramiona, zanim zdążyłam mruknąć, że nie trzeba.

– Idź do samochodu – polecił, wskazując na jeden z kilku wielkich, podwyższonych czarnych aut. Stały wszystkie blisko hangaru i już na pierwszy rzut oka potrafiłam powiedzieć, że niektóre należały do ekipy Adriena, a inne do Monetów.

Vince lekko mnie popchnął, nakierowując w odpowiednią stronę. Poczekał, aż będę w połowie drogi, i dopiero wtedy sam ruszył na konfrontację z Adrieniem. Santan, który został przy samolocie, zakładał właśnie rękawiczki, mówiąc coś do kogoś i zerkając dyskretnie w naszym kierunku. Przywitali się, gdy Vince do niego podszedł. Wkoło kręciło się mnóstwo facetów, którzy, tak jak i auta, należeli do różnych drużyn. Trochę to było abstrakcyjne i idiotyczne jak dla mnie. Takie robienie szopki z głupiego spotkania. Możliwe, że to właśnie między innymi przez takie dziwactwa Organizacja wzbudzała jeszcze większy niepokój.

Moje pierwsze spotkanie z Vince'em przebiegło w łagodniejszej atmosferze, niż się spodziewałam. Przytulił mnie, martwił się o mnie i nawet nie wyglądał na zbyt zagniewanego, bo miejsce w jego sercu zarezerwowane dla złości zajęła ulga, że nic mi się nie stało.

Było prawdopodobne, że bliźniacy nie dzielą jego spokoju.

Ledwo zbliżyłam się do wskazanego samochodu, a jego drzwi się otworzyły i z tylnego siedzenia swoją rozczochraną głowę wytknął Shane. Nie zdołałam się wystarczająco szczelnie opatulić płaszczem Vince'a, bo wciąż trzymałam Daktyla, dlatego lekko marzłam, ale wolałabym chyba zostać na zewnątrz niż siadać obok zdenerwowanego Shane'a. Niestety nikt nie pozostawił mi wyboru, dlatego wzdychając ciężko, wgramoliłam się do wnętrza eleganckiego wozu.

Było tu absurdalnie dużo miejsca, którego nawet bliźniacy, rozkładając się na siedzeniach jak królewicze, nie zdołali w całości zająć. Usadawiłam się z Daktylem na fotelu, który znajdował się naprzeciwko moich braci, i od razu poczułam ciężar ich oskarżycielskich spojrzeń.

– Nie po to daliśmy ci kota, żebyś teraz narażała dla niego swoje życie – zaczął Shane, nie siląc się na powitanie.

Objęłam Daktyla jeszcze mocniej.

– Co to miało być? – warknął Tony z niechęcią.

Nie odwracając wzroku od braci, ucałowałam miękkie uszko kota.

– E, mówi się do ciebie! – Shane walnął ręką w drzwi po swojej stronie.

Kociak drgnął, a ja wzniosłam oczy do obitego skórą sufitu.

– Przecież logiczne, że nie zostawiłabym Daktyla w domu, o co wam chodzi?

– O to, że nic a nic nie zmądrzałaś, mała Hailie – prychnął Shane. – Nadal nie słuchasz poleceń, poświęcasz się jak męczennica i podejmujesz kretyńskie decyzje.

– Dobrze, że ty tak wielce zmądrzałaś.

– Jest głupi – przyznał Tony i zaraz dodał pod moim adresem: – Ale najwyraźniej wciąż mądrzejszy niż ty.

Nie miałam ochoty na słowne przepychanki, ale bliźniacy wcale nie brali mojego zdania pod uwagę, dlatego rzuciłam im wrogie spojrzenie i odpyskowałam:

– A wy... wy obaj jesteście tak samo głupi.

– Ty wciąż głupsza.

Zmrużyłam powieki.

– Wy jesteście głupszi na minusie.

– A ty na dwóch.

– Dwa minusy dają plus. – Posłałam im cierpki uśmiech.

Shane zmarszczył brwi, a Tony szturchnął mnie stopą.

– Zostaw mnie.

Znowu mnie szturchnął.

– Przestań no.

I znowu.

Oddałam mu, z tym że ja kopnęłam go w kostkę.

Następnie Tony szturchnął mnie swoim sportowym butem mocniej, więc i ja kopnęłam go z jeszcze większą siłą, a wtedy on cmoknął z niezadowoleniem i wyciągnął się bardziej, by mnie dosięgnąć, a ja w takim układzie odłożyłam Daktyla na bok i też się wychyliłam. Zaczęliśmy się szarpać.

Przestrzeń w samochodzie nagle przestała wydawać się taka wielka. Przestraszony Daktyl wcisnął się w oparcie fotela, a ja rzuciłam się na Tony'ego. Płaszcz Vince'a zsunął mi się z ramion. Wbiłam paznokcie w okolice szyi brata, rysując jego tatuaże. Krzyknęłam, gdy w odwecie pociągnął mnie za moje długie i poplątane po podróży włosy.

Shane nie kwapił się, żeby nas rozdzielić, tylko kontynuował swój wykład na temat mojej lekkomyślności, starając się mówić na tyle głośno, by nie zagłuszyły go odgłosy naszej walki.

Dopiero głośne trzaśnięcie sprawiło, że zamilkliśmy i zastygliśmy w bezruchu. Drzwi od strony Shane'a były otwarte i do środka zaglądał Vincent. Wcześniej przez chwilę na jego twarzy malowało się niedowierzanie, które po chwili zastąpiła irytacja. To on uderzył dłonią o dach samochodu, żebyśmy przestali się szarpać.

– Co wy macie w tych głowach? – zapytał cicho i złowrogo. – Moje dzieci się lepiej zachowują niż wy. Siadajcie na miejsca i zapinajcie pasy, w tej chwili.

Każde z nas wykonało polecenie Vince'a powoli, ale bez dyskusji. Wycofałam się na swój fotel, odgarniając kołtuny, które powstały podczas awantury, na plecy. Modląc się, by umknęło to uwadze naszego najstarszego brata, poprawiłam też jego płaszcz, który ześlizgnął się pod siedzenia.

– Kierowca zabierze was do domu. Żadnych postojów, żadnego odpinania pasów i żadnego awanturowania się, czy to jest dla was jasne?

Pokiwaliśmy głowami. Tony patrzył przez przyciemnianą szybę w bok. Niektórzy ludzie Adriana też powoli pakowali się do swoich aut. Shane wodził palcem po metalowej klamercie pasa, bardzo tą czynnością przejęty, a ja skupiłam się na swoim kocie.

– To nie wracasz z nami? – rzucił Tony, sprawiając wrażenie, jakby odpowiedź go wcale nie obchodziła.

– Mam do wyjaśnienia kilka kwestii z Santanem. Najwyraźniej szykuje się dłuższa rozmowa.

– Potrzebujesz wsparcia? – zapytał Shane.

– Nie waszego. Wy wracacie do domu. Tam się spotkamy – odparł Vince, na koniec jeszcze raz zmroził nas spojrzeniem i odszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Zaraz potem auto ruszyło. Z przodu, obok kierowcy, siedział chyba Danilo. Byłam ciekawa, co stało się z drugim ochroniarzem i czy powinnam jakoś wstawić się za nim u Vincenta. Miałam nadzieję, że mój brat nie będzie rozliczał go z decyzji, które podjął pod moim naciskiem.

W Pensylwanii, którą traktowałam jak swój dom, było popołudnie, ale równie dobrze mógł to być wczesny wieczór, bo niebo było szare i ponure. Przez kilka chwil chłonełam leśne widoki za oknem, a potem przeniosłam wzrok na bliźniaków. Tony

wciąż patrzył gdzieś w bok, jakby obraził się na Vince'a i ciągle chował urazę, a Shane wgapiał się w Daktyla.

Zdecydowałam, że to dobry moment, by przerwać ciszę.

– Co z ojcem?

Shane zerknął na mnie, a Tony tylko wzruszył ramionami.

– Dlaczego uciekł? – drążyłam. – I dokąd?

– Do Meksyku chyba, nie wiemy, gdzie jest w tym momencie. – Teraz to Shane wzruszył ramionami.

– Dlaczego to zrobił? – Nachyliłam się. – Ej, no już, mówcie, co wiecie.

Shane odchylił głowę, wierzchem palca muskając boczną szybę.

– Podobno z jakiegoś powodu planował ucieczkę już od jakiegoś czasu.

– Skąd o tym wiesz? – Uniosłam brwi.

– No teraz jest dużo gadania, nie?

– Wszyscy mieli, co się stało, to słyszy się pogłoski – dodał Tony.

Nachyliłam się jeszcze bardziej, splatając dłonie.

– Chodzi wam o to, że słyszeliście to od Vince'a i Willa?

– Dylan też wie co nieco – mruknął Shane.

– Skoro ojciec planował ucieczkę, to dlaczego, na Lorda, nie zaplanował jej lepiej? Tak żebym nie musiała wracać do Stanów prywatnym samolotem z cholernym Adrienem Santanem? – zezłościłam się.

– Nie, nic nie kumasz – westchnął Shane. – Chodzi o to, że ojciec planował ucieczkę wcześniej, ale zanim ją zaplanował do końca, musiał uciekać.

– Musiał uciekać przed swoją ucieczką? – Zmarszczyłam brwi.

– Ta. – Tony skinął głową, jakby wszystko to było jasne i logiczne.

– Coś mu zagrażało?

– Ktoś mu zagrażał – poprawił mnie Shane.

– Kto?

– Chryste no, Hailie – westchnął Tony, wywracając oczami.

– Co? – oburzyłam się, rzucając mu urażone spojrzenie. – Normalne chyba, że pytam, prawda?

– Ale kumasz, że sami gównie wiemy?

– Poczekaj, aż do niego polecimy, to powie nam więcej – oznajmił Shane.

– Lecimy do niego? – zdumiałam się. – Kiedy?

Bliźniacy wzruszyli ramionami, tym razem jednocześnie.

– Niedługo jakoś.

– Czy... – Zagryzłam wargę z wahaniem. – Czy to nie jest niebezpieczne?

– Ojciec ogarnie to tak, żeby było dobrze.

– Aha – burknęłam i moje plecy opadły na oparcie. Patrząc w okno, dodałam: – W takim razie nie mogę się doczekać, aż go zobaczę.



Nic nie miało mnie tu zaskoczyć.

Obecność na weselu Vincenta Moneta to nudny obowiązek, który należało wypełnić, jak wiele innych rzeczy w życiu.

Ciążące mi teraz powieki to efekt zbyt długiego i ciężkiego porannego treningu. Prawie przespałem moment, gdy para młoda składała sobie przysięgę. Nie żeby mi jakoś bardzo zależało, by być świadkiem tej chwili.

Siedziałem na szarym końcu, wśród innych członków Organizacji, i tak jak oni udawałem, że uprzejmie i z uwagą śledzę przebieg ceremonii.

Ożywiłem się na chwilę, gdy wraz z obstawą pojawił się Camden Monet. Że też mu nie wstyd paradować publicznie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Jednocześnie nie powinienem być zaskoczony. Ojciec Vincenta Moneta, znany ze swojej rodzinności, nie przegapiłby wesela najstarszego syna.

Camden wyglądał dobrze. Postarzał się od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni, ale jego spojrzenie wciąż było bystre. Vincent w dalszym ciągu mógł liczyć na pomoc swojego doświadczonego ojca w biznesie. To ważna informacja dla członków Organizacji.

Potarłem powieki. Marzyłem o tym, by iść do domu. Kilka razy mimowolnie zerknąłem niecierpliwie na zegarek. Doszło do tego, że nawet ponaglałem w myślach biedne dziecko, które niosło młodym obrączki.

– Nuda, co? – mruknęła Grace.

Siedziała obok z wysoko uniesionym podbródkiem. Obserwowała ołtarz bez specjalnego zainteresowania, choć oczy miała lekko zmrużone i zgadywałem, że ciska spod powiek gromami w stronę świeżo upieczonej żony Vincenta.

– Nie powinnaś pograżać się w rozpacz? – odszepnąłem do niej. Każda okazja do dokuczenia Grace była dobra. – Miałaś być na jej miejscu.

– Rzygać mi się chce na samą myśl – prychnęła, ściągnając krwistoczerwone usta. Zaśmiałem się cicho i miałem nadzieję, że nieprzesadnie złośliwie.

Moja partnerka, którą zaprosiłem ze sobą na wesele, a która siedziała po mojej drugiej stronie, zerknęła na mnie. Przyznaję, nie okazywałem jej zbyt dużo uwagi, a także przez cały dzień czułem się zmęczony, a więc nie grzeszyłem rozrywkowością. To dlatego zainteresowała się tą zmianą nastroju, niestety dla niej bardzo krótkotrwałą.

– No wreszcie, stary kawalerze! Koniec łajdaczenia się.

Uniosłem wzrok, nagle rozbudzony. Dylan Monet właśnie rąbnął pana młodego w plecy.

Parsknąłem pod nosem.

Ceremonia się skończyła i gości zaproszono do sali, w której miał zostać zaserwowany poczęstunek. Rozsądnie poprosiłem o szklankę whisky zamiast czerwonego wina, które w pierwszej kolejności oferowała obsługa. Nie potrzebowałem wprowadzać się w jeszcze większy marazm.

– Piękny wystrój – pochwaliła Ada.

Nie wyobrażałem sobie rzeczywistości, w której miałbym siłę i ochotę rozmawiać ze swoją partnerką na losowym weselu o kolorach wstążek i kwiatów, dlatego w żaden sposób nie zareagowałem na te słowa.

Przyjrzałem się Adzie, dopiero gdy zamilkła na dłuższą chwilę. Rozglądała się po – istotnie – gustownie urządzonej sali z lekkim, ale i sztucznym uśmiechem na ustach, do których przytykała co chwilę kieliszek z winem. To oczy ją zdradzały. Brak pewności siebie i luzu. Zdawałem sobie sprawę, że to w stu procentach moja wina – nie potrafiłem jej tego zapewnić. Albo nie wyrażałem wystarczająco dużych chęci, by to zrobić.

Nie wprawiało mnie to w dumę. Ada wyglądała ładnie; musiała włożyć dużo pracy w skomplikowane upięcie swojej fryzury, staranny makijaż oraz wybór pięknej, drogiej sukienki. Albo włożyła w to wszystko po prostu dużo pieniędzy swojego ojca. Wiedziałem, że je ma, robiłem z nim czasem interesy. Inteligentny mężczyzna z perspektywami na dorobienie się wkrótce pierwszego miliarda. Zdawał się dość zadowolony z faktu, że jego córka wpadła mi w oko.

– Pójdę do łazienki, zaraz wrócę.

Zarejestrowałem słowa Ady ze sporym opóźnieniem, bo gdy się rozejrzałem, już jej przy mnie nie było.

Zwilżyłem gardło łykiem dymnej whisky, doceniając gust Vincenta. Może i sama ceremonia zaślubin była nużąca, ale przynajmniej gospodarz znał się na dobrych alkoholach i zapewnił je swoim gościom.

Dobrze, bo większości tych ludzi przydałoby się trochę wyluzować. Wielu z nich zdawało się idiotycznie wręcz onieśmielonych swoją obecnością na tak uroczystym wydarzeniu. Ledwo się powstrzymywałem, by nie wyrzucić oczami.

A na samą myśl, że sam kiedyś będę zmuszony zorganizować podobny ślub, aż nabierałem ochoty na zamówienie kolejnej szklanki whisky. Podwójnej.

– Ty!

Zerknąłem w stronę, skąd doleciał ten pełen pretensji kobiecy okrzyk.

Może zwróciłem na niego uwagę z przyzwyczajenia, bo w podobny sposób dość często zwracano się do mnie.

Stała do mnie tyłem i machnęła właśnie gwałtownie ręką. Robiła wyrzuty jakiemuś biedakowi, który najwyraźniej zapił jeszcze przed imprezą. Dopiero po chwili w siedzącym bez życia na krześle chłopaku rozpoznałem jednego z bliźniaków Monet.

Po swobodzie, z jaką dziewczyna go ochrzaniała, założyłem, że to jego partnerka. Sukienka opinała jej talię i szersze biodra, ładnie układała się na zgrabnych pośladkach. Piękne, długie loki dziewczyny ułożone zostały tak starannie, że nie śmiały drgnąć, gdy kręciła z zawodem głową.

Drugi z bliźniaków położył jej na ramieniu dłoń, którą z niemą furią natychmiast z siebie zrzuciła. Uniosłem ze szczerym zdumieniem brew, doceniając w ten sposób jej odwagę. Musiała dobrze poznać już Monetów i dlatego czuła się przy nich swobodnie. Zdecydowanie nie brakowało jej charakteru, nie kuliła się potulnie u boku Moneta.

– Daj spokój, gwiazda, złość piękności szkodzi – zarechotał Montgomery Monet.

Moje brwi powędrowały jeszcze wyżej, bo coś tu...

Kobieta się odwróciła.

Ciemne oczy wbiły się w niego twardo, zaskakując wszystkich chłodem, który nie pasował do jej twarzy. Naturalnie delikatne i dziewczęce rysy przebijały nawet przez mocny makijaż. Znałem ją, gdzieś już tę buzię widziałem.

Przechyliłem głowę, lustrując całą sylwetkę kobiety, jej elegancką i wcale nie mniej seksowną sukienkę, wysokie buty. Czuło się emanującą z niej siłę.

Już zaglądałem w te oczy. W różnych sytuacjach, często z rozbawieniem. Zwykle gdy odwzajemniały moje spojrzenie, wyrażały niepokój, niepewność lub klasyczną ostrożność. Zawsze uważałem je szczerze za mądre, nieraz tylko nazbyt niewinne.

Szukałem imienia właścicielki tych ładnych brązowych oczu. Pamiętałem tę kobietę, gdzieś ją widywałem. Znałem ją, możliwe, że nawet z nią rozmawiałem. Marszczyłem brwi, ignorowałem wszystko wokół, zrobiłem nawet krok w przód, zupełnie zaaferowany tą nagłą zagadką.

Hailie Monet.

To było tak, jakby ktoś nagle zapauzował film. Wzdrygnąłem się zaskoczony, kiedy mój mózg tak nagle podsunął mi odpowiedź.

– Wszystko w porządku? – zapytała przechodząca obok kelnerka.

Patrzyła na moje buty. Wciąż w ciężkim szoku podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem. U moich stóp, w małej kałuży alkoholu, leżała roztrzaskana szklanka. Zakląłem. Cofnąłem się, nie dowierzając, że właśnie nieświadomie ją upuściłem.

– Najmocniej przepraszam – odpowiedziałem automatycznie.

Na szczęście mój garnitur nie ucierpiał, oberwała tylko podłoga, nad którą pochylała się teraz kelnerka.

– Nie zranił się pan?

– Nie – odparłem. Przybierając maskę chłodu, zareagowałem na gorąc, który poczułem w środku. Doskonale wiedziałem, że przyciągnąłem niechcianą uwagę gości znajdujących się w pobliżu, w tym na pewno zgrai Monetów. – Dziękuję za pomoc.

Odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Skrzywiłem się, słysząc, że pod podeszwą buta chrupie mi kawałek szkła. Drzwi prowadzące na dwór pchnąłem z niepotrzebną siłą, naelektryzowany emocjami. Mężczyzna z telefonem przy uchu po drugiej stronie odskoczył, rzucając mi niechętnie spojrzenie.

Odszedłem na bok i odetchnąłem głęboko mroźnym grudniowym powietrzem.

– Co to było? – syknąłem do siebie wściekle.

Już nie morzył mnie sen. Oczy otwierałem szeroko, nie wierząc, że to młodszą siostrę Monetów tak przed chwilą podziwiał.

Zmarszczyłem brwi.

– Zbladłeś – odezwała się do mnie Grace. Siedziała na kamiennej ławeczce nieopodal i paliła papierosa, a tuż przy nagim udzie trzymała kieliszek czerwonego wina. Czarne futro, którym się opatuliła, kontrastowało z białym śniegiem wkoło. – Też cię zemdliło?

Zdecydowanie nie nazwałbym tego mdłościami.

Wypuściłem powietrze z ust, ale podszedłem do niej. Po drodze szurnałem ze złością podeszwą buta o kanciasty schodek, by pozbyć się irytującego odłamka szkła.

– Za bardzo to rozwlekają – mruknąłem. – Ileż można czekać na poczęstunek?

Siadając obok niej, musiałem ją szturchnąć, inaczej by się nie przesunęła.

– Cała rodzinka skompletowała się po raz pierwszy od dawna. Będą to przeciągać w nieskończoność.

– A tak, widziałem Camdena. Nieźle się trzyma – mruknąłem.

– Mhm – przytaknęła Grace, mocno zaciągając się papierosem, zapatrzona w śnieg.

Szturchnąłem ją.

– Mogłaś wziąć się za starego zamiast za Vincenta – powiedziałem.

– Nie dotykaj mnie – mruknęła, cmokając z irytacją. – Gdybym wiedziała, tak bym zrobiła. Mężczyźni odsiadujący wyroki w więzieniach to najmniej problematyczni partnerzy.

– Zawsze udaje ci się zaintrygować mnie swoimi teoriami.

– Skazaniec jest przewidywalny. Ja siedzę na wolności, wydaję jego pieniądze i podejmuję za niego decyzje. Kiedy widzimy się raz na miesiąc, seks jest wspaniały, bo wyczekany.

– Teraz rozumiem.

Pokręciłem głową, jak zawsze, gdy uświadamiałem sobie, że moja przyrodnia siostra jest bardziej porąbana, niż zakładałem.

Nie mogłem jednak odmówić jej zalet, czyli tego, że jakimś cudem zawsze orientowała się we wszystkim, co działo się w naszej zamkniętej społeczności. Zwykle sam mało się tym interesowałem, ale jako że wciąż czułem ciarki na plecach po tym, jak upuściłem tę nieszczęsną szklankę, potrzebowałem poukładać sobie w głowie pewne sprawy.

– Siostra Monetów się pojawiła – powiedziałem obojętnie. – Dawno jej nie widziałem, sądziłem, że się odcięła.

– Mała Perełka wyjechała na studia do Europy.

Uniosłem brwi.

– Zaraz, czy ta dziewczyna czasem nie chodzi jeszcze do liceum?

– Owszem, ma w sobie coś infantylnego – prychnęła Grace. – Ale to już nie jest dziecko.

Nie powiem, ulżyło mi. Czułbym się nie najlepiej ze świadomością, że to nastolatka wpadła mi w oko.

Nagle mnie oświeciło.

– Ahhh... Faktycznie. – Pokiwałem głową ze zrozumieniem. – Chyba nawet gratulowałem jej ukończenia szkoły. To było kilka lat temu. Wyleciało mi z głowy.

– Nic dziwnego – uznała obojętnie Grace. – Bo dlaczego niby miałbyś zawracać ją sobie edukacją młodej Monet?

– A więc mówisz, że naprawdę wyjechała na studia do Europy? – powtórzyłem zaciekawiony, gładząc się w zamyśleniu po brodzie.

Przypomniałem sobie szczegóły naszej ostatniej rozmowy.

Wyjechała.

Uśmiech sam wpełzł na moje usta.

– Ile ona ma lat? – zapytałem.

Grace zerknęła na mnie zdegustowana.

– Bracia Monet prędzej pójdą z tobą na wojnę, niż pozwolą, żebyś zaczął się przy niej kręcić.

– Nie zamierzam się przy niej kręcić, a bracia Monet mają wystarczająco dużo oleju w głowie, by nie iść ze mną na wojnę. Jestem ciekawy.

– Dwadzieścia dwa.

Zamyśliłem się.

– Tak... Wciąż jest bardzo młoda – stwierdziłem w końcu, podnosząc się. – A szkoda, bo muszę przyznać, że wygląda zjawiskowo.



Ada chusteczką osuszała łzy w okolicach oczu i miałem szczerą nadzieję, że to nie przeze mnie się popłakała.

– Gdzie byłeś? – zapytała szeptem, gdy wróciłem do stolika. – Przegapiłeś toast. Wzniósł go jeden z braci pana młodego, tak uroczu przemawiał...

– Wielka szkoda – mruknąłem.

Podtrzymując krawat, zasiadłem na swoim miejscu i z zaskoczeniem odkryłem, że muszę naprawdę mocno się pilnować, by nie szukać spojrzeniem Hailie Monet.

Co za idiotyzm.

Ciągle rozglądałem się za rozpraszaczami – biernie przysłuchiwałem się nudnej paplaninie, w którą Ada wdała się z żoną Ricarda Sancheza. Obserwowałem zadowolenie na twarzy Rodrica Rettera, innego członka Organizacji, który teraz na pewno triumfował, bo w przeszłości miał obiekcje wobec pomysłu ożenku Vincenta z Grace. Z pewnością wołał, że finalnie jego wybranką została obca, nikomu nieznana i pozbawiona powiązań z pozostałymi członkami Organizacji kobieta.

Dałem się Adzie namówić tylko na jeden taniec, bo tak wypadało, ale potem znowu zasiedliśmy do stołu. Zasejpona, obserwowała parkiet. Miała pecha, że przyszła na tę zabawę akurat ze mną, bo nikt nie śmiał poprosić jej do tańca lub się nią po prostu po dżentelmeńsku zająć. Obawiali się mojej reakcji. A ja przecież nie miałbym nic przeciwko.

Nikt się nią nie zainteresował, nawet kiedy zostawiłem ją samą, by z kolei zatańczyć z Grace.

– Mógłbyś być mniej oczywisty – mruknęła, wrednie się uśmiechając.

Zmarszczyłem brwi i przeniósłem wzrok na nią.

– O co ci chodzi?

– Zaraz wszyscy się dowiedzą, że Perelka wpadła ci w oko, jeśli nie przestaniesz się tak za nią oglądać.

Zacisnąłem dłoń mocniej na talii Grace.

– Ja po prostu uciekam wzrokiem od twojej złośliwie wykrzywionej twarzy, siostro.

– Mhm. – Grace uniosła brodę wyżej. – Radzę ci iść do Vincenta, zanim wyjedzie w swoją podróż poślubną. Może wyrazi zgodę na to, byś tknął Perelkę jeszcze dzisiaj. Wtedy obaj będziecie mieli upojną noc.

Odetchnąłem. Potyczki słowne z Grace czasem mnie bawiły, ale bywało i tak, że niezmiernie irytowały. Wtedy najlepiej było zamilknąć. Tak też zrobiłem, a mając dość jej drażniącego uśmiechu, zabrałem od niej rękę i odszedłem dokładnie w momencie, gdy piosenka ucichła.

Co chwilę obiecywałem sobie, że czas się zbierać. Nie miałem tu nic do roboty. Większość współników już się pożegnała, whisky pita w nadmiarze przestała robić na

mnie wrażenie, Grace zaczynała mnie poważnie denerwować, a byłem pewien, że i Ada skrycie marzy o powrocie do domu.

Ale ja ciągle siedziałem na swoim miejscu i ją obserwowałem.

Wyglądała na szczęśliwą. Cieszyła się obecnością rodziny. Oni wszyscy też o nią dbali. W śledzeniu jej było coś uzależniającego. Nie wiem dlaczego, ale interesowała mnie każda mina, jaką zrobi, każdy jej ruch, niczym najbardziej porywający film.

Ledwo odwróciłem od niej wzrok, na scenę wyszedł jeden z Monetów i oświadczył się swojej dziewczynie. Patrzyłem, jak oczy Hailie Monet napędniają się łzami. Ujęło mnie, jak szczerą radość czerpała ze szczęścia swojej rodziny. Patrzyłem, jak tańczy z bratem. A potem z drugim. Co więcej, przyłapałem przynajmniej trzech obcych mężczyzn, jak zerkają na nią niby to ukradkiem.

Bez słowa zerwałem się z krzesła i wyszedłem do łazienki.

Nie chlusnąłem sobie zimną wodą w twarz tylko z obawy, że mógłbym zachlapać kołnierz koszuli. Zamiast tego mierzyłem wzrokiem swoje odbicie w lustrze, próbując wziąć się lepiej w garść. Obok eleganckiej umywalki paliła się świeczka zapachowa. W pewnym momencie, zapatrzywszy się w jej płomień, zorientowałem się, że czuję dziwne, nieprzypominające mi nic, co do tej pory znałem, ciepło w środku...

Chlapnąłem na niego wodą, by zgasł.

W drodze na dwór, by się przewietrzyć, minąłem dzieci Monetów pluskające się w fontannie. Zapaliłem cygaro, by się uspokoić. Mroźne powietrze, ciemne niebo i smak tytoniu pomogły mi odzyskać trzeźwość umysłu. Podjąłem w głowie decyzję, że czas wracać do domu.

Nie spieszyłem się z paleniem. Wróciłem na salę dopiero całe cygaro później. Zatrzymałem się za plecami Ady i podałem jej płaszcz.

– Wychodzimy – poinformowałem ją.

Poderwała się, jakbym obiecał jej właśnie wakacje na Barbadosie z samolotem odlatującym za dziesięć minut. Nie zamierzałem jej winić za ten entuzjazm.

– Uwaga!

Podniosłem głowę. Ten głos dobrze znałem. Na scenie z mikrofonem w ręce chwiała się właśnie moja była narzeczona. Zatrzymałem się zaciekawiony tym, co ma do powiedzenia.

– Jutro imprezujemy w Operze! Wszyscy są mile widziani. Zapraszamy do naszej łoży.

– Oczywiście – prychnąłem pod nosem kpiarsko.

Odprowadziłem wzrokiem Mayę, która na swoich morderczych szpilkach potruczała z powrotem do rodziny.

– Co: oczywiście? – zapytała Ada, choć zdawało się, że nie oczekuje ode mnie odpowiedzi.

Czy czuła się aż tak zlekceważona? Zaczynałem mieć wyrzuty sumienia.

– Nie ma możliwości, by na poważnie proponowała wszystkim miejsce w loży – odparłem. – O to chodzi w tym miejscu, że jest ekskluzywne i nieosiągalne dla większości.

– Czyli skłamała?

– Z całą pewnością.

Ada westchnęła, mając zapewne po dziurki w nosie tego towarzystwa.

– A więc nie warto się tam fatygować.

Cóż.

Nie odpowiedziałem.



JAK ZA DAWNYCH CZASÓW

Zamknąłbym ją w rezydencji.

Dylan przeszedł się do pokładowej lodówki i wyjął z niej puszkę coli.

– I załatwił kolejną niańkę. Dokładnie taką jak te, które mają twoje dzieci.

Rozległ się syk, gdy otworzył napój.

– I tak niewiele się od nich różni.

Nie wrócił na fotel, tylko został na środku. Tak łatwiej mu było pozostać w centrum uwagi. Najbardziej łasy był na tę Vincenta, więc patrzył na niego wyczekująco, jakby liczył, że nasz najstarszy brat zacznie przyklaskiwać geniuszowi jego pomysłu.

– Będiesz przynajmniej miał na nią oko, a nie. – Dylan machnął puszką, tak że wylało się z niej odrobinę coli, ale nie przejął się tym, zajęty perorowaniem: – W tej Hiszpanii to ona żyje sama sobie, guzik tak naprawdę wiadomo, co tam wyprawia. Zawsze coś mi nie pasuje, jak tam wpadam.

– Co ci niby nie pasuje? – zapytałam zaczepnie. Do tej pory ignorowałam jego biadolenie, ale nie chciałam, by zaczął dzielić się na forum swoimi wyssanymi z palca domysłami.

Wbił we mnie prowokujące spojrzenie.

– Że nikt tak naprawdę nie kontroluje tego, co tam robisz, mała dziewczynko.

– Jeśli kogoś przydałoby się tu kontrolować, to ciebie – prychnęłam.

– Dylan, daj spokój – wtrącił się Will, widząc, jak ten otwiera już usta, pierwszy jak zwykle do kłótni. – Hailie jest dorosła, zasłużyła na przywilej samodzielności.

Uśmiechnęłam się do swojego ulubionego brata, choć szybko spoważniałam, gdy Dylan burknął:

– Jej samodzielność zaowocowała tym, że wylądowała w samolocie Santana.

Will zacisnął usta. Szybko skończyły mu się argumenty, żeby mnie bronić.

– Zdarzyło się tak, bo tata postanowił uciec z więzienia – warknęłam. – Może to jemu załatwimy niańkę?

Dylan, kręcąc głową, wrócił na swoje miejsce, bliźniacy i Will parsknęli cicho i nawet Vince uniósł kącik ust.

Vincent dał upust swojemu niezadowoleniu z podjętych przeze mnie decyzji w wyjątkowo elegancki sposób, po prostu wygłaszając mi chłodnym głosem szybkie kazanie składające się z kilku dosadnych zdań, ale to by było na tyle. Na tyle, bo wiedział dobrze, że za wszystkie czasy wymęczył mnie już Dylan. Od kiedy mnie zobaczył do teraz, czyli przez dwa bite dni, chodził za mną po Rezydencji Monetów i marudził, że nie myślę, że oszalałam i że niniejszym zarządza koniec mojego studiowania w Hiszpanii.

W życiu nie wywracałam tyle oczami.

Większość braci udało mi się jednak już udobruchać, więc ogólnie lot do Meksyku, w którym właśnie uczestniczyliśmy całą szóstką, nie był wcale taki najgorszy. Wręcz przeciwnie, nawet miło było spędzić z chłopcami trochę czasu. W końcu rzadko mamy okazję spotkać się sami, w oryginalnym składzie. Korzystałam z tych chwil, przymykając oko na fochy Dylana.

Wylądowaliśmy na prywatnym lotnisku, nie wiadomo gdzie, a potem przesiedliśmy się do prywatnego helikoptera, który wziął się nie wiadomo skąd, i udaliśmy się nim w dalszą podróż nie wiadomo dokąd.

W Hiszpanii żyłam wygodnym życiem i niczego mi nie brakowało, ale to spotkania z moim rodzeństwem zawsze przypominały mi, z jak bardzo zamożnej rodziny pochodzę.

– Jesteśmy tak blisko Stanów, czy to bezpieczne? – pytałam. – Nie powinien był uciec gdzieś dalej?

– Najciemniej, dziewczynko, jest pod latarnią – rzucił Shane.

– Siedzi pewnie w jakiejś dzicy – dodał Tony, wzruszając ramionami.

Ojciec istotnie zatrzymał się w dziczy. Znałam Meksyk ze zdjęć i wiedziałam, że nie brakuje tu rajskich krajobrazów. Kiedyś planowałam wybrać się tu z bliźniakami i Dylanem na wakacje. Finalnie wylądowaliśmy wtedy na Bahamach, ale Cancún jest nadal na naszej liście miejsc do odkrycia. Jednak i tym razem nie było nam po drodze, bo Camden postawił na inne klimaty.

Wybrał las. Kiedy helikopter wylądował, jeszcze przez jakiś czas w powietrzu unosiły się liście i kurz. Kaszlałam, gdy moje stopy dotknęły trawy, i pociągałam nosem, wdychając powietrze przesiąknięte mocnym zapachem ziemi.

Oczy Tony'ego zaczerwieniły się od pocierania i nawet kłął pod nosem na klimat, jaki nas tu zastał. Było ciepło, nie przesadnie i nie sucho, bo to jednak nie pustynia, ale wystarczająco, by Dylan odgarnął pojedyncze kosmyki włosów ze spoconego czoła. Shane gapił się ze smutkiem na swoje zakurzone w mig, nowiuśkie sportowe buty, które jeszcze przed chwilą świeciły bielą, a Will i Vince zabrali się za luzowanie swoich krawatów, zapewne żałując, że uparli się obaj, by włożyć koszule.

– Co to za miejsce, do cholery – jęknął Tony. Złapałam go i pociągnęłam za nadgarstek w obawie, że zaraz wydrapie sobie oko.

– To jakaś dżungla – mruknął Shane, rozglądając się.

Drgnęłam zaniepokojona.

– To oznacza, że są tu węże? – szepnęłam.

– Żeby tylko węże – odparł Dylan i nachylił się z wrednym uśmiechem. – Są tu na pewno wielkie jak dłoń pająki, jaszczury i cała masa dziwnych owadów, które tylko czekają, żeby wypełznąć ci we włosy i...

Wydarłam się głośno, bo Dylan uszczypnął mnie w bok, a ja się przestraszyłam.

– Idioto! – ryknęłam na niego, łypiąc na tarzających się ze śmiechu bliźniaków.

– Ojciec na pewno usłyszał, że jesteśmy już na miejscu – skomentował Will, zerkając na mnie spod uniesionych z rozbawienia brwi.

To jeszcze nie koniec wycieczki, ponieważ wylądowaliśmy na niewielkim wykarczowanym obszarze, ale żeby dostać się do kwatery ojca, musieliśmy wejść w zarośla. Will tłumaczył, że to jest las i żeby nie mylić go z dżunglą, choć takowe w Meksyku też się znajdują. Otaczające nas drzewa były bardzo wysokie i zdawały się nieco inne od tych, które znałam z Pensylwanii.

Ulżyło mi, gdy okazało się, że do celu mamy dostać się jeepami. Gdybym miała przemierzać pieszko tę skrywającą mnóstwo tajemnic dzicz, chyba bym się popłakała.

Nawet w aucie drżałam, słysząc wszystkie te piękne, ale i szalenie niepokojące odgłosy natury. Non stop coś bzycało lub cykało, a Dylanowi udało się doprowadzić mnie do krzyku jeszcze ze dwa razy. Już wołałam, gdy prawil mi kazania, niż robił się tak dokuczliwy.

Byłam pod ogromnym wrażeniem kierowców, którzy nas wieźli, bezbłędnie odnajdując drogę w tym gąszczu. Ja zgubiłabym się tu nawet z mapą.

Wkrótce między drzewami dostrzegliśmy ścianę budynku. Gdy podjechaliśmy bliżej, okazał się rozległym domem o nieregularnym kształcie i z płaskim dachem. Ciepłe lampy oświetlały ganek, gdzieś na tyłach prześwitywał błękit basenu.

Przeżywałam déjà vu z Tajlandii. Wtedy też się tak zaczynało: odludne miejsce, luksusowa willa i ten mężczyzna witający nas na progu.

Widok Camdena w ubraniu innym niż bordowy uniform więzienny sprawił, że zrobiło mi się ciepło na sercu, ale szybko powstrzymałam szeroki uśmiech. Zamiast tego zacisnęłam usta.

Chłopcy poseskakiwali pośpiesznie z wysokich jeepów, ja zaś wysiadłam na końcu, przytrzymując się podanej mi przez Willa dłoni, który w żadnej sytuacji nie przestawał być dżentelmenem. Vincent odprawił kierowców, którzy zostawili nam jedno auto, zgodnie z – jak się domyślałam – zawartą wcześniej umową.

Najpierw wszyscy sześcioro stanęliśmy u podnóża niskich i szerokich drewnianych stopni, które prowadziły na taras. Cam zatrzymał się u ich szczytu.

– Cześć, dzieciaki – przywitał się Cam, przerywając ciszę. Potrafił sprawić, że w jego zachrypniętym głosie pobrzmiwało coś na kształt pokory, jakby się trochę przed nami kajał, a jednocześnie słychać w nim było siłę i autorytet, byśmy nie zapomnieli, kto tu rządzi.

Postarzał się od czasu, gdy go poznałam; minione lata i pobyt w więzieniu zrobiły swoje. Nadal jednak prezentował się przyzwoicie. Na nadgarstkach ponownie zamiast kajdanek zagościły rzemyki i jakaś elegancka bransoleta, brodę miał równo przyszczyżoną, a włosy związane w zdecydowanie schludniejszy kucyk.

W Camie było coś takiego, co sprawiało, że ledwo otwierał usta, a ja już gotowa byłam biec do niego, by paść mu w ramiona, taką miał nade mną moc. Teraz powstrzymywał mnie jedynie fakt, że stałam wśród chłopców i żaden z nich się nie poruszył. Nie chciałam się wyłamywać.

Ojciec rozłożył ręce i wzruszył ramionami, jakby nie był pewien, co nam powiedzieć. Kątem oka widziałam, że Vincent świdruje go wzrokiem, Will ma ręce założone na piersi, a Tony i Shane, jako najmłodszy z braci, a zatem najmniej skorzy do stawiania się ojcu, unikali jego wzroku, błędząc spojrzeniem gdzieś po gęstej ścianie lasu otaczającego ze wszystkich stron willę.

– O co chodzi? – zapytał Dylan, dbając, by jego głos był odpowiednio doniosły.

Cam odetchnął.

– Usiądźmy do kolacji, dobra? – zaproponował. – Porozmawiamy.

Nadal nikt się nie poruszył, dopóki ciemne oczy Camdena nie spoczęły na mnie. Błysnęły, a na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech, którym kupił mnie bez żadnych pytań. Zrobiłam krok, potem drugi i nie oglądając się za siebie, podeszłam do taty, który wyciągnął do mnie ręce, przytulił mnie i ucałował w czubek głowy.

– Moja piękna córeczka – wyszeptał, gładząc mnie po plecach. Założył mi też kosmyk za ucho i patrząc mi prosto w oczy, dodał: – Wspaniale cię widzieć, królowo.

Nie odpowiedziałam, ale też się uśmiechnęłam, bo cieszył mnie fakt, że mogę stać przed ojcem bez obserwujących nas bacznie strażników więziennych. Potrzebowałam tej wolności i nie potrafiłam teraz zachować wobec niej obojętności.

Za mną ruszyli Will i bliźniacy, którzy też objęli się z Camem i dopiero wtedy niechętnie ruszył się Dylan, a na końcu złamał się Vincent.

Drewniany, masywny stół został już przygotowany do kolacji. Tony i Shane, którzy już jakiś czas temu odkryli w sobie wielkie upodobanie do meksykańskiej kuchni, rzucili się na jedzenie jako pierwsi. Każdy z nas częstował się tacos, które można było komponować samodzielnie z wystawionych na półmiskach składników. Nie byliśmy zbyt skorzy do rozmów, poza tym ciężko rozmawiać z pełnymi ustami. Ojciec, jako jedyny chyba obojętny na przysmaki na stole, skubał coś tylko z talerza, ale głównie przyglądał się nam, zapewne główkując, jak nas najlepiej podejść.

– Dobrze mieć was tu wszystkich – powiedział.

Nikt tego nie skomentował. Czułam, że w tym obcym powietrzu wisi jakaś niezręczność.

Vincent w spokoju konsumował swoje danie, uważając, by nie ubrudzić się sosem, i rzadko zerkał na ojca, jakby był pewien, że prawdziwą rozmowę odbędzie z nim sam na sam, później.

Will, Shane i Tony nie mieli chyba odwagi skonfrontować się z tatą, więc skupili się na kolacji, a z kolei ja i Dylan graliśmy obrażonych.

– Tutaj to wiedzą, jak zrobić porządne guacamole, co? – zażartował w pewnym momencie ojciec, dostrzegłszy wymianę spojrzeń pomiędzy Shane'em a mną po tym, jak zanurzyliśmy swoje nachos w dipie z awokado w tym samym czasie.

Westchnął, gdy nie doczekał się od nas odpowiedzi.

– Dobra, słuchajcie. Ja wiem, że oczekujecie wyjaśnień. To nie tak, że nie zamierzam wam ich udzielić. Chciałem zacząć od kolacji, bo wiedziałem, że jesteście głodni po podróży.

– Ja tam nie jem uszami, więc możesz mówić teraz, nie? – mruknął Dylan.

Cam rzucił mu pełne dezaprobaty spojrzenie, ale nie upomniał go.

– W porządku, zacznę więc teraz. – Cam poprawił się na krześle, upił łyk piwa i odetchnął. – Pamiętacie, że oddałem się w ręce policji i od lat siedziałem grzecznie w więzieniu...

– Od czasu do czasu biorąc udział w bójkach – dodał Will znacząco.

– W ciupie tak jest, synu, że czasem trzeba poharatać komuś buzię – odparł, wskazując na pojedyncze blizny na twarzy. – Nic zaskakującego. W każdym razie, zamierzałem odpokutować swoje winy. Przyznając się do nich, byłem przekonany, że robię właściwą rzecz.

– Czyli to nie tak, że znudziły ci się egzotyczne wyspy i potrzebowałeś jakiejś akcji? – mruknął Shane.

– Co? – huknął na niego ojciec, aż ten spuścił wzrok na swój talerz.

– Nic.

– Nie no, do cholery – warknął Cam, obrzucając nas wszystkich spojrzeniem. – Przecież nie dałem się zamknąć w więzieniu, żeby przeżyć przygodę! Co z wami?

– Dziwnie to wygląda, jak najpierw fingujesz swoją śmierć, potem oddajesz się w ręce policji, następnie uciekasz. Za tydzień co, dowiemy się, że znowu siedzisz? – westchnął Dylan ze zniecierpliwieniem.

– Przecież podobno tata uciekł, bo ktoś chciał go skrzywdzić – wtrąciłam się, obiema rękami trzymając przed nosem taco. – To prawda, tato?

Cam łypał na Dylana, ale po moich słowach jego twarz złagodniała.

– Takie słuchy do mnie dotarły, że ktoś się na mnie przyczaił – potwierdził. – Dużo sobie pozwalałem, zbudowałem coś sporego, a cwaniaków, którym się przy tym

naraziłem i którzy chcieli mi to odebrać, było wielu. Jak się wreszcie odważyli zmówić przeciwko mnie, nie miałem wielu opcji.

– Podobno też planowałeś ucieczkę wcześniej – zauważył Will. – Jeszcze zanim zostałeś do niej zmuszony. To jak to było?

Cam podrapał się po karku dłonią, w której nie trzymał tacos.

– To były takie wstępne plany, jeszcze nic pewnego – przyznał. – Chodziły mi po głowie różne rzeczy. Życie jest w końcu jedno, nie?

– Twoje ucieczki wpływają na nasze życie – wytknął mu Dylan, oskarżycielsko wskazując na niego nachos. – Hailie wylądowała w samolocie Santana, słyszałeś?

– Oczywiście, że słyszałem. – Ojciec się spiął. – Gdybym zaplanował ucieczkę, zrobiłbym to tak, żeby was nie narażać. Ostatecznie nie miałem takiej szansy, bo uciekłem nie z powodu kaprysu, a żeby się ratować.

Wszyscy na niego patrzyliśmy i akurat chyba nawet nikt nic nie przeżuwał.

– Gdyby ktoś poderżnął mi gardło, to dopiero wpłynęłoby na wasze życie, prawda?
– Cam patrzył Dylanowi w oczy, a potem nawiązał kontakt wzrokowy z milczącym Vincentem.

Mnie serce zabiło mocniej na samą myśl o tym, że ktoś faktycznie mógłby skrzywdzić ojca, i wiem, że chłopców też na chwilę zmroziło.

Stół się zatrzęsł, gdy ciężka pięść Dylana rąbnęła o blat.

– Co za zjeb chciał się na ciebie zasadzić? Z jakiej, kurwa, racji?! – warknął, w błyskawicznym tempie przekierowując swoją złość z jednego obiektu na drugi.

– Mówię, w pierdłu łatwo się narazić. – Cam wzruszył ramionami. – To nic, czym wy musicie się martwić. Trzeba to tylko ładnie załatwić z Organizacją, żeby się nie burzyli, że ich lekceważę.

– To nie będzie łatwe – wtrącił się Vincent. – Nasza rodzina zdążyła już im podpaść, a członkowie Organizacji źle znoszą takie zniewagi.

– Nie jestem już na ich głównym celowniku i jeśli są mądrzy, to w końcu machną ręką. – Cam spojrzał znacząco na Vincenta. – Macie inne sprawy na głowie niż uganianie się za mną, nie mam racji?

Vincent milczał, ewidentnie sceptyczny wobec optymizmu ojca.

– Co w takim razie teraz zamierzasz? – zapytał Will. – Znowu będziesz się błąkał po świecie?

– Czekam na kolejny paszport, wtedy polecę do Ameryki Południowej, a potem...

– Może zrób sobie operację twarzy i wróc do Stanów – zasugerował Shane.

Tony z Dylanem parsknęli śmiechem, a Cam prychnął.

– Jestem za bardzo przywiązany do tej przystojnej buźki – odparł, machnąwszy palcem gdzieś przy swoim policzku.

– Może chociaż botoks na zmarchy? – rzucił Dylan.

– Jeszcze chwila, synu, a i tobie się takie porobią od tego durnowatego uśmiechu.

Atmosfera się rozluźniła, bo mimowolnie trochę się pośmialiśmy. Nawet Vince się wyluzował – w pewnym momencie w reakcji na czyjś żart wzniosł oczy do sufitu, a potem sięgnął po tacos.

– Czy to znaczy, że znowu będziemy mogli cię odwiedzać? – zagadnęłam cicho.

Bliźniacy podnieśli na mnie głowy, a Will i Vincent wbili we mnie zagadkowe spojrzenia.

– Tylko nie rób jej nadziei – ostrzegł Dylan, kierując swoje słowa do Camdena.

Ojciec siedział u szczytu stołu, a ja zaraz po jego lewej stronie, więc bez trudu mógł zwrócić się do mnie i złapać mnie delikatnie za dłoń. Ucałował ją, nie odwracając ode mnie swoich przepelnionych miłością oczu.

– Zobaczymy, jak to będzie, moja królewno, ale liczę, że w przyszłości uda nam się aranżować spotkania z większą swobodą.

Pokiwałam głową, póki co usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Siedzący obok mnie Will pogłaskał mnie po plecach, a ja z jego miny mogłam wywnioskować, że bardzo ostrożnie podchodzi do komunikatów ojca.

– Cholera, nawet nie znam swoich wnuków – westchnął w pewnym momencie Cam. – Fatalne uczucie. Dobrze było zobaczyć twoje dzieciaki, Vince, na weselu. Żałuję tylko, że nie mam z nimi lepszego kontaktu.

– Na ten moment nie mogę ci obiecać, że będziesz widywał je częściej – odparł sztywno Vincent.

Cam westchnął i potarł powieki, po czym pokiwał głową.

– Wiem, synu, wiem. Ale ucałuj je ode mnie. Lissy i Michiego. Powiedz, że dziadek pozdrawia, i takie tam.

Vincent skinął.

– Powiem.

– Bawisz się z nimi czasem?

Mój najstarszy brat spojrzał na ojca z lekkim zaskoczeniem.

– Słucham?

– Czy rysujesz z nimi, układasz puzzle albo budujesz, nie wiem, jakieś wieże z cholernych klocków? Robisz to? – Cam uniósł brwi, wpatrując się w niego wyczekująco.

Vince powiódł szybkim spojrzeniem po naszych twarzach, jakby sprawdzał, czy wszyscy usłyszeli to samo, a następnie odchrząknął.

– Robię inne rzeczy – odpowiedział w końcu.

– Czyli nie bawisz się z nimi?

– Rzadko.

Przynajmniej był szczery.

– Spróbuj – poradził Cam. – Dla dzieciaków zabawa to życie. Tak łatwo możesz sprawić, by się uśmiechnęły. A wtedy zobaczysz, że ten ich uśmiech wart jest więcej niż miliard dolców. – Ojciec wyciągnął do mnie rękę, przeniósł wzrok na moją twarz i kciukiem pogładził mnie po policzku, sprawiając, że kąciki moich ust się uniosły, a usta rozciągnęły. Wtedy Cam mrugnął do mnie, a potem spojrzał z powrotem na Vincenta. – Wiem, co mówię.

Camden Monet to jedyna osoba na świecie, która potrafi czarować całe rodzeństwo Monet razem wzięte. Przylecieliśmy tu zirytowani i żądni wyjaśnień, a ojciec zdołał sprawić, że nasza złość gdzieś wyparowała, ostatecznie za wiele nam nie tłumacząc. Co więcej, udało mu się przemycić w tym wszystkim radę ojcowską dla Vincenta.

Gdy przetrwałam już ten fakt i się z nim pogodziłam, poczułam szczęście, które najpierw mnie zaskoczyło. Szybko jednak połapałam się, co jest jego powodem. Wystarczyło, że obudziłam się następnego dnia ze świeżą głową.

Byłam na wakacjach z braćmi i ojcem.

Poczułam się lekko. Poczułam niewinną swobodę, bo oto życie się zatrzymało. Niespodziewanie wróciły stare czasy. Westchnęłam, rozglądając się po przydzielonej mi sypialni. Za oknem kołysały się rzędy drzew, trochę jak w Rezydencji Monetów, tylko tam są one bardziej oddalone, a tu wydawało się, że gdybym zechciała wystawić głowę na zewnątrz i wyciągnąć dłoń, mogłabym złapać palcami gałązkę.

Wybierając garderobę na śniadanie, postawiłam na ciemną, obcisłą sukienkę. Zwykle robiła za jeden z ulubionych ciuchów na imprezy, bo była ładna i niesamowicie wygodna, ale dziś założyłam ją z premedytacją, na cześć starych czasów, kiedy to walczyłam z braćmi o każdy podkreślający kształty strój. Pożałowałam, że nie wzięłam

ze sobą sukienki w żółtą kratkę. Ona wciąż gdzieś tam leżała w czeluściach mojej szafy, robiąc za pamiątkę. Nie wiem, czybym się w nią wcisnęła, ale gdybym ją tu miała, na pewno bym chociaż spróbowała.

Chłopcy już się przyzwyczaili, że wszelkie próby ingerowania w moją szafę są skazane na niepowodzenie, dlatego gdy zeszłam na dół i się z nimi przywitałam, nikt nie odezwał się słowem na temat mojego wyglądu. Pomyślałam sobie wtedy, że wszystkie te lata, które poświęciłam na ich „wychowanie”, opłaciły się.

– ...bez sensu, że... – Shane przerwał, gdy wyszłam na taras. Siedział w kąpielówkach na leżaku, a jego ciemne, ociekające wodą włosy i ślad po kałuży w miejscu, gdzie jego stopy dotykały drewnianych desek tarasu, zdradzały, że musiał już dziś zażyć kąpeli w basenie.

– To tylko Hailie – mruknął Dylan.

On z kolei stał w wodzie, opierając się o kraniec basenu. Nieopodal na ręczniku wyciągał się Tony. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, choć drzewa rosły tu tak gęsto, że nie docierało tu zbyt dużo słońca i taras znajdował się w przyjemnym cieniu.

Tony wyglądał, jakby drzemał, ale gdy się zbliżyłam do kółeczka adoracji, które święta trójca uformowała na tarasie, uniósł się lekko na łokciach.

– Przy niej też trzeba uważać, co się mówi – zauważył, przyglądając się, jak rozkładałam się na sąsiednim leżaku z kubkiem kawy i talerzem naleśników złapanych z rozwalającego się stosiku w kuchni, czyli pozostałości po śniadaniu.

Zmrużyłam oczy.

– A co to za tekst? – warknęłam na Tony’ego.

– Ojciec na ciebie przymilnie spojrzy, wymruczy „królewno”, a ty polecisz do niego jak na skrzydłach.

– Fakt. – Shane pokiwał głową.

– Spadajcie – burknęłam, biorąc łyk kawy. – O czym wy w takim razie rozmawiacie? Knujecie przeciw niemu?

– Nic nie knujemy – oburzył się Shane.

– Tylko się wkurwiamy. – Dylan wzruszył ramionami.

– Na ojca?

– Nie, kurwa, na Tutenchamona. – Nawet przez jego ciemne okulary widziałam, jak Tony wywraca oczami.

– Przecież się wytłumaczył – odparłam, ignorując zaczepkę.

Shane nachylił się w moją stronę, marszcząc litościwie czoło, po tym, jak rzucił przelotne spojrzenie mojemu naleśnikowi.

– To było dla ciebie wytłumaczenie się?

– Zdawkowe, owszem, ale w tej rodzinie nie da się inaczej.

– Tym razem powinien się wysilić – burknął Dylan.

– Oczywiście, że powinien – przyznałam. – Ale to ojciec. Wiadomo, że z niego gagatek.

Bracia spojrzeli na mnie, a ze dwóch z nich nawet parsknęło.

– Gagatek? – powtórzył Dylan, unosząc brew.

– Ona ma rację, widzieliście jego bliznę? Nie miał jej wcześniej – zauważył Shane.

– Ojciec żyje własnym pokręconym życiem na własnych pokręconych zasadach.

Powoli zaczynam to łapać – westchnęłam. – Shane, zostaw, to moje. Jeśli chcesz naleśnika, to przynieś sobie z kuchni.

– Myślałam, że nie jesz – mruknął.

– Dopiero sobie nałożyłam.

– Wiadomo, że ma pokręcone życie – przytaknął mi Dylan. – Ale problem zaczyna się, gdy mąci też w naszym. – Rozłożył ręce. – Bo co my tu robimy? Wszystko fajnie, Meksyk spoko, jesteśmy razem, ale takie wakacje z dupy trochę mieszają nam w codzienności. Ja zostawiłem Martinę, biznes...

Podniosłam rękę, zapatrzona na basen.

– Ja studia.

– Właśnie.

– Ale ojciec mówi, że to wyjątkowa sytuacja – powiedziałam. – Wolę, że nas tu ściągnął, niż gdybyśmy mieli się o niego teraz zamartwiać.

– Niby tak...

Chłopcy pokiwali niechętnie głowami, wszyscy tak samo zamyśleni.

Napiłam się znowu kawy i uśmiechnęłam, za chwilę przerywając ciszę.

– Plusy tej sytuacji są takie, że możemy się poczuć jak za dawnych czasów.

Dylan zerknął na mnie, a jego znudzoną twarz szybko rozświetlił wredny uśmiech.

– Za dawnych czasów, powiadasz?

Teraz szczerzyła się już cała święta trójca.

– To lepiej idź się przebierz, dziewczynko – zasugerował Dylan.

Wzniosłam oczy do nieba.

- Nie chodziło mi o to, żebyście byli kretynami.
- Hej, kretynami? Myśmy cię tylko chronili – zaprotestował Shane.

Uniosłam brew.

- To nie była ochrona, tylko czepianie się na potęgę!
- Jasne, że ochrona.

– Już wam to wybaczyłam, bo wiem, że wasze durnowate zachowanie zostało spowodowane kulejącym poziomem waszej inteligencji emocjonalnej, ale z perspektywy czasu powinniście widzieć, że to, jak mnie traktowaliście, nie było w porządku.

Tony nachylił się do Dylana i rzucił do niego głośnym szeptem:

- O czym ona gada?
- Nie wiem, przytaknij jej i będzie spokój – odpowiedział mu.
- Idioci – mruknęłam, wzdychając z żalem.

Przegapiłam moment, w którym moi bracia uznali, że przeginam z tak swobodnym obrzucaniem ich wyzwiskami. Dylan podciągnął się na rękach i wyszedł z basenu, gdy ugryzłam naleśnika. Zagapiłam się na niego i nie zauważyłam, że od tyłu zaszedł mnie Tony.

– Co wy... – zaczęłam, ale nie dane mi było skończyć. Dalej rozległy się moje piski, gdy bracia, zmęczeni moim wymądrzaniem się, złapali mnie – jeden z nich za nogi, drugi za ręce. Szarpałam się, ale nie miałam szans im się wyrwać.

Przed wylądowaniem w basenie naiwnie wzywałam na pomoc Shane'a, ale kątem oka widziałam, że zajęty był sięganiem po mój talerz z naleśnikami.

Rozległ się chlup, gdy wrzucili mnie do wody. Wynurzyłam się natychmiast, wydając z siebie sfrustrowany okrzyk. Nie miałam ochoty pływać – nie było wcale gorąco. Nie miałam też ochoty moczyć włosów i ubrania.

- Idioci! – zawołałam po raz kolejny, przecierając oczy i całą twarz.

Święta trójca rechotała na brzegu. Dylan odszedł po ręcznik, żeby samemu się osuszyć, a Tony stał przy brzegu, obserwując mnie ze złośliwą satysfakcją w oczach. Rzuciłam się w jego stronę, by może ucześcić się jego nogi i wciągnąć go za sobą, ale przejrzał mnie i odsunął się, gdy byłam już blisko. Nie odpuszczając, wygrzebałam się na brzeg i nawet nie zaczęłam wyciskać wody z włosów, tylko od razu rzuciłam się za najmłodszym z braci.

– Nie biegaj, bo się poślizgniesz i będziesz ryczeć, mała Hailie – upomniał mnie, przeskakując nad leżakiem.

– Zamknij się! – zawołałam.

– Pamiętasz, jak kiedyś wrzuciła cię do wody i myślała, że utopiła ci telefon? – zaśmiał się Dylan.

– Wtedy też się prawie poryczała. – Tony uśmiechnął się wrednie. Gdzieś w tle rozległ się chichot Shane’a.

– Ach tak? – warknęłam, kipiąc z nagłej złości. Moi kochani bracia potrafili wyprowadzić mnie z równowagi w ciągu kilku sekund. – Zobaczmy, jak bardzo będę ryczeć teraz!

Doskoczyłam do ręcznika, na którym niedawno wylegiwał się Tony, złapałam jego komórkę i z pełną premedytacją cisnęłam nią do wody.

– Ej!!! – wydarł się Tony.

Jego wredny uśmiech zniknął.

– Płyń po nią! – rozkazał mi, bombardując mnie wściekłym spojrzeniem.

– Sam sobie płyń.

Widząc, że w żaden sposób nie reaguję na jego słowa, rzeczywiście sam wskoczył do basenu.

Shane i Dylan, w ogóle niesolidarni w tym wypadku z naszym bratem, wyli ze śmiechu.

– Jeśli serio zniszczyłaś mi telefon... – powiedział Tony złowróżbnym tonem, gdy wydostawał się z basenu z komórką w dłoni.

– Dlaczego wy robicie tyle hałasu? – zapytał Will, który właśnie wyszedł z willi przez oszklone drzwi w towarzystwie ojca i Vincenta. Ci trzej zapewne rozpoczęli dzień w swoim stylu, czyli od poważnych dyskusji.

Dylan natychmiast odwrócił od nich urażony wzrok i mogłam tylko się domyślać, że jeszcze przed chwilą tak zapalczywie krytykował ojca ze względu na urażoną dumę – tego poranka nie został w coś włączony i musiał odreagowywać.

– Wrzuciła mi telefon do wody – poskarżył się Tony, teraz pocierając go ręcznikiem.

– Jest wodoodporny – prychnęłam, uciekając wzrokiem od spojrzeń najstarszych braci i ojca.

Cam przeczesał dłonią włosy, po czym machnął na świętą trójcę ręką, jakby nie miał czasu zajmować się ich dramataми. Zatrzymał jednak swoje baczne spojrzenie na mnie i przywołał mnie gestem.

– Podejź tu, królewno.

Posłusznie wypełniłam polecenie. Ojciec położył mi swoją dłoń na ramieniu i ścisnął je lekko.

– Co powiesz na spacer? – zapytał, a jego przenikliwe spojrzenie i pewność w głosie nie zostawiały miejsca na odpowiedź odmowną. – Pogadamy.

Niepewnie skinęłam głową.

Vincent obrzucił moje mokre ubranie pełnym dezaprobaty spojrzeniem i powiedział:

– Najpierw się przebierz.

– Jest rześko – potwierdził Will, który na pewno zaliczył dziś już swój bieg, zanim ktokolwiek otworzył oko.

Nie kazałam długo na siebie czekać. Ubranie zmieniłam ekspresowo, cały czas zastanawiając się, czy powinnam bać się rozmowy, którą chce przeprowadzić ze mną ojciec.

Jeszcze większych podejrzeń nabrałam, gdy okazało się, że do naszego spaceru ma dołączyć Vincent.



BUTELKA TEQUILI

Las był ładny, ale jego tajemnicza aura mnie przerażała i sama w życiu nie opuściłabym willi, by sobie po nim pochodzić. Z Vincentem i Camem kroczącymi przy moim boku byłam jednak bardziej skora do takich przechadzek. Podejrzewałam, że choć wyglądają niepozornie, to obaj się uzbroili.

Vince dziś też postawił na białą koszulę i ciemne garniturowe spodnie, Cam zaś ubrany był bardziej adekwatnie do otoczenia – miał na sobie dżinsy i zgniłozieloną koszulę w granatową kratę. Gdyby nie pasek i biżuteria, wyglądałby, jakby zmierzał do lasu rąbać drewno.

– Dlaczego nie możemy porozmawiać w willi? – zapytałam, rozglądając się niepewnie wokół. Nie ufałam temu lasowi, znałam tylko lasy w Pensylwanii, a i z nimi miałam trudną relację, od kiedy lata temu przytrafiło mi się w nim tyle krzywud.

– Żeby twoje rodzeństwo nie podsłuchiwało, to raz, a dwa... może uda nam się dotrzeć do wioski? Podobno ładna. – Cam wzruszył ramionami. – Lubisz takie rzeczy, nie, królowno? Może uda mi się jakoś uatrakcyjnić ci ten wyjazd. Odrobinę.

Pokiwałam głową. Objęłam się też ramionami. Czekałam, aż ojciec przejdzie do rzeczy.

– Rozmawialiśmy sobie z Vincentem, wiesz – zaczął, robiąc akurat duży krok nad jakimś krzaczkiem. – Wspomniał o czymś, co chciałbym z tobą wyjaśnić.

– Mhm... – mruknęłam z uprzejmym zainteresowaniem.

– Vince, zechcesz przybliżyć nam tutaj sedno sprawy? – zagadnął ojciec, zerkając przez ramię na swojego najstarszego syna. Milczący do tej pory Vincent szedł za nami, patrząc pod nogi, by się nie potknąć na nierównym terenie. Wiedziałam, że cierpliwie pozwala ojcu owijać w bawełnę, choć gdyby to od niego zależało, powiedziałby od razu, o co chodzi.

– Niepokoi nas, Hailie, twoja relacja z Adrienem Santanem.
Zbyt prędko uniosłam głowę.

– Jaka relacja? – parsknęłam. – Przecież nie mam z nim żadnej relacji.

– Wygląda na to, że jednak macie relację, która jest, w naszych oczach, Hailie, zbyt koleżeńska – powiedział ojciec.

– A... – mruknęłam, na powrót spuszcżając wzrok. – Nie macie się czym martwić. Ja go nawet nie lubię, daleko tu do koleżeństwa.

– Chodzi o swobodę. Powiedz mi, Hailie, jak Adrien się do ciebie odnosi?
Cam i Vincent wbijali we mnie wyczekujące spojrzenia, a ja oblizawałam wargi.

– Jest uprzejmy, czasem tylko rzuca irytującymi żartami.

– Wspomina o biznesie, gdy z tobą rozmawia?

– Nie, unika tego tematu.

– Czy kiedykolwiek czymkolwiek cię zaniepokoił? – zapytał Vincent.

– Eee... nie wiem, dziwny jest czasami – przyznałam. – W sensie, niby nie mówi nic strasznego, ale roztacza jakąś taką mroczną aurę. Trochę jak ty.

Vincent uniósł brew.

– Ale jego boję się odrobinę mniej – dodałam.

– Dobrze – skomentował Cam. – Bo nie musisz się go bać, królowno, ale jednak lepiej trzymaj go na dystans, okej?

– Staram się.

– Co w takim razie Adrien Santan robił w Barcelonie w tym samym barze, w którym bawiłaś się i ty, w noc ucieczki ojca, kiedy do ciebie zadzwoniłem? – zapytał Vincent. Szorstkość pobrzmiwająca w jego głosie była nieznośna. Zatrzymaliśmy się w miejscu.

– Sama nie wiem, słowo – odpowiedziałam z przejęciem. – Mówił, że jest w Barcelonie w celach biznesowych. A do knajpy wpadł, bo znalazł ją... znalazł ją w internecie.

– I to był jedyny raz, gdy się wtedy widzieliście? – upewnił się Cam.

Zawahałam się.

– Odpowiedz na pytanie – polecił z naciskiem Vincent, coraz bardziej mrużąc oczy.

– Niewykluczone, że wieczór wcześniej byłam z nim w muzeum – wymamrotałam cicho.

Mój ojciec i brat wymienili spojrzenia.

– W muzeum? – syknął Vince.

Cam nachylił się, podpierając się dłonią pnia pobliskiego drzewa.

– Powtórz, królewno.

– Celowo wybrałam jakąś mało ekscytującą wystawę, żeby go zanudzić!

– Ty wybrałaś? – powtórzył ojciec, z trudem kryjąc zaskoczenie. – Królewno, czy to ty go zaprosiłaś?

– Zrobiłam to, bo wisiałam mu przysługę... Ja... – Urwałam, bo czułam, że powoli zaczynam się denerwować i tracę zimną krew.

Ojciec i Vincent wymienili spojrzenia kolejny raz.

– Co masz na myśli, drogie dziecko, mówiąc, że „wisiałaś mu przysługę”?

Westchnęłam głęboko, rzucając tęskne spojrzenie w stronę widocznej w oddali willi. Szkoda, że dałam się wyciągnąć na ten spacer. Znaleźć się pod ostrzałem spojrzeń Vincenta i Cama to wyjątkowo niekomfortowe doznanie.

– Skontaktowałam się z nim po tym wydarzeniu pod klubem, gdy zdenerwował się na Dylana i kazał go zawiesić. Szkoda mi było Dylana i czułam się winna, więc postanowiłam przekonać Adriena, żeby...

Ojciec odszedł kawałek w bok, jakby potrzebował przetrwać tę informację, a potem wrócił i wycelował palcem w Vincenta, ledwo powstrzymując złość.

– Wiedziałaś o tym?

– Oczywiście, że nie.

Mój najstarszy brat patrzył z kolei na mnie.

– Skąd ci przyszło do głowy, że kontaktowanie się z Adrienem to dobry pomysł, co, królewno? – zapytał ojciec. Mówił ostrym, surowym tonem i zapewne dlatego dorzucił na koniec tę „królewne”.

Rozłożyłam ręce.

– Dylan był taki przybity, że wtedy wydawało się to całkiem dobrym wyjściem z sytuacji.

– Rozmawianie na własną rękę z członkiem Organizacji nigdy nie jest dobrym wyjściem z sytuacji. Zapamiętaj to sobie – powiedział dobitnie ojciec, przetrąwszy czoło, jakby bardzo zmęczyła go moja głupota. – Santan też nie powinien brać tego na poważnie. Co on sobie myśli? Stawianie warunków? Żądanie przysług? Czy to nie jest wbrew zasadom?

Vince pokręcił głową.

– Hailie sama do niego poszła – przypomniał z powagą.

Cam przeklął pod nosem, ale zaraz się ożywił.

– A czy cię tknął, królewno? Powiedz mi, choćby to było tylko raz.

Zażenowana spuściłam wzrok na ściółkę.

– Czy jeśli to ja na niego upadłam podczas turbulencji w samolocie, to się liczy?

Cam i Vince unieśli brwi.

– Jak wtedy zareagował? – zapytał ojciec.

– Zrzucił mnie z siebie.

– Pilnuje się – powiedział Vincent.

Cam pokiwał głową, zerkając na niego.

– Skubany tańczy na granicy, ale jej nie przekracza.

– Co to znaczy? – zapytałam.

– Nie wiadomo, czego on chce, Hailie. Trzeba mieć się na baczności. – Cam ponownie przeczesał włosy, myślami krążąc gdzieś daleko. – Nie wdawaj się z nim w rozmowy, które wykraczałyby poza wymianę podstawowych uprzejmości.

– Okej – szepnęłam.

Cam położył mi dłonie na ramionach, a ja poczułam, jakbym była uwięziona. Patrzył na mnie poważnym wzrokiem.

– Nie kontaktuj się z nim, unikaj go, mówię serio.

– Dobrze, tato.

Jedną dłoń zabrał, a drugą położył na moich łopatkach.

– Przejdźmy się jeszcze – zaproponował, starając się brzmieć łagodnie.

– Jesteś na mnie zły? – zapytałam go.

Najpierw wyglądał, jakby chciał odpowiedzieć, że tak, ale szybko westchnął i pogładził mnie po plecach.

– Jasne, że nie, królewno.

Uśmiechnęłam się nieśmiało, kątem oka widząc, jak Vincent wznosi oczy do nieba.

– Ale ja jestem – powiedział chłodno.
– Vince... – upomniał go ojciec.
– Nie chcę słyszeć, że kontaktujesz się z Santanem. Jeśli następnym razem zjawi się gdzieś w pobliżu ciebie, chcę, żebyś natychmiast mnie o tym poinformowała. Zrozumiano?

Skinęłam głową.

– Tak jest, Vince.

Przez chwilę zdawało się, że jeszcze mu mało upominania, ale ostatecznie dał sobie spokój i nic już więcej nie powiedział.

Ojciec wypytał mnie o studia i życie w Hiszpanii, żartobliwie ostrzegając mnie, żeby mi się tam za bardzo nie spodobało i żebym nie postanowiła zostać, bo przecież bracia się zapłaczą.

Uśmiechałam się zadowolona, że trudny temat już za nami i możemy się wyluzować. Co jakiś czas przełykałam tylko ślinę, gdy do moich myśli wdzierало się wspomnienie czekoladowych oczu Santana.

Tłumaczyłam sobie, że to moja głupia głowa drwi ze mnie i celowo podsuwa mi obrazy, których nie chcę oglądać.

– O, chyba doszliśmy do wioski – zauważył Cam. – Widać już pierwszą chałupę.

– To jest ta wioska? – zdziwiłam się. – Dwa budynki na krzyż?

– Ciągnie się wzdłuż drogi, więc tam dalej jest ich nieco więcej, ale tak, z tego, co słyszałem, nie jest duża.

– Czy to dla ciebie bezpieczne, żeby się tu pojawiać? – Zagryzłam wargę.

– Toż to odcięta od świata dzicz. Nie wiadomo, czy ludzie w ogóle mają tu internet.
– Cam przystanął i się rozejrzał. – Cóż, myślałem, że będzie tu urokliwiej.

– Wracamy do willi – zarządził Vincent, wzrokiem pełnym niechęci wodząc po starych, obdrapanych budynkach, które wyrosły przed nami. Zdawało się, że zostały wybudowane bez żadnego ładu, losowo poustawiane na nieregularnie wykarczowanym terenie.

– Może tylko obrzeża są takie paskudne? – zastanawiał się głośno Cam. Na nadgarstku grzechotała mu bransoletka, gdy gładził się dłonią po karku.

– To oddalona od cywilizacji meksykańska wioska – burknął Vincent. – Nie wygląda jak ukryty skarb narodu. Nie wchodzimy tam.

– Celowo tak wybrałem, żeby się zaszyć w tej bezpieczniejszej części kraju – mruknął Cam, rozglądając się.

Skanowałam wzrokiem scenerię przed sobą – drzewa, mnóstwo zieleni oraz kilka budynków. Tam dalej faktycznie wyrastało ich jeszcze parę. Cóż, nie była to najładniejsza wioska, jaką widziałam, ale może właśnie to było w niej klimatyczne...

– Chyba widzę bar – powiedziałam nagle, zdziwiona.

Miałam na myśli niewielki domeczek z wieloma pudłami poustawianymi przy wejściu i czymś na kształt starego plastikowego stolika z dwoma kulawymi krzesłami.

– Zawracamy – powtórzył z naciskiem Vincent.

Spojrzałam na niego.

– Nie chcę przecież tam wchodzić, mówię tylko, co widzę.

– Żałuję, królowno, bo chętnie bym się tu z tobą poszwendał, ale nie zabiorę cię w miejsce, które nie wzbudza mojego zaufania – powiedział Cam, obejmując moje plecy jedną ręką. – Trudno. Szkoda, bo tubylcy, u których załatwiałem wille i jeepy, twierdzili, że to świetne miejsce, gdzie produkuje się najlepszą, nieznaną światu tequilę.

– Nie szkodzi, może lepiej, żeby pozostała nieznaną – zachichotałam dla rozluźnienia atmosfery, bo od Vincenta napięcie niemal promieniowało.

Mój brat nawet się nie uśmiechnął. Już mieliśmy się wycofać i ruszyć w stronę willi, gdy naszą uwagę przykuł jakiś ruch. Vincent zmarszczył brwi, a jego prawa ręka automatycznie spoczęła na broni, którą, jak właśnie zauważyłam, miał wsuniętą na plecach za pasek spodni. Nie wyciągnął jej, ale widocznie nie ufał temu miejscu i zamieszkującym je ludziom na tyle, by już na widok pierwszej napotkanej osoby upewnić się, że pistolet ma w zasięgu ręki.

Wiedziałam, że i ojciec na pewno nie wypuścił się na spacer bez broni, dlatego szepnęłam z wyrzutem:

– Czyli tylko mnie nie uzbroiliście?

– Ciii... – Cam przyłożył palec do ust i zmrużonymi oczami wpatrywał się w chudego mężczyznę, który patrzył na nas z daleka. Stał w powyciąganych ubraniach tuż przy obdrapanym budynku, w którym wcześniej dopatrzyłam się baru.

– Przestańcie, to po prostu jakiś człowiek. Tylko nie wyciągajcie broni, na Lorda, bo wprowadzacie nerwową atmosferę – upomniałam ich cicho, jako jedyna uprzejma

osoba w tym towarzystwie, a potem pomachałam do nieznanego, mówiąc głośno po hiszpańsku: – Jesteśmy tylko turystami! Już sobie idziemy!

Mężczyzna drgnął i odrobinę się ożywił, usłyszawszy swój język.

– Turyści? – wycharczał zaskoczonym, niepewnym głosem.

– Tak, *los turistas* – przytaknął Cam. Łypał na niego podejrzliwie, ledwo się powstrzymując, by nie wyjąć broni. Nieznajomy zachęcał go do tego co najmniej swoim niewzbudzającym ani odrobinę zaufania wyglądem.

– Słyszeliśmy, że macie tu wspaniałą tequilę, więc zajrzeliśmy, ale no... Raczej już sobie idziemy – kontynuowałam.

Mężczyzna mrużył oczy i rozdziawiał usta. Brakowało tylko, by pociekła z nich strużka śliny. Chyba faktycznie nieczęsto miewano tu gości z zewnątrz, skoro tak się dziwił na nasz widok. Marszczył też ciągle brwi, jakby nie do końca rozumiał, co ja mówię i zastanawiałam się, czy to wina mojego akcentu, czy może te trudności w komunikacji wynikały z jego nierozgarnięcia. Nie wyglądał bowiem tylko na wymizerowanego w pojęciu zagłodzonego lub przepracowanego. Przypominał trochę zombie i poczułam nieprzyjemny skurcz w żołądku. Może lepiej stąd uciekać.

Vincent podzielał mój niepokój – w porównaniu do mnie nawet nie próbował silić się na uprzejmości. Zacisnął dłoń na moim przedramieniu.

– Jeśli w tej chwili się nie wycofasz, odciągnę cię siłą – zagroził cicho.

– Przecież idę – mruknęłam, posłusznie ruszając w jego stronę.

– Nieważne, eee... *gracias* – powiedział ojciec, machnąwszy ręką. W jego głosie, mimo że stanowczym i mocnym, też pobrzmiwało zawahanie i może nawet obawa.

Brwi tubylca nastroszyły się jeszcze bardziej. Zrobił kilka powolnych kroków w naszym kierunku. Przestał tak bardzo mrużyć powieki. Musiał to robić często, bo spaloną od słońca, zapewne długotrwale, twarz pooraną miał głębokimi zmarszczkami, szczególnie właśnie w okolicy oczu. Je same miał jakby zamglone. Przyszło mi na myśl, że tak mógłby wyglądać człowiek, który obudził się z kilkusetletniej drzemki. Książka, którą kiedyś czytałam, miała taki motyw. Opisywany w niej bohater w mojej wyobraźni wyglądał podobnie do człowieka przede mną.

Zadrzałam, gdy przypominałam sobie zakończenie tamtej historii. Bohater ten okazał się jakimś zaschłym wampirem ludobójcą, który wymordował prawie wszystkie postacie.

Vincent, jakby usłyszał moje myśli, wycofał się ze mną jeszcze bardziej stanowczo. Trzymał rękę na moich plecach i popychał mnie w kierunku, z którego przyszliśmy.

Cam został w miejscu, a nawet wyciągnął szyję. Napiął się, ale ostrożnie też badał tubylca wzrokiem.

– E, wszystko dobrze? – zapytał z wahaniem. – Potrzebujesz pomocy? *Ayuda?*

Nadal trzymał dłoń przy broni.

Miałam złe przeczucia.

– Tato – ponagliłam go, czując ciarki na plecach. Jednocześnie poczułam ulgę, że mój ojciec zainteresował się stanem tego człowieka. Może tak naprawdę był chory i potrzebował opieki?

– Dziwny jest – mruknął Cam, wyrażając na niego wzrok.

– Dlatego stąd idziemy – ponaglił nas Vincent.

Akurat się odwróciłam, by zobaczyć, czy ojciec już ruszył za nami. Przypadkowo nawiązałam kontakt wzrokowy z tubylcem. Znieruchomiałam pod wpływem tego spojrzenia. Spodziewałam się dostrzec w nim cierpienie lub zdezorientowanie, ale zdecydowanie przeważało w nim szaleństwo. I zaraz mężczyzna zamiast z książką, zaczął kojarzyć mi się z grą komputerową. Taką, w którą grywali czasem bliźniacy i Dylan. Polegała na rozwaleniu jak największej liczby zombiaków. Rzadko miałam okazję dobrać się do pada (nie, żebym jakoś strasznie się do niego wyrwała), ale kiedyś mi się udało i nawet pokonałam Tony'ego. Obraził się na mnie i pamiętam, że chodził jak struty przez równe dwa dni.

Człowiek przed nami różnił się od stworów z gry świętej trójcy chyba tylko tym, że on też okazał się uzbrojony.

Wybałuszyłam oczy, gdy zaskakująco gwałtownym ruchem wydobyl broń z tylnej kieszeni swoich zbyt luźnych, brudnych spodenek.

Mój brat i ojciec zareagowali nerwowo – Vincent szarpnął mną mocniej, bym schowała się za jego plecami, i natychmiast wycelował swoją broń w twarz mężczyzny, a i Cam przestał cziąć się ze swoim pistoletem.

– Cofnij się! – zagrmiał, momentalnie wyzbywając się empatii w stosunku do nieznanego. – *Paseo atrás*, do tyłu, w tej chwili!

Mężczyzna, widząc wycelowane w siebie lufy, z przerażeniem wytrzeszczył oczy i krzyknął głośno. Broń w jego dłoniach zadrżała wraz z nimi. Spojrzał na nią zaskoczony, jakby nie zarejestrował momentu, w którym ją wyciągnął.

– To narkoman – syknął do nas ojciec, jakbyśmy się sami do tej pory jeszcze nie zorientowali. – Jest pod wpływem jak nic.

Przykre to dla mnie było i może nawet bym się zasmuciła, gdyby nie to, że całe to zamieszanie, jakie spowodowaliśmy z pomocą nieznanego, przyciągnęło uwagę kilku osób z wioski. Ktoś wyłonił się z innego domu, stojącego w pobliżu, a jakaś starsza kobieta rozdziawiła usta i zawołała coś o broni – trudno było mi ją zrozumieć ze względu na jej akcent. Z baru, obok którego się znajdowaliśmy, wyleciał mężczyzna z pistoletem w ręku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest trzeźwiejszy, a więc zapewne miał stabilniejszy chwyt od swojego wycieńczonego kolegi. No i, jeśli dojdzie do strzelania, miał mieć z pewnością lepszego cela.

Intuicja Vincenta co do tej wioski była nieomylna.

Przełknęłam ślinę, zerkając na brata. Trudno mi było uwierzyć w to, co się dzieje. Chciałam zawołać do tych ludzi, że my nikogo nie atakujemy, że po prostu sobie spacerujemy i szukamy tequili, bo przecież mieli tu z niej słynąć, ale Vince nie dał mi czasu na tłumaczenia. Zaczął się wycofywać, napierając na mnie. Odwracałam się co chwilę, by sprawdzić, czy nikt nas nie zachodzi od tyłu, i pilnowałam, żebyśmy nie weszli w drzewo.

– Zabierz ją stąd! – zawołał Cam.

– Ty też się stąd zabieraj! – odkrzyknęłam do ojca.

Ktoś zaczął coś wrzeszczeć i wtedy ten przerażający mężczyzna nagle zawył, tym razem z kolei przywodząc mi na myśl wilkołaka. Pewnie zrobił to ze strachu, ale zabrzmiało to, zupełnie jakby ojciec lub Vincent go postrzelili. Facet z baru najwidoczniej uznał to za sygnał do otwarcia ognia, bo wycelował w Cama i oddał strzał.

Vincent się zatrzymał, a ja stłumiłam jęk, przyciskając dłonie do ust. Miałam wrażenie, że moje wnętrze ściera się o lód. Spanikowana modliłam się, by tubylec chybił.

Cam upuścił pistolet na drogę i syknął głośno, łapiąc się za prawe ramię.

Zacisnęłam kurczowo palce na nadgarstku Vincenta.

Widziałam, jak mój najstarszy brat celuje. Marszczył brwi w pełni skupiony, twarz miał napiętą. Nie drżał, nie wahał się, a nawet nie spocił. Rzadko widywałam Vincenta w akcji. Rzadko sięgał po broń. Ostatnio trzymał ją w ręku na moich oczach, gdy zrobiliśmy sobie z braćmi turniej na strzelnicy w Rezydencji Monetów. To było

jesienią, w jeden z tych długich wieczorów. Pamiętałam, że strzały Vince'a były bezbłędne i cóż, od tamtego czasu nic się nie zmieniło.

Usłyszałam huk, gdy Vince pociągnął za spust, a potem rzucił coś lodowatym głosem. Jego hiszpański był słaby, ale w tych okolicznościach kilka ostrych jak brzytwa słów wystarczyło, by go zrozumiano. Inni ludzie, którzy wyszli wcześniej zobaczyć, co się dzieje, już się chyba pochowali, nie wiem, bo skupiłam się na ojcu. Cam stał pewnie na nogach i nie wyglądał, jakby miał się zaraz osunąć, ale trzymał się za ramię i widać było, że dostał.

Kiedy Vince był zajęty lustrowaniem otoczenia, ja wyślizgnęłam się zza niego i zgięta wpół podbiegłam do taty. W tym samym momencie tubylec, który go postrzelił, z przerażeniem w oczach patrzył na ziemię. Upuścił na nią pistolet, gdy Vincent trafił w jego rękę. Po palcach spływała mu strużka krwi. Broda i usta mu drżały, jakby chciał zawyc z bólu, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przycisnął dłoń do boku, krzywiąc się i jedyne, na co było go stać, to przytłumione pojękiwania. Powoli zaczął się wycofywać i zanurkował za pudła. Piętrzyły się pod barem, z którego wcześniej wybiegł i pomyślałam sobie, że bardzo możliwe, iż znajdowały się w nich nieszczęsne butelki tequili.

Drugi człowiek, ten otumaniony, patrzył na swojego towarzysza tępo. Nie rozumiał, co się dzieje, nadal był w zupełnie innym świecie i nawet huk wystrzału nie sprawił, że się z niego ocknął. Nie wpadł nawet na to, żeby skorzystać ze swojego pistoletu, który trzymał w dłoniach. To był absolutny chaos.

Na skorzystanie z broni zdecydowałam się za to ja. Zwinnym ruchem sprzątnęłam z ziemi upuszczony pistolet ojca. Mężczyzna z wioski patrzył na lufę wybałuszonymi oczami, bo przypilnowałam, by została wycelowana w jego twarz.

– Uciekaj! – rozkazałam mu i nie musiałam się powtarzać, bo z uniesionymi rękami zrobił w tył zwrot i poleciał do swoich.

– Ty, królewno – sapnął ojciec i wyciągnął do mnie drżącą, zakrwawioną rękę, którą przyciskał przed chwilą do rany. – Oddaj mi to.

– Nie oddam, ledwo trzymasz się na nogach – syknęłam. – Musimy stąd iść. Możesz chodzić?

– Może – odpowiedział za niego sztywno Vincent. Właśnie zjawiał się przy nas, nie odrywając uważnego spojrzenia od zabudowań. Wiedział, że spokój, który tam

nastąpił, był tylko chwilowy i należało się stąd zbierać. – Postrzelono go w ramię, nogi ma całe.

Obrzuciłam wystraszoną spojrzaniem ojca, który krzywił się z bólu. Serce waliło mi jak oszalałe.

– Oddaj mi broń, Hailie – powołał prośbę Cam, tym razem wyciągając dłoń bardziej stanowczo.

– Hailie zachowaj broń – oznajmił Vincent tonem nieznoszącym sprzeciwu. – W tej chwili zrobi z niej lepszy użytek niż ty.

Ojciec stęknął z wysiłku. Potrzebował sił na walkę z bólem, dlatego brakowało mu jej na dyskusję z Vincentem.

– Do tyłu! Nie oglądajcie się za siebie! – rozkazał mój brat.

Powoli udało nam się wycofać z powrotem w głąb lasu. Vincent szedł z tyłu i nas osłaniał, nie spuszczać baczniego wzroku z zabudowań wioski. Gdy te zniknęły nam z oczu, odetchnęliśmy i dopiero wtedy odważyliśmy się rzucić biegiem w stronę willi. Gdybym była w dobrym nastroju do żartów, to wytknęłabym Vincentowi, że na pewno żałuje założenia dziś koszuli. Udało nam się zachować dobre tempo przez jakąś minutę, po której Cam zaczął oddychać coraz głośniej i zwalniać, aż w końcu się zatrzymał.

– Dogonię was – powiedział, przytrzymując się drzewa.

– Możesz ruszać ręką? – zapytałam ze zmartwieniem, cofając się do niego.

– Jest okej, to tylko trochę krwi. Lećcie do willi. Chcę, żebyście znaleźli się jak najdalej od tej cholernej wiochy.

– Nikt nas nie ściga – zauważyłam, rzucając szybkie spojrzenie za siebie. – Pokaż ramię.

– Vince, zabierz ją stąd.

Vincent przestał wypatrywać ewentualnej pogoni i popatrzył na ojca.

– Ona ma rację. Pokaż ramię.

Cam zaklął, a ja rzuciłam bratu zaskoczone spojrzenie.

Ojciec zrozumiał, że nie ustąpimy, i by nie tracić czasu, w końcu posłuchał i prawie rozerwał koszulę, żeby odsłonić ranę. Zacisnęłam zęby na jej widok – ramię było całe we krwi i trudno było zobaczyć, którędy weszła kula. Wiedziałam, że jako studentka medycyny powinnam pomału uodpornić się na takie widoki.

– Nic mi nie jest, to nic – burczał pod nosem Cam, gdy razem z Vincentem oglądaliśmy miejsce postrzału.

– Przeszła na wylot – mruknął Vince z wyraźną ulgą.

– Ale potrzebuje szwów – oceniłam.

– Już pędzę do szpitala – prychnął ojciec, wyrrywając nam swoje ramię. – Jak się zaraz stąd nie ruszycie, to...

– Ruszymy się razem, powoli – zaproponowałam, przylegając do jego boku i uśmiechając się słodko, by go udobruchać. – Postaraj się tylko unieść rękę, tak żeby krew nie spływała.

– Dam radę – warknął do Vincenta, który pojawił się po jego drugiej stronie.

– Tracisz krew, jesteś coraz słabszy. Robię to, żebyś nas nie spowalniał – wyjaśnił mój brat i ojciec dał za wygraną.

Spory odcinek drogi pokonaliśmy biegiem, więc willa powinna pojawić się pośród drzew już niedługo. Co jakiś czas zerkaliśmy za siebie, by się upewnić, że nikt za nami nie podąża. Ojciec oddychał coraz ciężiej; było widać, że opada z sił. W pewnym momencie musiałam zamienić się z Vince'em stronami – żeby to mój brat podtrzymywał ten jego słabszy bok.

– Co to w ogóle było? – zapytał w pewnym momencie Cam, przystając, by uspokoić oddech. – Stado ćpunów! Jak tylko dorwę tego, co mi tę wiochę tak zachwalał na spacer z córką, to...

– Może to było nieporozumienie – zasugerowałam. – No wiesz, ten dziwny facet wydawał się sam nie ogarniać, że wyjął broń, wyście zareagowali wyjęciem swojej, ktoś krzyknął, chwila zamieszania...

– Zrównam z ziemią tę ich wioseczkę – sapnął ojciec.

– Najpierw trzeba opatrzyć twoją ranę – odezwał się Vince, wskazując na drogę przed nami. – Jesteśmy już blisko.

Odetchnęłam z ulgą, gdy wreszcie wśród drzew dostrześliśmy ogrodzenie okalające teren wokół willi. Dylan i Will grali w badmintona, odsunawszy wcześniej na bok większość leżaków, Shane wyciągał się na ręczniku, coś chrupiąc, a Tony dryfował w basenie na dmuchanym materacu. Rozległ się plusk, gdy z niego zeskoczył, dostrzegłszy mnie i Vince'a wyjątkowo ostrożnie sadzających zakrwawionego ojca na krześle.

– Przynieście apteczkę!

– Co jest?! – zawołał Dylan, odrzucając w bok raketkę. Odległość dzielącą go od nas pokonał sprintem.

– Postrzelono go – wyjaśnił lakonicznie Vince, skupiając się na zdjęciu z ojca koszuli.

– Jak?!

– Kto? – zapytał Will, też błyskawicznie się przy nas materializując. On wciąż trzymał swoją raketkę – zaciskał na niej palce jednej dłoni tak mocno, że aż zbieleły.

– Niedaleko stąd jest wioska, w której chyba nie jesteśmy mile widziani – powiedziałam.

– Co?!

– Wioska?

– Jaka wioska, co za wioska?

– Apteczka...

– Mam – zawołał Shane, rzucając kuferek na stół.

– Nic ci nie jest? – zapytał Will, głaszcząc mnie po plecach.

Pokręciłam głową.

– Tacie trzeba dać antybiotyk – zarządziłam. – I zatamować krwawienie. Uważam, że trzeba jechać do szpitala.

– Żadnych szpitali – jęknął ojciec.

– Przecież on się ukrywa – zauważył Shane.

– Potrzebuje szwów!

– Mamy szwy w apteczce... – powiedział Cam, odchylając głowę.

– Są – potwierdził Will i zerknął na mnie z powątpiewaniem.

Vince też.

– No to w czym problem? – zapytał Shane. Jego czoło świeciło się od potu. – Hailie, załóż mu je!

Wybałuszyłam oczy.

– Ja?! – Aż walnęłam się dłonią w klatkę piersiową.

– Kto tu studiuje medycynę?

Wszyscy bracia gapili się na mnie.

– No właśnie, studiuje! Nie pracuję jeszcze w szpitalu! – zawołałam z paniką.

– Nie uczyli was tam szycia?

– Na bananach, ale to była bardziej taka zabawa... – wymamrotałam, a ze stresu aż zaplątał mi się język.

Święta trójca uniosła brwi, nawet Vince na mnie zerknął.

– Skórka banana to dobra alternatywa do ćwiczenia technik szycia – zacytowałam swojego profesora.

– Chcesz, to mogę ci przynieść banany, są w kuchni – zaoferował Shane.

– Niby po co mi teraz banany?!

– Nie wiem, próbuję pomóc, okej?!

– Królowno, nie trzeba, nic mi nie będzie – wtrącił się ojciec, łapiąc mnie za dłoń. – Chwila moment i wszystko się ładnie zagoi.

Spojrzałam z powątpiewaniem na jego białą jak papier twarz, a potem na krwawiącą ciągle ranę. Następnie popatrzyłam po twarzach braci – każdej po kolei. Wszyscy wpatrywali się we mnie z wyczekiwaniem i niemocą.

Wzięłam głęboki wdech i skinęłam głową.

– Okej – powiedziałam, siląc się na zdecydowany ton. Wyprostowałam się i rozejrzałam. – Tato, wyciągnij rękę i trzymaj ją w tej pozycji. Vince, pilnuj, żeby było jak najmniej krwi, osuszaj ranę regularnie. Will, będziesz mi świecił latarką w telefonie. Dylan, podaj mi ten preparat do dezynfekcji. Shane, przynieś mi gumkę do włosów. Tony, a ty wodę. Mnie i tacie.

Wypełniali moje polecenia posłusznie i bez gadania, jak nigdy.

A gdy się już nawodniłam, spięłam włosy, umyłam i zdezynfekowałam ręce, założyłam rękawiczki i złapałam w palce igłę oraz nić.

I zaczęłam.



24

BĘDZIESZ WSPANIAŁA

Szorowałam dłonie pod wodą już trzecią minutę, mimo że pracowałam w rękawiczkach.

Każdy zakrwawiony kawałek gazy oddałam Dylanowi, który gdzieś je wyniósł. Chłopcy asystowali mi dzielnie – może poza Tonym, któremu zrobiło się słabo i odszedł na bok, żeby zapalić papierosa. Na co dzień udawało mu się ograniczyć palenie prawie do minimum i teraz odprowadziłabym go spojrzeniem pełnym wyrzutu, gdyby nie to, że musiałam się skupić na szyciu rany postrzałowej ojca.

Cam był twardy i żeby ulżyć sobie w bólu, popijał pokażne ilości tequili, o ironio. Nie była to butelka ze słynnej wioski, a jedna z wielu innych, które walały się po tej ukrytej w meksykańskim lesie willi. Dylan przyniósł mi pierwszą lepszą, gdy tata zażądał dostarczenia sobie znieczulenia.

Z początku planowałam przegonić Vincenta, bo sterczał nade mną i gapił mi się na ręce swoim oceniającym spojrzeniem gorzej niż wszyscy moi wykładowcy razem wzięci, ale finalnie odkryłam, że jego bliskość niespodziewanie mi pomogła. Był pierwszą osobą w tym gronie, która zaoferowała mi się dokończyć szycie za mnie, nawet jeśli nie miał o tej czynności pojęcia. Vince po prostu był stworzony do misji niemożliwych i takie wsparcie tuż obok okazało się bezcenne.

– Dobra robota.

Uniosłam wzrok znad umywalki. Will stał na progu łazienki, oparty ramieniem o futrynę.

– To było traumatyczne – wymamrotałam, w końcu zakręcając kran. Osuszyłam rękę i stanęłam przed bratem, rozluźniając spięte ramiona.

– Jesteś niesamowita, malutka, i bardzo nam wszystkim zaimponowałaś – powiedział.

Rozłożył ręce, a ja bez zastanowienia do niego przyłgnęłam. Przymknęłam powieki, wdychając jego świeży zapach, który kojarzył mi się z ukojeniem już od samego początku, kiedy to zobaczyłam go po raz pierwszy. Wtedy, na lotnisku.

– Jak się czuje tata?

– Nic mu nie będzie, to twardeł – zapewnił żartobliwie Will, pocierając moje plecy. – Odpoczywa.

– Dobrze, ma odpoczywać – mruknęłam do siebie. – Za jakiś czas trzeba będzie zdjąć mu te szwy, tylko nie wiem, czy...

– Nic się nie martw, on już sobie poradzi.

– Poradzi sobie? – Odsunęłam się od niego, by rzucić mu spojrzenie pełne niedowierzania. – Ściąga na siebie kłopoty jak magnes...

– ...ale zawsze spada na cztery łapy – dokończył za mnie Will. – Zareagowałaś, pomogłaś mu, a teraz on sam o siebie zadba.

– Żyję sobie za granicą, studiuję i wszystko jest normalnie. A jak tylko spotkam się z rodziną, to dzieją się cyrki: ktoś doprawia mi drinka w klubie, lecę prywatnym samolotem z podejrzanym współnikiem moich braci, biorę udział w strzelaninie w jakiejś zapomnianej przez Boga meksykańskiej wiosce, a na koniec zszywam ranę postrzałową swojemu ojcu... – wymieniałam.

Nakręciłam się i mówiłabym dalej, gdyby Will znowu mnie nie przytulił.

– Wiem, jak to wygląda – westchnął. – I nie mam na to żadnego wytłumaczenia. Sam nie wiem, dlaczego tak się dzieje.

– Nie szkodzi. Ty też w tym siedzisz.

Will zaśmiał się i trącił mnie delikatnie w brodę.

– Razem w tym siedzimy.

Objęci przeszliśmy do pokoju dziennego. Ojciec leżał wyłożony na podłużnej kanapie o nowoczesnym kształcie kopniętego kwadratu. Oczy miał zamknięte, ramię

opatrzone i zabandażowane, a w dłoni zdrowej ręki trzymał butelkę tequili. Wyglądał jak pijak i gdybym nie wiedziała, co przed chwilą przeszedł, przeraziłabym się jego stanem.

Poczułam ukłucie niepokoju; nie czułam się tu bezpiecznie. Wnętrza willi – choć gustowne i nowoczesne, były dla mnie obce, bo nie zdążyłam się tutaj zaadaptować. Czułam się przytłoczona, gdy zerkalam w wielkie okna, za którymi majaczył las, do którego zdążyłam się mocno uprzedzić.

– Czy fakt, że w odległości spaceru znajduje się wioska, w której ktoś postrzelił tatę, powinien nas martwić? – zapytałam.

Vincent zerknął na mnie, zanotowawszy moją obecność, i z pewnością usłyszał moje pytanie, ale że kręcił się kawałek dalej w kuchni z telefonem przy uchu, nie odpowiedział. Ojciec również milczał, nie otwierając oczu, a poza tymi dwoma nie było tu nikogo więcej.

– Gdzie Dylan i bliźniacy?

– Spacerują – odparł Will, sprytnie przesunawszy mnie w stronę fotela, na którym usiadłam.

– Chyba tam nie poszli? – przeraziłam się.

– Tylko się rozglądają, czy wszystko jest w porządku – uspokoił mnie.

– Jesteście pewni, że tam nie poleżą?

– Dostali instrukcje.

– Mhm, instrukcje – westchnęłam, kręcąc głową.

– Spokojnie, królowno, rozmawiałem z nimi – odezwał się tata. Otworzył wreszcie oczy i spojrzał na mnie. – Wyraziłem się jasno, że nie będziemy robić żadnych burd. Ten postrzał potraktujemy jak wypadek przy pracy, nieporozumienie.

– I chłopcy tak po prostu przyjęli to do wiadomości? – Uniosłam sceptycznie brwi.

– Nawet oni wiedzą, że nie jesteśmy jakimiś porąbanymi gangusami. To nie strzelanka. Nie będziemy wkurwiać miejscowych.

– Spokorniałeś w tym więzieniu – zauważył Will, uśmiechając się lekko, czym zasłużył sobie u taty na spojrzenie spode łba.

– Nie pomył się, synu, i nie pomyśl, że podkulam ogon ze strachu przed jakimiś kmiotkami z dżungli – warknął, pociągnawszy z butelki. – Ja tylko mam wystarczająco dużo oleju w głowie, by nie robić ze swoich dzieciaków mięsa armatniego.

– I dlatego wysłałeś na zwiady świętą trójcę? – zdumiałam się. – Nie znam nikogo bardziej porywczego niż oni. Dylan i Tony pewnie właśnie czają się w krzakach podczas strzelaniny, którą rozpętali.

– Musieli ochłonąć, więc poszli – odparł Cam. – Nic się nie bój, królewno, jak chcą, to potrafią się słuchać, zaręczam ci.

Opadłam na miękkie poduchy oparcia.

– Czy nie lepiej byłoby stąd wyjechać? – zapytałam, przecierając swoją zmęczoną twarz obiema dłońmi.

– Wyjeżdżamy – westchnął ojciec. – Wyjeżdżamy. Jutro.

Opuściłam dłonie.

– Dokąd?

– Ja w swoją stronę, królewno, a wy w swoją. – Pokiwał głową, widząc, jak przygryzam dolną wargę. – Może to był imbecylnie zaanonsowany przez wszechświat znak, że nasze spotkanie zdarzyło się nie w porę i powinno zostać skrócone? I tak oderwałem was od waszych codziennych spraw. Wspaniale było was zobaczyć, dobrze, żeście tu przyjechali. Liczę, że gdy wszystko się unormuje, uda nam się widywać częściej. No i następnym razem najsensowniej będzie, jeśli wybiorę, co, jakąś bezludną wyspę, he? Żeby nie było żadnych niespodzianek. W porządku?

Zacisnęłam usta.

– Denerwuje mnie, że ktoś cię właśnie postrzelił, a ty zachowujesz się tak, jakby to była normalna sprawa.

– Nie jestem tym zachwycony. Ta cholerna rana strasznie mnie ciągnie. Chociaż szwy są bezbłędne, spisałaś się na medal, córeczko, dziękuję. – Mrugnął do mnie. – Co zrobić, takie życie, czasem trafi się na oszołoma. To nic nowego. – Cam wzruszył ramionami, a przynajmniej spróbował, ale wtedy go zabolalo i się skrzywił.

– Po prostu... – Zawahałam się. – Bądź bezpieczny, dobra?

Twarz taty złagodniała. Wyciągnął do mnie zdrową rękę.

– Podejdiesz do mnie, proszę?

Oczywiście, że wstałam i podeszłam. Pozwoliłam mu też ująć swoją dłoń, gdy przysiadłam na brzegu kanapy. Wokół unosił się charakterystyczny zapach maści zmieszany z alkoholem.

– Will, Vince, idźcie się przespać. Potem zmienicie chłopców – polecił Cam, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Będą stali na czatach całą noc? – zdziwiłam się.

– Nie, moja Hailie, tylko będą się rozglądać – poprawił mnie Cam. – Na wszelki wypadek.

Will skinął głową, a zanim nas opuścił i zniknął na górze, pogłaskał mnie jeszcze po włosach. Vince, ciągle z telefonem przy uchu, nie okazał się tak posłuszny, ale przynajmniej zszedł ojcu z oczu. Bez słowa wyszedł na taras, by tam kontynuować rozmowę.

– Ja też mogę kogoś później zmienić – zaoferowałam.

Cam uśmiechnął się do mnie i pogładził mnie po wierzchu dłoni.

– Dziękuję, królewno, ale nie ma takiej potrzeby.

– Serio mówię. Nie jestem dzieckiem, które musi przespać całą noc, bo inaczej będzie marudne. Mogę być przydatna – ciągnęłam.

– Oczywiście, że jesteś przydatna. – Cam podbródkiem wskazał na swoje ramię. –

Szalenie przydatna, królewno, zrobiłaś dziś coś niesamowitego. Nie dość, że zachowałaś zimną krew w kryzysowej sytuacji, to jeszcze wykazałaś się tak niezwykłymi umiejętnościami. A przecież jesteś jeszcze na początku swojej kariery. Tyle przed tobą... Jestem pełen podziwu.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że słowa ojca nie polechtały mojego ego. Kąciki moich ust mimowolnie się uniosły, ale potem zaraz szybko opadły.

– Co jest, hm? – Cam przechylił głowę. – Co cię trapi, moja Hailie?

– Często to słyszę, ale nie czuję się taka wyjątkowa. Mam tę ciągłą myśl w głowie, że mogłabym robić dużo więcej, ale nie wiem za dobrze, co i jak...

– Hej, ale o co chodzi? – Cam zmarszczył brwi i kryjąc grymas bólu, poprawił się na kanapie. – Co ja ci powtarzam, królewno? Żebyś czego nie robiła? Hm? Odpowiedz mi, proszę.

Westchnęłam z frustracją.

– Nie nakładała na siebie zbyt dużej presji.

– Nie nakładała na siebie zbyt dużej presji, otóż to – powtórzył. – Hailie, córeczko, nie możesz wymagać od siebie niestworzonych rzeczy.

– Wiem, ja tylko... – Przygryzłam wargę. – Chciałam robić coś więcej, bo mam przecież takie możliwości. Nie chciałabym, żeby się zmarnowały.

– Co się ma zmarnować? – Cam zmarszczył brwi jeszcze bardziej.

– Słyszałeś o tym pijanym dzieciaku, który spowodował wypadek? Na szczęście niegroźny...

Cam skinął głową, a jego oczy jakby momentalnie pociemniały. Zaciął na chwilę szczękę, zanim jednak zdążyłam powiedzieć coś więcej, sam się odezwał:

– Słyszałem też o tym, jak się z nim rozprawiłaś.

– Właśnie że nie zrobiłam nic – jęknęłam, odchylając głowę.

Ciężka dłoń ojca spoczęła na moim ramieniu.

– Zrobiłaś więcej, niż którykolwiek z nas byłby gotów. Ani ja, ani chłopcy nie mielibyśmy cierpliwości, by wychowywać tego gnojka. Ty zaangażowałaś go w akcję, która nie dość, że była dla niego pokutą, to jeszcze może przy okazji nauczyła czegoś kilka innych osób.

– Co to jest kilka osób? Chcę robić większe rzeczy. Wielkie akcje.

– Jeszcze przyjdzie na to czas, moja słodka Hailie, nie od razu Rzym zbudowano. Przyjdzie czas na wszystko. Skończ studia, naciesz się życiem, znajdź swoją drogę, a wtedy, kto wie, może będziesz realizować projekty na skalę światową?

Patrzyłam na swoje palce.

– Chciałabym – powiedziałam szczerze. – Jakkolwiek porębana była sytuacja z postrzałem, to po raz pierwszy od dawna poczułam adrenalinę i to, że mój wkład jest istotny.

– Jest bardzo istotny – potwierdził Cam. – I zobaczysz, jeszcze nieraz będzie. Tylko bez ciśnienia, królewno.

Westchnęłam znowu, ale tym razem pokiwałam też głowę.

– Kto wie, może kiedyś w takie działania zaangażujesz nawet Organizację, he? – zaśmiał się Cam, głaszcząc mnie po łopacie.

– Ta – parsknęłam, zapatrzona w podłogę, aż sens jego słów do mnie dotarł i uniosłam głowę. – Mówisz poważnie?

– Hm? – Ojciec zdziwił się moją reakcją i zmrużył oczy, jakby próbował sobie przypomnieć, co właśnie powiedział.

– Mogłabym w swoje plany zaangażować Organizację? Myślisz, że to by wypaliło?

Cam błyskawicznie spoważniał.

– Chodziło mi o zasięgi, oczywiście, Organizacja ma potężne zasięgi. Tak tylko chlapnąłem.

– Vince mógłby mnie poprzeć, a wtedy może udałoby się ich zainteresować jakimiś projektami. Można by wykorzystać Organizację do czegoś dobrego, dla odmiany – myślałam na głos.

– Tak... – Cam odchrząknął. – Wiesz, trzeba być przy nich ostrożnym, Hailie, to nie są łatwi ludzie...

– Mogłabym z nimi porozmawiać, może przedstawić kilka pomysłów...

– Hailie. – Głos ojca zabrzmiał ostro. – Tak tylko wspomniałem o Organizacji. Nie twierdzę, że nawiązanie z nimi bezpiecznej współpracy w przyszłości jest zupełnie niemożliwe, ale to nie są projekty, o których powinnaś myśleć na poważnie teraz. I nigdy bez wcześniejszego powiadomienia o nich Vincenta. Nigdy, rozumiesz?

Spojrzałam tacie w oczy, przełknęłam ślinę i skinęłam głową.

– Tak, rozumiem.

– I ani mi się waży robić cokolwiek na własną rękę. To nie jest rzecz, w której sprawie możesz sobie dzwonić do Adriana Santana jak do kumpla z podwórka, jasne?

Wzdrygnęłam się.

– Kto mówi o dzwonieniu do...

– Ja mówię – warknął ojciec. Rzadko zwracał się do mnie tak surowo, jak miał w zwyczaju robić w przypadku moich braci, i nie lubiłam, gdy używał takiego tonu. – Pytam się, czy to dla ciebie jasne.

– Tak, tato, jasne – syknęłam z irytacją.

Cam pogroził mi palcem zdrowej ręki.

– Ty, królewno, nie waży się mnie prowokować – powiedział wolno. – Masz u mnie niezaprzeczalnie taryfę ulgową, ale ona też ma swoje granice, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi twoje bezpieczeństwo.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego wspomniałaś akurat Adriana Santana, co to miało znaczyć? – mruknęłam buńczucznie. Aż mnie skręcało w środku na myśl o nim.

– Może dlatego, że całkiem niedawno usłyszałam, żeś już raz się z nim skontaktowała za plecami wszystkich? Hm, królewno? – Cam przekrzywił głowę z kwaśną miną. – Czy sądzisz, że to dobry powód?

– Już powiedziałam, że nie zamierzam tego powtarzać. Możemy o tym pamiętać?

Cam uniósł brew.

– To ja, moje dziecko, tu jestem od zadawania takich pytań.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, ja na ojca spode łba, on na mnie znacząco.

No i to ja w końcu odpuściłam. Odwróciłam głowę z westchnieniem, a to wystarczyło, żeby tata też zmiękł. Założył mi kosmyk za ucho i przyciągnął mnie do siebie, by ucałować mnie w czoło.



Lissy gapiła się na mnie jak zaczarowana.

Sama przeglądałam się w lustrze z lubością. Załatwianie sukienki na ostatnią chwilę było ryzykowne, ale w tym przypadku akcja zakończyła się sukcesem. Udało mi się wyhaczyć małą czarną, prostą, w której grube ramiączka opadały na ramiona, odkrywając obojczyki.

– Jak dorosnę, chcę być tobą – wyznała moja mała bratanica, błyszczącymi oczami obserwując, jak wsuwam na stopy wysokie czarne pantofelki.

Rzuciłam jej przelotny uśmiech.

– Jak dorośniesz, będziesz nadal sobą i będziesz wspaniała.

Lissy wyszczerzyła się w uśmiechu i objęła mnie swoimi drobnymi ramionami, wspaniałomyślnie uważając, by nie zniszczyć mi fryzury.

– Też bym chciała pójść na bal – westchnęła.

Pogłaskałam ją po plecach.

– To nawet nie bal, nic nie tracisz. To będzie tylko bankiet. Sami poważni dorośli. Nuda.

– Ale ty tam będziesz. No i można włożyć sukienkę.

Pochyliłam się i delikatnie wyjęłam niewidzialnego paprocha zaplątanego w blond włoski Lissy.

– Skarbie, jeszcze się nachodzisz na bankiety – obiecałam jej. – W tej rodzinie to nieuniknione. Będziesz miała ich dosyć, zobaczysz.

A potem złapałam torebkę i wyprowadziłam dziewczynkę ze swojej sypialni. Zeszliśmy na dół, gdzie już kręcili się gotowi do wyjścia bliźniacy i Vincent.

Shane i Tony nie mieli aktualnie lepszego pomysłu na zabicie czasu. Podobno po cichu planowali kolejną podróż, ale robili to w tajemnicy przed Vincentem, więc jeszcze oficjalnie nic nie było wiadomo. Póki co dobrze się bawili, imprezując i w przerwach przesiadując w Rezydencji Monetów. Kiedy zasugerowałam im, żeby

wybrali się ze mną na bankiet, którego zorganizowanie na szybko zaproponowałam w fundacji, zgodzili się bez gadania.

Nie sądziłam, że przyjdzie moment, gdy na balach będę się czuła jak ryba w wodzie. Tymczasem przyzwyczyłam się do wskakiwania w sukienki, zakładania szpilek, nakładania makijażu, robienia włosów, a potem wkraczania w tłum gości z uśmiechem przyklejonym do ust.

– Tak się cieszę, że cię widzę! – zawołała na mój widok Ruby, również uśmiechając się szeroko. Założyła sukienkę do kostek usianą drobnymi, zielonymi kwiatkami, a w uszach dyndały jej kolczyki z piórami. Widząc, że się im przyglądam, dodała: – Zrobiła je dla mnie moja mała chrześnica.

– Piękne – pochwaliłam, ściskając ją przyjaźnie. – Nie planowałam organizować bankietu charytatywnego, ale skoro już tak wyszło, że jestem na chwilę w Stanach, to naturalnie zrobiłam to.

– No! Ty to nie przepuścisz żadnej okazji, żeby wydać bankiet.

– Pewnie – potwierdziłam. – Nigdy nie przepuszczę okazji do wyduszenia pieniędzy od bogaczy na cele charytatywne.

– Bardzo dobrze. Twoja idea jest ultraważna, a twoja obecność zawsze ściąga dodatkowych gości.

– Serio? – zainteresowałam się.

– Wielu ważniaków przychodzi tu na pokaz, dla ciebie, by oddać ci szacunek. Byś ich zobaczyła. Nie fatygowałiby się, gdyby nie mieli choćby cienia szansy zostać zapamiętanymi.

Ruby miała rację. Przejęłam od kelnera powitalnego drinka w wysokiej lampce ze złotą nóżką, na której brzegu zahaczono gałązkę czerwonej porzeczki, i wdałam się w długą rozmowę z pewnym biznesmenem, który od lat próbował zwrócić na siebie uwagę Vincenta. Wciąż jeszcze mu się to nie udało, więc chytrze postanowił uderzyć do mnie i kilka razy hojnie zasilił konto fundacji, toteż zdołał zdobyć moją przychylność i od czasu do czasu przy takich oficjalnych okazjach znajdowałam chwilę, by zamienić z nim dwa słowa.

Do pewnego momentu bankiet toczył się utartym torem: rozmowy na błahe tematy, znajomi mi już goście przedstawiający swoje osoby towarzyszące i przemowy, podczas których Ruby chwaliła sukces poprzednich zbiórek i informowała bardziej szczegółowo o celach tej aktualnej.

I dopiero gdzieś w połowie bankietu napotkałam jego spojrzenie.



Comoknąłem z irytacją na widok nowych maili. Nie zaglądałem do skrzynki przez dwie godziny, a już zdążyła się zapełnić, i to w większości głupotami. Wiele wiadomości z miejsca zarchiwizowałem, zachodząc w głowę, skąd ci wszyscy ludzie mają mój adres. Tylko kilka przerzuciłem do folderu „Ważne”. Sporo innych przesłałem dalej, do mojego człowieka, którego praca polegała na przechwytywaniu ode mnie poczty.

Czasami zazdrościłem mu tak niewymagającego zajęcia.

Schowałem telefon do kieszeni, dopiero kiedy mój kierowca zatrzymał się pod klubem. Wszystko tu było jak zwykle: migający neon, stłumiona muzyka dobiegająca ze środka, kolejka do wejścia. I wyróżniające ten klub spośród innych małe akcenty w postaci złotych ram, czerwonych dywanów i kryształowych żyrandoli, które dało się dostrzec już z zewnątrz.

Ktoś wpadł na maskę samochodu. Lekko się od niej odepchnął, co kierowca skomentował poirytowanym burknięciem. Nie zainteresowałem się tą osobą, gdyby nie jej obcisła sukienka i długie nogi. Dzięki tym przyciągającym wzrok atutom dziewczyny zapatrzyłem się na nią wystarczająco długo, by rozpoznać ją, gdy w końcu się odwróciła.

Czym prędzej wydostałem się z auta.

A co to za cholerny zbieg okoliczności?

Zatoczyła się na ulicy jeszcze raz. Traciła równowagę i musiała podeprzeć się o niski murek.

Rozejrzałem się za jej ochroniarzem i haremem braci, którzy przecież nigdy nie opuściliby jej w takiej sytuacji, ale nie znalazłem nikogo, kto interesowałby się jej losem.

Zbliżyłem się.

– Hailie Monet – powiedziałem cicho, marszcząc brwi. – Czyżbyś wypita za dużo alkoholu?

Zaprzeczyła, a ja niepokoiłem się coraz bardziej. To nie było normalne.

– Wzięłaś za dużo narkotyków?

Drgnęła, jakby chciała wstać i się do mnie odwrócić, ale najwyraźniej brakowało jej na to siły.

– Nigdy w życiu niczego nie brałam!

Wierzyłem jej. Ot tak nie wyrobiła sobie przecież opinii grzecznej siostrzyczki Monetów. Nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek natknął się chociażby na plotkę o ciągotech Hailie Monet do narkotyków. A gdyby tylko powinęła jej się noga, jestem pewien, że byłaby na językach wszystkich w naszej społeczności.

Patrzyłem na jej zgięte plecy, które podnosiły się i opadały w rytmie jej panicznego oddechu, na włosy, które spływały jej z obu stron na drżące ramiona. Zastanawiałem się, jak inaczej mogła doprowadzić się do takiego stanu.

– Czy ktoś ci czegoś dosypał? – zapytałem, czując, jak twarz mi tężeje.

Dziewczyna nie odpowiedziała. W końcu znalazła siły, by z trudem spocząć. Rozejrzałem się za jej braćmi. Nie rozumiałem, dlaczego jej nie pomagają. Powinni otaczać ją ze wszystkich stron, podtrzymując tę drobną dziewczynę i oferując, że zabiorą ją do lekarza.

Jako że tym razem nie zaprzeczyła ruchem głowy, jej brak reakcji wziąłem za odpowiedź twierdzącą.

Ależ skoczyło mi ciśnienie.

– Naprawdę?! Kto, na litość boską, był takim półgłówkiem, żeby otruć Hailie Monet?

Nie mieściło mi się w głowie, jak...

– Barman.

Zaczęła narastać we mnie niewysłowiona złość.

– Pracujący dla twoich braci? – upewniłem się, gotowy okrzyknąć Monetów kretykami roku.

– Drink był dla kogoś innego – wyjaśniła. Zmieniła nieco pozycję i odetchnęła przygarbiona.

– Aha – szepnąłem.

Wyglądała, jakby miała zaraz osunąć się na ziemię. Żałowałem, że nie mogę zaoferować jej pomocnej dłoni. Mogłem co najwyżej kontynuować rozmowę i co chwila rozglądać się za Monetami.

– Rozumiem – mruknąłem. – Cóż, w takim razie popełnił tak fatalną pomyłkę, że jeszcze trochę i nawet bym mu współczuł.

– Faszzeruje kobiety prochami – oburzyła się. – Nie zasługuje na współczucie ani litość.

Prawie nie dosłyszałem jej ostatnich słów, bo znowu się zakołysała, tym razem mocniej, i przyłapałem się na tym, że drgnąłem, odruchowo zamierzając ruszyć jej na pomoc. Na szczęście zdołała nie upaść, więc natychmiast się zatrzymałem, przeklinając w myślach i ją, i siebie. Jeszcze tego brakuje, żeby ktoś nakrył mnie na podtrzymywaniu naćpanej Hailie Monet. Trumna gwarantowana.

– Gdzie oni są? – zapytałem zdenerwowany ich nieuwagą.

Czy nie mogliby lepiej pilnować swojej przyciągającej kłopoty jak magnes siostry?

– Kto?

Spojrzałem na nią.

– Twoi bracia.

– Bracia?

Wyraz dezorientacji na jej twarzy mnie zaniepokoił. Człowiek pamięta zwykle, że ma pięciu namolnych braci. Obejrzałem się już po raz enty, szukając wzrokiem tych chłopaczków, gotów wejść do klubu i ściągnąć ich tu za szmaty, jeśli trzeba. Musiałbym tylko zostawić Hailie Monet samą, a to wydawało się nie najlepszym pomysłem.

– Dlaczego nie ma z tobą ochroniarza? – zapytałem nagle.

– Goni barmana...

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem. Byłem gotów przeczyścić sobie uszy, tak nieprawdopodobna wydała mi się ta odpowiedź.

– Słucham?

– Barman uciekał, więc kazałam go złapać.

Dłoń aż mi drgnęła, tak bardzo chciałem podejść do dziewczyny i nią potrząsnąć. Powstrzymałem się, oczywiście, i zamiast tego zmrużyłem oczy.

– I zostawiłaś się bez ochrony? – wycodziłem. Jeszcze nigdy nie czułem takiej ochoty, żeby wygłosić komuś najdłuższy i najnudniejszy wykład, na jaki potrafiłem się zdobyć.

Jej brwi się nastroszyły. To niesamowite, że mimo swojego stanu miała jeszcze siłę i czelność pyskować.

– Trzeba złapać bandziora, prawda?

– Skoro pracuje w waszym klubie, to śmiem twierdzić, że twoi bracia złapaliby go bez konieczności zabawy w berka – zauważyłem, nie szczędząc jej chłodu. Choć w ten sposób mogłem jej przekazać, jak bardzo idiotyczne wydaje mi się jej rozumowanie.

Milczała, więc chyba właściwie to odczytała. Bijąca z jej oczu niewinność napędzała moją złość. Tej dziewczynie doprawdy brakowało wyobraźni. Aż dziw, biorąc pod uwagę, że to przecież siostra Monetów. Powinna być mądrzejsza.

– Ech, Hailie Monet, ciesz się, że to nie moją siostrą jesteś, bo za taką bezmyślność i brak odpowiedzialności zrobiłbym ci piekło.

Natychmiast pożałowałem tych słów. Raz, mogły zostać odebrane dwuznacznie, a to ostatnie, czego bym chciał, a dwa – to żałosne tak straszyć i tak przerażoną, otumanioną narkotykami dziewczynę.

Hailie Monet zamrugnęła i chwilę ruszała ustami, aż w końcu wyszła z pierwszego szoku i wyjąkała:

– Cóż, na szczęście... nie jestem twoją siostrą...

Wzięłem wdech, by pozbyć się nieco stresu, który napinał całe moje ciało. Powinienem się lepiej kontrolować. Czym ja w końcu się tak denerwuję, stan siostry Monetów to przecież nie moja sprawa.

– I nie masz prawa mówić mi takich rzeczy.

Wpakowała w to zdanie resztki pewności siebie. Cała reszta już dawno ją opuściła. Choć wiedziałem, że ma trochę racji, to nie potrafiłem nie odpowiedzieć jej kontrapunkt.

– Prawo, Hailie Monet, mnie nie interesuje.

Zezłoszczona zacisnęła usta. Uroczo.

– Vincent nie będzie zadowolony, kiedy mu powiem, jak się do mnie odnosisz.

Ledwo stłumiłem parsknięcie.

– Vincent będzie zajęty robieniem ci kazania, że w ogóle dopuściłaś do tego, że mogę tu przed tobą stać i jakkolwiek się do ciebie odnosić – zauważyłem z pełnym przekonaniem, że tak właśnie będzie.

– Idź sobie – rzuciła.

Tym samym przyznała mi rację. Prawie pokręciłem głową z pobłażliwością.

– Jeśli pójdę, zostaniesz tu sama. Odurzona i bezbronna.

– Na nikogo gorszego niż ty nie wpadnę.

Jednak faktycznie pokręciłem tą głową. Ledwo zahamowałem też ciężkie westchnienie.

– Zrobiłaś się bardziej pyskata, Hailie Monet, ale nie zmądrzałaś.

– A ty nie przestałeś być bezczelny.

Znowu się rozejrzałem. Bracia Monet powinni już tu przybiec, rzucając mi mordercze spojrzenia. Gdzież oni się podziewają?

Coś zaszurało, więc błyskawicznie przeniosłem wzrok z powrotem na Hailie Monet, która postanowiła, że wyjątkowo błyskotliwym pomysłem będzie wstanie na równe nogi, podczas kiedy przecież widocznie kręciło jej się w głowie nawet na siedząco.

Zwykle gdy kobieta przy mnie mdleje, moim naturalnym odruchem jest złapanie jej, niestety w przypadku tej konkretnej damy moje możliwości były irytująco ograniczone. Mogłem tylko wzdrygać się, gdy się poruszała, zaciskać pięści z niemocy, no i liczyć na to, że nie poleci na ziemię.

Na szczęście nie upadła, bo w porę znowu usiadła. Choć może powinna, bo wtedy przestałaby szukać okazji, by uciec stąd gdzieś sama w tym stanie.

– Nie masz przy sobie telefonu? – zapytałem, z uwagą się jej przyglądając. Walczyła ze słabym samopoczuciem i znowu robiło mi się jej żal. Dziewczyna nie zasługiwała, by się tak męczyć.

Zaprzeczyła.

– Nadajnik? – zgadywałem.

Coś jęknęła w odpowiedzi. Chyba przytaknęła.

– Gdzie są twoi bracia?

– Mają dołączyć później – wymamrotała. Nadstawiłem ucha, bo ledwo rozróżniałem słowa, które wypowiadała.

– Do kogo? – drążyłem. Mój ton głosu stawał się coraz bardziej surowy. Potrzebowałem odpowiedzi.

– Do mnie, Mai...

Najtaktowniej jak potrafiłem, odwróciłem wzrok, bo dziewczyna aż zatrzęsała się od mdłości i byłem pewien, że zaraz zwymiotuje.

No tak, oczywiście, że przyszła tu z Mayą. Sięgałem właśnie po telefon, by wybrać numer swojej byłej narzeczonej, którego szczęśliwie nigdy nie usunąłem. Nie zdążyłem jednak nawet wyciągnąć komórki z kieszeni, bo Hailie Monet ponownie

zdecydowała się wstać. Tym razem zrobiła to tak gwałtownie, że nawet gdyby była trzeźwa, straciłaby równowagę. Nic więc dziwnego, że i teraz padła.

Niewiele myśląc, odruchowo rzuciłem się w jej stronę. Znowu udało jej się w ostatniej chwili uchronić przed gruchnięciem kolanami o szorstką ziemię, a ja przypomniałem sobie, że to przecież nietykalna siostra członka Organizacji i nawet pomimo dobrych intencji, nie miałem prawa jej, cholera, łapać i ratować.

Cóż za parodia.

– Hailie!

Odwróciłem się.

Och, a oto przybyli rycerze w lśniących zbrojach.

Witamy, nareszcie, prychnąłem ponuro w myślach, dobrze wiedząc, co się teraz wydarzy.

– Odsuń się od niej!

– Co jej jest?!

Bracia Monet przekrzykiwali się jeden przez drugiego. Każdy z nich miał ten sam przejęty wyraz twarzy, tę samą niechęć na niej, tak samo piorunujące spojrzenie i identycznie napięte mięśnie.

William Monet lekko mnie szturchnął, ale puściłem mu to płazem, bo dobiegał do swojej siostry, ślepy na wszystko inne, zupełnie zaaferowany jej stanem. Widziałem, jak odprężyła się w jego ramionach. Poczułem ulgę, że ktoś wreszcie może dać tej dziewczynie wsparcie, którego ja zaoferować jej nie mogłem.

Skrzywiłem się, gdy tuż nad moim uchem Dylan zaczął pluć pianą. Wykrzykiwał pytania i aż się prosił, by go przymknąć. Reszta braci też szybko dołączyła do przesłuchania. Mnie samego interesowały tylko odpowiedzi Hailie Monet, chciałem wiedzieć, co dokładnie się wydarzyło, nie mniej niż jej rodzeństwo.

Niestety, dziewczyna była na tyle przytłoczona i dezorientowana, że jej ledwo wydukane słowa tylko pobieżnie tłumaczyły sytuację. Zawsze można jednak liczyć na braci Monet, którzy w większości nie opanowali umiejętności logicznego myślenia i w przyływie uniesienia lubili dopowiadać sobie do historii.

Dylan na przykład, osobiście mój faworyt w kategorii największego idioty wśród braci Monet, rzucił się na mnie w ułamku sekundy. Przyznaję, zaskoczył mnie, bo nie sądziłem, że nawet ktoś z jego ilorazem inteligencji zdobyłby się na coś tak głupiego.

Pierwszy cios, który mi wymierzył, nie był tak mocny, jak można by oczekiwać po jego ciężkim, napakowanym ramieniu. Dowód na to, że został wyprowadzony niedbale, w pośpiechu i bez krzty namysłu. Nie żeby go to usprawiedliwiało. Poczułem ból w szczęcie, uczucie raczej mi nieznane, bo nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś odważył się mnie uderzyć.

– To nie on! – wrzasnęła Hailie Monet.

Przyłożyłem dłoń do obolałego miejsca. Łypnąłem na Dylana, którego teraz przytrzymywał jeden z bliźniaków.

– Idioci – warknąłem.

Mój ochroniarz nie próżnował i natychmiast wycelował broń w Dylana. Był dobrze wyszkolony i wiedział, że ma teraz pełne prawo zastrzelić tego dzieciaka. Monet zaczął powoli łapać, że popełnił ogromny błąd. Wyraz jego twarzy się zmienił, rysy złagodniały, oblizał wargi i przestał się tak szamotać.

– Panie Santan? – zwrócił się do mnie ochroniarz. Wpatrywał się w gościa, którego trzymał na celowniku, i czekał tylko na znak.

Skłamałbym, jeślibym powiedział, że od początku zamierzałem go oszczędzić. Tak naprawdę trochę poniosły mnie nerwy i przez chwilę rozważałem różne opcje. Powoli docierało do mnie, że ten chłystek naprawdę ośmielił się podnieść na mnie rękę. Wściekłość tylko we mnie narastała, nie opuszczała mnie, ale za to w ekspresowym tempie uczyłem się nad nią panować. Tak żeby nie zaćmiła mi umysłu, jak na przykład właśnie temu gamoniowi Dylanowi przed chwilą. Prawie słyszałem pouczenie swojego taty w głowie.

Nie musiałem nawet robić podstawowych kalkulacji, by wiedzieć, że zabicie jednego z braci Vincenta w związku z naruszeniem mojej nietykalności byłoby absolutną katastrofą, więc prawie od razu, z ciężkim sercem, odrzuciłem tę opcję, ale nie zamierzałem tak łatwo odpuszczać Dylanowi, więc nie wydałem instrukcji, by ochroniarz zabrał broń. Jeszcze nie teraz.

– Adrienie, to nieporozumienie – przemówił Will. Odszedł od siostry i stanął przed swoim bratem, gotów zasłonić go własną pierśią.

– Zdecydowanie.

Opera znajdowała się niedaleko i jeszcze niedawno słychać było dochodzące z niej odgłosy muzyki, ale teraz wokół nas panowała cisza, jakby napięta sytuacja

stłumiła wszystkie dźwięki wkoło. Obserwowałem uważnie Monetów, gotowy na przeciąganie beczynnych chwil, nie szczczędząc im napięcia.

Jeden z bliźniaków sobie z nim nie poradził, bo poruszył się i stanął przed Williamem, unosząc dłonie w poddańczym geście.

– Nie chcemy spiny.

Prawie mnie rozbawił.

– Nie? To dlaczego wasz dumny brat wyskoczył do mnie z pięściami?

Will szarpnął nim, by go odepchnąć, a potem wyskoczył drugi bliźniak i wszyscy razem zaczęli się przepychać jak dzieciaki z podstawówki na szkolnej stołówce w kolejce po ostatnią drożdżówkę. Różnica była taka, że bracia Monet rzucali się tak chętnie nie po przekąskę, a po kulkę od mojego ochroniarza.

Czarna komedia, doprawdy.

Czarna komedia, która stała się dramatem, gdy przed zgrają braci Monet wepchnęła się ich siostra. Głowę miała zwieszoną, powłóczyła swoimi szpilkami po asfalcie i chyba ledwo widziała, dokąd idzie. Ale dotarła tam, gdzie zamierzała, bo stanęła tuż przed jednym z bliźniaków, dosłownie na linii ognia.

Wtedy dopiero się zaczęło. Bracia Monet się zbulwersowali. Robili niesamowicie dużo zamieszania. Nawet przestałem zwracać uwagę na ból w szczęce. Nie było sensu się nim przejmować, przez całą tę sytuację rozboleła mnie także głowa.

– Przepraszam za nich, to pomyłka – powiedziała Hailie Monet, unosząc swoją pobladłą twarz w moją stronę. Była tak słaba, że pozwoliła podtrzymywać się Willowi, ale mimo to starała się mówić z mocą.

Widziałem, jak zerknęła na pistolet mojego ochroniarza. Na litość boską, przecież to nie jej należało tutaj grozić. Po cóż się wtrącała?

– Odsuń się, Hailie Monet. Z całej tej waszej wesołej ferajny ty najmniej zasługujesz na kulkę – powiedziałem. Miałem nadzieję, że mój głos brzmi wystarczająco chłodno, by ją wystraszyć i odpędzić gdzieś na bok.

– Więc powiedz ochroniarzowi, żeby przestał we mnie celować.

Ledwo powstrzymałem pełne dezaprobaty prychnięcie.

– Za błędy trzeba płacić. – Skinąłem na jej braci, rzucając im ostre spojrzenie. – Oni wiedzą.

– Więc ja zapłacę – upierała się.

– Spadaj, mała Hailie – wtrącił się Dylan, winowajca całej tej szopki.

I tak oto rodzeństwo Monet znowu zaczęło się kotłować, jakby zupełnie zapomnieli o powadze sytuacji. Wzniósłem oczy ku niebu, wykończony użeraniem się z tą rodziną. Bracia zgadzali się tylko w jednym – chcieli chronić przed strzałem swoją siostrę i chyba jedynie z szacunku do tej postawy wreszcie wydałem swojemu ochroniarzowi konkretną instrukcję.

Na długo zapamiętałem przerażenie, które odmalowało się na twarzy Hailie Monet. Zastygła w bezruchu na ułamek sekundy. Stłumiłem w sobie chęć, by zawołać do niej, żeby się uspokoiła, że przecież nie zabiję żadnego z jej braci.

A przynajmniej nie tym razem.

Atmosfera wciąż była gęsta, nawet gdy rodzeństwo Monet zorientowało się, że odpuszczam. Ulżyło im, oczywiście. Patrzyłem, jak Hailie Monet z powrotem zasiada na betonowym ogrodzeniu w towarzystwie bliźniaków. Dobrze, niech się nią zajmą, do cholery.

– Dziękuję – odezwał się Will cicho.

Przeniosłem na niego wzrok.

– Będę oczekiwał wyjaśnienia tego incydentu od Vincenta – zastrzegłem. Pilnowałem, by mój głos wciąż brzmiał surowo.

Will próbował jeszcze mętnie tłumaczyć swojego narwanego młodszego brata, ale nie zamierzałem tego słuchać. Zapatrzyłem się na Hailie Monet. Uświadomiłem sobie, że to ona mimowolnie odpowiada za całą aferę. Z powodu tej jednej dziewczyny prawie wybuchła wojna między dwoma rodzinami członków Organizacji.

Dlaczego w ogóle mnie obeszła, dlaczego przyszedłem tu za nią i nad nią stałem? Powinienem był odejść, ewentualnie kogoś do niej wezwać, ale nie angażować się w pomoc bezpośrednio. Tylko bym sobie tym zaszkodził.

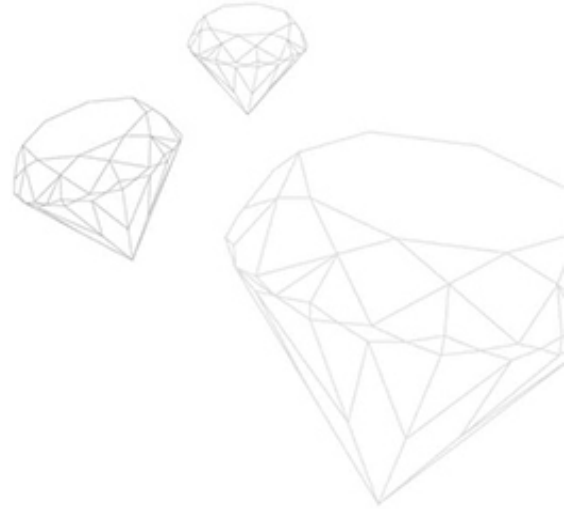
W drodze do auta mijałem grupkę Monetów, w której byli teraz także Maya i Monty. Wszyscy gapili się na mnie, jakby urosły mi dwie głowy. Naprawdę miałem już dosyć tej rodziny.

Zacisnąłem usta.

Dlaczego tak bardzo obeszło mnie samopoczucie Hailie Monet?

Odpowiedź była prosta i wpadłem na nią, gdy wsiadłem do auta, ostatecznie porzuciwszy plan wejścia do klubu.

Dlatego, że to dla Hailie Monet tu przyjechałem.



25

„RELACJI”

Raczyłam się właśnie kieliszkiem białego wina, stojąc pod ścianą, wyjątkowo nieoblegana przez nikogo. Ten moment swobody przeznaczyłam na obserwację. Lubiłam patrzeć i kodować sobie na wszelki wypadek w głowie, kto pofatygował się na moje przyjęcie charytatywne, zwłaszcza takie zwołane na ostatnią chwilę.

Tak naprawdę już wtedy odczuwałam dziwne napięcie. Zaciskałam palce na szkle odrobinę zbyt mocno, a serce biło mi szybciej, bo w głębi duszy doskonale wiedziałam, że moje z pozoru obojętne lustrowanie tłumu tak naprawdę ma drugie dno.

Już sama myśl o tym była dla mnie tak nieznośna, że zaczynałam panikować i na koniec nie wiedziałam, czy denerwuję się samą świadomością, że go szukam i myślę o nim, i się nakręcam, czy może tym, co będzie, jeśli faktycznie dostrzegę, że tu jest.

No i nagle mój wzrok przestał wodzić po twarzach gości bankietu. Zatrzymał się. Adrien Santan po raz kolejny zagościł na moim wydarzeniu.

Tak naprawdę czułam już wcześniej, że tu jest, teraz mogę to przyznać. Wykonałam jednak solidną robotę we wmawianiu sobie, że nie przyjdzie, że to byłoby za wiele nawet jak na niego.

Cóż, przyszedł.

Stał wyprostowany, jak zawsze w nienagannym garniturze, w ręce – tak jak ja – trzymał wino, ale wydawało się, że nie popija go ze smakiem, tylko raczej traktuje jak

rekwizyt. Wypatrzył mnie pierwszy, nie wiem tylko, jak długo już mi się tak przyglądał.

Gdy nasze spojrzenia się spotkały, zapragnęłam się cofnąć i uderzyć plecami o ścianę z nadzieją, że ta mnie pochłonie.

Moje wargi zadrżały, bo tak nachalnie cisnęło się na nie pytanie: „Co się dzieje, do cholery?!”.

Nie odwracałam od niego wzroku, choć bardzo chciałam to zrobić. Wolałam, żeby on odwrócił się pierwszy. Wróciły do mnie wspomnienia chwil, gdy nasz samolot wpadł w turbulencje – wtedy też zajrzałam w głąb jego duszy. Czułam, że zaraz zacznę się pocić ze stresu.

– No dalej – szepnęłam niemal bezgłośnie. – Przestań się gapić.

Drgnęłam i zeszywniałam, gdy Adrien zrobił coś kompletnie odwrotnego. Niespiesznie ruszył w moją stronę. Z całych sił starałam się nie zrobić kroku w tył – byłby to oczywisty pokaz tchórzostwa.

Szkoda, że usilnie starałam się grać odważną, bo najchętniej naprawdę bym uciekła. Zwłaszcza gdy wreszcie stanął przede mną, a jego wzrok prześlizgnął się po mojej sukience.

– Dobry wieczór – przywitał się spokojnie i cicho. W jego głosie nie było śladu drwiny. Nie wiedziałam, czy to dobrze, że i tym razem jego spojrzenie nie było żartobliwe, lecz uważne. Adrienowi nie brakowało rozwagi i inteligencji, to było dla mnie jasne od dawna, ale czułam się swobodniej, gdy krył te cechy pod płaszczkiem humoru.

– Dobry wieczór – odparłam uprzejmie, zupełnie tak, jak zwracałam się dziś do każdego gościa obecnego w tej sali.

– Bardzo poprawny bankiet, gratulacje.

– Miło, że wpadłeś – powiedziałam, usiłując sprawiać profesjonalne wrażenie. – Fundacja zawsze docenia twoje hojne wsparcie.

Spojrzenie Adriena zadziwiało mnie i onieśmiało swoją intensywnością. Nigdy tak się we mnie nie wpatrywał i aż rozejrzałam się po zatłoczonej sali, jakbym chciała sprawdzić, czy nikt nas na niczym nie przyłapuje, choć przecież staliśmy jedynie naprzeciwko siebie.

– Przyszedłem tu, żeby spotkać ciebie, Hailie Monet.

Z powrotem skupiłam na nim wzrok. Wciąż nie potrafiłam się doszukać drwiny w jego oczach. A szukałam naprawdę zawzięcie.

– Co to ma znaczyć? – zapytałam.

– Wystarczy już tych uroczych, ale w dłuższym rozrachunku męczących podchodów.

W jego głosie pobrzmiewała determinacja, której wcześniej nie słyszałam.

– Przyszedłem tu tylko dlatego, iż dowiedziałem się na ostatnią chwilę, że bankiet organizowany jest przez ciebie, a co za tym idzie, że tu będziesz.

Usta same mi się rozchyliły, gdy zaczęłam potrząsać lekko głową.

– Nie rozumiem, co w związku z tym...?

Rzuciłam nerwowe spojrzenia na boki, rozglądając się za którymś ze swoich braci. Widziałam tylko Danilo stojącego nieopodal, gdzieś mignęła mi też twarz Ruby.

Adrien zaś nie zwracał uwagi na otoczenie. Emanując niezwykłą stanowczością, zrobił dyskretny krok do przodu.

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Nie mogę – jęknęłam przerażona jego powagą. – Nie mogę z tobą rozmawiać. A tobie nie wolno mnie zagadywać.

– Tobie zaś nie wypada mi odmówić.

– To polecenie od Vincenta i taty – dodałam. Skinęłam też głową, gdy uniósł lekko brwi na wspomnienie tego ostatniego, który był przecież tak kontrowersyjną (zwłaszcza ostatnio) postacią. – Tak, wszystko im opowiedziałam i wiesz, kazali mi się trzymać z daleka. Dlatego mogę cię pozdrowić na bankiecie, ale nie rwę się do rozmów z tobą i proszę cię, żebyś mnie nie zaczepiał.

– To ważne, Hailie – powiedział tylko po chwili milczenia.

– Otóż nie, bo widzisz, ty nie możesz mieć do mnie żadnych ważnych spraw – tłumaczyłam coraz bardziej przejęta. – Możesz mieć do mnie błahe sprawy, jak przywitanie i banalny komplement, na tym mają się kończyć nasze interakcje. W tej rozmowie padły już obie te rzeczy, dlatego czas się wyminąć. Dziękuję za przyjście, dobrego wieczoru.

Dygnęłam przed nim i uciekłam. Ginąc w tłumie, wzięłam tak szczodry łyk wina, że cudem się nie zachłysnęłam.

Im więcej mi się powtarza, że mam unikać Adriena, i im usilniej staram się to robić, on bardziej zabiega o to, bym z nim rozmawiała – taki na ten moment wysnułam wniosek.

– Co z tobą? – mruknął do mnie Tony, gdy wypatrzyłam go gdzieś pod inną ścianą i dopadłam do niego, po czym z ciężkim westchnieniem oparłam się o jego ramię.

– Potrzebuję więcej wina – oznajmiłam, unosząc pusty kieliszek.

Tony z typowym dla siebie znużonym wyrazem twarzy rozejrzał się za kelnerem, po czym wzruszył ramionami.

– Zaraz pewnie ktoś podejdzie.

Przyjrzałam mu się. Wszystko było lepsze, byle odciągnąć myśli od Adriena. Nawet analiza wyglądu Tony’ego, który, musiałam przyznać, zmęźniał, ale nadal przypominał bogatego, rozpuszczonego dzieciaka, który aspiruje do tytułu bad boya. Co jakiś czas przybywał mu nowy tatuaż, włosy zaczął nieco ujarzmiać, w przeciwieństwie do Shane’a, który ciągle nosił na głowie szopę, a w garniturze i ze zmrużonymi powiekami o dziwo zaczął mi nagle przypominać Vincenta. Najwyraźniej wszystko zostaje w rodzinie. Aż musiałam pokręcić głową i spróbować zmienić temat.

– Gdzie Shane?

– Wrywa.

Wywróciłam oczami.

– Czyli nic się nie zmieniło.

– Właściwie to w chuj się zmieniło – oznajmił Tony. W dalszym ciągu znużone spojrzenie jego jasnych oczu świdrowało tłum. Shane faktycznie tańczył z jakąś drobną brunetką. Uśmiechał się do niej słodko, a gdy się potknęła, zareagował z reflekssem i ją podtrzymał. Widząc to, Tony parsknął pod nosem. – Szuka żonki.

Szarpnęłam głową, by zerknąć na jego twarz.

– Żartujesz!

Tony odwzajemnił moje spojrzenie z kpina na ustach.

– Przeżywa jakiś kryzys egzystencjalny.

– Jest za młody na kryzys egzystencjalny – odparłam.

– Mój się zaczął, jak miałem dziesięć lat – mruknął. – I wciąż trwa.

– Przestań – zachichotałam, szturchając go. – Powiedz mi, co z Shane’em.

Wszystko u niego okej?

– Nie wiem, co ja jestem? – Tony wzruszył ramionami. – Chyba okej. Jęczy coś, że chce mieć rodzinę.

– Och! – westchnęłam z zachwytem. – Czyżby Shane nam dorastał?

– Ja bym powiedział, że cofa się w rozwoju.

– Prześnię być wredny. – Znowu go szturchnęłam. – To dobrze, że zaczyna myśleć o poważnych sprawach.

– Gadasz jak Vincent.

Uniosłam dłonie, odstawiając wcześniej pusty kieliszek na bok.

– Ja tylko wspieram naszego brata i jego decyzje.

– Ja mam ochotę przespać się z tamtą laską – wyznał Tony, wskazując na jedną z kelnerek, która właśnie weszła na salę z tacą zastawioną świeżo napełnionymi kieliszkami. – Mnie też wesprzesz?

– Ty się za to nic nie zmieniłeś. – Poklepałam go po ramieniu, po czym dorzuciłam: – Ale możesz do niej podejść i przynieść mi wino, dobra? A ja skoczę do łazienki; zaraz wrócę.

Tony już wbijał spojrzenie w biedną dziewczynę, ale uznałam, że ratować ją będę ewentualnie później. Teraz wyszłam z sali do holu, w którym kręciło się zdecydowanie mniej ludzi.

O obecności Danilo przypominałam sobie, zwykle odwiedzając właśnie toaletę, bo zatrzymywał się pod jej drzwiami, a gdy z niej wychodziłam, był pierwszą osobą, którą napotykałam na swojej drodze, zanim odsunął się na bok. Tym razem jednak okazało się, że pod łazienką czeka na mnie jeszcze jeden dżentelmen.

Zatrzymałam się i ze zdumieniem przycisnęłam kopertówkę do piersi.

– Serio?

– Przychodząc tu, wpłaciłem pięćdziesiąt tysięcy na twoją fundację – oznajmił Adrien. – Jeśli ze mną porozmawiasz, wychodząc, dorzucę drugie tyle.

Przechyliłam głowę z niedowierzaniem. Mój rozmówca jednak był śmiertelnie poważny. Wpatrywał się we mnie wyczekująco, wiedząc dobrze, że nie pozbawię fundacji jego pieniędzy. Pięćdziesiąt tysięcy na cele dobroczynne za zwykłą rozmowę to brzmiało jak rozsądna stawka i nawet Vincent musiałby się tu ze mną zgodzić.

Westchnęłam.

– W porządku. Rozmawiajmy.

W oczach Adriena zapaliła się maleńka iskierka triumfu. Wciąż skupiał się na większej misji.

– Proponuję przystanąć w salce obok. – Ręką, na której nadgarstku miał elegancki zegarek, wskazał niby to od niechcienia podwójne drzwi, których jedno skrzydło było lekko uchylone.

Niezbyt podobał mi się pomysł tworzenia tak prywatnych warunków do rozmowy z Santanem, ale on już ruszył w tamtą stronę, więc chcąc nie chcąc podążyłam za nim, upewniwszy się tylko, że Danilo mi towarzyszy.

– Proszę, aby twój ochroniarz poczekał tutaj – odezwał się Adrien, gdy uchylił drzwi szerzej. Widząc, jak otwieram usta, by zaproponować, dodał: – Może stać blisko i obserwować, ale nie chcę, by dosłownie chuchał ci na kark.

– Co to za warunki? – obruszyłam się, ale skinęłam głową na Danilo, by wykonał to polecenie.

Weszłam do salki sama, tuż za Adrienem, i rozejrzałam się. Była mała i pusta, jakby wyłączona z użytku. Możliwe, że organizowano w niej mniejsze wydarzenia. Aktualnie nic się tu oczywiście nie działo, a samo pomieszczenie służyło jako przechowalnia niewielu mebli – pod jedną ze ścian stał ogromny stół, kilka krzeseł, a nawet gramofon. Były tu także otwarte na oścież drzwi balkonowe z widokiem na wieczorne niebo. W pokoju panował półmrok. Pomyślałam sobie wtedy, że to niezbyt obiecujące warunki do rozmowy z kimś, u kogo zawsze wyczuwałam mroczną aurę.

– Pracownicy czmychają sobie tędy na krótką przerwę i papierosa, gdy mają dość twoich marudnych gości – wyjaśnił mi Adrien, widząc, gdzie patrzę. Zerknął potem na Danilo i rzucił: – Nie wpuszczaj tu teraz nikogo.

Danilo nawet na niego nie spojrzął, ale nie wyraziłam sprzeciwu, dlatego podejrzewałam, że jeśli ktoś faktycznie by się tu napatoczył, mój ochroniarz zatrzymałby go zgodnie z życzeniem Santana.

Obróciłam się wokół własnej osi, rozejrzałam się jeszcze po salce, a potem, oczywiście w bezpiecznej odległości, stanęłam wyprostowana przed Adrienem i uniosłam podbródek.

– Zależy mi na czasie – ponagliłam go.

– Oczywiście – odparł cicho. – Wiem, jak bardzo go szanujesz.

Skinęłam głową, z uprzejmą miną czekając, aż przejdzie do rzeczy.

– Bardzo ładnie wyglądasz, Hailie Monet – powiedział.

No to sobie poczekam.

– Potrzebuję wina – jęknęłam, łapiąc się za skroń.

Adrien się uśmiechnął.

– To tylko mały komplement.

– W takim razie dziękuję. Ty również dobrze wyglądasz – odpowiedziałam najbardziej beznamiętnie, jak się dało. Gdybym bowiem zaczęła naprawdę angażować się w opisywanie wyglądu Adriena, tego dopasowanego garnituru, błyszczącej bardzo dyskretnie biżuterii czy starannie ułożonej fryzury, to...

...tobym zwymiotowała może, co? Co jest z tobą, Hailie? Uspokój się, natychmiast, skarciłam się w myślach.

– Wspomniałaś, że opowiedziałaś wszystko Vincentowi i tacie? – zagaił. – Jaka była ich reakcja na to, co usłyszeli?

Rozłożyłam ręce.

– A jaka miała być? Jasne, że nie skakali z radości.

– Rozumiem.

Adrien zamilkł na chwilę. Cały czas mnie obserwował, a ja, stojąc tak przed nim, czułam się jak wystawiona na tacy. Ręce trzymał w kieszeni. Żałowałam, że moja sukienka też nie ma ich wszytych, bo sama nie miałam gdzie podziąć dłoni.

– Sprawa jest skomplikowana, Hailie – powiedział w końcu.

Popatrzyłam na niego zdezorientowana.

– Sam twój widok wzbudza we mnie emocje, które analizuję już od dłuższego czasu.

Mówił cicho i spokojnie, nie denerwował się ani nie zaciął, a i tak odnosiłam wrażenie, że słowa te przechodzą mu przez gardło z wielkim trudem.

– Po każdym wspólnym spotkaniu pragnę natychmiast kolejnego.

Oczy miałam coraz większe i większe. Na ramionach pojawiła mi się gęsia skórka, ale zastygłam i nie potrafiłam się ruszyć nawet, by je potrzeć.

Adrien kontynuował, wpatrując się we mnie intensywnie.

– W tym środowisku należy mieć oczy dookoła głowy i ja doskonale zdaję sobie z tego sprawę, dlatego niezmiernie drażni mnie fakt, że nie mogę odwrócić od ciebie wzroku, Hailie Monet.

– Przestań – szepnęłam, bo czułam, że jeśli go nie powstrzymam, to serce wyskoczy mi z piersi i umrę na zawał. – Dlaczego ty mi o tym mówisz? Co ja mam zrobić?

– Mówię ci o tym, ponieważ ten stan trwa zbyt długo, bym mógł go bagatelizować – odparł. – Jestem nim też, nie ukrywam, zaintrygowany i doszedłem do wniosku, że warto go zbadać, a co za tym idzie, wtajemniczyć cię.

– I co ja mam, przepraszam bardzo, zrobić z tą wiedzą? – zapytałam drżącym głosem.

– Zastanović się, czy przypadkiem nie masz podobnych odczuć – odszepnęła. Pokręciłam głową, przełknąwszy ślinę.

– Nie mam – odpowiedziałam. – Ja nie... nie mam.

– Zawsze oddychasz tak szybko, drżysz i bledniesz, gdy prowadzisz rozmowę? Przymknęłam rozchylone usta i zmarszczyłam brwi, prychnąjąc z oburzeniem.

– Nie dziw się, że reaguję w ten sposób, gdy mówisz mi tak dziwne rzeczy!

Uniół podbródek. W mroku jego twarz wydawała się bledsza, niż w rzeczywistości, i wraz z białą koszulą kontrastowała z jego ciemnym garniturem i tęczówkami.

– Pragnę, żebyś wiedziała, Hailie, że wszystko, co ci w tej chwili mówię, zostało bardzo dokładnie przemyślane – zazaczył. – Nie przychodzę do ciebie, bo się miotam lub dla zabawy. Szukam wytłumaczenia własnych reakcji na twoją osobę, ale nie zawracałbym ci głowy, gdybym wcześniej nie poukładał sobie pewnych spraw. Konfrontuję się z tobą, ponieważ wiem doskonale, czego chcę.

– Czego chcesz? – wymamrotałam, choć oczywiście znałam odpowiedź.

Adrien nie odrywał ode mnie wzroku. Więził mnie nim. Jeśli ktokolwiek wszedłby teraz do salki, nawet bym tego nie zauważyła. W uszach dudniło mi serce, a mój mózg skutecznie wyciszał przytłumione odgłosy trwającego za ścianą bankietu.

– Znamy się już jakiś czas. Zawsze cię lubiłem, Hailie. Byłaś doprawdy uroczą siostrzyczką braci Monet. Nieśmiała i uważna. Ubrana w sukienkę godną księżniczki, otoczona rodzeństwem czekającym w gotowości na każde twoje skinienie. Ciekawie się to obserwowało. – Zęby Adriena błysnęły w przelotnym uśmiechu. – Jednak nie przypuszczałbym wtedy, że za kilka lat, gdy cię spotkam, na twój widok zaatakuje mnie mieszanka tak silnych uczuć.

– Na weselu Vincenta upuściłeś kieliszek – przypomniałam sobie sucho.

– Zobaczyłem, że nagle stałaś się kobietą, Hailie Monet.

Przełknęłam ślinę, słysząc to niekomfortowe dla mnie wyznanie.

– Jak mówiłem, wcześniej byłaś całkiem uroczą dziewczynką. To było dla mnie ogromne zaskoczenie, gdy spojrzałem na ciebie w inny sposób.

– Gdy byłam tą uroczą dziewczynką, nie jestem pewna, czy podzielałam twoją sympatię – zaczęłam sztywno. – Nie stroniłeś od idiotycznych komentarzy. Pamiętam kilka z nich, były dosyć nie na miejscu.

Adrien błyskawicznie spoważniał.

– To prawda, Hailie, zdarzyło mi się powiedzieć coś nieodpowiedniego. Byłem młodszy, teraz zdecydowanie bardziej ważę słowa.

– Byłeś młodszy, ale wciąż byłeś dorosłym mężczyzną i powinieneś być skuteczniej filtrować swoje wypowiedzi, zwłaszcza te kierowane do nastolatki – wyrzuciłam mu, oskarżycielsko marszcząc brwi.

– To się zgadza, Hailie Monet – szepnął. – Szczerze przepraszam cię za każde niewłaściwe zdanie, które do ciebie wypowiedziałem.

Bardzo chciałam przyczepić się do tego, co mówił, ale niezwykle mi to utrudniał swoją pokorną postawą.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? – jęknęłam z głową pełną sprzecznych uczuć.

– Relacji.

Choć była to krótka odpowiedź, to odbiła się echem w jego oczach, których moc cały czas mnie paraliżowała.

– I jak ją sobie wyobrażasz? – pisnęłam z paniką w głosie. – Należysz do Organizacji, pracujesz z moim bratem... Do cholery, przecież cała rodzina mnie przed tobą ostrzega! A ja nawet nie... nie chcę... to znaczy ty... ty jesteś...

Przymknęłam oczy, by się uspokoić, sfrustrowana tym, że nie mogę nawet normalnie się przy nim wysławić.

Adrien czekał cierpliwie, ale gdy zawiesiłam głos, w końcu sam się odezwał.

– Wiem, że też nie jestem ci obojętny.

Parsknęłam.

– Ach tak? Skąd niby? Próbuję cię przecież unikać, jak mogę, no!

– W samolocie...

– Upadłam – wtrąciłam od razu.

– W samolocie mieliśmy moment chwilowego porozumienia – powiedział Adrien.

– Wiem, że to było obustronne.

Zaciskałam usta.

– Wypierasz to, ponieważ chcesz być posłuszna braciom i ojcu. Boisz się przyznać prawdę. Dla mnie też nie było z początku komfortowe zaakceptowanie jej.

Przyłożyłam dłonie do powiek.

– Adrien... jakiej prawdy...? Ja... – Pokręciłam głową. Robił mi z niej sieczkę, tak bardzo chciałam zaprzeczać, wyprowadzić go z błędu, jednak nie potrafiłam

wyartykułować żadnej sensownej myśli.

– Jest między nami porozumienie. Rozumiem, że nie analizowałaś tego tak jak ja i że cię ono przytłacza. Jest to niecodzienna sytuacja, zgadzam się. Jednak jestem wystarczająco jej ciekaw, by wyrazić chęć zbadania ją razem z tobą.

– Ja nie chcę niczego badać...

– Nie chciałabyś wiedzieć, dlaczego tak na siebie działamy?

– Ty nie działasz! Na mnie! – zawołałam ze złością.

Złością, która wynikała z zagubienia i bezsilności. W życiu bym się nie spodziewała, że Adrien zaplanował poprowadzenie tej rozmowy właśnie w ten sposób. Zaczęłam żałować, że zgodziłam się ją odbyć, i nawet kalkulować, że nie jest warta pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Adrien przechylił głowę, cierpliwy wobec moich reakcji.

– Daj temu szansę – szepnął. – Zrób eksperyment. Zabaw się życiem razem ze mną.

– Dobrze mi bawić się życiem samej – odpowiedziałam udręczona. – Ty też przecież wolałeś być zawsze sam. Nie przyprowadziłeś czasem dziś ze sobą żadnej Noemi czy Naomi?

– Jestem w takim momencie, w którym potrzebuję tylko twojej uwagi, Hailie Monet.

– Wmówiłeś coś sobie.

– Dam ci wszystko – powiedział z powagą, po czym zrobił kilka kroków w przód, wymieniając: – Szacunek, uwielbienie...

Zatrzymał się bardzo blisko mnie, prawie na mnie wszedł, ale, oczywiście, nie dotknął mnie. Pochylił twarz i pomyślałam w panice, że mnie pocałuje. W końcu już nic by mnie zdziwiło po tym, co usłyszałam.

Stres, który czułam, paraliżował mnie, a jeszcze bardziej przeraziło mnie podniecenie, z jakim zabiło moje wymęczone już od galopowania w szaleńczym pędzie serce.

– ...dreszcz emocji, którego nie zapewni ci nigdy nikt inny – dokończył bardzo cichym, zachrypniętym głosem, łaskocząc moje ucho swoim ciepłym oddechem.

Cofnęłam się z impetem, tak że ledwo zachowałam równowagę na swoich szpilkach.

Wpatrywałam się w niego niemal z przerażeniem. Widział to i triumfował, bo właśnie widział dowód na to, o czym mówił od początku tej rozmowy.

– Dam ci wszystko, czego zapragniesz – powtórzył. – I zrobię wszystko, żebyś mi uwierzyła.

Westchnęłam z niedowierzaniem. Znowu zaczęłam kręcić głową. Coś mi się przypomniało. Pośród szalejących w mojej duszy silnych i nie do końca rozpoznanych uczuć uczepliłam się jednego, które akurat rozpoznałam – niechęci.

Przypominałam sobie bowiem czasy, w których ona się narodziła.

Adrien wpatrywał się we mnie wyczekująco. Poważny, pewny siebie i zdecydowany. Członek Organizacji, współpracownik Vincenta, człowiek o nieskończonej władzy, przed którym przestrzegano mnie nieraz.

I on mi mówi takie rzeczy?

– Wszystko? – parsknęłam cicho, nie kryjąc kpiny.

Nie drgnął mu nawet mięsień na twarzy, gdy skinął głową.

Wtedy uniosłam podbródek i powiedziałam:

– W takim razie, proszę, na kolana.



26

CIEMNE I TAJEMNICZE

W ciemnych oczach Adriena emocje przewinęły się jak przyspieszony film.

Kolejno: szok, niedowierzanie, uraza, napięcie, zrozumienie, podziw, drwina...

Pojął, rzecz jasna, do czego to aluzja, i pokiwał głową.

– Jesteś pamiętliwa, Hailie Monet.

Nie opuściłam podbródka nawet o milimetr. Odpowiedziałam, nie odrywając od niego wyzywającego spojrzenia:

– Sprawdzam, czy jesteś poważny.

Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegły dreszcze, gdy obserwowałam, jak twarz Adriena tężeje.

Nie zacisnął dłoni w pięści z irytacji. Nie parsknął mi prześmiewczo w twarz. Nie popukał się lekceważąco w czoło.

Nie odwrócił się, by sprawdzić, czy aby na pewno nikt nas nie widzi.

Najpierw poruszył prawą dłońią. Przyłożył ją płasko do swojej piersi, by przytrzymać krawat przy koszuli. Idealnie wyeksponowany teraz sygnet błysnął w mroku.

Wstrzymałam oddech, kiedy drgnął.

A potem szeroko otwartymi oczami patrzyłam, jak jego sylwetka się obniża.

Chyba nawet rozchyliłam lekko usta, tak bardzo nie dowierzałam w to, co się działo.

Adrien Santan przede mną klęknął.

W swoim sztytm na miarę garniturze i z powagą nieopuszczającą jego spojrzenia. Wiedziałam to, bo ani na chwilę nie przestaliśmy patrzeć sobie w oczy.

Byłam pewna, że pobladłam, i w tym skąpanym w mroku pomieszczeniu na pewno wyglądałam jak duch. Jak na ducha zresztą przystało, nie miałam pewnie pulsu, bo moje serce na moment przestało bić.

Po raz pierwszy, odkąd trwała nasza znajomość, to ja patrzyłam na niego z góry. By na mnie spojrzeć, Adrien musiał zadzierać głowę, a mimo to trzeba było przyznać, że wciąż udawało mu się wyglądać dostojnie. To taki człowiek, który nawet na kolanach wzbudza respekt.

Wzięłam głęboki wdech.

– Czy wierzysz już, że jestem poważny? – zapytał mocnym głosem.

Przełknęłam ślinę. Drżałam, zrobiło mi się słabo. Czułam się jak bezwładna masa – on zrobił ze mnie cholerną galaretkę.

Bo doprawdy ostatnią rzeczą, której się dziś spodziewałam, było to, że Adrien Santan przede mną klęknie.

Świdrując mnie przenikliwym spojrzeniem, domagał się odpowiedzi, dlatego skinęłam głową z rezygnacją, decydując się dać mu tę krztynę satysfakcji.

– Cieszę się, że to ustaliliśmy – szepnął.

Milczałam.

Adrien po raz pierwszy od początku naszej rozmowy oderwał ode mnie wzrok, który następnie prześlizgnął się po mojej sukience, co wywołało we mnie jeszcze więcej nieznośnie intensywnych uczuć. Bardzo utrudniały mi one trzeźwe myślenie. Santan niestety chyba się domyślał, że nie jest ze mną najlepiej. A przynajmniej taki wysnułam wniosek, zważając na kolejne jego słowa, które wypowiedział, wciąż klęcząc:

– A teraz skup się, proszę, bo zadam ci ważne pytanie.

Napięłam mięśnie, wpatrzona w jego oczy jarzące się dziwnie niepokojącym czarnym ogniem.

– Hailie Monet, czy mogę cię dotknąć?

Moje uszy wypełnił ogłuszający szum. Patrzyłam na niego półprzytomnie, wystraszona tym, co się ze mną działo. Było mi gorąco i zarazem miałam dreszcze,

serce biło mi szybko, a jednocześnie co chwila nieruchomiało.

– Myślałam, że zasadą Organizacji jest, że nie możesz tego zrobić bez zgody Vincenta – wymamrotałam zawstydzona tym, jak cienki i słaby wydawał się mój głos.

– Pieprzyć Organizację – odpowiedział. – To twoje ciało, Hailie, zatem tylko twoja zgoda mnie interesuje.

Kolana się pode mną ugięły. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że jeszcze chwila i mogłabym paść na nie tuż obok Santana.

Jemu nie spieszyło się do wstawania, cierpliwie trwał tak na podłodze u moich stóp, a w spojrzeniu ciągle miał ten błysk autorytetu, który mimo pozycji, w jakiej chwilowo się znajdował, nie pozwalał go lekceważyć.

Wiedziona nieznanymi sobie wcześniej pragnieniami ledwo zauważalnie skinęłam głową.

Wtedy Adrien pokręcił swoją przecząco.

– Nie, nie, Hailie – powiedział cicho. – Nalegam, żeby twoja odpowiedź była wyraźna i werbalna.

Zmarszczyłam brwi. Nagle odniosłam wrażenie, jakbym miała podjąć decyzję wagi światowej. W zależności od mojej odpowiedzi mogło stać się coś ważnego i nieodwracalnego. Moje biedne serce z trudem dźwigało tę odpowiedzialność.

Najtrudniejsze w tym wszystkim było uświadomienie sobie, że ja naprawdę tego chcę. Wizja dotyku Adriena smakowała ekscytacją i tajemnicą, jej abstrakcyjność i ryzyko, jakie ów dotyk potencjalnie ze sobą niósł, podniecały mnie. Złamanie tak długo respektowanego przez obie strony zakazu kusilo zbyt mocno, bym potrafiła zachować rozsądek.

Długo patrzyłam w dół spod na wpół opuszczonych powiek, aż wreszcie, wciąż cichym, acz dużo już pewniejszym głosem, odpowiedziałam:

– Tak, możesz mnie dotknąć.

Na twarzy Adriena odbił się bardzo delikatny cień uśmiechu.

Nadal klęcząc i wciąż nie przestając patrzeć mi w oczy, uniósł dłoń i wyciągnął ją przed siebie.

Dzieliła nas bardzo mała odległość, jednak długo czekałam, by mnie dotknął, bo Adrien się nie spieszył. Jego ręka wolno zbliżała się do mojej nagiej nogi. Sukienka sięgała mi tylko połowy pokrytego gęsią skórą uda.

Tym razem naprawdę wstrzymałam oddech.

Gdy opuszki palców Adriena Santana połaskotały moją skórę, przeszedł mnie prąd. Pociemniało mi przed oczami, a i jego tęczęwki zrobiły się niemal czarne. Chciałam spojrzeć na swoje udo, by upewnić się, że to żadna sztuczka, ale jego oczy po raz kolejny zadziałały jak magnes.

Z taką czcią nie dotykał mnie jeszcze nikt, nigdy. Stopniowo na moim udzie spoczęła cała jego dłoń. Następnie bez pośpiechu, nie odrywając jej od mojej skóry, przesunął ją na bok uda i jego tył. Dłoń wędrowała dalej i Adrien kciukiem przejechał po moim kolanie, które drgnęło.

Już nie powściągał bardzo delikatnego, ale wyraźnego uśmiechu. Jego palce z powrotem spoczęły na zewnętrznej stronie mojego uda. Wreszcie się podniósł, a dłoń, której nie oderwał od mojej nogi ani na chwilę, przesunęła się wzdłuż mojego boku do góry razem z nim, na końcu zatrzymując się na mojej talii.

Adrien znowu górował nade mną, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Nim zabrał rękę i z powrotem włożył ją do kieszeni, ostatni raz zajrzał mi głęboko w oczy.

– Ciekawe doświadczenie – powiedział w końcu, wpatrując się we mnie z nieskrywaną fascynacją. – Widzę, że też to poczułaś, nieprawdaż?

Ocknęłam się jak z transu. Objęłam się ramionami, żałując, że w zasięgu ręki nie mam kurtki. Skąd brały się te dreszcze?

– To było – wyjąkałam słabym głosem – niewłaściwe.

– Z całą pewnością – przytaknął.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – zastrzegłam cicho, powoli odzyskując rozum. Silne emocje, które odczułam, przeraziły mnie i utwierdziły w przekonaniu, że zrobiłam coś niewłaściwego. Igrałam z ogniem, a kto wie, czy nie z samym diabłem.

Adrien, jakby słyszał moje myśli, uśmiechnął się.

– Prosisz o wspólną tajemnicę?

Skrzywiłam się.

– Nie proszę o żadną tajemnicę, tym bardziej nie wspólną – powiedziałam szybko.

– Ja po prostu nie... – Zawahałam się. – Nie wiem, co się właśnie stało...

– W porządku, daj sobie czas.

Łypnęłam na niego nieufnie. Ton jego głosu był uspokajający, ale pamiętałam, że przecież to on w pierwszej kolejności odpowiada za ten chaos w mojej głowie.

– Proponuję tydzień.

Zmrużyłam oczy.

– Co się stanie za tydzień? – zapytałam.
– Upomnę się o odpowiedź.
– A jak brzmiało pytanie?
– Tak lub nie, Hailie Monet – odparł spokojnie, a kącik jego ust się uniósł, po czym skinął mi głową. – Do zobaczenia.

Odwrócił się i odszedł.

W drodze na korytarz, nie zatrzymując się, starł sobie kurz z kolan, który mógł się pojawić na jego drogich spodniach, gdy wycierał nimi podłogę.

Kłęcząc. Przede mną.

Dopiero kiedy zostałam w salce sama, pozwoliłam sobie odetchnąć głęboko. Brakowało mi powietrza tak bardzo, że wybiegłam na otwarty balkon, gdzie pod wiszącym na czarnym niebie księżycem krztusiłam się przez chwilę z nadmiaru emocji.



Gdy tylko weszłam do pustego loftu, wypuściłam Daktyla z transportera. Mój kot najlepiej czuł się właśnie tutaj, więc z zadowoleniem zaczął się przechadzać po dobrze znanych sobie kątach, sprawdzając zapewne, czy na pewno wszystko jest po staremu.

Ja też się rozglądałam. Na podłodze niedaleko drzwi wejściowych leżała jedna z puszek z karmą Daktyla. Musiałam ją upuścić, gdy pakowałam się w pośpiechu.

Od czasu mojego wyjazdu z Barcelony wydarzyło się tak dużo, a teraz, kiedy przypomniały mi się ostatnie chwile w tym mieszkaniu, aż mnie zmroziło.

Od bankietu trudno było mi myśleć o czymkolwiek lub kimkolwiek innym niż Adrien. Wyjątkowo nie zamierzałam się okłamywać – tak, to on okupował moją głowę, ale nie czułam nawet specjalnych wyrzutów sumienia. Bowiem sposób, w jaki przeprowadził tę swoją... rozmowę... usprawiedliwiał mnie chyba na każdym polu.

Jęknęłam z żalnością na samo wspomnienie.

To się nie działo naprawdę. No ja przecież chyba żyję w jakimś wymyślonym świecie.

Postanowiłam się wyciszyć po długiej podróży i intensywnych przeżyciach związanych nie tylko z bankietem, ale i z wybrykami naszego ojca. Wzięłam prysznic i wskoczyłam w puszysty dres. Zrobiłam sobie owocową herbatę i przeszłam z nią na taras, z roztargnieniem wymieniając kilka wiadomości z Alexem.

Niebo różowiło się po zachodzie słońca, a mnie otaczały soczyste zielone rośliny i przyjemne drewniane akcenty. Zapaliłam lampki i wtuliłam się w poduchy tarasowej kanapy. W takich warunkach planowałam sięgnąć po książkę i może oderwać myśli od jednego i tego samego, wciąż powracającego tematu.

Byłam jednak tak rozkojarzona, że z trudem udało mi się przebrnąć przez dwa pierwsze rozdziały. Na tym czytanie się zakończyło, bo do moich drzwi zapukał Alex, który już od dłuższego czasu mi nie odpisywał. Spodziewałam się, że to on, bo któż by inny, ale i tak mi ulżyło, kiedy go zobaczyłam w progu swojego apartamentu.

Nie przywitał mnie swoim zadziornym uśmiechem, jak to miał w zwyczaju, ani butelką niezłego wina w ręce, pudełkiem z pizzą czy kwiatami. Dziś wbijał we mnie świdrujące spojrzenie, a ręce miał puste.

– Wszystko ci wyjaśnię – obiecałam od razu.

Alex zacisnął szczękę i pokiwał głową. Wszedł do mieszkania, rzucając szybkie spojrzenie wokół.

– Napijesz się czegoś? – zapytałam słodko.

Nie dał się podejść, tylko łypnął na mnie gniewnie. Czasem lubiłam, gdy się na mnie złościł. Miałam frajdę z droczenia się z nim. Tym razem jednak wiedziałam, że należy mu się jakieś sensowne wyjaśnienie tej sytuacji.

– Nie, nie napiję się.

– Chodźmy na taras – zaproponowałam, tłumiąc westchnienie.

Usadowiłam się na kanapie, którą zajmowałam wcześniej, i podciągnęłam kolana pod brodę. Dopiero wtedy zaczęłam nieśmiało mówić:

– Głupio wyszło. Przepraszam.

Alex był tak bardzo nabuzowany, że nawet nie usiadł. Znałam go dobrze i wiedziałam, że krew się w nim gotuje. Brakowało tylko, by para poszła mu uszami. Podeszedł do betonowego ogrodzenia, oparł się o nie i zapatrzył się na panoramę miasta.

– Nie bądź zły – poprosiłam, przekrzywiając głowę.

Obejrzał się na mnie.

– Jesteśmy razem w barze, prosisz mnie o drinka, a gdy ci go przynoszę, okazuje się, że zniknęłaś bez słowa – wycedził. – Co jest z tobą, dziewczyno?!

– Dostałam telefon i...

– I co? – Rozłożył ręce. – Tak trudno było ci mnie znaleźć i poinformować, że wychodzisz? Albo poprosić kogokolwiek, żeby mi to przekazał?

– Musiałam zmyć się jak najszybciej, bo... – Ucięłam, rozdrażniona tym, że tak właściwie to nie mogę mu nic zdradzić. – To była bardzo skomplikowana, awaryjna sytuacja.

– Nawet wiadomości nie mogłaś mi wysłać? Przestań. Za kogo ty mnie uważasz, Hailie?

– Nie mogłam! Musiałam oddać telefon...

Alex wpatrywał się we mnie zdezorientowany.

– Komu musiałaś oddać telefon? Dlaczego? – Świdrował mnie spojrzeniem, czekając na sensowne odpowiedzi. Był bardzo poważny.

Z wciąż podwiniętymi kolanami zaczęłam skubać materiał na nogawkach swoich spodni.

– No... kierowcy.

Uniósł brwi.

– Musiałaś oddać swój telefon kierowcy?

Skinęłam nieśmiało głową.

– Z jakiej racji? Co to był za kierowca? Skąd się wziął? – Alex wyglądał, jakbym właśnie próbowała wcisnąć mu największy idiotyzm świata.

– Został wysłany przez mojego brata. Już powiedziałam, że to była sytuacja awaryjna.

– I nie mogłaś poprosić kogokolwiek, kogo-cholera-kolwiek, żeby mi przekazał, że wyszłaś z baru? – Alex kręcił głową z niedowierzaniem. – Czy ty rozumiesz, że szukałem cię przez pół nocy?

Przymknęłam powieki. Poczucie winy wgniotło mnie głębiej w poduszki.

– Przepraszam cię...

– Co to ma znaczyć, że musiałaś jak najszybciej opuścić bar i oddać telefon, bo nie rozumiem?

– Wiem, że to nie brzmi wiarygodnie, ale uwierz mi, proszę, że nie miałam na to wszystko wpływu.

– Martina mówiła, że masz pokreconą rodzinę, ty potwierdzałaś mi to nieraz, ale to jest już przesada – prychnął, znowu przenosząc wzburzony wzrok na skąpaną

w różowej poświacie panoramę miasta. Dawniej lubiliśmy na moim tarasie oglądać razem zachody słońca, ale dziś nie było to tak przyjemne.

Nie odezwałam się.

– Wiesz, że zaangażowaliśmy w poszukiwania policję? – zapytał po chwili.

Zamrugalam, a potem westchnęłam ciężko.

– Alex... przykro mi, wiem, że się zmartwiłeś. To powinno zostać lepiej załatwione.

– Nie no, coś ty – prychnął. – Wiesz co? Potraktowałaś mnie jak losowego, gotowego do spławienia frajera na jedną noc – warknął. – Nie tak miała wyglądać ta relacja. Nie wierzę, że nie wpadłaś na to, że twoje zniknięcie mnie zaniepokoi.

– Byłam odcięta! Nie mogłam skontaktować się z nikim, przysięgam!

– Myślałem, że ktoś cię, kurwa, nie wiem, porwał! Mało gości gapi się na ciebie z wywalonym jęzorem w tych wszystkich barach? Kto wie, co komu przyjdzie do głowy... I jeszcze ten twój kuzyn.

Szarpnęłam głową, by na niego spojrzeć.

– Co?

– Twój kuzyn też zniknął – wyjaśnił. – Nie wiedziałem, czy mam mieć nadzieję, że wyszłicie z baru razem, czy raczej się tego obawiać. Podejrzany był. A także – Alex zacisnął na chwilę usta, wlepiając we mnie oczy, a potem mówił dalej: – nie wykazywał typowych oznak osoby cierpiącej na fobię społeczną.

– On nie ma żadnej fobii. – Odchyliłam głowę. – Nie jest też moim kuzynem.

Alex zrobił cierpką minę i pokiwał głową.

– Domyśliłem się. Kto to?

Odetchnęłam, bo, kurczę, robiłam wszystko, by przestać myśleć o Santanie, a kończyło się to na tym, że nawet podczas ochrzanu, jaki zgarniałam od Alexa, musiał zostać wspomniany.

– Wspólnik mojego najstarszego brata – wyznałam z niechęcią.

– To z nim wyszłaś z baru? – Alex odszedł od barierki i teraz stał naprzeciwko mnie z rękoma na biodrach.

– Nie! To między innymi przed nim uciekłam tak szybko.

Alex skrzywił się, słysząc moją odpowiedź. Tak, dla osoby niewtajemniczonej w całą sprawę musiały brzmieć kretyńsko, wiem.

– Już wszystko jest w porządku – ciągnęłam z przejęciem. – Wszystko wyjaśnione. Przepraszam, że nie dałam znaku życia.

– Dowiedziałem się, że jesteś bezpieczna, dopiero od Martiny.
– To... – Odetchnęłam i spuściłam głowę. – To moja rodzina, Alex. Taka po prostu już jest. Czasem zdarzają się dziwne rzeczy, na które nie mam wpływu.

Alex odwrócił wzrok w stronę miasta.

- Nie mam pojęcia, jak Martina to znosi.
- Wiem, że trudno to zrozumieć z zewnątrz.
- Myślę, że nie da się tego zrozumieć z zewnątrz.

Zapatrzyłam się na niego.

– Martina sobie radzi – zauważyłam sucho.
– Martina zaciska zęby i przekręca się na drugi bok, gdy Dylan dostaje telefony po nocach od kogoś, że nagle musi się pojawić gdzieś. Zwyczajnie świadomie wybrała, żeby ignorować to, co się dzieje.

- Wybrała, żeby zaufać swojemu partnerowi.

Alex zmrużył oczy.

– Dylan nie zostawiłby Martiny bez słowa w barze – zauważył cicho.
– Przepraszam – powtórzyłam łagodnie. – Mogłam być w niebezpieczeństwie, postępowałam zgodnie z instrukcjami, jakie dostałam. Spanikowałam.

Alex patrzył znowu na mnie, a między jego brwiami pojawiła się zmarszczka.

– Czy nadal coś ci grozi? Ten facet, którego przedstawiłaś jako kuzyna, na przykład?

- Eee... – Przełknęłam ślinę i powiodłam dłonią po karku. – Nie wydaje mi się. Odetchnął i obie dłonie zacisnął na poręczy, po raz kolejny zerkając w dal.

Powoli opuściłam nogi i podniosłam się z kanapy. Podeszłam do Alexa i najpierw położyłam dłoń na jego plecach, pogłaskałam je, a potem lekko do nich przyłgnęłam.

– Przepraszam – szepnęłam. – Nie bądź na mnie zły.
– Nie jesteśmy w związku, tak ustaliliśmy, ale to nie oznacza, że mi na tobie nie zależy. I że jak znikniesz nagle bez znaku życia, to nie będę cię szukał.

- Wiem. Bardzo nieelegancko to wszystko wyszło. Przepraszam.

– Już wystarczy tych przeprosin – westchnął, wreszcie się do mnie odwracając. Objął mnie z niezadowoloną miną i zawiesił spojrzenie na moich ustach. – To denerwujące, że tak trudno się na ciebie złościć.

Uśmiechnęłam się, czerpiąc dużo siły z naszego uścisku. Oparłam policzek na jego piersi i odetchnęłam ładnym zapachem jego wody kolońskiej. Dobrze było czuć

wsparcie Alexa. Jego ramiona były mi dobrze znane i czułam się w nich swojsko i bezpiecznie.

– Obejrzymy coś na dworze? – zapytałam z nadzieją. – I może zamówimy pizzę?

Tak bardzo tęskniłam za normalnością po intensywnych przeżyciach, które były moim udziałem w ostatnich dniach.

Alex patrzył na mnie przez chwilę, jakby próbował zdecydować, czy ciągle się gniewa, czy już mi wybaczyć, ale wreszcie pokiwał głową.

– Rozstawię projektor.

Uśmiechnęłam się i z powrotem zajęłam swoje miejsce na kanapie, po czym wyjęłam telefon, żeby zamówić jedzenie, a Alex w tym czasie zajął się sprawami technicznymi. Rozstawił ekran i rzutnik, do którego podłączył laptopa, i taras zamienił się w kino plenerowe.

Na pomysł rozstawiania tu projektora wpadli bliźniacy podczas jednej z pierwszych wizyt, gdy odkrywali możliwości mojego apartamentu.

Nieco ponad godzinę później siedzieliśmy już wygodnie na kanapie. Alexowi powoli mijała złość, a może dawno już minęła, choć sprawiał wrażenie, jakby nie chciał tego przyznać. Mimo to pozwolił mi wygodnie oprzeć głowę na swoim ramieniu, dał przykryć się większą częścią koca i pierwszej dobrać się do pizzy.

Robiło się już ciemno i ciepłe światło lampek tworzyło przyjemny klimat. Film był ciekawy, ale spokojny, kanapa wygodna, bliskość Alexa kojąca i gdy pizza się skończyła, zaczęliśmy powoli szukać innych rozrywek.

Pocałował mnie raz w głowę, potem z czegoś tam się zaśmialiśmy i niedługo później zaczęliśmy się obściskować. Miałam wrażenie, że odkąd robiliśmy to po raz ostatni, minęło strasznie dużo czasu.

– Z prawej, Alex – westchnęłam, gdy całował mnie po szyi. – Wiesz, że wolę z prawej.

Posłusznie przesunął swoje usta i szorstką brodę we wskazaną stronę.

– Ty i ta twoja szyja – mruknął między pocałunkami.

– Nietrudno zapamiętać.

– Mhm – wymruczał skupiony na pieszczotach.

Odchylałam głowę do tyłu, gładziłam go po plecach, patrzyłam w ciemne niebo i powinnam była umierać z rozkoszy, ale mimo przyjemności, którą niezaprzeczalnie czułam, coś się nie zgadzało.

Kędzierzawe włosy Alexa, na które miałam dobry widok, kiedy zerkałam w dół i w których w pewnym momencie zanurzyłam dłoń... Te, choć inaczej ułożone, były praktycznie tak samo ciemne jak włosy należące do...

– Och – wymsknęło mi się i odrzuciłam głowę jeszcze mocniej w tył.

Nie myśl o nim, do cholery! A już na pewno nie teraz!

Rozpaczliwie wyciągnęłam szyję jeszcze bardziej, by nadstawić jej prawą stronę Alexowi. Jego ręka zaczęła też błędzić w okolicy mojej talii i wpełzła na chwilę pod bluzę, po czym pojawiła się gdzieś na udzie.

Moje luźne spodnie dresowe się podwinęły i poczułam jego dotyk na nagiej skórze. Już wtedy coś zdawało mi się nie takie, jak być powinno, a potem nagle palce Alexa przejechały po moim kolanie i...

Zamarłam.

Przed moimi oczami stanął Adrien. Albo raczej klęknął. Przypomniało mi się, jak muskał moją nogę. Poczulałam mrowienie na skórze i uderzenie gorąca.

Otworzyłam powieki najszerszej, jak się dało, by tylko jego twarz zniknęła. Nadal jednak widziałam te ciemne włosy, dlatego zaczęłam kręcić głową. Złapałam Alexa za ramię.

– Czekał – wychrypiałam.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie nieprzytomnie.

– Hm?

– Czekał – powtórzyłam i poruszyłam się, dając mu do zrozumienia, że chcę wyslizgnąć się spod niego i zmienić pozycję. Pozwolił mi na to z ociąganiem, bo wciąż był w transie i z początku nie łapał, o co mi chodzi.

– Co jest? – zapytał, powoli wracając do rzeczywistości.

Usiadłam i dyskretnie się odsunęłam.

– Nic takiego, ja tylko... – Przejechałam ręką po twarzy. – Chyba nie jestem w nastroju.

W ciemnych oczach Alexa błysnął zawód.

– Wszystko okej? – zapytał. Wierzchem dłoni przetarł wilgotne usta.

– Tak, jestem tylko zmęczona. – Wzruszyłam ramionami, uśmiechając się przymilnie. – Może dokończymy film?

Alex odchrząknął i pokiwał głową.

– Mhm, no dobra, cofnę go do momentu, kiedy... jeszcze nadążaliśmy za fabułą – mruknął i wstał, żeby podejść do laptopa.

Patrzyłam na jego plecy i widziałam, że jego sylwetka promieniuje goryczą. Wiedziałam, że zmarnowałam nam potencjał na dobrą zabawę, ale nie potrafiłam w tej chwili nic z tym zrobić. Wygładziłam dłonią ubrania, przetałam rękawem szyję, jakbym chciała coś z niej zetrzeć, i usadowiłam się wygodniej na kanapie.

– Zostaniesz na noc? – zapytałam, gdy film się skończył, a on zabrał się do odłączania sprzętu. Obserwowałam go, wyciągnięta na kanapie.

– Jutro muszę być z rana w klinice – odparł. – Więc planowałem wrócić do domu.

– W porządku.

Alex uniósł na mnie wzrok znad projektora.

– Na pewno? Niczego się nie boisz, nie?

– Nie – ożywiłam się. – Oczywiście, że nie. Bez przesady.

– W razie co to dzwoń, przyjadę.

– Przestań – parsknęłam. – Nie będziesz biegał do mnie w tę i z powrotem w środku nocy.

– Poważnie mówię. – Alex wyprostował się i zerknął na mnie znacząco.

– Ja wiem. Wiem, że mogę na ciebie liczyć.

Wtedy rzucił mi nikły uśmiech, westchnął, schował rzutnik i znowu pocałował mnie w głowę, tym razem na pożegnanie.

– Dobranoc.

– Napiszę jutro – obiecałam.

Puścił do mnie oko i wyszedł, a ja przez chwilę myślałam o tym, jaki jest niesamowity – daje mi ogrom wsparcia i wcale nie chodzi mu wyłącznie o przyjemności, które czerpiemy z naszej relacji.

Znowu zrobiło mi się głupio. I nie chodziło o to, że nie byłam dziś w nastroju na nic więcej. Każde z nas miało prawo odmówić – tak ustaliliśmy na samym początku i tego się trzymaliśmy.

Było mi głupio, że go zostawiłam wtedy w barze. Co prawda, nie miałam wówczas czasu, by spokojnie pomyśleć, bo wszystko działo się bardzo szybko, ale i tak czułam się nie w porządku.

Po odprowadzeniu Alexa do drzwi wróciłam jeszcze na chwilę na taras. Usiadłam na kanapie, a na moje kolana wskoczył Daktyl. Głaszcząc go, spojrzałam w górę.

Na niebie nie było zbyt wielu gwiazd, ale i tak było piękne. Takie ciemne i tajemnicze.

Uśmiechałam się przez chwilę, ale uśmiech szybko zamarł mi na ustach, bo w mojej głowie znowu pojawiło się porównanie – do tamtych oczu, które były równie ciemne i tajemnicze.

Zacisnęłam ręce w pięści.

– To niesprawiedliwe – powiedziałam do siebie.

Czy ja naprawdę jestem teraz skazana na myślenie o Adrienie Santanie na każdym kroku? To brzmiało jak absurd.

Jego wyznanie mnie zaskoczyło – to dlatego teraz on siedzi mi w głowie. Wmusza we mnie uczucia, którymi chciałby, żebym go darzyła. Tak, tak właśnie robi.

Pokiwałam głową, zadowolona z tego odkrycia.

Dlaczego? Czyżby naprawdę coś go do mnie ciągnęło? A może ma w tym jakiś interes? Może coś z Organizacją, z moimi braćmi? Z ojcem, Vincentem?

Jeszcze trochę i wybuchnie mi głowa.

A co, jeśli jest w tym coś głębszego? Czy warto to, jak powiedział Adrien, zbadać?

Sama myśl o tym sprawiła, że moje ramiona pokryła gęsia skórka. Wpatrywałam się w nią najpierw ze zmarszczonymi brwiami, ale potem parsknęłam rozbawiona.

A potem zaraz zachciało mi się płakać, tak zagubiona się poczułam. Nie byłam na nic gotowa. Nie wiedziałam, czego chcę. Wiedziałałam tylko, że sama myśl o sięgnięciu po zakazany owoc kusi mnie zbyt mocno.

Myślę, że nie da się tego zrozumieć z zewnątrz.

Tak powiedział Alex. I zapewne miał rację. Mojego życia nigdy w pełni nie zrozumie ktoś z zewnątrz. To nie pierwszy raz, gdy na mojej drodze pojawił się ten problem.

A gdybym dopuściła do niego kogoś z wewnątrz, czy tak byłoby prościej?

I jeszcze chwilę wpatrywałam się w to niebo, zaintrygowana kryjącą się w nim niewiadomą, zdecydowawszy już, jak będzie brzmiała moja odpowiedź.

Tak lub nie, Hailie.

Tak.



Mogłeś kazać strzelić temu draniowi w rękę, może czegoś by się nauczył.

– Mhm – prychnąłem bez rozbawienia. A potem wyobraziłem sobie, jaka byłaby wtedy reakcja tej biednej Hailie Monet. – Dziewczyna i tak ma przerąbane z tymi braćmi, nie trzeba jej dokładać zmartwień.

– Zmartwienia siostry Monetów nie powinny cię interesować – zauważył mój ojciec, unosząc brwi, a potem machnął ręką, żebym do niego podszedł. – Pokaż no tę twarz.

Nie ruszyłem się z fotela.

Ojciec, oczywiście, też nie. Jedną dłoń trzymał na złotym uchwycie swojej eleganckiej laski, który miał kształt orlego szpona, a drugą wskazał na mnie.

– Nie możesz pozwolić sobie na chodzenie z obitą buzią.

– Wiem – westchnąłem.

– Monetowie pozwalają sobie na zbyt dużo – burczał. – Na zbyt dużo...

Wzruszyłem ramionami.

– Chłopak myślał, że to ja otrujęm jego siostrę.

– I już samo to jest obrazą dla naszej rodziny – warknął Egbert.

– Tak można było wywnioskować ze słów Hailie Monet.

– W takim razie dziewczyna, wiedząc, że niektórzy z jej braci to porywcze dzieciaki, powinna staranniej je dobierać.

– Zgaduję, że niełatwo zwracać uwagę na słownik, gdy jest się pod wpływem narkotyków.

Ojciec cmoknął z niezadowoleniem. Dawno nie widziałem go tak wzburzonego. Jego twarz nigdy nie utraciła surowości, ale ostatnio na pierwszy plan wysuwały się chorowita bladość i podkrążone oczy.

– Co ty w ogóle robiłeś w klubie Monetów?

Milczałem przez dłuższą chwilę, wpatrując się w ogień płonący w kominku. Już od samego rana ogrzewał mój rodzinny dom. Zrozumiałe, biorąc pod uwagę zaspę śniegu za oknem.

– Wiesz, że czasem tam bywam.

– Kiedy masz do omówienia sprawy z Vincentem – zauważył, mrużąc oczy. – A jeśli się nie mylę, Vincent odbywa właśnie swoją podróż poślubną.

– Miałem ochotę wyjść, nie muszę się spowiadać – odparłem chłodno.

Ojciec zacisnął usta z niezadowoleniem. Nie lubił, gdy mu się przeciwstawiłem. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że skoro przejąłem po nim funkcję członka

Organizacji, to muszę być stanowczy.

– Z tą rodziną najlepiej zachować relacje czysto biznesowe – pouczył mnie. – Nie spoufalać się.

Pokiwałem głową.

– Nieprawdopodobne, że cię uderzył! – burknął znowu ojciec, tym razem bardziej do siebie. Marszczył czoło i wydawało się, że gdyby nie jego choroba, to zerwałby się na równe nogi i popędził do Monetów, by ich wszystkich tam poustawiać.

– Dziękuję, Sofio – rzuciłem do kobiety w średnim wieku, która właśnie przyniosła nam kawę. Niedawno zatrudniłem ją jako pomoc dla głównej gosposi ojca. Polubiłem ją od razu, bo oprócz tego, że parzyła dobrą kawę, miała przygotowanie pielęgniarskie. Świadomość, że w moim rodzinnym domu jest ktoś taki, mnie uspokajała.

Uniosłem kubek do ust i poczułem ból w szczęcie. Cholerny Dylan Monet. Nie zdążyłem ukryć grymasu, który nie umknął mojemu ojcu. Być może ciało Egberta powoli odmawiało mu posłuszeństwa, ale umysł wciąż miał sprawny.

– Nieprawdopodobne – powtórzył z jeszcze większym oburzeniem.

– Panie Santan... – Sofia stanęła obok niego wyprostowana, z rękoma splecionymi przed sobą. – Za dziesięć minut ma pan masaż...

– Później – przerwał jej, lekceważąco machając ręką. Jego skupiona mina sugerowała, że co innego teraz okupuje jego umysł niż zabiegi rehabilitacyjne.

– Tak jest. – Sofia cierpliwie skinęła głową i wyszła.

– Skontaktuję się z Vincentem i wyrażę swoje niezadowolenie – powiedziałem, licząc, że to udobrucha nieco ojca. Ten jednak, wciąż niepocieszony, patrzył przed siebie. Niemal gołym okiem było widać, jak w jego głowie intensywnie kręcą się trybiki.

– To nie wystarczy – uznał wreszcie.

Uniosłem pytająco brwi.

– Za dużo sobie pozwalają, trzeba trochę ukrócić ich swobodę – wyjaśnił.

– I jak to zrobić? – westchnąłem.

– Zadzwońisz do Vincenta, opisziesz mu incydent i zażądasz, by Dylan Monet został odsunięty od Organizacji.

– Brutalne – mruknąłem, biorąc kolejny łyk kawy.

– Vincent ma sporo braci, nie ucierpi, jeśli będzie musiał wykopać z biznesu jednego z nich.

– Vincent Monet nie ucierpi, ale Dylan Monet tak – rzuciłem obojętnie.

– Nic cię nie powinien obchodzić Dylan Monet – warknął ojciec. – Uderzył cię, to zniewaga.

– Nie obchodzi mnie.

– W takim razie dzwoni do Vincenta – poleciał. – A, i użyj specjalnej linii. Niech wie, że to poważna sprawa i od początku ją tak traktuje.

Skinąłem głową.

Specjalna linia służyła do połączeń między członkami Organizacji w sytuacjach wyjątkowych i sprawach niecierpiących zwłoki. Z przyjemnością jej użyłem, zabarykadowawszy się w starym gabinecie ojca. Oparłem się o stół bilardowy i bawiąc się jedną z bil, zacząłem mówić.

– Zgaduję, że twoje rodzeństwo już cię poinformowało o tym, co się wydarzyło.

– William dzwonił – potwierdził Vincent, chłodnym, spiętym głosem.

– Wspaniale, w takim razie przejdę do meritum. – Zamilkłem na moment. – Twój brat podniósł na mnie rękę.

– Tak słyszałem – przytaknął Vincent, a zaraz potem spokojnym głosem zaczął mówić przygotowaną zapewne chwilę wcześniej formułkę: – Adrienne, przepraszam za Dylana. Pracuję nad wdrożeniem go do biznesu, co oznacza, że nadal jest na etapie nauki. Popęłił błąd. Upewnię się, że za niego odpowie.

Już w połowie jego wypowiedzi zacząłem kręcić z niedowierzaniem głową.

– Dylan Monet to nie jest biedny mały chłopczyk, któremu należy tłumaczyć, że bardzo brzydko jest stosować przemoc – prychnąłem. – To dorosły mężczyzna, który powinien wiedzieć, że za błędy się płaci. Z tego względu to ja chciałbym być osobą, która upewni się, że twój młodszy brat odpowie za swoje winy.

Zapadła chwila ciszy.

– Czy masz na myśli jakieś konkretne działanie?

Przełknąłem dyskretnie ślinę, gdy uświadomiłem sobie, że z jakiegoś powodu przed oczami zobaczyłem jego siostrę. Hailie Monet miała na sobie tę samą sukienkę, co wczoraj, ale nie czuła się źle, nie zataczała się. Stała po drugiej stronie stołu bilardowego, z niewinnym uśmiechem oparta o jego krawędź.

Zacisnąłem powieki, a kiedy je otworzyłem, dziewczyna zniknęła.

Zamrugalem jeszcze kilka razy, żeby się upewnić, że znajduję się w rzeczywistości, a nie w krainie jakichś popieprzonych wyobrażeń, i dopiero wtedy zdobyłem się na mocny ton, by odpowiedzieć:

– Życzę sobie odsunięcia Dylana Moneta od biznesu.

Vincent grał na zwłokę. Odchrząknął, coś zaszeleściło, jakby się przemieścił.

W końcu zapytał:

– Na jak długo?

– Na długo.

Ponownie zapadła cisza, którą tym razem przerwałem ja. Niecierpliwiły mnie te przerwy.

– Nie nadaje się. Udowodnił to swoim aktem agresji. Wiesz doskonale, że nie możesz temu zaprzeczyć.

– W porządku – przemówił wreszcie Vincent. Trudno było mi rozszyfrować jego nastrój przez połączenie telefoniczne, ale byłem pewien, że moje żądanie go nie ucieszyło. – Przekażę mu, co zostało postanowione.

– Świetnie – odparłem. Ciągle bawiłem się bilą, gdy dodałem: – Vincent?

– Tak?

– Moja cierpliwość względem twojej rodziny się kończy.

Nastąpiła ostatnia chwila ciszy.

– Dziękuję za telefon, Adrienie – powiedział Vincent. – Do usłyszenia.

Rozłączył się, zanim zdążyłem się odezwać, co w zasadzie było z jego strony niegłupie, bo ja odpowiadać na jego suche pożegnanie i tak nie zamierzałem.

Mechanicznym ruchem odkleiliśmy telefon od ucha i zapatrzony w bilę, pchnąłem ją, a potem obserwowałem, jak turla się i znika w luzie.



27

CZARNY CZOSNEK

Na szybie kabiny prysznicowej ciągnęła się smuga grubości palca wskazującego.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę z niezadowoleniem, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio odwiedziła mnie pani sprzątająca. Szybko obliczyłam, że była tu trzy dni temu.

Wzdychając, zanurkowałam w składziku po środki czystości i szmatkę. Kiedyś miałam plan, by ukraść Vincentowi naszą niezastąpioną Eugenie. Plan zupełnie nierealny, nie tylko ze względu na opór Vincenta, bo Eugenie nie porzuciłaby przecież swojego życia w Stanach, by przeprowadzić się ze mną do Hiszpanii.

Chociaż mnie uwielbiała.

A dlaczego pamiętałam, że to równe trzy dni temu odwiedziła mnie pani sprzątająca?

Ponieważ gdy zadzwoniła do drzwi, spłoszona aż podskoczyłam. Gdy szłam, by jej otworzyć, słyszałam w uszach bicie swojego serca. Zerknęłam przez judasza, wstrzymując oddech, a do klamki sięgałam drżącą dłonią.

Trzy dni temu minął zapowiedziany przez Adriena Santana tydzień. Spodziewałam się więc, że, nie wiem, może to on przyszedł do mojego apartamentu po odpowiedź. Teraz uważałam, że to głupie, iż dopuściłam do siebie taką myśl. Głupie i żalodne. Zapomniałam, że na ten dzień umówiłam się na sprzątanie.

Przez cały tydzień, zwłaszcza odkąd wróciłam do Barcelony, Adrien był niczym cień, nieustannie obecny w mojej głowie. Im bardziej zbliżała się ustalona data, tym bardziej chodziłam spięta, aż wreszcie wyznaczony dzień nadszedł i minął bez żadnego znaku z jego strony.

Nie odezwał się.

Pomyślałam sobie, że to dobrze. Wycofał się, bo zrozumiał, że rozmowa na bankiecie była wysoce nieodpowiednia. To świetnie, bo mogłam odetchnąć z ulgą i wrócić do normalności.

Tyle że wcale nie mogłam.

Wcale się nie wyluzowałam. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej obsesyjnie zastanawiałam się, o co chodzi. Nie zniżyłabym się jednak do tego, żeby pierwsza się do niego odezwać. Godność mi na to nie pozwalała.

Wolałam z uniesioną wysoko głową dręczyć się snuciem domysłów.

W takim stanie trwałam do wtorku, kiedy to wybrałam się do kina z Alexem. Film był dobry, jeden z lepszych, jakie widziałam ostatnio, poszliśmy też na pyszną kolację, dlatego do domu wracałam zadowolona z wyjątkowo udanego wieczoru. Uśmiechałam się do siebie, bo w ogóle był to niezwykle miły dzień, jeden z takich, kiedy myślałam sobie, że fajne jest jednak to moje życie.

Gdyby nie to, że nazajutrz Alex zaczynał praktyki wyjątkowo wcześniej, gotowa byłabym pójść po kolacji do niego. I z perspektywy dalszych wydarzeń myślę, że powinnam była to zrobić – wówczas nie znalazłabym się znowu o krok od zawału serca.

Jego sylwetkę zobaczyłam już z okna taksówki, kiedy podjeżdżałam pod swoją kamienicę. Stał na chodniku skryty w półmroku, tak jak wtedy, poprzednim razem, gdy przyjechał rozliczyć mnie z naszej umowy.

Beztroską radość z przyjemnie spędzonego czasu momentalnie przysłoniło podenerwowanie. Tego dnia udawało mi się nie myśleć o Adrienie zbyt wiele i to właśnie teraz postanowił się pojawić.

Opanowałam przemożną chęć, by polecieć kierowcy, aby jechał dalej. Wsiadłam i rzuciłam Santanowi obojętne spojrzenie. W mojej głowie znów pojawiły się podstępne, niechciane myśli o tym, jak elegancko i szykownie Adrien prezentuje się w swoim nienagannym garniturze. Uciszyłam je, sama sobą zażenowana.

Bez słowa skierowałam się do bramy, mijając go, jakby był kimś obcym.

– Witaj, Hailie Monet.

Już wyciągałam dłoń, by wbić kod do drzwi, ale zakłęłam pod nosem i się zatrzymałam.

– W czym mogę ci pomóc, Adrienie? – zapytałam, siląc się na kulturalny ton.

– Przyszedłem, zgodnie z umową – odparł. – Minął tydzień.

– Minęło dziesięć dni.

Nie zdążyłam ugryźć się w język. Miałam ochotę walnąć się w czoło, ale się powstrzymałam. Zamiast tego odwróciłam się do Adriena. Nie byłam zaskoczona, widząc, jak na jego usta wypełza perfidny uśmieszek.

– Liczyłaś.

– Po prostu korzystam na co dzień z kalendarza.

– Wybacz, proszę, moje spóźnienie.

Skrzywiłam się i poprawiłam torebkę na ramieniu.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – rzuciłam i poruszyłam się, gotowa wejść do budynku.

– Poczekaj – poprosił prędko Adrien.

Znowu się do niego odwróciłam. Nawet nie starałam się ukryć zniecierpliwienia.

– Zapraszam cię na kolację, Hailie – powiedział, wyjąwszy uprzednio rękę z kieszeni.

Uniosłam brwi.

– Dziękuję, ale nie dam rady.

– Zrobiłem rezerwację.

– Co, na dziś? – parsknęłam niemal rozbawiona.

– Mam stolik na cały wieczór w polecanej restauracji.

– No to szkoda, że przepadnie.

W brązowych oczach Adriena błysnęła wesołość.

– Gniewasz się, że nie zgłosiłem się do ciebie równo po tygodniu?

– Gniewam się, bo mnie nachodzisz. Znowu.

– W porządku, moja wina – przyznał. Rozłożył ręce i jakoś tak niepostrzeżenie zbliżył się o krok. Choć wciąż dzieliła nas bardzo rozsądna odległość, miałam się na bacności. – Celowo opóźniłem swój przyjazd.

– Słuchaj, ja nie będę podporządkowywała swojego życia pod twoje widzimisię. Dziś nie mam dla ciebie czasu.

– W porządku, rozumiem. – Adrien skinął głową. – Jutro?

Zacisnęłam dłoń na pasku torebki.

– Jutro też nie!

– Powiedz kiedy, Hailie Monet, a ja się dostosuję.

Bardzo chciałam syknąć mu w twarz, że nigdy, ale nawet gdy otworzyłam usta, to słowo nie mogło mi przejść przez gardło.

Dawno nikt nie irytował mnie tak jak Adrien.

Ale też nie dostarczał mi tyle chorej rozrywki.

Sama nie wierzyłam, że do głowy przyszła mi taka refleksja.

Piorunując go spojrzeniem, przeciągałam przez chwilę ciszę.

– W sobotę, jeśli już – powiedziałam wreszcie.

Kącik ust Adriena zadrżał.

– Przyjadę po ciebie równo o dziewiętnastej.

– Nie przyjeżdżaj – odpowiedziałam, po czym westchnęłam z niechęcią. – Wyślij mi adres, sama dojadę na miejsce.

– Jak sobie życzysz.

Wreszcie zmusiłam się, by wstukać kod na klawiaturze domofonu, i przerwawszy napiętą nitkę, która na moment nas połączyła, weszłam do budynku. Chciałam jak najszybciej zakończyć tę scenę i uciec do siebie. Nie odpowiedziałam nawet na jego cicho rzucone na koniec „dobranoc”.

W moim sercu kłębiły się mieszane uczucia, z którymi sama dopiero się zapoznawałam. Na pewno było wśród nich wkurzenie na Adriana, który zdawał się bawić tą sytuacją. Byłam też wściekła na siebie, że pozwalałam, by to na mnie w jakikolwiek sposób wpływało.

Jednocześnie nadal odczuwałam fascynację. Ciekawiło mnie, jaki będzie jego kolejny ruch. Co powie, jak się zachowa, czym mnie zaskoczy.

Zasypiałam zadowolona, że się pojawił i że tego wieczora byłam górą, bo go spławiłam. Uświadomiłam sobie, że czekając, aż zgodnie z zapowiedzą się odezwie, czułam się przegrana.

Przez kolejne dni, gdy zdarzało mi się odpłynąć myślami, krążyły one wokół umówionego spotkania. Ekscytowałam się nim inaczej, niż gdy cieszę się na miłe rzeczy. To było coś w rodzaju oczekiwania w napięciu i lekkim stresie na to, co się wydarzy, bo przecież interakcje z Santanem zawsze były tak tajemniczo emocjonujące.

Może dlatego, że były również nadal zakazane.

Pamiętałam o tym za każdym razem, gdy rozmawiałam z braćmi. Wyobrażałam sobie ich reakcję, gdybym się przyznała, co się dzieje, i wtedy natychmiast przed oczami stawały mi nieprzyjemne obrazy, które usilnie starałam się przepędzić.

Skoro Adrien chce grać w tę grę, to gotowa byłam wziąć w niej udział. W sobotę zaczęłam się szykować wcześniej, bo zależało mi na tym, żeby dobrze wyglądać. Dzięki temu ze wszystkim zdążyłam na czas i gdy nadeszła pora, na swoich wysokich obcasach do taksówki szłam bez żadnego pośpiechu. Założyłam krótką białą sukienkę z dekoltem pod szyję; taką, której nie musiałam pilnować, by czasem nie pokazała za dużo, gdy wsiadałam do samochodu. W moich uszach wisiały duże złote kolczyki pasujące do masywnej złotej bransolety.

Potencjalnym błędem mogło być to, że nie narzuciłam nic na nagie ramiona, bo choć lato zbliżało się wielkimi krokami, wieczory nadal bywały chłodne. Z drugiej strony liczyłam na to, że ta decyzja zmotywuje mnie do tego, by z restauracji wrócić taksówką prosto do domu.

Innymi słowy: żadnych spacerów w świetle księżyca ani innych głupot.

Kilka minut po umówionej godzinie weszłam do windy prowadzącej na dach, gdzie znajdowała się wybrana przez Adriena restauracja. Towarzyszyła mi myśl, że jeśli nie zastanę go na górze, to natychmiast stąd wychodzę i już więcej się z nim nie umówię.

Ale on już czekał.

Znałam tę restaurację – byłam tu niecały rok temu z Willem i Harrisonem, kiedy przyjechali do mnie na kilka dni w odwiedziny. Pamiętałam, że Willowi smakowały tu pieczona ryba i kraby w kremie z orzechów laskowych, a Harrison kiwał z uznaniem głową, popijając wino. Mnie z kolei zachwyciło wnętrze lokalu.

– Godność? – zapytała hostessa.

Zapatrzyłam się na nią o moment za długo i grzeczny uśmiech na twarzy dziewczyny zaczął się zmieniać w wyraz dezorientacji.

Obejrzałam się za siebie, czy nikt poza Danilo za mną nie stoi i nie podsłuchuje, po czym, nie kryjąc niechęci, odpowiedziałam:

– Santan.

Przestronne wnętrze restauracji powiększały jeszcze optycznie lustra, w których nie omieszkałam się dyskretnie przejrzeć, gdy podążałam za hostessą do stolika, i z ulgą oceniłam, że wyglądam dobrze. Z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie powodu czułam

napięciu. Absolutnie nie chodziło o Adriena, po prostu nie wiedzieć czemu byłam podenerwowana.

Podobało mi się, że rosną tu drzewa w doniczkach, a w ich koronach, na ścianach i suficie rozwieszono drobniutkie lampki – dodawało to miejscu elegancji, tworząc jednocześnie przytulny nastrój. Miałam też wrażenie, że w takim wnętrzu łatwiej będzie o prywatność, a to się świetnie składało, bo ostatnie, czego chciałam, to żeby mnie ktoś tu przyłapał w takim towarzystwie.

Adrien siedział przy stoliku i pisał coś na telefonie, ale kiedy podeszłam, od razu uniósł głowę. Wychwyciłam krótki moment, w którym jego oczy prześlizgnęły się po mnie i rozbłysły. Schował komórkę do kieszeni marynarki i odtąd całą uwagę poświęcał już mnie.

Nie uśmiechałam się. Brodę trzymałam wysoko, by zademonstrować pewność siebie, ale też bez przesady, żeby nie wyjść na nadętą. Zająłam krzesło naprzeciwko, torebkę odkładając na bok. Rozejrzałam się wkoło, celowo unikając przeszywającego wzroku Adriena.

– Wyglądasz zjawiskowo, Hailie Monet.

Bardzo uważnie pilnowałam, żeby nie zadrżał mi kącik ust.

– Dziękuję – odparłam uprzejmie, ale chłodno.

– Czy nadal jesteś na mnie zła?

Wzruszyłam ramionami.

– Powiedzmy, że jestem obojętna.

– Dziękuję zatem, że przysłaś.

– Uznałam, że mamy sobie coś do wyjaśnienia – powiedziałam, odbierając kartę dań od kelnera.

– Co powiesz na wino? – zagadnął.

– Napiję się wody.

– Zachowujesz ostrożność – stwierdził pod nosem, a w jego oczach poza rozbawieniem dostrzegłam też coś na kształt uznania. – Bardzo mądrze.

Rzuciłam mu przeciągłe spojrzenie znad menu.

– Lub zwyczajnie nie mam ochoty na alkohol.

– Oczywiście. – Skinął grzecznie głową. – Pozwolisz, że ja jednak skuszę się na lampkę.

– Pij sobie, co chcesz. – Ponownie wzruszyłam ramionami.

– Świetnie. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, to polecam tatar z kalmarów z emulsją z lukrecji albo...

– Wezmę buraczane risotto z czarnym czosnkiem – zdecydowałam szybko, niczym uparty dzieciuch za żadne skarby nie chcąc korzystać z jego rekomendacji.

A czarny czosnek brzmiał jak odpowiednia broń do walki z mrocznym wampirem.

Przeszło mi przez myśl, żeby wybrać najdroższe dania z karty – tak dla hecy – ale potem przypomniałam sobie, z kim przyszłam na kolację – prawdopodobnie Adrien nawet by tego nie zauważył.

– Czy zastanowiłaś się nad odpowiedzią?

Potrzebowałam chwili, by wygrzebać się ze świata własnych pokręconych myśli i wrócić do rzeczywistości. W milczeniu zerknęłam gdzieś w bok.

– Czy chowasz urazę, ponieważ nie odezwałam się do ciebie równo po tygodniu? – doprecyzował Adrien, a w jego głosie pobrzmiwała delikatna drwina.

– Nie chowam urazy.

– Pozwól mi to wyjaśnić – powiedział. – Chciałem, żebyś o mnie pomyślała. Miałem nadzieję, że przez te kilka dodatkowych dni uświadomisz sobie, że czekasz na moment, w którym znowu się spotkamy.

– Nie czekałam.

– A jednak liczyłaś dni – zauważył.

Cmoknęłam zirytowana.

– Już mówiłam, że nie.

Zęby Adriena błysnęły w subtelnym uśmiechu.

– Chodzi mi o to uczucie, Hailie, którego doświadczałaś o północy, gdy mijał tydzień, a ja się z tobą nie skontaktowałam. Pamiętasz je?

– Spałam wtedy.

– Czulaś zawód lub złość?... – drążył.

– Raczej ulgę i spokój.

– ...a następnego dnia próbowałam samą siebie przekonać, że to dobrze, że odpuściłem. – Adrien wpatrywał się we mnie intensywnie.

– Słuchaj – zaczęłam ostro, nachylając się lekko nad stołem – to tak nie działa, że wmówisz mi pewne rzeczy, a ja nagle zacznę w nie wierzyć.

– Prawda, dlatego to wielka ulga, że przynajmniej częściowo szczerze odwzajemniasz moje zainteresowanie.

Prychnęłam.

– To chyba jednak za dużo powiedziane.

– Wspomnienie naszej rozmowy z bankietu pozwala mi twierdzić inaczej.

Zmrużyłam oczy, choć tak naprawdę doceniłam w duchu, że sam o niej wspomniał. Imponowało mi, że się jej nie wstydzi i nie chce zamieść tego wspomnienia pod dywan. Nie próbował udawać, że nic się wtedy nie wydarzyło. Nie sprawiał wrażenia upokorzonego. Nie, on przywoływał tamten wieczór z pewnością siebie.

Postanowiłam trochę wykorzystać sytuację i się z nim podroczyć, więc rzuciłam wyzywająco:

– Klęknąłeś przede mną.

Wyraz jego oczu się nie zmienił, a głos nie zawahał.

– Powiedz mi, Hailie Monet, jak się czujesz ze świadomością, że jesteś jedyną osobą na tym świecie, przed którą kiedykolwiek zgodziłbym się to zrobić?

Milczałam przez chwilę.

– Uważam – odezwałam się wreszcie bez przekonania – że możesz być ze mną nieszczerzy.

Uniósł brwi, więc kontynuowałam:

– Nie jestem pewna, czy mogę uwierzyć w to, że tak nagle się mną zauroczyłeś.

– Hailie Monet, ja dosłownie padłem przed tobą na kolana.

Wycelowałam w niego palec wskazujący.

– To jest coś, co równie dobrze mógłbyś zrobić, gdybyś chciał być wiarygodny, nie mając uczciwych intencji.

– Nie masz racji. – Adrien pokręcił głową. – Okazanie słabości, zwłaszcza w naszym świecie, nie jest dobrze odbierane. Jestem członkiem Organizacji, Hailie, więc jeśli już ktoś miałby klękać, to raczej inni, przede mną.

– Ale to nie ma sensu! – prychnęłam. – Te twoje nagłe uczucia ni z tego, ni z owego!

– Pojawiły się, gdy ujrzałem cię na weselu Vincenta. Potrzebowałem chwili, żeby je zrozumieć – powiedział spokojnie, odchylając się w krześle. – I podjąć decyzję, czy mimo przeciwności chcę ryzykować i coś z nimi zrobić. Poza tym... twoje uczucia też pojawiły się dość niespodziewanie, nieprawdaż?

– Żadne moje uczucia się nie pojawiły.

– Pamiętam twój przerywany oddech w salce na bankiecie.

– Sapałam, bo po prostu byłam zdziwiona.

Adrien zamilkł na sekundę, a potem się zaśmiał. Zrobił to w tak serdeczny sposób, że i ja się uśmiechnęłam.

– To mam na myśli – powiedział, kręcąc głową, a ramiona wciąż mu trochę się trzęsły wskutek nagłej wesołości. – Nie spotkałem jeszcze nikogo innego, kogo bym lubił w taki sposób.

– No w jaki niby sposób? – zapytałam podejrzliwie.

Rozbawienie go nie opuszczało, nawet gdy uważnie mi się przyjrzał, mówiąc:

– Tylko spokojnie, Hailie Monet, nie kocham cię.

– Ja ciebie też nie – odparłam bez zająknięcia.

– Dobrze, że to zostało wyjaśnione.

– Właściwie to wydaje mi się, że ja ciebie nawet za bardzo nie lubię – dodałam zamyślona.

– Rozumiem, masz do tego prawo. – Adrien pokiwał głową. – Popracujemy nad tym. Potrafię wzbudzić sympatię, jeśli mi zależy.

– Wolałabym chyba, żeby ci za bardzo nie zależało.

– Boisz się mnie polubić? – zapytał, unosząc kieliszek wina do ust. Dopiero wtedy zorientowałam się, że kelner już dawno przyniósł nam napoje. Od razu chwyciłam swoją szklankę, byle tylko zająć czymś dłonie.

– Poważnie wątpię, żebym potrafiła to zrobić – powiedziałam uczciwie.

– Hm. – Adrien popatrzył na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy. – To chyba moment, w którym wypada mi zapytać cię o twoją odpowiedź.

Dyskretnie przełknęłam ślinę. Gdzieś w zaułkach świadomości echem dźwięczało mi „tak”, ale coś mnie blokowało przed wypowiedzeniem tego słowa głośno. Jakiś dziwny strach. Dlatego wolałam owijać w bawełnę.

– Nadal nie znam pytania.

W jego ciemnych oczach pojawiły się wesołe ogniki.

– Nie kocham cię, Hailie – powtórzył, po czym wyraźnie się odprężył, bo rozparł się na krześle jeszcze bardziej. – Jeszcze. Kto wie, co przyniesie przyszłość. A jak ty uważasz? Czy widzisz szansę na to, że kiedyś uda nam się w sobie zakochać?

Zapatrzyłam się na niego, a potem ze smutnym uśmiechem pokręciłam wolno głową. Smutnym, bo doceniałam jego wysiłki; był miły i wytrwały, a mimo to nie sprawiał wrażenia natrętnego.

– Myślę, że nie – odparłam, wodząc kciukiem po chłodnej szklance. – Spodobałam ci się, bo dorosłam i wyładniałam. Na dodatek jestem dla ciebie nietykalna. A ty jesteś przecież znudzony i potrzebujesz wrażeń, dlatego się mną zainteresowałeś. Obdarowujesz mnie uwagą, która sprawia, że i ja poczułam się zaintrygowana. Stąd to napięcie, przerywane oddechy i gęsia skórka.

– Dogłębna analiza – skomentował Adrien, unosząc brew.

– Nasza znajomość jest obwarowana zakazami. To one sprawiają, że wszystko jest tak ekscytujące – ciągnęłam. – Tak naprawdę chwilę byśmy się pospotykali i odkrylibyśmy, że nie mamy nawet o czym rozmawiać. Szybko byśmy się sobą znudzili.

Adrien przyjrzał mi się uważnie.

– Wierzysz w to?

– To najsensowniejsze wytłumaczenie – odpowiedziałam pewnie.

– Hm – mruknął, gładząc się po brodzie. – No dobrze. A czy jesteś gotowa sprawdzić swoją teorię?

– Ja... – zawahałam się.

– Pozwól, że sprecyzuję – szepnął. – Czy chcesz spróbować?

Spuściłam wzrok, tym razem na talerz z moim zamówieniem, którego pojawienie się również przegapiłam.

– Nie wiem...

– W porządku, Hailie – powiedział cicho, po czym zapytał nad wyraz łagodnie: – Jaką przygotowałaś dla mnie odpowiedź?

Zerknęłam na niego spod rzęs. Patrzyliśmy tak na siebie przez chwilę, aż wreszcie się poddałam i westchnęłam.

– Tak.

Adrien skinął głową. Wargi mu drżały, jakby uśmiech próbował się na nie wedrzeć, ale tym razem on go powstrzymywał.

– To jest, Hailie Monet – zaczął, po czym zrobił krótką pauzę, jakby chciał, by jego słowa odpowiednio wybrzmiały – prawidłowa odpowiedź.

Obserwowałam go nieprzekonana, a na plecach znowu czułam te nieznośne ciarki. Dlaczego tak reaguję?

– Im dłużej o tym myślę, tym mniej jestem tego pewna – wyznałam cicho.

– Jeśli dasz mi chwilę, to ci pokażę.

– Co mi pokażesz?

– Dlaczego twoja odpowiedź jest prawidłowa – odparł. – Chciałbym tylko zaznaczyć, żebyś już teraz miała, proszę, na względzie, że moja uwaga i zainteresowanie też kosztują.

– O, proszę, nareszcie rozmawiamy – zaśmiałam się, z ulgą chowając prawdziwe uczucia za płaszczykiem humoru.

– Ceną jest lojalność.

Uśmiechnęłam się do niego z pobłażliwością.

– Zawsze w pierwszej kolejności będę lojalna wobec swojej rodziny – oznajmiłam od razu.

– A ja nigdy bym cię nie poprosił, żebyś była wobec nich nie fair – odpowiedział. – Nie, Hailie, tu nie chodzi o twoją rodzinę. Mówiąc o lojalności, mam na myśli to, jak potraktujemy tę naszą relację. Ja zamierzam postrzegać ją jako poważną i chciałbym wiedzieć, że się na tym polu rozumiemy, a mój czas i energia nie zostaną zmarnowane.

Nachyliłam się.

– Tego, czy twoje czas i energia się zmarnują, dowiesz się w swoim czasie – szepnęłam. – W tej chwili oboje coś ryzykujemy. I to jest fair.

Adrien wpatrywał się we mnie przenikliwie, głaszcząc nóżkę swojego kieliszka. W końcu skinął głową.

– Niech tak będzie.

Po raz pierwszy i ja opadłam na oparcie, ukradkiem wzdychając z ulgą. Adrien był dla mnie jak zagadka, której się przyglądałam, próbując ocenić poziom jej trudności, zanim miałam spróbować ją rozwikłać. Pokręciłam głową, nie spuszczając z niego wzroku.

– Co teraz? – zapytałam zaciekawiona. – Co zamierzasz zrobić?

– Może na początek spotkać się z tobą. Parę razy. – Przechylił lekko głowę.

– I co, będziesz tak tu do mnie latał? Do Hiszpanii? – Uniosłam sceptycznie brew.

– Jak to dobrze, że mam prywatny samolot, nieprawdaż?

Parsknęłam. Nie powiem, rozbawił mnie.

On też się uśmiechnął.

Milczeliśmy przez chwilę, aż wreszcie podbródkiem wskazał na mój talerz.

– Spróbuj swojego dania.

– Jak wino? – zagadnęłam, biorąc widelec do ręki.

– Degustowane wraz z dobrym jedzeniem i w jeszcze lepszym towarzystwie smakuje bezbłędnie.

– Będziesz mnie komplementował, aż się w tobie zakocham? – zażartowałam.

– Nie, będę cię komplementował zawsze.

– Ładnie – skomentowałam z uznaniem jego ruch. – Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że miłe słówka to nie wszystko.

– Dopiero się rozkręcam. – Mrugnął, a potem chwycił za sztucce.

Przez chwilę jedliśmy w ciszy. Dopiero gdy już kończyłam i uniosłam akurat szklanekę, by napić się wody, zapatrzyłam się na to, jak Adrien kroi swój stek z wołowiny podany na kamieniu drzewnym i na chwilę znieruchomiałam, a kiedy on mnie na tym przyłapał, natychmiast spuściłam wzrok.

Wiedziałam, że będę musiała zapłacić za to, że się nie przypilnowałam. Chwilowy brak dyskrecji kosztował mnie wysłuchanie komentarza ze strony Adriena.

– Co takiego, Hailie? – zapytał z uśmiechem na ustach. – Wzięło cię na wspominki?

Boże, miałam nadzieję, że się nie zarumieniłam. Pokręciłam przecząco głową, wbijając wzrok w resztki swojego risotto.

– Było, minęło – powiedział.

– Należało ci się – wymusnęło mi się.

Adrien uniósł brew. Podniosłam na niego oskarżycielski wzrok.

– Powiedziałeś do mnie obleśny tekst.

– To prawda – przyznał. – Daleko mi było do dżentelmena.

– Zdecydowanie – przytaknęłam chętnie.

– Jeśli cię to pocieszy, to po twoim ataku pozostała mi blizna aż po dziś dzień.

Zrobiłam wielkie oczy.

– N-naprawdę?

– Niewielka, więc nie chciałbym dramatyzować.

Wbiłam wzrok w jego ramię, choć przecież było ukryte pod rękawem dobrze dopasowanej białej koszuli. Dokładnie tam, gdzie jak doskonale pamiętałam, wbiło się ostrze rzuconego przeze mnie noża.

Wolno przełknęłam ostatni kęs jedzenia.

Adrien przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Może kiedyś nadarzy się okazja, Hailie Monet, i ci ją pokażę.

Ocknęłam się z transu i zmarszczyłam brwi.

– Dlaczego miałabym chcieć ją oglądać?

– Bo, jak by nie było, to twój powód do dumy.

No i znowu się na niego zapatrzyłam.

– Będę się zbierać – wyszeptałam wreszcie, czując, że to już czas najwyższy, by zakończyć to spotkanie. Wystarczy na dziś.

Uświadomiłam sobie, że jeśli zostanę tutaj dłużej, to, kuźwa, Adrien Santan rozkocha mnie w sobie w żałośnie (dla mnie) szybkim tempie.

Taki żart, bo tak naprawdę to wierzyłam, że nie przyszłoby mu to wcale łatwo, o ile w ogóle było możliwe.

A wciąż uważałam, tak na marginesie, że nie jest.

– Nie masz ochoty na deser? – zapytał.

Udając, że wcale nie doszukałam się w tym pytaniu podwójnego znaczenia, odpowiedziałam przeczącym ruchem głowy.

– Potrafię go sobie odmówić.

Podnosząc się z miejsca, wsunęłam na ramię pasek torebki.

– W takim razie, Hailie, było mi bardzo miło – powiedział, błyskawicznie i z gracją również wstając.

– Dziękuję za zaproszenie. – Uśmiechnęłam się uprzejmie.

Adrien wyciągnął do mnie rękę, a jego magnetyczne oczy wpatrywały się we mnie.

– Będę się odzywał, Hailie Monet.

Powoli uścisnęłam jego dłoń, nie pozwalając sobie odwrócić wzroku.

Na koniec skinęłam głową i wyszłam czym prędzej z restauracji. W taksówce pocierałam nadgarstki, przeżywając to napięcie, które towarzyszyło mi podczas całej kolacji i wciąż mnie nie opuszczało.

Gdy wchodziłam do mieszkania, głowę rozsadzał mi ból spowodowany nadmiernym rozmyślaniem nad tym wszystkim.

Miałam ochotę jednocześnie wyjść na taras i dumać pod nocnym niebem, pójść do kuchni i otworzyć sobie butelkę dobrego wina lub nawet rzucić się na łóżko w sypialni i pisać w poduszkę jak nastolatka.

Zamiast tego zrobiłam inną, całkiem rozsądną rzecz.

Złapałam za telefon i zadzwoniłam do jedynej osoby, która aktualnie mogła pomóc mi uporządkować bałagan, który miałam w głowie.



Coś nie dawało mi spokoju.

Z pewnością nie były to wyrzuty sumienia spowodowane odsunięciem jednego z Monetów od biznesu. Ojciec był zadowolony z przebiegu mojej rozmowy z Vincentem, kiedy już mu ją streściłem. Przede wszystkim zadowolił się tym, że Vincent uszanował moją wolę.

– To był dobry ruch – podsumował z uśmiechem.

Ja również tak uważałem, dlatego nie rozumiałem, dlaczego po powrocie do domu chodziłem jak struty. Nie chciałem ucinać sobie drzemki, uznawszy to za marnotrawstwo czasu, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Z kolei przy pracy nie potrafiłem się skupić. Musiałem zająć czymś myśli, dlatego zdecydowałem się zrobić tę jedną rzecz, która zawsze mi to umożliwiała.

Pojechałem do centrum sportowego na trening szermierki. Jednym z plusów dzielenia się tym miejscem z Monetami był dostęp do niego o każdej porze dnia, nawet bez konieczności umawiania się. Nigdy też nie spotkałem się z trudnością w znalezieniu wolnego partnera do walki. Dziś na przykład ćwiczyłem z młodym chłopakiem, za którym bardzo przepadałem. Trenował szermierkę od najmłodszych lat, praca jego nóg to absolutny majstersztyk, najwyższa klasa. Był jak cholerna baletnica ze szpadą.

Walka z nim wymagała ode mnie nie lada koncentracji, dlatego misja została wykonana. Pod prysznic szedłem zmachany, ale i z odświeżonym umysłem. Zapiąwszy ostatni guzik koszuli, chwyciłem za telefon. Przekleństwem mojego stanowiska było dostawanie niezliczonej ilości powiadomień. Nawet jeśli w większości aplikacji wyłączałem tę opcję, to i tak po chwili niezagłądania do komórki witała mnie cała lista wiadomości.

Planowałem najpierw coś zjeść, a potem usiąść do pracy, więc chwilowo zignorowałem większość z nich. W końcu z tego, co wywnioskowałem, przeglądając je na szybko, żadna z nich nie wymagała ode mnie niecierpiącej zwłoki reakcji.

Zlitowałem się jedynie nad Adą, która odezwała się, by podziękować za miło spędzony czas na weselu i zapytać o moje samopoczucie. Zgadywałem, że została poinstruowana przez swojego ojca, który bał się stracić ze mną współpracę, jeśli nie

polubię jego córki. Nie znał mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie byłbym do tego zdolny. Dobry biznes to dobry biznes, nie zaprzepaściłbym go z tak błahej przyczyny. A Ada nic mi nie zrobiła, to nie tak, że podpadła mi jak Dylan Monet.

Monet, cholera jasna. Znowu to nazwisko.

Poirytowany, gwałtownym ruchem odpaliłem silnik. Tak dobrze mi szło wyrzucenie tej rodziny z głowy.

Nie zdążyłem wyjechać z miejsca parkingowego, gdy zadzwonił mój telefon. Zmarszczyłem brwi, bo na ekranie wyskoczyło imię mojego podwładnego i dopisek z nazwą baru, w którym dla mnie pracował. Dawno tam nie byłem i najwidoczniej zaraz miałem się przekonać, że to błąd. Abe nie dzwoniłby do mnie bez powodu.

– Słucham? – powiedziałem, odebrawszy połączenie. Byłem spięty i zaciskałem szczękę, przez co mój głos brzmiał, jakbym był wkurzony.

– Panie Santan, przyszła... – Abe zawahał się, a potem wyszeptał głosem zawstydzonego pięciolatka: – ...kobieta.

Brakowało, by jeszcze na koniec zachichotał.

Odetchnąłem, upominając się, by być cierpliwym. Abe nie był do końca zdrowy, ale za to bardzo lojalny, nie miałem w zwyczaju wyzywać się na nim. To moje nerwy i sam powinienem sobie z nimi poradzić.

– Jaka znowu kobieta? – zapytałem. Przymknąłem powieki, wolną dłonią masując czoło. Mało brakowało, a bym rąbnął nim teraz o kierownicę.

– H-H-Hailie...

Moja dłoń zastygła.

Otworzyłem oczy.

No nie.

– Monet – dokończył Abe, pociągając nosem.

– Hailie Monet jest w barze? – powtórzyłem, natychmiast się prostując.

Wolną dłoń teraz już zaciskałem na kierownicy.

– Tak – wyszeptał Abe, wychytując zmianę w moim głosie. – Mam coś... zrobić? Panie Santan?

– Nic nie rób – warknąłem ostro, nie wiedząc, do czego Abe byłby zdolny. – Słyszysz mnie, Abe? Nic nie zrobisz.

– Tak jest, panie Santan.

Wziąłem głębszy wdech. Znajdowałem się obok centrum sportowego, więc powinienem dojechać do baru w około dwadzieścia minut...

– Czy jest sama? – zapytałem.

– Nie... To znaczy tak... Ja zapytam... – Rozległo się szuranie, na dźwięk którego wywróciłem oczami.

– Poczekaj. – Podniosłem głos. Szuranie ucichło. – Czy powiedziała, czego chce?

– Mam przekazać.

Czekałem przez chwilę, ale Abe nie dodał nic więcej. Wbiłem paznokcie w skórę, którą obita była kierownica. Wdech i wydech.

– Co masz przekazać?

– Hailie Monet chciałaby porozmawiać.

Wyprostowałem palce, a zaraz potem znowu złapałem nimi kierownicę, tylko już dużo luźniej.

– Przepraszam, panie Santan, ja nie chciałem dzwonić – zaczął płaczliwie Abe. – Ona mówiła, że narazi Abe'a, więc ja dzwonię, ale ja mogę...

– Cisza, wystarczy – rzuciłem zdecydowanie do słuchawki. Na Abe'a najlepiej działały proste rozkazy.

Faktycznie umilkł.

– Daj mi ją do telefonu – poleciłem mu.

Ponownie rozległo się szuranie. Wykorzystałem ten odgłos, by zamaskować odchrząknięcie. Komórkę przyciskałem mocno do ucha i patrzyłem przez przednią szybę na oprószone śniegiem las, który otaczał parking centrum sportowego. Odprężenie, które poczułem po treningu szermierki, zniknęło.

A potem nagle usłyszałem w słuchawce jej cichy i delikatny głos.

– Halo?

Poczułem ciarki.

– Hailie Monet.

– To ja.

– Słyszę. Co robisz w moim barze? – Zapatrzonej w dal, uniosłem brew. – Znowu. Zaczęła mówić szybciej, jakby ją ktoś poganiał.

– Musiałam się z tobą skontaktować. Chcę porozmawiać...

W pierwszej chwili nie widziałem powodu, dla którego miałyby chcieć ze mną porozmawiać. Może chce podziękować mi za to, że wtedy pod klubem zostałem przy

niej aż do pojawienia się jej braci? Niezbyt mi to pasowało. Bądź co bądź niewiele dla niej wtedy zrobiłem, no i na koniec mój ochroniarz groził jej bratu bronią. Nie oczekiwałem wdzięczności.

Ale po tej myśli zaraz przyszła do mnie druga. Vincent zapewne już przekazał rodzinie moje warunki. Przymknąłem oczy. Czy ona naprawdę tak się fatyguje, by stanąć w obronie Dylana Moneta?

Odetchnąłem i potarłem powieki.

– Dlaczego miałbym chcieć cię wysłuchać? – zapytałem.

Na kilka sekund zapadła cisza, a potem Hailie, wciąż nieco drżącym głosem, ale mimo to siląc się na pewność siebie, odparła:

– Bo jestem siostrą Vincenta.

Brawo, Hailie Monet.

Uśmiechnąłem się, przyznaję, trochę złośliwie.

– Może załatwimy to przez niego?

Nie odpowiedziała, a ja nie mogłem się powstrzymać, by nie skwitować tego cichym śmiechem.

– Rozumiem – powiedziałem, a mój humor z jakiegoś powodu się poprawił. Odpaliłem silnik. – No cóż, Hailie Monet, w takim razie rozgość się. Wpadnę za jakiś czas.

– Za ile dokładnie?

Spojrzałem na zegarek i zacząłem kalkulować. Bez względu na to, jaką trasę wybiorę, Hailie Monet będzie musiała uzbroić się w cierpliwość. Nie uśmiechało mi się tylko, że miała czekać na mnie w obskurnym barze Abe'a. To jedna z ostatnich lokalizacji, które bym jej zaproponował na wspólne spotkanie.

– Mam nadzieję, że tym razem nie zgubiłaś swojego ochroniarza? – zapytałem. Przysięgam, jeśli mi odpowie, że jest sama, to od razu i bez skrępowania wsypię ją przed braćmi.

– Jest ze mną.

Skinąłem głową.

– Zuch dziewczyna.

– Dlaczego o niego pytasz...? – pisnęła.

Lepiej ją nastraszyć, by miała się na baczności w tej melinie.

– W takim miejscu może ci się przydać.

Rozłączyłem się.

Jechałem szybciej, niż powinienem. Drogę, która miała mi zająć dwadzieścia kilka minut, pokonałem w niecałe piętnaście. Po telefonie Hailie Monet mój nastrój zdecydowanie się poprawił, teraz jednak znowu się psuł. Na początku zaintrygowała mnie sprawa, którą do mnie miała, i wizja interakcji z nią napawała mnie zadowoleniem, coś jakbym szukał filmu na wieczór i wreszcie znalazł ciekawą pozycję. Świadomość jednak, że dziewczyna czeka na mnie w barze, do którego przychodzą różne podejrzane typy, trochę mnie uwierala. Czułem dyskomfort, wyobrażając sobie, że ktoś się teraz na nią gapi, a ona wzdryga się z obrzydzeniem pod ciężarem tego okropnego spojrzenia.

Nie powinno mnie to obchodzić, w końcu sama tam przysła. No i miała ze sobą ochroniarza. Nic jej przecież nie będzie.

Ale i tak przyspieszyłem.

Głębszy wdech wziąłem dopiero przed wejściem. Głupotą byłoby pozwolić Hailie Monet myśleć, że gnałem do niej na złamanie karku. Nie powinienem był tak szybko jechać. Powinienem był zatrzymać się po drodze, żeby kupić kawę na przykład.

Przeczesałem włosy i upiłem łyk wody – resztki z bidonu po treningu. Skontrolowałem swoje odbicie w tylnym lusterku. Poprawiłem kołnierzyk koszuli.

Czas powitać Hailie Monet.

A potem uśmiechnąłem się drwiąco do siebie.

Wizja spotkania jej w moim barze była dla mnie niesamowicie rozrywkowa. Nie do końca rozumiałem swoje uczucia, ale tłumiliłem głos zdrowego rozsądku, który mnie przed nimi ostrzegał. To przecież tylko siostra Monetów. Pamiętałem czasy, gdy była nastolatką. Jest urocza i nieszkodliwa. Równie dobrze mogę ją trochę podręczyć dla zabawy, skoro już sama weszła w moje sidła.

Od razu ją dostrzegłem, bo zupełnie nie pasowała do otoczenia. Siedziała przy barze prosta i napięta jak struna. Wyróżniała się w tym ciemnym, niechlujnym otoczeniu: ubrana w dobrej jakości kremowy płaszcz, z jasną cerą i starannie ułożonymi włosami. Była chyba jedyną osobą, która kiedykolwiek zamówiła w tej spelunie wodę. Ona też szybko mnie zauważyła, bo czuła się tak niekomfortowo w tym miejscu, że non stop zerkąła na drzwi.

– Zapraszam za mną – szepnąłem. Przechodząc obok niej, wziąłem wdech, rozkoszując się jej świeżym, kwiatowym zapachem. Musiała mieć dobre perfumy,

skoro dawały radę przebić się przez dominujący w tym barze odór taniego piwka.

Po jednym przelotnym spojrzeniu zorientowałem się, kto odwiedzał mój bar. Nikt, kogo miałbym ochotę pozdrowić, to na pewno. Tak jak przypuszczałem, znajdowały się tu same podejrzane typki. Każdy z nich próbował właśnie zmienić wyraz twarzy, by udąć, że nie pożerali przed chwilą wzrokiem kobiety, która okazała się być ze mną.

Mój ulubiony stolik okupowało właśnie dwóch takich przyjemniaczków. Poczęstowałem ich chłodnym spojrzeniem, licząc na to, że to wystarczy i że nie będę musiał uciekać się do stosowania przemocy na oczach Hailie Monet. To mogłoby negatywnie wpłynąć na rozpoczęcie naszej rozmowy – nie chciałem, by dziewczyna poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

Panowie szczęśliwie nawet się nie zająknęli i szybko zwolnili dla nas miejsca. Hailie Monet zajęła to, które jej wskazałem, cały czas tak samo spięta. Wyraz jej twarzy aż krzyczał, jak niepewnie się czuje w związku z tym, co właśnie robi. Musiałem się z nią zgodzić. Jakikolwiek miała plan, kontaktowanie się ze mną na własną rękę i, co więcej, spotkanie się było błędem.

– Już miałam wyjść. Długo czekałam – powiedziała z nutą oskarżenia w swoim cienkim głosie.

W duchu parsknąłem z drwiną. Panie i panowie, oto mała rozpieszczona siostrzyczka braci Monet.

– Hailie Monet musi mieć wszystko natychmiast?

Chyba się lekko zawstydzila, bo spuściła głowę i wymamrotała:

– Robi się późno.

– Bracia będą się niepokoić?

Aż się prosiła, by trochę jej podokuczać.

– Nie będą – odparła, starając się, by jej głos brzmiał bardziej stanowczo. – Ta rozmowa nie potrwa długo.

– To zależy po części ode mnie.

Nie wiem, czy to w reakcji na moje, nie ukrywam, chłodno brzmiące słowa, ale Hailie Monet objęła się rękami. A może to wina braku ogrzewania w tej dziurze.

– Nie zdjęłaś nawet płaszcza – powiedziałem, po raz drugi poświęcając mu swoją uwagę. Bowiem nie było to zwykłe zimowe nakrycie, a dostojny płaszczyk, stworzony z dbałością o każdy szczegół. Taki, jakiego nie powinno się nigdy zakładać, jeśli nie

chce się przyciągnąć wzroku i zostać obrabowanym w miejscu takim jak ten cholerny bar.

Och, Hailie Monet. Prawie pokręciłem głową z dezaprobatą.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Bo mi zimno.

Zrobiłem sobie mentalną notatkę, by załatwić tu ogrzewanie, na wypadek gdyby ona przyszła tu w przyszłości jeszcze raz. A potem dotarł do mnie sens tej myśli i natychmiast ją wymazałem, ledwo się powstrzymując, by nie puknąć się w czoło.

– Zaproponowałbym ci swój, jednak ostatnio, gdy tu siedzieliśmy i to zrobiłem, nie oddałaś mi go – wypomniałem jej, humorem maskując swoje zdezorientowanie własnym bałaganem w głowie.

– Nie potrzebuję twojego płaszcza – oburzyła się. – A skoro do tamtego byłeś tak przywiązany, to zagadaj do Willa. On powinien wiedzieć, co się z nim stało.

Jeśli płaszcz ten w istocie trafił do Williama, to byłem święcie przekonany, że został co najmniej spalony.

– Powinienem zadzwonić i zapytać już teraz? – zapytałem, wyciągając telefon na stół.

Droczenie się z Hailie Monet zaczynało sprawiać mi więcej frajdy niż szermierka.

Dziewczyna wpatrywała się we mnie morderczo, ale nie odważyła się rzucić mi wyzwania. Wiedziała, kiedy przystopować. Westchnęła i zaprzeczyła.

– Nie wiedzą, że tu jestem – wymamrotała.

Oczywiście, że nie wiedzą, na litość boską. Nigdy nie pozwoliliby ci tu przyjść. Nie wiesz, dziewczyno, na co się narażasz.

To chciałem powiedzieć, ale zamiast tego odparłem cicho:

– Tak myślałem.

Powietrze było gęste i to nie tylko ze względu na ilość stężonego w nim taniego alkoholu. Nasza interakcja nie powinna mieć miejsca i wiedzieliśmy o tym oboje. Zdawało się, że nawet wszechświat próbuje nam ją utrudnić.

– Sama woda? – zaśmiałem się, gdy podszedł do nas Abe i podał dziewczynie jej zamówienie.

Ona łypnęła na mnie ostrożnie.

– Mniejsze prawdopodobieństwo, że do wody ktoś mi coś dosypie.

– Bardzo mądrze, Hailie Monet. – Pokiwałem z uznaniem głową, a potem dodałem nieco bardziej złowieszczo: – Gdyby nie to, że tu przyjechałaś, pomyślałbym, że uczysz się na błędach.

Hailie Monet wzdrygnęła się i warknęła:

– Możesz już zamówić swoją whisky? Chciałabym przejść do sedna.

Kogoś tu wprowadziłem w dyskomfort. Bardzo dobrze.

– Mnie również przynieś wody, Abe – zażądałem, nie przerywając kontaktu wzrokowego ze swoją towarzyszką. Znajdowałem w nim po prostu zbyt dużo rozrywki.

– Wody?

Tak, wiem, Abe, dziwne.

– Myślę, że tę rozmowę warto odbyć na trzeźwo – zażartowałem. Czerpałem przyjemność z takich niewinnych zaczepek, a jeszcze większą z samych reakcji Hailie Monet na nie.

Kiedy jednak schowała na chwilę głowę w dłoniach, zagryzła wargę, a w jej oczach błysnęło zmęczenie i niepokój, zrobiło mi się jej żal. Westchnąłem i postanowiłem potraktować ją trochę poważniej.

– Co to za sprawa niecierpiąca zwłoki? – zagadnąłem.

Chyba spodobał jej się mój konkretny wreszcie ton, bo odparła natychmiast:

– Chodzi o Dylana.

Bez niespodzianki.

– Oczywiście, że chodzi o Dylana.

– Postawiłeś Vincentowi warunek, żeby odsunąć go od biznesu – kontynuowała, a jej głos z każdym słowem brzmiał mniej pewnie. Czyżby sobie uświadamiała, że przyjscie z tą sprawą do mnie było niewyobrażalną głupotą?

Spróbowałem wyobrazić sobie, co bym zrobił, gdyby siedziała teraz przede mną osoba, której nie lubię, i próbowała wpłynąć na podjętą przeze mnie (i to z pomocą mojego ojca) decyzję.

Wtedy zapewne nie doszłoby do takiej sytuacji, bo zwyczajnie nawet nie pofatygowałbym się do tego baru.

Właściwie to gdyby się tak głębiej nad tym zastanowić, mało kto byłby w stanie mnie tu ściągnąć.

Należało postawić granicę. Z jakiegoś powodu darzyłem tę dziewczynę sympatią na tyle dużą, by jej brutalnie nie wkopywać przed Vincentem, ale musiała wiedzieć,

w którym miejscu powiedzieć „stop”.

– Hailie Monet, choć bawię się przednio, tak tu sobie z tobą ćwierkając, to musisz wiedzieć, że nie ma takiej możliwości, żebym omawiał biznes z młodszą siostrą swojego wspólnika – przemówiłem dobitnie.

Zmarszczyła brwi.

– Ale ja gdzieś mam ten wasz biznes! Zależy mi na Dylanie.

– Jeśli ci na nim zależy, to wiedz, że odsunięcie go podziała na jego korzyść – tłumaczyłem spokojnie.

– Nie wmawiaj mi, że chciałeś tego dla jego dobra.

Powstrzymałem chęć wywrócenia oczami.

– Oczywiście, że nie.

Traciła nad sobą panowanie, dając się ponieść emocjom. Zaczynałem wierzyć, że to cecha charakterystyczna dla członków tej rodziny. Jeśli tak, to Vincentowi należy się podziw za dopracowanie kontroli nad sobą do perfekcji.

Odkrywałem jednak, że do Hailie Monet mam więcej cierpliwości niż do jej narwanego brata Dylana. Ona była młodszą i nigdy nieuczoną, by wejść do biznesu. Uznałem więc, że ma prawo trochę przegiąć.

Naprawdę byłem wyrozumiały. Zapatrzyłem się na jej palec wskazujący tylko na chwilę, gdy wycelowała go we mnie.

Gdyby zrobił tak ktoś inny, toby już go stracił.

– Chciałeś tego, żeby zrobić mu na złość – wytknęła mi.

Niemal z politowaniem przechyliłem głowę.

– Za dużo sobie wyobrażasz. Nie interesuje mnie los twojego porywczego brata. Dbam wyłącznie o swój komfort. Nie zamierzam użerać się we współpracy z nierozgarniętymi dziećmi.

– Przecież on jest dobry – kłóciła się z przejęciem. – Wszyscy to przyznają. Jest dobry w pracy, w tym, co robi.

– Może.

– Więc co, chodzi tylko o to, że ostatnio puściły mu nerwy i cię uderzył?

Oj, Hailie Monet, pomyślałem. Nie tędy droga.

– Tylko?

– Proszę cię, nie masz na twarzy nawet śladu!

A tak dobrze ci szło, dziewczyno.

– Chodzi o twoją dumę? Ja też kiedyś nad sobą nie zapanowałam, ale mi odpuściłeś.

Teraz na dodatek wspomniała o rzuceniu we mnie nożem? Pokręciłem głową, nie dowierzając.

– Świetnie, że o tym przypominasz – parsknąłem, pilnując, by mój głos brzmiał odpowiednio surowo. – Och, Hailie Monet, nie jesteś urodzoną negocjatorką.

– Chodzi mi o to, że wiem, iż potrafisz puścić w niepamięć pewne rzeczy, jeśli tak zadecydujesz. Nie jesteś zajadły.

Zdawało się, że przekonuje samą siebie.

– To, że pewne tematy zgadzam się przemilczeć, nie oznacza, że puszczam je w niepamięć.

Drgnęła, a w jej oczach dostrzegłem pierwsze oznaki desperacji. Czują, że nie idzie jej dobrze, i zmieniała podejście. Lepiej późno niż wcale.

– Opuść Dylanowi, proszę. Zareagował tak przeze mnie. Zwykle potrafi mieć głowę na karku, już się tego nauczył. Zareagował tak, bo się przestraszył, że jestem w niebezpieczeństwie. Spowodowane jest to naszymi doświadczeniami z przeszłości. Dylan raz przeżył piekło, to dlatego teraz boi się, że coś mi się stanie.

Pozwalałem jej mówić, nie zmieniając wyrazu twarzy. Zabawa zabawą, ale prosiła mnie o rzecz, która wymagała poważnego podejścia.

– A wydarzenia spod Opery to moja wina, to ja byłam nieostrożna, odesłałam Danilo. Nie chcę, żeby Dylan płacił za moją głupotę – mówiła coraz szybciej. Kolejne oznaki słabej samokontroli. Ale czego ja oczekiwałem od tak młodej, niedoświadczonej dziewczyny. – Jest narwanym idiotą, to prawda, ale jeśli przez odsunięcie od pracy wpadnie w trudny okres, pogorszy się jego stan psychiczny, to ja będę się o to obwiniała już zawsze.

Rozumiałem, co mówi. Choć byłem uprzedzony do Monetów i samego Dylana, to nie negowałem ogromu tragedii, jaka dotknęła ich rodzinę. To wydarzenie odcisnęło piętno na całej Organizacji. Włos się jeżył na głowie na samą myśl o tym, co przeszła ta dziewczyna...

– Spójrz, przyszedłam tu specjalnie, żeby cię prosić o zrozumienie. Możesz mnie stąd wyprosić i się nie zgodzić, a wtedy wrócę do domu i przez najbliższe miesiące nie zmrużę oka, zamartwiając się o Dylana. Możesz nawet naskarżyć na mnie

Vincentowi, a wtedy w ogóle będę miała przerąbane. Możesz też się zgodzić, odpuścić Dylanowi i...

– I co? – przerwałem jej nagle.

Wybiłem ją z rytmu, bo zagubiła się na chwilę, co wykorzystałem, by sprecyzować swoje pytanie.

– Co będę miał z tego, że okażę wam łaskę?

Uniosła drżący podbródek, by sprawiać wrażenie pewniejszej siebie, ale ja wiedziałem, że pod stołem ukrywa przed moim wzrokiem równie nerwowo drżące ręce.

– Moją... wdzięczność? – wyszeptała.

Parsknąłem trochę protekcyjnie.

– Uroczo.

– Nie mam nic, co mogłabym ci dać, a czego mógłbyś chcieć... – jęknęła zdezorientowana.

Cóż, wpadłbym na jedną lub ze dwie takie rzeczy, ale to nic, co powiedziałbym na głos.

Zamiast tego udałem, że zastanawiam się, co odpowiedzieć, choć w trakcie tej konwersacji miałem dużo czasu na zaplanowanie kierunku, w jaki ostatecznie chciałem, by się potoczyła.

– No dobrze, Hailie Monet – zacząłem. – Zrobimy tak. – Mówiąc, uważnie ją obserwowałem. – Teraz wrócisz grzecznie do swoich braci, a ja sobie przemyślę naszą rozmowę. Jeśli zdecyduję się pójść ci na rękę, szybko się o tym dowiesz. Wtedy, umówmy się, że będziesz mi winna przysługę.

Zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Przysługę?

– Nic wielkiego, konkretnego ani zobowiązującego. Kiedyś, jeśli zdarzy się jeszcze tak, że porozmawiamy, możliwe, że użyję tego jako argumentu. To jest, jeżeli będę czegoś od ciebie potrzebował.

Miałem nadzieję, że niewiele z tego zrozumiała poza zastrzeżeniem, że będzie mi coś winna. Ona, zaaferowana faktem, że udało jej się coś u mnie wywalczyć, skinęła wreszcie głową.

Widziałem multum wątpliwości w jej oczach. Niepokoiła się, że wpakowała się właśnie w kłopoty, a ja nie zamierzałem wyprowadzać jej z błędu. Wręcz przeciwnie –

zamiast tego na koniec celowo złowrogo się uśmiechnąłem.

– A więc mamy umowę, Hailie Monet.



SKÓRA W SKÓRĘ

Nawet nie fatygowałam się, żeby zajrzeć do apartamentu Mai i Monty'ego. Pojechałam prosto do portu. Tam, na zacumowanym jachcie, czekała już na mnie ciocia z misą soczystych truskawek, zapasem świeżo wyciskanego soku z pomarańczy i butlą szampana.

Po tym, jak się serdecznie wyściskałyśmy, zajęłyśmy miejsca na wygodnej białej kanapie ustawionej w przyjemnym cieniu. Daktyl z zadowoleniem rozłożył się na jednej z poduch, zabawnie mrużąc ślepia w reakcji na morską bryzę.

– Jeśli zgłodniejemy, zadzwonię do naszego nowego kucharza i coś nam tu dostarczą – obiecała Maya, po czym z lubością wgryzła się w truskawkę.

Odwrociłam twarz od słońca, żeby rzucić jej zainteresowane spojrzenie.

– Macie nowego kucharza?

– Im Monty jest starszy, tym większego fioła ma na punkcie swojej sylwetki. – Wywróciła oczami, a kąciki jej ust zadrżały. – Stwierdził, że potrzebuje kogoś, kto będzie na bieżąco przyrządzał mu spersonalizowane posiłki. Poza tym odkryliśmy u Flynna jakąś dziwną alergię pokarmową, więc wiesz, zatrudnienie odpowiedniego kucharza to jedyne sensowne wyjście.

– Mhm, innego nie widzę – mruknęłam z rozbawieniem.

– Śmieję się, śmieję. – Maya uniosła psotnie brew. – Zaraz mi powiesz, co to za ważna sprawa, którą do mnie masz, i może wtedy ja się z ciebie ponabijam.

Zrzedła mi mina.

– Och, to nic takiego – wymamrotałam. W trakcie podróży do Saint-Tropez zdążyłam rozmyślić się kilka razy, czy aby na pewno chcę komukolwiek zdradzać, co się aktualnie dzieje między mną i Santanem. Nawet cioci Mai.

– Gadaj, Hailie.

Wypuściłam powietrze z płuc i odchyliłam się na oparcie kanapy.

– Nie wiem, nie mogę – jęknęłam.

Z całą pewnością ją zaintrygowałam.

– Czy to jakiś sekret?

– Tak jakby.

– Trzymasz go przed chłopakami? – drażyla, a jej złote loczki zatrzęsy się, gdy przechyliła głowę. Wyglądała zabawnie, zwłaszcza że okulary przeciwsłoneczne zasłaniały jej pół twarzy.

– Mhm – mruknęłam, rozglądając się podejrzliwie po łodzi, jakbym chciała się upewnić, że na pewno nie ma tu ani moich braci, ani nawet Monty’ego.

– O Lordzie, robi się ciekawie – zachichotała z dziecięcą radością Maya. Wyciągnęła rękę na oparciu kanapy, a w drugiej trzymała smukły kieliszek szampana wymieszanego z sokiem. – O co chodzi? Rzuciłaś studia?

Spojrzałam na nią krzywo.

– Nie!

– Kupiłaś niechcący i bez ich zgody dom na Malediwach?

– Nie...? – prychnęłam, unosząc brew.

– Na Fidzi?

– Jak w ogóle można niechcący kupić dom?

– Mnie się zdarzyło. – Maya wzruszyła ramionami, wrzucając sobie do szampana truskawkę.

– To coś gorszego – wyszeptalam dramatycznie.

Ciocia przeniosła uważny wzrok z pływającego w alkoholu owocu na mnie.

– Spotykasz się z kimś?

Moje milczenie trwało wystarczająco długo, by zostało uznane za potwierdzenie.

– Z kimś, kogo trudno będzie im zaakceptować? – zgadywała.

Tym razem energicznie pokiwałam głową.

– Ale spotykacie się na poważnie?

Nie wiedziałam, jak na to odpowiedzieć, więc tylko wzruszyłam ramionami.

– Skoro to nie jest poważne, to co za prob... Ahaaa.

Maya otworzyła szeroko oczy i prawie rozlała szampana, gdy poruszyła się gwałtownie.

Nic nie mówiąc, wpatrywałam się w nią zmarnowanym wzrokiem.

– Hailie – powiedziała poważnie i wolno. – Kto to?

Nie odzywałam się.

– Mów w tej chwili – zażądała ostrzej.

Podwinęłam kolana pod brodę, a twarz ukryłam w dłoniach, mrużąc między palcami:

– Nie.

– Hailie Monet, spójrz mi w oczy i powiedz, że nie spotykasz się z Adrienem Santanem.

Schowałam głowę w ramionach jeszcze bardziej. Usłyszałam tylko, jak Maya wzdycha i chyba wstaje. Gdy wreszcie odważyłam się na nią spojrzeć, stanęła kilka kroków od kanapy, a jej kieliszek był do połowy pusty.

– Jak bardzo to źle? – zapytałam cicho.

Odwróciła się do mnie z przejętą miną. Zaciskała usta, a wielkie okulary przeciwsłoneczne odsunęła na włosy, ukazując pobladłą z zaskoczenia twarz i rozemocjonowane oczy. Rzucając mi rozognione spojrzenie, odpowiedziała:

– Właśnie próbuję to oszacować.

Spuściłam nogi na deski jachtu i zacisnęłam dłonie na brzegu kanapy, wychylając się w jej stronę.

– Tak właściwie to wcale się tak naprawdę nie spotykamy.

W oczach Mai dostrzegłam teraz niedowierzenie.

– To spotykacie się czy nie?

– On... to zaproponował, a ja... jakby się zgodziłam.

Podczas gdy gestykulując, plątałam się w zeznaniach, moja ciotka zapatrzyła się w morze i na raz wypila resztkę szampana.

– Dlaczego tak dziwnie reagujesz? – zapytałam jęklonie. – Przecież kiedyś sama próbowałaś nas zeswatać.

Odwróciła się do mnie błyskawicznie i wycelowała we mnie pustym kieliszkiem.

– Hej, to było dawno temu. Poza tym aranżowane małżeństwo to co innego.

Teraz to ja, pełna niedowierzania, uniosłam brwi.

– Że niby jest lepsze?

Maya zrobiła kilka kroków w moją stronę.

– Po aranżowanym małżeństwie wiadomo, czego się spodziewać. Wszystko jest dogadane, reguły są jasne. – Obejrzała się znowu na morze, w zamyśleniu marszcząc brwi. – Za to w obecnej sytuacji nie wiadomo nic.

– Intencje Adriena wydają się szczere, nie wiem – westchnęłam.

– Niewykluczone, że są. – Poczułam do niej sympatię, bo gdy znowu na mnie popatrzyła, w jej oczach wyraźnie dostrzegałam dobroć i przejęcie. Martwiła się o mnie. – Widziałam, jak się gapił na ciebie na weselu Vince'a, jak niepokoił się o ciebie pod Operą. Wszystko to się dodaje...

– Jest też dość przekonujący – mruknęłam i wstrzymałam na chwilę oddech, wspominając, jak Adrien, klęcząc, zbliżał swoją dłoń do mojego kolana...

Aż zadrżałam, ale Maya na szczęście tego nie zauważyła.

– Oczywiście, że jest – prychnęła.

– Też jestem sceptyczna, bo to wszystko wydaje się takie nagle...

– Akurat to mnie nie dziwi, Adrien zawsze taki był. Decyzje podejmuje stanowczo i szybko. To zresztą wspólna cecha członków Organizacji. Cam, Vince, mój ojciec... Oni też tak mają.

– Czyli potwierdzasz, że może mówić prawdę?

Bardzo liczyłam na to, że w moim głosie nie pobrzmiwa nadzieja. Nie chciałam wyjść na desperatkę. Nie wiem nawet, skąd się brała.

– Takie knucie i bawienie się czyimiś uczuciami byłoby do niego raczej niepodobne, tyle wiem, ale nie można założyć, że jest niemożliwe... – Maya pomasaowała sobie czoło.

– Cholera wie, co mu siedzi w głowie.

– Co proponujesz, bym zrobiła?

– Ja mam coś proponować? – zdumiała się Maya.

– A dlaczego niby ci o tym mówię?

Ponownie zasiadła na kanapie naprzeciwko mnie. Zrobiła to z gracją i od razu zaczęła głaskać się po brodzie. Po chwili zsunęła też okulary na nos.

– To dzięki tobie Adrien rozmyślił się w sprawie zawieszenia Dylana? – zagadała nagle.

– Nie posłuchałam cię i się z nim skontaktowałam, przepraszam.

Kąciki ust Mai uniosły się lekko.

– Powinnam na ciebie nakrzyczeć, ale czuję dumę.

– Uczyłam się od najlepszych – mruknęłam, nieśmiało odwzajemniając uśmiech.

Ciocia pokręciła głową z pobłażliwością, aż w końcu westchnęła.

– Słuchaj, Hailie, to już nie są słodkie plotečky, tylko poważna sprawa. Jeśli Adrien naprawdę coś do ciebie czuje, a ty zechcesz się z nim związać, to w nikim nie będziesz miała większego wsparcia niż we mnie, mogę ci to obiecać. Ja tylko muszę wiedzieć, że nie stanie ci się krzywda.

– Nie ma sposobu, żeby się o tym szybko przekonać.

Maya zamyśliła się na chwilę, po czym sięgnęła po swoją torebkę.

– Zadzwońię po niego – oznajmiła, gdy już trzymała w ręce telefon.

Znieruchomiałam.

– Co?! Nie! – zaprotestowałam. – Po co?!

– Żeby tu przyjechał i przekonał mnie, że nie mam powodów do zmartwień, duh.

– Maya, nie rób tego.

Zacisnęła usta i westchnęła z niezadowoleniem.

– Dlaczego nie?

– Nie chcę, żeby tu przyjeżdżał. Nie chcę też, żeby wiedział, że angażuję w nasze sprawy osoby trzecie. Powiedziałaś, że jedną z cech członków Organizacji jest to, że szybko potrafią podejmować decyzje. Ja nie chcę być miernotą, która tego nie umie.

– Ty lepiej mi tu nie aspiruj do członków Organizacji, okej? – ostrzegła mnie Maya, ale odłożyła telefon.

– Chcę po prostu dobrze to rozegrać.

– W porządku, daj mi pomyśleć. – Złapała za butelkę szampana, która leżała w wiadrze lodu, i nalała sobie kolejny kieliszek. Dobrze. Oznaczało to, że emocje opadają. Zerknęła też na mój i wywróciła oczami niezadowolona, że jeszcze go nie opróżniłam.

– Może spróbuj go przetestować – zasugerowała w końcu.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Powiesz mu, że jeśli macie się spotykać, chcesz, żeby twoi bracia o tym wiedzieli.

Otworzyłam szeroko oczy.

– O nie, właśnie chodzi o to, żeby na razie nic im nie mówić, bo jeśli...

– Wyluzuj – przerwała mi. – Wiadomo, że bracia Monet nie mogą się na razie o niczym dowiedzieć. Chcemy po prostu zobaczyć reakcję Adriena. Jeśli jest zainteresowany tobą na poważnie, to nie będzie miał problemu z tym, żeby opracować plan przyznania się chłopakom.

– A jeśli się mną bawi, to będzie chciał za wszelką cenę utrzymać to w tajemnicy – zgodziłam się z nią szeptem.

– Właśnie tak.

Pokiwałam zamyślona głową. Zapatrzyłam się na błękitne morze, które mieniło się pięknie w blasku słońca. Niebo było czyste i zwiastowało nadejście lata. Wkoło kołysało się na wodzie mnóstwo jachtów podobnych do naszego. Lubiłam francuski klimat, był zupełnie inny niż ten barceloński. Podczas gdy tam panował większy zamęt, tutaj czuło się przede wszystkim sielankowy spokój.

Normalnie ładowałabym baterie, ale teraz byłam zbyt rozstrojona w związku ze swoją zawiłą relacją z Adrienem Santanem. Nieco uspokoił mnie fakt, że podzieliłam się tym mrocznym sekretem z Mayą, a ona nie oszalała z niepokoju, tylko metodycznie podeszła do sprawy.

– Dotknął cię?

Drgnęłam i przeniosłam na nią zaskoczone spojrzenie.

– Hm?

– Czy cię dotknął? Skóra w skórę. Czy cię dotknął? – pytała Maya.

Korciło mnie, żeby skłamać, ale byłam w tym zbyt beznadziejna, więc ona natychmiast się zorientowała, jak brzmi odpowiedź, i przysłoniła oczy dłonią.

– Co jest? – zapytałam.

– Zapytał o zgodę?

– Vincenta nie...

Maya zamachała ręką ze zniecierpliwieniem i rozdrażnieniem.

– Oczywiście, że Vincenta nie. Chodzi mi o twoją zgodę.

– O moją... No o moją tak.

– Chociaż tyle – mruknęła do siebie, a potem dodała głośniejszym głosem: – Ale to dobra prognoza. Skoro pozwolił sobie na coś takiego, to może być znak, że jest szczerzy.

– Bo jeśli Vincent się dowie...

– Adrien może mieć kłopoty u wszystkich członków Organizacji.
– Ale ja się przecież zgodziłam, by mnie dotknął. Czy to nie zmienia postaci rzeczy?
– To jest ważne, jeśli patrzymy na relację między tobą a nim, oczywiście. Natomiast w Organizacji dodatkowo istotne jest, żeby związki były transparentne, inaczej można podejrzewać, że ktoś coś knuje. Dlatego Adrien powinien był porozmawiać najpierw z Vincentem.

Głośno wypuściłam powietrze z płuc.

– Vincent w życiu by się nie zgodził.
– Dlatego z nim nie porozmawiał. I zaryzykował. Gdybyś chciała go teraz wkopać, poleciałabyś do braciszka, a Adrien miałby ogromne nieprzyjemności.

– Nawet mimo tego, że się zgodziłam?

– Nawet mimo tego, że się zgodziłaś.

– Porąbane to wszystko.

– Nie od dziś to wiadomo.

Upiłam łyk szampana, przez chwilę delektując się jego smakiem.

– Adrien powiedział, że pieprzyć Organizację.

– Groźnie – skomentowała Maya z pobrzmiewającą w głosie ironią.

Zachichotałam i upiłam kolejny łyk.

– Dobre to – skomentowałam, sięgając po dolewkę.

– Uwielbiam tego szampana. Jedna butelka kosztuje tyle, co chesne na dobrym uniwerku, wiesz?

– To trochę przesada – uznałam, przypatrując się bąbelkom w kieliszku.

– Ale też dobry biznes. Zresztą wiesz, że Monty prawie w niego wszedł? Tylko teraz coś mu się zmieniło i ubzdurał sobie, że jednak zostanie producentem tequili.

– Skąd mu się to wzięło?

– Cóż, najwyraźniej zainspirował go słynny strzał do Cama, oddany w wyniku nieporozumienia nad butelką tequili. Monty stwierdził, że to znak.

– Aha.

– Mówię ci, Hailie, mężczyźni to czasem takie dzieci. Monty jest świetnym przykładem tego, co wyrasta z rozpuszczonego smarka.

– On i moi bracia – dodałam, pełną zgodę podkreślając uniesionym w górę palcem wskazującym.

– I Adrien – zauważyła Maya. Rzuciłam jej ostrożne spojrzenie. – Tak, moja droga. On się wcale tak bardzo od nich nie różni. Warto, żebyś o tym pamiętała.

– On...

– ...dzwoni – dokończyła.

– Co?

– Spójrz na swój telefon.

Faktycznie, ekran mojej komórki świecił się, a na samej górze pojawiło się imię tego, kogo właśnie obgadywałyśmy. I tak, zapisałam go w kontaktach po imieniu. Era przetrzepywania mojego telefonu przez braci została bezpowrotnie zakończona.

Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Błyskawicznie porwałam aparat w ręce i podniosłam go do ucha, zerwawszy się w tym samym czasie z kanapy. Spłoszyła nawet Daktyla, który był zbyt leniwy, by uciec, ale rozplaszczyl się jeszcze bardziej na poduszce, łypiąc na mnie podejrzliwie.

Nim odebrałam, odchrząknęłam i skryłam się pod pokładem, z dala od wścibskich uszu Mai. Przy okazji weszłam w stół i prawie nabiłam sobie siniaka na udzie. Syknęłam ze złością, że przez głupi telefon jestem tak nieuważna.

– Halo? – powiedziałam, przybierając możliwie jak najbardziej neutralny ton.

– Witaj, Hailie Monet.

Poczułam dreszcz na sam dźwięk tego głosu, w którym pobrzmiwała tajemnica.

– Dzień dobry.

– Dzwonię, żeby zaprosić cię na kolację.

– Znowu? – zapytałam, zanim zdążyłam się powstrzymać. Nie chciałam, by zabrzmiało to aż tak nietaktownie, po prostu mi się wymknęło.

Adrien chyba nie poczuł się urażony, bo się zaśmiał.

– Chciałbym, żeby ta była mniej oficjalna. Czy masz czas dziś lub jutro?

– Eee... właściwie to jestem we Francji.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Nie wspominałaś, że wyjeżdżasz.

Ze skupieniem wodziłam palcem po kancie stołu, o który przed chwilą się uderzyłam.

– Nie pojechałam na koniec świata.

– Przyleciałem do Barcelony specjalnie dla ciebie, Hailie – wytknęłam mi.

– Przykro mi, że zmarnowałam ci wycieczkę.

– Och, niepotrzebnie się przejmujesz – odpowiedział szybko. – Zaraz coś wymyślimy.

Parsknęłam cicho. Jeny, chciało mi się chichrać jak nastolatce, do której idol właśnie puścił oko. Żałosne.

– No dobrze, więc zamieniam się w słuch.

Naprawdę byłam ciekawa, co powie.

– Zrobimy tak, Hailie... – Adrien mówił cicho i spokojnie, z tą typową dla niego nutą zdecydowania w głosie. – Jutro spotkamy się na kolacji w okolicach Monako, wszystko załatwię.

– Co, przylecisz tutaj? – zapytałam z rozbawieniem. Czułam, jak żołądek zaciska mi się z dziwnej ekscytacji.

– To zaledwie półtoragodzinny lot, jeśli się nie mylę.

– Fakt, ale z kolei dystans z Saint-Tropez do Monako jest zbyt krótki, by lecieć samolotem...

– Wszystkim się zajmę – powtórzył Adrien. – Bądź, proszę, gotowa na osiemnastą. Dobrze?

– Mhm – mruknęłam, oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy Maya nie chucha mi na kark, nadstawiając ucha.

– I powiedz, proszę, Mai, że nie jest zaproszona.

Otworzyłam usta, chcąc szybko zaprotestować, ale zareagowałam zbyt późno, a Adrien nie był głupi i zdecydowałam się nie próbować robić z niego – ani z siebie – idioty, więc odparłam:

– Przekażę jej.

– Świetnie – powiedział. – W takim razie do zobaczenia.



WEDLE ŻYCZENIA, HAILIE MONET

Rozłączywszy się, wróciłam do ciotki, która wyciągała się na kanapie z kolejnym kieliszkiem szampana w ręku. Tym razem nie rozcieńczyła go już sokiem.

– Co chciał? – zapytała od razu, unosząc głowę.

– Nie podsłuchiwałaś? – zdziwiłam się.

– Przecież i tak mi wszystko wyśpiewasz.

Odrzuciłam telefon na kanapę i też na nią padłam.

– Zaprosił mnie na kolację do Monako. Czy tam w okolicy.

– Nie próżnuje – mruknęła.

– To będzie dobry moment, by powiedzieć mu o planie wyjawienia tajemnicy braciom, co nie?

– Jasne – potwierdziła ciocia. – Im szybciej, tym lepiej.

Rozprawiałyśmy jeszcze trochę o tym, jak rozegrać tę sprawę z Adrienem, jakich słów użyć i kiedy dokładnie, a potem Maya zadzwoniła po jedzenie i mogłyśmy ucieszyć podniebienia pysznymi potrawami autorstwa prywatnego kucharza Monty’ego.

Napiłam się jeszcze szampana, ale z umiarem – nie chciałam tego dnia imprezować, bo nagle priorytetem stało się dla mnie bycie w dobrej formie następnego

dnia. Nie było bowiem nic ważniejszego niż zachowanie trzeźwości umysłu w towarzystwie Adriena Santana.

A on nie żartował. Faktycznie się wszystkim zajął.

O godzinie osiemnastej pod apartament Mai i Monty'ego (bez wiedzy tego drugiego) przyjechało po mnie wielkie czarne auto, do którego wsiadłam razem z Danilo. Moja ciocia zaproponowała, że wyśle za mną dodatkowego ochroniarza, tak na wszelki wypadek, ale odmówiłam.

Elegancki samochód z milczącym kierowcą zabrał mnie na obrzeża miasteczka, gdzie znajdowało się lądowisko dla helikopterów. Jeden z nich już na mnie czekał. Nie zdążyłam nawet dobrze się w nim rozsiąść, bo lot trwał niecałe pół godziny. Poświęciłam go na próby ukrycia ekscytacji, choć wierzyłam, że z tych emocji oczy błyszczą mi jak błękitne morze, nad którym leciałam.

Na miejscu odebrał mnie kolejny wielki, czarny luksusowy van z kolejnym cichym kierowcą i wtedy zaczęłam się naprawdę obawiać. Byłam wdzięczna, że Danilo jest ze mną. Po prostu czułam, że jestem coraz bliżej spotkania Adriena, i to na obcym terytorium – do tej pory widywaliśmy się tylko w Barcelonie i Pensylwanii, gdzie mogłam być swobodna.

Wjechaliśmy chyba na czyjś prywatny teren i w brzuchu poczułam kolejne ukłucie niepokoju. Przeklęłam w myślach swoją nieroztropność, bo mogłam przecież wyciągnąć od Adriena więcej informacji na temat celu podróży, tymczasem samochód wiozł mnie w nieznaną. Jedynym pocieszeniem było, że o mojej wycieczce wiedziała Maya. Jeśli Santan mnie tu zamorduje, to ona wskaże sprawcę. No i on sam też miał tego świadomość.

Było się nie zgadzać. Było wrócić do Barcelony i ewentualnie tam się z nim spotkać. Takie myśli mnie nachodziły, gdy auto sunęło drogą wśród gęstej roślinności, która zdawała się nie mieć końca. Gdzie on mnie wywozi?

Już zbierałam się, by odchrząknąć i zadać to pytanie na głos, gdy nagle samochód zwolnił i zatrzymał się w niewielkiej zatoczce.

Rozejrzałam się podejrzliwie i aż podskoczyłam, gdy drzwi z mojej strony zostały otwarte – nie przez kierowcę, który nie ruszył się ze swojego fotela, a przez jakiegoś innego mężczyznę.

Uniosłam głowę i oślepiona blaskiem słońca zmrużyłam oczy, które zdążyły przyzwyczać się do oglądania Francji i Monako przez przyciemnianą szybę, więc

dopiero po chwili rozpoznałam twarz Adriena.

Santan, który pojawił się jakby znikąd, swoje zagadkowe oczy skrywał za okularami przeciwsłonecznymi. Wyciągnął teraz szarmancko dłoń, gotów mi pomóc, gdy wysiadałam. Rozważałam odtrącenie tego gestu, ale samochód był wysoki, a teren nierówny, ja zaś nie chciałam wyjść na upartego dzieciaka. Dosłownie musnęłam palcami jego dłoń, usiłując jednak samodzielnie wydostać się z auta, ale ten przelotny kontakt wystarczył, by zacisnął mi się żołądek.

– Dobry wieczór, Hailie – przywitał się Adrien, odsuwając się trochę, bym miała więcej przestrzeni.

– Dobry wieczór – odparłam, rozglądając się. W zasięgu mojego wzroku nadal nie było żadnego budynku. – Czy ty właśnie wywiozłeś mnie na odludzie?

– To wciąż są okolice Monako.

– Wolałabym chyba spotkać się w mniej odosobnionym miejscu – wyznałam szczerze, mnąc między palcami pasek torebki.

– Myślę, że spodoba ci się to, które wybrałem – odparł i wskazał ręką gdzieś w bok.
– Pójdziemy tędy.

Podążyłam wzrokiem za jego dłonią i uniosłam brwi.

– Zabierasz mnie w krzaki?

– Przyjrzyj się uważnie, Hailie Monet.

Faktycznie, było tam przejście. A raczej strome schodki prowadzące w dół, niewidoczne, bo otaczały je gęste zarośla.

Natychmiast ostentacyjnie odwróciłam się do Danilo.

– Bądź czujny – rozkazałam mu.

– Tak jest, pani Monet – odparł. Minę miał skupioną i z pewnością wziął sobie moje słowa do serca.

Niewykluczone, że Adrien wywrócił oczami, ale nie mogłam być tego pewna, bo zaczął już iść w kierunku, który mi wskazał.

– Pozwól, że pójde przodem. Jest stromo.

Nie miałam nic przeciwko.

Nie wahałam się też zbyt długo. Adrien ruszył w dół, a ja stawiałam ostrożne kroki za nim, nie mogąc się zdecydować, czy patrzeć raczej pod nogi, czy może na jego proste plecy odziane w białą koszulę. Dziś była luźna, więc nie tak elegancka, ale też było na czym zawiesić oko. Cóż, na pewno nie musiałam martwić się wypatrywaniem

wystających gałęzi, o które mogłabym zawadzić, bo Adrien po dżentelmeńsku zgarniał wszystkie z drogi przed nami i podtrzymywał je potem tak, żebym i ja nimi nie oberwała.

Gdy moje stopy dotknęły piasku, byłam z siebie dumna, że udało mi się nie potknąć i nie zlecieć prosto na niego.

Uniosłam głowę, by rozejrzeć się po plaży, na którą właśnie mnie doprowadził. Wiał bardzo delikatny wiatr. Nawet przez klapki czułam, że piasek jest jeszcze nagrany po słonecznym dniu. Spokojne morze szumiało leniwie. A pośrodku plaży, parędziesiąt metrów od nas, coś się znajdowało...

– Zapraszam. – Adrien zachęcił mnie ruchem dłoni, bym tym razem to ja szła pierwsza.

Czułam się trochę niepewnie, więc objęłam się ramionami, po czym ruszyłam przed siebie, zaintrygowana tym, co wymyślił.

W miarę jak się zbliżaliśmy do celu, byłam pod coraz większym wrażeniem. A owym celem było miejsce wytyczone przez dające łagodne światło lampiony. Nie było jeszcze ciemno, więc nie kontrastowały mocno z otoczeniem, ale i tak wyglądały pięknie.

Wszystko wskazywało na to, że został tu zorganizowany mały, uroczy piknik.

– Lubisz taki klimat? – zapytał Adrien. Zatrzymał się tuż za mną i czekał cierpliwie, aż coś powiem.

Spojrzałam na niego z dystansem, dyskretnie przelękając ślinę, i skinęłam głową.

– Lubię.

– W takim razie usiądź, proszę. – Adrien zapraszającym gestem wskazał koc.

Upłynęło kilka sekund, zanim przystałam na jego propozycję, ponieważ myśl, że miałabym siedzieć tuż obok Adriena, lekko mnie przerażała. Po prostu taka wizja nie pasowała do niczego, co było mi znajome. Zawsze co najwyżej staliśmy obok siebie. Czasem siedzieliśmy naprzeciwko, ale zawsze przy stole – tak jak ostatnio w restauracji. Takie bez troskie piknikowanie razem wydało mi się wielkim krokiem naprzód.

Musiałam jednak przyznać, że Adrien załatwił naprawdę wielki koc. Gdyby odłożyć na piasek liczne poduchy, które się na nim znajdowały, bez problemu daliby radę się na nim rozwalić wszyscy moi bracia i wciąż zostałoby trochę miejsca dla mnie.

Przycupnęłam na brzegu nieśmiało i ostrożnie, by nie nasypać na koc piachu. Szczęście, że miałam długą, przewiewną sukienkę, bo nie musiałam być dodatkowo uważna, aby nie błysnąć bielizną.

– Sam to wszystko przyszykowałeś? – zapytałam, z uznaniem rozglądając się wkoło.

Parasol, który się nade mną rozpościerał, był w kolorze beżu, zwisały z niego krótkie gęste frędzle. Nie było już ostrego słońca, przed którym miałyby nas chronić, ale na pewno dodawał przytulności.

Tuż obok znajdował się niski stolik. Mogłam do niego sięgać na siedząco, tylko lekko się pochylając. Zastawiono go wieloma przekąskami, wśród których rzuciły mi się w oczy owoce, sery i oliwki.

– To był mój pomysł – odpowiedział na moje pytanie Adrien. – Ale czy docenisz go mniej, jeśli się przyznam, że miałem ludzi, którzy przygotowali to wszystko na moje polecenie?

Podszedł do wielkiego kosza piknikowego i kucnął przy nim. Patrzyłam na jego powiewającą lekko na wietrze koszulę i włosy, które znajdowały się w większym nieładzie niż zwykle – przed wyjęciem butelki z winem nawet przeczesał je palcami.

– Nie – odparłam po krótkim namyśle. – Doceniam kreatywność.

Rzucił mi przelotny uśmiech przez ramię. Zaskoczył mnie, bo nie do takiego sposobu bycia przyzwyczał mi przez lata. Kojarzył mi się z sarkazmem i drwinami, więc trudno było mi przyswoić, że może być dla mnie po prostu miły.

– Naturalnie zaopatrzyłem nas w wino, jeśli jednak nie planujesz pić alkoholu, to mogę zaproponować ci lemoniadę cytrynową i, oczywiście, wodę.

– Napiję się lemoniady – powiedziałam, gładząc się po odkrytej łydce. Ciągłe rozglądałam się, nie mogąc nacieszyć oczu tą scenerią. Była naprawdę wyjątkowa, a świadomość, że to Adrien ją zaaranżował, nadal mnie w pewien sposób onieśmiałą.

– Wedle życzenia, Hailie Monet.

Już po chwili wręczył mi kryształowy kieliszek z lemoniadą, którą nalał z dzbanka, także kryształowego. Jego ruchy były niespieszne i – tak jak moje – ostrożne. Oboje pilnowaliśmy się, by nie dotknąć tego drugiego. Nie wiem, jaki był powód jego powściągliwości, ale ja zwyczajnie próbowałam uniknąć kolejnego zawału.

– Mam nadzieję, że miałaś szybką i komfortową podróż – odezwał się. Usiadł na kocu wystarczająco daleko ode mnie, żeby mnie nie płoszyć.

– Tak, wszystko zaplanowałeś bez zarzutu – odpowiedziałam.

Dlaczego byłam taka speszona? Plaża, ten cały piknik zaaranżowany specjalnie dla mnie, nadskakujący mi Adrien – to dla mnie wyjątkowo niecodzienne doświadczenia i potrzebowałam czasu, by je przetrwać.

Odniosłam wrażenie, że Adrien o tym wie i daje mi na to przestrzeń, za co byłam mu wdzięczna. Przerwał ciszę tylko po to, żeby nawiązać luźną, niezobowiązującą rozmowę.

– Co u Mai?

– Przesyła pozdrowienia – odparłam zgodnie z prawdą.

Adrien rozsiadł się wygodnie, przechylając się lekko na lewy bok, kawałek dalej znajdowałam się ja. Opierał się na łokciu i patrzył teraz gdzieś w morze.

– Mam nadzieję, że jest szczęśliwa.

Obserwowałam go przez chwilę, po czym skinęłam głową.

– Tak – powiedziałam cicho. – Bardzo się z Montym kochają.

– Widać dobrze się stało, że nasze małżeństwo nie doszło do skutku – rzucił, posyłając mi kpiarskie spojrzenie, widoczne nawet zza ciemnych okularów.

– Żałujesz?

– Nie byliśmy sobie pisani.

Przechyliłam głowę. Następne pytanie zadałam od niechcienia, z niemal dziecięcym zaciekawieniem:

– Uważasz, że to ja jestem tobie pisana?

Obejrzał się na mnie.

– Nie wiem – odparł lekko. – A jesteś?

– Nie wiem – odmruknęłam, a potem przyszło mi na myśl, że raz kozie śmierć i jak nie teraz to kiedy, więc dodałam na jednym wydechu: – Chciałabym, żeby moi bracia wiedzieli, że się widzimy.

Tym razem spojrzenie Adriena zdawało się dłuższe i uważniejsze, choć przez te jego cholerne okulary trudno mi było je odczytać.

– Skąd taki pomysł?

Założyłam włosy za ucho.

– Źle się czuję, ukrywając coś takiego przed nimi – wymamrotałam.

Adrien nie odzywał się przez moment, po czym przemówił cicho:

– Jeśli to dla ciebie ważne, to w porządku.

Podniosłam wzrok.

– Naprawdę?

– Nie będziemy się dobrze bawić w tej tajemnicy, jeśli jedna ze stron czuje się z nią niekomfortowo.

– Więc nie masz nic przeciwko, żeby im powiedzieć?

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście należy to przeprowadzić rozsądnie. Inaczej może się zrobić nieprzyjemnie. Na ogół jestem cierpliwy, ale ten jeden, na przykład... – Adrien wznosił kieliszek lemoniady i lekko nim zamachał – ...już dawno przekroczył moje granice.

– Mówisz o Dylanie? – zapytałam cicho.

Adrien rzucił mi krótkie, intensywne spojrzenie.

– Właśnie o nim.

– Może Dylanowi nie trzeba na razie mówić – zastanowiłam się nieśmiało. – Może najpierw Willowi? Will jest spokojny, a jego reakcje zawsze rozsądne.

Adrien parsknął, a w jego oczach dostrzegłam politowanie.

– No co? – zapytałam zaczepnie.

– Nie znasz swojego brata, Hailie Monet.

Zacisnęłam mocniej palce na swoim kieliszku i zmarszczyłam brwi.

– Znam go bardzo dobrze.

Adrien pokręcił ze spokojem głową.

– Zaufaj mi, Hailie, kiedy mówię, iż jestem przekonany, że Will będzie najmniej zadowoloną osobą z całej gromadki twoich i tak wiecznie niezadowolonych braci.

Oplotłam kieliszek palcami i usiadłam wygodniej.

– Dlaczego tak mówisz?

– Byliśmy na jednym roku w szkole średniej. Trzymaliśmy się razem, robiliśmy głupie rzeczy. Will pamięta mnie jako osobę, którą prędzej zamordowałby gołymi rękami, niż pozwolił, by zabrała jego młodszą siostrę na randkę.

– Świetnie, więc mówisz mi, że w tej sprawie nie mogę nawet liczyć na brata, który najczęściej wspiera mnie w moich wyborach? – westchnęłam z rozdrażnieniem. – Co wyście wyprawiali w tym liceum?

Adrien puścił do mnie oko.

– Głupoty.

– Bliźniakom też bez sensu mówić – analizowałam na głos. – Tony zacznie jęczeć, że go stresuję, i wypali ze trzy papierosy z rzędu, czego nie chcemy, bo przecież praktycznie rzucił, a Shane zrobi dumną minę i będzie powtarzał w kółko... – zniżyłam głos – ...„Co?! Co?!” jak idiota.

– Zabawni ci twoi bracia.

– Zostaje Vincent.

Adrien sprawnym ruchem wyciągnął telefon z kieszeni spodni.

– Mogę do niego zadzwonić choćby w tej chwili, jeśli tego chcesz.

Aż drgnęłam zaniepokojona, choć starałam się udawać nonszalancję i w reakcji tylko uniosłam brwi.

– Tak? I co mu powiesz?

– Że siedzę właśnie na plaży z jego ukochaną młodszą siostrą, a do głowy przychodzą mi pomysły, o których woli nie wiedzieć...

Zaśmiał się cicho na widok mojej miny.

– Nie – zaprotestowałam słabo i oblizalam wargi. – Nie, nie. Vince powinien... On powinien usłyszeć to ode mnie.

– W takim razie będę czekał na informację, kiedy postanowisz podzielić się z nim radosną nowiną. Daj mi, proszę, znać, zanim to zrobisz. Muszę być przygotowany.

Przez chwilę dumalam i głaskałam się po łydce zaplątanej w delikatny biały materiał mojej sukienki.

– Jak myślisz, jaka będzie jego reakcja? – zapytałam zamyślona.

Adrien zastanowił się przez chwilę, a potem spojrział na mnie z niebezpiecznym błyskiem w oku. Tym razem był tak wyrazisty, że dostrzegłam go nawet przez te jego okulary.

– Myślę, że od wściekłości, którą poczuje w stosunku do mnie, silniejszy będzie tylko strach o ciebie.

Zamrugalam, zapatrzona na niego.

– Bez sensu – zaproponowałam – przecież nie ma powodu, by się o mnie bać...

Adrien tylko uśmiechnął się półgębkiem, a mnie po plecach przebiegły ciarki. Chciałam coś jeszcze powiedzieć, ciągnąć te przemyślenia, żeby dowiedzieć się od Adriena czegoś więcej. Lub by zapewnił mnie, że obawy Vincenta serio byłyby niesłuszne. On jednak odwrócił ode mnie twarz, a po chwili jak gdyby nigdy nic sięgnął po deskę serów ze stolika.

– Proszę, spróbuj.

Żeby stłumić ten niepokój, który gromadził się w moim sercu, spojrzałam na różnorodne zakąski, proponowane mi przez Santana.

– Wszystkie francuskie – dodał.

Na mały widelczyk nadziałam jeden z kawałków i wsunęłam go sobie do ust.

– Poczekaj. Poczęstuj się jeszcze tym. – Tym razem pod nos podsunął mi uroczą miseczkę pełną dorodnych różowych winogron.

Posłusznie złapałam jedno z nich między palce.

– A teraz zamknij oczy – polecił cicho i wolno Adrien – wsłuchaj się w szum fal i rozgryź ser i owoc w tym samym czasie.

Zrobiłam tak, jak kazał.

I prawie roztopiłam się z przyjemności... Połączenie smaków sera i winogrona mnie zaintrygowało, w powietrzu unosił się zapach morskiej soli i cytryn z lemoniady, a moje uszy pieścił szmer fal rozbijających się o brzeg.

– I jak? – zapytał szeptem Adrien.

Nie otwierając oczu, pokiwałam głową.

– Wiesz, co to za smak?

Teraz pokręciłam nią.

– Dobry ser i dojrzałe winogrono smakuje jak pocałunek, Hailie Monet.

Tym razem szept Adriena dał się słyszeć tuż przy moim uchu. Natychmiast otworzyłam szeroko oczy. Wtedy mignął mi jego uśmiech, w którym pokazał swoje białutkie zęby, gdy się ode mnie odsuwał.

Sama też się odsunęłam, odrobinę zbyt gwałtownie, na jeszcze dalszy brzeg koca. Podwinęłam też nogi, żeby zająć na nim mniej miejsca. Policzki mnie paliły i pewna byłam, że się rumienię.

– Rozejrzyj się, Hailie, trafiliśmy na zachód słońca – rzucił beztrosko Adrien, na powrót zajmując tę swoją luzacką pozę.

Powiodłam wzrokiem dokoła i znowu byłam zmuszona przyznać mu rację. Nie tylko moja twarz się zaróżowiła – całe niebo przybrało tę piękną barwę. Na pewno pasowało mu bardziej niż mnie, ale starałam się o tym nie myśleć i tylko zapatrzyłam się na nie wdzięczna, że mam wymówkę, by oderwać wzrok od swojego towarzysza.

– Ładnie tu – pochwalałam po dłuższej chwili milczenia. – Aż dziwne, że nie widziałam tu jeszcze ani jednego spacerowicza.

– Jeśli jakiegos zauważysz, od razu mnie o tym poinformuj, a moja ochrona go stąd wywlecze.

Spojrzałam na niego pytająco.

– To prywatna plaża, obcy nie mają tu wstępu – wyjaśnił ze spokojem. – Z tego, co się orientuję, za takie wtargnięcie grozi nawet jakaś zabawnie niska grzywna.

– Zaraz. – Pokręciłam głową, żeby przetrwać jego słowa. – To twoja plaża?!

– Należy do mojej rodziny.

– Twoja rodzina posiada plażę w Monako?

– Tylko niewielki odcinek. Tak naprawdę to jesteśmy we Francji, tuż obok granicy z Monako. Tam wyżej są winnice, których właścicielem jest mój ojciec. Wszystko to sprezentował dawno temu matce.

Wskazywał na strome schodki, którymi tu zeszliśmy, oraz teren nad nimi i wokół nich.

– Mieliśmy się spotkać w miejscu publicznym – wytknęłam mu z rosnącym oburzeniem.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy coś takiego ustalali.

– Ja sobie to ustaliłam – warknęłam. – W głowie.

– Wybacz zatem. – Adrien uniósł dłoń w przepaszającym geście. – Osobiście zwyczajnie nie przepadam za tłumami.

Westchnęłam i zdecydowałam się odpuścić, upewniwszy się tylko, że Danilo wciąż jest w pobliżu. Nie umknęło to uwadze Adriena.

– Nie przeszkadza ci, że twój ochroniarz zawsze znajduje się tak na widoku? – zagaił.

Danilo stał na piasku, samotny, niedaleko schodków, skryty w cieniu pod drzewem przed zachodzącym słońcem.

– Lubię wiedzieć, że jest ze mną – wyznałam i jeszcze raz się rozejrzałam. – A gdzie jest twój?

– Zwykle proszę go, żeby trzymał się na uboczu, jeśli to możliwe.

– Dobry jest – doceniłam, nigdzie go nie dostrzegłszy.

– Sztukę kamuflażu opanował do perfekcji, to prawda. Musiał, bo gdy widywałam się z kobietami, zawsze je peszył.

– Mam nadzieję, że ciebie Danilo nie peszy, bo nie zamierzam kazać mu się przed tobą chować.

– Jeśli czujesz się bezpieczniej, wiedząc, że czuwa w pobliżu, nie mam nic przeciwko jego obecności, nieważne, jak ostentacyjnej.

Skwitowałam te słowa ciszą, ale taką pełną uznania. Co jak co, ale Adrien potrafił odpowiadać z klasą, jeśli chciał.

– Słyszałem już nie pierwszy raz, że Danilo zwraca się do ciebie per „pani Monet” – rzucił Adrien, nie mając chyba na myśli nic konkretnego, ale ja, z drobnym zawahaniem, mu odpowiedziałam:

– Robi to na moje życzenie...

– Czy „panno Monet” brzmiało dla ciebie zbyt infantylnie? – zapytał z rozbawieniem.

Zabolalo mnie serce.

Zawsze tak się działo, gdy wspominałam Sonny'ego. Wtedy też oczy błyskawicznie wypełniały mi się łzami i teraz nie stało się inaczej. Rozmazała mi się widoczność, ale mimo to zauważyłam, jak z twarzy Adriena znika delikatna drwina i zastępuje ją najpierw szybka konsternacja, a potem trwoga.

– Hailie? – szepnął łagodnie. Odepchnął się łokciem od ziemi, żeby usiąść wyżej.

Pokręciłam głową, odwracając ją jak najdalej od niego. Boże, tak się przy nim rozkleić, co za wstyd. Spróbowałam dyskretnie zetrzeć łzy, dobrze wiedząc, że on przecież nie jest ślepy i widzi, co robię.

– Czy powiedziałem coś, co było nie na miejscu? – zapytał z powagą w głosie, a gdy skupiona na doprowadzeniu się do porządku nie odpowiedziałam, wreszcie sam się zreflektował, bo mruknął chyba pod nosem przekleństwo.

Poruszył się, sięgnął po drewniany chustecznik ze stołu i mi go podał, tak jak wcześniej oferował deskę serów. Chciałam coś powiedzieć, ale zacisnęło mi się gardło. Zrezygnowanym ruchem sięgnęłam po chustkę. Odetchnęłam, gdy przyłożyłam ją do wilgotnych policzków i pozwoliłam, by chłonęła moje łzy.

Nagle otoczenie z pięknego zrobiło się melancholijnie smutne. Zachodzące słońce przemieniło się w symbol zakończenia czegoś ważnego – w tym przypadku życia mojego ochroniarza. Morze z kojącego stało się przygnębiające, a od delikatnej bryzy przeszły mnie ciarki.

– Przepraszam – powiedział cicho Adrien. – Powinienem być ostrożniej dobierać słowa.

– To nie twoja wina – odparłam z pewnym trudem, bo w moim gardle utknęła lepka gula. – Ja po prostu zawsze płaczę, kiedy pojawia się temat Sonny’ego.

Głos mi zadrżał, gdy wypowiadałam jego imię.

– To zrozumiałe. – Kątem oka widziałam, że Adrien zerknął na moje ramiona, jakby przez chwilę rozważał, czy mnie przytulić, a ja nawet myślałam sobie przez ułamek sekundy, że nie odmówiłabym takiego wsparcia, ale chyba jednak zrezygnował z tego pomysłu. Odwrócił wzrok w stronę morza, zaciskając mocno szczękę, a ja z kolei ponownie ukryłam twarz w chusteczce.

Trwaliśmy w ciszy, aż poczułam, że muszę coś zrobić, by nie zdominować naszego spotkania żalobnym nastrojem, dlatego wreszcie odchrząknęłam cicho.

– Ehm... Ja... Uff... – odetchnęłam głęboko. Adrien spojrzał na mnie, a wtedy po prostu wskazałam na kosz, w którym chłodziła się wcześniej proponowana przez niego butelka. – To wino... Czy ono pochodzi z winnicy twojego ojca?

– Zgadza się. Naszła cię ochota, by go spróbować?

– Tak, poproszę – wymamrotałam, pociągając nosem.

Adrien chętnie sięgnął po butelkę. Patrzyłam, jak podwija rękawy swojej koszuli, a potem łapie za korkociąg. Mięśnie mu się napięły, gdy wyciągał korek. Zrobił to bardzo zgrabnie, nie mniej zgrabnie też rozlał wino do kieliszków, pilnując, by nie zmarnować ani kropli.

Znowu uważaliśmy, żeby się nie dotknąć. Przejąwszy kieliszek, zapatrzyłam się w połyskujący w nim jasny trunek, wdychając jego wyjątkowy zapach.

– Wszystko w porządku? – upewnił się ostrożnie Adrien.

– Tak – odparłam, starając się, by mój głos zabrzmiał już pewniej.

Adrien pokiwał głową, przyjmując tę odpowiedź, a potem wskazał podbródkiem na kieliszek.

– Co czujesz?

Wrócił do swojej wcześniejszej pozycji. Jedną ręką opierał się o koc, a w drugiej trzymał kieliszek. Rękawy koszuli ciągle miał podwinięte, a na oczach okulary.

– Skórkę cytrynową – odparłam, znowu dyskretnie pociągając nosem. – I może cedr?

– Jesteś obeznana – pochwalił mnie.

– Każde moje odwiedziny u Willa i Harrisona kończą się intensywnym kursem degustacji win. – Uśmiechnęłam się lekko do wspomnień, a potem jeszcze raz

przytknęłam chustkę w okolice oczu. Zerknęłam następnie w telefon, by upewnić się, że nie rozmazałam sobie makijażu. Co za wstyd. I to jeszcze, kurczę, przy nim!

Westchnęłam i dochodząc wreszcie do wniosku, że i tak nic z tym nie zrobię, powoli z powrotem się odprężyłam. Wyciągnęłam nogi i przejechałam dłonią po swojej sukience, układając ją, tak żeby odkrywała mi łydki. Zachodzące słońce przyjemnie mnie w nie grzało.

Zorientowałam się, że Adrien śledzi spojrzeniem moje ruchy. Wodzi wzrokiem za moją dłonią, poprawiając materiał sukienki. To chyba wtedy dostałam gęsiej skórki. Nie przestawałam subtelnie bawić się ubraniem, obserwując go spod rzęs. Nie widziałam wyrazu jego oczu, bo wciąż skrywał je za ciemnymi okularami, ale za długo wpatrywał się w ruchy mojej ręki, bym uznała, że zapatrzył się tylko przez przypadek.

W pewnym momencie jednak ocknął się z transu i uniósł wzrok na mnie, przyłapując mnie na tym kokietowaniu. Zdawał się nawet zdziwiony, ale chyba nie miał nic przeciwko, bo wyprostował się nieco i odwrócił jeszcze bardziej w moją stronę. Kącik moich ust uniósł się w bezwstydnym uśmiešku, co szybko zamaskowałam, biorąc łyk wina.

Oderwałam kieliszek od warg, dopiero gdy Adrien pojawił się bliżej, niż się spodziewałam. Nie oponowałam jednak, czekając na to, co zrobi. Moje stopy spoczywały na przyjemnie ciepłym piasku, lekko w nim zakopane. Adrien znajdował się teraz na brzegu koca, tak że gdyby chciał, mógłby zacząć je masować. Może nie miałabym nic przeciwko temu, ale on chyba miał inne plany, bo gdy powolnym ruchem zdjął okulary, okazało się, że pełnym pożądanym wzrokiem zerka na moje skryte pod sukienką łydki i uda.

Następnie zajrzał mi w oczy i zapytał szeptem:

– Czy mogę cię dotknąć?

Znowu to spotkanie naszych spojrzeń i napięcie. Odczuwałam je równie silnie jak na bankiecie, a teraz przecież przede mną nie klęczał. Czerpałam nieskończoną przyjemność z tych naszych interakcji i to tak wielką, że zdawała się niewłaściwa. Nielegalna.

Uśmiechnęłam się.

Poruszyłam nogami, jedną z nich ugięłam w kolanie. Materiał sukienki zsunął się z niego aż do połowy uda. Adrien przełknął ślinę. Dyskretnie, ale to zauważyłam. Podpierałam się na łokciu jednej ręki, a palcami drugiej gładziłam kieliszek wina

i z rozbawieniem przyglądałam się mężczyźnie, tak desperacko wyczekującemu mojej odpowiedzi.

I wtedy pokręciłam głową.

– Nie – powiedziałam zdecydowanym głosem.



30

NICZYM Z PANNA MŁODĄ

Oczy Adriena lekko pociemniały, szczęka się zacisnęła. Obserwowałam, jak powoli unosi mu się klatka piersiowa, gdy brał spokojne wdechy.

– Powiedz „tak”, Hailie Monet – szepnął.

Podniosłam podbródek, ciągle unosząc też delikatnie kąciki ust.

– Mówię „nie”.

Trwał nieruchomo przez kilka sekund, a potem się poruszył.

Odsunął się i napił wina, rzucając ostatnie, jakby rozżalone spojrzenie w stronę mojej sukienki.

Skinęłam z zadowoleniem głową. Miałam wrażenie, że moje ciało odczuło zawód i chce się zbuntować, ale głos rozsądku je uciszył. Żeby wytrwać w swojej asertywnej decyzji, postanowiłam przerwać tę pełną napięcia sytuację. Wstałam więc i trzymając kieliszek w obu dłoniach, zaczęłam się przechadzać po piasku.

Cieszyłam się ciepłem pod stopami, malowniczym niebem nad głową, w falującym morzu na powrót widziałam już piękno i czułam orzeźwienie, które przynosił wiatr. Adrien pozostał na kocu, znowu wygodnie na nim rozłożony, a ja od czasu do czasu wychwytywałam jego spojrzenie. Oczy ponownie ukrył za okularami i odprężony popijał wino.

Wiedziałam, że moja powiewająca wokół oblepionych ziarenkami piasku łydek sukienka na pewno robi na nim wrażenie, tak jak i rozpuszczone włosy, które niesfornie fruwały na wietrze. Po tylu naszych spotkaniach nie było dla mnie żadną tajemnicą, że podobam się Adrienowi. Choć nadal nie miałam pewności, jakie są jego intencje.

Kiedy moczyłam stopy w morzu, popijając ze smakiem wino i wpatrując się w horyzont, byłam pewna, że wzrok Adriena wypala mi dziury w plecach.

Wróciłam na koc po jakimś czasie, gdy poczułam, że wino zaczyna uderzać mi do głowy. Zasiadłam na swoim wcześniejszym miejscu, podwijając wilgotny dół sukienki, by odkryć swoje pokryte kropelkami wody nogi. Oczywiście, że robiłam to celowo. A kiedy czułam, że jeszcze chwila i Adrien zacznie przysuwać się do mnie znowu, poskarżyłam się na głos:

– Chłodno mi.

Adrien natychmiast podał mi koc, którym okryłam się szczelnie cała.

Więcej się już z nim nie droczyłam, on też na nic nie naciskał. Zrobiłam się głodna, więc skosztowałam przygotowanych przekąsek: serów, owoców, paluszków chlebowych i oliwek. Od czasu do czasu w tajemnicy przed Adrienem rozgryzałam naraz ser i winogrono. Popijałam to wszystko winem i ostatecznie wypłam go dwa kieliszki. Mniej więcej wtedy dostałam wiadomość kontrolną od Mai.

– Powinnam wracać – zapowiedziałam, schowawszy telefon.

– Mamy czas – odparł Adrien.

Pokręciłam głową, wyślizgując się spod koca.

– I tak się zasiedziałam.

Adrien też zaczął się podnosić.

– W porządku, w takim razie pozwól mi odprowadzić cię do samochodu.

– Zabierze mnie do helikoptera?

– Oczywiście.

Zarzuciłam na ramię torebkę, wsunęłam stopy w klapki, i odgarnawszy z oczu włosy, rzuciłam ostatnie spojrzenie na miejsce, w którym odbył się nasz uroczy piknik zaaranżowany przez Adriena.

– Dziękuję za to – powiedziałam szczerze. – Naprawdę miło się siedziało. Nie spodziewałam się.

– Cieszę się, że trafiłem w twoje gusta. – Okularami przeciwsłonecznymi wskazał na moją sukienkę. – Czy dać ci coś do zarzucenia na ramiona? Robi się zimno.

– Nie trzeba. – Machnęłam ręką. – Wino mnie rozgrzało.

Jakby na potwierdzenie tych słów lekko się zachwiałam i nawet musiałam na moment przymknąć powieki, żeby uspokoić zawroty głowy.

– Pojadę z tobą – zdecydował Adrien, z kwaśnym uśmiechem przyglądając się moim poczynaniom.

– Przecież trafię z podstawionego auta do podstawionego helikoptera. – Wywróciłam oczami.

Adrien skinął głową dla świętego spokoju, ale wziął też koc, którym wcześniej się przykrywałam i zostawiłam złożony w schludną kostkę obok kosza piknikowego. Trzymał go w ręce, gdy szliśmy w stronę skał i zieleni, a potem przełożył go sobie pod pachę, bo zadzwonił mu telefon.

– Poczekaj, proszę. To ważne, muszę odebrać – rzucił, zatrzymując się przed samymi schodkami. – Tak, tato?

Przyglądałam się przez chwilę, jak ze zmarszczonymi brwiami wsłuchuje się w to, co jego rozmówca ma do powiedzenia. Obejrzałam się też ostatni raz na morze i otoczony lampionami koc, a potem weszłam na schodki, by przyjrzeć się temu wszystkiemu z szerszej perspektywy. Wyjęłam telefon, żeby zrobić zdjęcie.

Weszłam na schodek wyżej, wybrałam odpowiedni kadr, a potem...

– Hailie!

Wydałam zduszony okrzyk, kiedy nagle poleciałam w dół. Poczułam pieczenie i ból w nodze i syknęłam.

– Odezwę się – obiecał Adrien do telefonu, pospiesznie kończąc rozmowę. Kucnął przy mnie, ściskając komórkę w dłoni. – Co się stało?

– Upadłam – jęknęłam.

– Krwawisz.

Wyciągnęłam szyję, by spojrzeć, i faktycznie – na jasnej tkaninie sukienki powoli powiększała się czerwona plama. Brzydkie zadrapanie, którego nabawiłam się, upadając na te szorstkie skalne schody, podeszło krwią.

No to się dograłam. Moje nogi już nie kusily, a raczej straszily. Przynajmniej Adrien wpatrywał się w nie z niepokojem.

– Czy możesz się poruszyć? – zapytał.

– M-hm... Chyba tak...

– A stopą? Palcami? – pytał. Dłonie zaciskał sobie na kolanach tak mocno, że aż mu zbieleły.

Wzięłam gwałtowny wdech, gdy spróbowałam wykonać jego polecenie.

– Boli? – upewnił się, szukając w mojej twarzy jak najszybszego potwierdzenia.

Skinęłam głową. W kącikach oczu zebrały mi się łzy. Nigdy w życiu nie czułam tak silnego bólu w kostce.

– Pani Monet, trzeba jechać do szpitala – wtrącił się Danilo, który pojawił się nagle przy nas z równie mocno zaniepokojoną miną.

– Nie trzeba – zaprotestowałam przez zaciśnięte zęby.

– Pozwól mi się dotknąć, Hailie – wtrącił Adrien niecierpliwie.

– Nie – syknęłam z przekory i trochę też z bólu.

– Pani Monet...

– Odsuńcie się ode mnie, to wstanę – upierałam się, a gdy obaj panowie bez przekonania wykonali moje polecenie, spróbowałam poruszyć nogą i zdusiłam w ustach przekleństwo, po czym dodałam: – To znaczy, poleżę sobie jeszcze chwilę i wtedy wstanę.

– Pani Monet, ja pomogę – zaoferował Danilo, wyciągając do mnie dłoń.

– Marny będzie z ciebie pożytek ochroniarza, który ma zajęte ręce – zauważył chłodno Adrien, po czym zwrócił się do mnie: – Hailie, pozwól sobie pomóc. – Wyciągnął do mnie dłoń w nieznoszącym sprzeciwu geście.

– Dobrze już – westchnęłam, powoli uświadamiając sobie, w jak fatalnej sytuacji się znalazłam. Nie mogłam nawet ruszyć stopą, aby mojej kostki nie przeszedł bolesny prąd.

– Czy mogę cię dotknąć? – dobitnie powtórzył pytanie Adrien, świdrując mnie wzrokiem.

– Tak – westchnęłam pokonana.

Adrien natychmiast ujął rąbek mojej sukienki, by odsłonić w całości obtarcie i dokładnie się mu przyjrzeć. Spięłam się cała w obawie przed bólem, ale na szczęście mężczyzna był nad wyraz delikatny. Obrzucił moją kostkę uważnym spojrzeniem, a minę miał niewesołą.

– Ktoś musi to obejrzyć – oznajmił wreszcie, kręcąc głową. – Kostka zaczyna puchnąć.

Przymknęłam powieki, bo nie trzeba było być studentką medycyny, by wiedzieć, że ma rację.

– Znasz tu jakichś lekarzy? – zapytałam zrezygnowana.

– Mhm – mruknął Adrien i skinął na Danilo. Wskazał pusty teraz koc piknikowy. – Wróć tam i przynieś lód z przenośnej lodówki. A ty, Hailie Monet – z powrotem skupił się na mnie – zaciśniesz teraz zęby, złapiesz się mnie mocno i spróbujemy cię podnieść, w porządku?

Zagryzłam wargę, bo podejrzewałam, że to nie będzie przyjemne, i pokiwałam głową.

– Dzielna dziewczyna – pochwalił mnie cicho Adrien.

Patrzył na mnie z czymś na kształt zmartwienia w oczach i nawet pogłaskał mnie przelotnie po włosach, co mnie zaskoczyło, ale i – nie przeczę – sprawiło mi przyjemność.

Żałowałam, że nie ma tutaj któregoś z moich braci, bo przy nich nie miałabym problemu z rozryczeniem się jak małe dziecko, na co nabrałam wielką ochotę. Tymczasem przy Adrienie próbowałam trzymać fason. Wychodziło mi to słabo, ale przynajmniej nie zamieniłam się jeszcze w totalną beksę.

Adrien objął mnie w talii silnym ramieniem, żeby dać mi maksimum wsparcia. Aż zadrżałam, gdy drugą rękę wsunął delikatnie pod moje kolana. Zawładnął moimi zmysłami – za dużo było go wkoło. Gdyby nie oszołomił mnie upadek, przeżywałabym teraz niezdrowo, że Adrien mnie dotyka i przyciska do siebie tak, że aż czułam jego wodę kolońską. Jego twarz znajdowała się bardzo blisko mojej, gdy odliczał cichym, spokojnym głosem:

– No dalej, Hailie, raz, dwa, trzy...

Zacisnęłam powieki i znowu zdusiłam krzyk. Gotowa byłam użyć zdrowej nogi, by się na niej podeprzeć, ale za późno zrozumiałam, że Adrien postanowił nie stawiać mnie na ziemi, tylko podnieść i wspiąć się po schodkach ze mną w ramionach, niczym pan młody z panną młodą.

– Co ty robisz? – spytałam prędko, otwierając przestraszone oczy. Spojrzałam w górę, na jego podbródek pokryty kilkudniowym zarostem, na który miałam w tej chwili świetny widok.

– Niosę cię, Hailie Monet.

– Przestań!

Zaszamotałam się lekko, co poskutkowało tym, że znowu skrzywiłam się z bólu.

Adrien zatrzymał się nagle i zerknął na mnie.

Znieruchomiałam zaskoczona tym, jak surowe było jego spojrzenie.

Plaża zniknęła, morze wyschło, wiatr przewiał gdzieś piach. Danilo oznajmiający, że przyniósł łód, też został przez nas zignorowany. Nawet przestałam odczuwać ból.

Staliśmy w miejscu, a w spojrzeniu Adriena była bezkompromisowość i zdecydowanie. Nigdy, absolutnie nigdy takich oczu u niego nie widziałam, więc z powodzeniem zamknął mi nim usta.

Skuliłam się w sobie i przez chwilę wytrzymywałam ten wzrok, ale poczułam się tak niezręcznie, że w końcu musiałam się odwrócić. Przez chwilę nic się nie działo, a potem Adrien bez słowa ruszył dalej.

Więcej już nie protestowałam.

Myślałam tylko o tym, że znajduje się tak blisko. Byłam boleśnie świadoma, że to jego ręka obejmuje moje plecy, a druga podtrzymuje mnie pod kolanami. To on mi tak pachniał tym mocnym, męskim zapachem.

To o jego ramię miałam ochotę oprzeć głowę.

Danilo poszedł przodem, by przytrzymać dla nas gałęzie na ścieżce. Ja patrzyłam w niebo, modląc się, byśmy jak najszybciej dotarli do auta. Na górze kierowca od razu otworzył drzwi, a Adrien ostrożnie posadził mnie na tylnym siedzeniu. Krzywiłam się, czując każdy gwałtowniejszy ruch, i z obawą patrzyłam, jak moja kostka zaczyna naprawdę brzydko puchnąć. Adrien zajął miejsce z przodu, a Danilo wcisnął się koło mnie, starając się zająć jak najmniej miejsca, bym ja miała go jak najwięcej.

– Nie mam torebki – oznajmiłam cicho, czując ukłucie paniki, gdy zorientowałam się, że nie wiem, gdzie jest. To wtedy po raz pierwszy odważyłam się znowu spojrzeć prosto na Adriena. Siedział po przekątnej, więc dobrze widziałam jego lewy profil. Zapinał właśnie pas i wyciągał telefon.

– Tu jest – odezwał się od razu. – Potrzebujesz czegoś?

– Portfela. Muszę znaleźć ubezpieczenie...

Adrien już sięgał do tyłu, by podać mi moją własność, gdy znieruchomiał i pokręcił głową.

Uniosłam brwi zdezorientowana.

– Co jest?

– Jeśli użyjesz swojego ubezpieczenia, Vincent natychmiast się o tym dowie – rzekł.

– Skąd? – spytałam rozdrażniona, nie w nastroju na takie komplikacje.

– Zgaduję, że opłaca je dla ciebie, a więc je kontroluje. W mojej rodzinie funkcjonuje to w ten sam sposób – wyjaśnił Adrien. – A jeśli drogi Vincent dowie się, że zgłosiłaś się do szpitala na południu Francji, to na pewno zainteresuje się, w jakich okolicznościach się to stało, prawda?

Przymknęłam powieki.

No oczywiście, że się zainteresuje.

– To co mam zrobić? – westchnęłam.

– Pozwól mi wykonać telefon, Hailie Monet – szepnął i zanim zareagowałam, uniósł komórkę do ucha.

Nawiązał połączenie i ściszym głosem mówił coś do niej po francusku. Gdy się rozłączył, wydawał się usatysfakcjonowany wynikiem rozmowy. Wyraźnie skupiony, przekazywał teraz jakieś instrukcje kierowcy.

– Trzymasz się tam, Hailie Monet? – zapytał, gdy zaczęłam się poruszać, by odgarnąć koc, odsunąć worek z lodem i rzucić fachowym okiem na swój uraz.

– To nie wygląda najgorzej – oceniłam z nadzieją. – Wydaje mi się, że mogę wrócić do domu, a jeśli nie polepszy mi się w ciągu kilku dni, wtedy umówię się do ortopedy i...

Adrien rzucił mi lusterku pobłażliwe spojrzenie.

– Jedziemy do lekarza w tej chwili, Hailie, nie za kilka dni.

– Nie masz prawa za mnie decydować.

– Jedną z wewnętrznych zasad Organizacji jest bezwzględny obowiązek udzielenia pierwszej pomocy, gdy inny członek Organizacji lub ktoś z rodziny członka Organizacji jej potrzebuje – wyrecytował Adrien.

Łypnęłam na niego spode łba.

– Patrzcie państwo, kogo nagle interesują zasady Organizacji.

Adrien nie odpowiedział. Na jego ustach błędził nikły uśmiezek, ale tak poza tym mnie zignorował i ewidentnie dążył do postawienia na swoim, nie dopuszczając nawet myśli, że mógłby zrobić inaczej.

Znałam ten rodzaj uporu – w swoim życiu naoglądałam się go u braci Monet.

Maya miała rację. Oni wszyscy są rozpuszczonymi dzieciakami, które zawsze stawiają na swoim.



Może coś obejrzymy? – zaproponowała Ada.

– Wybierz coś – odparłem, skinąwszy głową w kierunku kanapy i telewizora, po czym pochyliłem się nad kolekcją win. Dumałem nad tym, które byłoby najodpowiedniejsze na dzisiejszy wieczór.

Ada najpierw zerknęła na salon, a potem spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Tutaj oglądasz filmy?

– Rzadko oglądam filmy, ale jeśli już, to tak.

– I nie masz w domu sali kinowej? – dziwiła się.

– Mam całe kino, ale musielibyśmy tam podjechać – mruknąłem, decydując się wreszcie na jedną z butelek. Spojrzałem wyczekująco na Adę.

Zamrugła.

– Och, nie, nie ruszajmy się stąd. Nie potrzebuję sali kinowej, tak tylko zapytałam – tłumaczyła się. – Po prostu mój tato ma salę kinową obowiązkowo w każdej swojej posiadłości, ale on to jest ogromnym fanem kina. Dlatego z góry założyłam, że w takiej willi jak twoja też jakaś będzie.

– Celowo kazałem wyrzucić ją z projektu – oznajmiłem. Zabrałem się za otwieranie wina, zadowolony, że Ada nie życzy sobie nigdzie jechać. Też wolałem zostać w domu. – Jak mówiłem, rzadko oglądam filmy. A sala kinowa to było najbardziej nienawidzone przeze mnie pomieszczenie w moim rodzinnym domu.

– Serio? – zaśmiała się. – Czego tam nienawidzić? Wygodnych kanap i wielkiego ekranu?

Podając jej kieliszek, rzuciłem jej nikły, uprzejmy uśmiech.

– Och, tak, głupota – szepnąłem i musnąłem jej wargi swoimi, żeby zamilkła.

Finalnie żadnego filmu nie obejrzelśmy. Wino dopiłem, dopiero gdy Ada leżała po wszystkim zaplątana w prześcieradła w mojej sypialni. Nie mając ochoty dzielić z nią swojego łóżka, zostawiłem ją tam i zszedłem na dół.

Zapatrzony w okno, gdzie za szybą na tle czarnego nieba prószył gęsto śnieg, smakowałem dobry alkohol, a moje uszy pieściła cisza.



– Cholerna pustka – westchnąłem. – Nie mam pojęcia, skąd się bierze to fatalne uczucie.

Następnego dnia poleciałem prosto do Houston, gdzie bez zapowiedzi wyciągnąłem Keirę na lunch. Nie lubiła, gdy tak robiłem, bo musiała odwoływać pacjentów i krzyżować im plany, ale była na tyle dobrą siostrą, że nigdy jeszcze mi nie odmówiła.

– Mówisz, że nawet seks z piękną kobietą cię nie usatysfakcjonował? – zdumiała się, unosząc brew z udawanym niedowierzaniem.

– Był w porządku, nic specjalnego.

Keira zaśmiała się i przed wzięciem łyka koktajlu owocowego, który zamówiła sobie na deser, założyła włosy za uszy.

– Nie mogę się przyzwyczać, że są takie krótkie – mruknąłem.

Chciałem po prostu zmienić temat. Pogadać o głupotach. Moja siostra to jedna z niewielu osób, z którymi szczerze lubiłem rozmawiać. No i nie widzieliśmy się w święta, a zawsze dobrze jest nadrobić zaległości rodzinne.

– Byłoby ci łatwiej, gdybyś odwiedzał mnie częściej – rzuciła wesoło.

– Też mogłabyś czasem wpaść.

– O nie, nie, dziękuję.

– Tata chciałby więcej cię widywać – powiedziałem, wiedząc, że oberwie mi się za to wrogim spojrzeniem.

– Nie graj mi na emocjach – syknęła Keira, dodatkowo mnie szturchając.

– Tylko przekazuję, co mówił.

– Na pewno jest zadowolony, że przynajmniej ma przy sobie swoje złote dziecko.

– Aktualnie się do mnie nie odzywa.

Keira wybałuszyła oczy, a potem zachichotała. Wkurzająca była. Uświadomiłem sobie, że szkoda mi tych ściętych włosów, dlatego że jako dziecko uwielbiałem ją za nie ciągnąć. Przypomniałem sobie o tym, bo nawet teraz drgnęła mi ręka, by to zrobić. Niektórych nawyków się nie traci.

– Ups! Co takiego mu zrobiłeś? – zapytała, biorąc łyk koktajlu przez słomkę.

– Ma to związek z biznesem, nie chcesz o tym słuchać.

– Wiesz, że do tej pory za każdym razem, jak słyszę słowo „biznes”, zbiera mi się na wymioty?

– Mogę ci nakreślić sytuację bez szczegółów – zaoferowałem. Keira skinęła głową.
– Rodzina Monet czymś nas uraziła. Tata doradził mi, co zrobić, żeby dać im nauczkę. Najpierw się zgodziłem, ale później zmieniłem zdanie. Nie przyjął tego dobrze.

– Tata nie lubi, gdy ktoś myśli samodzielnie – podsumowała.

– Nie jest zadowolony z faktu, że nie przyjąłem jego rady.

Keira wywróciła oczami i poprawiła się na krześle, a łokcie oparła na blacie.

– Masz swój rozum, Adrien. Coś tobą pokierowało, by zrobić po swojemu. I bardzo dobrze!

Unikałem jej spojrzenia.

– Mhm – szepnąłem. – Problemem jest moja motywacja, która zdaniem ojca jest więcej niż wątpliwa.

– A twoją motywacją jest...?

– Hailie Monet.

Aż szarpnęła głową, gdy gwałtownie na mnie spojrzała.

– Skontaktowała się ze mną. I nakłoniła do zmiany zdania.

Keira zmarszczyła brwi i poczułem do niej sympatię, bo na jej twarzy malowało się zmartwienie. Nie знаła dobrze siostry Monetów, ale pamiętałem, że naprawdę ją polubiła i życzyła jej dobrze.

– Hailie Monet miesza się w sprawę Organizacji? – zapytała szeptem z domieszką zawodu w głosie.

– Chce dla wszystkich dobrze – mruknąłem. – Za wszelką cenę.

– Jak udało jej się na ciebie wpłynąć?

Szturchnąłem papierowy kubek po koktajlu Keiry, który moja siostra trzymała na stole. Upadł na ziemię, a ona najpierw się zdziwiła, a potem obrzuciła mnie zirytowanym spojrzeniem, zanim się po niego schyliła.

– Nie patrz na mnie jak na zwyrodnialca – upomniałem ją urażony. – Nic tej dziewczynie nie zrobiłem. Przyszła do mnie przerażona i zdesperowana. Ma u mnie dług do spłacenia, ale nic więcej nie kazałem jej obiecać.

– Dobrze, czyli co, sprawa załatwiona? – upewniła się ostrożnie. Wyprostowała się na krześle, ale kubka nie odstawiła, najwyraźniej w obawie, że znowu go po złości strącę.

– Nic nie jest załatwione – warknąłem, nagle pełen gniewu. – Hailie Monet nawiedza mnie codziennie. Ten grudzień to najdenniejszy miesiąc w moim życiu.

Porównywalny z okresem, który nastąpił po tym, jak ojciec zawołał mnie do gabinetu i poinformował o swojej chorobie oraz o tym, że przejmę jego rolę w Organizacji jakieś dwadzieścia lat wcześniej, niż się spodziewałem. Tak jak wtedy, teraz też nie mogę spać, ciągle torturuję się myślami i czuję, że tracę rozum.

Keira wpatrywała się we mnie z niepokojem. Rzadko kiedy mówiłem z taką pasją, a także wracałem do przeszłości, zwłaszcza do tych trudnych czasów, gdy ojciec faktycznie wziął mnie na rozmowę, która na zawsze zakończyła moje beztrioskie życie.

– Wiesz, co zrobiłem? – parsknąłem z żalością. – Przeczytałem całego jej bookstagrama.

Moja siostra zmarszczyła brwi.

– Co takiego...?

– Prowadzi konto z recenzjami książek. Przeczytałem każdy post. Po dwa razy. – Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

Na moment zapadła między nami cisza.

– Myślisz, że... że coś do niej poczułeś? – spytała cicho. Doceniałem delikatność, z jaką teraz się do mnie zwracała.

Wzruszyłem ramionami.

– Mówiłeś, że ją lubisz – przypomniała mi.

– Lubiałem sobie z niej pożartować, to tyle – zaznaczyłem. – Nigdy nie myślałem o niej tygodniami po spotkaniu. Nigdy też nie myślałem o niej jak o kobiecie.

– O cholera, Adrien – westchnęła Keira. – To mi trochę wygląda na miłość.

– To nie miłość – prychnąłem z rozdrażnieniem. – Ale jest to jakiś rodzaj zainteresowania, z którym nie wiem, co zrobić.

– Kibicowałam Hailie, by odseparowała się od rodziny... – westchnęła Keira z żalem.

Cmoknąłem z irytacją.

– Jest za bardzo zżyta z braćmi, by to zrobić.

– Tak, ale mogłoby się to wydarzyć, gdyby w przyszłości założyła swoją rodzinę. – Keira pokręciła głową z powątpiewaniem. – Jeśli jednak zakocha się w tobie, nigdy nie wyrwie się ze świata Organizacji.

– Ty też w nim jesteś, Keira. Nawet jeśli wolisz ten fakt ignorować – wytknąłem jej, mimo iż wiedziałem, że nie lubi słuchać takich rzeczy. – Nie zakładałbym też, że Hailie

Monet się we mnie zakocha.

– Oboje wiemy, że jeśli postawisz sobie za cel zdobycie jej, to go osiągniesz – odparła ostro i dobitnie, ale bez pretensji. – Dostaniesz to, co chcesz, jak zawsze.

– Problem w tym, że Hailie Monet również zawsze dostaje to, czego chce.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa.

– Więc będziecie bardziej dobrani, niż myślałam – szepnęła.

Odwrociłem wzrok.

– Adrien, jesteś moim bratem i kocham cię, ale lubię też Hailie, dlatego obiecuję mi jedną rzecz – powiedziała z przejęciem. – Nie rozkochuj w sobie tej dziewczyny, jeśli wiesz, że później ją zranisz.



MLEKO KOKOSOWE

Nie mają żadnych wolnych apartamentów, ale poprosiłem o osobne pokoje – oznajmił Adrien. Podał mi kartę do drzwi. Mimo że ją odebrałam, nie zabierał dłoni. – Pomogę ci.

– Nie trzeba – odpowiedziałam pewnie. – Mam przecież kulę.

Zastukałam nią o marmurową posadzkę hotelowego lobby, po czym wspierając się na niej, dźwignęłam się z kanapy, na której czekałam, aż Adrien załatwi nam nocleg.

– Patrząc na ciebie i na to, jak z nią chodzisz, obawiam się, że skrećisz zaraz drugą kostkę.

– Więc na mnie nie patrz – fuknęłam już w drodze do windy.

Ruszył za mną i niemal poczułam jego oddech na karku, gdy szepnął:

– Jak?

Zignorowałam go.

Równie wymęczony co i ja Danilo dostał swój pokój tuż obok mojego, ale nie wszedł do niego, dopóki nie pożegnałam się z Adrienem i nie podziękowałam mu za pomoc. Wyluzował się chyba dopiero w momencie, gdy w moich drzwiach kliknął zamek.

Upewniłam się, że również okna są zablokowane, tak na wszelki wypadek, a potem wzięłam prysznic. Zasnęłam otulona szlafrokiem, z dziwnym uczuciem

spowodowaną świadomością, że w tym samym budynku, na tym samym piętrze i w tym samym czasie co ja, zasypia Adrien Santan.

Gdy nastał ranek, mogłam prawdziwie docenić urok hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Wyszłam na balkon, z którego rozpościerał się widok na bajkową krainę – błękitne niebo współgrało z zieleniącymi się, równiutkimi rzędami winorośli. Sceneria ta była tak idealna do śniadania, że porzuciłam pomysł odwiedzenia hotelowej restauracji (choć można było założyć, że było tam nie mniej urokliwie).

Kulejącej Hailie i tak wygodniej było zostać w pokoju, więc sięgnęłam po kartę i szybko skomponowałam sobie posiłek, po który zadzwoniłam do recepcji. Poinformowałam też o swojej decyzji Danilo, zachęcając go do dołączenia do mojego zamówienia.

Nie przypuszczałam, że wraz z nim dostanę Adriena, dlatego kiedy rozległo się pukanie do drzwi, otworzyłam je wciąż ubrana w szlafrok, dopiero rozczesując włosy.

– Co ty...? – wyjąkałam speszona, poprawiając swoje okrycie.

Obok kobiety z obsługi hotelowej stał Santan, wypoczęty i z błyskiem w oku.

– Dzień dobry, Hailie Monet – powiedział z nutą nie tylko charakterystycznej dla siebie drwiny, ale i porannej wesołości w głosie. – Pozwól, że potowarzyszę ci przy śniadaniu.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, tak ze zwykłej przekory, ale przypomniałam sobie wczorajszy dzień, piknik, który Adrien zorganizował dla mnie na plaży, i to, że potem zajął się mną, gdy przez nieuwagę skręciłam kostkę. Ogarnął dla mnie klinikę, gdzie przyjęto mnie po znajomości i nie musiałam korzystać ze swojego ubezpieczenia. Następnie zgodził się, byśmy nie nocowali w jego willi, która znajduje się w okolicy, a zamiast tego wynajął hotel i to wszystko po to, bym czuła się swobodniej.

Nawet grając uparciucha w relacji z Adriem, nie mogłam nie docenić jego wsparcia. Dlatego teraz cofnęłam się i oprócz pokojówki z tacą wpuściłam do pokoju także jego. Poprosiłam dziewczynę z obsługi, by postawiła jedzenie na stole na balkonie, po czym podziękowałam jej i wręczyłam drobny napiwek.

– Przypomina mi to trochę małżeństwo – wymusnęło mi się nieco kwaśno, kiedy zasiedliśmy razem na wiklinowych krzesłach i w błogiej ciszy oraz z rozpościerającym się przed nami widokiem na winnice, dziwnie zsynchronizowani unieśliśmy filiżanki z kawą do ust.

– Nie najgorsza wizja – stwierdził.

Spojrzałam na niego, ale po chwili, nie wiedząc, jak na to odpowiedzieć, z powrotem zapatrzyłam się w rzędy winorośli.

– A więc również pijasz czarną kawę? – zagadnął, odstawiając filiżankę na talerzyk.

– Od jakiegoś czasu nie przepadam za krowim mlekiem – odparłam. – Przez laktozę.

– O proszę... – Adrien przez chwilę milczał, jakby rozważał, czy na pewno chce powiedzieć to, o czym pomyślał, ale było to chyba silniejsze od niego, bo spojrzał na mnie i rzekł: – Wiesz, Hailie Monet, że moje nazwisko w języku indonezyjskim oznacza „mleko kokosowe”?

Zapatrzyłam się na niego zaskoczona, że człowiek taki jak on rzucił do mnie właśnie tak luźny i przyziemny tekst.

Nie, Adrien Santan nie powiedział właśnie do mnie tak zabawnej i głupiutkiej rzeczy.

Uniosłam brwi, ale nie mogłam, przysięgam, nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam głośnym śmiechem.

– Co takiego? – wydusiłam.

Wzruszył obojętnie ramionami.

– Taka ciekawostka, à propos twojej nietolerancji na laktozę.

– Dziwny jesteś – powiedziałam szczerze, wpatrując się w niego, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu.

Jeszcze nigdy nie powiedział do mnie nic, co brzmiałoby tak zwyczajnie, co byłoby tak żenujące, że aż śmieszne, i co by sprawiło, że poczułabym się przy nim jak przy kimś, kogo bardzo dobrze znam.

Adrien odwzajemnił moje spojrzenie. Wzrok miał poważny i trochę zagadkowy.

– Wszyscy jesteśmy dziwni.

Przez chwilę milczałam, bijąc się z myślami, czy też powiedzieć coś kretyńskiego, aż w końcu stwierdziłam, że czemu nie.

– Podobno moje nazwisko oznacza po polsku „monety”.

– Zabawny język.

– Wiem to od Tony’ego, bo kiedyś spotykał się z Polką, która mu o tym powiedziała.

– Ja o mleku kokosowym usłyszałem od Indonezyjki. Widzisz, Hailie, ile można się nauczyć, randkując?

Rzuciłam Adrienowi niewinne spojrzenie i uśmiechnęłam się lekko.

– A ty czego mnie nauczysz?

Nachylił się nieco w moją stronę, ani na moment nie spuszczał ze mnie swoich brązowych oczu.

– Tego, jak powinnaś być traktowana.

Mój uśmiech, choć wciąż bardzo nikły, delikatnie się poszerzył.

– Ale ja na ogół jestem traktowana bardzo dobrze.

Adrien wyciągnął nad stolikiem rękę w zachęcającym geście. Moje spojrzenie prześlizgnęło się po jego sygnecie i zadbanych paznokciach. Przez chwilę się wahałam, aż wreszcie niespiesznie odstawiłam filiżankę na talerzyk i położyłam swoją dłoń na jego.

Mimo iż byłam przygotowana na to, że mój żołądek zrobi fikołka w reakcji na dotyk jego skóry, i tak przeżywałam te emocje, które mną zawładnęły. Nie wierzyłam, że kiedykolwiek się do nich przyzwyczaję.

Adrien pochylił się i wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku, złożył mały pocałunek na wierzchu mojej dłoni.

Poczułam mrowienie w brzuchu.

Jego oddech załaskotał mnie w knykcie, gdy szepnął:

– Twoja rodzina traktuje cię jak księżniczkę, prawda?

– ...królową...

Adrien uniósł kąciuki ust, znowu składając pocałunek na mojej dłoni. Zrobił to trzy razy z rzędu, wspinając się po niej, i na koniec zatrzymał usta na wysokości mojego nadgarstka.

– Uroczo, Hailie Monet. Jednak widzisz, przeze mnie będziesz traktowana jak królowa.

Zamurowało mnie, a Adrien nachylił się do mnie jeszcze bardziej, tak że jego twarz znalazła się dość blisko mojej. W jego czekoladowych oczach błyszczało pożądanie, ale nie takie puste... Widziałam w nich szacunek i uwielbienie, i to ten widok kupił mnie na tyle, że i ja bezwiednie zaczęłam się do niego przysuwać.

Gładko ogolona szczeka, na której miałam ochotę zacisnąć palce, oczy, w których tonęłam już teraz, włosy, które chciałam przeczesać ręką, pulsująca skroń, do której pragnęłam przyłożyć własne czoło. I te usta, które już składając pocałunki na mojej dłoni, udowodniły, że doskonale wiedzą, co robić.

Coś załomotało.

I nie, to nie było moje serce.

Ktoś walił do drzwi.

Z prędkością światła uderzyłam plecami o oparcie krzesła. Stolik się zatrząsł, a nasze kawy niebezpiecznie zawirowały w filiżankach.

Adrien został w tej samej pozycji, ale jego twarz stężała, zacisnął szczękę i zerkał teraz w bok, na pokój i drzwi, do których ktoś się dobijał.

Zaniepokojona patrzyłam, jak Danilo, który kończył swoje śniadanie w pokoju, skradał się teraz ostrożnie w ich kierunku. Adrien powoli się podniósł i nie umknęło mi, że jego dłonie powędrowały podejrzanie blisko paska spodni, tam gdzie – jak zgadywałam – ukryty mógł mieć pistolet.

Moi bracia też je tam czasem nosili.

– Otwieraj, to ja!

Najpierw odetchnęłam z ulgą, rozpoznawszy głos Mai, bo nie był to żaden zbój ani gorzej – nikt z moich braci. Sama możliwość, że któryś z nich mógłby nas nakryć, wywróciła moje wnętrze do góry nogami.

A potem jęknęłam załamana, bo moja ciotka to też twardy orzech do zgryzienia. Zrezygnowana skinęłam Danilo, by ją wpuścił. Zanim to zrobiłam, rozejrzałam się za miejscem, gdzie mogłabym ukryć Santana. Tak instynktownie. Ale to nie był mężczyzna, który chowa się po szafach lub wyskakuje z balkonu. A przynajmniej nie przed swoją byłą narzeczoną.

Maya wpadła do pokoju i z wyiekami na twarzy natychmiast zaczęła się po nim rozglądać. Wysoki kucyk, w jaki spięte miała swoje niedokładnie dziś rozczesane złociste włosy, podskakiwał przy każdym takim energiczniejszym ruchu.

– Hailie! – zawołała z ulgą, gdy dojrzała mnie na balkonie. Rzuciła się w moją stronę, ale przystanęła gwałtownie na progu szeroko otwartych drzwi balkonowych, bo jej wzrok zarejestrował też Santana.

– Dzień dobry – przywitał się Adrien uprzejmie, choć kwaśno. Minę miał kpiarską, ale zdawało się, że trzyma emocje na wodzy.

– Adrien – wycedziła Maya.

Oczy otwierała tak szeroko, jakby wcześniej wcale nie wierzyła, że to, co jej mówiłam o naszych schadzках, to prawda.

– Znasz nasze imiona, świetnie – zadrwił Santan.

Maya wycelowała w niego palcem.

– Zabieraj łapy od broni – warknęła. – Nie waż się jej nawet wyciągać.

Adrien posłusznie oderwał ręce od swoich pleców i uniósł je na chwilę.

– Wybacz, zboczenie zawodowe.

Maya przyglądała mu się spod przymrużonych powiek, a potem przypomniała sobie, że tuż obok stoję ja i doskoczyła do mnie, opiekuńczo obejmując mnie ramieniem.

– Hailie, matko, twoja noga! – uzalila się nade mną.

– To nic, Maya, tylko skręcenie – powiedziałam uspokajająco. Przytulając ją, paplałam: – Lekkie skręcenie.

– To dlaczego wsadzili cię w tę... tę rzecz?!

– Adrien załatwił lekarza, który z jakiegoś powodu zdawał się go bardzo bać. Tylko dlatego dostałam ortezę, a także nakazano mi chodzić o kuli. Normalnie obyłoby się bez tej farsy, serio.

Posłałam Adrienowi poirytowane spojrzenie, przypominając sobie, jak bardzo wkurzył mnie wczoraj w klinice.

– Och, dobrze, to dobrze – westchnęła Maya i w uroczy sposób pogłaskała mnie po głowie. – Ulżyło mi. Całą noc się zamartwiałam.

– Niepotrzebnie.

– Powinnam była przylecieć.

– Chłopcy zawsze mi powtarzają, żeby unikać latania helikopterami nocą. To niebezpieczne – wyrecytowałam.

– Nie mogę sobie darować, że zostawiłam cię samą z Adrienem. – Przymknęła powieki.

– Hej, przecież mówiłam ci wczoraj, że nie było sensu, żebyś przyjeżdżała. Monty od razu zainteresowałby się twoim zniknięciem w środku nocy, zaczęłyby węszyć i dowiedziałyby się o całej sprawie. A wiemy wszyscy, że nie najlepiej radzi sobie z sekretami, prawda? – dodałam, głaszcząc jej ramię.

– Jest absolutnie beznadziejny w dochowywaniu tajemnic – przytaknęła smętnie Maya.

– No właśnie. Spokojnie, nie masz się co martwić. Adrien zachowywał się nienagannie.

Adrien, który stał nieopodal i się nam przysłuchiwał, uniósł brew.

– Na pewno? – Maya przygryzła wargę.
– Popatrz, po prostu jemy śniadanie – powiedziałam, wskazując na stół i widok na winnice wokół.

Maya rozejrzała się ze zmarszczonymi brwiami.

– Śniadanie? – powtórzyła zdezorientowana, jakby pierwszy raz w życiu słyszała o takim posiłku.

– Chcesz croissanta? – zaproponowałam.

– Śmiało, częstuj się – dodał cierpko Adrien.

Maya nagle jakby się obudziła z krótkiego letargu, bo rzuciła mu rozjuszony spojrzenie.

– Ty lepiej uważaj – warknęła. – Jak to się w ogóle stało, że Hailie skrzyła sobie kostkę, będąc z tobą?

Znowu uniósł brew.

– Upadła.

– I mogę wiedzieć, dlaczego jej nie złapałeś?

– Maya... – westchnęłam.

– Monetowie nie byliby zachwyceni, gdyby się tego wszystkiego dowiedzieli – syknęła do niego cicho.

Mierzyli się spojrzeniami tak piorunującymi, że nie zdziwiłabym się, gdyby na tym błękitnym niebie nagle zgromadziły się czarne chmury.

– Pewnie nie – przytaknął wreszcie chłodno Adrien. – Dobrze, że od ciebie się tego nie dowiedzą.

– Nie? – parsknęła z udawaną drwiną Maya.

– Sprawiałabyś Hailie taką przykrość?

Spuściłam wzrok, ale poczułam, że Maya patrzy teraz na mnie.

– Ucieszyłabyś się, Hailie, gdyby twoja kochana ciocia opowiedziała o naszej relacji twoim braciom? – zapytał Adrien trochę głośniej.

Wciąż unikając ich spojrzeń, pokręciłam głową.

– Więc nie zrobisz tego – powiedział Adrien z zimnym przekonaniem do Mai.

Maya przez chwilę milczała, aż w końcu odetchnęła głęboko.

– Nie zrobię – potwierdziła. – Oczywiście, że nie zrobię. – Opadła na krzesło, na którym wcześniej siedział Adrien, i naburmuszonym spojrzeniem obrzuciła stół. Wreszcie złapała w dłoń croissanta i zapchała nim sobie usta.

– Wiem, że się zmartwiłaś – odezwałam się do niej cicho. – Ale wszystko jest w porządku.

– Monty jest podejrzliwy – oznajmiła, przeżuając. – Powiedziałam mu, że lecę do Monako po buty, i chyba to łyknął, ale ta wasza tajemnica jest grubymi nićmi szyta.

– Hailie planuje sama przyznać się braciom – powiedział Adrien.

Maya zerknęła na mnie, dobrze wiedząc, że to nieprawda.

Zmusiłam się, by się uśmiechnąć.

– Ta, niedługo się dowiedzą – skłamałam.

– No to świetnie, zatem nie ma problemu – ucieszyła się, choć błysk w jej oku, gdy patrzyła na mnie, był bardzo znaczący.

Zapadła cisza. Poranek na balkonie we francuskim hotelu z widokiem na winnicę przestał być sielankowy. Spięta siedziałam tak jeszcze przez chwilę i dumałam, aż wreszcie odchrząknęłam i zaczęłam wstawać, opierając się na kuli.

– Czas się zbierać – oznajmiłam.

– Myślałam, że zostaniesz tu, dopóki nie wyzdrowiejesz – zdziwiła się Maya, unosząc głowę.

– Jestem zdrowa – powiedziałam dobitnie. – To tylko nadwyrężona kostka. Nie mogę przez taką błażostkę siedzieć w hotelu i zajadać się croissantami. Mam obowiązki. Muszę wracać do Barcelony.

Maya obejrzała się na Adriena.

– Ty – burknęła do niego. – Zajmiesz się nią?

Otworzyłam usta, żeby zaoponować, ale on odpowiedział pierwszy:

– Naturalnie.

– Nie trzeba się mną zajmować, na Lorda!

– Dobrze, chociaż tyle – odmruknęła do niego Maya, mnie całkowicie ignorując.

Z głośnym westchnieniem wypuściłam powietrze z płuc i pokuśtykałam do łazienki, próbując zapanować nad niejasną dla mnie samej złością. Niejasną, bo ze zdumieniem odkryłam, że nagle... jakaś część mnie nie ma nic przeciwko towarzystwu Adriena.

Po prostu nie mogłam mieć, bo zachowywał się wzorowo. Wszystko organizował i bardzo mnie wspierał. Do Barcelony poleciliśmy razem, moim samolotem. Gdy nareszcie znalazłam się w mieszkaniu, Adrien przeprosił mnie i zostawił samą, obiecując, że wróci za kilka godzin. Miał coś do załatwienia i chciał wstąpić do swojego hotelu.

W duchu ucieszyłam się głupio, że wróci. Bez sensu byłoby bowiem się zarzekać, że jego towarzystwo mi ciąży. Wcale nie ciążyło i zaczynałam oswajać się z tym odkryciem.

Zrobiłam sobie herbatę i otoczona aromatem brzoskwiń i hibiskusa otworzyłam laptopa, by wykorzystać wolny czas i pośleć trochę nad notatkami ze studiów.

Czterdzieści minut później z transu wyrwał mnie dzwonek telefonu.

Spodziewałam się, że to któryś z moich braci, bo to oni mieli największy talent w odrywaniu mnie od nauki, zwłaszcza święta trójca, jakby chłopcy posiadali jakiś radar. Numer wyświetlony na ekranie był mi jednak nieznanym, co odnotowałam ze zmarszczonymi brwiami.

Ostrożnie przyłożyłam komórkę do ucha.

– Halo?

– Hailie Monet?

Zadrzałam, bo głos osoby po drugiej stronie był głęboki i zachrypnięty. Nie było opcji, by należał do telemarketera.

– Kto mówi? – zapytałam od razu.

Na chwilę zapadła cisza, aż wreszcie...

– Mówi Egbert Santan.

Zamarłam. Przestałam bez sensu wodzić palcem po touchpadzie laptopa. Odłożyłam komputer natychmiast na bok i podniosłam się do pozycji siedzącej, tak mnie zdziwiło, że właśnie zadzwonił do mnie ojciec Adriena.

Chwila, chwila...

Dzwoni do mnie cholerny ojciec Adriena! Co jest?!

– Słucham? – przemówiłam, pilnując, by mój głos nie drżał za bardzo. Odruchowo zaczęłam się rozglądać za Danilo, ale przecież dałam mu wolne, jako że miałam spędzić trochę czasu sama w swoim apartamencie.

– Dodzwoniłem się do Hailie Monet, prawda?

W głosie Egberta pobrzmiwał władczy, ostry ton, co niespecjalnie mnie zaskoczyło. Nigdy go nie poznałam, ale właśnie takich cech spodziewałabym się po byłym członku Organizacji.

Nie umknął jednak mojej uwadze wysiłek, z jakim się wypowiadał. Robił przerwy i ciężko oddychał, tak że momentami miałam nawet trudności ze zrozumieniem go.

– Zgadza się – potwierdziłam. Nie było sensu zaprzeczać.

– Miło mi, panno Monet.

Nie mów tak do mnie, pomyślałam ponuro.

– Proszę mi wybaczyć, że kontaktuję się tak bez zapowiedzi. Wiem dobrze, że to niezbyt eleganckie, gdyż jak sądzę, nie spodziewałaś się mojego telefonu?

– Nie spodziewałam się.

– Zacznę od tego, że nie mam złych intencji. – Odchrząknął. – Szanuję twoją rodzinę. Przez wiele długich lat robiłem interesy z twoim ojcem, potem przez chwilę z bratem. Jakiś czas temu musiał zastąpić mnie w tym mój syn i jemu również wróżę dekady owocnej pracy w porozumieniu z Monetami.

Słuchałam z pełną uwagą, wpatrując się w jeden punkt na ścianie.

– Wiem, że wiele w życiu przesłaś, Hailie; mam nadzieję, że mogę ci mówić po imieniu. Wierzę jednak, że odnalazłaś swój spokój, chociaż na pewno wiele cię to kosztowało. – Przerwał na chwilę i zakaszał. – Proszę, rozważ to, czy chcesz go mącić, wiążąc się z moim synem.

Poczułam chłód, a Egbert mówił dalej.

– Nie odbieraj moich słów jako groźby. Nie zniżyłbym się do tego, by zastraszać córkę Camdena. Zależy mi jedynie na tym, żeby wyrazić niepokój. Martwię się o syna, o przyszłość swojej rodziny, swojego imperium i całej Organizacji.

– Dlaczego mój ewentualny związek z twoim synem miałby cię martwić w kontekście Organizacji? – zapytałam sztywno.

– Rodzina Monet naprawdę dobrze się ustawiła. Niektórzy mogą odnieść wrażenie, że za dobrze, jeśli w przyszłości się połączymy. Vincent będzie miał po swojej stronie nie tylko Charlesa Gerlasa, ale i Adriena Santana.

– Z tego, co pamiętam, dawno temu pojawił się już taki pomysł, by wydać mnie za Adriena – przypomniałam mu, nagle wpadając w złość.

– Pomysł ten należał do samego Charlesa, który miał na tym tylko skorzystać, jego nieroztropnej córki i twojego lekkomyślnego wujka. Vincent był mu przeciwny, Adrien również. A gdyby nie był, to ja na pewno gorąco bym mu to odradzała.

– A zaręczyny Vincenta z Grace? – rzuciłam wyzywająco.

– Nie raziły tak bardzo, ponieważ unia rodzin byłaby w tej sytuacji raczej powierzchowna, symboliczna, rozumiesz. Grace jest moją pasierbicą. To nie moja krew. Natomiast ty, Hailie... – Egbert przerwał na chwilę, a jego ton i słowa hipnotyzowały mnie coraz bardziej. – Ty jesteś rodzoną córką Camdena, siostrą

Vincenta i na dodatek miałybyś być żoną Adriena. Konkurencji, która zostanie z boku, to się nie spodoba. Rodric Retter i Ricardo Sanchez już teraz są niespokojni.

– Chwila, chwila, chwila... – Pokręciłam głową. – Jaką żoną?

– Rozumiem, Hailie, że jesteś młodziutka i nie myślisz o małżeństwie, ale twój związek z Adrieniem w oczach członków Organizacji nie będzie postrzegany inaczej. To nie będzie zwykłe licealne „chodzenie”. Będąc partnerką Adriena oraz ukochaną siostrzyczką Vincenta, zostaniesz tak ściśle związana z obiema rodzinami, że staniesz się bardzo potężną osobą i nikogo nie będzie obchodziło, czy faktycznie już nosisz obrączkę na palcu. Mówię ci to, bo ufam, że zastanowisz się, czy to naprawdę jest to, czego chcesz.

– Ale ja po prostu... sobie jestem – wyjąkałam, totalnie oporna na przyswajanie tych wszystkich absurdalnych informacji, którymi tak nagle zostałam zarzucona.

– Co więcej, najważniejsi dla ciebie ludzie też potencjalnie będą na celowniku. Znam Rodriga, nie lubi być pomijany. Jeśli poczuje, że wszyscy wkoło niego się jednoczą, że traci pozycję i staje się wykluczony, może zacząć stwarzać problemy tym, którzy te uczucia w nim prowokują.

– Dlaczego mówisz to mnie? – zapytałam nagle spanikowana. – Ja nie jestem w Organizacji, nic o niej nie wiem.

– Mówię to też Adrieniowi, oczywiście – odparł Egbert. – Problem w tym, że unikanie cię kosztuje go walkę. Obiecał mi ją podjąć, jednak wczoraj, gdy podczas rozmowy wymknęło mu się twoje imię, zrozumiałem, że ją przegrywa.

Przyłożyłam dłoń do skroni i potarłam ją mocno. Coraz ciężiej mi się oddychało.

– Dlaczego więc postanowiłeś zadzwonić do mnie, a nie do moich braci?

– Wierzę, że jesteś jedyną osobą, która będzie w stanie zerwać relację między tobą i Adrieniem. Twoi bracia mogą się złościć albo martwić, ale ostatecznie i tak zawsze staną za tobą murem. W głębi ducha to wiesz, bo przecież ty, Hailie, jesteś ich Perłą, nieprawdaż?

Milczałam.

– Nie wiem, czy podobnie wyrozumieli okazaliby się dla mojego syna. Nie chcę narażać go na porywczą reakcję, do której wiemy, że niektórzy z nich są zdolni. Myślę, że jesteś na tyle dojrzała i rozsądna, że moja decyzja zwrócenia się w tej sprawie bezpośrednio do ciebie nie okaże się błędna.

Wciąż milczałam.

– No cóż, Hailie, to, co mogłem, zrobiłem. Mam nadzieję, że przemyślisz sobie moje słowa. Dziękuję za wysłuchanie. Rozłączę się teraz.

– Dziękuję... – wymamrotałam automatycznie.

Egbert zakończył połączenie.



32

FAJNIE TO ZA MAŁO

Wpatrywałam się w telefon.

Myśli w mojej głowie wirowały na najwyższych obrotach. Nie wierzyłam, że właśnie odbyłam rozmowę z ojcem Adriena Santana.

Czułam się nieswojo. Odłożyłam komórkę i wstałam, opierając się na kuli, by przejść się po pomieszczeniu i przeprocesować to, co się właśnie wydarzyło. Niewiele miałam na to przestrzeni, bo zaraz zjawił się Adrien.

Spanikowałam lekko, bo nie zdążyłam zdecydować, co sędzę o tym telefonie i czy w ogóle powinnam o nim mówić. Nie znałam Egberta, wiedziałam o nim tylko tyle, że jest ojcem Adriena, a także byłym członkiem Organizacji, który zaczął chorować i oddał swoje stanowisko synowi. Dlaczego do mnie zadzwonił? Dlaczego mnie tym obarczył? I co ja niby mam teraz...

Oszołomiona, z kielkującym pod czaszką bólem, otworzyłam Adrienowi drzwi i aż się odchyliłam do tyłu, gdy zza nich od razu wyskoczyły na pierwszy plan białe róże.

To był największy bukiet, jaki w życiu widziałam, i bynajmniej nie przesadzam. Był otulony kremowym papierem i tak rozłożysty, że Adrien musiał chwilę nim pomanewrować, by zmieścić go we framudze drzwi.

– Co ty... – Głos uwiązał mi w gardle, gdy wyciągnął bukiet w moją stronę.

Podparłam łokieć o kulę i wyciągnęłam rękę na oślepa, bo wiązanka była tak wielka, że nie widziałam, gdzie go łapać. Gdzieś tam pod papierem moja dłoń przypadkowo musnęła skórę Adriena. Zacisnęłam rękę na kwiatach, bukiet zaszeleścił. Z trudnością przyciągnęłam go do piersi, bo był dużo szerszy ode mnie.

– Oszalałeś – wymamrotałam w pąki róż, wdychając ich zapach.

– Zaslugujesz, żeby raz na jakiś czas zostać obdarowaną bukietem świeżych kwiatów, Hailie Monet – powiedział Adrien, nie odrywając ode mnie oczu, jakby cieszył się moją reakcją.

– Jest ogromny – westchnęłam, z lubością oglądając róże.

Tak, już przecież mówiłam, że mam słabość do kwiatów.

– Sto róż – rzekł cicho.

Nasze spojrzenia uwięziły się nawzajem na moment. Czy mam mu właśnie teraz powiedzieć o telefonie jego ojca? Ta niewygodna myśl sprawiła, że straciłam równowagę. Bukiet, choć piękny, był też szalenie nieporęczny, więc się zachwiałam.

Adrien natychmiast zareagował i przejął ode mnie z powrotem swój podarunek.

– Trzeba je wstawić do wody.

– Znajdę jakiś wazon – zaferowałam z zaciśniętym gardłem i pokuśtykałam do kuchni. Schylałam się właśnie do szafki, dręczona kłębiącymi się w głowie pytaniami, czy powinnam poruszyć temat jego ojca, czy najpierw ułożyć kwiaty i potem to zrobić, a może... nie wiem...

I właśnie wtedy znowu ktoś zapukał do drzwi.

Wyprostowałam się i rzuciłam zaskoczone spojrzenie Adrienowi, który też od razu się spiął.

– Poczekaj – szepnął do mnie, ale go nie posłuchałam i wróciłam do przedpokoju, po czym wyjrzałam przez judasz.

Pod drzwiami do mojego apartamentu stał Alex. Wiedział, że sprawdzam, kto to. Nie byłam wystarczająco cicha, stukając kulą i opierając się o drzwi.

– Hailie? – odezwał się jakby ponagłajaco.

– Cześć, Alex – przywitałam się. – Wszystko w porządku?

Uniósł brwi.

– U mnie tak, a u ciebie? – Uniósł pięść i zapukał delikatnie. – Dlaczego nie otwierasz?

– Jestem trochę zajęta – odparłam, ze wszystkich sił starając się nie odwrócić do Adriena. Nie chciałam widzieć, jaki ma właśnie wyraz twarzy. – Możemy spotkać się później?

– Jasne, a możesz otworzyć drzwi?

– N... Tak średnio – bąknęłam.

Alex zacisnął szczękę. Domyślił się, co jest grane, nie ma innej opcji. Nie odchodził.

– Podasz mi moją szczoteczkę do zębów? – zapytał, prostując się i zakładając ręce na piersi.

– Po co ci... – Zmarszczyłam brwi. Wiedziałam, że niedaleko za mną stoi Adrien. Czułam napięcie, jakie między nimi powstało, mimo że nawet się nie widzieli. Czułam je, bo stałam akurat pomiędzy nimi.

– Potrzebuję jej – upierał się.

– Alex...

– Tylko ją zabiorę i znikam.

Przymknęłam powieki. Nie chciałam, żeby dowiedział się, że inny mężczyzna odwiedza mnie w mieszkaniu. Nie w ten sposób i jeszcze nie teraz.

Ale on chciał poznać prawdę, a ja w takim razie nie mogłam mu tego odmówić. Z szacunku dla naszej znajomości.

Najpierw odwróciłam się do Adriena. Odłożył kwiaty na kanapę, gdzie z podejrzanym zainteresowaniem zaczął zerkać na nie Daktyl, i stał tak z podwiniętymi rękawami koszuli. Mięśnie ramion miał napięte, jakby szykował się do działania, podbródek zaś obniżony i czujnie łytał na mnie, czekając na rozwój sprawy.

Spojrzenie, które mu rzuciłam, było bardzo dosadne. Równie dobrze mogłam powiedzieć na głos, by się zachowywał. Ten jasny komunikat nie sprawił jednak, że mój towarzysz się rozluźnił.

Wzięłam głęboki oddech. Miejmy to za sobą.

Przekręciłam zamek i gdy otworzyłam drzwi, na progu zobaczyłam Alexa. Miał ponurą twarz i dodatkowo malowało się na niej rozdrażnienie.

– Dlaczego chodzisz o kuli? – zapytał, marszcząc brwi.

– Upadłam... To nic wielkiego.

Wzrok Alexa powędrował z ortezy na mojej kostce na Adriena. Nie zdawał się zaskoczony. Raczej potwierdziły się jego domysły, bo zacisnął szczękę jeszcze mocniej.

– Przecież nie musisz się przede mną kryć – burknął.

– Nie o to chodzi – zaproponowałam. – To był po prostu długi dzień. Jestem zmęczona. Chciałam do ciebie zadzwonić jutro.

– Zbyt zmęczona, by porozmawiać ze mną, ale wystarczająco wypoczęta, żeby przyjąć u siebie tego gościa? – Alex uniósł brwi.

Santan nie zareagował na zaczepkę; stał nieruchomo, przysłuchując się przesłuchaniu.

– Adrien uparł się, że wróci ze mną. Trochę mi pomaga, bo moja mobilność jest ograniczona – wyjaśniłam.

Alex przeniósł właśnie wzrok z ogromnego bukietu kwiatów na mnie.

– Był z tobą we Francji? – wyłapał. – Mówiłaś, że lecisz odwiedzić rodzinę.

– Mówiłam prawdę. Tylko wyszło tak, że Adrien doleciał...

Alex rzucił nagle pełne złości spojrzenie na mojego towarzysza.

– Jaki jest twój problem?

Adrien uniósł brwi.

– Słucham?

– Dlaczego tak się przy niej kręcisz? – warknął. – Ona nawet cię nie lubi.

– Alex, przestań – poprosiłam go, wzdychając.

Adrien wyglądał nawet na rozbawionego, co tylko jeszcze bardziej wkurzyło Alexa, który zrobił krok w jego stronę.

– Mówiłaś, że za nim nie przepadasz i szukałaś sposobu, by go spławić.

– Słuchaj, Alex, ja nie chcę teraz o tym rozmawiać – powiedziałam, masując sobie czoło palcami.

– Mówiłaś, że...

– Powiedziała, że nie chce teraz rozmawiać – wtrącił się uprzejmie Adrien. Nadal się nie poruszał, tylko grzecznie, ale uważnie przysłuchiwał się naszej wymianie zdań.

Imponowała mi jego cierpliwość i spokój, bo wiem, że na przykład taki Dylan już dawno trzymałby w dłoni strzępy gardła Alexa.

– To jakby nie twoja sprawa, prawda? – warknął na niego Alex.

Zbliżyłam się do niego i łagodnie dotknęłam jego ramienia.

– Przepraszam, że tak wyszło – powiedziałam. – Wszystko dzieje się tak szybko, że sama jeszcze sobie tego nie poukładałam w głowie. Możemy się umówić na jutro? Wtedy pogadamy...

Alex przeniósł wzrok na mnie. Widziałam ogniki w jego ciemnych tęczęwkach i zmarszczkę między brwiami. Był podminowany i chyba pomału kończyło mu się opanowanie. Znałam go jako wyluzowanego chłopaka, z którym łączyły mnie same przyjemności, dlatego był to dla mnie nowy jego obraz.

Ale panował nad sobą wystarczająco, by stłamsić złość i skinąć głową. Noga mu drgnęła i już zaczął robić krok do tyłu, gdy usta Adriena rozciągnęły się w kpiarskim uśmiechu.

Spokój Santana w połączeniu z tą miną zadziałał na Alexa jak płachta na byka, bo zamiast zrobić krok w tył, ruszył naprzód.

– Alex! – zawołałam. W moim głosie pobrzmiwała przygana. Przeniosłam ciężar ciała z kuli na jego ramię, by bardziej zdecydowanie go przystopować.

Udało mi się, bo sięgnął po rozum do głowy i nie rzucił się na Adriena, który wyglądał z kolei, jakby był trochę zawiedziony. Nie dziwiłam się, że tak działał na Alexa. Taka postawa mnie również by rozdrażniła, gdybym była na jego miejscu.

Jedyny ruch, jaki w odpowiedzi na zryw przeciwnika wykonał Adrien, to zwinne, ale i opanowane sięgnięcie dłonią do pasa spodni...

Tylko nie znowu to samo.

– Ej! – krzyknęłam, wybałuszając na niego oczy. – Nawet się nie waż!

Adrien natychmiast zabrał dłoń i ją uniósł, by pokazać, że nic w niej nie trzyma. Przy okazji z jego ust wyrwał się cichy śmiech.

– Już dobrze – mruknął, żeby mnie udobruchać, ale i ukradkiem wzniosł oczy do sufitu.

Odesłanie Danilo było jednak głupotą. Za bardzo się wyluzowałam, za mało byłam ostrożna. Vincent nie byłby zachwycony.

Wiedziałam, że muszę jak najszybciej zakończyć tę niekomfortową sytuację. Zacisnęłam palce mocniej na ramieniu Hiszpana.

– Alex, proszę.

Chłopak świdrował wroga wzrokiem jeszcze przez chwilę, aż znowu spojrzął na mnie i oblizwał wargi, wycofując się.

– Możesz wyrzucić tę szczoteczkę – powiedział zmienionym głosem. – Kupię sobie nową.

Odwrócił się i wyszedł prędkim krokiem.

Wzięłam nieco spazmatyczny wdech. Było mi źle, że sprawiłam mu przykrość. Alex był w porządku, zasługiwał na lepsze traktowanie. Trudno mi jednak było właściwie się z nim obejść, gdy Santan stał obok i nam się przyglądał, kwitując nasze interakcje cichą drwiną.

Tak, Adrien był idealnym kandydatem do obwinienia za całe to krótkie, ale jakże nieprzyjemne spotkanie.

– Musiałeś? – warknęłam na niego, gdy drzwi do mojego apartamentu zamknęły się za Alexem.

– Ja nic nie zrobiłem, Hailie Monet.

– Przestań, widzę, że się szczerzysz. I jeszcze chciałeś sięgnąć po broń!

– Tylko się droczyłem.

– Też mi! – prychnęłam.

– Nie mam przy sobie broni – powiedział.

Uniosłam brew z niedowierzaniem.

– Nawet ja mam przy sobie broń.

To znaczy, mam ją w apartamencie, nie pod spódnicą, ale wiadomo, o co chodzi.

– Twoje kwiaty umierają – przypomniał mi Adrien.

Spojrzałam na piękny bukiet róż i westchnęłam. Daktyl, w ogóle niezaaferowany gośćmi, powoli się do nich dobierał.

Adrien po mistrzowsku odwracał moją uwagę od myśli o Aleksie. A na myśli o telefonie od jego ojca przestałam w ogóle mieć miejsce w głowie. Dlaczego w moim życiu tyle się dzieje?

Nie, stop, muszę poruszyć z nim temat Egberta. Nie potrzebuję kolejnych tajemnic.

Łałam wodę do wazonu, rozpamiętując z goryczą wizytę Alexa, i już prawie otwierałam usta, by zacząć mówić o telefonie, gdy znowu zaczęła mi dzwonić komórka.

Na chwilę złękłam się, że to znowu Egbert Santan, choć może nie byłoby tego złego i Adrien dowiedziałby się w ten sposób.

Jednak to imię Shane'a widniało na ekranie.

Upewniwszy się, że Adrien zobaczył mój gest rozkazujący mu, by siedział cicho, przeciągnęłam zieloną słuchawkę w poprzek ekranu.

– Halo?

– Hailie, jadę – powiedział od razu.

– Cześć, Shane – westchnęłam i uśmiechnęłam się lekko, bo głos mojego wyluzowanego najczęściej brata przyniósł mi ociupinkę ukojenia w tej stresującej sytuacji. – Dokąd jedziesz?

– Do twojego mieszkania.

Uśmiech zniknął mi z twarzy.

– Co, że teraz?

– Jestem w taksie.

Znieruchomiałam.

– Jedziesz do mnie?!

– Niedawno wylądowałam.

Zaatakowało mnie déjà vu.

Dlaczego moi bracia nigdy nie uprzedzają mnie o swoich przyjazdach? Co jest z nimi nie tak?

Rzuciłam spanikowane spojrzenie Adrienowi, a potem wzięłam głęboki wdech.

– Za ile będziesz? – zapytałam, siląc się na radosny ton.

– Nie wiem no, jadę.

– Okej, okej. – Pokiwałam głową, błyskawicznie tworząc w niej plan. – W takim razie super, Shane, czekam na ciebie. Buziaki!

– Pójdziemy coś zjeść, okej?

– Jasne, zjeść, okej. Pa, pa!

Ledwo się rozłączyłam, machnęłam ręką na Santana.

– Musisz już iść.

– Niezapowiedziana wizyta? – zgadł. Minę miał niewesołą.

– Tak to, widzisz, jest z moimi braćmi.

– Mało to eleganckie.

– Mężczyźni w moim życiu już tak mają – odparłam znacząco, a potem wskazałam podbródkiem na róże. – Mógłbyś, proszę, szybko przenieść je na taras? Jeśli ustawię je w gąszczu innych roślin, jest szansa, że Shane ich nie zauważy i nie będę musiała się spowiadać, kto mnie obdarował takim bukietem.

Adrien posłusznie wykonał polecenie, a na jego usta powróciły ślady drwiny.

– Czy powinienem zabrać też szczoteczkę twojego kolegi?

Przymknęłam powieki.

– Nie – syknęłam przez zaciśnięte zęby. – I nie waż się nawet rozmawiać z Alexem. Nawet jeśli jest na tyle głupi, by stać na dole i na ciebie czekać, czego mam nadzieję, że nie robi. Rozumiesz?

– Nie ma problemu, Hailie Monet, moje reakcje są bardzo proste – powiedział. – Jeśli do mnie mówi, ja mu na to pozwalam, bo potrzeba więcej niż pokrzykującego chłopca, by mnie sprowokować. Jeśli spróbuje mnie uderzyć, ja uderzę jego. Jeśli spróbuje uderzyć ciebie, wtedy strzelam.

Zaśmiał się na widok mojej miny.

– Adrien...

– W porządku, już wychodzę.

W ostatniej chwili ugryzłam się w język, bo na usta cisnęła mi się prośba, żeby odezwał się później, ale nie mogłam przecież zabrzmieć tak desperacko. To nie pasowało.

– Odezwę się później.

Zszokowana spojrzałam mu w oczy i poczułam ciarki, zupełnie jakby Adrien właśnie przeczytał moje myśli.

A on tylko mrugnął do mnie łobuzersko i wyszedł.



– Co to?! – zawołał Shane, gdy już wyściskałam go za wszystkie czasy i wpuściłam do mieszkania.

Wpatrywał się w moją kulę i ortezę oczami tak wielkimi, jakby nagle w miejsce nóg wyrósł mi syreni ogon.

– Skręciłam kostkę, to nic poważnego – zbyłam go, prowadząc go do salonu. – Kawy?

– Kiedy?

– Niedawno. Muszę to nosić przez tydzień. Tak naprawdę to nie muszę, ale noszę, bo tak jest odpowiedzialnie.

– I siedzisz tu tak sama? Nikt ci nie pomaga? – burzył się.

– Shane, nie potrzebuję pomocy, mogę chodzić.

– Vincent wie?

Posłałam mu niezadowolone spojrzenie.

– Nie wie.

Shane uniósł brwi zdezorientowany.

– I jak ci się udało to przed nim ukryć?

– Zalety moich studiów – odparłam, a przechodząc obok, poklepałam go po ramieniu. – Mam sporo znajomości.

– Nie podoba mi się to – oznajmił głośno.

– Mhm, chcesz tej kawy?

Shane zmarszczył brwi, niemal urażony.

– Nie chcę żadnej kawy, chcę jeść. Mieliśmy wyjść.

– W porządku, więc wyjdźmy. Mogę chodzić – powtórzyłam.

– Nie wiem, to nie wygląda, jakbyś mogła chodzić. Jak to się w ogóle stało? Ej, a boli cię to? Dlaczego to ja zawsze muszę zatajać przed resztą twoje wszystkie sekrety?

– marudził, zgarniając z czoła szopę swoich ciemnych włosów.

– Nie znasz moich wszystkich sekretów.

– Co tam mruczysz?

– Nic, Shane. Jeśli to cię uspokoi, to możemy zostać w domu i coś zamówić.

Tak zrobiliśmy.

Rozłożyliśmy się na tarasie, na co nalegał mój brat. Staralam się nie zerkać w stronę skrytego w krzewach bukietu. Adrien jednak zrobił dobrą robotę, bo bardzo ładnie go wkomponował, a Shane jest niezbyt spostrzegawczy, jeśli chodzi o takie sprawy, więc go nie zauważył i się nie zaniepokoił. Kilka razy musiałam tylko dyskretnie posłać groźne spojrzenie Daktyłowi, bo za często przechadzał się w tamtej okolicy.

– Wpadłem do ciebie, Hailie – zaczął Shane. Jego ton był już kompletnie inny, lekki i zadowolony, bo przyszło jedzenie i mógł sobie nim zapchać usta. – Bo sprawę mam, a Dylan mówił mi, że ty jesteś dobra w ogarnianiu rad i tak dalej.

– Dawaj – zachęciłam go, przyzwyczajona do roli doradczyni swoich braci, którą od lat pełniłam.

Shane wytarł dłoń o serwetkę i zaczął przeszukiwać kieszenie. Im dłużej to robił, tym bardziej marszczyłam brwi.

– Shane? – zapytałam z niepokojem.

– Już mam, już mam – mruknął i zamachał dłonią, której kurczowo zaciśnięte palce trzymał na małym pudełku. – Pa na to.

Otworzył je następnie, a w środku zabłyszczał pierścionek.

Tak oto mojemu bratu udało się sprawić, że na chwilę przestałam dręczyć się telefonem od byłego członka Organizacji. Po prostu zrzucił na mnie kolejną bombę.

– Shane? – powtórzyłam, z trudem przełykając ślinę.

– Co myślisz? – zapytał, uśmiechając się z samozadowoleniem.

– Czy to pierścionek zaręczynowy? – wydusiłam, a gdy energicznie pokiwał głową, aż odstawiłam pudełko ze swoim jedzeniem na stolik. – Dla kogo?

– Dla mojej przyszłej żony.

– Co?

– No dla mojej...

– Słyszałam! – pisnęłam z przerażeniem. – CO?!

– No ale co? – Shane zdawał się szczerze zdziwiony moją reakcją.

No na Lorda...

– Skąd ty niby nagle wytrzasnąłeś kandydatkę na żonę?! – zapiszczałam.

– Poznałem ją jakoś niedawno i co ja ci mam powiedzieć, Hailie, zaiskrzyło, no.

– Kiedy niedawno?

– No niedawno, nie tak dawno, ale to wiesz, nie tak, że oświadczę jej się, nie wiem, jutro, czy coś. Poczekać z kilka tygodni może?

– Shane?

Westchnął.

– Co chcesz mi powiedzieć, Hailie?

– O co chodzi? – zapytałam łagodnie.

Shane bawił się przez chwilę pudełkiem, aż wreszcie odłożył je na stolik obok naszego jedzenia i odchylił się na kanapie.

– Nie wiem, pomyślałem ostatnio, że spoko byłoby mieć jakąś rodzinę czy coś.

– Masz nas – powiedziałam od razu.

– No wiadomo, ale chodzi mi o taką swoją własną rodzinę. Jak Vince, nie?

– Chcesz mieć żonę i dzieci?

– Pomieszkuje teraz w Rezydencji i jakoś tak fajnie to wygląda. Vince ma w cholere szczęścia. Te dzieci są tak w niego wpatrzone... I on w nie też. Wiesz, że ostatnio wrócił z jakiegoś spotkania i nawet się nie przebrał ze swojego gajera, tylko od razu usiadł z nimi w salonie na podłodze i coś tam układał?

– Naprawdę? – ucieszyłam się.

– Ta, prawie się z Tonym spłakaliśmy ze śmiechu. – Shane pokiwał głową ze złośliwym uśmiechem. – Ale no ogólnie słodkie to było. I Anja też jest w porządku. Wspiera Vince’a. Może, wiesz, też chciałbym mieć kogoś takiego?

– Dobrze, że odkrywasz, czego w życiu chcesz, ale wiesz, że poznanie takiej osoby wymaga czasu?

– Kitty wydaje się fest ogarnięta.

– Kitty?

– Świetna jest, mamy to samo poczucie humoru. Cały czas się śmiejemy.

– Brzmi jak utopia – skomentowałam.

– Hej, Dylan mówił, że jak chciał się oświadczyć, to rozmowa z tobą mu pomogła. – Brwi Shane’a się nastroszyły. – Mnie jakoś nie pomaga.

– Przepraszam, ale Dylan oświadczył się kobiecie, którą znał od jakichś czternastu lat, a nie dni.

– Anja zaszła w ciążę niedługo po tym, jak się z Vince’em poznali, i teraz wszystko jest elegancko.

– Tak, ale to była wpadka. Zwykle w życiu chodzi o to, by jej uniknąć. Dlatego jak już się zdarzy, to nazywa się „wpadka”.

Szturchnął mnie.

– Przestań się mądrzyć.

– Jeśli naprawdę czujesz, że chcesz się ustatkować, to genialnie, ale zrób to z głową, nie pochopnie. Upewnij się, że kobieta, którą weźmiesz za żonę, naprawdę jest tą jedyną.

– Dobra, ale tak naprawdę to niby skąd to wiadomo, hę?

– No... – Zamachałam rękoma, jakby szukając pomocy w dobrze słów. – No, powinieneś to poczuć...

– Czuję, że jest fajnie.

– Żadne fajnie, fajnie to za mało – przekonywałam go i aż zmieniłam pozycję. Wyprostowałam się i przybrałam bardziej przejęty wyraz twarzy. – Co z napięciem? Chemią?

– Jaką chemią?

– Czy masz ciarki, kiedy na nią patrzysz? Czy serce bije ci mocniej, kiedy ją dotykasz? Czy laskocze cię w brzuchu, kiedy ona do ciebie mówi?

Shane przechylił głowę i spojrzał na mnie pobłaźliwie.

– Ktoś tu się naczytał za dużo romansideł.

– Ale to prawda! – przekonywałam go z pasją.

Aż się skrzywiłam, bo z przejęcia oparłam się na ziemi chorą nogą i mnie zabolalo.

Shane uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony moim nagłym zaangażowaniem.

– Skąd to wiesz?

– Ja...

Zamrugalam. Nagle mój entuzjazm opadł. Oczy wbiłam w ziemię, zagryzłam wargi. Odczuwałam lekkie zażenowanie, ale jeszcze silniejszy okazał się strach. Coś sobie bowiem właśnie uświadamiałam i nie było to nic, co wbijałam sobie twardo do głowy w ostatnim czasie.

Moja relacja z Adrienem to nie efekt nudy czy zwykłej ciekawości, co będzie dalej.

Między nami działo się coś poważniejszego.

Shane błędnie odczytał moje zawahanie. Uśmiechał się do mnie wyrozumiale, jakbym była dla niego po prostu młodszą siostrzyczką, która nie zna jeszcze świata i wciąż żyje w różowej krainie kucyków.

A ja nie mogłam przecież wyprowadzić go z błędu.

– Moja rada, Shane, jest taka, żebyś poczekał z tym pierścionkiem – powiedziałam sucho.

Sięgnęłam po resztkę swojego jedzenia.

Shane westchnął głęboko i odstawił swoje pudełko. Na następną dłuższą chwilę odpłynął gdzieś myślami. Wzrok miał nieobecny, a wyraz twarzy ponury. Najwidoczniej przepracowywał sobie swoją sytuację, a ja mu w tym nie przeszkadzałam, bo sama zajmowałam się bałaganem w swojej głowie.

Bo do tej pory nie zastanawiałam się nad tym, że to, czego ostatnio doświadczałam, jest tak wyjątkowe.

Brałam to za pewnik, bawiłam się tym, a przecież uczucie to było nieoczywiste i zbyt piękne, by obchodzić się z nim tak nieostrożnie, tak bez szacunku.

I wiedziałam, że ten moment zapamiętam do końca życia. Rozmowa z Shane'em na tarasie w moim barcelońskim apartamencie. Bo to wtedy mnie uderzyło. Tak mocno, że prawie poczułam fizyczny ból.

I jeszcze wtedy nie wiedziałam tego na sto procent, ale domyślałam się, co to może być.

Czy to możliwe, że to uczucie to jest początek...?

Miłości?



Desperacja pojawiła się na początku nowego roku.

Jeśli miałbym wskazać jeden z nielicznych talentów Grace, to byłoby nim gromadzenie pozornie niepotrzebnych nikomu informacji. To od niej dowiedziałem się, gdzie mieszka Hailie Monet. Zaaranżowałem kilka spotkań w Barcelonie tylko po to, żeby mieć wymówkę, by tam polecieć i wyegzekwować od niej swój dług. Dla moich ludzi ustalenie jej dokładnego adresu nie było żadnym problemem.

Niedługo potem dotarła do mnie wiadomość, że dwóch braci Monet oraz córka Vincenta uczestniczyli w wypadku samochodowym. Coś niegroźnego, ale zasadą Organizacji jest, że jeśli któremuś z członków Organizacji lub ich najbliższej rodziny stanie się krzywda, należy zbadać okoliczności zdarzenia. Po to, aby upewnić się, że to nie był celowy zamach. W tym przypadku nic na to na szczęście nie wskazywało. Nie żebym darzył Monetów szczególną miłością, po prostu ta rodzina i tak już za dużo przeszła.

Kolejną nowiną był bankiet charytatywny. Sam prawie spowodowałem wypadek, gdy prowadząc auto, dowiedziałem się, że organizuje go Hailie Monet. Robiła to raz na jakiś czas i czasem się na nich pojawiała, a czasem nie. Tym razem zapowiedziano z góry, że będzie obecna.

Rzecz jasna, wpłynęło to na moją odpowiedź na to zaproszenie. Skoro Hailie Monet przyjdzie, to, panie i panowie, w myślach już wiązałem krawat.

Zabawnie było odwiedzić mury Akademii, w których siostra Monetów wydała ów bankiet. Jeszcze zabawniejszy okazał się fakt, że ostatnio byłem tu lata temu, by ją przeprosić za swoje karygodne zachowanie. Trochę to ironia losu, że dzieciak, który wjechał w samochód jej braci, okazał się uczniem tej szkoły. Nie zazdrościłem mu, że ze wszystkich ludzi na świecie trafił akurat na rodzinę członka Organizacji.

Po wejściu przywitałem się z paroma osobami. Szukałem wzrokiem Vincenta, by uścisnąć mu dłoń, ale wcześniej dostrzegłem Hailie i już nie mogłem oderwać od niej oczu.

Czy niezadowolenie, które poczułem w duchu na widok jej rozmawiającej z jakimś brodatym chłoptasiem, było uzasadnione? Nie wiem, irytowało mnie, że nawet gdy się

już pożegnali, Hailie Monet zerknęła za nim, jakby jeszcze było jej mało tych pogaduszek. Dyskretnie zrobiłem mu zdjęcie i zanotowałem sobie w głowie, by sprawdzić, kim jest. Następnie zdeterminowany, by oderwać jej myśli od typka, ruszyłem w jej stronę.

– O, przepraszam – mruknęła. Rzuciła mi uprzejmy uśmiech, który od razu zrzędł, gdy mnie rozpoznała.

Ciekaw byłem, co pomyślała na mój widok.

– Dzień dobry, Hailie Monet.

– Ty tutaj?

Cóż, nie skakała z radości, ale jej oczy lekko się rozszerzyły, usta rozchyliły i było w niej coś tak niewinnego, że aż się napiąłem. Ręka mi drgnęła, bo tak bardzo chciałem opleść ją wokół jej talii i przycisnąć jej ciało do swojego, a świadomość, że nawet gdyby ona się zgodziła, ja nie mógłbym tego zrobić, mnie zabijała.

Kto by pomyślał, że stanę się tak dramatyczny.

– Zaprosiłaś mnie – przypomniałem jej.

– Ja cię zaprosiłam?

Och, dziewczyno.

– Zaprosiłaś absolwentów akademii, Hailie Monet. Pamiętasz, że jestem jednym z nich?

– O.

Zobaczyłem, że oddzieliło się jej cieniutkie pasmo włosów, które wchodziło jej na policzek. Zdobycie w sobie siły, by nie złapać go teraz między palce i nie odgarnąć z jej twarzy, kosztowało mnie dużo więcej niż czek, który wypisałem przy wejściu na tę imprezę.

– Przyszedłem dorzucić się do twojej uroczej zbiórki.

Kiedy uniosła dłoń, by odgarnąć włosy, znowu zapragnąłem jej dotknąć. Wpleść palce w jej loki, poczuć tę gładką skórę pod opuszkami. To, że ta dziewczyna była dla mnie nietykalna, to największa kara, jaką mógł wymyślić dla mnie świat. Zwykle potrafiłem się kontrolować bez kłopotu, ale teraz czułem się jak alkoholik, przed którym stała butelka najlepszej whisky.

Tak, zdaję sobie sprawę, że niezbyt to dżentelmeńskie porównywać kobietę do alkoholu.

Droczenie się z siostrą Monetów to inny poziom rozrywki. Kiedyś lubiłem ją zaczepić od czasu do czasu, kiedy na siebie wpadliśmy, teraz jednak ta przyjemność weszła na zupełnie inny poziom.

Podczas tej krótkiej rozmowy udało mi się ją delikatnie onieśmielić, wprawić w mały, ale kontrolowany dyskomfort. Rozglądała się co jakiś czas, jakby szukała pretekstu, by uciec, i może nawet kilka już wymyśliła, jednak zanim skorzystała z któregoś z nich, spojrzała na mnie i szepnęła z powagą:

– Chciałabym podziękować za twoją decyzję w sprawie Dylana. Nie miałam okazji... zrobić tego wcześniej.

W duchu się uśmiechnąłem.

– Nie musisz mi dziękować. Oboje ustaliliśmy przecież, że to nie przysługa. W końcu umówiliśmy się na zapłatę.

– Na przysługę – poprawiła mnie szybko.

Ależ jak zwał, tak zwał.

– Właśnie tak, Hailie Monet. Przysługę.

Przełknęła ślinę w dość uroczo oczywisty sposób.

– Czy potrzebujesz jakiejś teraz? – zapytała piskliwie.

Stłumiłem ciche parsknięcie. Skąd się to bierze, że tak bardzo uwielbiam obserwować jej reakcje? Wszystko w niej nagle mnie ciekawiło – zagadki kryjące się w ciemnych oczach, potencjał na piękne uśmiechy promieniujący z jej twarzy i ta szczerą, niewymuszona dobroć, którą aktualnie przede mną skrywała, najwyraźniej w naszych interakcjach uznając ją za możliwą słabość.

Ten moment, który z nią dzieliłem, przerwał jakiś chłopak i na początku zgromiłem go wrogim spojrzeniem. Gotów byłem rozkazać mu, by odszedł, ale okazało się, że to ofiara losu we własnej osobie, czyli nieszczęśnik, który spowodował wypadek.

Nie wtrąciłem się więc, zwłaszcza że dziewczyna, przyznaję, fenomenalnie sobie z nim poradziła. Obserwowałem, jak postawa Hailie Monet się zmienia. Z niepewnej i nieco przy mnie onieśmielonej stała się nagle odważna i stanowcza. Słuchała tego, co Ian – bo tak najwyraźniej się ten dzieciak nazywał – miał jej do wymamrotania. Niezwykle to było, ile siły i klasy dodawała jej ta surowa mina, która pojawiła się na jej twarzy, gdy kwitowała jego słowa.

Tutaj jesteś, Hailie Monet, pomyślałem, nie ukrywam, oczarowany jej drugą i nieznaną mi dotąd osobowością. A byłem pewien, że ma ich więcej, i nagle

poczułem ekscytację, myśląc o tym, że jest w niej jeszcze tyle do odkrycia.

Bo z pewnością nie była to zwykła dziewczyna.

– Ładnie go sobie ułożyłaś, pani Monet – pochwaliłem ją szczerze, gdy chłopak odszedł, na koniec o mało jej nie zasalutowawszy.

Jej groźna maska rozplynęła się w powietrzu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– To tylko głupi dzieciak. Dbam, żeby dostał nauczkę.

– I robisz to w elegancki, surowy i mimo wszystko humanitarny sposób – zauważyłem. Niełatwo mi zaimponować, a jej naprawdę się to udało i chciałem, żeby o tym wiedziała. – Chylę czoła.

– No widzisz, kto by pomyślał, że nie trzeba krzywdzić ludzi, żeby dać im lekcję – mruknęła znacząco.

Cóż miałem z tym zrobić, że lubiłem, kiedy starała się odpowiedzieć mi przytykiem.

– Vincent też się z tobą zgadza w tej kwestii? – zapytałem z drwiną, a gdy nie odpowiedziała, dorzuciłem luźno: – Aha, no widzisz, a ja właśnie się zastanawiałem, co oznacza jego nieobecność tutaj.

Zacisnęła usta.

– Vincent jest zajęty. Pracuje. Ty też nie powinienesz? Wspominałeś, że macie w Organizacji dużo spraw do załatwienia.

Na im więcej impertynencji sobie pozwalała, tym większe przyzwolenie czułem na droczenie się z nią. Wiedziałem, że nie cierpi na brak poczucia humoru i byle dogryzki nie mogły zrobić jej krzywdy. W końcu przecież ma pięciu starszych braci. Nie może mieć z nimi lekko. Musi być odporna.

– Tak, bardzo dużo – potwierdziłem i powstrzymałem złowieszczy uśmiech, dodając: – W przyszłym tygodniu, na przykład, mam kilka spotkań w Barcelonie, może wtedy skorzystam z okazji i zwrócę się do ciebie po swoją zapłatę?

Spotkań, które umówiłem celowo, by cię tam odwiedzić, rzecz jasna.

Nie musiała tego wiedzieć.

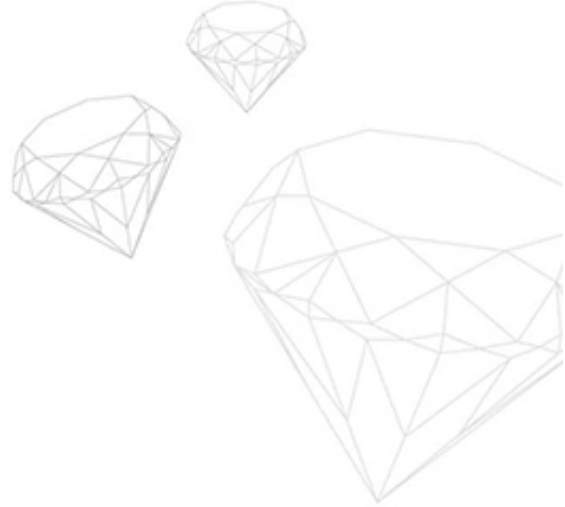
Kolejna zmiana w jej wyrazie twarzy była pyszna jak ciepła, mocna kawa o poranku. Rozkoszowałem się przerażeniem w tych dużych brązowych oczach. Nie żebym aspirował do zastraszania jej, ale cieszyło mnie wywoływanie w niej wielkich emocji.

– Po co ci w ogóle ode mnie jakakolwiek przysługa? – zapytała, starając się, by zabrzmiało to ostro.

– Z pewnością się dowiesz – obiecałem jej, a że kluczem w zachowaniu idealnej równowagi w tak ciekawej relacji było wycucie chwili, w której należy przerwać rozmowę, dodałem: – Do zobaczenia w słonecznej Hiszpanii, Hailie Monet.

Coś jeszcze powiedziała i chyba się za mną odwróciła, ale odszedłem, sam się nie oglądając.

I został tylko niedosyt.



33

FATALNIE

Shane obudził się o trzynastej.

To znaczy, ja go w końcu wyciągnęłam z łóżka, bo inaczej spałby jeszcze dłużej. Trochę się rozleniwiał na tym etapie życia, na którym aktualnie się znajdował. W sumie zawsze służył z późnego wstawania, a w tym wypadku też można mu było wybaczyć, bo w naszej rodzinie zawsze najciężej znosił jet lag.

Zdażyłam zjeść muesli z jogurtem i masłem orzechowym na śniadanie, wypić dwie kawy, nasmarować ranną kostkę maścią, którą dostałam w klinice, pogadać z Dakylem i napisać krótki esej na zajęcia. Kiedy na tarasie pojawiło się słońce, wyszłam tam z matą, żeby się ostrożnie porozciągać, a potem wybiłam się z rytmu, bo mój wzrok padł na bukiet białych róż, ukryty w kącie.

Przylapałam się kilka razy na sprawdzaniu, czy Adrien Santan do mnie napisał. Nie żebym jakoś strasznie na to czekała, po prostu wczoraj rzucił na odchodne, że się odezwie, więc z czystej ciekawości zerkałam na telefon.

Alex też się ze mną nie kontaktował, ale z jego social mediów wywnioskowałam, że późnym wieczorem bawił się w jakimś klubie. Ulżyło mi, bo to oznaczało, że prawdopodobnie nie wpadł na Adriena, a co za tym idzie – żyje.

– Wiesz co, dziewczynko? – zagadnął Shane, trąc zaspane oko, gdy wreszcie udało mi się wypędzić go z sypialni i skłonić, by dołączył do mnie na tarasie. Z rozpędu nawet

przygotowałam mu śniadanie, nie dbając o to, że zbliżała się pora lunchu. W przypadku Shane'a nie musiałam się martwić, że się przeje. Taki czasownik nie istniał w jego słowniku.

– Hm? – zapytałam, przenosząc na niego wzrok.

Znowu zapatrzyłam się na kwiaty od Adriena. Musiałam się pilnować, bo oczy same uciekały mi w tamtym kierunku. Jak dobrze, że siedział tu ze mną ten mało spostrzegawczy brat. Zadrżałam na myśl, co by było, gdyby zamiast tego towarzyszył mi Vincent. W ułamku sekundy namierzyłby róże i pewnie dostrzegłby też na podłodze włos Adriena. Nie wspominając już o wykryciu swoim nieomylnym radarem szczoteczki Alexa, którą chowałam w pudełku na tampony.

– Chyba jednak się nie oświadczę – powiedział Shane, a zmarszczka między jego brwiami się pogłębiła, jakby podejmował naprawdę potwornie trudną decyzję.

– Nie? – mruknęłam.

Nawet nie udawałam, że mnie to zmartwiło.

– W sumie to nie znam za dobrze tej Kitty. Może to jeszcze nie czas...

Poklepałam go po ramieniu.

– Bardzo mądrze.

Gdy poszedł wziąć prysznic, znowu sprawdziłam telefon. A potem jeszcze raz, kiedy ścieliłam łóżko. Na plaży udawałam, że robię zdjęcia morzu, ale w rzeczywistości zastanawiałam się, czy by nie zadzwonić do Adriena.

Nie zrobiłam tego, a po chwili nie mogłam uwierzyć, że w ogóle to rozważyłam. Przecież nie minęła nawet doba. Głupia ja.

Ale to nie moja wina. Miał mi pomagać, tak obiecał Mai. Gdy skręciłam kostkę, upierał się, by mi asystować przy chodzeniu. A teraz nagle nie zapyta nawet, jak się czuję? Czy noga boli, czy puchnie? Ja wiem, że pewnie wie, iż odwiedził mnie Shane, więc nie jestem pozostawiona bez opieki, ale wkurzał mnie brak konsekwencji z jego strony.

No dobrze, zdaję sobie sprawę, że może i trochę zachowuję się jak rozpieszczona królewna, ale no co? Przyzwyczajono mnie do tego, że zawsze ktoś się o mnie troszczy.

Potrzebuję tego, a także wymagam.

Chodziłam z kulą na linii wody, prawie do niej z nią włącząc. Schyliłam się, by dotknąć fal i pomoczyć trochę uda. Przyjemnie dziś było – słonecznie i ciepło, choć lato dopiero miało się zacząć i woda nie zdążyła się jeszcze nagrzać.

Shane'a zostawiłam na kocu. Żałowałam, że nie mogę mu się zwierzyć, tak jak on zwierzył się mnie. Nie chodziło o brak zaufania, jednak on wyznający mi, że umawia się z jakąś Kitty, absolutnie nie równało się mnie zdradzającej mu, że widuję się z cholernym Adrienem Santanem.

Zapatrzona na horyzont, wodziłam palcami jednej ręki po tafli spokojnego morza, a drugą, tą, która opierała się o kulę, zaciskałam na telefonie. Niełatwo było mi się tak tu z nią poruszać, więc gdy miałam już dość walki z mokrym piaskiem, wróciłam na koc.

Postanowiłam, że komórkę schowam głęboko do torby, wystawię twarz do słońca i będę się cieszyć z odwiedzin brata. Może pójdziemy do kina albo wyciągnę go wieczorem do baru z moimi znajomymi?

Shane też chował swój telefon, tuż po tym, jak zakończył jakąś rozmowę. A raczej odrzucił go na koc, marszcząc brwi. Dłoń, którą przed chwilą przykładał do ucha, zeszywniała mu. Mechanicznym ruchem przeczesał sobie nią włosy, widocznie odrobinę bardziej zestresowany niż przed kilkoma momentami.

– Kto dzwonił? – zapytałam.

– Vince – burknął.

– Hej, wszystko okej? Co mówił?

– Informował – westchnął i rozłożył się na kocu odrobinę wygodniej. – O pogrzebie.

Kucałam właśnie, by przysiąść obok niego. Wyciągałam nogę z chorą kostką tak, by jej nie przeciążać, i przyciskałam ręcznik do mokrych ud, ale po jego słowach gwałtownie podniosłam głowę.

– Co proszę? – przeraziłam się.

– Egbert Santan nie żyje.

Znieruchomiałam. Zapatrzyłam się na Shane'a z rozchylonymi ustami.

– Nieważne – mruknął, machnąwszy ręką. – Pewnie średnio go kojarzysz.

Z zaciśniętym i zaschniętym gardłem z trudem przełknęłam ślinę. Cała plaża nagle zawirowała.

– To ojciec Adriena, prawda? – wyszeptałam drżącym głosem.

– Tak, to właśnie on.

– Czy... Skąd on... W sensie... – Odchrząknęłam, panicznie szukając w głowie odpowiednich słów. Shane przypatrywał mi się uważnie, ale trudno mi było się

pilnować i udawać obojętną. – J-jak umarł...?

– Chorował, no nie, więc to nie jest jakaś wielka niespodzianka. Ale i tak słabo. Nasz ojciec zawsze mówił, że Egbert to równy gość. A rzadko kiedy wypowiadał się tak pochlebnie o tych deklach z Organizacji.

– Kiedy?!

– Kiedy co?

– Kiedy umarł?!

– Co tak piszczysz?

Shane patrzył na mnie nieufnie. Nie wiedziałam tylko, czy obawia się wyłącznie tego, że tak dla zasady rozkleję się na wieść o czyjeś śmierci, czy może zaczyna podejrzewać coś więcej. Nie wiem co, bo prawda byłaby raczej trudna do odgadnięcia nawet dla braci Monet. Skąd mogli wiedzieć, że jeszcze wczoraj Egbert Santan dzwonił do mnie, żeby porozmawiać o tak bardzo prywatnych sprawach?

Nie wydawał się umierający. Cholera jasna, rzekłabym nawet, że sprawiał wrażenie całkiem zdrowego. Jasne, miał zachrypnięty głos, trochę kaszlał, ale tak się dzieje chociażby podczas przeziębienia, nie? Nie powinien był tak nagle, nieoczekiwanie, umrzeć, na Lorda!

– Pytam się po prostu, tak? Człowiek umiera, to zadaję pytania. To chyba normalne – odburknęłam wcale nie mniej piskliwie. Dyskretnie brałam głębokie wdechy. Założyłam okulary przeciwsłoneczne, by lepiej odgrywać zobojętnienie na twarzy, choć głosu w dalszym ciągu nie potrafiłam uspokoić. – Kiedy umarł? Wczoraj, dzisiaj?

– Nie wiem, no, jakoś w nocy chyba. Jest plotka, że dostał udaru, ale to niepotwierdzone.

Odetchnęłam.

– Co ty się tak przejmujesz?

– Przykro mi, że ktoś umarł – mruknęłam. Na głowę założyłam czapkę z daszkiem, żeby ukryć zmarszczone ze zmartwienia czoło.

Shane uśmiechnął się lekko i podniósł się, żeby objąć mnie ramieniem.

– Wiadomo, ale co zrobisz? Nie smuć się, młoda – szepnął i potarł moje plecy pokrzepiająco. – Takie życie.

– Był blisko z rodziną, prawda? – rzuciłam niby to luźno, choć przecież ciągle byłam spięta.

– Nie wiem do końca, jak to tam wyglądało. – Shane wzruszył ramionami, a mnie zmroziło, gdy usłyszałam jego kolejne słowa: – Na pewno był blisko z Adrienem, bo dużo mu doradzał i w ogóle. Ta... Akurat jemu to pewnie teraz nie jest łatwo...

– Adrienowi nie jest łatwo? – powtórzyłam zachrypniętym głosem, podnosząc wzrok na Shane'a.

– No, pewnie czuje się fatalnie.

Zacisnął mi się żołądek.

Shane odetchnął i oderwał się ode mnie, żeby sięgnąć po telefon.

– Cóż, w każdym razie będzie pogrzeb. Vince mówił, że dobrze by było, żebym się zjawił, dlatego niestety, dziewczynko, będę musiał niedługo wrócić do Stanów.

– Polecę z tobą – wypaliłam bez namysłu.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Po co niby?

– No... na pogrzeb, tak? – Poprawiłam okulary, by upewnić się, że mam je na nosie i zasłaniają moje oczy. – Tak wypada, nie uważasz...?

Machnął ręką.

– Eee, ty masz fory, nikt nie oczekuje od ciebie udziału w pogrzebie byłego członka Organizacji, luz.

– Mhm, okej, ale ja... i tak miałam lecieć do Stanów. Będę tam, to przy okazji mogę razem z wami okazać szacunek rodzinie pana... eee... Egberta Santana. – Podrapałam się po ramieniu.

– Miałaś znowu przylecieć? – zdziwił się. – Po co?

– No, chciałam zagadać Vince'a o ten wakacyjny staż w Nowym Jorku... No i ten, mam kilka spraw do załatwienia w fundacji.

– Aha – mruknął. – Spoko, nikt nie oczekuje, że tam będziesz, ale jeśli chcesz, to okej, tak myślę. Nie wiem, spytaj Vince'a.

Nie zamierzałam pytać Vince'a.

Gdy Shane poszedł popływać, rzuciłam się po swoją komórkę. Poczułam zawód, gdy nie znalazłam w powiadomieniach żadnego nieodebranego połączenia. Żadnej wiadomości nawet. Chwilę się wahałam, po czym postanowiłam sama wybrać numer Adriana.

Dzwoniłam do niego chyba po raz pierwszy w życiu. Oczekiwałam na połączenie w napięciu. Siedziałam w słońcu, a mimo to czułam chłód. Uważnie obserwowałam

z daleka każdy ruch Shane'a, żeby jego powrót na koc mnie nie zaskoczył. Stał najpierw przy brzegu, wyciągnął się i rozejrzał. Zmierzył od stóp do głów jakąś dziewczynę. Napiął lekko mięśnie. A potem wszedł pewnym krokiem do wody, odporny na jej chłód. Zanurkował. Adrien nie odbierał.

Włączyła się poczta głosowa. Z irytacją się rozłączyłam, a potem, zdesperowana, po chwili namysłu znowu wybrałam numer Adriena.

Nie chodziło tu o mnie. Chciałam wiedzieć, co z nim. Stracił ojca. Czy to w ogóle prawda? Czy nadal znajduje się w Barcelonie? Pewnie wrócił do Stanów. Może siedzi w samolocie? Dlaczego nie odbiera?

Aż mnie ścisnęło w klatce piersiowej na myśl, że Adrien patrzy na telefon i celowo mnie ignoruje, będąc w tak podłym nastroju. A co, jeśli na przykład się upił i coś mu się dzieje? Zgubił komórkę lub nie odbiera, bo stała mu się krzywda?

Obgryzałam skórki przy paznokciu, szukając sposobu, by dowiedzieć się, co z nim. Shane wrócił, mokry i zadowolony. Walnął się na koc. Nie wracał do informacji o śmierci Egberta Santana, a ja, mimo że chciałam o tym rozmawiać, nie mogłam o nią zbyt często zagadywać. Nie mogłam, bo nawet Shane by się wreszcie zorientował, że za często o tym mówię.

– Idę do łazienki – oznajmiłam po chwili dumania.

Narzuciłam na siebie luźną białą koszulę, stopy wsunęłam w klapki (tak, tę z ortezą też) i zacisnęłam dłoń na telefonie. Na deptaku skryłam się z dala od wzroku brata pod palmą, za publicznymi, murowanymi łazienkami i jeszcze raz zadzwoniłam do Adriena, ale tym razem poczta głosowa włączyła się natychmiast.

Opuściłam dłoń, nieobecny wzrokiem wpatrując się przed siebie.

Coś było nie tak, czułam to. To znaczy Adrienowi umarł ojciec, oczywiście, że coś było nie tak. Ale dlaczego nie odbiera? Dlaczego nie wysłał wiadomości, że nie może rozmawiać? Albo nawet że nie ma na to ochoty?

Zrozumiałabym!

– Hailie – odezwał się w słuchawce głos cioci Mai, czyli kolejnej osoby, z którą postanowiłam się w tym wypadku skontaktować.

– Jeju, Maya, jak dobrze, że odebrałaś – westchnęłam.

– Wszystko w porządku?

Rozejrzałam się, a potem ściszyłam głos.

– Słyszałaś o Egbercie Santanie?

– Vincent dzwonił przed chwilą do Monty’ego.
– Maya, słuchaj, Adrien się nie odzywa – oznajmiłam poruszona.
– Pewnie nie jest z nim najlepiej – stwierdziła, a głos miała dość przygnębiony. –
Wiesz, byli dość blisko.

– M-martwię się trochę – wymamrotałam, dodatkowo oglądając się za siebie, zląkniona, że ktoś mógłby mnie teraz usłyszeć. Po promenadzie kręciło się sporo turystów. Okolice plaży zawsze robiły się tłumne w tak ładne dni jak ten.

Maya westchnęła.

– Próbowalaś skontaktować się z nim?
– Nie odbiera!
– Spokojnie, ma teraz dużo spraw na głowie. Może nie mieć czasu lub chęci, żeby w takim stanie z tobą gadać. Daj mu chwilę.

– Co, jeśli coś się stało...

– Nie ma powodu, żeby tak myśleć.

– Ale co, jeśli... nie wiem...

– Okej, okej, słuchaj, spróbuję do niego zadzwonić, dobrze? A jak tylko dowiem się, że ktoś miał z nim kontakt, to od razu dam ci znać. Dobrze?

– Mhm – przytaknęłam nerwowo.

– Hailie, on właśnie stracił tatę – dodała Maya łagodnie. – Pewnie jest mu ciężko, ale jest silny, poradzi sobie.

Z jakiegoś powodu oczy napełniły mi się łzami.

– Jak nie chce ze mną rozmawiać, to w porządku, ja tylko chcę wiedzieć, że się trzyma – powiedziałam płaczliwym, rozedrganym głosem.

– Postaram się zdobyć dla ciebie tę informację – obiecała.

– Maya?

– Jestem, nie rozłączam się.

– Wczoraj... – Wzięłam płytki wdech, który nie dał mi ani grama ukojenia. –
Wczoraj Egbert do mnie zadzwonił.

Ciocia zamilkła na dłuższą chwilę, ale ja czekałam wytrwale, choć niecierpliwie, aż się odezwie.

– Egbert Santan do ciebie dzwonił? – Teraz i ona ściszyła głos.

– Chciał porozmawiać o tym, że to nie najlepszy pomysł, żebyśmy się z Adrienem widywali.

– Czekaj, przepraszam, Hailie, słabo cię słyszę, musisz mówić głośniej. Chciał, żebyś przestała się widywać z Adrienem, tak?

– Był bardzo uprzejmy i... Nie zdążyłam tego przemyśleć ani powiedzieć Adrienowi, bo potem przyjechał Shane i... A teraz dowiaduję się...

– Spokojnie, Hailie, weź głęboki wdech. Wszystko jest dobrze.

– Rozmawiałam z ojcem Adriena wczoraj, a dzisiaj on nagle nie żyje! – jęknęłam, opierając się bokiem o palmę.

– Czy mówił coś jeszcze?

– Tylko tłumaczył, dlaczego uważa, że moja relacja z Adrienem jest problematyczna. Podobno inni członkowie Organizacji by jej nie pochwalali.

– To nie był głupi facet, dobrze, że do ciebie zadzwonił, a nie knuł czegoś za twoimi plecami. Wygląda na to, że fakt, iż umarł niedługo po tym telefonie, jest po prostu tragicznym i niefortunnym przypadkiem.

– Dlaczego moje życie takie jest? – westchnęłam z rozżaleniem. – Dlaczego nie może być normalne?

– Przykro mi, Hailie, ale nie masz się co dołować. Egbert chorował, więc jego śmierć nie jest niewytłumaczalna. Nie jest zaskoczeniem. Adrien musi to sobie poukładać i na pewno się odezwie.

– Wybierasz się na pogrzeb? – zapytałam, skubiąc gruby liść palmy.

– Nie byłam pewna, ale teraz myślę, że tak. Zabiorę się z Montym, on leci na pewno. Znał całkiem nieźle Egberta. A ty?

– Czuję, że powinnam tam być – odpowiedziałam. – Więc tak.

– W takim razie spotkamy się w Stanach. Dobra? I nie martw się za bardzo. Wszystko się ułoży.

Pociągnęłam nosem i pokiwałam głową.

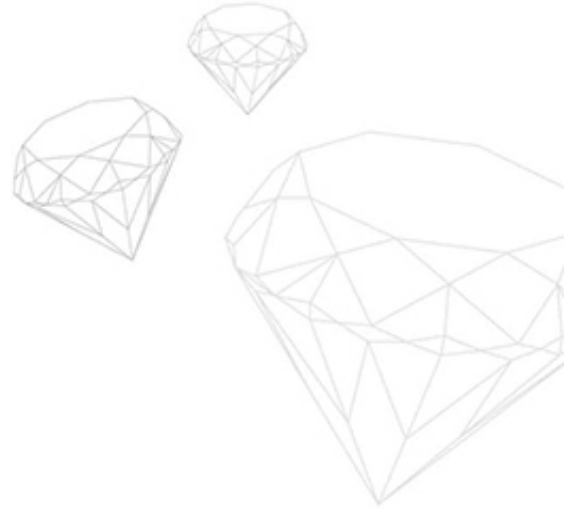
– Dobra.

Wróciłam do Shane'a, który spał. Usiadłam sobie obok niego, jednak sama nie byłam w stanie odpocząć. Patrzyłam trochę na morze, trochę w niebo. Ciągle zerkiałam w telefon, mając nadzieję, że Adrien się odezwie.

Nie zrobił tego.

Kiedy wróciliśmy do mojego mieszkania, a Shane poszedł wziąć prysznic, spróbowałam zadzwonić raz jeszcze.

Znowu: poczta głosowa.



34

NIC

W Rezydencji Monetów zgromadzili się wszyscy moi bracia. Śmierć Egberta Santana była sporym wydarzeniem dla osób związanych z Organizacją. Moje przybycie zdziwiło chłopców, ale udało mi się wcisnąć im tę samą bajkę, co Shane'owi, a że oni zawsze się cieszyli, gdy przyjeżdżałam, to nie wnikali za bardzo w moje powody.

Oczywiście wszyscy jednogłośnie ochrzaniłi mnie za podróżowanie ze skręconą kostką. Will chciał owinać mnie w koc i załatwić prywatnego lokaja, który nosiłby mnie wszędzie, gdzie potrzebowałam dojść, a po Dylanie widziałam, że gotów jest wsiąść w samolot i polecieć do Europy, żeby sprać schodek, przez który się przewróciłam.

Nic się nie zmieniło.

Najtrudniejsza okazała się – jakżeby inaczej – rozmowa z Vincentem. Przepytował mnie, kto opatrzył mi kostkę i czy aby na pewno był kompetentny, jak, kiedy, gdzie, dlaczego i co ja sobie w ogóle myślę, że tak po prostu postanowiłam ją skręcić.

Kiedy wszyscy już zrozumieli, że nic mi tak naprawdę nie jest, i oswoili się z moją małą kontuzją, udało nam się zasiąść do stołu i wyluzować się w dobrym stylu. Wtedy pojawił się kolejny temat, jednak niedyskutowany już tak intensywnie.

– Nie musisz iść na pogrzeb, jeśli nie chcesz – przekonywał mnie Will. – Łatwo cię wytłumaczymy. Twoja obecność tam nie jest specjalnie oczekiwana.

– W porządku, pójdę z wami – odparłam niby to obojętnie. – Skoro idziecie wszyscy... To będzie lepiej wyglądało, poza tym nie chcę wyłamać się jako jedyna.

– Skoro tak mówisz... – mruknął Will, z troską głaszcząc mnie po włosach.

Vincent i Dylan nie mieli żadnych argumentów przeciw. Siedzieli z nami przy kuchennym stole, pochylając się nad jakimś tabletem, i tylko rzucili mi przelotne spojrzenia.

– Pewnie... – zawahałam się, ale starałam się grać wyluzowaną – pewnie będzie dużo osób, prawda?

– Zdecydowanie – potwierdził Will. Jako jedyny był skupiony na rozmowie ze mną i nie uciekał wzrokiem do ekranu.

– Siostry Adriena też przyjadą, nie? – zagadnęłam, bawiąc się świeżo upieczonym przez Eugenie ciastkiem z kawałkami czekolady. – Nawet ta Keira...

– Myślę, że tak.

– Przykra sytuacja – ciągnęłam.

– Na pewno to przeżywają.

– Przynajmniej mogą się nawzajem wesprzeć...

– Mhm, to na pewno pomaga.

– Myślisz... eee, że Keira przyleciała już do Pensylwanii?

– Nie wiem, może. A może przyleci dopiero na pogrzeb.

– A... hm... – Zamilkłam. Aż mnie nosiło, by podpytać o Adriena, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić, by nie wydało się to podejrzanе. Dopiero po chwili wpadłam na jakiś mierny tekst. – Jak to właściwie jest, że choć Egbert żył, to Adrien był członkiem Organizacji?

Vince rzucił mi już drugie spojrzenie, niby zwyczajne, ale takie, które mówiło, że powinnam mieć się na baczności. Postanowiłam go zignorować i zwracać się głównie do Willa, który jako jedyny odpowiadał na moje pytania.

– Egbert zachorował i nie mógł dłużej pełnić funkcji członka Organizacji, dlatego przeszedł, nazwijmy to, na emeryturę, a Adrien go zastąpił – wyjaśnił mój ulubiony brat.

– Na co chorował?

– Nie wiemy wszystkiego, malutka. Na pewno cierpiał na stwardnienie rozsiane, ale zrezygnował z czynnego kierowania biznesem chyba dopiero po udarze. Tak to było, Vince?

Vince nie przytaknął ani nie zaprzeczył, zupełnie jakby nas nie słyszał.

– Ale nie był jakoś obłożnie chory? W sensie, normalnie... rozmawiał i tak dalej? – dopytywałam.

– Ciągłe pomagał Adrienowi, więc tak. Nie wiem, jak to wyglądało w ostatnim czasie. Nie wiadomo jeszcze, co dokładnie było przyczyną jego śmierci. Możliwe, że kolejny udar. Rodzina przekazała Organizacji tylko zdawkową informację, że to sprawa zdrowotna. Myślę, że prędzej czy później wypłyną szczegóły.

– Jeszcze nikt się nimi nie podzielił?

– Nie.

Oblizalam wargi.

– Adrien nic nie mówił?

– Ma teraz poważniejsze sprawy na głowie, malutka – zauważył Will.

– Ale ktoś przekazał informację o zgonie Egberta.

Will skinął głową.

– Czy to był Adrien?

– Hailie – odezwał się Vince. Znowu na mnie patrzył. Czasem zapomniałam, jak bardzo świdrujące jest jego spojrzenie. W czasach, gdy tu mieszkałam, widywałam je dość często, pomyślałby kto, że nie jest już w stanie mnie nim zaskoczyć. – Wystarczy tych pytań.

– Jestem po prostu ciekawa, jak to wygląda – mruknęłam i zanim się zorientowałam, okazało się, że pokruszyłam ciastko.

– To nie bądź – odpowiedział Vince.

No to pogadane.

Posłusznie się jednak przymknęłam, bo zdawałam sobie sprawę, że drepczę sobie niebezpiecznie na granicy podejrzliwości mojego brata. Łatwo byłoby mi się sparzyć. Nie chcieliśmy tego.

Do Santana zadzwoniłam raz jeszcze, ze swojej sypialni, a także w przerwie od wspólnych zabaw z Lissy w jacuzzi na dworze. Bez skutku. Co więcej, za każdym razem drżałam z niepokoju o to, że Vince ma na terenie rezydencji jakieś, cholera, nie wiem, czujniki, które wykryją próbę nawiązania kontaktu z innym członkiem Organizacji. Brzmi idiotycznie, wiem, ale cóż mogę rzec, chyba mam prawo być przewrażliwiona po tych wszystkich latach spędzonych w takiej rodzinie i z Vince'em jako moim głównym opiekunem.

Pogrzeb Egberta odbył się dwa dni później. Według Willa to kolejny dowód na to, że jego śmierć nie była podejrzana, inaczej trzymano by jego ciało bez pochówku na czas trwania śledztwa.

Przez całe te dwa dni szalałam z niepokoju, bo nie mogłam się dobić do Adriena, on sam też nie zrobił nic, by się ze mną skontaktować. Obiecał, że to zrobi, i byłam gotowa mu to wypomnieć. Ja wiem, że nie spodziewał się, że umrze mu tata, ale skoro kreuje się na takiego wszechwiedzącego członka Organizacji, to mógłby, kurczę, przewidzieć, że się najzwyczajniej w świecie martwię.

W końcu myślałam, że między nami coś było.

Denerwowała mnie i bolała świadomość, że niby tak się o mnie starał, a jak przyszło co do czego, okazało się, że nie traktuje mnie na tyle poważnie, by osobiście powiedzieć mi o tragedii, jaka go dotknęła. Albo by chociaż dać mi znać, że sobie jakoś radzi, tylko potrzebuje przestrzeni, by przepracować śmierć bliskiej osoby. Przecież bym nie naciskała.

Tak więc o Adrienie nie udało mi się dowiedzieć nic.

– Nie wychyla się, więc nie wiadomo, co z nim, ale z drugiej strony nikt też nie ma informacji, by zniknął lub by coś mu się stało – poinformowała mnie Maya.

W przeddzień pogrzebu nawet uległa mi i sama do niego zadzwoniła ze swojego własnego numeru, który Adrien miał zapisany w kontaktach. Została zignorowana tak samo jak ja. Nie wiedziałam, czy czuję się z tym lepiej czy jeszcze gorzej.

Na pogrzeb założyłam bardzo prostą czarną sukienkę. Była obcisła i sięgała za kolano. Włosy zaplotłam w grzeczny warkocz, odpuszczając sobie wymyślny czarny kapelusz z woalką, w co z kolei poszła Maya.

– Takie nakrycie głowy na pogrzebie dodaje potrzebnego dramatyzmu – oznajmiła z pełnym przekonaniem.

Do kaplicy pojechałam autem z nią, Willem i Dylanem. Na zewnątrz tłoczyło się mnóstwo żałobników i szybko do nich dołączyliśmy, trzymając się ciągle blisko siebie. Sama rozglądałam się wiecznie raczej za, cóż, synem nieboszczyka, przez co nie nadażalam za konwersacją prowadzoną w naszym gronie. A Adriena i tak nigdzie tu nie było widać.

– Pewnie zjawi się w ostatniej chwili – szepnęła do mnie Maya i popatrzyła na mnie znacząco. – Przestań się dziwnie zachowywać.

Spróbowałam pójść za jej radą. Wyprostowałam się i zwróciłam twarz do braci, którzy z rękami w kieszeniach stali i obserwowali tłum. Will chętnie przygarnął mnie do swojego boku, by pomóc mi odciążyć nogę.

– Popularny był ten Egbert – skomentował Dylan.

– Nie powinniśmy zajmować miejsc na przedzie. Pierwszeństwo ma rodzina – poinstruował nas Will.

– Luz, nie zależy mi na widoku w pierwszym rzędzie – mruknął Dylan.

Uśmiechnęłam się lekko. Byłam wdzięczna za to, że próbuje rozładować atmosferę, bo nie dość, że rozpościerała się tu, jak to zwykle na pogrzebach bywa, ponura aura, to jeszcze stresowała mnie nieobecność Adriena.

Powinien już tu być. Nie jest organizatorem? Czy on nie musi czasem czegoś pozłatwiać przed rozpoczęciem...?

– Nie możemy też jednak chować się na samym końcu. Chodzi o okazanie szacunku rodzinie Egberta, muszą więc nas widzieć – kontynuował Will.

Razem z Mayą i Dylanem wywróciliśmy oczami.

Zaraz potem dołączyli do nas Vincent z Anją. Ona zjawiała się jako jedyna z partnerek moich braci, a to dlatego, że jako jedyna była oficjalnie żoną, wypadało więc, by się tu pofatygowała. Na ile ją znałam, wiedziałam, że nie lubi takich towarzyskich zobowiązań, do jakich angażował ją czasem Vince, ale poślubiając go, zadeklarowała gotowość do bywania na tego typu wydarzeniach.

Stała więc w luźniejszej niż moja, czarnej sukience, a na głowę założyła kapelusz – większy niż ten Mai, ale bez woalki.

Pogrzebowa moda to jest serio materiał na książkę.

Oczekiwaliśmy na pierwsze znaki nadejścia odpowiedniej chwili na wejście do kaplicy, a czas ten umilaliśmy sobie rozmową. Anja właśnie opowiadała, że cieszy się, iż przynajmniej nie musiała ciągnąć na pogrzeb dzieci, gdy...

– UFAŁEM CI!!!

Rodzina Monet oraz wiele osób stojących w pobliżu odwróciło głowy w kierunku, z którego doleciał ten niezwykle donośny głos, w którym słychać było oskarżenie.

Aż się wzdrygnęłam, przez chwilę obawiając się, że ten wyrzut został skierowany do mnie.

Głos należał do wujka Monty'ego, który pojawił się nagle i szybkim krokiem podążał w naszą stronę. Anja otworzyła szeroko oczy, podobnie jak ja zresztą. Vince

swoje zmrużył, a Will rozglądał się po naszych twarzach, szukając kogoś, kto wyglądałby, jakby wiedział, o co chodzi. Dylan uniósł ze zdziwieniem brwi, jako że nawet jak na jego standardy dziwne wrzaski na pogrzebie były nietaktowne, a bliźniacy, którzy też niedawno do nas dołączyli, zaczęli nagle kasłać. Znałam ten ich marny trik – próbowali w ten sposób ukryć parsknięcie śmiechem.

Monty dotarł wreszcie do nas. Włosy miał nażelowane jak zawsze, z tą różnicą, że dziś nie były ułożone zbyt starannie. Czarny garnitur prezentowałby się na nim nienagannie, gdyby nie jego gwałtowne ruchy i ewidentnie w pośpiechu zawiązany krawat. Najbardziej jednak uwagę zwracały jego oczy, bowiem krył się w nich szal.

Maya zaniemówiła, ale tylko na chwilę. Szybko odwzajemniła wrogie spojrzenie męża i najeżyła się jak kolczatka.

– Co z tobą?! – syknęła wściekle.

– Ty mi powiedz! – odkrzyknął. – Co ze mną jest nie tak?!

– Po pierwsze, drzesz mordę na pogrzebie – mruknął Shane, a Tony zarechotał, teraz już otwarcie.

– Co ze mną jest nie tak, że wolisz jego, co?! – Monty zamachał rękoma. W jednej dłoni trzymał okulary przeciwsłoneczne, które zapewne wcześniej zerwał sobie z oczu scenicznym gestem.

Vince zmełł pod nosem przekleństwo, z dezaprobatą omiatając twarze obcych żałobników wokół, które odwróciły się w naszą stronę.

– Opanuj się. – Oczy Mai ciskały błyskawice w Monty’ego. Nie znosiła, kiedy ktoś robił z niej widowisko. – O czym ty mówisz?

Monty nachylił się, by ich twarze znalazły się na tym samym poziomie, i burknął, już nieco ciszej, ale z tą samą złością:

– Mówię o twoich schadzkach z pieprzonym Adrienem Santanem.

Teraz i ja się rozkaszałam.

Bynajmniej nie ze śmiechu.

Tego nikt się nie spodziewał. Nawet Vince uniósł brwi. Zaskoczona Maya aż przestała się na moment wściekać.

– Moich... eee? – skrzywiła się z niedowierzaniem.

– Ja już wszystko wiem – zagrzmiał Monty z desperacją. – Wiem, że do siebie jeździecie, dzwonicie... My mamy przecież syna, czy to nic dla ciebie nie znaczy...?

Przyłapałam się na tym, że rzuciłam Mai spojrzenie pełne wyrzutu. Po prostu z rozpędu, bezrefleksyjnie zareagowałam na nowiny Monty'ego. Moi bracia oglądali rozgrywającą się dramę, czekając z zainteresowaniem na jej rozwój.

– Czy ty jesteś pijany? – prychnęła moja ciotka.

Monty gwałtownym gestem starł sobie niewidzialny pot z czoła.

– Uwierz, że chciałbym być, może wtedy nie czułbym bólu! – Ostatnie słowo wycedził jej prosto w twarz.

Maya nie cackała się z mężem. Rozcapierzyła swoje długie, starannie wystylizowane ciemne pazury i zacisnęła je na szczęce Monty'ego. Zbliżyła swoją twarz do jego.

– Coś ty sobie wbił do tej swojej głowy, gadaj!

– Najpierw to ja sobie pogadam z Adrienem Santanem – oznajmił i wbił spojrzenie gdzieś ponad głową Mai.

Szybko powiodłam wzrokiem w tamtą stronę z głupią nadzieją, że zobaczę wreszcie tego mężczyznę, za którym ciągle się rozglądałam. Tuż przy wejściu do kaplicy zbierał się coraz większy tłum żałobników. Może zapelnianie ustawionych w środku ławek odbywałoby się sprawniej, gdyby nie zainteresowanie co poniektórych spektaklem, który na świeżym powietrzu odgrywał wujek Monty.

– Porębało cię? Jesteśmy na pogrzebie jego ojca – warknęła Maya.

– No i co, no i świetnie, jak go zamorduję, to od razu położymy ich razem.

Shane, Dylan i Tony stłumili kolejne parsknięcia, a ja, nie powiem, zaczynałam coraz bardziej się obawiać. O co Monty'emu chodzi...? Vincent też obserwował sytuację w napięciu, czekając tylko na moment, który wymagałby od niego wkroczenia do akcji.

– Chcę wiedzieć, skąd ci to przyszło do głowy i chcę to wiedzieć teraz – wycedziła Maya.

– Może stąd, że od kilku dni do niego wydzwaniasz z różnych numerów? – zapytał Monty z kwaśną miną. – Może stąd, że dzwoniłaś do niego nawet dziś, już ze swojego osobistego?

– Szperasz mi po telefonach?!

– Rano dzwoniła opiekunka Flynnna. Poszłaś na śniadanie, więc odebrałem. Rozłączyło nas, chciałem do niej oddzwonić i wtedy... – Zawiesił na chwilę głos. – Wtedy to zobaczyłem!

Maya wzięła wdech, by się uspokoić, a Monty nie tracił czasu i kontynuował:

– Zacząłem się interesować tematem i proszę, teraz już wiem wszystko. Wszystko, Maya. Spontanicznie poleciałaś do Monako akurat tego dnia, kiedy i on tam wpadł, tak czy nie?

Teraz to ja zaniemówiłam. Zrobiło mi się gorąco i pilnowałam tylko, by panować nad swoją miną, bo wiedziałam, że w każdej chwili mogę zdradzić się przed Vincentem.

– To wcale... – odparła Maya już nie tak zdenerwowana, ale Monty jej przerwał:

– Wiedziałem, że coś jest nie tak, widziałem raz, że się na ciebie gapił...

– Teraz to sobie dopowiadasz...

– Twój ochroniarz wyśpiewał mi, że w Monako pojechałaś do hotelu...

– Przepytywałaś mojego ochroniarza?

– Nie miałem wyjścia – prychnął Monty. – I dobrze zrobiłem. Pojechałaś do hotelu! Dzwoniłem tam. Okazało się, że Santan tam mieszkał tego samego dnia. Będziesz mi wciskać, że to przypadek?

– To... – Maya traciła pewność siebie, ale lojalnie nawet na mnie nie zerknęła, wiedząc, że w ten sposób prawdopodobnie by mnie wydała.

– A wiemy przecież, że ma tam w okolicy dom. Dla niepoznaki wolałaś jednak spotkać się z nim w hotelu, tak? – Monty wydawał się bardzo zadowolony ze swojej dedukcji, która jednak jednocześnie łamała mu serce. Aż było mi go szkoda i o mały włos nie wystąpiłam na środek naszego zgromadzenia, by do wszystkiego się przyznać.

Na szczęście tego nie zrobiłam. Zostały mi resztki zdrowego rozsądku. Nie mogłabym przecież tego zrobić, stojąc obok Dylana, Willa, Vincenta... To byłaby z kolei moja śmierć.

Do jasnej Anielki, nie chciałam, żeby ktokolwiek umierał.

Zerkalam nerwowo na Mayę, błagając ją w myślach, żeby jakoś z tego wybrnęła. Jednak w obliczu tak konkretnych oskarżeń nawet ona miała z tym problem.

– Nie zdradzam cię, głąbie – powiedziała w końcu i ponownie westchnęła głęboko.

– Chodź na stronę, wszystko ci wyjaśnię.

– Najpierw to ja znajdę Santana i...

– Najpierw pójdziesz ze mną porozmawiać – warknęła Maya surowiej.

To podziałało na Monty'ego, bo odrobinę ochłonął.

– Masz trzydzieści sekund – burknął pod nosem niczym obrażone dziecko, któremu ktoś odmówił obiecanego wcześniej wyjazdu do Disneylandu.

– Mhm – mruknęła lekceważąco Maya, stanowczo ciągnąc go za rękaw marynarki. Zatrzymała ją wymowne spojrzenie Vincenta.

– Maya? – odezwał się.

– Zajmę się tym – obiecała i odeszła dalej z marudzącym coś wciąż Montym. Ja natomiast powtarzałam sobie: Nie odzywaj się. Nie odzywaj się. Nie odzywaj się. Zadrżałam, gdy uważne spojrzenie mojego najstarszego brata się po mnie prześlizgnęło.

– Ale akcja – mruknął z uznaniem Tony.

– To lubię – zgodził się Shane, zacierając ręce.

– Ciekawe, jak Maya się z tego wytłumaczy – zastanowił się Dylan. – Wiecie, nie brzmi to dobrze. Ja też bym się wściekł.

– Na pewno Monty przegina i nie ma powodów do posądzania jej o zdradę – wtrąciłam się.

– Ale trzeba się dowiedzieć, po co Maya spotykała się z Adrienem – powiedział Will, patrząc za nimi. – To ważne w kontekście relacji naszych rodzin. Nie powinna była robić tego bez naszej wiedzy.

Vince się nie odzywał, ale wyglądał, jakby się z tym zgadzał.

Zagryzłam wargę, jednak już się nie odezwałam. Czułam, że jeszcze trochę i wybuchnę z nadmiaru emocji.

Bałam się, co Maya powie Monty’emu.

Zrozumiałam, że niestety musiała zdradzić mu prawdę, gdy stałam już w towarzystwie braci i Anji w kaplicy, a Monty z Mayą dołączyli do nas tuż przed rozpoczęciem ceremonii. Vince z ulgą przyjął fakt, że nasz wujek porzucił chyba plan zamordowania Adriena.

Złą stroną tego wszystko był fakt, że teraz to mnie obrywało się od Monty’ego. Tylko ja wiedziałam, że podczas pogrzebu zbyt często rzucał mi zagadkowe spojrzenia. Gdy widziałam, że zerka na mnie w ten sposób, przymykałam powieki, starając się go ignorować.

Czułam, że mój sekret wisi na włosku.

Pojawienie się Adriena tylko skomplikowało sprawę.

Wstrzymałam oddech, kiedy wreszcie go zobaczyłam. Przybył na ostatnią chwilę. W długim czarnym płaszczu szybkim, pewnym krokiem szedł główną nawą w stronę

pierwszego rzędu ławek. Spuścił głowę, ignorując wszystkich wokół. Przez to trudno było mi choćby dojrzeć jego twarz.

Tuż za nim podążała Keira. Rozmawiałam z nią tylko raz w życiu, na zaręczynach Vincenta, które wryły się w moją pamięć na zawsze w związku z tragicznymi wydarzeniami, które się wtedy rozegrały. Siostra Adriena była ubrana w elegancki czarny garnitur, jasnobrązowe włosy spięła w ciasnego koka. Ona też unikała kontaktu wzrokowego z uczestnikami pogrzebu, szła ze wzrokiem utkwionym w plecy brata.

Jako trzecia kroczyła Grace, która z kolei była w swoim żywiole. Brodę unosiła wysoko, jej kapelusz miał bardziej rozłożyste i nieregularne rondo nawet od tego Anji, a za woalkę, z której nie zrezygnowała, robiła gruba koronka. Spod woalki widać było połowę jej twarzy ozdobioną bezbłędnym makijażem; usta miała pomalowane bardzo ciemną szminką, a na powiekach perfekcyjne kreski. Rozglądała się wokół pogardliwie i jako jedyna zdawała się czerpać zadowolenie z uwagi zgromadzonych.

– Trumna jest otwarta, żeby było wiadomo, że to na pewno Egbert tam leży – szepnęła do mnie informacyjnie Shane.

– Organizacja wprowadziła taki wymóg, od kiedy nasz ojciec nabrał wszystkich, fabrykując swoją śmierć – dodał Dylan z rozbawieniem.

– Tata był wtedy tak zdesperowany, że nie miałby problemu, żeby dla picu poleżeć w trumnie na widoku.

– I wstrzymać oddech na czas trwania pogrzebu.

– Wydaje mi się, że ten Egbert też oddycha – parsknął Shane.

– Unosi mu się klatka piersiowa – potwierdził Tony

– Przestańcie – upomniałam ich zgorszona. – Zachowujcie się, to jest pogrzeb.

Dyskretnie wyciągnęłam szyję, by dojrzeć Santanów. Widziałam tylko tyły głów rodzeństwa. To znaczy dwie głowy i wielki kapelusz należący do Grace. Cieszyłam się, że Adrien jest cały i zdrowy. Jego postawa wyrażała siłę: ramiona trzymał prosto i tylko zdawał się trochę spięty, co jednak było zrozumiałe. Nie rozglądał się. Jego siostry stały po obu jego bokach. Szczerze liczyłam, że dają mu ogromne wsparcie.

Obyło się bez długich przemówień i niepotrzebnego przeciągania ceremonii. Mnie czas minął na wpatrywaniu się w plecy Adriena oraz unikaniu zerkania w stronę trumny. Miałam jeden słabszy moment, kiedy muzyka organowa i typowa dla pogrzebów atmosfera przywołała wspomnienia o stratach, które dotknęły mnie w moim życiu.

Z pogrzebu mamy i babci nie pamiętałam jednak nic, jakby mój umysł wyparł te obrazy z głowy. Prawda była też taka, że nie kontaktowałam wtedy za bardzo – całą energię zużyłam na płacz.

Natomiast na pogrzebie Sonny'ego nawet nie dane mi było się pojawić...

A gdy nadszedł moment pochówku, zrobiło się jeszcze gorzej.

Na cmentarzu zmieniliśmy ustawienie. Wszyscy zebraliśmy się wokół imponującej i nikomu po śmierci niepotrzebnej krypty, którą Egbert wykupił dla siebie i swojej rodziny. Spoczął tam w grobowcu niczym faraon i chyba tylko ja się dziwiłam, że w naszych czasach nadal istnieją takie rzeczy.

– Nasza rodzinna krypta jest większa – poinformował mnie Dylan.

– Mamy rodzinną kryptę? – zdziwiłam się.

– Ta, ale nikt nie chce w niej skończyć.

– No, Blanche mówiła, że jeśli ją tam pochowamy, to będzie nas nawiedzać i straszyć – zachichotał Shane.

– Dlaczego?

– Bo leży tam nasz dziadek.

– To był taki wiesz, dziewczynko, przyjemniaczek, z którym trudno było wytrzymać kilka godzin w jednym pomieszczeniu, a co dopiero całe pośmiertne życie – wyjaśnił Dylan.

Uciszyliśmy się, kiedy napotkaliśmy wzrokiem ostrzegawcze spojrzenie Vincenta.

Przed grobowcem żałobnicy stanęli w półokręgu, dzięki czemu miałam teraz dużo lepszy widok na Adriana. Mogłam wychwycić więcej szczegółów, a i on przestawał się kryć z emocjami. Widziałam, jak wiele taki kamuflaż go kosztuje. Był blady i zaciskał szczękę, patrząc posepnie na trumnę. Keira stała z nim pod rękę; na jej twarzy teraz też malowało się cierpienie. Tylko Grace ciągle się trzymała.

Teraz, gdy już widziałam Adriana lepiej, nie mogłam oderwać od niego wzroku. Studiowałam jego zachowanie i zastanawiałam się, czy wie, że tu jestem. Miałam nadzieję, że nawet jeśli nie, to gdzieś tam podświadomie czuje moje wsparcie, które bardzo mocno starałam się mu dać, chociaż tak na odległość.

Na każdym pogrzebie przychodzi taki porażający moment, gdy bliscy zmarłego uświadamiają sobie swoją stratę. Tutaj stało się tak po złożeniu ciała Egberta Santana w grobowcu. Przeszły mnie ciarki i zrobiło mi się smutno, bo mimo iż nie znałam tego człowieka, to zdążyłam się zorientować, że cieszył się wśród ludzi szacunkiem,

poważaniem i sympatią. Nawet święta trójca spoważniała i pożegnała mężczyznę z szacunkiem.

A Adrien... Adrien i Keira pogrążyli się w rozpacz. Keira otwarcie płakała. Oplatała dłońmi ramię swojego brata i w pewnym momencie cała przytuliła się do jego boku. Widok Adriena natomiast złamał mi serce, bo oczy miał zaczerwienione i wilgotne, choć nie miałam żadnych wątpliwości, że walczy ze sobą, by łzy nie zaczęły spływać mu po policzkach. Chyba trochę drżał i w pewnym momencie objął Keirę drugą ręką, tak że stali teraz w uścisku, przeżywając razem utratę swojego taty.

Grace stała obok i choć pogrzeb chyba nie wstrząsnął nią aż tak bardzo, to zachowywała należną powagę, zwłaszcza teraz, gdy jej przyrodnie rodzeństwo tak cierpiało na oczach wszystkich.

W pewnej chwili Adrien niespodziewanie na mnie spojrział. Raczej mnie nie szukał; zerknął na mnie przypadkiem i poza smutkiem nie zobaczyłam w jego oczach nic. Szybko odwrócił ode mnie wzrok, ale ja patrzyłam nadal – obserwowałam tego mężczyznę z narastającą rozpaczą. Tak bardzo bolała mnie jego żałoba.

Sama wiedziałam dobrze, jak to jest stracić rodzica, i żałowałam, że nie mogę zrobić nic, by złagodzić jego ból. Zwłaszcza gdy po policzku spłynęła mu długo powstrzymywana łza. Nie sądziłam, że tak mnie ten widok poruszy, ale poczułam, że moje oczy też robią się mokre. To było tak niesprawiedliwe...

Pragnęłam podejść do niego, a raczej rzucić się w jego stronę, żeby dać mu swoje wsparcie. Fizycznie mu je dać. To, że nie mogłam tego zrobić, że musiałam zachować dystans, ukrywać naszą relację przed innymi, w tej sytuacji było dla mnie istną torturą.

Bardzo chciałam się do niego przytulić i dać mu znać, że jestem z nim i że... że jeżeli tego potrzebuje, to może zawsze będę... chociaż tak niedaleko, pod telefonem czy coś...

Naprawdę mocno się poryczałam.

Wpatrywałam się tak w Adriena, a z moich oczu płynął potok łez. Nie starałam się ich ukryć. Miałam wrażenie, że ktoś dźga mnie nożem, i nie była to tylko obrazowa metafora, bo w końcu wiedziałam, jakie to uczucie.

Byłam tak zapłakana, że dopiero po pewnym czasie poczułam się, iż jestem obserwowana. Serce zabiło mi mocniej i rozejrzałam się z lękiem. Wtedy go zobaczyłam. Mimo łez, które sprawiały, że obraz przed moimi oczami był rozmazany, dostrzegłam wyraźnie jego przenikliwe, chłodne tęczęwki.

Zamarłam.

Vincent przeniósł spojrzenie na niego.

I z powrotem na mnie.

Widziałam ten intensywny błysk w jego oczach, gdy uświadomił sobie to, co do tej pory mu umykało.

On wie.

O Boże.

Czy on wie?!

Vincent nie spuszczał teraz ze mnie swojego błękitnego, surowego spojrzenia. Ogrom emocji, jaki wyrażały jego oczy, niemal mnie zmiażdżył. On sam chyba do końca nie nadążał za tym, co się dzieje, tym, co właśnie odkrywał. Rzadko odsłaniał się przed nim aż tak wielki chaos. Zwykle wiedział o sprawach, zanim zdążyły urosnąć do rozmiarów takiego skandalu. Teraz jednak spotkało go srogie zaskoczenie. Rozchylił nawet lekko usta, jakby zaschło mu w gardle, a źrenice mu się rozszerzyły.

To nie była typowa dla Vincenta mina. Przeraziłam się jej na tyle, że natychmiast uciekłam od niej wzrokiem. Serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Swoje oczy wbiłam w ziemię. Może jak nie będę na niego patrzeć, to czas się cofnie? Vince odpuści i uda, że niczego nie dostrzegł?

Oblał mnie zimny pot.

Czy ja się właśnie zdemaskowałam przed swoim najstarszym bratem?

Po długich tygodniach konspiracji dałam się nakryć na cholernym pogrzebie?!

Poruszyłam się niespokojnie. Will napiął ramię, którym mnie podtrzymywał, żeby dać mi stabilniejsze oparcie. Nie patrzyłam na niego. Nie patrzyłam na nikogo. Obserwowałam łzy kapiące mi z nosa prosto na betonową posadzkę i starałam się nie zemdleć. Chociaż może to nie byłoby niefortunne. Może dobrze byłoby zemdleć i uciec od tej koszmarnej sytuacji.

Gdyby Vincent zechciał mnie teraz zabić, przynajmniej byliśmy wszyscy na cmentarzu.

Ten głupi żarcik, który wbrew mojej woli pojawił się w mojej głowie, ani trochę mnie nie rozbawił. A nawet gorzej – potraktowałam go poważnie i widziałam w nim sens.

Ceremonia dobiegła końca i ludzie zaczęli się rozchodzić. Moje spojrzenie nadal było utkwione w ziemi. Bałam się spojrzeć na Adriana, jeszcze bardziej obawiałam się zerknąć na Vince'a. W mojej głowie pojawiła się nedorzeczna wizja, że Vincent

wyciąga broń i strzela do Santana. To była zupełna abstrakcja, ale mimo to modliłam się, by nie usłyszeć zaraz strzałów.

Will się poruszył i delikatnie pociągnął mnie za sobą.

– Hailie, wszystko okej? – zapytał, nachylając się do mnie.

– M-hm.

– Rozumiem cię, malutka, ja też nie lubię pogrzebów – powiedział smętnie.

– Wracamy już do domu? – wymamrotałam przez zaciśnięte gardło.

W rzeczywistości drżałam przed powrotem. Tak bardzo obawiałam się konfrontacji z Vince'em, że już chyba wolałabym zostać na tym cmentarzu.

– Już, zaraz – obiecał. – Złożymy tylko kondolencje Adrienowi.

Z cichym jękiem wcisnęłam skroń w ramię Willa, a on objął mnie jeszcze mocniej. Pewnie pomyślał, że to ponura atmosfera tej smutnej ceremonii tak bardzo mnie przygnębiła i dlatego chcę wracać.

A mnie przecież przerażała perspektywa podejścia do Adriana. O Boże, ja nie mogę się teraz do niego zbliżyć. Nie, gdy Vince...

Vincent? Gdzie Vincent?

On wie.

Vincent chyba wie? Czy jednak nie?

Nie wie?

Znowu zrobiło mi się niedobrze. Przyłożyłam dłoń do brzucha.

– Co się dzieje, Hailie? – zapytał Will ze zmartwieniem, znowu się ku mnie nachylając.

Moja głowa ciągle była schylona. Widziałam tylko ziemię i buty przechodzących obok nas osób. W większości były one drogie, eleganckie, zadbane i... męskie – w moim najbliższym otoczeniu kręcili się głównie moi bracia.

Pokręciłam głową.

– Co jest? – To był głos Dylana.

– Nie wiem, chyba pogrzeb tak ją zasmucił – odparł Will z westchnieniem, przytulając mnie jeszcze mocniej.

– Puść ją, Will. – To natomiast był głos Vincenta.

Rozbrzmiał wyjątkowo lodowato.

Spięłam się i znieruchomiałam.

On wie.

– Żeby upadła? – zdenerwował się Will. Chyba nie rozumiał, skąd nagle taki ton u naszego najstarszego brata.

Ale to dlatego, że Will nie wiedział, a Vince wiedział.

Bo gdyby Will wiedział, też byłby zły.

W co ja się wpakowałam?

– Ja podejść z nią do Adriena – powiedział szorstko Vincent. – Byłem i z punktu widzenia Organizacji nadal jestem jej prawnym opiekunem. Tak wypada.

Jak zwykle nikt z nim za bardzo nie dyskutował i opiekuńcze ramię Willa zastąpiła twarda ręka Vince'a.

Zadrzałam. Od mojego najstarszego brata zazwyczaj były chłód i dystans, które teraz zdawały się po stokroć intensywniejsze.

Bo on wiedział.

Szłam powoli, celowo jak najostrożniej stawiając kulę, ale Vince, upiornie ciepły, mnie nie poganiał. Ani się nie odzywał. Zdawało mi się, że ma mi dużo do powiedzenia i że jego niewypowiedziane słowa wiszą nad nami, zagęszczając powietrze, w którym niemalże się dusiłam.

Serio robiło mi się słabo.

Najpierw zobaczyłam jego buty. Pojawiły się na betonowym chodniku. Z jakiegoś powodu rozpoznałam, że należą do Adriena. Może dlatego, że stały nieruchomo, w przeciwieństwie do wszystkich innych wokół, które stawiały małe kroczki. Żałobnicy rozchodzili się do domów. A może po prostu wyczułam, że znalazłam się blisko Santana. W końcu spędzaliśmy już ze sobą trochę czasu. Zdążyłam go poznać i odkryć, jakie to uczucie znajdować się w jego pobliżu.

– Adrienie – odezwał się Vincent, potwierdzając moje domysły.

W jego głosie czuło się chłód, ale nie taki jak zwykle. Jego ton, choć spokojny, wrzeszczał, że on wie.

Bo było raczej niemożliwe, by nie wiedział.

– Vincencie... – odpowiedział na jego pozdrowienie Adrien cichym zachrypniętym głosem.

Miałam potrzebę go zobaczyć. Jego twarz, z bliska. Jego czekoladowe oczy. Chciałam, by się do mnie uśmiechnął. Lekko, tak ukradkiem. Ja wiem, że to pogrzeb jego taty. Ja wiem. Może niech się nie uśmiecha w takim razie, nie musi się uśmiechać.

Ale niech mrugnie do mnie albo chociaż skinie głową. O tak, to byłoby w porządku. Skinięcie głową. Idealnie neutralne.

Sama prawie się smutno uśmiechnęłam na wspomnienie mleka kokosowego.

Jednocześnie ja swojej głowy nie uniosłam. Obawiałam się, że on tego nie zrobi. Że nie da mi znaku.

Czy coś jest nie tak, czy sobie to wmawiam?

Poczułam, jak palce Vincenta delikatnie łapią za mój podbródek i go unoszą. Wstrzymałam oddech.

Zmusił mnie w ten sposób, byśmy na siebie z Adrienem spojrzeli. W ten sposób Vince potwierdzał, że to, co odkrył, jest prawdą.

Nie przegapiłby żadnego, nawet najmniejszego skurczu mięśnia na mojej twarzy. A ja nie potrafiłam skupić się na tym, by się pilnować, bo właśnie utonęłam w oczach stojącego przede mną mężczyzny.

Nadal były zaczerwienione. Trochę zmęczone, posępne. Nie tryskały miłością ani wdzięcznością. Nawet nie zwykłą uprzejmością. Coś w nich błysnęło na mój widok, ale nie było to nic na tyle silnego, by przebić się przez maskę obojętności, którą założył.

Tylko taki jakby słaby sygnał, że coś między nami jest, ale w sumie nic wielkiego.

Tak ja to odczytałam.

Za to Adrien dał mi odczuć coś dużo mocniej – dystans. Nie skomentował mojej obecności, nie wypowiedział mojego imienia i nazwiska, jak to miał w zwyczaju. Nie wyglądał nawet na poruszonego lub chociażby zaskoczonego, że płakałam tak bardzo na pogrzebie jego taty, którego nie znałam.

Bolało mnie to, bo ja chciałam coś zrobić, dać mu znać, że mi przykro, że chcę pomóc. Wmawiałam sobie, że ten brak emocji jest związany z obecnością Vincenta, ale czy musiał być aż tak oschły...?

Jeśli to tylko poza, to niech przestanie, proszę.

– Ja i moja siostra chcielibyśmy złożyć twojej rodzinie najszczerze kondolencje – wyrecytował Vincent, obserwując uważnie cieniutką nić porozumienia, która samoistnie wytworzyła się między mną i Adrienem, gdy na siebie spojrzeliśmy, a która natychmiast rozplynęła się w powietrzu. I to głównie z inicjatywy Santana.

Powietrze wkoło się naelektryzowało.

– Dziękuję – odparł Adrien, przenosząc wzrok na Vincenta.

– Czy i ty chciałbyś mi coś powiedzieć?

Wyjątkowo wymowne pytanie, nawet ja odczytałam w nim drugie dno.

Intensywnie i wyczekująco wpatrywałam się teraz w Adriena, żeby dać mu znać (gdyby się jeszcze nie zorientował), że Vincent wie.

Adrien wiedział, że Vincent wie.

To koniec, trzeba się przyznać, mówiłam sobie w duchu. Vincent nie lubi, kiedy robi się z niego idiotę. On już wie, więc trzeba mu powiedzieć i spróbować przekonać, że nasze uczucie to coś poważnego. Że to nie zabawa.

– Adrien? – szepnęłam cichutko.

Już po wszystkim, Adrien. Niech się dzieje, co chce.

Ale on patrzył na mnie chwilę dłużej, a potem przeniósł wzrok na Vincenta. W jego tęczówkach zamajaczyła tylko bolesna obojętność.

– Nic.



35

GNIEW POZA JAKĄKOLWIEK SKALĄ

Vincent złapał mnie mocno za rękę i pociągnął z dala od Adriena. Obchodził się ze mną delikatnie, ale stanowczo, a mi było już wszystko jedno, więc się podporządkowywałam. Gdzieś z boku mignęło mi pełne empatii spojrzenie Willa, a trochę dalej takie zakłopotane, należące do Dylana. Jakiś obcy mężczyzna z bródką obserwował mnie z wyjątkowym skupieniem, ale nie poświęciłam nawet sekundy, by zastanowić się kto to. Odwróciłam się, by ostatni raz zerknąć na Adriena, ale ten zamienił się w rozmytą smugę. Nawet nie wiedziałam, czy też się za mną obejrzał.

Chyba nie, chyba ścisnął czyjąś dłoń, przyjmując kolejne kondolencje.

Ta nagle niebezpiecznie skumulowana przykrość, jakiej doświadczałam, wysłała ze mnie jakiegokolwiek chęci do czegokolwiek, dlatego nawet nie zorientowałam się, że Vincent doprowadził mnie do swojego samochodu, dopóki w nim nie usiadłam. Rozglądałam się ze zdezorientowaniem przez szyby. Nadal niewiele rejestrowałam. Żalobnicy tworzyli jedną wielką plamę przed moimi załzawionymi oczami, tak jakby Lissy złapała za pędzel i rozmasowała czarną farbę na moich soczewkach.

Zacisnęłam palce w pięści ze stresu i nerwów, a wtedy zorientowałam się, że ktoś, prawdopodobnie Vincent, wcisnął mi w nie czarną chustkę. Uniosłam ją do policzków,

by pozbyć się łez, w pełni świadoma, że w ten sposób rozmażę sobie resztki tuszu do rzęs. Nie powinnam była malować ich na pogrzeb. Łkałam cichutko, ale wreszcie zdołałam się uspokoić i rozejrzeć z większą trzeźwością.

Miejsce kierowcy obok mnie było puste, bo Vincent stał przy aucie i szeptał coś Anji do ucha. Ta kiwała głową, przygryzając ze zmartwieniem wargę. Gdzieś tam obok widziałam, jak Dylan pokazuje na swoje auto i woła coś do bliźniaków. Generalnie wszyscy zdawali się pochłonięci sprawami organizacyjnymi. Nikogo za bardzo nie dziwiła rycząca dziewczyna w aucie. W końcu okoliczności sprzyjały takim widokom.

Próbowałam obejrzeć się za Adrienem raz jeszcze, ale już nie potrafiłam go dostrzec. Może to i lepiej. Uderzyłam głową o zagłówek, wzdychając cicho i przymykając powieki. Nareszcie mogłam wziąć głębszy oddech. Chyba powoli się uspokajałam.

Otworzyłam oczy, gdy drzwi od auta trzasnęły cicho. Vincent zasiadł na swoim miejscu i bez słowa odpalił silnik. O ile zdążyłam się zorientować, wyjechaliśmy z terenu cmentarza jako pierwsi z naszej rodziny. Nie zadawałam pytań, choć wiele z nich cisnęło mi się na usta. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Dłonie, w których trzymałam wciąż chustkę Vince'a, złożyłam luźno na udach okrytych czarnym materiałem sukienki. Patrzyłam nieprzytomnym wzrokiem w drzewa, które mijaliśmy, osuwając się powoli z tym dziwnym, tępych bólem w sercu.

Vincent nie odezwał się do mnie ani razu. Nie analizowałam jego zachowania zbyt długo, ale znając go, obmyślał, jak najlepiej poradzić sobie z zaistniałą sytuacją.

Cóż, mnie było wszystko jedno.

Kiedy zatrzymaliśmy się w garażu, a auto przestało pracować, Vince nie ruszał się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie przemówił cicho:

– Pójdziemy teraz do mojego gabinetu.

Skinęłam głową, ignorując gęsią skórkę. Tak naprawdę to nie tak, że ja się jakoś bardzo Vincenta bałam, nie po tylu latach, kiedy byłam już z nim maksymalnie spoufalona. Po prostu jego sposób bycia mroził, tak z automatu.

Na schodach słyszałam dobiegające gdzieś najprawdopodobniej z salonu głosy dzieci Vince'a, ale nie zamierzałam się z nimi teraz witać i straszyć ich swoim depresyjnym nastrojem. Mój brat też zdecydował się odpuścić sobie na razie ojcowskie przytulasy, bo podązał tuż za mną. Pamiętałam, że gdy ja byłam młodsza i tu z nim

mieszkałam, też rzadko kiedy wiedziałam, kiedy wracał do domu. Pojawiał się w nim i znikał jak duch.

Zakazany korytarz to była ta część domu, która nigdy miała nie przestać kojarzyć mi się z moimi nastoletnimi latami. I choć od dłuższego czasu już mogłam się po niej przechadzać w miarę swobodnie, to w momentach takich jak ten, kiedy szłam tam jawnie na rozmowę z Vince'em, czułam niepokój i znajome z okresu, gdy regularnie zbierałam ochrzany od najstarszego brata, mrowienie w żołądku.

Automatycznie kierowałam się w stronę jednego z dwóch skórzanych foteli, które w niezmiennym ustawieniu znajdowały się naprzeciwko wielkiego biurka Vincenta, ale on mnie zatrzymał. Złapał za łokieć, gdy tylko zamknęły się za nami drzwi i obrócił w swoją stronę.

Jeśli na przestrzeni lat oczy Vincenta coś zyskały, to chyba jeszcze więcej bystrości. Zawsze potrafił czytać ze mnie jak ze znalezionej pod poduszką pamiętnika nastolatki i to takiego niechronionego nawet nędzną kłódką. Jednak znaleźliśmy się już tak długo i dobrze, że teraz miałam wrażenie, jakby jednym spojrzeniem wręcz zeskanował całą moją duszę.

– Adrien Santan – powiedział bardzo cicho i powoli, jakby chciał zaznaczyć, o kim będziemy tu mówić.

Nie, żeby to było potrzebne, bo oboje przecież doskonale wiedzieliśmy, kto ma zaszczyt być przedmiotem tego zapowiadającego się na nieprzyjemny wykładu.

Milczałam, odwzajemniając wzrok Vincenta, totalnie bezbronna.

– Co on ci zrobił? – wyszeptał, marszcząc z trwogą brwi.

Jeśli moim sukcesem było powstrzymanie łez, to w tym momencie ponownie poniosłam porażkę, bo te trysnęły na nowo. Dłoń Vincenta zacisnęła się najpierw mocniej na moim łokciu, a potem szybko poluzowała.

Z trudem przełknęłam ślinę przez zaciśnięte gardło i odparłam, ledwo słyszalnie:

– Nic.

Nic.

Nic.

To słowo dźwięczało w moich uszach, odbijało się w nich bolesnym echem, jakby było najbardziej nieznośnym wrzaskiem, a przecież w rzeczywistości zostało wypowiedziane bardzo cicho.

– Hailie... – Vincent westchnął głęboko, puścił mój łokieć, a potem zaraz zamknął mnie w bardzo ciasnym uścisku. Zwykle się na nie nie zdobywał, mało kiedy przytulał kogoś tak mocno. Mało ludzi na tym świecie miało przywilej doświadczenia czułości od Vincenta. Może jego żona, gdy dzielili prywatne chwile. Może jego córka, gdy budziła się przerażona koszmarem nocnym. No i najwyraźniej jego siostra, gdy płakała z przykrości.

– Przepraszam – wymamrotałam.

– Co on ci zrobił? – powtórzył Vincent tonem dużo bardziej stanowczo domagającym się odpowiedzi. – Powiedz, proszę.

Przytuliłam policzek do jego marynarki.

– On tylko... – mamrotałam – sprawił, że czułam się...

– Jak, Hailie? – pytał w napięciu Vince.

Jego głos brzmiał surowo, jego uścisk był twardy, a mimo wszystko dawał mi komfort. Zanim odpowiedziałam, zawahałam się na moment.

– Dobrze.

Dłoń Vincenta przestała gładzić moje plecy.

– Sprawił, że czułam się dobrze – powtórzyłam, pociągając nosem. – A teraz, Vince, czuję się źle.

– Usiądź – powiedział w końcu sucho i sztywną ręką podprowadził mnie do kanapy w kącie gabinetu. Niewiele się tu zmieniało, Vince nie przepadał za przemeblowaniami.

Tutaj lata temu panikowałam, bo przy Adrienie zdradziłam, że Camden Monet żyje, tutaj wtedy Adrien wypowiedział do mnie słowa, których potem pożałował, a które niedawno ja wypowiedziałam do niego. Jeszcze niedawno klękał przede mną i tyle mówił, a teraz nie mówił nic. Albo właśnie mówił tylko to. „Nic”.

– Co łączy cię z Adrienem Santanem? – zapytał Vincent, jakby zaczynał ze mną rozmowę od początku. Zasiadł obok mnie, patrzył na mnie i nawet podał mi kolejną chusteczkę.

Nic?

Wzruszyłam ramionami.

– To ważne, Hailie. Powiedz mi, proszę. Nie będę na ciebie zły, ale powiedz mi.

Vincent silił się na łagodność. Potrafił być delikatny, jeśli bardzo chciał. Dumnie uważałam, że nauczył się tego przy mnie, od kiedy zamieszkałam w Rezydencji

Monetów, a wiedzę tę pogłębiał teraz dzięki trwaniu w długim związku z kobietą, którą kochał, oraz swoim dzieciom.

– Będiesz, bo kazałeś mi się trzymać od niego z daleka, a ja nie posłuchałam – wyznałam dramatycznie.

Kątem oka widziałam, jak Vincent przymyka powieki.

– Nie będę zadowolony – przyznał. – Ale nie będę się na ciebie złościł.

Spuściłam wzrok na kolana. Chciałam przebrać już tę czarną sukienkę w coś wygodniejszego i mniej dołującego.

– Zrobił dla mnie dużo miłych rzeczy – zdradziłam cicho. – Na przykład piknik na plaży. Zaprosił na kolację.

– Hailie, zgadzałaś się na to?

– Traktowałam go z dystansem, ale on się nie poddawał.

Dlaczego poddał się teraz?

– Co mówił?

Och, ja bardzo dobrze pamiętałam, co mówił. Jego słowa nie raz wbiły mnie w ziemię.

– Że chce relacji – odpowiadałam, bawiąc się materiałem sukienki. – Że jestem dla niego wyjątkowa, że czuje ze mną porozumienie.

Brzmiał wtedy na szczerego.

– Mówił, że zrobi dla mnie wszystko.

Nieczęsto dawało się wyczytać coś z twarzy Vincenta, ale teraz widziałam doskonale, jak z trudem kamufluje furję. Pobladał strasznie, jak zawsze, gdy się denerwował.

– Czy cię dotknął? – zapytał surowym szeptem.

Uniosłam na niego spojrzenie. Nie było sensu kłamać. Najpierw podwinęłam lekko dolną wargę, z ulgą odkrywając, że nareszcie przestała mi drzeć, a potem kiwnęłam głową.

Vincent wstał. Nie zwykł zrywać się gwałtownie, ale i tak zrobił to na tyle szybko, że dało się wyczuć jego złość. Dopiero teraz zrobiło mu się z tych emocji na tyle gorąco, by przypomnieć sobie, że czas zdjąć płaszcz. Przewiesił go przez swój wielki fotel za biurkiem i, nie zatrzymując się ani na chwilę, ruszył do barku.

– Poczęstujesz i mnie? – zapytałam nieśmiało.

Wiedziałam, że Vince raczej nie należy mi whisky sam z siebie, na pewno nie w takich okolicznościach. Miałam rację, bo rzucił mi najpierw uważne spojrzenie, jakby ostrzegał mnie przed przekraczaniem granicy. Koniec końców jednak opłacało się upomnieć o swoje, bo stwierdził najwyraźniej, że z tego wszystkiego mnie też należy się szklaneczka czegoś mocniejszego.

– Dziękuję – mruknęłam, a on usiadł z powrotem obok i patrzył na mnie wyczekująco, spojrzeniem groźnym jak mało kiedy. Nie czekał bowiem na moje uprzejmości, ale wyjaśnienia, i coś mi mówiło, że niewiele mu brakowało, by zwołać spotkanie Organizacji i skazać Santana na wieczność w lochach za to, że mnie bezprawnie tknął. Nie wiem, jak to tam dokładnie u nich wyglądało, ale wyobrażałam sobie, że tak mogli działać...

– Wiem, że powinien był najpierw porozmawiać z tobą, ale przyznasz, że to trochę idiotyczna zasada – odezwałam się. Vincent nie zamierzał mi niczego przyznawać, na pewno nie racji, dlatego westchnęłam i kontynuowałam: – Adrien mnie dotknął, kilka razy. Za każdym razem wyraźnie upewniał się, że sobie tego życzę. A ja... – zawiesiłam na chwilę głos, zagryzłam wargę, po czym utkwiałam zrezygnowany wzrok w bracie. – A ja sobie tego akurat życzylam.

– Dziecko drogie, dlaczego? – Vincent marszczył czoło, nie rozumiejąc.

– Był dla mnie taki miły, Vince, taki pełen szacunku i oddania, wydawał się szczery i tak długo zabiegał, robił to tak dobrze, że ja... w końcu... Poddalam się.

Milczał, przepracowując sobie to, co powiedziałam. Wziął łyk whisky. Przypomniał mi tym, że i ja miałam ochotę zamoczyć w niej usta. Pogryzłam je ze stresu tak, że teraz nieprzyjemnie zapiekły mnie w kontakcie z alkoholem.

– Odwiedzałam Mayę we Francji. Dowiedział się i przyleciał. To będąc z nim, skręciłam kostkę. Załatwił mi pomoc w szpitalu bez okazywania ubezpieczenia, żebyś się nie dowiedział. Nie chciałam, żebyś wiedział. Trochę bałam się, że się zdenerwujesz...

Vince słuchał uważnie i wzrokiem jakby potwierdzał, że tutaj wszystko się zgadza: teraz też się zdenerwował.

– A trochę nie wiedziałam, czy jest sens zawracać ci głowę – dokończyłam. – Bo nie byłam pewna, czy ten Adrien to tak na poważnie. Ale dzień przed śmiercią jego taty uświadomiłam sobie, że on coś ze mną zrobił... Myślę o nim, Vince, i ściska mnie

w sercu. Czuję dreszcze jak na koncercie i chce mi się płakać, ale tak z uśmiechem i bez łez.

Obserwował mnie tak uważnie, że prawie nie mrugał.

– Powiedział, że zadzwoni – ciągnęłam tępo. – A potem wpadł Shane i dowiedziałam się, że Egbert Santan nie żyje. Więc ja zadzwoniłam. Chciałam złożyć kondolencje lub szepnąć kojące słowo. Zrobić cokolwiek, by okazać mu wsparcie. – Przerwałam na chwilę, po czym zakończyłam ponuro: – A on nie odebrał.

Nie wiem, czy to, co zrzuciłam na Vince'a, było dla niego bombą, po której zbierał się pod wyzutą z emocji maską, ale faktem było, że przyjmował moje rewelacje we względny spokój.

Może gasił wściekłość whisky, którą popijał częściej niż przy zwyczajnej rozmowie.

– Vince, dlaczego odpowiedział „nic”? – zapytałam nagle zachrypniętym głosem. – Wiedział, że wiesz i że ja wiem. Widziałam to w jego oczach. Dlaczego się wyparł?

Vincent nadal się nie odzywał.

– Czy to przez śmierć jego ojca? Czy jest tak załamany, że wszystko mu jedno? – pytałam. – A może przeraził się twojej reakcji? Nie chciał sceny na pogrzebie?

Vince odchrząknął, nareszcie decydując się zabrać głos. Dobrze, w samą porę, bo mogłam recytować tak pytania bez końca.

– Moje pytanie skierowane do niego podszyte było komunikatem, że już się względnie zorientowałam, co się dzieje. To było wszystko, co w tamtym momencie zamierzałam mu przekazać. Adrien zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, co by wtedy odrzekł, moja reakcja będzie taka sama – przerwał na chwilę i rzucił mi ostrożne spojrzenie. – Sądzę więc, Hailie, że jego odpowiedź była przeznaczona dla ciebie.

Zrobiło mi się niedobrze, a Vince zobaczył chyba ból w moich oczach, ten, który poczułam też w klatce piersiowej, bo westchnął.

– Ale to dlatego, że jego tata zmarł, prawda? Jest mu przykro i potrzebuje chwili – wymamrotałam, spuszczać głowę.

Patrzył na mnie bez słowa.

– Egbert Santan do mnie dzwonił! – zawołałam w rozpacz.

– Co, proszę? – Brwi Vincenta nastroszyły się jeszcze bardziej.

– Dzień przed śmiercią zadzwonił do mnie ojciec Adriena i próbował wyjaśnić mi, dlaczego uważa, że moja relacja z jego synem jest niebezpieczna i skazana na porażkę.

– To jest kpina – prychnął Vincent, po raz pierwszy pokazując oznaki prawdziwego gniewu. Do tej pory się kontrolował, ale teraz nie wytrzymał. Odłożył szklankę na bok, wstał i przeszedł się w stronę biurka. Chciałam, żeby jakoś zareagował na moje słowa, ale teraz, gdy to robił, bałam się, bo wołałam jednak, gdy się pilnował. Był wtedy bardziej przewidywalny i można było założyć, że to, co się aktualnie wyprawia, nie jest kompletną katastrofą.

– Może Egbert rozmawiał też z Adrienem i dlatego teraz się tak zachowuje? – zastanawiałam się na głos. Ta myśl dawała mi cień nadziei.

Vincent odwrócił się, a jego oczy zmieniły się w istne lodowisko. W mojej wyobraźni nad jego głową zawisły ciemne chmury. Tłoczyły się pod sufitem i mało brakowało, aby z nadmiaru zaczęły się obniżać. Przecież jeszcze chwila, a one nas tu poduszają.

– To za wiele, Hailie – odezwał się. Nie grzmiał jak burza, co pasowałoby do opisanej wyżej atmosfery: jego syk był cichy i groźny. – Egbert i Adrien nie mieli prawa się z tobą kontaktować za moimi plecami. To duże wykroczenie i jestem zdumiony, że dorośli członkowie Organizacji mieli czelność się go dopuścić.

Zacisnęłam szczękę z niezadowoleniem. Gdyby nie problem z kostką, też bym wstała i zaczęła się wielce wzburzonym krokiem przechadzać po gabinecie.

– Według mnie to było bardzo sensowne, że Egbert odezwał się do mnie. To ja tu jestem główną zainteresowaną. To o relację Adriena ZE MNA się rozchodzi.

– Rozumiem, że patrzysz na tę sytuację przez pryzmat uczuć i skupiasz się na, jak to nazwałaś, relacji, która to tworzy się pomiędzy tobą a Adrienem Santanem, ale z mojej perspektywy i z perspektywy pozostałych członków Organizacji wygląda to inaczej – przemówił z powagą. – Musisz mieć świadomość, Hailie, że w tej sytuacji w grę nie wchodzi tylko twoje prywatne uczucia. Z każdym innym mężczyzną tak by było, ale niestety, twoje interakcje z Adrienem Santanem to interes całej Organizacji. To biznes, moja droga siostró. Nie ma tu miejsca na prywatność i sekrety.

– To też ma swoje granice! Biznes biznesem, ale ty, na przykład, składając kondolencje, zaatakowałaś dziś Adriena w bardzo nieładny sposób – wytknęłam mu, przypominając sobie, w jakim Adrien był przecież stanie.

– Tutaj nie ma miejsca na ładnie lub brzydko, Hailie – odparł Vincent. – Jego wykroczenie to poważna sprawa, należy odłożyć uprzejmości na stronę.

Oparłam się o poduszkę kanapy i ze zrezygnowaniem upiłam whisky. Vincent nalał mi jej śmiesznie mało, jednak był to konkretny, dobry trunek, którego i tak nie dało rady łykać haustami.

– Był dla mnie dobry, Vince – wymamrotałam po jakimś czasie. – Naprawdę go polubiłam.

Mój brat popatrzył na mnie z dystansem.

– Dzisiaj cię zranił – zauważył. – Nie dostrzegłem jego dobroci.

Podniosłam z przejęciem głowę i poruszyłam się niespokojnie. Naprawdę potrzebowałam wstać, siedząc na kanapie, czułam, że moje słowa mają zbyt słaby przekaz.

– To pogrzeb jego taty...

– „Załatwmy to, proszę, później” – zaczął Vincent, nie odrywając ode mnie przeszywającego spojrzenia. – „Dziś nie czuję się najlepiej, porozmawiajmy, proszę, później”. „Wybacz, Hailie, potrzebuję czasu, by przepracować sobie obecną sytuację. Odezwe się za jakiś czas”. To są najbardziej podstawowe wypowiedzi, jakie człowiek, który traktuje cię na poważnie, powinien do ciebie skierować w podobnych okolicznościach. Adrien Santan jest na tyle wyedukowany, że dobrze zdaje sobie z tego sprawę.

Spuściłam głowę. Znowu zrobiło mi się tak okropnie przykro.

Vincent obserwował mnie przez chwilę na pierwszy rzut oka niewzruszony, ale po chwili usłyszałam, jak odstawia szklanke na blat biurka i zbliża się do mnie.

– Adrien Santan popełnił poważny błąd – szepnął. – Łamanie zasad, naruszanie mojego zaufania i uwodzenie mojej młodszej siostry za moimi plecami to już kilka mocnych przewinień, ale doprowadzanie jej do płaczu, to coś nie do przyjęcia. Powinnaś wiedzieć, Hailie, że nie zostanie mu to podarowane.

Ponownie uniosłam oczy. Vincent stał nade mną i patrzył w dół z zaciśniętymi ustami.

– Nic nie rób, proszę – jęknęłam. – Nie ma sensu, Vince, naprawdę. Ja sama w to poszłam. Poza tym... – Pociągnęłam nosem. – Jeszcze nic nie wiadomo, prawda? Może zadzwoni, wyjaśni, może ja zadzwonię...

Palce Vincenta po raz kolejny dziś złapały mnie pod podbródek i pociągnęły go jeszcze wyżej, by nasze oczy złapały pewny kontakt.

– Nie zadzwonisz do niego.

– Ale chodzi o to, że...

Przełknęłam ślinę, gdy jego uścisk zrobił się nieco mocniejszy.

– Nigdy nie narzucaj nikomu swojej pomocy.

– Tata mu umarł, może jest w rozsypce i nie wie, że...

– Masz wielkie serce, Hailie, twoja pomoc jest szczerą i bezinteresowną, toteż zasługuje na szacunek. Pomagaj tym, którzy potrafią ją docenić.

Dobrze, że trzymał mi tę brodę, bo inaczej zaczęłyby drżeć.

– Ale ja tak bardzo chcę, żeby on poczuł się lepiej i był choć trochę jak jeszcze przed chwilą – zapłakałam.

– Wiem, że chcesz – westchnął Vincent i pogłaskał moją głowę, a potem złapał ją stabilnie w ręce po obu stronach i mruknął cicho, z tym że bardziej chyba do siebie, niż do mnie: – To nieprawdopodobne, że miał czelność dobrać się do kogoś tak dla naszej rodziny cennego.

Przymknęłam powieki, by uciec przed jego spojrzeniem, zawstydzona, że ze swojej strony sama w ogóle na to pozwoliłam.

– Jesteś mniej zły, niż się spodziewałam – wyznałam cicho.

– Och, gniew, jaki czuję w tym momencie, jest poza jakąkolwiek skalą, drogie dziecko, możesz mi wierzyć. To nie na tobie jednak zamierzam go wyładować.

– Zrobisz to na Adrienie? – Zerknęłam na niego z dołu.

Vincent pokiwał sztywno głową, odwzajemniając spojrzenie, ale trochę zamyślony.

– Jesteś młoda, Hailie. On zaś jest od ciebie starszy i oczywiście, że bardziej doświadczony. Wie, jak zaimponować, jak oczarować elokwencją. Jeśli nie miał czystych intencji, to wysoce niewłaściwe, że użył tej przewagi przeciwko tobie.

– Twierdził, że intencje ma szczerą – mruknęłam, za wszelką cenę starając się go jeszcze wybronić.

– Jego „nic” temu przeczy.

Znowu zacisnął mi się żołądek na dźwięk tego słowa.

– Dlatego może, że to był pogrzeb jego taty!

– Zataczamy koło, Hailie. Już o tym rozmawialiśmy.

– No bo musi być na to jakieś wytłumaczenie – westchnęłam z żalnością, na powrót znajdując ukojenie w uścisku Vincenta.

Nie przypuszczałam, że to on okaże się tak dobrym pocieszycielem. Był dobrym słuchaczem, tego już nauczyłam się wcześniej. Trochę jak Shane, ale między Shane'em

a Vince'em była zasadnicza różnica: problem mojego najstarszego brata ze słuchaniem był taki, że na końcu wyciągał wnioski z tego, co usłyszał i często te wnioski skutkowały dla mnie karą. Teraz było jednak inaczej. Niespodziewanie Vincent wykazał się zrozumieniem.

Może dorósł i uświadomił sobie, że karanie młodszej siostry za każde przewinienie to nie najlepszy sposób wychowawczy.

A może, jako że sam doświadczył miłości, wiedział, jak trudno z nią walczyć i jak to boli, gdy ta zawodzi?

– Jedno mi obiecaj, Hailie – powiedział na koniec z powagą. – Jakkolwiek fatalnie się teraz czujesz, proszę, nie dzwoń do niego i nie proś się o uwagę. Nie zasługujesz na to, by poświęcać swoją energię na okazywanie wsparcia osobie, która świadomie je odrzuca.



Gabinet ojca był pusty.

Długo się wahałem, zanim odważyłem się wejść do środka. Spodziewałem się, że wszystko będzie tu normalnie, te same meble, barek, stół bilardowy. Tak, jakby Egbert wyszedł stąd na chwilę i zaraz miał wrócić.

„Poczekaj moment, synu”.

Czasem tak mówił, gdy coś mu się przypomniało i wychodził pospieszonym jak na swoje możliwości krokiem. Czekałem, popijając alkohol, bawiąc się bilami lub pisząc wiadomości z kobietą, z którą akurat planowałem się spotkać.

Dziś stanąłem w pustym gabinecie, do którego mój ojciec nigdy nie wróci, choćbym miał czekać w nieskończoność.

Nie zmieniło się to, że ciszę mącił jak zwykle dębowy zegar swoim irytującym tykaniem.

Zamknąłem za sobą podwójne drzwi i ze wstrzymanym oddechem podszedłem do biurka. Kiedy byłem mały, tata brał mnie na kolana podczas pracy i pozwalał bawić się niepotrzebnymi mu papierami. Udawałem, że jestem jak on, łapiąc za jeden z jego eleganckich długopisów, by ćwiczyć podpisy na kartkach. Kiedyś jako sześciolatek wczułem się w swoją rolę za bardzo i nawet sięgnąłem po należąca do taty, stojącą obok szklanke whisky. Dostałem od niego po dłoni tak mocno, że się rozplakałem.

Parsknąłem do siebie z ponurym rozbawieniem, oczy wbijając w blat.

– O co chodzi z tym zegarem? – zapytałem raz, kiedy byłem starszy. Jako nastolatek już wiedziałem, że przedmiot ten jest zupełnie zbędny w biurze ojca. Sugerowałem mu wtedy, że mógłby zostać przynajmniej wymieniony na taki, co chodzi ciszej.

– Uspokaja mnie – odpowiedział z uśmiechem. – Kiedy przesiaduję tu całymi dniami i nocami, dobrze jest wiedzieć, że czas idzie do przodu. Ta świadomość trzyma mnie przy zdrowych zmysłach.

Teraz, już bez ojca, spojrzałem na zegar z obrzydzeniem.

– Czas się zatrzymał – mruknąłem w nicość.

Zacząłem przechadzać się po pomieszczeniu tak, jak czasami robił to Egbert, gdy w głowie ciążyła mu myśl, którą potrzebował rozchodzić.

Rozpamiętywałem rozmowę z Keirą, którą przed chwilą odbyłem. Jechaliśmy autem prowadzonym przez naszego kierowcę, oboje na tylnym siedzeniu. Wpatrywałem się tępo w zagłówek przede mną. Warknąłem do kierowcy, by włączył klimatyzację, bo było mi gorąco, duszno niemal, po całym tym cholernym pogrzebie. Zesztywniałe kończyny nie pozwoliłyby mi się poruszyć i ściągnąć ciemny płaszcz. Nawet nie próbowałem zmusić ich do współpracy.

Kierowca posłusznie wypełnił moje polecenie. Keira milczała, oblizując wargi. Była dużo mniej zżyta z tatą. Nie, żeby nie cierpiała po jego śmierci, ale potrafiła wyobrazić sobie życie bez niego. Miała wrócić do swojej rodziny, z którą mieszkała i u której miała wsparcie na co dzień. Ja takie wsparcie miałem u ojca. Doradzał mi, przestrzegał przed błędami, a gdy jakieś popełniałem, pomagał mi je naprawić.

Kto miał robić to teraz?

Bolała mnie głowa, dręczyły mdłości.

Poczułem dotyk Keiry. Zacisnęła lekko palce na mojej dłoni. Spojrzałem na nią. Posyłała mi smutny uśmiech.

– Zdrowie taty było kruche – wyszeptła współczująco. – Wiedzieliśmy to od dawna.

Wypuściłem powietrze z płuc. Nie miałem ochoty strzępić języka, jednocześnie chciałem jej odpowiedzieć. Przemawiały przeze mnie irytacja i żal, dwa negatywne uczucia, które potrzebowałem z siebie wypluć.

– Bałem się dnia jego śmierci, od kiedy powiedział, że choruje – wyznałem sztywno. Zapatrzyłem się przed siebie i pilnowałem, by dłonie trzymać luźno oparte o uda. Tego uczył mnie ojciec. Kontrolni. Na spotkaniach Organizacji zabawa palcami błyskawicznie została wypatrzona i uznana za przejaw nerwowości. Nie można było sobie na to pozwalać. – Ale potem chorował tak długo, że...

– ...że wszyscy się do tego stanu przyzwyczailiśmy – dokończyła Keira, wzdychając.

Zacisnąłem szczękę.

– Tak. Umarł więc nagle – powiedziałem.

Nie wytrzymałem. Z bezradności zacisnąłem palce w pięść. Miałem ochotę rąbnąć nią w cokolwiek pod ręką.

Keira odpięła pas i zbliżyła się do mojego boku, głowę kładąc na moim ramieniu.

– Wiem, że to nie fair – szepnęła.

– To... – zacząłem wściekle, zdenerwowany jej słowami, ale szybko się powstrzymałem. To nie jej wina, nie zasługiwała na moją złość, więc dokończyłem już spokojniej: – Niedomówienie.

Keira gładziła moją pięść i oderwała głowę od mojego ramienia, by spojrzeć mi uważnie w oczy.

– Adrien... – zagadnęła cicho – dasz sobie radę? Z Organizacją?

Odwzajemniłem jej spojrzenie. Rzadko wspominała biznes rodzinny i Organizację. To były dwie rzeczy, którymi się brzydziła. Teraz jej tęczy kryły w sobie strach i współczucie. Wiedziała sama, że nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić, co ciążyło mi teraz na barkach. I miało na nich ciążyć do końca życia.

A potem przypomniałem sobie kolejną z lekcji taty.

– Musisz być silny, Adrienie – powtarzał, przechadzając się po gabinecie z rękami założonymi na plecach. – Dla siebie, dla rodziny, którą masz, i dla tej, którą kiedyś zbudujesz.

Sądziłem, że nauczyłem się tej siły, jednak dziś czułem, jak sztuczna ona była. Jak napompowany balon, który przekłuło jedno makabryczne wydarzenie. Patrząc w oczy Keiry, uświadomiłem to sobie i poczułem, jak twarz mi tężeje.

Wydostałem dłoń z jej uścisku i objąłem jej ciało. Przytuliłem do siebie. Chętnie pozwoliła na tę zmianę. Potrzebowała widzieć, że się trzymam i że sobie radzę.

Więc musiałem jej to pokazać.

Resztę drogi do domu pokonaliśmy w milczeniu. Gładziłem ponurą Keirę po plecach, sam wpatrując się w ten sam zagłówek.

– Zdrzemnij się – zaproponowałem siostrze, gdy dojechaliśmy na miejsce. By wysiąść z samochodu, musieliśmy się wreszcie od siebie oderwać.

– Ty też – odparła.

– Tak zrobię – skłamałem i odprowadziłem ją wzrokiem.

Kiedy zniknęła na schodach, przeczesałem włosy, przeszedłem się w tę i we w tę, a następnie zerwałem z siebie płaszcz i rzuciłem go na krzesło w jadalni. Pamiętałem czasy, gdy sadzano mnie tu z siostrami jako dziecko. Kazano nam grzecznie czekać na przybycie taty, który zawsze pojawiał się przy posiłkach na ostatnią chwilę. Zawsze pytał nas o różne rzeczy, starał się nawiązać konwersację. Zwykle luźną i przyjemną i tylko czasami zamieniała się ona w pouczenie. By na przykład siedzieć prosto i się nie garbić lub nie mówić z pełną buzią, bo to nieestetyczne i przede wszystkim niebezpieczne.

Mieliśmy taką zabawę, by w tajemnicy przed nim wywrócić oczami. Kto zdołał zrobić to najwięcej razy, wygrywał. Mistrzynią była Grace. Ja i Keira natomiast często wpadaliśmy i potem dostawaliśmy dodatkowe wykłady na temat kultury osobistej.

Patrzyłem na pusty stół, lekko się uśmiechając do wspomnień. Uśmiech ten zmył się błyskawicznie i bezpowrotnie, gdy uświadomiłem sobie, że nie ma się na co szczerzyć.

My już nigdy nie zasiądziemy w tej jadalni w tym samym składzie.

Nie usłyszymy wykładu od ojca na żaden temat.

Wziąłem głęboki wdech.

Nie zamierzałem iść do gabinetu Egberta. Nogi same mnie tam zaprowadziły. Miałem opory przed naciśnięciem na klamkę. Te wielkie masywne drzwi, które przywoływały tylko jeszcze więcej wspomnień. Jakby moja głowa nie była nimi przepelniona.

Tak oto stałem tu i czułem się niczym najsamotniejszy człowiek na świecie. Nawet się lekko przygarbiłem.

Zaczynało być dobrze. Życie naprawdę mi się podobało. Od jakiegoś czasu w Organizacji było spokojnie. W spotkaniach uczestniczyłem chętnie, byłem na nich swobodny i stanowczy. Wiedziałem, że przez innych członków jestem brany na poważnie. Czułem posiadaną władzę i się nią delectowałem.

A także...

Hailie Monet.

Zatrzymałem się.

Przełknąłem ślinę.

Stałem tuż obok stołu bilardowego. Zbliżyłem się do niego i równiutko poustawianych bil. Jaka szkoda, że nie zdążyłem zagrać partii z tatą przed jego śmiercią. Tak dawno tego nie robiliśmy.

Tknąłem białą bilę. Zadrżała, więc zacisnąłem na niej palce i uniosłem na wysokość oczu. Oparłem się o brzeg stołu i zacząłem oglądać ją uważnie, choć w rzeczywistości tylko obracałem ją w ręku, zamyślony.

Coś mignęło mi z boku i natychmiast tam spojrzałem.

To Hailie Monet przechadzała się po drugiej stronie stołu bilardowego. Miała czarną sukienkę, więc wyglądała, jakby przyjechała tu prosto z dzisiejszego pogrzebu. Włosy rozpuściła i chyba była na boso. Uniosłem brew i już chciałem do niej zagadać, ale uderzyło mnie, że przecież znajdujemy się w gabinecie mojego taty, a więc nie było szans, że dziewczyna przede mną jest prawdziwa. Nie udało się jej wślizgnąć tu bez mojej wiedzy.

Westchnąłem, a Hailie przystanęła.

– Płakałam – powiedziała z wyrzutem.

– Byłaś na pogrzebie – odparłem zachrypniętym głosem – wszyscy płakali.

– Nie płakałam z żałoby, ale przez ciebie.

Zamilkłem, bo nie miałem na to dobrej odpowiedzi. Irytował mnie dodatkowo fakt, że twór mojej własnej wyobraźni prowadził ze mną dyskusję i na dodatek już po kilku słowach ją wygrywał.

Musiałem się też jednak pochwalić, bo potrafiłem zwizualizować sobie Hailie Monet jak żywą. Sukienka opinała się na jej biodrach, podkreślała talię. Jej czerń wysmuklała filigranową sylwetkę dziewczyny. Włosy odrobinę za mocno jej się rozwiały, nie wiem dlaczego. Chyba tak je sobie wyobraziłem, bo lubiłem, gdy w ten sposób jej się roztrzepywały.

– Wiem, że umarł ci tata. – Tym razem brzmiała łagodnie. – Ale to niejedyna osoba, którą straciłeś.

Spojrzenie, które ja jej posłałem, było z kolei ostre.

Skinęła głową z delikatnym uśmiechem. Nijak pasował do jej słów.

– Ja też odchodzę.

Zrobiła kilka kroków w tył. Jej sukienka stawiała się coraz mniej obcisła. Materiał jakby pływał przy każdym jej ruchu, rozmywał się.

– Czekaj, Hailie Monet... – szepnąłem. Odchrząknąłem, by pozbyć się chrypki i mówić głośnie. – Nie idź.

– Bawisz się mną.

– To nieprawda.

– Walczysz o mnie, a potem ze mnie rezygnujesz.

– Hailie...

Znowu przystanąła. Patrzyła na mnie oskarżycielsko spod nastroszonych brwi.

– Mówisz „wszystko”, a potem... „nic”.

– Hailie Monet! – podniosłem głos i postawiłem kilka zdecydowanych kroków w jej stronę.

A ona zniknęła.

Jeszcze przez kilka chwil widziałem w swojej głowie, jak jej poważna twarz z uniesionymi pogardliwie brwiami rozplywa się w powietrzu. Wgapiąłem się w miejsce, w którym przed chwilą stała, i oddychałem ciężko. Zapięły mnie oczy. Przetarłem je wierzchem dłoni, a one zaczęły wtedy piec mocniej.

Sapnąłem z frustracji, złości i smutku.

Gdy zamrugałem, pod powiekami poczułem jakby piasek.

Hailie Monet już odeszła i nie powiedziała ani słowa więcej. Zostawiła mnie z ciszą, którą nadal zakłócało tykanie zegara.

Spieprzyłem wszystko.

Zostało nic.

Wiedziony nagłym przypiływem agresji zacisnąłem palce na ciężkiej, białej bili i z całej siły rzuciłem nią w zegar. Rozległ się hałas. Coś zachrobotło, szkło się potłukło. Jego odłamki rozsypały się na podłodze. Zdębiałem, nie wierząc, że ten bałagan to efekt mojego czynu. Spojrzałem na swoje dłonie. A potem na dół. Bila, którą rzuciłem, turlała się w moją stronę. Wracała do mnie jak grzeczny piesek. Zatrzymała się przy czubku mojego buta.

I nawet z szumem w uszach oraz sercem głośnie walącym mi w klatce piersiowej, słyszałem to.

Słyszałem, że zegar nadal tykał.

You&YA

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz